

**CHRISTIAN
JUNGERSEN**

wyjątek

przełożyła Iwona Zimnicka

Tytuł oryginału: *Undtagelsen*

Wydanie 1

WAB, Czerwiec 2007



IBEN

1

- Czy oni nie mają w głowach nic innego oprócz zabijania się nawzajem? - pyta Roberto. W normalnej sytuacji nigdy w życiu nic takiego by nie powiedział.

Furgonetka z czworgiem pracowników organizacji charytatywnej i dwoma porywaczami na pace stoi w tym miejscu, co najmniej od godziny. Drogę zagradzają im wypalone wraki samochodów, ale chyba mogliby się stąd wycofać albo przebić między nędznymi chatami rozrzuconymi po obu jej stronach.

- No, bo niby, na co tu czekamy? Dlaczego oni po prostu nie przejadą przez tłum?

Angielski Roberta zwykle bywa idealny. Po raz pierwszy słyhać w nim włoski akcent. Roberto ciężko oddycha, pot spływa mu po policzku i zbiera się w kąciku ust.

Otoczająca ich dzielnica slumsów przypomina zdeptaną, nie-sprzątniętą zagrodę dla krów. Błoto pod kołami samochodu w palącym słońcu zmieniło się niemal w ceramikę, widać w nim głębokie ślady, wyżłobione podczas ostatniej pory deszczowej. Na równinie, z której wzbija się tuman pyłu, Nubijczycy wzniesli na szkieletach z cienkich gałęzi płataninę brunatnoszarych chat z krowiego łajna.

Roberto, który tutaj jest bezpośrednim zwierzchnikiem Iben, patrzy na troje współwięźniów.

- Albo, dlaczego przynajmniej nie zjadą w cień?! - Po tym wybuchu zniecierpliwienia powolnym ruchem unosi rękę do krawędzi ciemnych okularów.

Jeden z porywaczy lekko porusza swoją ostrą, długą na pół metra maczetą, pangą. Odwraca wzrok od mieszkańców slumsów i kieruje go na Roberta, który w tej samej chwili opuszcza rękę z równie przesadną powolnością, z jaką ją podnosił.

Iben wzdycha, pot musiał zatkać jej uszy, bo słyszy wydawane przez siebie odgłosy, przypominające hałas włączającego się wentylatora. Pod ścianą najbliższej chaty z krowiego łajna zalega wysoka na metr sterta odpadków roślinnych przemieszanych z ludzkimi odchodami. To znajomy zapach slumsów. Tutaj jest wyjątkowo mocny.

- *Oh glorious Name of Jesus, gracious Name. Name of love and power! Through you sins are forgiven, enemies are vanquished, the sick...* - monotonnie powtarza najmłodszy z porywaczy.

Iben patrzy na niego. Jest inny niż dzieci-żołnierze, o których pisała w domu, w Kopenhadze.

Widać, że chłopak nie ma doświadczenia i nie wytrzymuje napięcia. Przez cały czas był pod wpływem jakichś środków, teraz lęk rozbija go na kawałki. Stoi ze wzrokiem utkwionym w nieustannie wzbierające i coraz lepiej uzbrojone ludzkie morze, które w pewnej odległości otacza samochód. Po policzkach płyną mu łzy. Jedną rękę zaciska na odrapanym czarnym pistolecie maszynowym, drugą pociera krzyżyk, zwisający mu z szyi na czerwono-niebieski T-shirt z napisem „I love Hong Kong”.

Chłopak musi należeć do anglojęzycznego Kościoła, bo zrezygnował z ojczystego języka i monotonnym głosem wyrzuca z siebie angielskie modlitwy, przeplatane długimi cytatami z Biblii, niczym łaciną.

- Surely goodness and love will follow me all the days of my live. And I will dwell in the house of the Lord for length of days...

* * *

W kraju wszystkie mieszkania są urządzone tak jak przedtem. Przyjaciółki Iben chodzą w tych samych ubraniach i rozmawiają o tych samych sprawach. Ona też już dawno wróciła do swojej normalnej pracy. Kopenhaga jest zaskakująco niezmieniona, oprócz tego, że nadeszła jesień.

Minęły trzy miesiące od czasu, gdy Iben porwano jako zakładniczkę i przetrzymywano w małej afrykańskiej chacie pod Nairobi.

Wtedy nie wiedziała, czy kiedykolwiek wróci do domu. To właśnie pamięta. Pamięta biegunkę, uzbrojonych strażników, upał, lęk. Pamięta też, że to wypełniało cały świat.

Teraz coś w niej mówi, że to nie może być prawda. To nie wypełnia niczego. Doświadczenia z Kenii nie chcą się wpasować w jej spokojne życie tutaj, w domu. Niemożliwe, by to ona leżała na klepisku z pistoletem maszynowym przystawionym do skroni. Pamięta to w taki sam sposób, jak pamięta się stary eksperymentalny film, który widziało się chyba na jakimś nocnym przeglądzie filmowym przed wieloma laty.

Iben jest u swojej najlepszej przyjaciółki, Malene. Wybierają się w odwiedziny do znajomych, z którymi kilka lat temu mieszkały razem w akademiku.

Iben krąży po salonie Malene i Rasmusa, czeka, aż przyjaciółka wróci z sypialni w stroju, w którym wreszcie zdecyduje się wyjść. Iben przyrządziła dwa duże *mojilos* i podczas ostatnich utworów na płycie z afrofunkiem Feli Kutiego prawie kończy swoją szklanę.

Malene to wbiega do salonu, to z niego wybiega. Teraz staje przed lustrem i mówi:

- Dlaczego zawsze jest tak, że przed wyjściem z domu przymierzam fajniejsze rzeczy niż te, w których w końcu idę?

Ogląda się w czarnej, częściowo przezroczystej sukience, bardziej odpowiedniej na wieczór sylwestrowy niż na piątkowe spotkanie u przyjaciółki, która zawsze nosi bluzy i właśnie skończyła studiować biologię.

- Bo chodzimy na nudne imprezy - odpowiada Iben.

Malene już idzie z powrotem do sypialni, żeby poszukać czegoś bardziej stonowanego.

- A z całą pewnością możesz się spodziewać, że dziś wieczorem będzie bardzo spokojnie... - woła za nią Iben. - U Sophie!

Dodaje to dopiero po chwili, jak gdyby wraz z wymówieniem imienia Sophie powiedziała już wszystko. I słyszy, jak Malene z sypialni sztucznie zmienionym głosem powtarza:

- Tak, u Sophie.

Wybuchają śmiechem.

Iben sączy drinka ze szklaneczki, po raz kolejny studiując grzbiety książek na regale. Książki to zwykle pierwsza rzecz, którą ogląda po przyjeździe do nieznanego mieszkania. Na imprezach staje przy regale i dyskretnie przebiega wzrokiem zbiór domowych lektur. Wczytując się w tytuły i nazwiska autorów na grzbietach, przysłuchuje się powitalnym rozmowom pozostałych gości.

Grzbiety książek Malene zna dobrze. Wyciąga, więc z półki opasły tom artykułów z dziedziny antropologii i wertując go, kołysze się w rytm wolniejszego utworu. Wypiła już dość, by poczuć w ciele przyjemne łaskotanie.

Niemal tańcząc z książką, nadgarstkiem przyciska do piersi chłodną szklankę z rumem i czyta o rytuałach inicjacyjnych Indian Xingu. Dziewczęta wprowadzane w dorosłe życie zamykane są w ciemnych komórkach. Spędzają tam, na leżąc, nawet trzy lata. Po wyjściu na światło dzienne są grube, blade i mają długie, skołtunione włosy. W oczach współplemieńców dopiero teraz stają się prawdziwymi kobietami.

Na regale leży również kasetka wideo, na której Rasmus nagrał jej wystąpienia w telewizji po powrocie z Kenii. Duńskie Centrum Informacji o Ludobójstwie, w którym Iben pracuje jako specjalistka, „wypożyczyło” ją międzynarodowej organizacji wspierającej procesy pokojowe i badającej wstępne stadia ludobójstwa.

Iben bierze ciastko z paczki, która leży na stoliku przy kanapie, i wkłada kasetę do odtwarzacza, nie wyłączając muzyki.

Najpierw przygląda się własnej twarzy na ekranie telewizora, stojąc na środku pokoju. Potem siada na dużej kanapie Malene i Rasmusa.

Kiedy ogląda tę kasety, czasami się śmieje. Ma wrażenie, jakby w wiadomościach TV2 i programie informacyjnym „TV-avisen” siedziała mała marionetka o imieniu Iben, udając mądrą i poważną osobę. Wydaje jej się, że opowiada o przeżyciach całkiem obcej kobiety.

Potem jednak pojawiają się zdjęcia ze slumsów, z przybycia zakładników do ambasady amerykańskiej. I z organizowanych tam konferencji prasowych.

Iben z uwagą ogląda te migawki. Za każdym razem są równie nowe i obce.

Wraca Malene w cienkiej sukience w kolorze nugatu, przynosząc delikatny zapach perfum. Malene ma figurę odpowiednią do sukienek, a oprócz tego gęste kasztanowe włosy i zawsze lekko opaloną cerę. Nietrudno zrozumieć mężczyzn. W Malene jest coś apetycznego. Jak gdyby była dużym złocistym i gładkim karmelkiem.

Malene natychmiast zauważa, którą kasety Iben włożyła do odtwarzacza. Nic nie mówi, tylko ścisza przyjaciółkę za ramię i siada obok niej na kanapie.

Iben ścisza muzykę, aby słycać było Roberta, rozmawiającego z dziennikarzem „TV-avisen”:

„Iben powiedziała, że podczas przebywania w niewoli musimy cały czas opowiadać sobie o tym, co się stało. Mieliśmy to powtarzać niemal do opróżnienia słów z treści...”

Wywiad z Robertem przeprowadzono w ambasadzie włoskiej w Nairobi. Po uwolnieniu musiał się poddać leczeniu i psychoterapii, potrzebował więcej czasu niż pozostali, aby móc wrócić do domu. Wyjątkowo jest bez okularów, mocno wychudzony, ale się uśmiecha:

„Iben wyjaśniła nam, że jak wykazały badania, właśnie w taki sposób można najskuteczniej zapobiegać reakcjom posttraumatycznym”.

„TV-avisen” wraca do studia w Kopenhadze, w którym Iben opowiada prowadzącemu:

„Jeśli chodzi o reakcje posttraumatyczne, to w postępowaniu zapobiegawczym najważniejsze jest jak najszybsze rozpoczęcie debriefingu. Nie wiedzieliśmy przecież, czy nie będziemy więzieni miesiącami. Musieliśmy, więc już podczas niewoli analizować przebieg wydarzeń, które...”

W salonie Malene Iben ciężko wzdycha i znowu sięga po swoją szklanę.

- Jestem tu kompletnie nieznosna.

- Nie jesteś ani trochę nieznosna - protestuje Malene. - Po prostu wiesz coś, o czym większość ludzi nie wie.

- Ale dziennikarze zawsze to wyciągają. Jakbym miała fioła na punkcie psychologii. Jakby nie było we mnie uczuć, ponieważ się zastanawiam.

Malene klepie Iben po ręce i odstawia swoją szklanę na stolik.

- A może po prostu fascynuje ich to, że potrafiłaś tak skutecznie działać w małej chatce z krowiego łajna? - mówi z uśmiechem. - Jesteś bohaterką. Tyle, że nie przywykłaś do tej roli. Kto miał okazję znaleźć się w skórze bohatera?

Iben nie wie, co powiedzieć. Śmieją się. Iben ruchem głowy wskazuje na sukienkę Malene.

- Wiesz, że nie możesz się tak ubrać do Sophie?

- Wiem.

Kolejne fragmenty na taśmie to wystąpienia Iben w programach „Dzień dobry, Danio” i „Deadline”.

Na filmie prezentuje się jak prawdziwa podróżniczka, chociaż w domu nigdy tak nie wygląda. Ma jasne włosy do ramion, gęste, lecz na ogół pozbawione ciepłych odcieni, jakie u większości blondynek powstają pod wpływem słońca. Dopiero w Afryce światło było na tyle mocne, że i w jej włosach pojawiły się złotawe refleksy. Postanowiła, że spróbuje namówić fryzjera, by je rozjaśnił w podobny sposób.

W telewizji jej skóra również ma piękny kolor, prawie taki jak skóra Malene. W Danii po nakręceniu tamtego wywiadu prędko odzyskała swą zwykłą bladość, a wraz z nią pojawiające się od czasu do czasu ciemne półkola pod oczami, duże, bladoniebieskie półksiężyce.

Oczy są w jej opinii bardziej podkrążone, niż powinny być u kogoś, kto nie skończył jeszcze trzydziestu lat. Dlatego wkrótce po powrocie do domu wykupiła, tak jak Malene, karnet do jednego z małych solariów na Norrebro. Postanowiła utrwalić wygląd, jaki udało jej się osiągnąć w Afryce. Odkryła jednak, że jej psychika nie pozwala na leżenie i pocenie się w hałaśliwej maszynie. Pomysł umarł, więc śmiercią naturalną.

Wszyscy dziennikarze mają oczywiście ten sam standardowy przepis na montaż tego rodzaju historii: Iben mogła mówić cokolwiek, po zredagowaniu materiału i tak wychodziła na pełną ideałów duńską dziewczynę, która podczas spotkania z wielkim i niebezpiecznym światem okazała się bohaterką.

Podkreślano zwłaszcza to, że, mimo iż udało jej się szczęśliwie uciec porywaczom, wróciła do więźniów na pace furgonetki, a także jak w zaistniałym tumultie nakłaniała brutalnych policjantów, aby zmienili stronę.

Poza tym gazety cytowały pozostałych zakładników, z których każdy określał Iben jako „silną osobę w grupie”.

Do jednego z zakładników, po jego powrocie do Stanów Zjednoczonych, zadzwoniła pewna kopenhaska przedpołudniówka i wydusiła z niego stwierdzenie: „Nie jest wcale pewne, czy wszystko by się tak dobrze skończyło, gdyby w naszej grupie nie było Iben”.

Po tygodniu zainteresowanie mediów opadło. Równie szybko i nieoczekiwanie, jak się pojawiło. Ich niewola trwała zaledwie cztery dni, Iben nie zdążyła, więc stać się wielką gwiazdą wśród zakładników, a teraz dziennikarze w ogóle przestali się już nią interesować.

Iben czuje, że Malene stara się z jej twarzy wyczytać, czy „coś się dzieje”.

- Wszystko w porządku - mówi. - Idź się przebrać.

- Pewna jesteś?

- Tak, tak.

Mieszkanie Malene i Rasmusa ciągle jest w fazie przejściowej: na oparciach dwóch tanich składanych krzeseł z Ikei wciąż leżą indiańskie narzuty, kupione w sklepie Organizacji Współpracy między Narodami „Zakątek Świata”. Tak samo jak stojące na sosnowym regale tanie figurki z Polinezji pochodzą z czasów, kiedy Malene studiowała wiedzę o krajach rozwijających się na uniwersytecie w Roskilde.

Od ukończenia studiów minęło trzy lata. Studencka praca w Duńskim Centrum Informacji o Ludobójstwie stała się pracą prawdziwą, dlatego później Malene mogła pomóc również Iben w dostaniu się do centrum. W tym samym pokoju stoi także nowa, droga włoska kanapa i dwa zaprojektowane przez duńskich designerów fotele z lat sześćdziesiątych. I Malene, i Rasmus dobrze zarabiają, stać ich na to, by krok po kroku urządzać mieszkanie coraz ekskluzywniej.

Gustu Rasmusa raczej się tu jednak nie czuje. Po skończeniu filmoznawstwa nie mógł znaleźć pracy w zawodzie, więc teraz na targach i rozmaitych spotkaniach w całej Europie sprzedaje części do komputerów, poprawiające prędkość przesyłu danych przy użyciu światłowodów. Ponad połowę roku spędza za granicą, a jego wkład w urządzenie mieszkania to dwa regały książek o filmie i olbrzymia kupa bałaganu przez kilka miesięcy leżąca w sypialni.

Dzwoni telefon, Iben wie, że po prostu ma go odebrać. Rozpoznaje męski głos w słuchawce, głęboki jutlandzki akcent, który nie raz słyszała w programie reporterów zagranicznych „Orientacja” na P1. To Gunnar Hartvig Nielsen.

Iben woła Malene, która wraca w dżinsach i jedwabnej bluzce w spokojnym kolorze. To musi być jej ostateczna propozycja stroju na ten wieczór, bo umalowała też oczy cieniami, ale jeszcze nie użyła szminki.

Iben słucha, jak Malene odrzuca propozycję zjedzenia wspólnej kolacji. Zamiast tego zaprasza Gunnara do Sophie.

- Będzie mu się chciało? - pyta Iben zdziwiona, kiedy Malene odkłada słuchawkę.

- Na pewno.

- A co on tam będzie robił?

- Pozna kilka osób, zobaczy się ze mną, będzie się bawił tak jak my.

- No tak, jasne.

Iben wyłączyła telewizor i idzie razem z Malene do łazienki, gdzie przyjaciółka kończy się malować.

Z nazwiskiem Gunnara Hartviga Nielsena Iben zetknęła się po raz pierwszy wiele lat temu, jeszcze w akademiku. Jego artykuły i komentarze na temat polityki międzynarodowej, zamieszczane w „Information”, z uwagą czytano we wspólnym dla mieszkańców ich korytarza egzemplarzu gazety. W kuchni podziwiano szczególnie i żywo omawiano jego reportaże z Afryki.

Gunnar miał też swoją prywatną historię, którą od czasu do czasu przedstawiano w artykułach biograficznych. Podobnie jak Malene przyjechał do stolicy ze środkowej Jutlandii, tyle, że z bardziej zapadłych wiejskich okolic. Jego rodzice byli wieśniakami. Po skończeniu szkoły średniej jako dziewiętnastolatek wyjechał w ramach projektu pomocowego do Zimbabwe, gdzie nauczył się suahili, a potem wyruszył w trwającą trzy i pół roku podróż po kontynencie afrykańskim.

Po powrocie do kraju napisał książkę o Afryce, Rytm przetrwania, która zyskała dużą popularność wśród trampów i ludzi zainteresowanych polityką międzynarodową, zwłaszcza tych o bardziej lewicowych poglądach.

Gdy miał dwadzieścia pięć lat, był już znanym dziennikarzem i komentatorem w „Information”. Od tamtej pory wielokrotnie wyjeżdżał na dłużej do krajów afrykańskich. Usiłował skończyć studia, jednocześnie obsługując dla „Information” spotkania na szczycie i konferencje w Nowym Jorku i Dar es-Salaam. Wytrzymał tak nieco ponad rok, potem zrezygnował z uczelni.

Pod koniec studiów Iben i Malene zarzucił też stałe pisanie do gazet i przestał być gwiazdą lewicowego dziennikarstwa.

Kiedy cztery lata temu Malene, jeszcze jako studentka, zaczęła pracować w Duńskim Centrum Informacji o Ludobójstwie, dowiedziała się, gdzie zniknął, i opowiedziała o tym Iben. Robiła z nim wywiad do artykułu na temat straszliwych, a niedostrzeżonych rzezi w Sudanie. Gunnar przekroczył już czterdziestkę i pracował jako redaktor w magazynie „Rozwój”, wydawanym przez Danidę, wydział Ministerstwa Spraw Zagranicznych do spraw pomocy dla krajów rozwijających się.

Opowiedział jej, że podjął pracę jako redaktor w Danidzie, gdyż po rozwodzie był zmuszony do szukania dochodów umożliwiających mu opłacenie alimentów i mieszkania z dwoma pokojami dzieciennymi. Pisywał teraz równie dobre artykuły do „Rozwoju”, lecz poza kręgiem osób szczególnie zainteresowanych tą tematyką mało, kto je czytał.

W tamtych czasach Iben, która wciąż jeszcze studiowała literaturoznawstwo, zazdrościła przyjaciółce, że ta w swojej pracy spotyka tylu interesujących mężczyzn, a dzięki swej urodzie budzi zainteresowanie przeważającej ich części. Zazdrość wcale nie osłabła, gdy Malene pewnego dnia oświadczyła, że Gunnar zaprosił ją na kolację.

Tych kolacji we dwoje było więcej, Malene i Gunnar chodzili do restauracji w całym mieście. Zawsze jednak na tym się kończyło. Malene uwielbiała te spotkania, ale potężne ciało Gunnara, jego styl „pozbawionego złudzeń socjalisty”, a zwłaszcza jego wiek, nie pozwalały jej się zaangażować. Czasami nawet skarżyła się Iben, że spojrzenie jego wielkich, błagalnych psich oczu ją przytłacza.

Iben powiedziała wtedy:

- Więc może to nie całkiem w porządku, że dajesz się zapraszać na jedną kolację po drugiej, kiedy on jest w tobie zakochany, a ty nie chcesz z nim iść do łóżka?

- No tak, ale nam jest ze sobą bardzo przyjemnie. Sam mi zresztą powiedział, że nie liczy na żaden związek erotyczny.

- Dobrze, ale czy musi za wszystko płacić?

- Płaci tylko wtedy, kiedy koniecznie chce iść do restauracji, a ja akurat jestem bez grosza. Ja też bym za niego płaciła, gdyby nie miał pieniędzy.

Nawet młody i przystojny Rasmus, z którym Malene się związała, nie mógł ukrócić tych kolacyjek ze starszym wielbicielem. Iben słyszała, jak Malene mówiła: „Rasmusie, tutaj wcale nie chodzi o seks, to tylko mój dobry przyjaciel”. Rasmus jednak się upierał, żeby za każdym razem płaciła swoją część rachunku, i tak też od tej pory było.

Iben i Malene rozmawiają o tym, z kim spotkają się tego wieczoru, pospiesznie przegryzając jakieś resztki w kuchni.

W przedpokoju, obok słoików po dżemie i pustych butelek po wodzie mineralnej i winie, przeznaczonych do kontenera na szkło, Malene wkłada parę drogich butów ortopedycznych, które musi nosić z powodu gościa. Dopijają *mojitos* i wychodzą.

* * *

Iben i Malene zostawiają płaszcze na wieszakach w wąskim przedpokoju, w którym już unosi się zapach chipsów, ludzi i wina.

Z pokoju wychodzi Sophie. Po pierwszych powitalnych uściskach obrzuca wzrokiem strój i makijaż Malene.

- To nie jest prawdziwa impreza... - mówi.

Jacyś przyjaciele Sophie wylewają się przez drzwi za nią i popychają ją w plecy. Sophie przez moment nie wie, o co chodzi, potem znów patrzy na Iben i Malene wielkimi, okrągłymi oczami.

- To tylko takie spotkanie. Przecież ja pojutrze wyjeżdżam.

Sophie, która ma długie włosy, niebieski anorak jako jedyne okrycie wierzchnie, a cztery lata temu, w akademiku, mieszkała na tym samym korytarzu, co Iben i Malene, przez telefon powiedziała im, że wyjeżdża do Kanady, gdzie jej chłopak, który również jest biologiem, podpisał kontrakt na następne dwa lata.

Któryś z przyjaciół Sophie woła:

- Jest bohaterka!

A z grupy znajomych z akademika, którzy mieszkali w dalszej części korytarza, do Iben dociera coś w rodzaju:

- ...pobiegła z powrotem bronić innych, zamiast ratować własną skórę.

Iben uśmiecha się i powtarza, Bóg jeden wie, który już raz:

- Nie miałam pojęcia, co robię. To było zupełnie nieprzemyślane i spontaniczne.

- I właśnie, dlatego jesteś bohaterką, Iben. Przez swoje odruchy. Kiedy masz tylko sekundę na dokonanie wyboru.

Sophie jeszcze raz ściska Iben i patrząc jej w oczy, stwierdza:

- Większość ludzi po prostu by uciekła.

Salon Sophie jest pełen znajomych twarzy. Pięć lat temu wszyscy byli studentami tuż po dwudziestce. Iben pamięta, jak w niedzielę rozkładali się na trawie na koncertach w Faelledparken. Teraz prawie wszyscy już zdobyli wykształcenie, spora część pracuje, ale jeszcze więcej jest na zasiłku, pełnym albo częściowym. Stanowczo zbyt wielu potknęło się na rynku pracy, lecz zasiłek i tak jest dużo wyższy niż stypendium, do którego byli przyzwyczajeni, więc w zasadzie nie są tacy biedni. Powoli zarysowują się drogi i ślepe uliczki kariery, niektórym urodziły się dzieci, innych życie rzuciło w całkowicie nieprzewidzianym kierunku.

W przyćmionych światłach słabych lamp siedzą i stoją, z kieliszkiem czerwonego wina albo ze szklanką piwa w ręku, zajęci rozmową. Iben i Malene patrzą na siebie: tańce nie wchodzą w grę. Po salonie krążą trzy matki z małymi dziećmi w ramionach.

Nie ustają pytania o Nairobi.

Iben odpowiada z uśmiechem:

- Wiesz, tak strasznie dużo mnie o to wypytywano, że nie mam już siły mówić. Innym razem. A co u ciebie? Jak poszło z...

Zakończywszy rundę, znajduje sobie miejsce w kącie, przysiada na brzegu stołu. Ze świeżo upieczonym, ale już zniszczonym przez alkohol dentystą wymienia wspomnienia z nocy w klubie Rust. Właśnie wtedy widzi, jak w drugim końcu pokoju w drzwiach staje Gunnar.

Malene nazwała go kiedyś wielkoludem, Iben nabrała, więc przekonania, że Gunnar jest gruby jak John Goodman. Tymczasem widzi faceta o posturze Gerarda Depardieu.

Malene wstaje z nadmuchiwanego fotela, żeby się z nim przywitać. Dentysta ogląda się za nią. Iben, gryząc chipsa, myśli: Sporo kobiet wściekłyby się na przyjaciółkę, która tak działa na każdego napotkanego faceta. Widzi, że Malene ciągnie Gunnara z powrotem do przedpokoju, gdzie mogą spokojnie pogadać.

Później Iben siedzi na kanapie i rozmawia z dobrym przyjacielem Rasmusa. Chłopak ubrany jest w neonową niebieską marynarkę, ze stebnowanymi szwami. Z dumą opowiada, że został copywriterem w agencji reklamowej. Mówi znacznie głośniejszym głosem niż ostatnio i śmieje się bardziej demonstracyjnie:

- W całym tym humanitaryzmie i humanizmie nie ma do wyjęcia żadnych pieniędzy...

Na widok miny Iben trochę się hamuje.

- ...za które dałoby się przeżyć. Ale bezrobocie jest nieznośne, tak samo sposób, w jaki traktują człowieka pracodawcy. Wiedzą, że mogą wybierać i przebierać wśród tysiąca magistrów. Są tacy cholernie obojętni.

Kilka najbliższych siedzących osób odwraca się w ich stronę. Przyjaciół Rasmusa mówi, więc także do nich:

- W dobrej agencji reklamowej traktują cię zupełnie inaczej! Dyrektorzy mają świadomość, jak niewiele osób ma prawdziwy talent do reklamy, a jednocześnie jest w stanie wytrzymać w tej branży. - I dodaje z uśmiechem: - Potrafi być naprawdę strasznie.

Agencja reklamowa nosi nazwę, którą Iben najwyraźniej powinna znać:

- Byliśmy w telewizji. Tak jak i ty.

Iben nalewa soku do pustego plastikowego kieliszka, obserwując jednocześnie Gunnara, który wrócił do salonu. Nie otacza go wcale wianuszek dziewcząt, jak to sobie wyobrażała. Może się wstydzą albo myślą, że warto się nim było interesować jedynie w kuchni akademika, a nie w rzeczywistości. Może jest już dla nich za stary, tak samo jak dla Malene.

Przyjaciół Rasmusa podbudowuje swoje tezy opowieścią o tym, jak wszystkich pracowników jego agencji zaproszono na trzydniową imprezę świąteczną do Barcelony, i jak to się opłaca agencji, gdyż taki wyjazd stanowi jedynie drobny wydatek w stosunku do ich pensji.

Być może to spojrzenia słuchaczy nakazują Iben, jakby w roztargnieniu i z przyzwyczajenia, stanąć w obronie wartości, które wyznają pozostali goście. Atakuje go, więc wszystkimi banałami naraz: „Prawdziwe wartości w życiu”, „Pieniądze nie są ważne”, „Po co tak naprawdę się żyje?”, „Do czego prowadzą twoje wybory?”

Ale już podczas tej dyskusji czuje, że dawna konfrontacja sposobów na życie odbywa się tak, jakby ktoś włączył przycisk *repeat*. Jak gdyby oboje byli zmęczonymi politykami w ostatnich dniach kampanii wyborczej, kiedy już można przewidzieć argumenty drugiej strony, zanim padnie zbyt wiele nużących słów.

Świadomie urywa kontakt wzrokowy z uczestnikami dyskusji i próbuje się wsłuchać w rozmowę dwóch nieznanym osob, które usadowiły się po drugiej stronie stolika.

Ale przyjaciel Rasmusa jeszcze nie skończył:

- Ja też chciałbym mieć taką pracę jak ty. Specjalista do spraw informacji. Robić coś związanego z działalnością humanitarną, coś, co ma sens. - Wygląda swoją niebieską marynarkę. - Pomagać światu! Ale to przecież niemożliwe. Takich ludzi nie potrzeba. - Urywa, rozbawiony paradoksalnością własnych słów, i dodaje: - Jeśli ktoś chce pomagać światu, nigdy nie znajdzie pracy.

Gdy wreszcie milknie, sprawia wrażenie dziwnie zamyślonego. Nagle jednak znów gwałtownie zwraca twarz ku Iben.

- Oczywiście oprócz ciebie i Malene!

W pewnym momencie Iben trafia w okolice składanego dzieciennego łóżeczka przypominającego sprzęt kempingowy z nylonu i aluminium. Z trudem balansuje wypełnionym niemal po brzegi kieliszkiem z czerwonym winem i trzema połamanymi ciasteczkami. Nagle wyrasta przed nią Gunnar.

Jego pytanie jest inne, krótkie:

- Jak się czujesz z powrotem w domu?

Ten sam spokojny głos z telefonu.

Iben patrzy na niego. Na szaroniebieskie oczy.

- Nie jestem pewna, czy już wróciłam - odpowiada.

Śmieją się.

Iben nie wie, w którą stronę ma patrzeć. Sophie nastawia jedną z płyt z Buddha Baru. Na drugim końcu ciemnego salonu Malene podchodzi do niewygodnego drewnianego krzesła i siada. Iben jako jedyna z obecnych tu osób wie, jak czuje się Malene, gdy zaczynają boleć ją nogi. Widzi, że przyjaciółka niedługo będzie chciała wracać do domu.

Gunnar opowiada o wywiadzie z prezydentem Rwandy Habyarimaną w Dar es-Salaam. Przeprowadził go na krótko przed zestrzeleniem prezydenckiego samolotu, po którym wdowa po prezydencie dała sygnał do wymordowania, podobno w ramach zemsty, pięciuset tysięcy mieszkających w kraju Tutsi.

Gunnar miał okazję trzymać w rękach ciężkie, nabijane gwoździemi drewniane pałki, które podziurawiły czaszki wielu ofiar.

- Na pewno wiesz, że do zabójstw dochodziło także w kościołach, w których schronili się Tutsi - opowiada. - Zabicie człowieka narzędziami domowymi czy rolniczymi, którymi dysponowali mordercy, wymaga czasu. A ponieważ mieli przed sobą setki ludzi do zabicia, wymyślili metodę, którą powszechnie stosowali: wszystkim natychmiast przecinano oba ścięgna

Achillesa. Dzięki temu nie mogli uciec. Oprawcy mieli, więc dość czasu na mordowanie swoich ofiar po kolei. Mogło się to wówczas przeciągnąć nawet na cały dzień.

Razem z Gunnarem Iben jest w stanie wspominać trzy miesiące spędzone w Nairobi przed porwaniem. Pobyt tam był czymś, co przydarzyło się rzeczywiście jej. Opowiada o różnych cudach, które tam widziała, a których tak wiele ludzi nie rozumie. Gunnar kocha Afrykę.

Odchodzą na bok i oboje opierają się o regał. Jest teraz tak, jak gdyby leżeli obok siebie na ustawionym pionowo łóżku z książek. Iben nie wie, ile czasu mija.

Gunnar ma pod koszulą szary T-shirt, w rozpięciu koszuli nie widać, więc żadnych włosów na jego torsie, ale na nadgarstkach spod mankietów wysuwa się drobny złocisty meszek.

Ktoś, przechodząc, niechcący potrąca Iben, a ona dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, że cały czas stała z rozchyłonymi ustami, zbyt długo wpatrując się w jego twarz o regularnych rysach, zasłuchana w fascynujące opowieści. Potrząsa głową jak pies, który spadł do wody z pomostu i wyszedł na brzeg.

Powinam chyba raczej znaleźć sobie jakieś inne miejsce -myśli. Widzi jednak, że Malene już stoi przy niej. Iben czuje, że nie jest dobrze.

Malene nie patrzy na przyjaciółkę. Opowiada Gunnarowi o zabawnym zdarzeniu w Duńskim Centrum Informacji o Ludobójstwie, z udziałem jednego z jego przyjaciół dziennikarzy.

Iben postanawia wyjść do kuchni po wodę.

Gunnar chwyta ją za rękę.

- Może się zdarzyć, że wpadnę kiedyś na ciebie w Metrobarze.

- W Metrobarze?

- A czy już cię tam nie widziałem? To knajpka niedaleko radia. Bywam tam kilka razy w tygodniu.

- Nie, ja... - Iben uświadamia sobie, co on mówi, i zerka na Malene.

Malene poklepuje Gunnara po szerokich barach.

- Właściwie przyszedłam tylko powiedzieć, że muszę już iść. Nogi...

- Malene uśmiecha się szeroko na pożegnanie, nie kończąc zdania.

Gunnar i Iben kiwają głowami. W milczeniu patrzą na jej udręczone gośćcem dłonie i stopy.

Malene uśmiecha się jeszcze raz i pyta:

- Iben, czy miałabyś ochotę mi towarzyszyć?

2

Zadaniem Duńskiego Centrum Informacji o Ludobójstwie, czyli DCIL, jest gromadzenie wszelkich informacji o zbrodniach ludobójstwa i udostępnianie ich naukowcom, politykom, organizacjom humanitarnym i innym zainteresowanym osobom zarówno w Danii, jak i za granicą. Służy temu największy w całej Skandynawii zbiór książek i dokumentów związanych z tym tematem.

Biura i biblioteka centrum zajmują cały przebudowany strych starego budynku z czerwonej cegły przy niewielkiej, bocznej uliczce w dzielnicy Osterbro w Kopenhadze. Wcześniej mieściły się tam archiwa gminy.

Książki z dawnego pomieszczenia bibliotecznego rozpełzły się na wszystkie strony i teraz ściany w korytarzu prowadzącym do kuchni pokrywają szaroniebieskie stalowe regały, wypełnione książkami i segregatorami na czasopisma. Podobnie wyglądają ściany w pokoju nazywanym małą salą konferencyjną i w dużym wspólnym pomieszczeniu biurowym, gdzie pracują Iben, Malene i Camilla.

Ponadto w bardziej niedostępnych zakamarkach centrum stoją cięższe regały przemysłowe w kolorze ciemnej zieleni z kartonowymi pudłami pełnymi odpisów zagranicznych protokołów sądowych, raportów i rozmaitych innych materiałów dokumentacyjnych.

Wśród tej masy papierów i książek pracuje jedynie pięć osób. Iben jako specjalista do spraw informacji, Malene - koordynator projektu, a oprócz nich jest jeszcze dyrektor centrum Paul, sekretarka Camilla i bibliotekarka Anne-Lise.

W najjaśniejszym i największym - oprócz gabinetu Paula - pomieszczeniu centrum podnoszone biurka Iben i Malene stoją naprzeciwko siebie, przysunięte jedno do drugiego. W tym pokoju nie ma wąskich przejść między regałami jak w bibliotece, ale i tak wysokie półki zakrywają niemal całe ściany. Na wszystkich trzech oknach Malene hoduje rośliny doniczkowe, dlatego pokój nazywany jest Ogrodem Zimowym - żart polega na tym, że biuro bardziej przypomina bibliotekę niż ogród, bez względu na to, ile kwiatów się w nim ustawi.

Oprócz hodowania kwiatów Iben i Malene usiłowały złagodzić surowość pomieszczenia, usuwając jeden z regałów ze ściany najbliższej ich biurka. Zrobiły w ten sposób miejsce na tablicę ze zdjęciami, starymi kartami wstępu na konferencje humanitarne, wycinkami z gazet i nieco

drażniącymi widokówkami z tekstami, które przypominają, że kiedy one się męczą, nadawca korzysta z urlopu.

W poniedziałek przed południem, po „spotkaniu” u Sophie, Iben i Malene pracują jak zwykle, od czasu do czasu komentując coś do siebie i do Camilli, siedzącej w drugim końcu Ogrodu Zimowego. Pomieszczenie jest na tyle duże, że Iben i Malene od biurka Camilli, ustawionego przed gabinetem Paula, dzieli blisko osiem metrów.

Ktoś obcy zauważyłby jedynie, że kilku koleżankom przyjemnie się razem pracuje. Iben jednak coś wyczuwa. W oczach Malene jest coś dziwnego.

W pewnej chwili Malene głośno wzdycha, Iben podnosi głowę.

- Co się dzieje?

- Nic takiego.

Malene drukuje tekst, nad którym pracuje, przynosi go z drukarki i zaczyna poprawiać, najpierw zielonym, potem czerwonym flamastrem.

Chwilę później wzdycha równie głośno.

I znów Iben podnosi wzrok znad monitora, uśmiecha się leciutko, na próbę, żeby uprzedzić niechęć przyjaciółki.

Być może Malene zdecydowała, że nie będzie się uśmiechać, ale są sobie tak bliskie i na tyle dobrze znają swoje twarze, że Iben nie może się powstrzymać. Opiera dłonie na biurku i pyta:

- O co chodzi?

Malene uderza wydrukiem o podpórkę na nadgarstek przy klawiaturze.

- Nie mogę tego napisać tak, jakbym chciała.

- A co ci przeszkadza?

- Na wystawie o ludziach ratujących Żydów podczas Holocaustu muszę mieć, co najmniej trzy plansze o zasługach Duńczyków. A wychodzi mi z tego samochwalstwo i świętość!

Iben wychyla się do przodu, zadowolona, że Malene z pozoru zapomina o ich niezgodzie, przynajmniej dopóki mówi na inny temat.

- Przepisywałam to już cztery razy - ciągnie Malene - ale jakkolwiek to sformułuję, wydaje się takie... Jak mam to zrobić bez pisania „jedyny kraj na świecie” i całej reszty?

- Spróbuj może to połączyć z surową polityką azylową Danii wobec Żydów z zagranicy w latach trzydziestych.

- Właśnie próbuję. Ale to całkowicie zaciera przesłanie wystawy. Tak też jest źle.

Malene znów skupia uwagę na swoim wydruku, Iben również wraca do ekranu komputera. Nie jest jednak w stanie całkiem się rozluźnić, chociaż wie, że napięcie między nimi zapewne nic nie znaczy, gdyż Malene może mieć za sobą ciężki ranek.

Wystawa, nad którą obie pracują, opiera się na pomysłe, jaki przyszedł Malene do głowy podczas pobytu Iben w Afryce. Codzienna praca nad tropieniem pomysłowości ludzkiego zła może doprowadzić do załamania. Malene uznała, że inni z pewnością czują podobnie jak ona: pragną poznać drobne wyjątki dodające otuchy w świecie zbrodni ludobójstwa.

Dlatego wymyśliła wystawę o ludziach ratujących Żydów podczas Holocaustu. O ludziach, którzy będąc w zdecydowanej mniejszości na terenach okupowanych przez nazistów, czynili dobro.

Jej pomysł spotkał się z uznaniem Paula. Uzgodniono termin wystawy z Biblioteką Główną w Kopenhadze. Później plansze da się łatwo spakować i rozwiesić w szkołach czy innych instytucjach, które wyrażą zainteresowanie.

- Może, pisząc o urzędnikach odpowiedzialnych za politykę azylową w latach trzydziestych, skupić się na konkretnych osobach, tak jak zdecydowałaś się zrobić, opisując tych, którzy ratowali Żydów - podsuwa Iben.

Malene namyśla się, Iben nie chce wyjść na mądrzejszą.

- To tylko taki pomysł - dodaje.

Jako specjalistka do spraw informacji, Iben również zajmuje się pisaniem tekstów do plansz na wystawę Malene. Wprowadza ostatnie poprawki do tekstu o polskim pasterzu Antonim Gawryłkiewiczu. Polak ryzykował życie, wykopując podziemne kryjówki dla szesnastu Żydów, którzy przeżyli masakrę w getcie w Raduniu. Ocalili, ponieważ schowali się na strychu. Gdy Niemcy weszli do domu, ojciec rodziny zmuszony był udusić swojego najmłodszego synka, który zaczął płakać.

Jak nierzadko podczas pracy w DCIL, Iben ogarnia uczucie, że ją samą życie rozpieszca. Jak ktoś może uważać, że jej przeżycia w Nairobi były czymś niezwykłym?

Kiedy wróciła do kraju po czterodniowej niewoli, organizacja, dla której tam pracowała, zapłaciła za wszystkie sesje terapeutyczne, jakich tylko sobie zażyczyła. Takiej opieki Antoni Gawryłkiewicz nie miał nigdy.

Co prawda z tych sesji niewiele wyniknęło. Terapeuta wypytywał ją o napady lęku i depresję, którą Iben przeszła przed dziewięcioma laty w związku ze śmiercią ojca. Wówczas rozmowy z psychologiem i przyjaciółkami bardzo jej pomogły, ale po Nairobi uważa, że nowy psychoterapeuta nie wydobył z niej nic, o czym nie wiedziałyby już wcześniej.

Podczas Holocaustu ludzie, którzy się mu opierali, pozostawali w nieznośnej samotności ze swym lękiem. Iben czytała o człowieku, którego oficer SS bez ostrzeżenia zastrzelił tylko za to, że podał wodę spragnionym Żydom z transportu, który przypadkiem mijał.

A mimo to Antoni Gawryłkiewicz i jemu podobni całymi latami ukrywali Żydów. Przez kolejne wieczory kładli się spać ze świadomością, że za tę próbę ocalenia innych ich rodzina może

zostać jeszcze tej nocy brutalnie pobita i wraz z tajemniczymi gośćmi deportowana do obozu koncentracyjnego.

Nikt nie śmiał rozmawiać o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża. Przez dwa lata Antoni Gawryłkiewicz szykował posiłki dla szesnastu Żydów i wynosił z ziemianek ich odchody, by zatrzeć wszelkie ślady.

Niektóre grupy w ruchu oporu żywiły taką samą nienawiść wobec Żydów jak naziści. Gdy jedna z takich grup nabrała podejrzeń, że Gawryłkiewicz ukrywa Żydów, poddano go torturom. Niczego jednak nie zdradził.

Po wyzwoleniu Żydzi, których ocalił, mogli wrócić do swoich domów. I chociaż część z nich po powrocie zginęła z rąk antysemitów, to jednak wielu udało się dożyć końca wojny wyłącznie dzięki Gawryłkiewiczowi. A jak głosi niejedna religia, między innymi judaizm: „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”.

* * *

Dziwne, że nawet przez krótką chwilę Iben tak bardzo brakuje wspólnego śmiechu z Malene. Właściwie nic się nie stało. Rozmawiają i dyskutują o sprawach zawodowych. Trudno mówić o wrogości, a gdyby nawet, to raczej Iben powinna być zła na Malene za to, że przyjaciółka, chociaż zawraca w głowie tylu mężczyznom, robi teraz z igły widły.

Zza swego biurka Camilla odzywa się wesołym głosem:

- Dzwonił Paul. Mówił, że nie zdąży przyjść po południu. Będzie dopiero jutro.
- Dziękuję, Camillo.

Camilla jest starsza od Iben i Malene o ponad dziesięć lat. Niewiele mają ze sobą wspólnego, lecz Iben bardzo ją lubi. Camilla jest miła, świetna w pracy, zawsze gotowa do żartów, no i ma - być może, dlatego że śpiewa w chórze - głos, którego przyjemnie jest słuchać, nawet, gdy mówi o rzeczach z pozoru nieciekawych.

Iben postanawia rozprostować nogi, idzie, więc do kuchni i napełnia termos kawą dla całej trójki. Po powrocie mówi:

- Pomyślałam, że wystawa mogłaby się nazywać: „Każdy może coś zmienić”. Przecież jej celem jest nie tylko kurczowe trzymanie się przeszłości. Zasadnicze przesłanie to zmienić przyszłość. A to można podkreślić właśnie tytułem.

- Rzeczywiście kapitalny tytuł - natychmiast zgadza się z nią Camilla.

Ale Malene mówi tylko:

- No, tak.

Podnosi głowę znad tekstu, który najwyraźniej wciąż ją irytuje. Obraca krzesło, najpierw w stronę Camilli, a potem znów w kierunku Iben. Po chwili, podtrzymując jedną rękę drugą, dodaje:

- Wpiszę go na listę. Wkrótce będziemy musiały omówić wszystkie te pomysły z Pauliem.

Paul jest bezkonkurencyjny w wymyślaniu tytułów i wypowiedaniu się krótko i błyskotliwie w mediach. W „TV-avisen” uzasadniał kiedyś potrzebę utrzymania centrum słowami: „Celem istnienia Duńskiego Centrum Informacji o Ludobójstwie jest wynalezienie szczepionki przeciwko najstraszniejszym chorobom politycznym przeszłości. Naszym celem jest uodpornienie na te choroby przyszłych pokoleń”.

Paul dobiega czterdziestki. Jest chudy, blady, ma krótko ostrzyżone włosy, przeważnie nosi czarny pulower, na to czarną marynarkę lub nie, w zależności od sytuacji. Wygląda tak, jak powinien, by podkreślić swoją rolę politycznie zaangażowanego mieszkańca Kopenhagi i intelektualisty zabierającego głos w mediach.

Typowy dzień pracy spędza najczęściej poza centrum. Jego zadaniem jako dyrektora DCIL jest przede wszystkim upowszechnianie wśród Duńczyków wiedzy na temat zbrodni ludobójstwa; robi to głównie w mediach, komentując bieżące wydarzenia. Jego aktywność medialna jest wprost niewiarygodna, osiąga ją dzięki pielęgnowaniu swoich kontaktów z wieloma dziennikarzami i redaktorami. Wymaga to nieustannych spotkań, część z nich to lunche na mieście.

Iben kilkorgu przyjaciółom opowiedziała, że Paul oprócz swego czarnego image'u człowieka poważnego jeździ alfa romeo i biega po lesie Hareskoven z włączoną komórką. Uznali, że jest „śliski”.

Ale Iben się z nimi nie zgadza. Praca Paula polega na realizowaniu określonego programu, a udaje mu się to w stu procentach, ponieważ żywo interesuje się sprawą. Gdyby nie on, konserwatywny rząd po wyborach z pewnością włączyłby DCIL do Duńskiego Instytutu Studiów Międzynarodowych, albo po prostu centrum by zamknięto. Podobny los spotkał przecież wiele innych ośrodków informacyjnych. Wysoce prawdopodobne, że dzięki Paulowi, który poświęcił kilka dni pracy na lunche w towarzystwie właściwych osób we właściwym czasie, do tego jednak nie doszło.

Iben już widzi, jak Paul promuje wystawę z komentarzem dla którejś z gazet. Tytuł „Każdy może coś zmienić” mógłby być wstępem na przykład do takiej wypowiedzi:

„Coraz częściej wydaje się nam, że nasze czyny nie pociągają za sobą konsekwencji. Otóż to jest tematem nowej wystawy DCIL. Pragniemy przypomnieć o osobistej odpowiedzialności. O tym, że działanie każdego człowieka może mieć kolosalne znaczenie”.

* * *

Ponieważ Malene zaczęła pomagać w DCIL jeszcze jako studentka, właśnie ona pracuje tu najdłużej. Kiedy skończyła studia, wszyscy w zarządzie już wiedzieli, że jest bardzo kompetentnym pracownikiem, i dzięki temu otrzymała stanowisko koordynatora projektu, odpowiada też za pracowników naukowych i urzędników korzystających ze zbiorów centrum.

Gdy przed dwoma laty zaczęto poszukiwać kogoś do pracy na stanowisku specjalisty do spraw informacji, Malene nie przyznała się w biurze, że Iben to jej najlepsza przyjaciółka. Komisji do spraw zatrudnienia w DCIL oświadczyła natomiast, że miała okazję poznać Iben w rozmaitych komitetach w akademiku, wychwalała jej niezwykle uzdolnienia, skuteczność i łatwość we współpracy.

Tym sposobem, a również, dlatego, że Malene podzieliła się z przyjaciółką poufną wiedzą o oczekiwaniach komisji, Iben została wybrana na to stanowisko spośród dwustu osiemdziesięciu sześciu kandydatów, którzy się o nie ubiegali.

Początkowo we wspólnym miejscu pracy musiały zachowywać pozory, że niezbyt dobrze się znają. Udawały, że jako koleżanki z pracy w rekordowo krótkim czasie potrafiły nawiązać bliską przyjaźń, która w rzeczywistości trwała od lat.

Po paru tygodniach Paul poświęcił chwilę i stanął przy ich biurkach. W połowie rozmowy umilkł i tylko obserwował je bacznie, z uśmiechem.

- Bardzo się cieszę, że zdołałyście się tak szybko zaprzyjaźnić - powiedział, postukując palcami w nowy komputer Iben. - Z takiego życia się jestem naprawdę dumny. Na pewno wyniknie z tego coś dobrego.

Pomagając Iben w załatwieniu pracy, Malene odwzajemniła się za lata, przez które Iben pomagała jej w chorobie.

Pewnej nocy, sześć lat wcześniej, Malene obudził ból, trzy palce miała zaczerwienione i spuchnięte. W ciągu nocy opuchlizna jeszcze się zwiększyła, a o czwartej nad ranem palce były już olbrzymie i sztywne. Wyszła na korytarz i drugą ręką zapukała do pokoju Iben. To właśnie Iben godzinę później zadzwoniła na nocny dyżur.

Następnego dnia Malene trafiła do szpitala, gdzie stwierdzono, że bez najmniejszego ostrzeżenia dotknął ją gościec postępujący. Do akademika wróciła dopiero trzy dni później, bóle minęły, ale musiała regularnie chodzić na kontrole i przygotować się na to, że choroba będzie dawała o sobie znać przez resztę życia, raz krócej, raz dłużej. Może zaatakować dłonie, może zaatakować stopy, kolana, łokcie albo barki. Wszystkie stawy mogą zesztynieć i boleć równie mocno jak tamtej nocy palce. I nie ma żadnej kuracji, która by przyniosła trwałą poprawę.

Mniej więcej, co drugi miesiąc przychodziło kilka dni, podczas których Malene, pomimo środków usmierzających ból, nie mogła pisać na komputerze ani utrzymać kierownicy roweru bez specjalnych uchwytów, ręce stawały się kompletnie bezsilne. W takich dniach Iben musiała jej pomagać w noszeniu toreb z zakupami, i nie tylko.

O innym skutku choroby nie pisano w ulotkach, które Malene dostała w szpitalu: straciła apetyt i w ciągu następnego pół roku schudła dziewięć kilo. Ze ślicznej, lecz dość mocno zbudowanej jutlandzkiej dziewczyny, z którą niegdyś zaprzyjaźniła się Iben, zmieniła się w wielkooką, lewicującą Barbie, która mogła przebierać w interesujących mężczyznach.

Choroba Malene potrafi być okrutna, chociaż czasami łagodnieje i pozwala o sobie zapomnieć. Iben czuła się jak strażniczka przyjaciółki, gdy chodziły razem na imprezy, a także w te poranki, gdy goście nieoczekiwanie dawał o sobie znać i Malene prosiła ją o pomoc. Inni mieszkańcy akademika nie wiedzieli, że w takie dni Iben odkręcała pokrywki słoików, których Malene nie była w stanie otworzyć, zapinała guziki jej spodni, zamykała drzwi i zamki przy rowerze.

* * *

Tuż przed przerwą na lunch Malene dzwoni do Frederika Thorsteinssona, przystojnego (o typowo północnozealandzkiej urodzie) szefa centrum Demokracji, podległego Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Frederik jest rówieśnikiem Paula, a poza tym wiceprezesem zarządu DCIL, dziś są jego urodziny.

Ponieważ Malene pracuje w centrum najdłużej, to również ona najlepiej zna Frederika. Najwyraźniej jest z nim bardziej zaprzyjaźniona niż Paul. Malene i Frederik żartują przez telefon. Iben woła dostatecznie głośno, by ją usłyszał:

- Wszystkiego najlepszego, Frederiku!

Gestem namawia koleżanki, żeby odśpiewały mu okolicznościową piosenkę. Camilla natychmiast pojmuje, w czym rzecz, wstaje, by być bliżej słuchawki, lecz Malene odrzuca pomysł machnięciem ręki, nie przerywając rozmowy.

Po lunchu popołudnie płynie w swoim zwykłym rytmie. Iben pisze recenzję książki Systematyczne tortury jako metoda nacisku na przykładzie Chile w latach 1973-1976, rozmawia z tłumaczem, którego chciałaby namówić na przekład artykułu pewnego łotewskiego profesora na temat konsekwencji, w świetle prawa międzynarodowego, wynikających z różnicy w określaniu sześciu i pół miliona kułaków zgładzonych w Związku Radzieckim jako klasy lub grupy etnicznej;

wypróbować nowy program, służący do umieszczania tekstów na stronie internetowej centrum; redaguje i opracowuje graficznie zaproszenia i plakaty na imprezę z udziałem jednego z użytkowników centrum, który właśnie napisał pracę doktorską o znaczeniu płci w masowych zbrodniach ludobójstwa w Bośni. Z upływem dnia Iben jakby cichnie, lecz nie, dlatego, że chce coś zademonstrować, po prostu ma ochotę побыć trochę sama ze swoimi myślami.

Camilla jednak na krótko przed wyjściem z pracy natrafia w Internecie na skecz z cyklu Chris i Fabryka Czekolady. Puszczą go na tyle głośno, aby wszystkie mogły posłuchać.

Robiła tak już wcześniej, czasami podczas nieobecności Paula, i za każdym razem wszystkie uznawały to za sygnał do krótkiej przerwy.

Iben natychmiast się przyłącza, więc Camilla podkręca głośność, a z biblioteki przychodzi też Anne-Lise. Otaczają biurko Camilli. Wspólnie wybierają inne skecze, których chciałyby posłuchać, i śmieją się z głosu Chrisa, mówiącego przez telefon:

„No tak, szefie, ale mam też jeszcze inny powód, dla którego nie mogę dzisiaj przyjść do pracy. Zdarzył mi się taki wypadek, że to wprost nie do uwierzenia. Co mam zrobić, szefie?”

Teraz włącza się również, Malene i chwilę później improwizuje głosem Chrisa:

- Tak mi przykro, że zaplątałem się w ten hamak. Bardzo bym się chciał wydostać, ale jak mam to zrobić, szefie?

Malene zawsze potrafiła fantastycznie naśladować głosy. Od czasu do czasu zabawia koleżanki, przedrzeźniając użytkowników centrum, Paula albo kogoś z zarządu.

Teraz mówi jak mały, niechlujny Erik Prins, który często do nich zagląda. Gwałtownie wymachuje rękami jak on, gdy jest czymś przejęty

- ...no pytam się, czy to jest duża głowa! Czy ja mam dużą głowę? Ależ przecież pan dobrze wie! Wcale nie mam dużej głowy!

Malene najwyraźniej odzyskała dobry humor i teraz śmieją się wszystkie razem.

Malene przechodzi więc do jednego ze swych popisowych numerów, a mianowicie naśladowania Paula w chwilach, gdy jest najbardziej zadowolony z siebie.

Uśmiechnięta, wyprostowana, a mimo to z groźnie ściągniętymi brwiami stuka w komputer Camilli, patrzy po kolei w oczy wszystkim trzem i po krótkiej chwili - dokładnie tak jak robi Paul - mówi:

- Bardzo się cieszę, że zdołałyście się tak szybko zaprzyjaźnić. Z takiego zżycia się jestem naprawdę dumny. - Malene pstryka palcami i leciutko kręci głową, zupełnie jak Paul. - Tak, jestem pewien, że wyniknie z tego coś dobrego.

Wszystkie się śmieją, a Iben, która zna Malene lepiej i dlatego potrafi odczytać każdy najdrobniejszy szczegół jej zmieniającej się twarzy, ze śmiechu zgina się w pół.

3

Iben jako jedyna zostaje w biurze po siódmej. Koło ósmej taszczy do mieszkania dwie wielkie torby z supermarketu Fotex. Są wypchane ryżem, miodem, papierem toaletowym, trzema paczkami ekologicznego pieczywa chrupkiego z promocji, jogurtem i warzywami.

Chociaż zgłosiła na poczcie, że nie życzy sobie żadnych reklam, i ma na drzwiach odpowiednią nalepkę, na podłodze w przedpokoju jak zwykle leży plik ulotek. Kładzie je na stosiku gazet. Potem wstawia do kuchenki mikrofalowej trochę warzyw z oliwą i przyprawami, dokłada dziś do nich jeszcze mrożoną kostkę dorsza. Wciąż niewiele udało jej się zrobić w mieszkaniu. Ściany są tak samo gołe jak wówczas, gdy się tu wprowadzała. Nieliczne meble odziedziczyła w spadku albo kupiła używane.

Kuchenka szumi, a Iben w tym czasie sprawdza automatyczną sekretarkę - brak wiadomości, a gdy kuchenka wydaje z siebie cichy pisk, sprawdza skrzynkę mailową.

Jest tylko jedna wiadomość - po angielsku:

YOU, IBEN HOJGAARD, ARE FOR YOUR ACTIONS RECOGNIZED AS:

„SELF-RIGHTEOUS AMONG THE HUMANS”. IT IS THEREFORE MY PRIVILEGE AND MYJOY TO BRING YOU DEATH. NOW*

Co to ma znaczyć? Iben nachyla się i czyta tekst jeszcze raz. Odruchowo wie już, że nie wolno jej niczego dotykać.

Chyba należy to rozumieć jako groźbę morderstwa? Wciąż niczego nie dotyka, prawie się nie porusza.

Tyle się przecież słyszy o dziennikarzach, którzy dostają maile od nastoletnich neonazistów lub z podobnych ugrupowań. Możliwe, że to właśnie coś takiego.

* Ty, Iben Hojgaard, zostajesz za swoje czyny uznana za „jedyną sprawiedliwą wśród ludzi”. Dlatego mam przywilej i radość przynieść ci śmierć. Teraz.

Czyta adres nadawcy: revenge_is_near@imhidden.com. Cały tekst napisano bezbłędną angielszczyzną. Duńscy neonaziści tak nie piszą. A wyrażenie Self-Righteous Among the Humans to gra słów, wykorzystująca największy dowód uznania izraelskiego Instytutu Yad Vashem, tytuł: Righteous Among the Nations. Mail z całą pewnością napisała dorosła osoba, która słyszała o zbrodniach ludobójstwa, i na pewno nie zrobił tego Duńczyk.

Jej pierwszą reakcją jest smutek, nic poza tym. Ma wrażenie, że rozpada się na kawałki. Mało brakuje, by usiadła i całkiem się poddała.

Wraca tamten wstrętny upał. To muszą być przyjaciele Omoro - myśli Iben. - Może jego rodzina albo inni Luo. W głowie jej się kręci od gorąca i od zapachów, przed oczami staje chata, w której ich przetrzymywano, muchy, bojówki, wysokie drzewa i jego krew. Nareszcie się dowiedzieli, co się wtedy stało. Nareszcie wiedzą, kim ona jest. Przyjechali tu z Nairobi. Musi pogodzić się ze śmiercią, jeśli oni uznają, że tak trzeba.

Rozgląda się po mieszkaniu. Drzwi do sypialni są otwarte. Nie wchodziła tam po powrocie do domu. A rano je zamknęła.

Dalej nie rusza się z miejsca. Badawczo przygląda się salonowi: w stosie książek, w szafie, wśród tomów na regale nic się nie zmieniło.

Ale biurko? Jeden plik papierów jest ułożony porządniej, niż go zostawiła. Ktoś go przeglądał.

Słyszy swój własny oddech. I słaby odgłos telewizora u sąsiada z dołu. Zasycha jej w nosie, jak wtedy, gdy owiewał ją tamten gorący kurz. Ostre afrykańskie światło. Zapach gniewu, spoconych mężczyzn, którzy wiedzą, że znaleźli się w niebezpieczeństwie.

Nie potrafi powiedzieć, jak to możliwe, ale wyraźnie wyczuwa gdzieś w mieszkaniu obecność innej osoby.

Nie, nie włącza komputera. Nie wybiega do przedpokoju i nie sięga po płaszcz. Wolno przechodzi do kuchni. Stara się iść naturalnym krokiem, nie nerwowo, jak gdyby tylko zamierzała wyjąć swój obiad z kuchenki mikrofalowej, która stoi na lodówce, blisko drzwi prowadzących na kuchenne schody.

Długie, głębokie oddechy.

Decyduje się na zabranie telefonu komórkowego, który leży na stole w kuchni. Udaje jej się niemal bezszelestnie i szybko otworzyć kuchenne drzwi. Na klatce nie ma nikogo. Teraz zmienia już tempo.

Zbiega na dół po wąskich schodach jednym płynnym ruchem, ledwie podpierając się stopami. Biegnie na tyle szybko, by mężczyzna przebywający w mieszkaniu nie mógł jej dogonić, a zarazem najciszej jak potrafi, bo może dzięki temu zyska dodatkową chwilę, zanim on się zorientuje, że jej nie ma.

Jest trochę za lekko ubrana jak na październikowy wieczór, nie zatrzasnęła za sobą drzwi, nawet ich nie przymknęła.

Dociera do wyjścia na tylne podwórze. Do pokonania ma jeszcze tylko kilka stopni.

Chyba raczej mało prawdopodobne, by do jej mieszkania włamali się przyjaciele Omoro?

No tak, w biegu coś z niej opadło. Musi odzyskać jasność umysłu i zadać sobie pytanie: Czy jest możliwe, że to ktoś inny?

Owszem, najzupełniej możliwe.

Ale to w niczym nie zmienia jej sytuacji. Przeciwnie!

Zawsze starała się o tym nie myśleć, lecz przecież każdy ze sprawców współczesnych zbrodni ludobójstwa, o których pisze na stronie internetowej DCIL, również może czytać jej artykuły.

W każdym miejscu na kuli ziemskiej, gdy tylko któryś z nich wstuka w Google swoje nazwisko, w ciągu sekundy otrzyma wszystkie jej teksty, i po duńsku, i po angielsku. Napisane w małym kopenhaskim biurze, w którym nie ma ani strażnika, ani dobrze zabezpieczonych drzwi. A w książkach telefonicznych w sieci jest adres domowy Iben, jej numer telefonu i adres prywatnej skrzynki mailowej.

Ale czy doświadczonemu zbrodniarzowi wojennemu może przyjść do głowy przyjazd do Danii? Oczywiście, że tak. Dla zawodowego żołnierza koszt przylotu do Danii nie jest wysoki.

Iben nieruchomieje przy drzwiach na podwórze.

Czy nie w tym właśnie miejscu, po drugiej stronie drzwi, ustawiłby się zaprawiony w bojach żołnierz?

Stąd jego droga ucieczki byłaby pewniejsza niż z mieszkania. Tutaj trudniej by było odnaleźć jego ślady. Mógł przysłać Iben ten mail tylko po to, by zbiegła tymi schodami i otworzyła te właśnie drzwi.

Nasłuchuje. Nic tam nie ma.

Potem rozlega się, jak zawsze zbyt szybko, kliknięcie automatu i robi się całkiem ciemno. Ale oczy Iben nie mają czasu na przyzwyczajanie się do ciemności. Gdzieś nad nią ktoś wychodzi na schody i ponownie zapala światło.

Iben czeka sekundę. Tak bardzo chciałaby się przekonać, że w jej mieszkaniu nikogo nie ma. Tak bardzo chciałaby mieć pewność, że człowiek na górze wcale jej nie ściga.

Na schodach słychać ciężkie męskie buty. Zanim Iben udaje się przekręcić zamek, z hukiem mijają półpiętro. Nie ma czasu na myślenie. Jeśli ktoś czeka na nią w ciemnościach na zewnątrz, musi spróbować go zaskoczyć.

Bierze głęboki oddech. Mężczyzna nad nią zbliżył się już o dwa piętra. Iben jednym ruchem popycha drzwi i wybiega na asfalt. Biegnie aż do płotu odgradzającego sąsiednie podwórze.

W jakiś sposób, wspinając się po rowerach i pojemnikach na śmieci, pokonuje płot. Potem pędzi przez jeszcze jedno podwórze, znajduje bramę i wybiega na inną ulicę niż ta, przy której mieszka. Nie zatrzymuje się.

Po przebiegnięciu stu metrów ogląda się. Na ulicy są ludzie, lecz nikt z nich nie jest wysportowanym mężczyzną, który próbuje ją dogonić. Teraz trudniej będzie ją znaleźć.

O kim pisała w sieci w ostatnich tygodniach?

O Barzanie Azizie, niewysokim dentyście z wielkimi wąsami, który mieszka w penthousie i własnoręcznie zabił, co najmniej stu dwudziestu Kurdów, wielu z nich udusił stalowym drutem, innym wbijał gwoździe w głowę. Wcześniej zabijał dziennikarzy i intelektualistów w Iraku. Pisała o Romulusie Tokayu z dawnych rumuńskich służb bezpieczeństwa, który wychowywał się w domu dziecka, trafił tam, kiedy miał półtora roku, potem zabił jednego ze swych nauczycieli, teraz pracuje w Kolumbii, gdzie wieszał ludzi na drzewach głową w dół i rozpałał pod nimi ogniska. Pisała o George'u Bokanie, który dorastał w Stanach Zjednoczonych i grał w futbol w pierwszej drużynie swojego college'u, ale kiedy wybuchła wojna, wrócił do Serbii i wyćwiczył oddział składający się ze stu snajperów, specjalizujących się w zabijaniu cywilów ze wzgórz pod Sarajewem. Umieszczała w sieci zeznania świadków o działalności takich masowych morderców jak Najo Silvano, Bertem Ygar, William Hamye i wielu innych, którzy w sumie zamordowali setki tysięcy ludzi. Potępiała różne formacje militarne i reżimy wojskowe. A także żądnych sławy dyktatorów, otaczających się liczną strażą przyboczną.

Czy oni naprawdę to czytali? Czy naprawdę siedzieli przy komputerach w Serbii, w Liberii, na Filipinach, w Iraku i w Turcji i czytali jej artykuły?

Rozgląda się na wszystkie strony i kieruje ku Norrebrogade. Jesienne powietrze przenika przez cienką bluzkę; przed chwilą spocona, teraz marznie.

Na Norrebrogade jest dużo ludzi. Mija bladą dziewczynę z kolczykiem w nosie i różowymi pasemkami we włosach, w wojskowych buciorach. Iben dzwoni pod numer 112.

Po jej krótkim wyjaśnieniu kobieta w słuchawce powtarza:

- Ktoś wysłał pani mail, a pani wybiegła na ulicę?

- Nie, ktoś groził mi śmiercią, prawdopodobnie zbrodniarz wojenny, być może z Iraku!

Kobieta w słuchawce mówi cierpkim, wyciszonym głosem:

- To telefon alarmowy, przeznaczony wyłącznie do poważnych zgłoszeń. Proszę, żeby się pani rozłączyła i jutro zadzwoniła na najbliższy posterunek policji, jeśli w dalszym ciągu będzie to pani uważała za konieczne.

Iben tłumaczy, że zawodowo zajmuje się pisaniem o zbrodniarzach wojennych z całego świata, że to nie jest głupi żart byłego chłopaka, czy co też ta kobieta sobie wyobraża.

Ale głos w słuchawce mówi już bardzo szybko:

- Pani blokuje ważną linię alarmową. Może pani zostać za to ukarana grzywną. Widzę, z jakiego numeru pani dzwoni. Jeśli pani natychmiast się nie rozłączy, zapłaci pani mandat.

Iben chce coś odpowiedzieć, ale kobieta odkłada słuchawkę.

Czyżby miała rację? Czy Iben tylko wpadła w histerię? To by było zbyt piękne. Mogłaby spokojnie wrócić do domu.

Idzie szybko. Już znacznie wyprzedziła dziewczynę z różowymi włosami. Cały czas wypatruje podejrzanie wyglądających mężczyzn.

A tacy są wszędzie. Niewielkie grupki śniadych osobników jeżdżą w górę i w dół Nerrebrogade w tuningowanych samochodach. Pojawiają się i znikają w arabskich barach serwujących szawarmę. W czarnych skórzanych kurtkach kręcą się przed nią i za nią na chodniku.

Kto wie, jak reaguje zbrodniarz wojenny, czytając swój opis zamieszczony w sieci przez DCIL? Jakie znaczenie mają teksty Iben dla jego godności? Dla jego rodziny? Może wpłyną na jego możliwości uzyskania azylu w Europie? Albo na jego przyszły proces?

Niektórzy z tych mężczyzn, podrywając jej gardło, nie poczuliby nic więcej, niż gdyby zabili muchę. Oglądała zdjęcia z niejednej masakry. Uczestniczyła w konferencjach z udziałem tych, którzy przeżyli. Morderca wcale nie musi czuć nienawiści. Wystarczy odrobina irytacji, a raczej wystarczy, by mu się chciało.

Przed jednym z niedużych barów Iben omija wymiociny osoby, która jadła frytki.

Ale dlaczego któremuś z nich miałyby się chcieć? Przecież ona tak niewiele dla nich znaczy.

Z drugiej jednak strony jej artykuły opisują wydarzenia, w które zaangażowało się tysiące doświadczonych, lecz niezrównoważonych psychicznie masowych morderców.

Jeśli bodaj jeden z nich ma pieniądze na bilet i stwierdzi, że mu się chce, to właściwie jest już martwa.

Na ulicy nie widać żadnego radiowozu policyjnego, więc w okolicach Norrebros Runddel postanawia jeszcze raz zadzwonić pod 112. Może tym razem zdoła lepiej wszystko wytłumaczyć albo trafi na bardziej wyrozumiałą osobę. Nie zdąża wybrać numeru, kiedy słyszy dzwonek telefonu. Na wyświetlaczu widzi, że to Malene.

- Iben! Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Gdzie ty jesteś?

- Stoję na Norrebros Runddel. Nie mam kurtki, marznę jak pies...

Iben wyjaśnia, co się stało, ale już po kilku słowach Malene jej przerywa:

- Ja też dostałam mail z pogrózkami! Napisali, że jestem zła i zginę. Akurat przed chwilą go przeczytałam!

- Nie możesz zostać w mieszkaniu! - krzyczy Iben. Malene jest trochę zdezorientowana.

- Nie mogę? Nie potraktowałam tego aż tak poważnie... To źle? Ale teraz Iben nie wie, co odpowiedzieć. Trochę uspokaja ją myśl, że nie tylko do niej wysłano mail. Może dostali je wszyscy pracownicy centrum? Może podobne ośrodki za granicą też je otrzymały?

- Miałam wrażenie, że ktoś jest w moim mieszkaniu - mówi Iben. - Może to było tylko... Jeśli u ciebie nikogo nie ma... No tak, na pewno chcą nas tylko postraszyć. Jeśli naprawdę chce się kogoś zabić, to głupio uprzedzać o tym mailem.

- Właśnie tak pomyślałam.

Na Iben patrzą dwie młode dziewczyny, jedna ma na sobie indiański wełniany anorak. Potem wymieniają się spojrzeniami. Iben zerka na siebie i myśli: Nikt inny nie jest tak lekko ubrany

- Ale wcześniej tego nie wiedziałam - mówi.

- Oczywiście, skąd mogłaś wiedzieć.

Iben już wie, co Grith, jej przyjaciółka, która skończyła psychologię, powiedziała by na ten temat. I wie, że nie ma siły tego słuchać. Grith stwierdziłaby, że reakcja Iben tak naprawdę wynika z tamtego porwania w Nairobi, a nadmierna czujność - hyperalertness - to klasyczny skutek przeżytego wcześniej zagrożenia.

Malene pyta:

- Myślisz, że reagujesz tak po Nairobi?

- Może i tak.

- To z pewnością właściwa reakcja w Afryce.

- Mhm.

- Ale tutaj może się wydawać trochę...

- Mhm.

- Iben, weź taksówkę i przyjedź do mnie. Będę czekać na ulicy, zapłacę.

- Ale jeśli ktoś się włamie do ciebie, to zastanie nas tam obie.

- Na pewno tak nie będzie.

Iben nie odpowiada, więc Malene dopiero po chwili wahania pyta:

- No to, co chcesz zrobić?

- Może jakaś kawiarnia?

- No dobrze, ale później przecież i tak będziemy musiały wrócić do domu.

Iben nie cierpi być „tą przestraszoną” podczas rozmowy, zwłaszcza podczas rozmowy z Malene. Odpowiada, że jest mnóstwo ludzi, u których mogą przenocować, dopóki nie rozpoznają zagrożenia.

- Ach, Iben!

Umawiają się w Props, chociaż Malene ma pranie w pralce.

Iben wymusiła to na przyjaciółce. Nie jest w stanie się przemóc i poprosić Malene również o to, by zwracała uwagę, czy nikt jej nie śledzi, gdy będzie jechała rowerem do kawiarni.

Po drodze, wzdłuż cmentarza Assistens w stronę Props, Iben nagle zaczyna biec. Rzadko biega, mimo nieustających uwag przyjaciółek, że nie interesuje się sportem czy treningiem. Teraz to, co robi, wydaje się uzasadnione, tu, w ciemnościach, pośród ulicznych latarni, oświetlonych sklepików i neonowych reklam. I wśród cieni przechodniów, których mija na szerokim chodniku.

Mniej więcej dziesięć metrów przed nią hamuje biały samochód. Wyskakuje z niego dwóch mężczyzn. Tak szybko, że na jednego z nich omal nie wpada rowerzysta. Krzyczy na nich gniewnie, a przez tę sekundę, w której tamci dwaj coś ze złością odpowiadają, Iben przemyka między strumieniem aut na drugą stronę ulicy.

Mogłaby zniknąć za najbliższym rogiem, wtopić się w tłum. Musi jednak podjąć próbę zejścia na ziemię.

Odwraca się i widzi, że tamci dwaj rozmawiają z jakimś trzecim, którego najwyraźniej wypatrzyli z samochodu. Wszyscy trzej mają czarne bokobrody, jeden jest w niedużych okrągłych okularach w metalowej oprawce.

Iben biegnie teraz wolniej. Chodnik po tej stronie ulicy jest znacznie węższy, bardziej uczęszczany i zastawiony skrzynkami handlarzy owoców, stojakami na rowery i różnymi reklamami.

Może człowiek, który wysłał maile, wcale nie musi daleko jechać, by ją znaleźć. Tysiące mieszkańców Kopenhagi to uchodźcy polityczni. Wszyscy ci ludzie albo ich rodziny przeżyli zbrojne konflikty czy prześladowania, mają przyjaciół, a może krewnych, którzy byli bici, torturowani lub zginęli. Sami też mogli być sprawcami. Jeśli to oni uważają, że Iben ich obraziła, mogą zareagować bardzo gwałtownie.

Traci oddech i znów jest zmuszona do marszu. Stąpa ciężko, stawia długie, szybkie kroki. Próbuje dotrzymać tempa wysokiemu, chudemu mężczyźnie z potarganą siwą głową, w podartej kurtce wojskowej. Mężczyzna sprawia wrażenie chorego.

Na całym świecie w ostatnich dziesięciu latach zabito blisko pięciuset dziennikarzy. Czy którykolwiek z nich otrzymał wcześniej maila od *revenge_is_near@imhidden.com*?

Dziennikarze giną zwykle w krajach, gdzie nie ma demokracji. Iben nie słyszała, by tropiono ich w Europie Zachodniej. Kto będzie wiedział o tym najwięcej?

Gunnar, to oczywiste.

Opony piszczą, gdy dwa bmw ruszają ze skrzyżowania i ścigają się kilka sekund, aż do następnych świateł, gdzie znów wciskają hamulce. Iben słyszy, że ktoś na chodniku się śmieje.

Ma ochotę natychmiast zadzwonić do Gunnara. Zapytać.

Cały weekend nie opuszczało jej dziwne uczucie. Wyobrażała sobie jego mieszkanie i życie w nim. Robiła to z dziwnym przeświadczeniem, że bez najmniejszego problemu mogłaby się tam wprowadzić. Wpasowałyby się już od pierwszego wieczoru.

Co to za myśli o mężczyźnie, którego spotkała tylko raz w życiu i z którym rozmawiała najwyżej godzinę?

Ale - tłumaczy sama sobie - odkąd zamieszkałam w akademiku w Kopenhadze, regularnie czytałam wszystkie jego teksty. W ten sposób latami poznawałam jego sposób myślenia, ulubione słowa, skojarzenia i akcenty.

Wymija grupkę rozwrzeszczanych nastolatków.

Myśli o słowie, którego użyto w mailu. Self-righteous. Jedyna sprawiedliwa. Najwyraźniej w liście do Malene użyto innych słów.

Znów zaczyna biec.

Dlaczego o mnie napisali „jedyna sprawiedliwa”?

Malene

4

Malene siedzi w pociągu, który wiezie ją do domu z podróży na Jutlandię, po cyklu wykładów DCIL. Wykłady odbyły się bez kłopotów, ale do tego Malene jest przyzwyczajona.

Rasmus znów wyjechał służbowo, więc mieszkanie stoi puste. Iben jest w Nairobi. Wyleciała już przed miesiącem i ma tyle przeżyć, że od wielu dni brakuje jej czasu, by odpowiedzieć na maile i telefony Malene. Rodzina Malene tkwi na Jutlandii, a trojgu z jej najbliższych przyjaciół urodziły się w ostatnim roku dzieci - wyprowadzili się z miasta i są bez reszty pochłonięci swoimi nowymi rodzinami.

Malene jest po prostu zmuszona do poszerzenia grona znajomych. Nie da się wytrzymać następnych dwóch miesięcy wyczekiwania na to, że Iben wreszcie znajdzie czas, by do niej napisać lub zadzwonić.

Malene przerywa podróż do Kopenhagi i wysiada w Odense, żeby spotkać się z przyjaciółką, którą poznała przez Internet.

Charlotte i Malene nigdy jeszcze się nie widziały, ale dużo rozmawiały przez telefon i wymieniły mnóstwo maili, zwłaszcza w pracy, gdy nie było zbyt wiele do roboty i gdy czuły potrzebę oderwania się od obowiązków.

Charlotte ma w sobie niezwykłego ducha walki. Malene zdobyła jej numer telefonu i adres mailowy za pośrednictwem periodyku wydawanego przez SMGP, Stowarzyszenie Młodych z Gościem Postępującym. Charlotte jest wolontariuszką, kontaktuje młodych ludzi, którzy pragną poznać innych młodych cierpiących na tę chorobę. Od dawna już planowały, że Malene ją odwiedzi, kiedy nadarzy się taka sposobność.

Malene wysiada z taksówki przed niedużym szeregowcem z żółtej cegły. Podchodzi do drzwi i dzwoni. Pod wąskim daszkiem stoi wypielegnowany kwiat, zasadzony w starym niebieskim emaliowanym garnku. W oknie na srebrnej wstążce wisi wianuszek z polnych traw - rzecz, której próżno szukać w Kopenhadze, a już z pewnością nie u osoby, która jeszcze nie przekroczyła trzydziestki.

Okazuje się, że Charlotte ma jasną skórę i burzę jasnych, kręconych włosów. W pastelowiebieskiej bluzce przypomina dziewczynę z katalogu jubilera. Malene nie ma przyjaciółek, które by tak wyglądały. Ściskają się ze śmiechem.

- Wyglądasz bardzo elegancko i po kopenhasku - mówi Charlotte. Lekko się pochyla i znów się śmieje.

Dziwnie jest pierwszy raz ujrzeć osobę, z którą się tyle korespondowało. Charlotte uśmiecha się wargami umalowanymi bladą różową szminką. Obie znów powtarzają sobie, ile radości dają im maile.

- A teraz bardzo miło spędzimy razem czas - dodaje Charlotte.

Malene wchodzi do przedpokoju i zdejmuje płaszcz, potem razem idą do dużego pokoju, w którym jest bardzo ciepło. Charlotte prowadzi Malene powolnym, trochę niepewnym krokiem.

- Usiądź, kawę mam już gotową.

Malene siada na kremowym, takim samym jak kanapa, fotelu pod dużym, oprawionym w szkło plakatem z czarno-białym zdjęciem.

Charlotte tryska energią i optymizmem nie tylko przez telefon i w mailach. W jej głosie słychać życzliwość, nie tylko za sprawą śpiewnego fińskiego dialektu. Na szklanym blacie stolika przy kanapie stoi termos z kawą, a obok talerzyk z ciasteczkami.

Charlotte z wielkim trudem przemieszcza się od drzwi na kanapę.

- Szkoda, że akurat dzisiaj wypadł jeden z twoich gorszych dni - mówi Malene.

- Nie, nie, wcale nie. Ach, tak się mną martwisz! Niepotrzebnie. Nie myśl o tym, ma nam być przyjemnie.

Charlotte uśmiecha się drobnymi, ładnie wykrojonymi ustami, w których widać idealnie równe zęby. - Tak, ale... Coś każe Malene przerwać.

Rozgląda się po przegrzonym salonie: wszystkie meble stoją tu odsunięte od siebie odrobinę bardziej, niż zwykle się je ustawia. Malene popija kawę. Odległość między krzesłem a stołem, między dwoma krzesłami czy między krzesłem a ścianą jest mniej więcej podobna. Ten pokój najzwyczajniej urządzono dla osoby, która często porusza się na wózku, nawet w domu. Malene nigdzie nie dostrzega wózka, może jest w sypialni?

Potem zauważa sznurki przy wyłącznikach na ścianie. Widziała podobne w sklepie z artykułami dla niepełnosprawnych. Osobom ciężiej dotkniętym chorobą takie sznurki ułatwiają zapalanie i gaszenie światła. I czy na kanapie nie leży zbyt wiele poduszek? Nie jest ich przesadnie dużo, lecz i tak pozostają w dysharmonii ze stonowanymi kolorami i prostym stylem wnętrza. Poduszek jest dość, by Charlotte mogła leżeć w wygodnej pozycji.

Rozmawiają o transporcie publicznym na wsi i w Kopenhadze, o rozsądnym ekonomicznie posunięciu, jakim jest dotacja państwowa na minibusy.

Malene jednak nie jest w stanie tego zrozumieć. Jak to możliwe, że Charlotte pracuje w ratuszu w Odense, skoro choroba dotknęła ją aż tak bardzo? Jak mogła sądzić, że stan Charlotte jest mniej więcej taki jak jej?

Malene dyskretnie wypytuje o pracę. Na wiele różnych sposobów, inaczej niż wcześniej. Okazuje się, że to stanowisko pracy chronionej, dwadzieścia godzin tygodniowo. Utworzono je specjalnie dla Charlotte.

Gdy Charlotte jej teraz o tym opowiada, Malene uświadamia sobie, że już to słyszała. Zapewne Charlotte powiedziała jej to w jednej z pierwszych rozmów telefonicznych. Malene najwyraźniej o tym zapomniała, gdyż nie pasowało to do wszystkich radosnych przeżyć, o których opowiadała Charlotte.

Rozmawiają o serialu dokumentalnym w Telewizji Duńskiej i o najłatwiejszym sposobie posiekania migdałów obolałymi rękami. O potrzebie kaloszy dla ludzi, którzy lubią przebywać na świeżym powietrzu, ale gościec zaatakował im stopy.

Wszystko to jest ogromnie przykre. Malene w duchu zadaje sobie pytanie, jak mogła tak niewiele wiedzieć o dziewczynie, z którą, jak sądziła, tyle ją łączy. Musiała przez telefon sama dużo gadać, nie zadawać pytań i nie słuchać uważnie. Tłumaczy ją jedynie to, że się poznały, ponieważ Charlotte jest wolontariuszką i działa w SMGP, osobą, którą można pytać i której można o sobie opowiadać, a nie kimś, kto sam szuka pomocy.

Charlotte z chichotem, jak gdyby mówiła o czymś zakazanym, opowiada, że może wychodzić z pracy, kiedy chce, i nikt jej o nic nie pyta. Tak właśnie było dzisiaj.

Malene w tym czasie ogląda wszystkie drobiazgi w salonie. Pokój przypomina wspólny dom młodej dziewczyny i jej babki. Wełniane opaski na stawy leżą przy płytach kompaktowych. Za wielkim fotelem z podnóżkiem wisi plakat ze zdjęciem aktora Madsa Mikkelsena.

Charlotte jest kilka lat młodsza od Malene. Ale cierpi na gościec już od ośmiu lat, a Malene dopiero od sześciu.

Charlotte mówi z niegasnącym zaangażowaniem. Opowiada o zebraniach i ciekawych seminariach organizowanych przez SMGP. O tym, jak im razem wesoło. O imprezach weekendowych, podczas których najwyraźniej wywijają udręczonymi gośćcem ciałami w hotelowych ogrodach długo w jasne letnie noce.

Pyta o Rasmusa, a Malene nie wie, co może jej powiedzieć.

Charlotte dalej mówi lekko przyciszonym głosem, w którym słychać, że myśli o tym, iż sama nie jest z nikim związana.

Poruszały już ten wątek przez telefon. Malene zawsze wtedy myślała, że Charlotte na pewno niedługo kogoś znajdzie. Uznała to za oczywiste. Poważniej się nad tym nie zastanawiała. Tymczasem teraz się okazuje, że Charlotte jest o wiele bardziej chora, niż przypuszczała Malene. Przestaje to, więc być takie oczywiste. Może Charlotte nigdy nikogo nie znajdzie.

Malene wygłasza jakiś banał w rodzaju tych, że każdemu ktoś jest przeznaczony.

Charlotte z ożywieniem prostuje się na kanapie i odpowiada:

- Wiem, że to prawda, a ten czas, dopóki tego kogoś nie spotkam, nie może przecież być czasem zmarnowanym. - Macza ciasteczko w kawie. - Wcześniej życie też musi być cudowne.

Malene myśli:

Jak oni to robią, ci naprawdę niepełnosprawni? Jak wytrzymują, nie popełniając samobójstw? Przecież Charlotte nigdy nie będzie z żadnym mężczyzną, i dobrze o tym wie. Nigdy nie wyrwie się z tej nory, z tego mieszkania socjalnego. Ja nie będę umiała tak się cieszyć bez powodu! Po prostu nie potrafię!

Charlotte jest taka sama jak w rozmowach telefonicznych i mailach, ale tutaj, wśród poduszek i rozmaitych udogodnień dla inwalidów, wszystko wydaje się zupełnie inne.

A w domu sytuacja z Rasmusem stale się pogarsza. Jak mówi Seinfeld w sitcomie: „Związek jest jak automat z colą. Nie da się go przewrócić jednym zamachnięciem. Trzeba go wcześniej rozkołysać”. A Malene czuje, że Rasmus zaczął się kołysać.

Wkrótce nadejdzie moja kolej - myśli - by z promiennym uśmiechem oznajmić: „Rasmus i ja nie jesteśmy już razem... Ale również jako osoba samotna mogę przeżyć wiele dobrego”.

Malene spokojnie przepasza i wychodzi do toalety, dopiero tam, wśród tych wszystkich specjalnych urządzeń i uchwytów, dzięki którym Charlotte jest w stanie się umyć albo zostaje umyta, bezgłośnie płacze. Być może tak samo będzie wyglądać za parę lat łazienka Malene, kiedy Rasmus odejdzie, a ona zacznie się poruszać na wózku.

Mija nieco czasu, zanim Malene może wrócić do salonu. Pożycza sobie odrobinę podkładu Charlotte i przymalowuje skórę wokół oczu. Nie ma ochoty tłumaczyć Charlotte, że jej widok przyprawił ją o łzy.

Gdy już czuje się gotowa, bierze kilka głębokich oddechów, otwiera drzwi i wchodzi do przegrzanego salonu szerokimi ścieżkami, dostosowanymi do jazdy na wózku.

Rozpoznaje ten zapach, zanim jeszcze może zobaczyć Charlotte. Jest zaskoczona. Słodkawy zapach żywicznego dymu to ostatnia rzecz, której się tu spodziewała. Charlotte siedzi w fotelu i pali grubego jointa. Wstrzymuje oddech, potem wypuszcza dym nieskończenie wolno, trzymając jointa w wyciągniętej ręce.

- Dobrze, że wróciłaś. Już się bałam, że będę musiała dmuchać pod drzwiami, żebyś i ty zdążyła coś z tego złapać.

Malene słyszała rozmowy innych chorych na gościec o paleniu haszyszu. Wino może powodować ból i sztywność stawów następnego dnia, a skutki jego działania w połączeniu z lekami bywają nieobliczalne. Jeśli komuś zależy na lekkim oszołomieniu, już lepsze są niektóre gatunki wódki, ale zdecydowanie najlepszy jest haszysz.

Malene zasiada w miękkim fotelu. Bierze ciasteczko z czekoladowym spodem i zerka na Charlotte.

- No tak, do diabła! - A w duchu myśli: Równie dobrze mogę rozpocząć życie kaleki już teraz.

Śmieją się.

Charlotte podaje jej jointa.

- Musisz starać się jak najdłużej utrzymać dym w płucach, wtedy lepiej działa. A za pierwszym razem trzeba koniecznie opanować kaszel.

- Dziękuję. To akurat wiem. Kiedyś wielu moich przyjaciół paliło. Ja też próbowałam, ale na mnie to po prostu nie działa.

Malene zaciąga się głęboko, z nadzieją, że może tym razem coś poczuje.

Nic się jednak nie dzieje. Nieco później zapalają jointa jeszcze raz, i jeszcze raz próbuje. Wciąż nic, oprócz tego, że teraz leje się z niej pot, ale to raczej skutek temperatury panującej w pokoju.

Dopiero, gdy się żegnają, Malene orientuje się, że coś jest inaczej. Obejmują się.

- Cudownie było się z tobą zobaczyć.

- Z tobą też. Napiszę jutro maila z biura.

- A ja może napiszę do ciebie, jeszcze, kiedy będziesz siedziała w pociągu.

Ściskają się ponownie.

Teraz czeka ją puste mieszkanie.

Nie można wymagać od przyjaciółki, która dała jej tyle wsparcia, co Iben, że będzie się odzywać z Nairobi. Nawet, jeśli się jej pisze o kłopotach z partnerem.

Malene czuje lekkie mrowienie w dłoniach i stopach, to po haszyszu. Ma wrażenie, że zaraz runie w przepaść niepohamowanego śmiechu.

Gdybym nie załatwiła Iben tej pracy, z pewnością to ja byłabym teraz w Afryce. Przeżywałabym niesamowite rzeczy i nawiązywała mnóstwo międzynarodowych kontaktów, tak przydatnych później w pracy.

Potem Malene siedzi w toalecie pociągu jadącego do Kopenhagi i płacze. Haszysz działa naprawdę. Dookoła jej twarzy zanurzonej w wodzie unoszą się bańki powietrza. Brudne białe plastikowe płytki suną w górę. Brudna szara podłoga też się podnosi. Metalowe uchwyty, zapachy, dźwięki i znaki jeszcze prędzej wzlatają w górę, ponad przewody elektryczne. A może jest odwrotnie: może wśród huku pociągu to Malene spada w dół.

5

W poniedziałek, po spotkaniu u Sophie, Malene siedzi w biurze i pisze teksty do trzech plansz o pomocy udzielanej Żydom przez Duńczyków podczas drugiej wojny światowej.

Cel tkwi w podtekście, chodzi o to, by czytelnik nabrał odwagi do przeciwstawiania się prześladowaniom mniejszości. Ale przedstawienie tysięcy Duńczyków, którzy ryzykując życie, ocalili ponad dziewięćdziesiąt procent duńskich Żydów, również tekstem Malene przydaje innego znaczenia.

To Gunnar powiedział pewnego razu (ssąc oliwkę w oczekiwaniu, aż kelner przyniesie „menu tygodnia”):

„Ocalenie duńskich Żydów wzmocniło chyba w nas, Duńczykach, poczucie, które jest obecne w każdym narodzie. Wszędzie na świecie ludzie myślą: «My jesteśmy inni niż wszyscy, my jesteśmy Dobrzy». Ale Duńczycy myślą o tym z większym egoizmem. Nie mamy się, o co obwiniać. Historia uczy nas, że nie mamy w sobie zła”.

Właśnie tej niemożności dostrzeżenia własnych wad Malene nie chce podkreślać w swoich tekstach.

Iben ma mnóstwo propozycji na rozłożenie akcentów, a Malene zastanawia się, czy powiedzieć jej o trafnym sformułowaniu Gunnara. Postanawia jednak tego nie robić.

Pochyla się na swoim specjalnym krześle z wysokim oparciem i usiłuje skupić się na tym, co pisze: „W szpitalu Bispebjerg leżało dwustu Żydów, zarejestrowanych pod fałszywymi nieżydowskimi nazwiskami, gdy Niemcy okrążyli szpital...”. Dobrze wie, że nie może sobie pozwolić na złość na Iben i Gunnara.

Poza tym Iben jest dzisiaj naprawdę w doskonałej formie. Zwykle Malene cieszy się, że ma ją w biurze naprzeciwko siebie. W ciągu tych kilku miesięcy pobytu przyjaciółki w Kenii w centrum panowała bardziej smętna atmosfera. Paula zazwyczaj nie było, więc jedyną osobą, z którą dało się trochę pożartować, pozostawała Camilla. Wraz z powrotem Iben przychodzenie do pracy znów stało się przyjemnością.

Zanim jednak Iben otrzymała etat, Malene czuła się bardzo niepewnie na myśl o tym, że jej inteligentna, ale zbyt teoretyzująca przyjaciółka będzie teraz także jej koleżanką z pracy. Miała świadomość, że przy zaledwie pięciu zatrudnionych osobach może zapanować między nimi

klaustrofobiczna ciasnota. Istniało też ryzyko, że może to oznaczać koniec ich przyjaźni, od której Malene była tak uzależniona.

Już wtedy, gdy się poznały, Iben miała tę swoją niewielką, ale głęboką zmarszczkę na czole między bystrymi niebieskimi oczami i jasnymi brwiami. Była bledsza niż teraz i wydawała się jeszcze poważniejsza.

Ale nietrudno było skłonić ją do śmiechu. Wciąż zresztą śmieje się w ten sam przyjemny sposób. Lekko, trochę chichotliwie. Jak gdyby w śmiechu całkiem się zapominała. Potrafi zaraz potem wrócić do swego poważnego tonu i powiedzieć coś bardzo serio. Gdyby Malene była mężczyzną, właśnie w tym śmiechu by się zakochała.

Iben ma też drugą stronę - Malene boi się tego u osób, z którymi pracuje:

Iben jest perfekcjonistką. Wszystko zawsze musi być rozważne i w stu procentach doskonałe, a kiedy takie nie jest, cały świat jej się wali.

Malene nie знаła Iben, gdy przyjaciółka po śmierci ojca miała silne napady lęku i chodziła na psychoterapię, lecz w jakiś sposób zawsze dawało się zauważyć, że Iben jest krucha.

Być może nikt inny oprócz Malene nie wie, że Iben nie znosi zanurzać w wodzie ciała i głowy jednocześnie. Malene nigdy nie widziała, by Iben na plaży się kąpała, a gdy przyjaciółka bierze prysznic, zawsze ma głowę suchą, a włosy myje, kiedy indziej, i to w ubraniu. To chyba jakiś objaw?

Właśnie, dlatego wszystkich tak zaskoczyła postawa Iben podczas porwania. Oczywiście chciała zachować się „właściwie”, lecz tak dramatyczne i dynamiczne zachowanie w pewnym sensie do niej nie pasowało.

Sama mówiła, że w Kenii „była kimś innym”, dlatego Frederik pewnego dnia żartobliwie nazwał ją Batgirl. Jak gdyby Iben skrywała w sobie tajemniczą tożsamość superbohaterki. Z pewnością uważał to za komplement, lecz miał na tyle wyczucia, by natychmiast przestać o tym mówić, gdy tylko spostrzegł, że jej się to nie podoba.

Ogólnie rzecz ujmując, dwa lata temu Malene nie miała ochoty narażać na ryzyko bliskiego związku ze swą najlepszą - i w zasadzie jedyną prawdziwą - przyjaciółką i pomagać jej w załatwieniu pracy w DCIL. Zmusiły ją jednak do tego okoliczności.

Na literaturoznawstwie, gdzie Iben studiowała, większość studentów miała nadzieję na posady redaktorów w wydawnictwach, krytyków literackich czy dziennikarzy piszących o kulturze. Niestety, bez względu na oceny mogli liczyć jedynie na marnie płatne zlecenia bez możliwości stałego zatrudnienia, no i uzupełniający zasiłek dla bezrobotnych.

W oświacie też brakowało wolnych etatów, a gdy Iben próbowała szukać pracy w sektorze prywatnym, przeszkadzał jej w tym brak doświadczenia w pracy biurowej.

Opowiadała okropne historie ze spotkań w kasie ubezpieczeń od bezrobocia, gdzie widywała magistrów, całymi latami tkwiących w tym systemie. Wszyscy próbowali znaleźć jakąś pracę, lecz pracodawcy nie chcieli ich przyjąć, ponieważ mieli „za wysokie kwalifikacje”.

Iben z przerażeniem w oczach mówiła:

- Widać po nich, że są skończeni. Wystarczy dziesięć sekund, aby się zorientować, że żaden rozsądny pracodawca ich nie zatrudni. Oni też zdają sobie z tego sprawę.

System zmusił ją do uczestnictwa w kursach, podczas których psychologowie mieli określić, w jakim kierunku idą jej zainteresowania. Szły w każdym kierunku, który tylko mógł dać jej pracę, ale to również w niczym nie pomogło.

Gdy się okazało, że w DCIL poszukują specjaliści do spraw informacji, Iben nie naciskała przyjaciółki, nawet jej o tym nie wspomniała. W dalszym ciągu starała się o wszystkie inne zajęcia, ale coraz mocniej przesiąkała zapachem desperacji.

Malene wiedziała, że ryzykuje zarówno utratę przyjaciółki, jak i spokojnego miejsca pracy, kiedy przez telefon radziła Iben, by spróbowała się zgłosić:

- Kiedy wpłynię twój wniosek, mogę powiedzieć, jaka jesteś zdolna, jak bardzo się angażujesz, i że moim zdaniem praca z tobą będzie przyjemnością.

- Przecież oni nie zatrudnią twojej najlepszej przyjaciółki.

- To akurat przemilczę. Powiem, że mieszkałyśmy w tym samym akademiku i że tam cię poznałam. I jeszcze, że zapamiętałam cię jako bardzo skuteczną i godną zaufania osobę. Zresztą to wcale nie będzie kłamstwo.

- To znaczy, że mamy udawać, że się nie przyjaźnimy?

- Będziemy tylko udawać, że nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami.

- Mnie i tak się nie uda. Przecież o taką pracę ubiega się tysiąc osób z doświadczeniem.

- Powiem ci, co masz mówić członkom zarządu podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Tak mniej więcej.

Cisza w słuchawce.

- Iben, chodzi o pracę! To wymarzona praca!

* * *

Gdy przychodzi pora na lunch, Paula wciąż nie ma, są, więc tylko we cztery, Iben, Malene, Camilla i Anne-Lise. Mają do podziału ciemny chleb z piekarni, kilka serków, niskotłuszczowy pasztet (tylko dla Camilli) i trochę innych dodatków do kanapek. Tak jak w setki innych dni. W setki innych lunchów.

Camilla jest nieco przy kości, lecz absolutnie nie na tyle, by musiała nosić bardzo luźne bluzki, w jakie się zwykle ubiera. Podobnie jak Anne-Lise przekroczyła już czterdziestkę, jest, więc o ponad dziesięć lat starsza od Iben i Malene. Czasami jednak wydaje się, że dzielą je całe pokolenia: Camilla i Anne-Lise rzadko wychodzą na miasto, prowadzą całkiem inne życie, nie interesują się nowymi filmami i płytami. Obie mieszkają we własnych domach, mają mężów i dzieci.

Camilla opowiada, ile może zaoszczędzić, jeżdżąc do dentysty do Szwecji:

- Jeśli się do tego doda jeszcze to, ile oszczędza Finn, to w samym tylko zeszłym roku wyszło nam ponad trzy tysiące koron.

Przez lata pracy na stanowisku sekretarki Camilla wykształciła swój telefoniczny głos. Często się zdarza, że gdy przełącza naukowców i innych użytkowników centrum do Malene, rozmówcy komentują miły głos Camilli, zanim przejdą do sprawy, z którą zadzwonili.

W jej głosie wyczuwa się przede wszystkim pogodę ducha. A to rzecz niezwykle przydatna w ośrodku, w którym wszyscy zajmują się tragediami. Podobno najlepsi kardiochirurdzy opowiadają sobie dowcipy podczas operacji. Jeśli codzienność stałych użytkowników DCIL i jego pracowników ma być znośna, ważne jest zachowanie optymizmu.

Chwilę rozmawiają o dziennikarzu z „BT”, który przeprowadzał z Iben wywiad o porwaniu w Nairobi, później Camilla wraca do szwedzkich dentystów:

- Robimy sobie z tego rodzinną wycieczkę. Z Malmo po wizycie u dentysty jedziemy na wieś. Czasami pakujemy duży kosz piknikowy i bierzemy ze sobą dzieci. Ostatnio byliśmy w parku dinozaurów w Skanii. Jest naprawdę fajny... - Zerka na Malene i kończy nieśmiało: - ...ale może tylko wtedy, kiedy ma się rodzinę.

- No, trzeba wracać do roboty - mówi Malene, wstając.

Przerwa na lunch już się skończyła. Dziś minęła wyjątkowo szybko.

Nalewają sobie kawy do kubków i wracają na swoje miejsca. Na parę godzin zagłębiają się każda w swoich sprawach.

Pod koniec dnia Camilla wyszukuje w Internecie kolejne pliki dźwiękowe z Chrisem i Fabryką Czekolady. Śmieją się tak głośno, że aż Anne-Lise przychodzi z biblioteki.

Malene zdaje sobie sprawę, że dzisiejszy dzień nie był najlepszy dla niej i dla Iben. Może Iben sądzi, że Malene będzie jej miała za złe spotkania z Gunnarem.

Śmieją się i żartują jeszcze chwilę. Malene parodiuje Paula. Później rozprostowuje nogi przy regale z „Human Rights Quarterly” i mówi zadowolona:

- Czasami człowiekowi naprawdę dobrze robi, gdy się trochę po-śmieje razem z innymi. Śmiech łączy ludzi.

Zwraca się do Camilli, wciąż z rozbawieniem w głosie: - Wyobraź sobie, że ktoś opracowałby projekt pojednawczy, w którym Bośniaków i Serbów połączono by w grupy razem z kilkoma dobrymi komikami, tak by mogli się pośmiać razem. Stojąca przy drzwiach Anne-Lise wtrąca:

- Serbów jest dwanaście milionów, a Bośniaków cztery.

Malene chce być życzliwa. Uśmiecha się.

- Nie miałam na myśli niczego aż tak dosłownego. Ot, taki pomysł. Dla żartu.

* * *

Wieczorem Malene znajduje w swoim komputerze e-mail:

YOU, MALENE JENSEN, HAVE SWORN TO YOUR SECRET EVIL, AS LEADER AND CHANCELLOR OF YOUR REICH, LOYALTY AND BRAVERY. YOU HAVE PLEDGED TO EVIL AND THE SUPERIORS APPOINTED BY EVIL, OBEDIENCE UNTO DEATH.+ SO HELP YOU GOD + DEATH WHICH I WILL BRING YOU VERY SOON.*

Klika dwukrotnie w adres nadawcy, revenge_is_near@imhidden.com, lecz nie pojawiają się żadne nowe dane.

Rozpoznaje w tych słowach przysięgę wierności, składaną przez oficerów SS Hitlerowi. Tyle, że Adolfa Hitlera zastąpiono tu określeniem *your secret evil*. Podchodzi do okna, wygląda na ulicę i zaciąga zasłony. Znajduje w kuchennej szafce tabliczkę czekolady, dzwoni do Rasmusa do hotelu w Kolonii, ale Rasmus nie odbiera telefonu. Pewnie siedzi na jakimś spotkaniu.

* Ty Malene Jensen, przysięgałaś sekretnemu złu, jako wodzowi i kanclerzowi twojej rzeszy, wierność i męstwo. Złu i mianowanym przez zło przełożonym ślubowałaś posłuszeństwo aż do śmierci+ - Tak ci dopomóż Bóg.+ Śmierci, którą przyniosę ci już wkrótce. Źródło: Karol Grunberg, SS - czarna gwardia Hitlera, s. 105.

Potem telefonuje do Iben, która mówi jej, że ona również dostała mail. Przyjaciółka sprawia wrażenie kompletnie odchodzącej od zmysłów. Mówi, że bez ubrania przybiegła na Norrebrogade.

Malene taki lęk w reakcji na mail wydaje się przesadny, nawet, kiedy się weźmie pod uwagę pracę, jaką się zajmują. Usiłuje zrozumieć nastrój przyjaciółki, a jednocześnie ją uspokoić.

Podczas tej rozmowy Malene sama zaczyna nasłuchiwać, czy ktoś nie zakradł się do jej mieszkania, lecz nie potrafi podejść do tego aż tak poważnie.

Naprawdę wcale nie ma ochoty na jazdę rowerem w taki ziąb. Ma pranie w pralce i bałagan w całym mieszkaniu. Mimo to godzi się na spotkanie w Props. Iben mówi coś o nocowaniu u przyjaciół, ale Malene jest zdecydowana wrócić do domu i spędzić noc we własnym łóżku.

Udaje jej się również złapać Paula. Pojechał właśnie z wykładem do Biblioteki Głównej w Gentofte, ale Malene ma na tyle szczęścia, że wstrzela się w przerwę na kawę, a Paul postanowił na te piętnaście minut włączyć telefon.

Paul nie traci spokoju.

- Człowiek dostaje takie maile, kiedy się miesza w politykę. Trzeba się do tego przyzwyczaić. Oczywiście nie wolno ich bagatelizować, ale z drugiej strony ja bym się nie bał.

Malene raczej też się nie boi.

- To znaczy, że i ty dostałeś coś takiego?

- Tak.

- Ktoś napisał, że cię zabije?

- No tak.

- I pisali to zbrodniarze wojenni z zagranicy?

- Nie. Na ogół piszą do mnie duńscy pravicowcy i neonaziści. Rozmawiałem o tym z Klausem Rothsteinem, Mortenem Kjaerumem, Togerem Seidenfadenem i różnymi innymi osobami. Wszyscy dostają podobne listy i traktują je z dużym spokojem. Ja też idę za ich przykładem.

Malene łamie tabliczkę czekolady na mnóstwo małych kawałeczków, ale żadnego nie zjada.

- Przed chwilą rozmawiałam z Iben o tym, na ile poważnie należy traktować te pogróżki.

- To bardzo nieprzyjemne, wiem. Czy Rasmus jest teraz w domu?

- Nie, pojechał na targi do Kolonii.

- Szkoda.

Malene nie odpowiada. Podczas krótkiej chwili milczenia docierają do niej dyskusje słuchaczy wykładu Paula przy kawie serwowanej przez bibliotekę.

W Props o tak wczesnej wieczornej porze jest niewiele ludzi. Parę lat temu Malene i Iben były stałymi bywalczyniami tej kawiarni. Wciąż przeważają tu mężczyźni sprawiający wrażenie

kreatywnych, ale odrobinę udęczonych. Znad stolików, które wyglądają tak, jakby pochodziły z domków letniskowych sprzed czterdziestu lat, często zerkano na Malene.

Iben macha ręką do przyjaciółki z za niedużego okrągłego stolika. Na kremowym blacie stoi jej cafe au lait, a obok kawiarniana ozdoba, staromodna butelka po wodzie sodowej z blad różowym goździkiem.

Jeszcze zanim Malene zdąży usiąść, Iben zaczyna mówić. Szybko i zwięźle, jak gdyby były w pracy. Bez trudu udaje jej się przebić przez niegłośną muzykę zespołu Steely Dan.

- Posłuchaj, dzwoniłam już do Camilli i do Anne-Lise. Camilla nie dostała żadnego maila, a Anne-Lise nie było w domu. Telefonowałam też do Lotty i do Henka ze szwedzkiego i holenderskiego Ośrodka Informacji o Ludobójstwie. Oni też nie dostali żadnych takich maili i nie słyszeli o nikim, kto by coś takiego dostał. - Uśmiecha się, trzymając gorącą filiżankę kawy w obu dłoniach. - Dzwoniłam też do Andersa i Karen z Instytutu Praw Człowieka, i do Svenda z Duńskiego Instytutu Studiów Międzynarodowych. Rozmawiałam również z Paulem...

- Do niego ja też dzwoniłam.

- Tak, mówił mi. Po twoim telefonie poprosił Helen, żeby sprawdziła jego skrzynkę w domu. Nic nie było. Wygląda, więc na to, że tylko do nas dwóch wysłano te maile.

Malene zamierzała uściskać przerażoną Iben, ale nie pozwolił jej na to potok słów przyjaciółki. Nie zdążyła nawet zdjąć płaszcza ani usiąść.

Wyciąga z plecaka sweter i kurtkę dla Iben, żeby przyjaciółka się rozgrzała. Potem idzie do baru, płaci za cafe au lait Iben i zamawia jej jeszcze jedną. Dla siebie bierze kieliszek białego wina.

Czekając, aż karta zadziała, uśmiecha się do przyjaciółki. Na razie wszystko jest dobrze.

Przy stoliku pod starym francuskim plakatem reklamującym paszę dla krów i koni siedzi dwóch mężczyzn, nie spuszcza ją z niej wzroku. Z pewnością za jakiś czas będą chcieli się przysiąść. Malene stara się na nich nie patrzeć i niczym ich nie zachęcać.

Po powrocie do stolika szybko wspólnie z Iben uzgadniają, że dla zbrodniarza wojennego najbardziej oczywistą rzeczą byłoby wysłanie pogróżek do Paula.

To przecież on przedstawia swoje poglądy w mediach i podpisuje większość artykułów w imieniu centrum, bez względu na to, kto jest ich autorem. Dlaczego ani on, ani nikt inny w duńskim środowisku obrony praw człowieka nie dostał maili z pogróżkami?

Próbują sobie przypomnieć, czy istnieje jakiś zbrodniarz wojenny, którego one obie opisywały w Internecie, a z którym Paul nie miał nic wspólnego. Nikt taki nie przychodzi im jednak do głowy.

Coś innego musi, więc łączyć właśnie Iben z Malene. Ale co?

Dwaj mężczyźni w koszulkach piłkarskich, którzy do tej pory spokojnie siedzieli i czytali „Information”, nagle krzyczą coś do siebie przy stoliku w rogu. Iben mówi dalej, nie tracąc wątku,

lecz gwałtownie mruga, a jej oczy po raz kolejny przeczesują mrok za wielkimi szybami wychodzącymi na Blagardsgade.

Malene nie może się powstrzymać i wędruje za jej spojrzeniem. Tak jak poprzednio nic tam nie ma. Iben zdecydowanie zachowuje się dziwnie.

Nie udaje im się znaleźć wspólnego dla nich dwóch elementu, czegoś, czym mogłyby sprowokować któregoś z cudzoziemskich morderców. Iben w kawowym swetrze Malene pochyla się do przodu. Czasami z samych tylko słów Iben bardzo trudno się zorientować, co ona przeżywa. Trzeba patrzeć na jej oczy i usta. Teraz mówi:

- Wszyscy my, magistrzy, antropolodzy, socjolodzy, i nie wiem, kto jeszcze, każdego ranka jedziemy na rowerach do DCIL, Instytutu Praw Człowieka, do Amnesty Danidy, Ibisa, Czerwonego Krzyża albo Lekarzy bez Granic. Przynosimy na zmianę drożdżówki i pszenny chleb, rozmawiamy o tym, co piszą dzisiejsze gazety. Podlewamy kwiatki na parapetach, wieszamy na ścianach plakaty z okazji dni ustalonych przez ONZ. Dziwne jest to, że w każdej sekundzie możemy znaleźć się w ogniu walki z katami torturującymi ludzi i przywódcami bojówek. Bo przecież wszyscy jesteśmy żołnierzami na wojnie, tylko tego nie odkryliśmy.

Kiedy Iben daje się całkiem porwać swojej przemowie, mięśnie wokół jej ust napinają się w szczególny sposób. Malene miała okazję widzieć to już tysiące razy. Lubi rozpoznawać takie stany u przyjaciółki. Podnosi kieliszek z winem i pijąc jej zdrowie, czuje sympatię do Iben.

- Jesteśmy bojowniczkami kobiecej obrony kraju - mówi Malene.

Iben słucha z zachwytem, jak gdyby właśnie tego określenia szukała:

- Tak, rzeczywiście! Jesteśmy bojowniczkami! Tyle, że o tym nie wiedziałyśmy. Żadna z nas o tym nie pomyślała.

Iben mówi głośno, aż tamci dwaj mężczyźni w koszulkach piłkarskich odwracają się w jej stronę.

- W dodatku jesteśmy marnymi bojowniczkami: w sieci są nazwiska pracowników centrum. Na stronie krak.dk są nasze adresy mailowe, numery telefonów i adresy domowe. A oczywiście znani na świecie zbrodniarze wojenni od czasu do czasu też zagląдают do Internetu, żeby sprawdzić, co media o nich piszą, i wtedy trafiają na nas, na nasze adresy i całą resztę.

Po sposobie mówienia Iben Malene rozpoznaje, że przyjaciółka również teraz czuje, że jej życie jest zagrożone. Tak jak Malene od lat czuje się zagrożona przez chorobę. Ich emocjonalne rytmy bardziej się wyrównują. Łatwiej mogą się wczuć w swoje myśli.

Nie może powstrzymać się od uśmiechu, proponując, że pójdzie po jeszcze jeden kieliszek wina. Tym razem Iben też chce się napić. Malene, siadając z powrotem przy stoliku, rzuca szybkie spojrzenie w mrok.

- Jak sądzisz, dlaczego właśnie my dostałyśmy te maile?

- Tego dnia, w którym ktoś z obozu naszych wrogów uzna, że coś znaczymy, tego dnia przyjdą. Bez względu na to, w jakim miejscu Europy się ukryjemy.

Odsuwa się z krzesłem do tyłu.

- I tak właśnie jest. Ktoś najwyraźniej uznał, że coś znaczymy. Komuś musimy przeszkadzać.

Malene chce się wydostać poza krąg muzyki, wychodzi na dwór, żeby jeszcze raz spróbować zadzwonić do Rasmusa. Staje przed wystawą Shark House Deli. Pogoda jest taka, że Iben na pewno niezłe zmarzła bez płaszcza. Malene rozgląda się - tak jak mogłaby to zrobić Iben - czy nie zbliża się do niej żaden śniady mężczyzna o wyglądzie żołnierza.

Jest takich całkiem sporo, bo na ulicy przechadza się wielu imigrantów, a o tej porze, wieczorem, są to niemal wyłącznie grupki mężczyzn.

Rasmus odbiera telefon w taksówce, która wiezie go do jakiegoś baru w Kolonii na spotkanie z klientami.

Malene opowiada o mailach i powtarza słowa Paula, że właściwie nie należy się ich bać. Mówi również, że Iben chyba jest nimi bardziej poruszona, niż Malene by ją o to podejrzewała.

- Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałam. Ale teraz przynajmniej do niej dotarło, że prawie na pewno nikt nie mógł wejść do jej mieszkania.

Rasmus jest o dwa lata młodszy od Malene, tę różnicę wieku podkreśla jeszcze ubiorem i całym swoim chłopięcym sposobem bycia. Jednak mimo stylu wesołego łobuziaka potrafi od razu rozpoznać nastrój Malene i błyskawicznie zmienić się w dojrzałego, troskliwego mężczyznę.

- Gdybym tylko był w domu, razem prędko byśmy wykryli, kto to może być.

Rozmawiają z dziesięć minut. Malene cieszy się, że ma chłopaka, który lepiej niż ktokolwiek inny umie mówić właściwe rzeczy we właściwym czasie. Ale wie i to, że z każdą minutą zużywa jego ściśle odmierzoną kwotę dorosłości.

Rasmus bowiem najlepiej czuje się w roli chłopca. Jeśli Malene swoimi problemami i swoją chorobą angażuje go zbyt długo w bardziej dorosłe rozmowy, robi się niespokojny i nieswój. Malene czuje, jak jego radość z kontaktu z nią gaśnie w miarę rozmowy. Działo się tak już wiele razy, czasami jeszcze szybciej. Malene tego nie znosi.

Dlatego, chociaż bardzo ją cieszy ta rozmowa z Rasmusem, cały czas stara się wymyślić jakąś zabawną uwagę na jej zakończenie. Coś, co go trochę udobrucha. Chce żeby Rasmus zapamiętał tę rozmowę jako wpłatę na jej konto wesołości, a nie wypłatę z zawsze i tak obciążonego konta jej problemów.

Ale nic zabawnego nie przychodzi jej do głowy. Decyduje się, więc na drugie w kolejności z najlepszych rozwiązań i zmienia temat na bardziej techniczny.

- Czy któryś z twoich przyjaciół informatyków wie coś o śledzeniu nadawcy?

- Sam, co nieco o tym wiem. Jeśli ma, choć trochę oleju w głowie, to wysłał te listy z anonimowego serwera pośredniczącego. Wtedy nie będziemy w stanie go wytropić. Ale jeszcze trzeba się upewnić. Musicie mi tylko przesłać nagłówek maila. Znajdziecie go, klikając w mail prawym przyciskiem myszy, potem trzeba wybrać „Właściwości”, później kartę „Szczegóły”. Tam będzie jego IP, a wtedy już go mamy, jeśli posługuje się stałym łączem, a przynajmniej zdobędziemy nazwę jego dostawcy Internetu. Będziemy wiedzieli, z jakiej części świata wysłał mail. Jeśli korzystał z anonimowego serwera pośredniczącego, to nie znajdziemy go tak łatwo. Musimy skonstruować własny spyware, program szpiegowski, który mu wyślemy klikając „Odpowiedz”. Ten program może odczytać jego dane prywatne i przesłać je na wybrany przez nas adres.

- Czy taki program trudno przygotować?

- Nie, zrobimy to po moim powrocie do domu.

Rasmus chyba jest zadowolony i wcale niezrażony jej problemami, ale mówi, że musi kończyć.

- Kiedy wrócę do domu, urządzimy sobie polowanie. Dobierzemy się do niego.

W kawiarni okazuje się, że Iben zdążyła już porozmawiać z dwojgiem współpracowników z Anglii i Francji. W głośnikach grupę Steely Dan zastąpił teraz Gotan Project. Iben podnosi głowę i patrzy na Malene z uśmiechem pełnym energii. Sprawia wrażenie skupionej, jak w biurze.

- Mam cię gorąco pozdrowić.

- Dziękuję.

- Mieli mnóstwo pomysłów na to, kto mógł napisać takie maile. Pożyczyłam z baru bloczek i zaczęłam robić listę. Spójrz.

Na kartce jest już ponad dwadzieścia nazwisk. Malene siada.

- Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

- No właśnie. Chyba musimy się przenieść do kawiarenki internetowej, jeśli chcemy posunąć się dalej.

Malene wciąż ma wino w kieliszku, ale wie, że sposobem Iben na radzenie sobie ze stresem jest jak najszybsze zdobywanie wszelkich informacji, które później mogą się okazać przydatne.

Wstaje i wypija ostatni łyk. Obie są w kurtkach, a Malene właśnie zarzuca plecak na ramiona, kiedy dzwoni jej telefon.

To Lotta ze szwedzkiego ośrodka badawczego, zajmującego się eksterminacją i ludobójstwem.

- Telefon Iben jest zajęty. Chciałam wam tylko powiedzieć, że obdzwoniłam moich kolegów z pracy. Nikt nie dostał takich maili. To właściwie tyle. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, bardzo się tym przejęli i każdy ma jakiś pomysł, kto to może być. Masz coś do pisania?

Malene wyjmuje z plecaka długopis i listę Iben.

- Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony.

- Nie ma, za co. Przyjmij to jako podziękowanie za twój artykuł. Był naprawdę świetny.

- O czym ty mówisz?

- No, o twoim artykule Gitarzysta z Banja Luki, tym o Mirku Žigiciu. Przetłumaczyliśmy go i opublikowaliśmy w naszym biuletynie.

- To Iben go napisała.

- A ja myślałam, że to twój artykuł.

- Nie, nie.

Iben najwyraźniej nie podpisała się pod artykułem w pliku Worda. Malene sądziła, że to zrobi, i dlatego nie wpisała nazwiska autorki w załączonym mailu. Nagle dociera do niej, co może oznaczać ten błąd.

- O cholera! - wzdycha.

Iben najwyraźniej zauważyła coś w jej twarzy.

- Co się dzieje?

Malene musi mieć pewność, zanim odpowie:

- To znaczy, że ten artykuł jest teraz na waszej stronie internetowej z moim nazwiskiem?

- Tak, chyba tak. Kiedy coś zostaje opublikowane w biuletynie, automatycznie jest też zamieszczane w sieci. Ja nic nie...

Iben przerywa. W swetrze i ciepłej kurtce Malene wygląda na grubą.

- Co się stało? Czy coś się stało?!

Malene patrzy na wysokie ciemne szyby, tak jak Iben patrzyła na nie przez cały wieczór. Nie jest w stanie zobaczyć nic na zewnątrz.

Ma ochotę usiąść. Znaleźć jakieś inne miejsce, gdzieś, gdzie nie będą widoczne z ulicy. Wciąż trzymając telefon w dłoni, obejmuje Iben.

- Iben, naprawdę bardzo mi przykro. Twój artykuł o Žigiciu ukazał się w Szwecji pod moim nazwiskiem.

Iben lekko się odsuwa. Mówi w sposób, który Malene się nie podoba.

- No to już wiemy. Nikogo innego nie ma, prawda?

- Nie.

- Mirko Žigić to jedyny człowiek, o którym obie pisałyśmy w Internecie.

Gitarzysta z Banja Luki

Przyjaciele z młodości serbskiego zbrodniarza wojennego Mirka Žigicia wciąż nie mogą pojąć, że ich dawny kolega jest poszukiwany przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze.

Iben Hojgaard

- Grupa, w której Mirko był gitarzystą, grała jego kompozycje - opowiada Ljiljana Perić, która z Mirkiem Žigiciem chodziła do jednej klasy w liceum. - Z całą pewnością otaczał go wyjątkowy nimb, wierzył, że po skończeniu szkoły zostanie muzykiem rockowym. Ale grupa grała agresywnego, poetyckiego gitarowego rocka, który stał się modny dopiero kilka lat później. I chociaż Mirko był zdolny, a my życzyliśmy mu wszystkiego najlepszego, nie wierzył w niego nikt oprócz reszty jego zespołu i tych czterech czy pięciu dziewcząt, które zawsze się przy nim kręciły.

Serbska politolog Ljiljana Perić gościła w Oslo z okazji konferencji „Strengthening Democratic Media in the Aftermath of War”. Mieszkałyśmy w hotelu na tym samym korytarzu i w drodze do windy rozmowa przypadkowo zesłała na jej szkolną przyjaźń ze zbrodniarzem wojennym Mirkiem Žigiciem, obecnie oskarżonym i poszukiwanym przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze.

Umówiliśmy się na wieczorne spotkanie w hotelowym barze, na które zabrałam magnetofon.

Dobre lata około roku 1990

- Liceum w Banja Luce, w której oboje dorastaliśmy, było duże, chodziło do niego około tysiąca uczniów - opowiedziała mi Perić tego samego wieczoru. - Zbudowano je w latach siedemdziesiątych z czerwonej cegły, z płaskim dachem, pod względem architektonicznym bardzo przypomina wasze duńskie budownictwo.

Mirko był atrakcyjnym chłopakiem, miał długie jasne włosy rockmana, pociągłą twarz. Organizował koncerty w kawiarniach i barach, i to nie tylko własnego zespołu, lecz także wielu innych, które, jak sądzę, mogłyby zajść daleko, gdyby fala grunge'a dotarła do nas ze Stanów parę lat wcześniej, a nie dopiero podczas wojny.

Kiedy cofam się myślą w przeszłość, przypominam go sobie z lekcji w klasie, z imprez i rozmów z tymi spośród moich koleżanek, które za nim szalały. Noszę w pamięci obraz chłopaka rozwieszającego popołudniami na mieście plakaty z reklamą koncertów, które sam aranżował.

Gdy mijali go inni młodzi ludzie, zawsze zaczynał z nimi dyskutować i przekonywać ich, dlaczego powinni iść właśnie na ten koncert. Bardzo mu zależało, żeby wszyscy dostrzegli wartość jego ulubionej muzyki i nie marnowali życia na ogłupiający pop.

Do naszej klasy chodzili i Serbowie, i Muzułmanie, i Chorwaci. Nie była to rzecz, nad którą jakoś szczególnie się wtedy zastanawialiśmy. Gospodarka Jugosławii dobrze się rozwijała, byliśmy niezależni, zarówno od bloku wschodniego, jak i zachodniego, i zwyczajną rzeczą stały się wypadki na zakupy po modne ciuchy do Włoch albo na koncerty, na przykład do komunistycznego dawniej Budapesztu, bo tam bilety były tańsze. Po przezwyciężeniu kryzysu gospodarczego w latach osiemdziesiątych przed młodymi ludźmi zarysowała się jasna przyszłość.

W roku 1990 - a więc rok po maturze - w telewizji zaczęły się pojawiać materiały o niewielkich paramilitarnych grupkach, które zatrzymywały samochody na wiejskich drogach i kontrolowały dokumenty. Wydawało nam się, że to jakieś śmieszne kmiotki, które myślą, że zrobią się ważne, jak zaczną udawać żołnierzy. Nikt z nas nie miał na tyle wyobraźni, aby przewidzieć, że nadchodzi wojna. Tymczasem kilka miesięcy później wybuchła. Spadła na nas, a my nie mieliśmy nawet pojęcia, z jakiego kierunku nadeszła.

Nagle tamte "śmieszne kmiotki" zmieniły się w prawdziwych żołnierzy, a w telewizji pokazywano zdjęcia jednej masakry po drugiej. Wiele razy w ciągu dnia prezenterzy stacji telewizyjnych radzili, by nie dopuszczać do ekranów dzieci i osób starszych. Potem pokazywano serbskie ofiary z poderżniętymi gardłami czy trupy Serbów płynące potokiem, częściowo już w stanie rozkładu.

Propaganda

- Te zdjęcia budziły ogromny gniew i smutek. Człowieka ogarniało rozpaczliwe uczucie, że musi coś z tym zrobić. Tu i teraz!

Działała jedynie telewizja kontrolowana przez Serbów i właśnie w chwili, gdy człowiek był najbardziej wstrząśnięty i otwarty, po zdjęciach nadawano propagandowe komentarze, w których mówiono, że to Muzułmanie i Chorwaci zabijają cywilną ludność serbską, podobnie jak wymordowali ponad czterysta tysięcy z nas w czasie drugiej wojny światowej. Oglądaliśmy to dzień po dniu.

Oczywiście dyskutowaliśmy o tym, co się dzieje, ale mieliśmy tylko informacje pochodzące z mediów kontrolowanych przez Serbów. Pewnego dnia jeden z moich muzułmańskich przyjaciół powiedział do mnie: "Posłuchaj samej siebie, Ljiljano. Co ty wygadujesz? Skąd to wzięłaś? Skąd wiesz, że to prawda?"

Musiałam wtedy przyznać, że propaganda podziała również na mnie. Chociaż wierzyłam w swoją niezależność, w to, że potrafię trzymać się z dala od kłamstw.

Od tego dnia postanowiłam w ogóle nie oglądać telewizji, nie czytać gazet i nie słuchać radia. To jednak nie jest łatwe, kiedy w kraju toczy się wojna.

Inni nie mieli przyjaciół, którzy mogliby im pomóc w dotarciu do prawdy. W ciągu krótkiego czasu cała nasza klasa licealna rozpierzchnęła się po świecie. Niektórzy wyjechali do Anglii, Skandynawii, Włoch i Stanów Zjednoczonych. Uciekali Muzułmanie i Chorwaci, a serbscy mężczyźni ratowali się przed powołaniem do armii.

Jednych Serbów wcielano do armii, a jeszcze inni zgłaszali się dobrowolnie. Większość z nas nie rozumiała, co się dzieje w głowach tych, którzy idą na ochotnika. Ale Mirko absolutnie nie był jedynym z moich przyjaciół, którzy zgłosili się do wojska.

To musiała być pomyłka

- Wojna trwała. Dziesiątki tysięcy ludzi ginęły, sąsiad walczył przeciwko sąsiadowi. Dawni dobrzy przyjaciele donosili na siebie nawzajem, doprowadzając do internowania w obozach lub do egzekucji.

Wszystko to było niezrozumiałe i straszne. Nie mogliśmy wierzyć radiu ani telewizji, ale rozmaite historie przekazywano sobie z ust do ust.

Właśnie w taki sposób usłyszeliśmy o Mirku. Opowieści o nim były inne. Jeszcze straszniejsze. Wraz ze swoim oddziałem zgwałcił i zabił własną kuzynkę, Muzułmankę. Obciął uszy i język jeszcze młodszemu od siebie serbskiemu żołnierzowi, który mówił o dezercji.

Gazety o tym nie pisały, lecz wciąż przekazywano sobie nowe historie o Mirku. Zawsze zaczynało się od „Słyszałaś, co mówią w szkole o tym, że Mirko...?” albo: „Wczoraj na stacji dowiedziałam się, że Mirko...”.

Już wtedy mówiono o tym, co później stało się jednym z osiemnastu punktów aktu oskarżenia przeciwko niemu w Hadze. O tym, że podobnie jak wielu innych odwiedzał obozy wyłącznie dla przyjemności i swoim szerokim, bezczelnym uśmiechem - który przecież pamiętaliśmy - zmuszał więźniów do dokonywania gwałtów na sobie i zabijania się nawzajem na jego oczach.

Jeden z moich przyjaciół miał przyjaciółkę, która też знаła Mirka. Jej narzeczony, Muzułmanin, siedział w obozie w Omarskiej. Pewnego dnia zadzwonił do niej mężczyzna, była pewna, że to Mirko. Spytał ją, jak się miewa, a potem oznajmił, że właśnie trzyma w ręku młotek i jest w tym samym pomieszczeniu, co jej narzeczony, a ona, ponieważ jest dziewczyną

Muzułmanina, musi słuchać. Usłyszała, jak zatłukli go młotkiem na śmierć. W krzykach rozpoznała głos narzeczonego. Nie mogła się przemóc, by odłożyć słuchawkę.

Ale nam wydawało się to niewiarygodne.

Mirko wciąż miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. My, dziewczyny, omawiałyśmy między sobą te plotki. Mówiłam:

„Im bardziej przerażające będą te historie o Mirku, tym więcej osób ucieknie bez walki. Może to on sam wymyśla te kłamstwa, poświęca swój honor, żeby ratować niewinnych ludzi od śmierci”.

Wszystkie gorąco pragnęłyśmy, by taka była prawda.

Widujesz kogoś z tamtych czasów?

- Pewnego dnia - po dwóch latach wojny - spotykam go nagle na rogu ulicy przed niedużym sklepem z butami w Banja Luce. Jest pogodny, słoneczny dzień, stoję na deptaku na Gospodskiej, z kawiarni po drugiej stronie dobiega taneczna muzyka. W powietrzu unosi się kurz z betonu, wożonego ciężarówkami do odbudowywanej serbskiej cerkwi prawosławnej.

Dookoła panuje względny spokój. Mirko jest w spranych dżinsach i wciąż ma swoje długie włosy. Jest tak samo szczupły, ale z całą pewnością bardziej muskularny. Nie nosi emblematów wojskowych i ze sklepu wychodzi sam. Nie towarzyszy mu żaden żołnierz.

Rozjaśnia się na mój widok, a ja nie wiem, czy mam mu się rzucić na szyję, ale w końcu się ściskamy. Zaczynam mu opowiadać, co robię, w jaki sposób udaje mi się przetrwać to wszystko. Mówię szybko i cały czas, żeby uniknąć pytań, czym on się zajmuje.

Nic po nim nie widać. Mógłby pracować w towarzystwie ubezpieczeniowym albo w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego, czy w jakimś innym najzwyklej zwyczajnym miejscu.

W końcu Mirko pyta:

- Widujesz kogoś z tamtych czasów?

Zaschło mi w ustach. Zrobiła mi się gęsia skórka, a po plecach przeleciały ciarki.

Odwrociłam od niego wzrok i nie mogłam złapać tchu. To były najstraszniejsze słowa, jakie kiedykolwiek w życiu słyszałam.

Jestem Serbką i wiedziałam, że nic mi nie grozi. Musiałam jednak natychmiast wracać do domu.

Do dzisiaj nie mam pojęcia, dlaczego. Ale od tej chwili już nie miałam wątpliwości, że wszystko, co o nim opowiadano, było prawdą.

Przez resztę dnia i przez następne dni płakałam. Obdzwoniłam wszystkich przyjaciół, z którymi tylko mogłam się skontaktować. Bez przerwy opowiadałam o Mirku. Próbowałam ulżyć

napieciu. Mówiłam z taką samą wewnętrzną presją, jak gdybym przekazywała informację o nagłej śmierci wspólnego przyjaciela.

Inni żołnierze

Te przeżycia były dla Ljiljany Perić bardzo żywe nawet dziesięć lat później, opowieść o nich mocno ją poruszyła. W hotelowym barze w Norwegii siedziałyśmy przez pewien czas w milczeniu.

Perić spytała mnie o pracę DCIL, a ja nie mogłam się powstrzymać, by nie dodać odrobiny teorii do tego, o czym przed chwilą mi opowiedziała.

Wielu naukowców współpracujących z DCIL prowadzi badania nad ludźmi dopuszczającymi się zbrodni ludobójstwa.

Poważne badania w tej dziedzinie przeprowadził między innymi Christopher Browning, o którym bardziej szczegółowo pisaliśmy w artykule Psychologia zła I, opublikowanym w naszym biuletynie. Browning stwierdził, że w grupie pięciuset zwykłych Niemców, których odkomenderowano do zabijania Żydów w Polsce, wyniki były następujące:

- 10-20% starało się o przeniesienie do innych zadań i udało im się to bez większych problemów
- 50-80% nie podjęło żadnej próby uniknięcia wykonania zadania, dokonywali zabójstw zgodnie z rozkazem, lecz na tym poprzestawali
- 10-30% zabijało więcej Żydów, niż im rozkazano. Dokonywali zabójstw również w czasie wolnym. Z zabawy czy z kina wyprawiali się bezpośrednio do gett żydowskich, by tam ćwiczyć strzelanie do celu, często wpadali w amok, oszołomieni stosowaniem przemocy, zabijaniem i gwałceniem.

Ale statystyka to jedno, czym innym natomiast jest to, co dzieje się we wnętrzu każdego człowieka z tej grupy. Kto ma predyspozycje do unikania tego rodzaju zadań? Kto ma predyspozycje do posunięcia się dalej, niż wymaga rozkaz?

Rozmawiałyśmy o zagadkowości procesów psychicznych zachodzących w takim człowieku.

Perić opowiedziała mi o innym chłopcu z liceum, który zgłosił się na wojnę wraz z Mirkiem Žigiciem.

- W liceum wszystko wskazywało na to, że Predrag zostanie inżynierem, lecz obecnie to wykluczone. Z pewnością wzorował się na Mirku, przyjaźnili się i weszli w skład tej samej grupy paramilitarnej. Ale po Banja Luce nie krążyły żadne historie o Predragu i już dziewięć miesięcy później odesłano go do domu. Głowa mu się trzęsła, jakby zachorował na parkinsona.

Niewiele mówił i absolutnie nie chciał opowiadać o Mirku, ani o tym, co przeżyli. Przyjaciele zaprowadzili go do lekarza, ale ten oczywiście nie potrafił go wyleczyć z tego drżenia. My wszyscy również wiedzieliśmy, co to jest. Wielu żołnierzy powracających do domu zapadało na dziwne choroby, o których nikt wcześniej nie słyszał.

Po wojnie

Przed spotkaniem z Ljiljaną Perić czytałam, że Mirka Žigicia na krótko przed zawarciem układu pokojowego z Dayton wyrzucono z jego oddziału paramilitarnego. Emigrował do Rosji, gdzie podobno związał się z ekstremistycznymi słowiańskimi ugrupowaniami nacjonalistycznymi i z mafią.

Jeszcze niedawno sądzono, że ludzie dopuszczający się zbrodni ludobójstwa odróżniają okres dokonywania zbrodni od okresu pokoju. Badania nad życiem niemieckich oprawców, prowadzone po drugiej wojnie światowej, wykazały, że nie byli oni skazywani za przestępstwa kryminalne częściej niż inne grupy mężczyzn.

Oznacza to, że ludzie, którzy w czasie wojny potrafili zabić cywila za to, że nie pozdrowił ich na ulicy, w okresie pokoju są w stanie zachowywać samokontrolę - na przykład podczas bójk w knajpach czy kłótni rodzinnych - na takim samym poziomie jak inni.

Wśród niemieckich zbrodniarzy wojennych stwierdzono po wojnie następujące zmiany w psychice: kłopoty z koncentracją, koszmary senne, utratę zdolności do pracy i wyższą liczbę samobójstw. Nie odnotowano jednak podwyższonej skłonności do popełniania przestępstw.

Później okazało się, że doświadczenia z okresu Holocaustu nie są powszechne. W krajach byłej Jugosławii powracający do domu zbrodniarze wojenni w znacznie wyższym stopniu wykazują skłonność do przemocy i czynów kryminalnych. Wielu z nich związało się z mafią.

Dopóki Žigic nie został usunięty ze swojej grupy i nie wyemigrował do Rosji, Perić starała się go unikać. Ale Banja Luka była największym miastem przyszłej Republiki Serbskiej, a ponadto leżała zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od obozów koncentracyjnych wokół Prijedoru.

- Mirkowi zmieniła się cera - opowiadała Perić. - Stała się gładsza niż wtedy, gdy był nastolatkiem, ale wyglądała na gumową, jakby nawoskowaną. Przedtem miał brzydkie zęby, teraz nagle zrobiły się białe i równe, więc zrozumiałam, że ma sztuczną szczękę, mimo że nie skończył jeszcze dwudziestu czterech lat.

Jasne, długie włosy wiązał w koński ogon. Czasami zapuszczał pełną brodę, zgodnie z serbską tradycją prawosławną, innym razem ją golił.

Ale chociaż skręcałam w boczne uliczki, gdy tylko z daleka zobaczyłam w mieście jego wysoką sylwetkę, to zostałam później - po zakończeniu wojny - zmuszona do jego towarzystwa.

Wśród naszych wspólnych przyjaciół są ludzie, którzy nadal go zapraszają, nie uprzedzając o tym innych.

U wspólnych przyjaciół

- Musisz zrozumieć, że przed wojną chodziliśmy na te same imprezy. I ci, którzy mieli stać się ofiarami, i ci, którzy mieli stać się katami. W całej byłej Jugosławii panuje niezwykła atmosfera: wiele radiostacji nadaje tylko muzykę z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Bardzo często udajemy, że lata dziewięćdziesiąte nigdy nie istniały.

Ludzie, którzy wtedy znaleźli się po stronie ofiar, w pewnych sytuacjach muszą godzić się z tym, że będą jedli i pili z tymi, którzy wybrali rolę katów. Wiem, że musimy iść naprzód, a wojnę pozostawić za sobą. Wiem też, że aby odbudować nasze nowe kraje, musimy oprzeć się na dawnych przyjaźniach. Ale są granice, po których przekroczeniu trudno zachować dobry nastrój na imprezie, i to one nie pozwalają na utrzymywanie kontaktów z każdym, z kim było się blisko w młodości.

Można na przykład o trzeciej nad ranem ze zdumieniem stwierdzić, że człowiek siedzi w kuchni, je chleb z suszoną szynką i kiszonymi ogórkami i rozmawia w najlepsze z ludźmi, którzy okazują się byłymi członkami Białych Orłów lub jakiejś innej z najokrutniejszych grup paramilitarnych. Trzykrotnie przeżyłam szok, kiedy nagle w zatłoczonym pokoju stawałam twarzą w twarz z Mirkiem, który najwyraźniej przyjechał z Rosji z wizytą do kraju.

Pierwszy raz zdarzyło się to wkrótce po tym, jak zaczęto mówić, że Žigić - już po wojnie - zabił dwóch chorwackich dziennikarzy. Wyszłam z hałaśliwej imprezy razem z koleżanką, usiadłyśmy w jakimś ogrodzie kilka domów dalej.

W liceum nie durzyłam się w Mirku, ale wiele dziewcząt się w nim podkochiwało, a koleżanka, z którą teraz siedziałam, kiedyś z nim chodziła.

Rozmawiałyśmy o tym, co mogłyśmy wtedy wiedzieć.

Zadałam jej pytanie:

- Sporo naszych przyjaciółek miało chłopaków, których nie lubiłyśmy, i wszystkie powtarzały to samo: „No tak, ale kiedy jestem z nim sama, on jest zupełnie inny. Nie poznałybyście go, kiedy się odpręża. Jest wtedy uśmiechnięty i słodki”. Zastanawiam się, czy z tobą i Mirkiem nie było akurat odwrotnie? My, inni, uważaliśmy go za słodkiego, romantycznego faceta z wielką wiarą we własny talent muzyczny, liczyliśmy, więc, że wasz związek też układa się dobrze. Ale czy on się zmieniał, kiedy zostawialiście sami? Czy się pokazywał od zupełnie innej strony?

Ale ona powiedziała, że tak nie było.

Następnego dnia rano

Perić i ja tamtego wieczoru byłyśmy zbyt zmęczone, żeby porozmawiać dłużej. Ale następnego dnia rano przy śniadaniu podeszła do mnie i dodała:

- Ludzie często mi mówią: „Przez cały czas wiedzieliśmy, że Mirko jest inny!” Ale to im się tylko wydaje, bo wiedzą, czym się wszystko skończyło.

Wtedy wcale tak nie było. Jeździłam z nim nocą rowerem po lesie. A teraz wiem, że zgwałcił tyle kobiet, że nie da się ich policzyć.

Dzisiaj też mam wrażenie, że już wtedy wiedziałam, że w nim jest coś złego, ale to po prostu niemożliwe.

Anne-Lise

Anne-Lise zjawia się w DCIL w poniedziałek rano. Z korytarza wchodzi prosto między regały Ogrodu Zimowego. Stara się zapomnieć o wszystkim, tak by w jej głosie słyhać było życzliwość i zadowolenie.

- Dzień dobry!

Na razie jest tylko Camilla. Wpatrując się w swój monitor, odpowiada:

- Dzień dobry.

Anne-Lise stoi nieruchomo, z płaszczem przerzuconym przez ramię. Rozgląda się. Drzwi do biblioteki są oczywiście zamknięte. Jedynym dźwiękiem jest szum komputera Camilli.

Ponieważ Camilla ani nie mówi nic więcej, ani nie odrywa oczu od monitora, Anne-Lise idzie do biblioteki, na swoje stanowisko pracy.

Wiesza płaszcz i sprawdza włosy w lusterku, które przytwierdziła po wewnętrznej stronie drzwiczek szafki za biurkiem.

Włosy są ułożone jak należy, ale i tak je przyczesuje. Przynajmniej pod tym względem nie będą jej mogły nic zarzucić. Ciemne włosy ma obcięte na pazią w taki sposób, że przysłaniają boki szerokiej szczęki. Ale i tak jej twarz sprawia wrażenie nieco zbyt kanciastej. Anne-Lise przysuwa się do lusterka: skóra wokół oczu nie wygląda gorzej niż u innych czterdziestolatek.

Po strzepnięciu kilku włosów z czarnego golfu i sprawdzeniu, czy żaden nie przykleił się do beżowej spódnicy, jest gotowa do pracy.

Odkąd zatrudniono ją tu przed rokiem, większość jej obowiązków polega na skanowaniu indeksów z książek znajdujących się w bibliotece i przetwarzaniu ich za pomocą specjalnego programu komputerowego w pliki Worda. Później jeszcze je redaguje i wprowadza do bazy danych biblioteki.

Zdażyła już wciągnąć się w pracę, kiedy słyszy, że do Ogrodu Zimowego wchodzi Malene, a parę minut później dobiega do niej również głos Iben.

Anne-Lise idzie do nich i pyta o imprezę, na którą, jak słyszała w piątek, obie się wybierały.

- I co, fajnie było?

Malene odpowiada, patrząc na Iben:

- Jak zwykle.

Anne-Lise widzi, że koleżanki mają przy swoich filiżankach z kawą posmarowane bułeczki. Na niskim regale, który stoi pośrodku rozległego pokoju, dostrzega tacę z jedną bułeczką, masłem, talerzykiem i nożem.

- Te bułeczki to od ciebie, Camillo? - pyta.

- Tak.

- Jakaś szczególna okazja?

- Nie.

- No to dziękuję. Ja też coś przyniosę w przyszły poniedziałek.

Anne-Lise bierze pół bułeczki, smaruje ją masłem i kładzie na talerzyku. Robi kilka kroków w stronę biurka Iben, ale ta już zapatrzyła się w ekran.

Na kilka sekund Anne-Lise nieruchomieje. Żadna z koleżanek nie zwraca na nią uwagi. Wycofuje się do biblioteki i też zasiada przed swoim komputerem.

Próbuje się skoncentrować na zredagowaniu zaproponowanych przez program haseł do wyszukania informacji w raporcie o masakrze niemal dwóch tysięcy Muzułmanów w Indiach. Po prawej stronie biurka leży starannie ułożony stos raportów. Wszystkie proponowane przez program słowa trzeba sprawdzić.

Słyszy rozmowę toczącą się w Ogrodzie Zimowym. Najwyraźniej rozmawiają o sobotniej imprezie, a może również o jakimś filmie. Przez zamknięte drzwi trudno to stwierdzić.

Anne-Lise wbija wzrok w ekran, usiłując się skupić. Komputer wybiera słowa: „elektryczny”, „pożywienie” i „seks”. To, niestety, zbyt luźne nawiązania. Pospiesznie przegląda raport i zmienia hasła na bardziej szczegółowe: „Rażenie prądem elektrycznym organów płciowych”, „zepsute pożywienie” i „wykorzystywanie seksualne”.

Teraz ma wrażenie, że Iben w pokoju obok mówi o czymś ważnym. Anne-Lise, czym prędzej podchodzi do drzwi. Musi wiedzieć, co się dzieje, jeśli chce uczestniczyć we wspólnych rozmowach podczas przerwy na lunch i przez resztę dnia.

W Ogrodzie Zimowym koleżanki śmieją się z dziennikarki, która przeprowadzała wywiad z Iben po jej powrocie z Kenii. Iben opowiada, że interesowało ją właściwie tylko jedzenie, jakie dostawali zakładnicy.

Gdy rozmowa zamiera, Anne-Lise podchodzi do biurka Iben.

- A czy tematem tego wywiadu miało być jedzenie?

- Nie. Ale cokolwiek mówiłam, ona i tak ciągle wracała do jedzenia. Wzrok Iben staje się niespokojny, niezachęcający, lecz Anne-Lise próbuje dalej:

- I o tym napisała w gazecie?

- Tak.

Iben odwraca się do komputera. Anne-Lise zerka na Malene. Czy ona na nie patrzy? Nie. Anne-Lise ciągnie:

- Pewnie teraz czytasz wywiady inaczej niż do tej pory?

Iben klika w coś. Anne-Lise stara się nie odchodzić. Przecież Iben zwykle pracuje nawet wtedy, gdy z kimś rozmawia.

- Camillo, czy masz jeszcze tego maila z nowymi francuskimi linkami? - pyta Iben głośno.

- Pewnie tak - odpowiada Camilla.

- Mogłabyś mi przesłać?

- Będziesz go miała za dwie sekundy.

Wszystkie trzy nie odrywają oczu od monitorów, a Anne-Lise bębni palcami w półkę przy faksie:

- Może nie powinnam cię już więcej o nic pytać?

Iben unosi wzrok i przelotnie się uśmiecha.

- Ależ pytaj! Oczywiście! Później będę miała trochę więcej czasu, żeby ci o tym wszystkim opowiedzieć. Akurat w tej chwili nad czymś się głowię.

Anne-Lise już u siebie w bibliotece słyszy, jak się śmieją. Żartują sobie z czegoś razem z Malene.

Anne-Lise kilka razy - zwłaszcza w początkach pracy w DCIL - proponowała, by przenieść jej biurko do Ogrodu Zimowego, do koleżanek. Paul stwierdził, że to nawet niezły pomysł, ale później, gdy Anne-Lise znowu do tego wracała, odpowiedział w końcu, że właściwie byłoby to mało praktyczne z uwagi na ciasnotę i brak dodatkowych gniazdek do podłączenia telefonu i Internetu. A w ogóle lepiej, jak będzie bliżej książek.

Anne-Lise przypuszczała jednak, że prawdziwym powodem odmowy musiała być obawa koleżanek, że kiedy usiądzie razem z nimi, skończy się przyjemna atmosfera. Paul na pewno pytał je o zdanie.

Anne-Lise pojawiła się w DCIL parę dni po śmierci ciotki Malene. Uznała wtedy, że koleżanki muszą swobodnie porozmawiać. Sądziła, że z czasem się to zmieni, może, gdy popracuje w centrum trochę dłużej. Ale od tamtej pory sytuacja wcale się nie poprawiła.

Paul prosił, by Anne-Lise zawsze przychodziła do Ogrodu Zimowego, jeśli tylko usłyszy, że koleżanki rozmawiają o czymś, w czym ona również chciałaby uczestniczyć. Powtarzał to kilkakrotnie, postanowiła, więc tak robić, także wtedy, gdy nie wydawało jej się to wcale naturalne.

W przerwie na lunch Camilla też pyta Iben, czy inaczej czyta wywiady, odkąd sama ich udzielała. I teraz Iben ma czas na to, żeby jej odpowiedzieć.

Czasami Anne-Lise ma za sobą naprawdę przyjemnie spędzony weekend czy urlop i wtedy naiwnie zaczyna wierzyć, że wszystko się odmieni. Nie dalej niż wczoraj wieczorem, tuż po niedzielnym obiedzie, oznajmiła Henrikowi, że odzyskała siły i że dziś spróbuje nakłonić koleżanki do szczerzej rozmowy.

Przez resztę przerwy na lunch one rozmawiają o szwedzkich dentystach, a Anne-Lise już po trzech pierwszych godzinach nowego tygodnia pracy jest kompletnie wykończona.

Raz i drugi jednak zbiera się na odwagę i podejmuje próbę:

- Ale czy przejazd przez most nie jest za drogi? - pyta, włączając się w opowieść Camilli.

I jeszcze raz:

- Ja też kiedyś spotkałam się z czymś takim...

Mówi to do Malene i już nabiera powietrza, żeby kontynuować, ale któraś jej przerywa. Żadna z koleżanek nie daje jej szans, nie tworzy nawet szczeliny w trójkącie rozmów i wymiany spojrzeń. Na więcej Anne-Lise nie stać.

Kończy się przerwa. Anne-Lise idzie do najodleglejszego kąta w bibliotece, gdzie nikt inny nie zagląda.

Wchodząc między regały na samym końcu „Zbiorów wschodnioeuropejskich”, zawsze zabiera ze sobą małe lusterko. Może wtedy sprawdzić, czy po jej twarzy przypadkiem nie widać, że płakała. Po dwudziestu minutach wraca do swojego biurka.

Dzisiaj znów postanawia, że nie będzie się więcej do nich odzywać. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jedna osoba nie jest w stanie odrzucić całej grupy - grupa nawet nie zauważy jej wysiłków. Musi się jednak oszczędzać przez te trzy ostatnie godziny pracy, bo w domu czeka ją przyrządzenie urodzinowej kolacji dla Henrika. Potrzeba jej będzie trochę energii i dobrego humoru, by miała, co z siebie dać, kiedy wieczorem przyjdą goście.

Po powrocie na swoje stanowisko pracy zabiera się do stosu raportów, które trzeba zeskanować, plików Worda, które trzeba prze-konwertować do bazy danych, i do słów-haseł wyszukiwarki, które trzeba posprawdzać. Musi podjąć jeszcze jeden wysiłek, aby ten dzień nie okazał się stracony przynajmniej pod względem pracy.

Kawę przynosi sobie z kuchni, nie idzie po nią do termosu w Ogrodzie Zimowym. Wypija pół filiżanki i dzwoni do Henrika, składa mu życzenia, a później przechodzi na ten specjalny ton, który mówi mu o jej samopoczuciu. Chociaż rozmowa jest krótka i pełna niedomówień, dobrze jest podzielić się zmartwieniem z drugim człowiekiem.

Kontakty z naukowcami, przedstawicielami rozmaitych organizacji i innymi użytkownikami centrum utrzymuje Malene. Również wtedy, gdy chcą wypożyczać książki. Anne-Lise pracuje, więc sama, niemal wyłącznie przy katalogowaniu materiałów przychodzących tu całymi pakami. W ciągu dnia ma niewiele okazji, by zamienić z kimś parę słów.

Dzwoni do kolegi z Archiwum Zbrodni w Strasburgu. Była z nim kiedyś na kursie systemu katalogowania Huridocs. Mówi mu, że przypomniał jej się artykuł w raporcie ONZ, który go z pewnością zainteresuje. Opowiada o innych raportach, o czymkolwiek.

On jej słucha, podtrzymuje rozmowę. Skąd ma wiedzieć, w jaki sposób ona chłonie każde jego słowo. Te słowa wystarczą jej na kilka godzin. Bo echem jej dnia musi być życzliwy głos, a nie martwa cisza.

Z powrotem do korekty: w angielskich, niemieckich, hiszpańskich raportach na temat palenia ludzi i miast w Nigerii stosowana jest różna pisownia nazwisk sprawców. Anne-Lise

sprawdza w każdym raporcie indeksy nazwisk zarejestrowane przez program rozpoznający tekst. Odrobina nieuwagi wystarczy, by komputer błędnie zestawił listy.

Do biblioteki wchodzi Malene po jakieś książki, które ktoś najwyraźniej zamówił. Układa je w stos i nosi go od regału do regału, szukając ostatniej pozycji. Anne-Lise po rozmowie telefonicznej znajduje w sobie dość sił, by się uśmiechnąć. Ale Malene już znalazła książkę i wychodzi z biblioteki, jak zwykle bez słowa.

Anne-Lise porzuca swoje obowiązki i zabiera się do pisania nie wiadomo już, którego podania o pracę.

Jednocześnie czuje, że się rozpada. Walczy z myślami: Ja taka nie jestem. To, co się we mnie dzieje, jest nieprawdziwe. One zrobiły ze mnie zupełnie inną Anne-Lise.

To mogła być wymarzona praca - myśli, przy każdym naciśnięciu klawisza wyobrażając sobie, że wbija sztylet w Malene albo w Iben.

Malene! Malene! Malene! - krzyczy w duchu, wałąc w klawisze najmocniej jak potrafi.

Ja taka nie jestem.

* * *

Po południu w Ogrodzie Zimowym słychać śmiechy. Odtwarzają na komputerze skecze z Chrisem i Fabryką Czekolady.

Anne-Lise zdecydowała, że do końca dnia postara się unikać kontaktu z koleżankami. Ale przecież, kiedy ostatnio słuchały Chrisa i Fabryki Czekolady, świetnie się bawiły we cztery.

Tamten dzień, mniej więcej miesiąc temu, był wyjątkowy. Nie wydarzyło się nic szczególnego, a koleżanki nagle zaczęły się po prostu śmiać razem z Anne-Lise, jak gdyby była to rzecz najzwyczajniejsza pod słońcem. Rozmawiały z nią o tych skeczach. Patrzyły jej w oczy. A potem ich życzliwość znów się urwała w równie niewyjaśniony sposób.

Wieczorem wyszła na podjazd i opowiedziała o wszystkim Henrikowi, gdy tylko wysiadł z samochodu:

- Wszystkie śmiałyśmy się dzisiaj razem!

Znów nabrała nadziei, że być może wreszcie wszystko zacznie się zmieniać na lepsze, i chyba dobrze, że zdołała wytrzymać aż tak długo.

Tego samego wieczoru Henrik nagrał jej na płytę skecze Chrisa i Fabryki Czekolady, których nie ma w Internecie; jeden z jego kolegów ściągnął je z radia. Anne-Lise jednak wciąż nosi

płytę w torebce, bo od tamtego czasu nie nadarzyła się okazja, by w naturalny sposób dało się o niej wspomnieć.

Idzie do koleżanek. Śmieje się razem z nimi z głosu Chrisa w komputerze Camilli. Wszystkie cztery skupiły się wokół jej biurka.

Anne-Lise zmusza się do śmiechu, gdy Malene parodiuje Paula. A chwilę później jeszcze raz się uśmiecha i mówi:

- Mam CD ze skeczami, których nie ma w sieci. Macie ochotę po słuchać?
- No tak, daj.
- Tak, tak, puść.

Anne-Lise idzie do biblioteki i wyjmuje płytę z torebki. Mogła ją wziąć ze sobą od razu, ale przecież ma to wyglądać na zabawny pomysł, który właśnie wpadł jej do głowy, a nie na zaplanowaną akcję.

Kiedy wraca po kilku sekundach, Iben i Malene siedzą już przy własnych biurkach.

Anne-Lise zatrzymuje się przy drzwiach.

- Jeśli jesteście zajęte, możemy posłuchać innym razem. Malene podnosi głowę.
- Nie, nie, nastaw.
- Wciąż jesteście w odpowiednim nastroju, żeby tego słuchać?
- Tak, tak, puść.

Anne-Lise podchodzi do komputera Camilli i wkłada płytę do stacji. Dostęp ma łatwy, ponieważ Camilla odsunęła swoje krzesło. Siedzi i przegląda jakąś teczkę z rachunkami.

Anne-Lise wkłada płytę Henrika do napędu komputera i znów patrzy na koleżanki. Nastrój całkowicie się odmienił. Nigdy nie zaproponowałyby im słuchania płyty, kiedy są tak zapracowane.

Camilla unosi głowę i patrzy na nią wyczekująco, jest zdziwiona.

Anne-Lise wybiera nagranie numer osiem, którego sama słuchała wiele razy. Uważa je za najzabawniejsze. Wciska „play”.

- Mam nadzieję, że się wam spodoba.

Z głośników płynie jeden z najlepszych skeczy, ale wokół biurka nikt się nie gromadzi. Nikt się nie śmieje. Camilla od czasu do czasu zerka znad swoich rachunków, Malene przedziera się przez coś na swoim ekranie, tak samo jak Iben.

Anne-Lise stoi z pół minuty, potem znów pochyla się nad klawiaturą Camilli.

- Wyłączę, skoro nie słuchacie.
- Nie, nie, zostaw.
- Wygląda na to, że wcale was to nie bawi.

Malene obraca swoje krzesło w stronę Anne-Lise:

- Ja zawsze pracuję, słuchając czegoś takiego.

Iben też podnosi głowę.

- Jesteśmy w pracy. Mamy coś do zrobienia. Nie możemy się cały czas tylko bawić.

Anne-Lise nie wyłącza płyty. W domu słuchali tego skeczu mnóstwo razy i zawsze o mało się nie popłakali ze śmiechu. Usiłuje dostosować się do sposobu słuchania koleżanek, sięga po periodyk wydawany przez jeden z uniwersytetów amerykańskich. Przerzuca kartki, nie wychwytyjąc ani słowa.

Kiedy skecz się kończy, wciska „stop” i wyłącza płytę.

Camilla odkłada teczkę z rachunkami na biurko.

- Co robisz?

- Wyjmę ją, skoro jesteście zbyt zapracowane, żeby posłuchać.

- Zostaw.

- Ale przecież i tak nie słuchacie.

- Skąd możesz wiedzieć? Ja słuchałam.

- To nieprawda... Przecież jesteście...

Iben mocno wali w „enter” na klawiaturze.

- Ja też słuchałam. Powiedziałas, że puścisz nam płytę. Dlaczego teraz nie chcesz tego zrobić?

Malene też na nią patrzy. Wzdycha ze zrezygnowaną miną.

- Anne-Lise, nie bądź taka ciotkowata.

Słuchają, więc kolejnego skeczu z płyty. Znów wszystkie zatapiają się w pracy, żadna nie wydaje z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Oprócz Malene, która w połowie skeczu sięga po słuchawkę i dzwoni do jednego z wykładowców, by omówić z nim odczyt.

7

Właściwie na urodziny Henrika chcieli zaprosić tylko najbliższą rodzinę i jedną parę przyjaciół. W zwykły poniedziałek nie ma szans na zorganizowanie większego przyjęcia, ale wraz z

dziećmi liczba gości i tak szybko rośnie (siedmioro dzieci i ośmioro dorosłych), i nagle trzeba się bardzo starać, żeby wszystko ładnie przygotować.

Po pracy Anne-Lise stoi w kuchni razem z Henrikiem. Goście przyjdą za trzy kwadranse. Dzieci zostały wysłane do ogrodu, żeby tam się pobawiły, ale co chwila przybiegają do kuchni, bo czują, że rodzice nie mają dla nich czasu.

W zeszłym tygodniu Anne-Lise kupiła serso, które schowała i dała im dopiero teraz, żeby ona i Henrik mogli mieć czas na przygotowania.

Kroi warzywa na kawałki, które zamierza zmiksować i dodać do zupy. Chce też posypać ją skwarkami, więc jednocześnie podsmaża bekon. Starali się ułożyć prawdziwie jesienne menu. Henrik stoi pochylony nad zlewem. Myje boczniki i inne grzyby, z których zaraz przyrządzi swoje słynne danie.

Wygląda to trochę dziwnie, ponieważ jest chudy i ma prawie dwa metry. Już się zastanawiali, czy nie zamontować dodatkowego zlewu, który by pasował do jego wzrostu, ale Henrik za rzadko bywa w kuchni, żeby miało to jakikolwiek sens.

Powinien raczej usprawnić coś przy swoim stanowisku pracy w banku, bo pracuje około sześćdziesięciu godzin tygodniowo, i już zdążył się dorobić fatalnej sylwetki.

Grzybowe danie Henrika podadzą razem z pieczenia z jelenia. Henrik wyspecjalizował się w kilku naprawdę pysznych potrawach i potrafi je przyrządzić bardzo szybko.

Myjąc i krojąc grzyby, nie przestaje mówić:

- Często wyobrażam sobie taki obrazek: Jestem zaproszony na obiad, przypadkiem jest tam również Malene, a także mnóstwo jej przyjaciół i rodziny. Wchodzi gospodyni i mówi, że mam towarzyszyć Malene przy stole. Odpowiadam spokojnie, ale tak, żeby wszyscy mnie słyszeli: „Bardzo mi przykro, ale nie mogę siedzieć obok Malene Jensen”. Gospodyni oczywiście jest zaskoczona, dopytuje się, dlaczego nie chcę siedzieć obok jej przyjaciółki, która w dodatku jest młoda, piękna i utalentowana, a poza tym ma taką interesującą pracę.

Anne-Lise odrywa się na chwilę od przygotowań przy stole. Henrik wciąż jest w ubraniu, które wkłada do biura, w koszuli i spodniach w kant. Mówi z zaangażowaniem:

- No i jestem zmuszony wyjaśnić im spokojnie, ale głośno i wyraźnie: „Wiem, że to będzie dla was przykre, nigdy w życiu nie mówiłem takich rzeczy, ale najzwyczajniej w świecie nie mogę rozmawiać z kobietą, która jest tak podła. Jeśli nie możemy usiąść z dala od siebie, będę musiał wrócić do domu”. Stoimy przy stole z powitalnymi drinkami w dłoniach. Goście gapią się na mnie, ważne jest, więc, żebym mówił bardzo jasno. I oznajmiam w obecności tych wszystkich bliskich jej ludzi, którym wydaje się, że ją znają: „Malene Jensen w pracy codziennie dręczy moją żonę. Anne-Lise jest bardzo zestresowana wyłącznie z jej powodu. Wolałbym po stokroć siedzieć koło przestępcy-narkomana niż obok tej wykształconej, światłej humanistki pod trzydziestkę, która jest

taka okrutna, a jednocześnie taka samolubna. I której najwyraźniej jest obojętne, czy jej zachowanie - i to zwolnienie lekarskie, na które usiłuje wypchnąć moją żonę - nie będzie miało złego wpływu również na moje dzieci”.

Anne-Lise przynosi deskę do krojenia bliżej miksera.

- Chyba nie uważasz, że jestem złą matką?

- Skąd! Wiesz jednak... Ale co będzie, jeśli się od tego rozchorujesz?

Anne-Lise przyciąga męża do siebie, tak by mogła go pocałować w ucho, potem przepłukuje mikser i wrzuca do niego cząstki selera.

- Myślisz, że w rzeczywistości byłbyś w stanie coś takiego powiedzieć?

- Z całą pewnością.

- Reszta towarzystwa i tak nie przestałaby traktować Malene jako kochaną, słodką przyjaciółkę i to ciebie by tam już więcej nie zaproszono.

- Wszystko mi jedno. Oczywiście, że nie potrafiliby tego przyjąć. Przecież na przyjęciach należy elegancko konwersować. To w pracy i w domu człowiek pokazuje, jaki jest naprawdę. Nie na przyjęciach. Tam pewnie uważają ją za normalną.

Do kuchni wbiega z ogrodu Clara, w domku do zabawy starszy brat, Ulrik, ją uderzył. Anne-Lise prędko ściąga patelnię z bekonem z płyty, musi przykucnąć, a nie chce jednocześnie pilnować kuchenki.

- Uderzył cię? Gdzie mam podmuchać?

Clara popłakuje, ale tak naprawdę nic ją nie boli.

Anne-Lise i Henrik poznali się już blisko dwadzieścia lat temu, ale w kręgu przyjaciół właśnie oni mają najmłodsze dzieci. Anne-Lise chciała poczekać z urodzeniem pierwszego dziecka do czasu, aż młodzieńcze ambicje Henrika i jego zapał do pracy ostygną na tyle, by oboje mogli spokojnie zająć się domem i dziećmi.

Upłynęło wiele lat, zanim zrozumiała, że Henrik nigdy się nie zmieni, musi, więc zdecydować, czy jest skłonna sama wszystko dźwigać na własnych barkach, czy też po prostu w ogóle nie będzie mieć dzieci.

Oprócz tego, że pracuje zawodowo, spoczywają na niej niemal wszystkie obowiązki domowe. Harowała, ale dawała sobie radę. Jeszcze rok temu uważała, że to, co jej nie zabije, to ją wzmocni.

Henrik pracuje prawie tyle samo, co ona. Zrobił błyskawiczną karierę jako ekonomista w banku i właśnie dzięki niemu byli w stanie urządzić swój duży dom tak, jak chcieli.

Henrik, krojąc pietruszkę, ciągnie swoją opowieść o zemście:

- I chociaż nigdy więcej już by mnie nie zaprosili, to jednak później zaczęliby patrzeć na nią inaczej. Od czasu do czasu myśleliby: „Ciekawe, jaka ona jest naprawdę, kiedy nie stoi i nie

uśmiecha się do nas w tej eleganckiej sukience z drinkiem w ręku. Ciekawe, czy rzeczywiście jest taką wiedźmą, jak twierdził tamten facet?” To samo mógłbym zrobić z Iben i z Camillą. Bez względu na to, którą z nich spotkałbym na przyjęciu. Wszystkie na to zasłużyły.

- Nie wiedziałam, że snujesz na jawie marzenia o zemście w moim imieniu.

- To wcale nie zemsta, tylko ujawnienie prawdy. Przecież one się sprzysięgły przeciwko mojej cudownej żonie.

Clara dostaje kilka owoców przeznaczonych do deseru i biegnie z powrotem do Ulrika, a Anne-Lise znów stawia patelnię na kuchence.

- Naprawdę nieźle to wymyśliłeś.

Zdążają uporać się z jedzeniem, włożyć odświeżone ubrania i przebrać dzieci w coś czystego, a Henrik ma jeszcze czas, żeby zejść na dół i chwilę się z nimi pobawić, aby nie tęskniły za mamą od razu po przyjściu gości.

Rozlega się stukanie do drzwi. Na podjeździe słychać dziecięce głosy. Anne-Lise woła z sypialni:

- Otworzysz? Zaraz schodzę.

Henrik jest przyzwyczajony do tego, że Anne-Lise w ostatniej chwili zmienia spodnie albo nakłada tę odrobinę makijażu, jaką zwykle nosi. Dziś jednak jest gotowa na czas.

Rzuca się na wielkie łóżko. Nie miała ani chwili spokoju, odkąd zamknęła za sobą drzwi DCIL. Patrzy na biały sufit, na żyrandol firmy Le Klimt, jego duża powierzchnia przypomina lodowiec. Anne-Lise rozkłada ręce na boki, przesuwa je w górę i w dół, na białej narzucie pojawia się ślad, jakby robiła orła na śniegu. Myśli: Tak jakbym miała umrzeć. Ale to nie ma sensu.

Do sypialni wpada Ulrik. Jej pół minuty już minęło. Wstaje, pomaga synkowi znaleźć plastikową jaszczurkę, którą Ulrik chce zanieść innym dzieciom, i schodzi na dół.

- Cześć!

- Wszystkiego najlepszego! Dziękujemy za zaproszenie.

- Cieszymy się, że mogliście przyjść.

Wszystkie te zwykłe słowa.

Wydają się weseli. Policzki mają czerwone, kiedy z jesiennego chłodu wchodzą w złociste światło przedpokoju.

- Ale pięknie pachnie!

- Ciekawe, czy będzie wam smakowało?

- To danie Henrika? Jego grzyby?

- Mhm.

- Mette mi o nim opowiadała. Miałem nadzieję, że dziś będzie, ale nie ośmieliłem się pytać.

Do przedpokoju wchodzi dzieci w kurtkach. Mette nachyla się i wręcza swojemu synkowi dwie nieduże paczuszki.

- Możesz już dać prezenty Clarze i Ulrikowi.

Do salonu wbiega jeszcze więcej dzieci, w tym czasie ich rodzice zdejmują płaszcze, rozcierają plecy i ręce, potrącają się dłońmi, brzuchami, ramionami.

- Ojej, przepraszam, przepraszam.

- Nie szkodzi. Proszę, tu masz wieszak.

- Henrik! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

- Dziękuję. Chcieliśmy urządzić naprawdę wielkie przyjęcie, ale ani Lotte z Mikaelem, ani Rikke z Mortenem nie mieli czasu przez dwa kolejne weekendy, więc...

- Tak, tak, wszystkiego najlepszego. Mamy dla ciebie drobiazg.

- Dziękuję. Ładnie wygląda.

- I to jest coś dla ciebie. Cudownie, że nas zaprosiliście w zwykły dzień. Mam nadzieję, że za bardzo się nie przejmowaliście przygotowaniem.

Henrik prowadzi gości do salonu i rozlewa do kieliszków białe wino, z dwóch butelek, które kupił za pośrednictwem Klubu Konesera.

- Zapraszam.

Byłoby wspaniale, gdyby i ona mogła się tam znaleźć.

Anne-Lise stoi w przedpokoju przed lustrem, a jakiś głos w niej mówi: „Byłabym szczęśliwa, gdyby ci ludzie przyjęli mnie do siebie. Gdyby pozwolili mi stać się jedną z nich. Ja też miałabym czerwone policzki w przedpokoju. Obejmowano by mnie i zapraszano do wspólnego picia wina i do jedzenia”.

Ale przecież oni przyjęli ją do siebie. Musi pamiętać, że tu ludzie ją kochają. Należy do ich grupy. Jest więcej niż mile widziana. To jej dom i jej kolacja.

A mimo to cała jest spięta. Tak jak rano, gdy leży w łóżku i dzwoni budzik, a ona wciąż śni. We śnie nie rozpoznaje jeszcze tego przenikliwego dźwięku, ale czuje, że dzieje się coś złego. Przeczuwa, że wkrótce wszystko się rozpadnie.

Wreszcie wchodzi do własnego salonu.

- Witam jeszcze raz, i wasze zdrowie - mówi Henrik.

Teraz budzik gdzieś na małym szarym nocnym stoliku dzwoni już głośno. Ciało się wzbrania. Anne-Lise czuje, że sen wkrótce się skończy. Urodziny Henrika są nierzeczywiste. Już wkrótce podąży przez mrok ku kolejnemu dniu w DCIL.

Bibliotekarstwo pociągało Anne-Lise między innymi, dlatego, że miała wiele dobrych wspomnień z biblioteki swego dzieciństwa.

Co wieczór, kiedy sklep rodziców był już zamknięty, leżała w swoim łóżku w pokoju nad sklepem. Czytała długie, zawile powieści i marzyła, by pewnego dnia pracować z książkami.

Przed zamknięciem sklepu często trochę w nim pomagała. Miała świadomość, która napawała ją wstydem, że ten sklep jest droższy i gorszy od supermarketów. Jego klientami byli przede wszystkim emeryci i inni ludzie, którzy nie wyprawiali się zbyt daleko. Wszyscy dojeżdżający do pracy w Kopenhadze starali się robić zakupy w drodze do domu.

W porach posiłków oprócz stałych klientów wpadali także ci mieszkający najbliżej - po jakiś pojedynczy składnik, którego zabrakło im do przepisu. Anne-Lise często obsługiwała kolegów i koleżanki ze swojej klasy, gdy kupowali papierosy, słodycze i inne drobiazgi. Mieszkała w pobliżu Vedbaek, więc sporo z nich pochodziło z bogatych domów. Wielu studiowało potem prawo, handel czy ekonomię, by pójść w ślady rodziców. Ale Anne-Lise nie wybrała szkoły z uwagi na przyszłe zarobki.

Sama nigdy nie zaliczała się do bogatych. Przynajmniej dopóki Henrikowi nie zaczęło się tak dobrze powodzić w banku. Starzy znajomi mówią czasem, że musi być przyjemnie, kiedy mąż dobrze zarabia, i to prawda. Ale sukces Henrika doprowadził również do niejednej kłótni, ponieważ Anne-Lise nie chciała żyć tak, jak żony niektórych jego kolegów.

Stoi przy czarnym oknie wychodzącym na ogród, daleko od pokoju, w którym bawią się dzieci.

- Ach, dziękuję - mówi, przyjmując od kolejnych gości czerwono-pomarańczowy bukiet - dla gospodyni.

Zdaje sobie sprawę z tego, że jej myśli i uczucia są niesprawiedliwe. Jest niewdzięczną dziewczynką, która dostała przecież swój prezent.

Zupa się udała. Gęsta, niezbyt tłusta, a kawałki karczochów, które dodała w ostatniej chwili, mają odpowiednią konsystencję. Pieczeń z jelenia może odrobinę za długo stała w piekarniku, ale nie na tyle, by miało to jakieś znaczenie, a wino, które wybrał Henrik, idealnie pasuje do potrawy z grzybów. Dzieci się bawią, dawno już odeszły od swojego stolika z klopsikami rybnymi i frytkami. Matka Anne-Lise też wstała, żeby zająć się dziećmi. Przy stole dla dorosłych goście wznoszą toasty. Rozmawiają, bawią się.

Anne-Lise wychodzi do toalety. Zostaje tam dość długo. Wyjmuje trzy waciki z przezroczystej torby wiszącej przy szafce. Drze płatki na kawałki i z kłębków waty toczy nieduże, twarde kulki.

Deser to wariacja na temat hiszpańskiego flanu z warstwą leśnych owoców na spodzie. Mette, bratowa Henrika, pochyla się nad rogiem stołu.

- Jak tam w pracy?

- W porządku. Mam dużo roboty, ale dobrze jest mieć przekonanie, że to, co się robi, ma dla kogoś znaczenie. Tylko w ubiegłym tygodniu zwracano się do nas z Buenos Aires, Rzymu i oczywiście z Nowego Jorku i Brukseli, ale tak jest, co tydzień. I z wielu innych miejsc. Koleżanka, która zwykle przyjmuje takie zgłoszenia, dwa razy była na wykładzie, więc to ja musiałam...

- Henrik mówił, że koleżanki w pracy nie są dla ciebie zbyt miłe.

- Co?

- Mówił, że ciężko ci się z nimi pracuje.

- Co on ci powiedział?

- Nic szczególnego. Tylko tyle, że jest ci przykro, że nie układa ci się tam zbyt dobrze.

- I to wszystko?

Mette śle przepraszające spojrzenie Henrikowi, który wygląda na zaniepokojonego. Mette zaczyna mówić coraz szybciej:

- Widzisz, opowiadałam mu o jednym z szefów, który się na mnie uwziął, a on mi na to powiedział, że problemy z innymi ludźmi w pracy to nic nowego. Potem się zastanawialiśmy, na ile to powszechne. I wtedy Henrik wspomniał, że twoje koleżanki są bardzo niesympatyczne. Że ty jesteś świetna w tej pracy i zawsze traktujesz je życzliwie, a one mimo to nie chcą z tobą rozmawiać.

- No, aż tak źle nie jest.

Anne-Lise i jej szwagierka wymieniają uśmiechy. Wypadłoby naturalnie, gdyby Anne-Lise rozwinęła ten temat, Mette by się wtedy tak nie denerwowała, że powiedziała coś nie tak.

Anne-Lise patrzy również na Henrika.

Nie jest w stanie skupić się na tyle, by w ogóle się odezwać. Milczy. Zupełnie tak samo jak w biurze. Próbuje się uśmiechać i życzliwie patrzeć na gości, utrzymać dobry nastrój urodzinowego przyjęcia. Ale czuje, jak jej twarz zastyga w grymasie.

Atmosferę biura i panującego w nim zła przywlokła do domu, do Bogu ducha winnych ludzi. Niszczy świat, który jest tutaj.

Musi wstać, chociaż nie wie, dokąd pójdzie.

Henrik natychmiast wychodzi za nią, dogania ją przy schodach. Anne-Lise ciągnie go za sobą do sypialni.

Dopiero tam zaczyna krzyczeć.

- Wszyscy ludzie oceniają innych po tym, jak się sprawdzają w pracy! I zawsze myślą, że to twoja wina, kiedy coś układa się nie tak! Nie chcę, żeby moi przyjaciele sądzili, że nie potrafię się dogadać z koleżankami z pracy!

- Przecież wcale tak nie myślą!

- Gwarantuję ci, że niektórzy myślą: Ciekawe, czy to nie jej wina? Będą uważali, że to ze mną ciężko się pracuje, że w ogóle jestem trudną i dziwną osobą.

- Ja wcale tak nie uważam.

- Ale ja tak uważam. I to o mnie chodzisz i opowiadasz. Opowiadaj o swoich tajemnicach, a nie o moich!

- No już dobrze, dobrze.

Anne-Lise rzuca się na łóżko i wciska głowę w poduszkę. Ma wrażenie, że płacze, ale z jej oczu nie płyną łzy.

- Chcę mieć, chociaż jedno miejsce, gdzie będę wolna. Gdzie nie będę osądzana jako zła bibliotekarka.

- Przecież nikt nigdy nie nazwał cię złą bibliotekarką.

- Kiedy ludzie cię nie szanują, zaczynają cię źle traktować.

Czuje rękę Henrika, która gładzi ją po włosach.

- Już dobrze, przepraszam, że to powiedziałem. Nasi przyjaciele cię znają, zawsze będą cię szanować. Nie są tacy jak one, w centrum.

- Jeśli i tutaj się popsuje, to nic mi już nie zostanie.

Wciąż nie może dojść do siebie. Słyszy, że mówi bez przekonania, ogarnia ją bezsilność i odbiera moc głosowi.

- Nie będę miała już nic, kompletnie nic.

- Anne-Lise, oni nigdy nic podobnego nie zrobią.

- Owszem, zrobią. Jak złączą kimś pogardzać, staną się źli.

- Ja nigdy nie będę tobą pogardzał. Tak samo jak dzieci i nasi przyjaciele. Nigdy nie będzie tak, że nie zostanie ci nic.

Obejmuje ją, unosi jej głowę.

- Chodź już na dół, Anne-Lise.

Na dole goście udają, że nic się nie stało. Oprócz kobiet, które posyłają jej współczujące spojrzenia. Anne-Lise bez słowa, z odrobiną wilgoci pod powiekami, stuka się kieliszkiem z Henrikiem, na chwilę zatapiają się w swoich oczach.

8

Następnego dnia rano, gdy Anne-Lise chce wejść do DCIL, zatrzymują ją dwaj policjanci.
- Dokąd pani idzie?

Sprawiają wrażenie poważnych, jak gdyby na klatce ktoś umarł. Ich nastrój jest zaraźliwy.

- Pracuję w Duńskim Centrum Informacji o Ludobójstwie.

- Czy ma pani identyfikator?

- Oczywiście. A co się stało?

Mężczyźni mają bezbarwne głosy. Mówią, że pracownikom centrum ktoś groził.

- Nic o tym nie słyszałam! Czy ktoś doznał jakichś obrażeń?

- Nie, na razie nic nam o tym nie wiadomo. Koledzy są u państwa w biurze. Lepiej porozmawiać z nimi.

Przepuszczają Anne-Lise. Spieszy się do windy, w drodze na górę dzwoni do Henrika, ale nie zastaje go w biurze.

Na podeście schodów przed drzwiami do centrum nie ma policji. Anne-Lise wchodzi do Ogrodu Zimowego, gdzie Camilla przy swoim komputerze codziennie rano o pół do dziewiątej zwykle odwraca się do niej plecami.

Teraz Camilla wychodzi z gabinetu Paula. Jej okrągła twarz rozjaśnia się z ulgą, jak gdyby miała ochotę uściskać Anne-Lise.

- Och, nie mieliśmy pojęcia, co się z tobą stało.

- Ja... ja...

- Wejdz. Siedzimy w gabinecie Paula.

Wszyscy zgromadzili się wokół jasnego stołu konferencyjnego i rozmawiają z dwoma policjantami. Jeden ma wrażliwą twarz i jest podobny do wychowawczynie z przedszkola Clary. Drugi, starszy, musi być jego szefem.

Iben robi Anne-Lise miejsce, odsuwając stos teczek z materiałami o Timorze Wschodnim.

- Próbowaliśmy dzwonić do ciebie wczoraj wieczorem. I to nie raz! Ale nie było cię w domu i nie włączyłaś sekretarki. Doszliśmy, więc do wniosku, że porozmawiamy dzisiaj. Ale kiedy nie przyszłaś o zwykłej porze...

- No tak, trochę się spóźniłam, bo... Bardzo mi przykro, nie zdążyłam...

Włącza się Paul.

- Zaczęliśmy się niepokoić, czy nic ci się nie stało. Ty nie dostałaś maila?

- Maila?

Koleżanki patrzą na Anne-Lise z zainteresowaniem. To rzecz niebywała.

- Nie, a o co chodzi? A poza tym wczoraj przez cały wieczór byłam w domu.

- Naprawdę?

- Były urodziny Henrika.

Anne-Lise siada, a Iben zaczyna kartkować swój kalendarz. Okazuje się, że kiedyś źle zapisała numer telefonu Anne-Lise, od tamtej pory go nie potrzebowała.

Iben zwraca się do policjantów:

- A więc tylko Malene i ja dostałyśmy maile - podsumowuje.

Anne-Lise nalewa sobie kawy, Paul w tym czasie opowiada jej o wydarzeniach poprzedniego wieczoru, a Iben dodaje:

- Dopiero po tym, jak stwierdziłyśmy, że maile mogą pochodzić od Mirka Żigicia, policja...

Starszy z policjantów wtrąca:

- Przecież szuka go Interpol, mamy, więc teraz nadzieję, że trafi nam się szansa w Danii.

Iben i Malene najwyraźniej spędziły sporą część nocy w kawiarence internetowej, nie znalazły jednak niczego, co mogłoby je doprowadzić do Żigicia. Mail został wysłany za pośrednictwem anonimowego serwera i nie da się go wytropić. Obie wyglądają na wykończone. Zwłaszcza Iben ma pod oczami czarne koła.

Ale mimo to nie wydają się znużone, raczej pobudzone. Pełne energii, jaką daje adrenalina. Ich spojrzenia mówią, że wszyscy w centrum muszą się teraz zjednoczyć w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. I Anne-Lise jest dzisiaj w stanie nawiązać z nimi kontakt wzrokowy.

Policja pobieżnie sprawdziła biuro i mieszkania obu dziewcząt, ale nie znalazła żadnych śladów.

Mniej więcej po półgodzinie starszy z policjantów, stukając opuszkami palców w blat, oświadcza:

- Niewiele więcej możemy tu zrobić. Śledztwo przejmie dziś Wydział Przepływów Komputerowych Policji w Kopenhadze.

Iben wydaje się jakaś inna niż zwykle. Odsuwa przypadkowy stos fotokopii ze swojej strony stołu.

- Więc panowie już odchodzą?

- Tak, już idziemy.

- A co będzie, jeśli Zigić tu przyjdzie?

- Przy drzwiach na dole zostaje dwóch naszych ludzi. Nie musicie się bać. Oni mają doświadczenie w takich sprawach.

Patrzą na niego, wzrokiem zmuszając, by dodał coś jeszcze.

- Mogę tylko powiedzieć, że to wysoce, właściwie absolutnie nieprawdopodobne, żeby się tu pokazał. Ale jeśli się zjawi, to wszyscy będziemy mieli szczęście, bo wtedy uda nam się go złapać.

Anne-Lise wcale nie jest przejęta sytuacją, stara się jednak wczuć w ten nastrój i udawać, że też się boi.

Iben nie daje za wygraną:

- To znaczy, że ci dwaj mężczyźni na dole mają odpowiednie doświadczenie w zatrzymywaniu najemnych żołnierzy ludobójców, którzy zamordowali setki ludzi, a wcześniej ich torturowali?

Policjant o wrażliwej twarzy spokojnie kiwa głową.

- Jeśli tak się niepokoiacie, to pamiętajcie, że taki człowiek jak Zigić nie wysyłałby maili przed zamachem, tak wynika z naszego doświadczenia.

- No tak - wtrąca Malene. - On po prostu pojawiłby się na ulicy bez uprzedzenia. Tak jak było z Olofem Palme, prawda?

Starszy z policjantów odsuwa filiżankę.

- To szwedzka policja... To tragedia, którą zajmuje się szwedzka policja.

Pakuje teczkę.

- Jesteśmy bardzo zajęci, musimy wracać na posterunek. Proszę dzwonić do Wydziału Przepływów Komputerowych, jeśli pojawi się coś nowego w sprawie. Być może oni sami w pewnym momencie również się z państwem skontaktują.

Wrażliwy policjant już wychodzi i ciągnąc swoje ciężkie czarne torby, dodaje:

- Nikt z policji duńskiej nie był zaangażowany w śledztwo w sprawie morderstwa Palmego.

Po wyjściu policjantów, dalej siedząc w gabinecie Paula, rozmawiają o nowej sytuacji. Iben powtarza kilkakrotnie:

- Oczywiście policja ma rację. To nic takiego.

Mówi to jednak bez swego zwykłego chłodu. Jest jakaś inna.

Anne-Lise, udając wystraszoną, szuka śladów przerażenia w twarzach pozostałych osób. Czy Camilla, Malene i Paul boją się naprawdę? Czy oni też tylko udają, żeby dostosować się do grupy i dowieść swojej solidarności ze zdenerwowaną Iben?

Wszyscy mówią przejętymi głosami o niebezpieczeństwie i zastanawiają się, kto oprócz Mirka Żigicia mógłby wysłać te maile. Właściwie powtarzają to, co już mówili. Mniej więcej po trzech kwadransach Paul wreszcie wstaje.

- Zostańcie tutaj. Rozumiem, że musicie o tym porozmawiać. Dzisiejszy dzień zdecydowanie nie jest normalny. Ale ja, niestety, muszę już wyjść. Mam spotkanie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Powiecie mi później, co ustaliliście.

Camilla śmieje się z niedowierzaniem. Jak gdyby Paul zażartował.

- Paul, przecież nie możesz teraz wyjść!

- Owszem, mam taki zamiar. Czy coś stoi temu na przeszkodzie?

- To niebezpieczne.

- E, nie sądzę, żeby coś się stało. Włącza się Iben:

- Uważam, że powinniśmy podejść do tego bardzo poważnie. Paul siada z zatroskaną miną. Siedzi jednak w taki sposób, że nim minie minuta, znów wstanie.

- Nie wolno wam myśleć, że ja nie traktuję tego poważnie. Naprawdę. Uważam, że to bardzo poważna sprawa.

Patrzy każdej w oczy. Anne-Lise jest nieprzyzwyczajona do takiego kontaktu wzrokowego w tym miejscu. Bardzo ją to cieszy.

- Ten policjant powiedział prawdę - ciągnie Paul. - Żaden doświadczony żołnierz nie wysłałby maila z pogrózkami tuż przed planowanym zamachem. Nadawcy chodzi o to, żeby nas zastraszyć. Żebyśmy nie mogli pracować. Na tym polega rzeczywiste niebezpieczeństwo i do tego nie wolno dopuścić.

Znów wstaje.

- Ale wy sobie rozmawiajcie dalej. Nie oczekuję, że uda wam się dzisiaj dużo zrobić. Postaramy się to nadgonić w następnych dniach.

Siedzą dalej. Anne-Lise uczestniczy w dyskusji o tym, jak najlepiej się chronić i jak wytropić Żigicia.

Ale w sposobie wyjścia Paula jest coś lekceważącego. Jego słowa: „Rozumiem, że musicie o tym porozmawiać” nabierają dziwnego wydźwięku w sytuacji, kiedy on nie ma w ogóle takiej potrzeby.

Czy Paul myśli, że one muszą siedzieć i cały dzień to roztrząsać tylko, dlatego, że są kobietami?

Wracają do swoich komputerów i próbują się skupić na pracy.

W bibliotece Anne-Lise dzwoni do Henrika:

- One na mnie patrzyły!

Powtarza jeszcze raz:

- Mówiły do mnie tak zwyczajnie, jakby nic im we mnie nie przeszkadzało!

- Dziękujemy temu, kto wysłał te maile - mówi Henrik.

Anne-Lise okręca sznur telefoniczny wokół palca.

- Ciii...

* * *

Wszyscy w DCIL wiedzą, że spotkania w Ministerstwie Spraw Zagranicznych to jedyna rzecz, która może wyprowadzić Paula z równowagi.

Tam, bowiem ważą się rozmiary projektów i przyszłość DCIL. Centrum jest instytucją samodzielną, stałe koszty jego działalności pokrywa Ministerstwo Nauki, Technologii i Rozwoju. Wydatki na projekty, publikacje i konferencje mają pochodzić z dotacji rozmaitych fundacji i środków z puli - których spora część jest w gestii Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Na Paulu spoczywa wielka odpowiedzialność, bo jeśli Ministerstwo Spraw Zagranicznych w którymś roku dojdzie do wniosku, że centrum nie jest wystarczająco potrzebne i efektywne, i nie zechce przeznaczyć środków na nowe inicjatywy, może to oznaczać zwolnienia.

Problem jednak polega na tym, jak mówi Paul, że urzędnikom w Ministerstwie Spraw Zagranicznych DCIL może się wydać zbyt efektywne. I stąd jego obawy, by nie przyszło im do głowy przenieść administrowania środkami centrum do ich własnego resortu. Na pierwszy rzut oka może się wydawać obojętne, z którego ministerstwa pochodzą środki na działalność statutową, ale Paul dokonał pewnych obliczeń:

Zadania Instytutu Praw Człowieka są bardzo zbliżone do zadań DCIL. To również samodzielna instytucja, a koszty jej działalności pokrywane są ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Gdyby DCIL zostało przeniesione do tego samego ministerstwa, pewnego dnia młodzi i niedoświadczeni eksperci od racjonalizacji mogliby uwierzyć, że coś upraszczają, włączając DCIL do zatrudniającego już setkę ludzi Instytutu Praw Człowieka.

Wówczas Paul nie mógłby już publikować komentarzy i udzielać wywiadów telewizyjnych jako szef DCIL. Zostałby jednym z wielu dyrektorów podległych Mortenowi Kjaerumowi z IPC i media przestałyby walczyć o jego głos. A to w opinii Paula uniemożliwi DCIL realizację celów, do jakich zostało powołane, a mianowicie informowania opinii publicznej o zbrodniach ludobójstwa.

Dzisiejsze spotkanie nie jest jednak, przynajmniej z tego, co widzą, jednym z tych ważnych spotkań. Paul ma chyba tylko robić dobre wrażenie.

Przez resztę przedpołudnia Anne-Lise rozpakowuje paczki z książkami nadesłane z zagranicy i rejestruje ich zawartość.

Kiedy przychodzi pora lunchu, Paula wciąż nie ma. Jak zwykle siedzą w małej sali konferencyjnej. I jak zwykle przy kanapkach. Chleb jest jeszcze bardziej czerstwy niż zazwyczaj, bo żadnej nie chciało się przechodzić przez obstawę policyjną i pójść do Super-Brugsen po świeże pieczywo pszenne. Wyciągają z lodówki krojony chleb żytni.

Camilla prawie nic nie je, ręce ma zwieszane w geście rezygnacji.

- To nie musi być Zigić. Tak naprawdę to chyba może być wielu innych.

Iben odpowiada energicznie, usiłując pospiesznie przełknąć resztki jedzenia, które ma w ustach.

- No tak. Liczyłam kiedyś, ilu obecnie żyjących mężczyzn brało czynny udział w ludobójstwie. Wychodzi, co najmniej piętnaście milionów. To znaczy pięć razy tyle, ile jest

wszystkich mężczyzn w Danii bez względu na wiek. A ich sympatyków jest jeszcze więcej. Może nawet kilkaset milionów - tyle ludności jest w Europie i w Stanach Zjednoczonych razem. A zatem trudno jest stwierdzić, kto jeszcze oprócz Żigicia może poczuć się szczególnie dotknięty publikacjami na naszej stronie.

Malene patrzy na nią pytająco, więc Iben odpowiada:

- Około miliona w Rwandzie, tyle samo w Sudanie i w Kambodży. Co najmniej pięć milionów w Chinach, około trzech w Rosji. No i cała reszta. Wychodzi mniej więcej tyle, ile mówiłam.

Iben dalej zwraca się do Camilli:

- Kiedy wybuchła wojna, coś dziwnego zaczyna dziać się z większością mężczyzn. Czytałaś te trzy kolumny Stjernfelta na temat Bośni, które kilka lat temu zamieściła „Weekendavisen”?

- Nie.

- To ciągle ta sama historia: Kobieta jest żoną miłego mężczyzny, którego wszyscy w rodzinie lubią i przy którym czują się bezpiecznie. Nawet jej się nie śni, że on może mieć w sobie jakieś inne strony. On sam pewnie też nie ma o tym pojęcia. I gdyby nie wojna, żadne z nich nie wiedziałoby, co w nim siedzi. Ale wojna wybuchła.

Anne-Lise często myślała o tym, że to Iben powinna jeździć z wykładami zamiast Malene. Ona zawsze daje się porwać temu, o czym mówi.

- A pewnego dnia żona wstaje rano i znajduje kartkę, że on odszedł. Przyłączył się do jakiejś bojówki paramilitarnej. Jeśli ma szczęście, to mąż wróci do niej i do dzieci po kilku latach czy miesiącach. I ona wie, że on w tym czasie uczestniczył w egzekucjach, jako snajper strzelał do cywilów, torturował więźniów, z pewnością również gwałcił inne kobiety, a później je zabijał, plądrował i palił domy. Tymczasem on wraca i usiłuje podjąć normalne życie.

- I co?

- Pisałam o tym między innymi w tym artykule o Żigiciu. Niektórzy się z tego otrząsają, mówią: „To była wojna”, i stają się normalni jak przedtem. I nigdy nie przychodzi im do głowy, by kogokolwiek zgwałcić czy zamordować. Inni nie potrafią się od tego oderwać. Są odmienieni.

- Chcesz powiedzieć, że we wszystkich mężczyznach jest taki guzik, który wystarczy nacisnąć, żeby zmienić ich w morderców?

- W każdym razie w większości z nich. Tak przynajmniej mówią fakty. Nasza biblioteka jest pełna podobnych przykładów. Prawda, Malene?

- Owszem.

- Nie ma podstaw, by zaprzeczać temu twierdzeniu.

Camilla się nie odzywa, lecz taki obrót rozmowy wyraźnie jej nie odpowiada.

Iben wciąż jest rozemocjonowana. Bierze plasterki pokrojonej chorizo i wciska z powrotem plastikowe wieczko od pudełka.

- No dobrze. Dzisiaj opowiem wam coś, o czym nigdy wcześniej tutaj nie wspominałam. Kiedy byłam mała, mieliśmy psa. Owczarka niemieckiego. Nazywał się Max. Wszystkie dzieci z naszej ulicy uwielbiały się z nim bawić. Nie zawsze było mu łatwo. Kiedy byliśmy naprawdę mali, ciągnęliśmy go za ogon, wtykaliśmy mu palce do oczu albo do pyska. A on na wszystko się godził. Max był u nas przez wiele lat. Ale pewnego dnia poszliśmy na spacer. Bez smyczy, bo zawsze wracał, kiedy go wołaliśmy. - Iben na chwilę milknie. - Właśnie tego dnia wyszliśmy z naszego osiedla domków do pobliskiego lasu. I nagle Max uciekł. W ogóle nie można się go było dowołać. Kiedy wreszcie mój ojciec go znalazł, okazało się, że Max zagryzł jelenka. Był strasznie podniecony i cały łeb miał we krwi. Nigdy wcześniej nie widział jelenia, a mimo to pogonił zwierzaka i rzucił mu się prosto do gardła.

Camilla siedzi z otwartymi ustami.

- To dopiero!

- Weterynarz stwierdził, że Max stał się teraz niebezpieczny, bo już raz zazał oszołomienia krwią. Teraz to był zupełnie inny pies.

Wszystkie dzieciaki z ulicy płakały, a u nas w rodzinie się uważało, że to bardziej nasza wina niż jego. Ale rodzice musieli się zgodzić na uśpienie Maksa.

Malene i Iben wymieniają przelotne spojrzenia. Anne-Lise domyśla się, że Malene już zna tę historię. Po przerwie wyjdą razem z Iben do kuchni albo do powielarni i będą rozmawiać tylko we dwie.

Camilla odsuwa od siebie talerzyk i patrzy na Iben.

- To znaczy, że według ciebie mężczyźni są jak twój pies? Malene pochyla się nad stołem.

- Iben uważa, że wszyscy jesteśmy jak zwierzęta. Prawda, Iben?

- Przynajmniej pod pewnymi względami... Nie powinniśmy byli zabierać go tam, gdzie wrodzone instynkty kazały mu zabić. On nie mógł nic na to poradzić.

Coś w tej rozmowie wywołuje w Camilli większe wzburzenie, niż Anne-Lise kiedykolwiek u niej widziała. Jej przemiły telefoniczny głos gdzieś znika:

- Więc tobie żal Mirka Żigicia, ponieważ wieszał ludzi na drzewach w taki straszny sposób?

- Można się go bać, bez względu na to, co nim kieruje. Tak samo jak należało się bać, że Max zrobi krzywdę dzieciom.

Anne-Lise po raz pierwszy włącza się do rozmowy. Łagodzi napięcie, wtrącając swoje przemyślenia:

- Skoro w mężczyznach cały czas tkwi coś, co może zmienić ich w morderców, to czy nie ma tego również w kobietach?

Iben odpowiada, ale po niej i po Malene widać, że są zmęczone:

- Owszem... Ale nigdy nie czyta się o bojówkach, składających się wyłącznie z kobiet, które ciągną przez kraj, mordują, plądrują i palą wszystko, co spotkają na drodze.

Camilla wygląda tak, jakby usiłowała zgiąć widelec, który trzyma w rękach.

- Mówisz, jakbyś broniła Żigicia, który grozi, że nas pozabija.

- Mówię tylko, że oni również są ofiarami wojny. Wojna wyzwala w nich coś, co w innych okolicznościach by się nie ujawniło. Pewnie później są tak wstrząśnięci własnym zachowaniem, jak wszyscy inni pozostali przy życiu. Na pewno są w szoku i myślą: Co takiego się stało? Co ja zrobiłem?

Camilla obrzuca szybkim spojrzeniem wszystkie po kolei.

- Uważam, że nie możesz porównywać cierpień katów, wiedząc, jakimi są ludźmi, z cierpieniami ich ofiar.

Malene głośno wzdycha.

- A więc wracamy do naszej starej dyskusji: „Ile w człowieku jest wrodzonych instynktów, a ile wolnej woli?”

Iben ten przerywnik Malene tylko denerwuje.

- Bardzo możliwe, że to stara dyskusja, ale kiedy tak naprawdę o tym rozmawialiśmy?

- Z czysto etycznego punktu widzenia należy chyba przyjąć, że to ofiary mają prawo... - odpowiada Malene. - Nie, nie wiem, do czego zmierzam.

Ich sposób rozmowy jest podszyty niepokojem. Być może pod tymi wszystkimi słowami czai się strach przed Mirkiem Żigiciem. Są jakieś inne. Bardziej dzikie. Anne-Lise ma ochotę iść do siebie. Czuje, że za parę sekund jedna z nich może wybuchnąć nagłym atakiem złości i padną słowa, których nie da się już cofnąć.

Camilla odkłada widelec daleko na stół.

- Iben, twoim zdaniem wszyscy są ofiarami, również gwałciciel?

- Owszem.

- A co z mężczyzną, który dokonuje gwałtu nie na wojnie? Przecież on też nie jest w stanie poskromić swoich instynktów.

- Mówię tylko, że zaskakująco wielu mężczyzn ma to okrucieństwo w sobie, ale po prostu brakuje im okazji, żeby je ujawnić.

- I dlatego mamy się nad nimi użalać? Należałoby im zaproponować terapię i wsparcie, bo nie mają, z kim porozmawiać o kobietach, które zgwałcili?

Łagodny zazwyczaj głos Camilli wciąż brzmi dziwnie obco.

- Rozmawiamy o mężczyznach, którzy być może chcą nas zabić!

- O tym też nie musimy rozmawiać.

- Iben zawsze stara się patrzeć na wszystko z pozycji innych ludzi - mówi cicho Malene. - Bez względu na to, kim są ci inni.

Cisza.

Malene próbuje ironizować:

- Iben jest zdania, że Zigić tkwi gdzieś sam pod ziemią, może w Kopenhadze, i myśli: „Gwałciłem żony i córki moich przyjaciół. Malowałem serbskiego orła na ścianach ich domów, zanurzając ich odcięte kończyny we krwi rozlanej po podłodze i używając ich jako pędzla. Ale czy to znaczy, że jestem złym człowiekiem?”

To, co miało być rozbajającym śmiechem, zastyga na ustach, które lekko się rozciągają. Żadna się nie śmieje. I Malene wraca do poważnego tonu:

- On jest wstrząśnięty.

- To oczywiste. Żadna już nic nie je.

Malene zerka porozumiewawczo najpierw na Iben, potem na Camille.

- A jeśli założymy teraz, że on rzeczywiście jest normalnym człowiekiem... Pomyślcie, gdyby robił te wszystkie straszne rzeczy, a potem uciekał i nie miał, z kim o tym porozmawiać...

Anne-Lise intuicyjnie wyczuwa, co nadciąga ze strony koleżanek. Boi się. Chce wstać, ale to wciąż zaledwie wrażenie, a ona przecież od dawna marzyła, by wejść do ich kręgu.

Camilla gwałtownie przerywa:

- W każdym razie ze mną nie mógłby rozmawiać. To więcej niż pewne! Rozumiem i akceptuję ludzi, ale to... To przekracza granice mojej tolerancji.

Iben podchodzi do rzeczy bardziej praktycznie.

- A gdyby tak wykorzystać jego samotność jako sposób na odnalezienie go? Może pisze te maile wyłącznie z samotności? Może je do czegoś wykorzystamy?

Teraz Anne-Lise już wstała. Chce stąd odejść. Ale gdy stoi przy odsuniętym krześle, wciąż blisko stołu, słyszy skradające się słowa Malene:

- Może to tylko my mamy potrzebę rozmawiania z innymi. Nie wiadomo, czy z takim typem jak on jest tak samo.

Jej oczy, spokojne i niemal życzliwe, skierowane są na Anne-Lise, która pragnie jedynie stąd odejść, która już się odwraca, która myśli, że woli już raczej zabrać stąd coś do kanapek i wyjść. Pochyla się nad stołem, sięga po niewielki pojemnik, ale widzi, jak Malene uśmiecha się leciutko i mówi:

- Na pewno bardzo się różnimy. Ja na przykład nigdy nie wytrzymałabym tak jak ty, Anne-Lise, całymi latami sama jedna w pracy przez cały dzień.

9

Malene, Iben i Camilla nic nie mówią. Czekają. Ich dłonie leżą martwe na blacie.

Co Anne-Lise odpowie? Stoi z pojemniczkami sera i pasztetem w jednej ręce. Już wychodzi z małej sali konferencyjnej. Patrzy w stół. Mruczy, trudno ją zrozumieć.

- Ja również tak jak ty chętnie bym z kimś porozmawiała.

Już ciszej nie może tego powiedzieć.

Pytania koleżanek wybuchają nagle, wszystkie naraz.

- O co ci chodzi?

- Przecież możesz rozmawiać z nami!

- Przecież my tu jesteśmy!

Nie chce już odpowiadać szczerze i życzliwie. Najmniejsza, bowiem szczelina w kłamstwie sprawi, że będą się przez nią próbowały precyzyjnie całe rzeki większych prawd. Jedyna możliwa prawda stanie się krzykiem, płaczem, wybuchem nienawiści. Nie ma już żadnego konstruktywnego sposobu, żeby to powiedzieć.

Anne-Lise wciąż stoi w milczeniu, Malene natomiast najwyraźniej niczego nie zauważa. Zwraca się, bowiem do koleżanek:

- Ale to przecież prawda, że Anne-Lise nie pracuje z nikim tak blisko jak my.

Trzy kobiece głosy splatają się poufale, przyzwyczajone do siebie:

- Nie może w taki sam sposób jak my rozmawiać przez biurko.

- Ale to przecież nie nasza wina.

- Nikt nie powiedział ani słowa o tym, że to czyjaś wina.

- Przecież zawsze możesz do nas przyjść. Drzwi nie są zamknięte na klucz.

- To zabrzmiało tak, jakbyśmy zrobiły ci coś złego.

- Nie, nie.

- Anne-Lise, co miałaś na myśli, kiedy to mówiłaś?

- Chciałaś powiedzieć, że nie chcemy z tobą rozmawiać? Bo tak to zabrzmiało.

- Chyba tak nie myślisz? Przecież zawsze możesz się do nas zwrócić.

Wszystkie trzy patrzą teraz na nią. Starając się z całych sił nad sobą zapanować, niemal wypluwa przesadnie wyraźne słowa:

- Wy się przecież ze sobą przyjaźnicie. To oczywiste, że rozmawiacie ze sobą inaczej niż ze mną.

Nic więcej nie mówi.

Otacza ją zapach kiełbasy i pasztetu unoszący się z tacy i ze stołu. Zapach jedzenia jest bladobrunatny, jak tekturowe pudła z dokumentami ustawione jedno na drugim pod ścianą.

Malene się uśmiecha.

- No właśnie. Iben i ja się przyjaźnimy. A przyjaźń to coś innego niż znajomość z pracy.

- Oczywiście.

- Kiedy się razem pracuje, trzeba się do siebie odnosić życzliwie i przyzwoicie, to jasne. Ale prawdziwa przyjaźń to coś zupełnie innego.

- Tyle razy zaglądałam do ciebie do biblioteki, kiedy szłam do piekarni albo do supermarketu, i pytałam, czy czegoś ci nie kupić.

- A kiedy robimy przerwę, to ciebie też wołamy, żebyś mogła być z nami.

Iben wychyla się ze sztucznie poważną miną.

- Może nie zawsze pamiętamy, żeby iść po Anne-Lise, gdy o czymś rozmawiamy? Może... może mogłybyśmy bardziej tego pilnować.

Anne-Lise czuje ucisk w gardle. Ta rozmowa przy lunchu najwyraźniej jeszcze się nie skończyła, zmuszona jest, więc odstawić pojemnik z jedzeniem i z powrotem usiąść. Wciąż milczy.

Malene obserwuje ją, podnosi głos, zagłuszając koleżanki:

- No dobrze, ale ty chyba rozumiesz, że więcej się rozmawia z przyjaciółką niż z koleżanką z pracy?

Camilla wciąż nie może się oderwać od tropu, na który wpadła wcześniej:

- Skąd mamy wiedzieć, że to ma dla ciebie takie wielkie znaczenie, jeśli o tym nie mówisz?

Wiele osób lubi samotność.

Malene życzliwie kiwa Camilli głową.

- Chciałabym, żeby Anne-Lise nam na to odpowiedziała. Anne-Lise czuje, że musi iść do toalety.

- Tak... - mówi słabym głosem.

Malene patrzy na nią ze szczerym zainteresowaniem w oczach. I Anne-Lise, zwracając się do niej, kończy:

- ...tak, rozumiem.

Już sobie wyobraża, jak bardzo zirytuje się Henrik w domu, kiedy mu powie, że tak się wycofała.

Koleżanki jedna przez drugą zapewniają o swojej niewinności.

Chwilę później Anne-Lise dodaje, wciąż znacznie ciszej, niż naprawdę by chciała:

- Może wolałbym nie być aż tak...

Myśli o Henriku i stara się dokończyć zdanie:

- ...bo te drzwi do mnie są stale zamknięte.

Camilla podrywa się z krzesła. Opierając się dłońmi o blat stołu, pochyla się nad Anne-Lise.

- Anne-Lise, przecież o tym już rozmawialiśmy! Znów mamy do tego wracać?

Camilla oddycha ciężko, szuka wzrokiem wsparcia u Malene i Iben. Znalazłszy je, ciągnie:

- Przecież to już ustaliliśmy! Wypraszam sobie słuchanie takich rzeczy!

Ponieważ biurka Iben i Malene stoją w pobliżu drzwi do biblioteki, a Camilla siedzi przy drzwiach do gabinetu Paula, w drugim końcu Ogrodu Zimowego, otwarte drzwi do biblioteki sprawiłyby, że Malene i Iben siedziałyby bliżej Anne-Lise niż Camilli.

Iben z troską patrzy na Camillę i lekko macha ręką, skłaniając ją, by z powrotem usiadła.

- Nie zamierzam narażać swojego zdrowia tylko, dlatego, że te drzwi miałyby być otwarte - mówi Camilla. - Z całą pewnością do tego nie dopuszczę.

Iben zwraca się do niej łagodnie:

- Anne-Lise przecież nie powiedziała, że drzwi mają być otwarte, tylko, że jest pewna różnica, ponieważ są zamknięte.

- Przeciąg to najczęstsza przyczyna chorób zawodowych! Dobrze o tym wiesz, Anne-Lise! Chcesz, żebym dostała reumatyzmu tylko, dlatego, żebyś ty miała drzwi otwarte? Nie zamierzam o tym znów dyskutować! - Camilla z gniewu wystąpiły na twarzy czerwone plamy. - Czytałam o tym. Najbardziej niebezpieczny jest przeciąg, którego się nie czuje. Od przeciągu można zostać inwalidą! Można iść na rentę!

Iben i Malene zostawiają Anne-Lise miejsce na odpowiedź. Czekają. Ale ona nic nie mówi. To wszystko się ze sobą wiąże i tyle tego jest. Na dworze nagle słońce wygląda z dziury w chmurach i w środku robi się jaśniej. Promienie słońca odbijają się w szerokiej taśmie, którą oklejone jest jedno z pudeł w stosie przy drzwiach.

Otwiera usta, ale słowa nie chcą się z nich wydobyć. A potem następuje to, co przeczuwała: Czuje ucisk za oczami. Z trudem go powstrzymuje, ale dłonie i ramiona zaczynają jej drżeć. Tak nie może być. Nie może tu tak siedzieć bez słowa i tylko się trząść.

Koleżanki wymieniają spojrzenia.

To także będą mogły wykorzystać przeciwko niej. Od tej chwili będą mogły mówić, że jest psychicznie niezrównoważona. Nigdy jeszcze się tak nie trzęsła. Jakby była alkoholiczką albo lekomanką.

To nie odwaga dodaje jej sił na odpowiedź. Słowa płyną, ponieważ milczenie i drgawki wydają się jeszcze groźniejsze. Mówi przesadnie szybko:

- Chodzi mi też o to, że nie mam bezpośredniego kontaktu z użytkownikami. Gdybym mogła z kimkolwiek rozmawiać, wszystko wyglądałoby inaczej. W innych bibliotekach czytelnicy rozmawiają z bibliotekarzem. Myślałam, że będę bibliotekarką dla użytkowników centrum. Nie sądziłam, że przyjdzie mi tylko archiwizować. Kiedy starałam się o pracę, dowiedziałam się...

Malene przerywa jej spokojnym, głębokim głosem. Brzmi to tak, jakby chciała się naprawdę zająć Anne-Lise:

- Anne-Lise, jeśli czujesz się wyłączona, to dobrze, że o tym mówisz. Zobaczmy, co się da z tym zrobić. Ale trudno mi uwierzyć, że to jedyna przyczyna twojego złego samopoczucia. Nasze biuro z całą pewnością nie jest tak okropne, za jakie je uważasz, ale oczywiście postaramy się coś zrobić, żebyś zmieniła zdanie. Przecież nam wcale nie chodzi o to, żeby ci było tak źle. Możesz być pewna, że wszystkie tak uważamy. Prawda?

Anne-Lise podnosi wzrok i widzi, jak Malene zerka na Iben i na Camille. Kiwiają głowami. Mają przerażenie w oczach.

Gdyby Malene i Anne-Lise się lubiły, Malene wiedzona naturalnym odruchem objęłaby teraz Anne-Lise w geście pocieszenia. Nie robi tego, ale dalej mówi jeszcze cieplejszym tonem, jakby ją obejmowała.

- Uważam za bardzo dobry początek to, że opowiadasz nam o swoich odczuciach. Może powinniśmy zrobić zebranie z Paulem i wspólnie coś zaradzić? Co o tym myślisz?

- To chyba dobry pomysł.

- Znakomicie. Trzeba spróbować urządzić biuro tak, żebyśmy wszystkie lubiły tu przebywać.

- Tak.

Teraz Anne-Lise zaczyna cicho płakać. To przez tę nagłą życzliwość.

- Trzeba tylko pamiętać, żeby to się nie odbiło na użytkownikach centrum - dodaje Malene.

- Tak, to prawda.

- Jeśli chodzi o kontakt z użytkownikami, czym ja się zajmuję, to ciężko będzie coś zmienić. Musi być coś innego, co sprawi, że będzie ci tu różniej. Użytkownicy lubią kontaktować się z osobą, którą znają i którą mogą wypytać o wszystko, od imprez po projekty badawcze, a także poprosić o wyszukanie książek.

Anne-Lise sama słyszy, że głos jej się podnosi i nabiera przenikliwości.

- Ale czasami wcale im się to nie podoba. Wiele razy chcieli rozmawiać właśnie ze mną.

- Ależ skąd! Jeśli ktoś chce rozmawiać właśnie z tobą, to zawsze z tobą rozmawia, to oczywiste.

- Przecież nakrzyczałaś na Camille za to, że przełączyła Stephena Colwitza z Genewy na mój telefon.

- Nie.

- Kiedy byłaś chora, skierowano go do mnie z pytaniem. A kiedy wróciłaś, on mnie już znał i poprosił Camille, żeby go ze mną połączyła, bo chciał spytać o jakieś książki. Sama potem słyszałam, jak na nią krzyczałaś, a ona powiedziała, że już nigdy więcej tego nie robi.

- Anne-Lise, musisz chyba iść do domu, bo przechodzisz jakieś załamanie. To przecież nie ma żadnego związku z rzeczywistością.

Anne-Lise czuje, że jest złana potem.

- Malene nakrzyczała na ciebie za to, że przełączyła Stephena Colwitza do mnie, prawda? - zwraca się do Camilli.

Camilla najwyraźniej przez cały czas tylko na to czekała. Bez zastanowienia rzuca się na Anne-Lise:

- Nie wszystko tutaj może być tak, jak tobie pasuje! To nie jest twoje biuro! Nie możesz przesuwać sprzętów i nas, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota! My też tu musimy być i pracować!

- Ale Malene powiedziała, że nie wolno ci ich łączyć ze mną, kiedy pytają o bibliotekarkę, prawda?

Camilla patrzy na Malene.

- Naprawdę próbuję być wyrozumiała, Anne-Lise. - Pedagogiczny ton Malene staje się ostry. - Naprawdę. I jeśli masz jakieś problemy w domu, też jestem w stanie to zrozumieć. Ale absolutnie nie mogę zaakceptować sposobu, w jaki odbierasz to, co tu się dzieje! Musisz o tym wiedzieć. Jestem osobą, z którą kontaktują się użytkownicy. Wszelkie kontakty odbywają się za moim pośrednictwem, a jeśli ktoś poprosi o rozmowę z tobą, to oczywiście z tobą rozmawia. Za każdym razem. To pewne.

- Ale ty nigdy nikogo do mnie nie przełączasz. Przecież oni mnie nie znają. Gdy pytają o jakąś trudną do znalezienia książkę, odpowiadasz, że oddzwonisz. A potem mówisz im, co dla ciebie wyszukałam. Ja nigdy z nikim nie rozmawiam. Więc jak mogą o mnie pytać?

- Nie mam ochoty dłużej tego wysłuchiwać!

Malene podrywa się z krzesła i chce wyjść. Zatrzymuje się w drzwiach i odwraca w stronę Anne-Lise, która przestała płakać wyłącznie ze strachu. Uśmiechnięte usta Malene mocno się ściągają.

- Mogłabym wyliczyć sto przykładów, kiedy okazywałyśmy ci szczególne względy! Nie znalazłabyś pracy, w której by cię traktowano lepiej! Takiej pracy zwyczajnie nie ma. Kiedy sobie przypomnę, ile ci się natłumaczyłam o twoich obowiązkach, o problemach badawczych i...

- Przecież to są rzeczy kompletnie niezwiązane z moim wykształceniem! Dlaczego zawsze dajecie mi zadania, do których nie mam przygotowania? Dobrze o tym wiecie. Skończyłam bibliotekarstwo. Dlaczego po prostu nie pozwolicie mi korzystać z mojej wiedzy?

- Wiele osób cieszyłoby się z możliwości nauczenia się czegoś nowego - wtrąca Iben.

- Owszem, ale ja już coś umiem! Tylko wy nie chcecie tego dostrzec!

Żadna jej nie odpowiada.

- Gdzie indziej uważano mnie za dobrego pracownika.

Milczenie i wymieniane ukradkiem spojrzenia koleżanek sprawiają, że Anne-Lise traci opanowanie.

- Tylko tutaj dajecie mi takie zadania. Macie mnie za sekretarkę!

Malene z demonstracyjnym współczuciem patrzy w stronę Camilli, a potem, z udawaną powagą, przenosi wzrok z powrotem na Anne-Lise.

- To, co powiedziałaś, nie było zbyt miłe.

- Być sekretarką to nic złego - wtóruje jej Iben.

- Owszem, wiem. I wcale nie to miałam na myśli. Iben powtarza:
- Być sekretarką to nic złego.
- Wcale tak nie myślę, dobrze o tym wiecie. Dlaczego mi to wmawiacie?
- Powiedziałaś...
- No tak. Ale dobrze wiecie, co miałam na myśli...

Nagle Camilla znów podrywa się z krzesła. Usłyszała, że dzwoni jej telefon.

Malene i Iben wychodzą za nią, już wolniej. Po drodze zatrzymują się, żeby jeszcze coś dodać, ale nie pada już ani jedno słowo, po prostu opuszczają pomieszczenie.

Anne-Lise przez chwilę oddycha głęboko z rękami płasko przyciśniętymi do stołu. Patrzy w blat, kilka razy mruga. Już wyszły. Jeszcze jej się dostanie za ten lunch. Będą mogły wykorzystać to przeciwko niej. Będą mogły wykorzystać te drgawki.

Składa ręce na blacie. Pochyla się. Z całej siły przyciska twarz do nadgarstków.

Malene

10

Malene pamięta, że kiedy była mała i przybiegała do domu od koleżanki, wpadała prosto do salonu, gdzie siedziała jej matka ze swoją przyjaciółką Susan.

Susan zawsze zajmowała to samo miejsce na miękkiej kanapie obitej brązowym aksamitem. Kiedy indziej Malene wpadała do salonu ze świetlicy albo z grilla, albo z placyku przy boiskach. Za każdym razem matka mówiła jej, że ma iść na górę lub pobawić się w ogrodzie. Malene pamięta jednak wiele krótkich przebłysków, w których widziała mokre policzki matki. Miała czas, żeby je zauważyć - na ukos od Susan - po drugiej stronie wykładanego kaflami stolika.

Kiedyś, później, Malene zapytała o to matkę i dowiedziała się, że ta, by oszczędzić córkę, zwykle płakała w toalecie albo w sypialni. Tylko wtedy, gdy opowiadała o pracy swojej najbliższej przyjaciółce Susan, płakała w salonie.

Matka Malene była sekretarką w dużej firmie audytorskiej w Kolding, a ojciec pracował w towarzystwie ubezpieczeniowym w tym samym mieście. Malene jest w rodzinie jedyną osobą po studiach.

Matka już do dziesięciu lat pracowała w tej samej firmie, gdy nagle pojawił się nowy szef. Odebrał jej odpowiedzialność za prowadzenie listy godzin. Matka Malene została skierowana do wykonywania prostych prac sekretarskich, a on mimo to nieustannie twierdził, że wszystko robi źle. Że należy to robić w inny sposób. A gdy następnym razem robiła to w ten nowy sposób, okazywało się, że to jednak ten poprzedni był właściwy.

Koledzy z pracy popierali matkę Malene. Kiedy szef nie widział, ukradkiem mówili, że traktuje ją niesprawiedliwie i że nieprawdą jest to, co powiedział.

Po paru tygodniach szef zaczął opowiadać dowcipy o matce Malene. Nie baczył na nic. Wyśmiewał się z niej nawet w jej obecności. Wyraźnie też było widać, że drażnią go ci, którzy się z jego kpin nie śmieją. Dawał do zrozumienia, że następnym razem może się śmiać właśnie z nich.

Później jej zadaniem stało się frankowanie listów, układanie papierów w teczkach i inne prace dla stażystów. Nie mogła znieść, że firma, dla której przepracowała dziesięć lat, wyrzuca pieniądze w błoto, wypłacając sekretarską pensję za pracę, którą mógłby wykonywać uczeń. Nie miało to sensu. Kiedyś przy obiedzie ojciec Malene podsunął myśl, że być może szef w rzeczywistości się w niej podkochuje. Matka jednak twierdziła, że tak nie jest. Czy czymś go uraziła? Nie. Czy go odrzuciła? Nie. Zachowywała się tak, jak zawsze. To naprawdę nie miało sensu. „Nie rozumiem tego. Naprawdę tego nie rozumiem” - powtarzała.

Później szef kazał młodszej pracownicy, którą wcześniej matka Malene uczyła, sprawdzać wszystko, co matka napisała. Dał też tej młodej dziewczynie do zrozumienia, że jeśli nie znajdzie błędów, będzie to dowód, że i ona niezbyt się nadaje do pracy

W domu surowo Malene pouczano, żeby nie mówiła nikomu - ani koleżankom z ulicy czy z klasy, ani tym bardziej ich rodzicom - o tym, co przypadkiem usłyszy na temat pracy matki.

Pozostałe osoby w firmie wiedziały, że szef krzywo patrzy, kiedy ktoś za długo rozmawia z matką. Rozmowy z nią przestały już im sprawiać taką przyjemność jak dawniej. Nawet, gdy szef ich nie kontrolował, pracownicy byli spięci w jej obecności. Nie tak dawno przecież śmiali się życzliwie (a przynajmniej uprzejmie uśmiechali) z marnych dowcipów na jej temat. Zaczęli unikać z nią kontaktu wzrokowego.

Wieczorem w dniu, gdy matce Malene po raz pierwszy kazano robić fotokopie dla mniej doświadczonych kolegów, Malene wróciła do domu z treningu piłki ręcznej. Wpadła do salonu z dużą szklanką mleka w rękę i zobaczyła, że matka zrobiła sobie trwałą.

Malene wiedziała, że wiele sekretarek w firmie ma taką fryzurę. Zatrzymała się na środku pokoju ze swoją szklanką. Susan tkwiła na brązowej kanapie. Na ukos od niej siedziała jak zwykle matka Malene i płakała. Teraz z głową w drobnych loczkach, które nie były jej własne.

Susan opowiadała później Malene, że matka zaczęła się obwiniać i zadawać jej kolejne pytania: Czy to prawda, że tak nagle zgłupiała? Susan powiedziała, że nie. Może zawsze była głupia? Susan powiedziała, że nie. Śmierdziało jej spod pach? Susan powiedziała, że nie. Ma cuchnący oddech? Susan powiedziała, że nie. Czy jej śmiech działa irytująco? Susan cały czas powtarzała, że nie. Ale matkę Malene bardzo trudno było przekonać.

Już samo to, że przyszła do biura, wystarczało, by popsuć innym radość z pracy. Ale byli zmuszeni do przebywania w tym samym pomieszczeniu, co ona.

W końcu sprawy zaczęły nabierać tempa. Niektórzy pozwalali sobie pokrzykiwać na nią, również pod nieobecność szefa. A kiedy w czasie weekendu usłyszeli jakiś dowcip o mieszkańcach Kopenhagi, opowiadając go w biurze, przerabiali to na dowcip o Jytte. Gdy wracała do swego biurka, często okazywało się, że jej papiery są poplamione kawą, więc szef i najgorsi z kolegów zaczęli drwić również z jej niezdarności.

Upłynął zaledwie rok i szef awansował do innego wydziału. Matka Malene znów płakała przy sofie i kaflowym stoliku, przekazując tę dobrą wiadomość. W domu zapanowała radość. Ojciec Malene wyjął butelkę portwajnu, którą przechowywał od ostatniej Gwiazdki.

Ale życie matki Malene wcale się nie zmieniło. Nikt w biurze nie potrafił już spojrzeć jej w oczy. Wyraźnie było widać, jak bardzo wszyscy się spinają, gdy tylko stanie w drzwiach.

Oczywiście mieli nadzieję, że spokojnie znajdzie inną pracę, gdzie nie trzeba będzie mówić głośno o tym, co się stało. Ale matka Malene bezpowrotnie utraciła wewnętrzną harmonię. I dla niej samej, i dla wszystkich innych stało się jasne, że nie wytrzyma rozmowy kwalifikacyjnej bez płaczu. Po dwóch i pół roku, podczas których coraz częściej brała zwolnienia, dostała wypowiedzenie.

Lekarz skierował ją do psychologa, ale do pracy już nigdy więcej nie wróciła.

Wcześniej bardzo się bała, że znajomi czy sąsiedzi dowiedzą się, jak jest traktowana w pracy, ale to się zmieniło. Obawy odeszły, może dzięki terapii. I mała Malene strasznie się wstydziła, gdy jej matka podczas zabaw organizowanych w sąsiedztwie mówiła prawie obcym ludziom:

„Moi dawni koledzy z pracy zachowywali się tak, jakby po prostu chcieli, żebym umarła. Jak ludzie mogą być tacy?”

* * *

Malene i Iben stoją blisko krzesła Camilli, aby mogły ze sobą rozmawiać we trzy, nie będąc słyszane z korytarza.

Przerwa na lunch, podczas której Anne-Lise straciła kontrolę nad sobą, już minęła. Żadna z nich nie spodziewała się, że może zostać zaatakowana przez koleżankę, i to akurat w już i tak trudnej sytuacji.

Malene kilka razy naciska zszywacz Camilli, wypada z niego parę spłaszczonych zszywek. Ze wzrokiem utkwionym w drzwi na korytarz szepcze:

- To oczywiste, że okazuję więcej ciepła i bliskości swojej najlepszej przyjaciółce niż koleżance z pracy. Jaki inaczej byłby sens posiadania przyjaciółki? Czego ona oczekuje?

Iben dotyka jej przedramienia i mówi:

- Zamiast coś zrobić, żeby się z nami zaprzyjaźnić, myśli, że może się tylko domagać korzyści, jakie z tego płyną. Jest rozpieszczona i niedojrzała.

Malene na przemian patrzy w oczy Iben i Camilli. Sprawiają wrażenie tak samo wyczerpanych jak ona. Słyszy zmęczenie we własnym głosie.

- Chyba nigdy nie spotkałam nikogo, kto aż do tego stopnia nie potrafiłby dać z siebie czegokolwiek, a mimo to oczekiwał, że dostanie wszystko to, co chce.

Camilla odchyła się na swoim krześle, żeby lepiej widzieć koleżanki.

- No właśnie. A to żądanie, żeby nie siedzieć w bibliotece? Przecież jest z wykształcenia bibliotekarką i szukała pracy jako bibliotekarka. Co ona sobie wyobrażała, skoro nie chce pracować przy książkach i siedzieć razem z książkami?

Malene wzdycha. Zbiera spłaszczone zszywki i wrzuca je do kosza na śmieci przy biurku Camilli.

- Anne-Lise nie ma pojęcia, co to znaczy, że koledzy się na kogoś uwzięli - mówi. - Od razu widać.

Opowiada Camilli o przeżyciach swojej matki w Kolding i dodaje:

- Również, dlatego tak trudno mi tego słuchać. Niechcący trafiła w mój najczulszy punkt.

- Tu wcale nie chodzi o twój najczulszy punkt - przerywa jej Iben. - Każdy by się zdenerwował, gdyby usłyszał coś takiego.

- No tak, chyba tak.

- Zwłaszcza, kiedy słyszy się to od kogoś, z kim wszyscy wcześniej tak się cackali, tak się starali, żeby się tu dobrze poczuł.

Otwierają się drzwi na korytarz, staje w nich Anne-Lise i oznajmia, że idzie do domu. Jako powód podaje ból głowy. Przechodzi spokojnie, choć trochę sztywno, przez Ogród Zimowy do głównego wyjścia.

Malene jest na nią tak zła, że nawet nie podnosi głowy. Nie wie, jakie spojrzenia posyłają Anne-Lise koleżanki, ale słyszy, że żadna jej nie odpowiada.

Sama, więc mówi:

- Wracaj do zdrowia.

Z klatki schodowej dobiega lekki zgrzyt windy zjeżdżającej na dół. Światłówka nad głównymi drzwiami, która w zeszłym tygodniu burczała i mrugała, znów się zepsuła.

Iben mówi powoli, jak gdyby zastanawiała się nad czymś zupełnie innym, szukając słów:

- Teraz przynajmniej mamy jasność, dlaczego ona sprawia wrażenie takiej nieszczerzej. To jest powód, dla którego tak trudno się z nią rozmawia. W tym swoim kompletnie zaburzonym świecie uważa, że my ją, do diabła, szykanujemy.

- To niewiarygodne. Od jak dawna nas nienawidzi, a mimo to się uśmiecha i udaje, że nic się nie dzieje?

Camilla wciąż patrzy na koleżanki z zadartą głową.

- Jak ona mogła w tym wytrzymać? Takie kłamstwa dzień w dzień? Nie potrafię sobie wyobrazić, że można być tak fałszywym przez tyle miesięcy.

Iben mówi nagle bardziej chłodnym, poważniejszym tonem:

- Może wcale tak nie było.

- Co?

- Może ona właśnie nie znosi okłamywania nas przez cały czas. Może tak ją to dręczy, że musiała to z siebie wyrzucić.

Malene i Camilla milczą.

A Iben ciągnie:

- Może na przykład w mailach.

W lot pojmują, o co jej chodzi.

Iben mówi teraz bardziej zwyczajnym tempem:

- Jeśli to Anne-Lise wysłała te maile wczoraj wieczorem, to musi teraz stłumić w sobie poczucie winy. A najlepiej jej to wyjdzie, jeśli sama siebie przekona, że my jesteśmy jeszcze gorsze od niej. To może tłumaczyć, dlaczego akurat dzisiaj podczas przerwy na lunch nie była już w stanie nad sobą zapanować.

Camilla dodaje:

- Dzisiaj rano nie wydawała się ani trochę zdenerwowana, kiedy po raz pierwszy usłyszała o tych mailach. Już się nad tym zastanawiałam.

Również Malene znajduje w tym jakiś sens.

- Ewidentnie najbardziej nienawidzi Iben i mnie. To też wyjaśnia, dlaczego Paul nie dostał maila.

Oczywiście nie mają żadnej pewności, ale maile nie muszą już pochodzić od Mirka Žigicia czy innego notorycznego mordercy

Malene powinna wściec się na Anne-Lise, ale tak się nie dzieje. Także po koleżankach widzi, że ich dominującym uczuciem jest w tej chwili ulga. Iben nie będzie musiała spędzać kolejnej nocy u Grith. Malene nie będzie miała kłopotów z zaśnięciem. Konflikt z oprawcami, którymi zajmuje się centrum, to sprawa życia i śmierci. Jeden mały błąd i wszystko może się źle skończyć. Inaczej jest z konfliktem w biurze. Z nim po prostu trzeba nauczyć się żyć.

Drzwi wejściowe otwiera nagle mężczyzna o mocnym karku w kurtce safari. Wszystkie trzy sztywnieją.

Nieznajomy stoi w progu zaledwie sekundę, ale w normalnych okolicznościach wszelki ruch nie zamarłby w tak radykalny sposób. Nawet na sekundę.

Dostrzegają wreszcie jego przyjazny uśmiech i Malene też się do niego uśmiecha.

- Przedarł się pan przez ochronę policyjną na dole?

- Przez jaką ochronę?

- Nie spotkał pan tam dwóch policjantów?

- Nie. Widziałem w Internecie, że macie książkę Bena Kiernana The Pol Pot Regime. Chciałbym ją wypożyczyć. I może mogłybyście polecić mi coś jeszcze o ludobójstwie w Kambodży?

Patrzą po sobie.

- Muszę się przygotować do lekcji w liceum - wyjaśnia mężczyzna.

Następna sekunda milczenia.

- Jeśli więc macie jakieś proste opracowania wprowadzające w temat, to chętnie rzuciłbym na nie okiem.

Wewnętrzne problemy centrum nie mogą odbić się na użytkownikach. Malene podchodzi do gościa.

- Proszę wejść. Zaraz zobaczymy. Mamy bardzo dużo ciekawych pozycji. Zna pan na pewno książkę Marchera i Frederiksena?

- Owszem.

- Oczywiście mamy ją również. Posiadamy też pewne nieopublikowane materiały opracowane przez nauczyciela liceum w Aalborg, który korzystał z pomocy centrum. Czytałam to, uważam, że są naprawdę dobre. Proszę przejść za mną tutaj.

W czasie, gdy Malene prowadzi nauczyciela do biblioteki, Iben mówi:

- Zejdę na dół, zobaczę, co się tam dzieje.

Nauczyciel jest zainteresowany i dobrze zorientowany w temacie. Malene usiłuje ze spokojem rozmawiać o tym, jak ułożyć plan lekcji o Kambodży. Mówi także o bezpłatnych wykładach, które liceum może zamówić w centrum. W nich Malene położyłaby większy nacisk na Kambodżę.

Podczas rozmowy z nauczycielem zastanawia się nad Anne-Lise. Stara się być dla niej wyrozumiała, ale nie potrafi sobie przypomnieć, żeby w jakimkolwiek momencie próbowała jej dokuczyć.

Przeciwnie, zachowywała się wobec niej życzliwie i profesjonalnie. Zawsze wołały Anne-Lise, kiedy robiły przerwę, chociaż Bóg świadkiem, że w jej towarzystwie nie było zbyt przyjemnie. Wszystkie maksymalnie się wysiłały, żeby utrzymać miłą atmosferę i żeby dawało się pracować.

Opowiada o seminarium na temat Kambodży, zorganizowanym przez centrum półtora roku wcześniej. Uczestniczył w nim Chandra Lor, były kustosz Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng w Phnom Penh. Sam przeżył masowe zbrodnie, co było prawdziwym cudem, ponieważ był studentem, a zarazem synem jednego z byłych senatorów, a rząd i grupy partyzanckie zgładziły w latach siedemdziesiątych blisko trzy miliony trzysta tysięcy ludzi spośród siedmiu milionów stu tysięcy mieszkańców kraju, zaś reżim Pol Pota wymordował niemal wszystkie osoby wykształcone lub spokrewnione z poprzednim rządem. DCIL nagrywało seminarium na wideo, nauczyciel mógłby, więc pokazać swoim uczniom, jak człowiek, który przeżył, opowiada o codziennej walce o przetrwanie.

Malene słyszy, że Iben wraca z ulicy, przeprasza, więc gościa na moment.

Iben mówi, że przy wejściu nie ma już policji. Zamierza zadzwonić pod numer, który zostawili im policjanci, i dowiedzieć się, o co chodzi.

Malene wraca do nauczyciela. Rozmawiają również o komunizmie w Europie Zachodniej. Pol Pot i ludzie zajmujący najwyższe stanowiska w jego rządzie studiowali w latach pięćdziesiątych w Paryżu, gdzie ich sposób myślenia podlegał w dużej mierze wpływom Francuskiej Partii Komunistycznej. Czy z tego powodu komuniści francuscy powinni uważać się za współodpowiedzialnych za tragedię? Pokazuje mu album ze zdjęciami z Muzeum Tuol Sleng, dawnego więzienia, gdzie między innymi można zobaczyć prymitywne narzędzia tortur i cele, z których wiele nie ma okien i są tak maleńkie, że więźniowie nie mogli w nich ani leżeć, ani stać.

Do biblioteki wchodzi Iben. Przepraszając nauczyciela, że przerywa, wywołuje Malene i opowiada:

- Udało mi się złapać kobietę, która jest teraz odpowiedzialna za śledztwo. Była zupełnie inna niż ci dwaj przed południem. Powiedziała, że „przesłanki wskazujące na Žigicia są

nieprzyzwoicie wątle” i że jej zdaniem niesłusznie podjęto tyle środków z powodu tych dwóch maili. W każdym razie teraz, kiedy przejęła tę sprawę, nie zamierza tracić na nią czasu.

- Co ty na to?

- Oczywiście starałam się argumentować w trosce o nasze bezpieczeństwo i uświadomić jej specyfikę naszej pracy. Nie udało mi się jednak skłonić jej do zmiany zdania.

Malene myśli, że Iben po prostu nie wydała się przekonująca. Jej samej pewnie też by się nie udało.

W jaki sposób można przekonać kogoś o tym, że pracownicy centrum znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, gdy jednocześnie odczuwa się taką ulgę, ponieważ te dwa maile niemal z całą pewnością pochodzą od niegroźnej bibliotekarki?

Przeświadczenia, że maile są niegroźne, nie zmienia nawet to, że nieco później dzwoni kolega z zagranicy i podsuwa nazwiska zbrodniarzy wojennych, które można dopisać do długiej listy podejrzanych. Teraz już wiedzą, że ta lista do niczego się nie przyda.

I w jakiś dziwny sposób zaledwie w kilka godzin po nerwowym lunchu najzupełniej obojętna wydaje im się informacja Lotty ze szwedzkiego ośrodka badań nad ludobójstwem o tym, że słyszała plotki jakoby Zigić zapadł się pod ziemię gdzieś w obrębie skandynawskiej unii paszportowej, prawdopodobnie w Szwecji.

11

Jeśli to Anne-Lise wysłała te maile, to nie ma innego wyjścia -musi być nieobliczalna, a poza tym mieć zaburzony odbiór rzeczywistości. Być może cierpi na jakieś schorzenie psychiczne, które do tej pory była w stanie doskonale ukrywać przed koleżankami z pracy.

Właśnie, dlatego Iben proponuje, by razem z Malene jeszcze tego samego wieczoru odwiedziły Grith, przyjaciółkę Iben, która jest psychologiem. Malene wątpi, by ta wizyta coś im dała, z drugiej jednak strony miała okazję rozmawiać z Grith zaledwie kilka razy, nie ma więc pojęcia, co przyjaciółka Iben powie. Uważa natomiast za rozsądne, by Anne-Lise ocenił ktoś z profesjonalnym podejściem.

Grith jest wysoka, szczupła, ma duże, nieco obwisłe piersi. Za takim ciałem mężczyźni szaleją. Na tyle jednak, na ile Malene jest w stanie się zorientować, erotyzm Grith działa jedynie wtedy, gdy siedzi albo stoi całkiem nieruchomo. Wyprostowanymi członkami porusza, bowiem jak niezdarna czternastolatka i wrażenie, że za chwilę się przewróci, przyprawia każdego o zdenerwowanie.

Grith jest córką pastora, jej ojciec konfirmował Iben w Roskilde, gdzie obie dziewczyny znały się tylko przelotnie. Później, gdy Grith zaczęła studiować teologię, przypadkiem znów się spotkały. Iben opowiadała wtedy, Malene, jak bardzo Grith się cieszyła, że może przez kolejne noce siedzieć w swoim mikroskopijnym mieszkanku i rozmawiać z Iben o „kryzysie wiary”. I rzeczywiście tak było. Jeśli ktokolwiek w naszej epoce przeżywa prawdziwy „kryzys wiary”, to Iben jest absolutnie właściwą osobą, z którą można o tym porozmawiać.

Z bladą, kościstą Grith i jej dwoma również studiującymi teologię przyjaciółmi Iben spędzała także noce w mieście. Mężczyźni zdawali się przechodzić jeszcze cięższe kryzysy, za każdym razem strasznie się upijali, a w pobliżu Andy's Bar jeden z nich agresywnie zaczął obmacywać Iben. Ona się jednak go nie przestraszyła, bo ledwie trzymał się na nogach.

Kilka lat później na jakiejś imprezie Grith wstała i wzniosła toast za przyjaciółkę: „To ty, Iben, skłoniłaś mnie do zmiany kierunku studiów na psychologię!” Teraz Grith mieszka sama i pracuje jako psycholog w Szpitalu Centralnym. Kiedy Malene korzysta z jej toalety, zauważa, że Grith ma pięć szczotek do włosów.

Siedzą na dużych, kanciastych, jasnoszarych poduszkach w kącie wypoczynkowym. Były narzeczony gospodyni sam zrobił meble, a kiedy ich związek się rozpadł, część z tych mebli została u Grith. Podobnie jak u Iben, nie ma tu zbyt wielu obrazów na białych ścianach. Grith sięga po kubek z herbatą, który stoi na metalowym stoliku, również zrobionym przez byłego narzeczonego.

- Przede wszystkim zawsze staramy się przyjąć za punkt wyjścia przeżycia pacjenta i potwierdzić je - mówi. - One są dla pacjenta rzeczywistością, bez względu na to, co o tym myśli reszta świata.

A mimo to pacjent często jest niepewny. Kiedy już uda nam się określić te przeżycia, właśnie od nich wychodzimy.

Wychyla się do przodu i znów pojawia się w niej coś bardzo nie-kobiecego, pomimo tych jej wielkich ciemnych oczu. Wolno odwraca się do Malene.

- Opisz teraz swój problem.

- Ja nie mam żadnego problemu! Przyszliśmy tu, ponieważ problem ma nasza koleżanka.

- No dobrze, a jak opiszesz jej problem?

- No przecież jeszcze zanim usiadłyśmy, to...

Malene urywa i usiłuje dostosować się do odrobinę formalnego sposobu prowadzenia rozmowy przez Iben i Grith:

- Anne-Lise wydaje się pełna wściekłości. Być może to ona przysłała nam te maile z pogroźkami. - Malene sięga do miseczki z mieszanką tropikalną, która stoi na stole, po kawałek suszonego mango. - Iben, musisz mi trochę w tym pomóc.

- Grith, opowiadałam ci już...

- Owszem, ale staram się jeszcze raz naszkicować sobie jakiś obraz. Spróbuj się zastanowić, dlaczego ona jest taka wściekła.

Malene milczy i spojrzeniem prowadzi oczy Grith na Iben. Upływa chwila, zanim Iben odpowiada:

- Anne-Lise wydaje się, że koleżanki w pracy powinno łączyć to, co łączy przyjaciółki. Uważa, że jeśli w biurze nie jest traktowana jak bliska przyjaciółka, to znaczy, że ludzie są złośliwi i że ją szykanują.

- Ale to tak wygląda z zewnątrz. Czy możesz...

Iben nie pozwala sobie przerywać. Mówi dalej:

- To dla nas ogromnie nieprzyjemne, że jesteśmy postrzegane w taki sposób. Wręcz wyczuwa się jej wrogość, nawet, jeśli nie zrobiła tych innych rzeczy.

- Iben, zatrzymajmy się na jej poczuciu wykluczenia z grupy. To bardzo przykre uczucie.

- Nie wiemy, w jaki sposób mamy ją skłonić, żeby zrozumiała, że to normalne stosunki w pracy. I że nikt się na nią nie wziął.

- Iben, poczucie wykluczenia jest naprawdę bardzo nieprzyjemne i w całkiem naturalny sposób prowadzi do gniewu.

- Może i tak.

- I można też spróbować jej uwierzyć. Bardzo prawdopodobne, że gdzieś na dnie jest jakieś ziarenko prawdy. Kiedy ten gniew się odzywa?

- Musiał się odezwać wczoraj wieczorem, kiedy wysłane zostały te maile. Ale przecież nikt jej nie wyklucza z grupy!

Głos Grith staje się jeszcze spokojniejszy i głębszy.

- Spróbujmy przez moment być z nią solidarne. Wczoraj wieczorem. Czy wczoraj w biurze wydarzyło się coś szczególnego?

- Nie, tak naprawdę było bardzo miło. Sporo rozmawialiśmy w ciągu dnia. O tej dziennikarce z „BT”, pamiętam. A po południu słuchałyśmy Chrisa i Fabryki Czekolady. - Patrzy na Malene. - To było zabawne, prawda?

- Owszem.

Grith znów nie odrywa swych wielkich oczu od Iben. - I nigdy nie miałaś wrażenia, że ktoś w biurze się na nią uwziął?

- Oczywiście, że ludzie się na nią irytowali. To jasne. Czasami każdy może się na kogoś zdenerwować. Pracujemy razem. Różnie bywa, raz lepiej, raz gorzej. Chyba nic w tym nadzwyczajnego.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ale ona najwyraźniej musi odbierać takie huśtawki nastrojów inaczej niż my. My uważamy, że to nic takiego. Ona z całą pewnością ma inny typ osobowości. Myślałam, że właśnie o tym będziemy mogły porozmawiać.

Grith siedzi oparta, jej hiperruchliwa, długa i szczupła ręka odchyła się odrobinę do tyłu i przesuwa po oparciu kanapy.

- A więc ty, Iben, nigdy nie zauważyłaś, żeby ktoś szczególnie się na nią uwziął?

- Uważam, że tak nie jest. Staramy się wychodzić jej naprzeciw. Ty byś tak nie powiedziała, Malene?

- Owszem.

Iben przez chwilę milczy. W końcu mówi:

- Ale możliwe, że jest jej ciężko, skoro jest taka poplątana. Właśnie o tym jej poplątaniu chciałybyśmy z tobą porozmawiać.

Grith obiema rękami podnosi kubek ze stołu. Takim samym gestem, jak czasami robi to Malene. Ale Grith nie jest chora. Znów przerywa Iben, spokojnie dmuchając na herbatę:

- Ale wspomnieliście coś o jakichś drzwiach, które muszą być zamknięte.

- No tak, to Camilla chce, żebyśmy zamykały drzwi do biblioteki. Z powodu przeciągu. Można o tym dyskutować...

- I dyskutujemy - wtrąca Malene.

- Owszem. Ale Camilla pracuje w centrum dłużej i drzwi zawsze były zamknięte, zanim Anne-Lise do nas przyszła. To chyba przesada, żeby ktoś nowy żądał, by ktoś inny siedział w przeciągu.

Grith wypytuje dalej, między innymi o to, czy Camilla nie dokucza Anne-Lise, kiedy nikt inny tego nie słyszy.

To Iben wciąż odpowiada.

- Ani trochę w to nie wierzę. Nie zrobiłaby tego. Camilla jest w porządku, prawda?

Malene przerywa dyskretny masaż kostek dłoni. Właśnie o tej porze zwykle wykonuje swoje wieczorne ćwiczenia. Kiwa głową i odpowiada:

- Tak.

Grith odgarnia włos z policzka. Po kilku sekundach milczenia mówi:

- Ale mogą być rzeczy, których wy nie zauważacie. Wam dwóm zależy na dobrej atmosferze w centrum. Również na jej samopoczuciu. Bardzo dobrze. Rozmawiacie z nią, zapraszacie ją do grupy nawet wtedy, gdy jest to trudne. Ale zastanawialiście się, czy w biurze nie ma innej osoby, która by ją dręczyła? Jeśli tego nie widzicie i nie interweniujecie, ona może czuć, że całe biuro, także wy dwie, bierzecie udział w mobbingu. A w takich sytuacjach człowiek robi się bardzo nieszczęśliwy i bardzo zły.

Iben usiłuje jej przerwać, lecz tym razem z Grith nie jest tak łatwo:

- To tłumaczy też, dlaczego ona wydaje się wam taka zahamowana i zamknięta w sobie. To absolutnie zrozumiałe.

- Ależ, Grith, to nie jest...

- Musimy przyjąć jej sposób postrzegania sytuacji. To się jakoś ułoży. Nie wolno jej tylko odrzucać.

Iben wreszcie dochodzi do głosu. Wstrzymywała się tak długo, że musi nabrać powietrza.

- Ale oprócz naszego szefa - którego ciągle nie ma - jest jeszcze tylko Camilla i my.

- Aha.

Malene się przyłącza. Wspiera się ręką o oparcie wielkiej kanapy, aby móc się wyprostować. Wychyla się i odrobinę przysuwa do Iben.

- Grith, oprócz nas nikogo więcej nie ma. - Malene patrzy w wielkie, ciemne oczy Grith i powtarza wyraźnie, z naciskiem: - Nikt się na nią nie wziął.

Grith mówi teraz jeszcze wolniej niż zwykle, gdy uderza w profesjonalny ton.

- Aha. A ja sądziłam, że jest więcej osób. Że to jakaś większa instytucja.

- Nie. Jesteśmy tylko my.

Cisza.

Spojrzenie Grith krąży po regale. Po gołych ścianach, małym stoliku z telefonem i ciężkim, drewnianym stole jadalnianym w drugim końcu salonu. Potem znów spokojnie patrzy na swoich gości i uśmiecha się.

- Hm.

Wszystkie wypijają po łyku herbaty. Grith wciąż uśmiecha się życzliwie.

* * *

Rozmawiają o tym, że Anne-Lise być może jest zazdrosna o przyjaźń Iben z Malene. Albo o ciekawszą pracę, albo o ich lepszy kontakt z Paulem. I o tym, że ta zazdrość może jej przypominać

o pewnych wcześniejszych nieprzyjemnych sytuacjach, w których czuła się mniej ważna i wykluczona z jakiejś wspólnoty. Być może wtedy nie pozwoliła sobie na złość.

W końcu rozmowa zaczyna zbliżać się do punktu, w którym psycholog może pomóc swą wiedzą.

Malene podsumowuje:

- Najwyraźniej jakieś cechy osobowości Anne-Lise sprawiają, że reaguje nieprzewidywalnie. Pytanie, czy mamy z tego powodu traktować ją w jakiś szczególny sposób? Czy gdybyśmy skonfrontowały ją z faktem, że to ona wysłała maile, nastąpiłaby katastrofa?

Malene konstatuje w duchu, że właśnie w tym momencie Grith powinna powiedzieć coś mądrego, ale ona milczy. Malene próbuje, więc jeszcze raz:

- Jesteśmy tu przecież po to, żeby jej jakoś pomóc. Ale czy twoim zdaniem potrzebna jej pomoc psychologa?

Grith odpowiada, że nie mogą oczekiwać od niej jednoznacznych odpowiedzi. A potem zaczyna snuć psychologiczne dyrdymały, jakby żywcem wzięte z rubryki kontaktu z czytelnikami jakiegoś pisma.

Malene rozgląda się dokoła. Za Iben stoi duża, mosiężna lampa. Jest piękna i daje ładne światło. Z całą pewnością nie wyszła spod ręki byłego narzeczonego Grith. Na parapecie jej wzrok przyciąga śliczna osłonka na doniczkę, która również bardzo by pasowała do mieszkania Malene i Rasmusa.

Ten wieczór przynosi rozczarowanie. Jeśli oczywiście Malene w ogóle czegoś się po nim spodziewała.

Odkrywa jednak, że właściwie przede wszystkim odczuwa ulgę, obserwując Iben z jej „drugą przyjaciółką”. Kiedy się nie ma innych równie bliskich przyjaciółek, można snuć przeróżne wyobrażenia. Teraz, obserwując ich rozmaite wzajemne sygnały, gesty i miny, Malene widzi, że Iben jest o wiele bliżej z nią niż z Grith. Nawet, jeśli nocowała tu wczoraj ze strachu przed nadawcą maili.

Malene grzeje sobie jedną rękę, obejmując kubek z herbatą, a drugą trzymając pod nim. Ciekawe, co Grith tu dzisiaj zauważy i jak to sobie zinterpretuje.

Już nie rozmawiają o DCIL. Poruszają rozmaite tematy, między innymi pracę Grith. Grith przynosi dwie paczki chipsów, które błyskawicznie znikają. Malene ma nadzieję, że może już niedługo pójść do domu, ale Grith zaczyna opowiadać o jednym ze swoich pacjentów.

- To człowiek, który cierpi na to, co kiedyś nazywano osobowością mnogą.

- Boże, masz takiego pacjenta!

Malene zawsze fascynowało rozszczepienie osobowości, ale nigdy nie spotkała nikogo, kto by miał kontakt z taką osobą.

Grith błyskawicznie reaguje na jej zainteresowanie, a Malene zastanawia się, czy Grith także nie rozczarowało spotkanie z „drugą przyjaciółką” Iben.

Grith kręci lekko swoją dużą głową i mówi:

- Teraz, według najnowszego systemu klasyfikacji psychiatrycznej, to się nazywa po prostu *dissociative identity disorder*, czyli *dysocjacyjne zaburzenie tożsamości*, w skrócie DID, ale to to samo, co osobowość mnoga albo wieloraka. Mój pacjent ma w sobie, co najmniej jeszcze dwie inne osoby. Jedną jest mała dziewczynka, to bardzo typowe.

Grith nareszcie się rozpała i staje się tą osobą, którą wyobrażała sobie Malene. Trudno powiedzieć, co ją wcześniej krępowało, ale teraz wyraźnie nabiera energii. Jej oczy wydają się większe, a chude ręce wywijają w jeszcze bardziej nieskoordynowany sposób, gdy opowiada:

- W ostatnich latach psychiatrom otworzyły się oczy na zupełnie inne aspekty DID. Wcześniej hollywoodzkie filmy ze wszystkimi swoimi schematami na temat rozszczepienia osobowości zwodziły psychologów i odwracały uwagę od poważnych przypadków takiego rozszczepienia. Wielu profesjonalistów uważało, że ośmieszyłoby się opisywaniem takiego pacjenta w czasopiśmie naukowym. Teraz już tak nie jest i coś zaczyna się dziać. W ciągu ostatnich dwudziestu lat liczba zdiagnozowanych przypadków DID w Stanach kilkakrotnie wzrosła. Dotyczy to zwłaszcza wszelkich zaburzeń pogranicznych, które są bardziej rozpowszechnione.

- Jak oceniasz, ilu ludzi może na to cierpieć?

- Powiedziałabym, że nieco ponad sześć miliardów.

- To przecież...

- No tak, bo wszyscy robimy różne rzeczy, w które trudno nam potem uwierzyć. Może szczególnie w młodszym wieku, prawda? W czasie, gdy osobowość jest jeszcze nie w pełni dojrzała. Nie za dobrze je pamiętamy.

Grith szuka kontaktu wzrokowego najpierw z Iben, a potem, na krócej, z Malene, która wciąż obejmuje dłońmi kubek.

- Przypominacie sobie coś takiego? - pyta Grith.

Malene i Iben zastanawiają się chwilę. Żadna z nich nic nie mówi. Grith ciągnie:

- Właśnie o to mi chodzi. Czy w ogóle przypominacie sobie, żebyście myślały o czymś, co zrobiłyście, i że bardzo tego żałowałyście?

- No tak.

- Tak, chyba tak...

- Pamiętacie, jak myślałyście, że trudno wam zrozumieć, dlaczego postąpiłyście tak, a nie inaczej?

- Tak.

- Pewnie.

- Okej. Wobec tego pamiętacie, że żałowałyście. Ale jakiego postępu tak żałowałyście, żeby aż pomyśleć: „Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła”?

Milczenie.

Iben niespokojnie poklepuje leżącą obok poduszkę.

Grith nic nie mówi, tylko na nie patrzy.

- Właśnie o to mi chodzi - stwierdza w końcu. - Właśnie o to. To przypadło. Uleciało.

Wciąż milczenie.

- Złe zachowanie jest dramatyczne. Powinno się je łatwo zapamiętywać, prawda? Nie ma natomiast zbyt wiele dramatyizmu w siedzeniu w samotności we własnej kuchni i żałowaniu swego postępu przy szklance mleka, czy co tam się ma pod ręką. To powinno być o wiele trudniejsze do zapamiętania. Tymczasem wy pamiętacie to znacznie lepiej. Ja zresztą też. To, dlatego, że wszyscy jesteśmy rozszczępieni. Przynajmniej trochę. W kuchni nad mlekiem byliśmy tymi osobami, którymi jesteśmy teraz.

- Umiesz to opisać. - Malene zwraca się do Grith i słyszy, jak słabo brzmi jej głos. - Mam na myśli to z mlekiem i w ogóle.

- Dziękuję.

Grith zakłada rękę za głowę. Mówi teraz trochę w taki sam sposób, jak zwykle Iben:

- Wszyscy ludzie wiedzą, że kiedy komuś jest źle, to przypomina sobie same smutne rzeczy. Pomyślenie o czymś wesołym wymaga dużego wysiłku. A kiedy wreszcie się uda, trudno tak naprawdę nawiązać kontakt z uczuciami tej wesołej osoby, którą się pamięta. Tak jakby tę część życia przeżył ktoś obcy. Nie czuliście się tak?

- Oczywiście.

- Jasne.

- W każdym razie ja to znam. Wszystko, co dobre, wydaje się takie odległe i nierzeczywiste. Uczucia, czy choćby myśli, które przychodziły do głowy, obraz świata widziany w radosnych chwilach, szczegóły tego, co się widziało i słyszało, wszystko to gdzieś znika.

- No dobrze, ale czy to jest rozszczępienie?

- Tak samo jest w sytuacji odwrotnej, prawda? Nagle bardzo trudno przypomnieć sobie, dlaczego człowiekowi było tak źle, chociaż działo się to zaledwie kilka godzin wcześniej. Taką sytuację również znacie, prawda?

Oczywiście obie kiwają głowami.

Długie ciało Grith nie kuli się już na wielkiej kanapie. Uśmiecha się zadowolona.

- Wszyscy tego doświadczamy w większym lub mniejszym stopniu, a u człowieka nie zrównoważonego psychicznie może to być znacznie silniejsze aniżeli takie codzienne zjawiska. Podskakujemy, więc o oczko wyżej na skali, którą kończy sto procent DID. Należy jednak

pamiętać, że rozdwojenie psychiczne wcale nie musi przyjmować tak ekstremalnych postaci jak na filmach, na których jedna z tożsamości na przykład mówi z obcym akcentem i choruje na cukrzycę, a druga płynnie posługuje się językiem i nic jej nie dolega. Te różnice mogą być mniej dramatyczne, a mimo to sprawiać, że pacjentka nie pamięta, co robiła przed dziesięcioma minutami. Może nawet całe dni, miesiące i lata jej życia będą pogrążone w totalnej ciemności.

- Czy wobec tego można sobie wyobrazić - pyta Malene - że Anne-Lise wysłała te maile, a teraz nie ma pojęcia, że to zrobiła?

- Oczywiście, to jest możliwe. Nie musi wcale mieć alternatywnej tożsamości z odrębnym imieniem i nazwiskiem, żeby o tym zapomnieć.

Malene już na początku wieczoru zdjęła buty. Wodzi teraz stopą tam i z powrotem po nierównej powierzchni dywanu Grith.

- My znamy ją jako osobę, przed którą nigdy nie czułybyśmy strachu. Dlatego nie potraktowałyśmy poważnie groźby, że ona może nas zabić. Jak bardzo inna może być ta jej druga strona?

- O ile dobrze zrozumiałam, nie ma żadnej pewności, że to Anne-Lise wysłała te maile. Tak naprawdę mógł je wysłać każdy, prawda?

- Z całą pewnością. Ale założmy, że to ona.

- Zarówno w jej przypadku, jak i wszystkich innych, ta druga tożsamość może mieć cechy obce tej osobie, na co dzień, albo nawet być jej przeciwieństwem.

Iben patrzy na talerzyk z suszonymi owocami. Wyciąga rękę, ale po nie nie sięga.

- A więc czysto teoretycznie wszyscy możemy mieć inną tożsamość, której istnienia nie podejrzewamy i nie pamiętamy, że wysłała maile i robi rozmaite inne rzeczy? - pyta.

- Tak.

- I logiczną niemożliwością jest dowiedzenie się o niej?

- Często domyślamy się jej istnienia. Jeżeli starcza nam odwagi!

Nowością w badaniach jest większa koncentracja na przejściu pomiędzy różnymi tożsamościami. No i na odkryciu, jak bardzo powszechne jest to zjawisko. Lecz jeśli nawet ktoś należy do stosunkowo nielicznej grupy osób, które nie mają żadnych przeczuć, co do istnienia innych tożsamości, to i tak często znajduje ich ślady. Rzeczy w mieszkaniu, które nie wiadomo skąd się wzięły. Przełożoną w inne miejsce torbę plastikową.

Malene trochę za mocno wymachuje stopą i nagle uderza palcami w nóżkę stolika przy kanapie. Czuje ból, ale nie na tyle wielki, by któraś jeszcze to zauważyła. Pochyliła się, żeby zbadać stopę, masuje zreumatyzowany palec.

Nad głową słyszy krótki śmiech Iben.

- No dobrze, lecz gdy chodzi o te dwa maile, to mogły chyba zostać wysłane przez wszystkich z wyjątkiem nas samych?

Grith po raz pierwszy tego wieczoru się waha.

- Nie mówię, że są... a raczej oczywiście nie mogą być... nie w tym wypadku... ale najzupełniej teoretycznie...

W końcu wygląda na to, że znalazła sposób na wyrażenie tego, co chce powiedzieć.

Malene prostuje się i widzi, że Grith trzyma się za uda.

- Gdybym was nie znała, to pomyślałabym, że osoba o rozszczepionej osobowości sama wysłała maila do siebie. Nie mamy doczynienia z dwiema stronami tej samej tożsamości, tylko z dwiema różnymi tożsamościami, chociaż znajdują się one w tym samym ciele. I czasami jedna z nich pamięta wszystko z życia tej drugiej, lecz w przeciwną stronę to nie działa. I jedna z tych tożsamości może tej drugiej nienawidzić i wysuwać wobec niej najróżniejsze oskarżenia, zarzucać jej, że jest „zła” i „jedyna sprawiedliwa”.

Po chwili, patrząc na Malene, dodaje:

- Taka jest istota tego zjawiska.

Potem znów wychodzi ze swej roli zawodowego psychologa i zaczyna mówić szybciej, głosem zarezerwowanym dla przyjaciółek.

- Ale dlaczego miałyby to być któraś z was? Dlaczego w ogóle te maile miałyby mieć jakikolwiek związek z kimś o rozszczepionej osobowości? Ludzie, którzy cierpią na rozszczepienie większe niż normalnie, z reguły miewają również inne problemy psychiczne. Bardzo często mają za sobą straszne dzieciństwo i...

Atmosfera zrobiła się jakaś nieprzyjemna. Trudno siedzieć na kanapie domowej roboty, patrzeć na inne osoby i myśleć, że według badań naukowych z ostatnich dwudziestu lat w tych osobach może kryć się wszystko. Doprawdy wszystko!

A jednocześnie człowiek ma świadomość, że osoby, które siedzą obok, dokładnie to samo myślą o nim.

Przez kilka chwil żadna nic nie mówi. Malene patrzy na ścianę nad regałem. Wiszą tam dwie rosyjskie ikony. Na ile Grith zerwała wtedy z teologią? Czy wciąż jest religijna?

Czy właśnie taki nastrój pragnęła wywołać?

Malene wcale nie chce o tym myśleć, lecz mimo to uparcie powraca myśl: Iben tyle razy powtarzała, że w Nairobi była „kimś innym”. Policja mówiła, że do jej mieszkania nikt się nie włamał, a tymczasem Iben upierała się, że ktoś otworzył drzwi i przełożył jakiś plik papierów.

Iben jest taka „świadoma” wszystkiego w sobie. Posługując się mnóstwem fachowych wyrażeń, dyskutuje o swojej psychice z Malene i z Grith. Ale tego nie mogła wiedzieć. Jak sama mówi, było to „logiczną niemożliwością”.

Malene stwierdza w duchu, że nie chce nawet o tym myśleć. Bez względu na to, co ma na ten temat do powiedzenia druga przyjaciółka Iben i jej wiedza psychologiczna.

Malene nie godzi się na całą tę manipulację nastrojem. Oświadcza, że bez względu na to, czy teoria osoby z DID jest prawdziwa, czy nie, to i tak czuje się nieswojo po tak wnikliwym wprowadzeniu w ten temat.

- To prawda. - Grith wstaje. - Interesujące jest to, co mówisz.

Z regału, do którego podeszła, wyciąga książkę autorstwa, jak mówi, Finna Abrahamowitza.

Przegląda ją, a potem zaczyna głośno czytać. Malene przypuszcza, że Grith i Iben często tak robią, kiedy są we dwie.

- „Sądzę, że nasze najgłębsze lęki wynikają z obaw przed tym, że nie jesteśmy jednością. Uważam też, że William James miał wiele racji, opisując człowieka nie jako tożsamość, lecz jako związek jednostek psychicznych, *«a confederation of psychic entities»*,„

Grith przegląda książkę, szukając jakiejś innej strony. W tym czasie Malene patrzy pytająco na Iben, lecz Iben uśmiecha się, jak gdyby najbardziej naturalną rzeczą na świecie było to, że przyjaciółka stoi na środku pokoju i szuka najlepszego cytatu, który ma zamiar odczytać.

* * *

Jest już późno. Malene dzwoni do Iben.

- Położyłaś się już? - Tak.

- Obudziłam cię?

- Nie. Leżę i czytam.

- Myślę o tym, że to może być każdy.

- Może nie powinnam była cię tam zabierać.

- Nie, nie, to było bardzo ciekawe.

- Ja też tak uważam. Ona często mówi rzeczy, których człowiek się nie spodziewa.

- No tak. A z tego zawsze może wyniknąć coś dobrego.

12

Gdy Malene przychodzi do pracy następnego dnia rano, widzi, że drzwi z Ogrodu Zimowego do biblioteki są zamknięte jak zwykle. Ruchem warg pyta Camille:

- Ona jest?

Camilla kiwa głową.

Malene wychodzi na korytarz. Drzwi z korytarza do biblioteki są rzeczywiście otwarte. Anne-Lise przyszła, więc do pracy.

Malene stawia torbę przy biurku i, zdziwiona, rozgląda się dokoła, w końcu podchodzi do Camilli i pyta szeptem:

- Co się stało?

- Nic.

- Rozmawiałyście?

- Powiedziałyśmy sobie tylko „dzień dobry”. Jak zawsze. Camilla rano zazwyczaj jest małomówna, Malene zajmuje, więc cicho swoje miejsce i włącza komputer. Coś jest nie tak, chociaż nie potrafi powiedzieć, co. Zanim komputer jest gotowy do pracy, mija wieczność, a ona ma czas, by pomyśleć: Skąd się bierze cała ta obcość? Przecież wszystko jest takie samo jak zwykle. Czy ta różnica może tkwić we mnie? Ale to chyba nie o mnie chodzi. Mam wrażenie, że całe biuro się odmieniło.

Teraz, gdy Malene przespała się z problemem, wie, że poprzedniego dnia zareagowała zbyt mocno.

Tak bywa, gdy człowiek zostaje zaatakowany. Natychmiast przyjmuje pozycję obronną. Muszą jednak postarać się wznieść ponad swój gniew. Ich praca zobowiązuje: co dzień informują o ludziach, którzy pozwalają, by gniew przejął władzę nad rozumem. Opisują tragedie, do których doprowadziło kierowanie się niedobrymi uczuciami. Kto, jeśli nie Malene, Iben i Camilla, miałby umieć nad nimi zapanować?

Anne-Lise najwyraźniej ostatnio miewa się bardzo źle, może nawet ma kłopoty w domu. Biuro powinno ją wspierać w takim okresie. Malene zastanawia się, czy nie iść do biblioteki i nie spytać jej, jak się czuje. To jednak byłaby chyba przesada. Siada, więc i porządkuje sprawy, których nie zdążyła załatwić wczoraj po południu, a w rzeczywistości czeka na przyjście Iben.

Iben pojawia się kwadrans po dziewiątej. Obie z Malene pochylają się nad zwróconymi do siebie biurkami i rozmawiają szeptem, bo przecież nie wiadomo, ile Anne-Lise może usłyszeć nawet przez zamknięte drzwi.

Camilla, by uczestniczyć w rozmowie, musi wstać i do nich podejść. Malene mówi o czymś, co od wczoraj nie daje jej spokoju.

- Gdy ktoś zachowuje się tak jak Anne-Lise, to normalne, że pozostałe osoby rzucają się na nią, odpierając atak. My tak nie zrobiliśmy. To dobrze, ale nie wystarczy.

Koleżanki słuchają z zainteresowaniem, być może przez szept Malene sprawa nabiera większej wagi.

- Istnieje też inna reakcja, równie częsta w takich wypadkach. Pozostałe osoby mogą udawać, że nic się nie stało, tylko okazywać coraz większy chłód wobec osoby, która zaatakowała. Po pewnym czasie atakujący musi się zwolnić z pracy, ponieważ dłużej nie może wytrzymać tej presji.

Malene patrzy na Iben.

- Mogłybyśmy doprowadzić do tego bez najmniejszego kłopotu. Mogłybyśmy osiągnąć taki cel. Pojawiłaby się nowa koleżanka, co byłoby z korzyścią dla biura. To bardzo łatwe. Trzeba tylko pozwolić, by sytuacja sama się rozwijała, bez jakiegokolwiek ingerencji. Ale to praktycznie zaszczucie jej. Musimy być lepsze.

- I co?

- Przecież uczymy się czegoś z tych licznych projektów rozwiązywania konfliktów i ugody, o których stale piszemy: Pierwszym i decydującym krokiem jest nakłonienie stron do rozmowy o problemie. A w spotkaniach powinien zawsze uczestniczyć niezależny mediator.

- Czy nie posuwamy się za daleko? - pyta Camilla. Ale Iben zgadza się z Malene.

- Ja bardzo chętnie wezmę udział w takim spotkaniu.

- Sądzę, że ona też by tego chciała - mówi Malene. - Na ogół to silniejsza strona bardziej się wzbrania przed procesem pojednawczym. A w tym kontekście silniejszą stroną jesteśmy my.

Paulowi do tej pory nikt o niczym nie wspomniał, nie ma, więc pojęcia, co się wydarzyło w biurze.

- Wszelkie doświadczenia wskazują, że będziemy musieli mu o wszystkim powiedzieć - ciągnie Malene. - W tej sytuacji potrzebny jest bezstronny autorytet.

Camilla podchodzi do jej pomysłu bardziej sceptycznie.

- Masz na myśli wszelkie doświadczenia z konfliktami międzynarodowymi? To znaczy, że on ma być naszym rozjemcą i jednocześnie siłami pokojowymi ONZ?

Malene trochę się z siebie śmieje, ale nie ma ochoty jej tak od razu przytaknąć.

Gdy zjawia się Paul, mimo wszystko się wahają. Po rozmowie o tym i owym szef znika za zamkniętymi drzwiami swego gabinetu. Malene patrzy na te drzwi i myśli, że poinformowanie go o sprawie może poczekać do niezaplanowanych na ogół minut przed przerwą na lunch.

Dzisiaj jej praca polega na telefonowaniu do różnych niemieckich fundacji. Trzyosobowa grupa naukowców z Instytutu Historii Uniwersytetu Kopenhaskiego organizuje konferencję na temat wysiedlenia milionów Niemców z Europy Środkowej i Wschodniej i gwałtów dokonanych na niemieckich kobietach w okresie klęski Niemiec podczas drugiej wojny światowej. Zgłosili się do DCIL, a Malene oczywiście im pomaga. Zaproponowała, by spróbowali szukać wsparcia nie tylko w fundacjach duńskich, lecz także w Niemczech. Za pośrednictwem Schutzgemeinschaft für Menschenrechte Humanität und Toleranz otrzymała sporo numerów telefonów i teraz musi obdzwonić kolejne instytucje, żeby się dowiedzieć, jak zapatrują się na udzielenie wsparcia konferencji organizowanej w Danii.

Ma obolałe ręce. Wierzy, że nie jest to zapowiedź następnego ataku choroby. To bardzo nieodpowiedni moment, przecież w pracy tyle się dzieje. W dodatku dziś wieczorem Rasmus wraca z Kolonii, więc to bardzo ważne, żeby ból jej nie dokuczał.

Paul przez całe przedpołudnie nie opuszcza gabinetu, a Malene i Iben nie widziały jeszcze Anne-Lise, która najwyraźniej również tkwi w bibliotece.

O pół do dwunastej Paul zza zamkniętych drzwi dzwoni do Camilli i oznajmia, że dziś zje lunch na mieście. Camilla przekazuje wiadomość koleżankom.

Wymieniają spojrzenia. Najpierw urażone, potem rozbawione, a na końcu pytające. Wreszcie Malene odpowiada na nieme pytania spojrzeniem „ja to zrobię”. Wstaje, wolno podchodzi do drzwi Paula. Odwraca się i lekko uśmiecha do Iben i Camilli, które nie spuszczają z niej oczu. Wreszcie puka do drzwi.

- Tak? - rozlega się głos ze środka.

Malene wchodzi do gabinetu i początkowo trochę krąży wokół tematu. Po kilku minutach rozmowy, między innymi o konferencji na temat wysiedlenia Niemców, mówi wreszcie:

- Nie wiem, czy już słyszałeś, że Anne-Lise wczoraj prawie się załamała w pracy.

- Nie, nic o tym nie wiem!

Malene opowiada, co się stało, i oświadcza, że z całą pewnością należałoby zwołać zebranie, na którym wszyscy pracownicy biura będą mogli wyrazić swoje zdanie, a także wysłuchać, co mają do powiedzenia inni.

Paul prostuje się, a wysokie oparcie obrotowego dyrektorskiego fotela poddaje się naciskowi jego pleców.

- Masz rację, Malene. Dobrze, że z tym przysłaś. Poruszymy to.

- Jak sądzisz, kiedy będziesz miał na to czas?

- Teraz. Szybka interwencja, to najważniejsze.

Malene wychodzi i informuje koleżanki o mającym się odbyć zebraniu. Z obu klawiatur dobiegają pospieszne twarde stuknięcia „skończyłam”.

Teraz Malene kieruje się do zamkniętych drzwi Anne-Lise. Stojąc przed nimi z ręką na klamce, myśli: Oto działanie zgodne z definicją człowieka dojrzałego. Przełamanie niechęci do koleżanki, która obrzuciła człowieka najdzikszymi oskarżeniami i prawdopodobnie wysłała anonimowe maile z pogroźkami. Zaproszenie jej na zebranie w celu podjęcia próby rozwiązania konfliktu. Czy można działać bardziej konstruktywnie?

Anne-Lise siedzi za wysokimi stosami tomów ułożonych na biurku. Książki znajdujące się w pomieszczeniu chłoną światło, jest tu, więc ciemniej niż w Ogrodzie Zimowym, chociaż w obu pokojach jest tyle samo okien i lamp.

- Paul chciałby, żebyśmy przyszły teraz do niego na zebranie.

Malene nie uśmiecha się do Anne-Lise, a Anne-Lise nie odpowiada jej uśmiechem. Mówi tylko:

- Dobrze.

* * *

Zebranie przy niedużym stole konferencyjnym w gabinecie Paula rozpoczyna się bez wybuchu uczuć tak gwałtownych jak poprzedniego dnia. Staje się trzeźwą relacją tego, co zaszło, i omówieniem kroków na przyszłość.

Wszystkie wykazują wielką otwartość.

- Może rzeczywiście poświęcałyśmy ci za mało uwagi - mówi Iben. - Teraz, gdy wiemy, że wcale nie lubisz siedzieć tyle sama, postaramy się to naprawić.

Camilla uzupełnia:

- Bardzo mi przykro, że tyle czasu tak się tym martwiłaś. Trzeba nam było od razu powiedzieć, co cię gryzie. Żadna z nas nie powinna się tak czuć. Wszystkie powinnyśmy tu przychodzić z radością.

Anne-Lise siedzi z szeroko otwartymi oczami i patrzy. Kiedy się odzywa, głos ma głębszy niż zwykle i cały czas chrząka.

Paul jest zadowolony, gdy zaskakująco szybko może zacząć podsumowywać:

- No proszę, ile błędów popełniliśmy! I ja muszę wziąć na siebie swoją część odpowiedzialności. Niestety. Powinniśmy częściej rozmawiać o atmosferze w pracy. Właśnie tak jak teraz.

Znów zwraca się do Anne-Lise:

- Uważasz, że koleżanki się na ciebie uwzięły?

- Nie.

- To znaczy, że się zdenerwowałaś i to wszystko było zwykłym nieporozumieniem?

- Tak.

- To dobrze, że wszystko się wyjaśniło.

Paul mówi takim tonem, jakby wygrał partyjkę w karty.

Obiega spojrzeniem stół, po kolei zaglądając w oczy każdej z podwładnych.

- Ale twierdzisz, że jesteś zbyt odizolowana w bibliotece?

- Tak.

- I chciałybyś mieć większy kontakt z użytkownikami?

- Tak.

Paul wypija duży łyk kawy.

- A wy, skoro już rozmawiamy o tym, czego oczekujemy od siebie nawzajem, czego wy oczekujecie od Anne-Lise?

- Żebyś częściej mówiła, na czym ci zależy - mówi Iben i patrzy po innych. - Nie możemy się przecież domyślać, jeśli ona nie będzie mówić.

- To oczywiste. Anne-Lise, spróbujesz?

- Spróbuję.

Paul, zadowolony, uśmiecha się, starając się pochwycić spojrzenie Anne-Lise.

- To dobrze. Myślę, że wszyscy czegoś się z tej sytuacji nauczyliśmy. Czy możecie podać sobie ręce na zgodę, z nadzieją, że w przyszłości atmosfera w pracy będzie lepsza?

Między stojącymi na stole filiżankami z kawą pojawiają się niezgrabnie wyciągnięte dłonie.

Paul, wstając, kontynuuje:

- I od tej pory drzwi między dużym biurem a biblioteką będą otwarte. A w razie pytań o książki i bibliotekę użytkownicy mają być przełączani do Anne-Lise. No dobrze, to tyle.

- Ha!

- Paul! Takiej umowy wcale nie było!

- Nie możemy podzielić kontaktów z użytkownikami!

- Nie mogę siedzieć w przejściu!

- Nie możesz tego załatwiać w taki sposób!

Paul musi z powrotem usiąść. Próbuje się uśmiechać, ale na twarzy ma wyraz zniecierpliwienia.

Iben lekko obraca swoją filiżankę. W końcu podnosi głowę i patrzy w oczy Camilli.

- Myślałam nad pewnym rozwiązaniem, ale nie wiem, co na nie powiesz, Camillo. To oczywiste, że nie możesz siedzieć w miejscu, w którym mogłabyś się rozchorować. Ale gdybyśmy przestawiły twoje biurko w taki sposób, że nie siedziałabyś w przejściu z otwartych drzwi do biblioteki?

- No...

Malene podejmuje wątek (omawiały to z Iben przed południem, kiedy spotkały się we dwie w powielarni):

- Oczywiście stanowisko pracy tuż przy drzwiach do Paula jest dla ciebie bardzo wygodne, ale to przecież nie stanowi aż tak wielkiej różnicy, bo jego często nie ma w biurze.

- No tak...

Camilla nie kończy zdania. Słowa zawisają w powietrzu. Na długo. W końcu Malene osładza propozycję:

- Mogłybyśmy przesunąć twoje biurko bliżej nas. I tak więcej rozmawiasz z nami niż z Paulem. Byłoby naprawdę miło.

Proponując to, Malene z z troskaniem zerka na Iben. Tego nie omawiały.

Iben odpowiada spojrzeniem: „Okej, akceptuję to, ale niechętnie”. Dzieje się to tak szybko, że tylko dwie przyjaciółki rejestrują niemą rozmowę. Wreszcie Iben uśmiecha się do koleżanek.

- Tak, byłoby bardzo miło, gdybyś była bliżej naszych biur. No i u nas nie czuje się tego przeciągu.

Camilla wygląda na trochę zdezorientowaną, ale jest zadowolona. Po krótkich przepychankach ustalają, że drzwi do biblioteki będą otwarte, a Camilla przeniesie się bliżej Malene i Iben.

Paul znów szykuje się do zamknięcia zebrania, ale Malene jeszcze nie skończyła:

- Paul, a co z użytkownikami biblioteki?

Szef wygląda na poirytowanego.

- Tak?

- Przecież chodzi o to, żeby DCIL świadczyło usługi na jak najwyższym poziomie i właśnie temu musimy podporządkować organizację pracy. Trzeba dostosowywać się do życzeń użytkowników, a nie odwrotnie.

Paul pomrukuje z uznaniem. Malene ciągnie:

- W instytucji, której celem jest świadczenie usług, nikogo nie przełącza się ciągle do innego pracownika przy każdym pytaniu.

- Czasami się przełącza.

- Tylko wtedy, kiedy osoba na stałe odpowiedzialna za kontakt nie potrafi udzielić odpowiedzi. To trochę tak, jak z doradcą bankowym. W banku dąży się do tego, żeby wszystko odbywało się za pośrednictwem tego samego pracownika. Wtedy obsługa jest najlepsza. Do eksperta przełącza się dopiero wówczas, gdy stały doradca nie potrafi pomóc klientowi.

Malene milknie i rozgląda się po wszystkich.

- My też chcemy zapewnić jak najlepszą obsługę. A na tym zebraniu spełniliśmy już jedno życzenie Anne-Lise.

- Zgadzam się z Malene - mówi Iben.

Camilla też się przyłącza:

- Ja również.

Malene czuje, że swędzi ją dłoń. Drapie się, ale to nie pomaga.

- Jeśli Anne-Lise przejmie część moich obowiązków, wszyscy poza centrum uznają, że stało się tak, dlatego, że sobie z tym nie radzę. Tak samo jak doradca bankowy, który nie potrafi odpowiedzieć na pytanie. To jedyne uzasadnienie, jakie przyjdzie im do głowy.

Paul marszczy brwi, ale mówi z przekonaniem:

- Malene, nikt nie twierdzi, że źle wykonujesz swoją pracę i nie potrafisz odpowiedzieć na pytania dotyczące biblioteki. Jesteś bardzo dobra w tym, co robisz. I wszyscy bardzo się cieszą, że tu jesteś. To nie o to chodzi.

Anne-Lise się nie odzywa. Malene przelotnie zerka na jej ręce, czy tak jak wczoraj zaczęła się trząść. Są jednak spokojne. Malene opanowuje się i wychyla do przodu.

- Ja też uważam, że Anne-Lise nie może się czuć samotna i opuszczona w bibliotece. Ale przecież już teraz tak nie będzie.

Malene patrzy Anne-Lise w oczy.

- Teraz drzwi do ciebie będą otwarte. To zasadnicza różnica, prawda?

Po długim namyśle Anne-Lise wreszcie odpowiada, ale głos dalej ma niewyraźny:

- No tak.

Waha się również Paul:

- Zastanowię się nad tym, Malene.

* * *

Wracają na swoje miejsca, wszystkie z wyjątkiem Anne-Lise, którą Paul poprosił, by jeszcze przez chwilę została u niego w gabinecie.

Z całą pewnością pragnie ją w cztery oczy zapytać, kto mógł wysłać te maile.

Pracują, udając, że nie próbują podsłuchiwać przez drzwi. Z gabinetu Paula zresztą nic nie słychać. W jednym z okien na ekranie komputera Malene pokazuje się spodziewany czas przylotu wieczornego samolotu Rasmusa. Wcześniej sprawdzała na stronie lotniska opóźnienia, lecz oczywiście nie wiedzieli nic z góry.

Otwierają się drzwi. Wychodzi z nich Anne-Lise. Oboje, i Paul, i Anne-Lise, udają, że nic się nie dzieje. To znaczy, że się nie przyznała do wysyłania tych maili. Albo może przyznała się w zamian za jego obietnicę, że nic nie powie koleżankom.

Nieco później Paul wychodzi na swoje spotkanie.

- Wam też życzę miłego lunchu! - mówi. - Malene, zrobimy to tak: zachowasz wszystkie kontakty z użytkownikami, oprócz bezpośrednich pytań o książki, tym zajmie się Anne-Lise.

Malene siedzi bez ruchu.

Potem wybiega i dopada do windy akurat na czas, by mogła zjechać na dół razem z Paulem.

Wśród przeciągłego zgrzytu Paul, patrząc w lustro, mówi:

- Rzeczywiście w sytuacji Anne-Lise było wiele nieprawidłowości. Wietrzenie powielarni, praca w izolacji od reszty zespołu i w ogóle. Zmienimy teraz te dwie sprawy. Miejmy nadzieję, że w przyszłości łatwiej jej będzie zachować równowagę.

Malene wraca do Ogrodu Zimowego. Koleżanki patrzą na nią, zarazem współczująco i badawczo. Ma ochotę walnąć pięścią w stół, lecz nie może tego zrobić z powodu bolących palców.

Co ona powie wszystkim tym ludziom, z którymi rozmawia jak dzień długi? Którzy przez trzy lata przyzwyczaili się, że mogą ją pytać o wszystko?

Czy ma mówić: „Przepraszam, ale nie mogę już dłużej pomóc w sprawie książek. Paul mi tego zabronił”?

A może: „Tę część obowiązków mi odebrano”?

Projekty użytkowników, ich zamówienia na książki i inne życzenia są ściśle ze sobą powiązane. Malene jest tu jedyną osobą, która zna każdy projekt, każdą osobę i wie o każdej wypożyczonej książce. Zgromadzenie tej wiedzy dla dobra centrum zajęło jej trzy lata.

A teraz Paul z powodu Anne-Lise może to zniszczyć jednym zdaniem wypowiedzianym w windzie jadącej na dół.

Uśmiecha się z wysiłkiem do Iben i Camilli, lecz one na pewno widzą, jak bardzo jest wzburzona. Uśmiecha się jeszcze raz, tym razem szczerzej, rozbawiona czytelnością własnej twarzy.

Musi zredagować artykuł do „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa”, ale nie jest w stanie zacząć. Tak bardzo chciałaby porozmawiać teraz z Iben bez obecności Camilli i bez Anne-Lise po drugiej stronie jak na razie wciąż zamkniętych drzwi.

Dostaje mail.

To krótka wiadomość od Iben z drugiej strony biurka.

„Wymkniemy się do kuchni?”

Malene kiwa głową. Odkłada artykuł Zapomniane tragedie w Europie, podchodzi do termosu ze swoim kubkiem, jakby był pusty, potrząsa termosem delikatnie, żeby nie było słyhać kawy w środku, jak gdyby on również był pusty. Potem wychodzi z pokoju, a za chwilę pojawia się Iben.

Kuchnia jest nieduża. Urządzona białymi, tanimi szafkami, stalowym blatem, starą lodówką i - jedyną rzeczą naprawdę wysokiej jakości - niezwykle luksusowym ekspresem do kawy.

Malene napełnia termos aż po brzegi, skoro i tak już tu przyszła.

- Nie wzruszyłoby mnie ani trochę, gdyby to ktoś inny miał przejąć te kontakty, byle nie Anne-Lise. Przez trzy lata wkładałam w nie całą swoją energię...

- To przecież zupełnie bez sensu.

- A teraz ona w ciągu paru tygodni wszystko popsuje. To nie do zniesienia.

- Doskonale cię rozumiem.

- To będzie takie martwe, płaskie. Bez cienia humoru, jak sama Anne-Lise. Spójrz tylko na nią. Czy to nie zniszczy wizerunku centrum? Przecież tego nie chcemy!

- Paul tego nie przemyślał.

- Gdyby Paul sam przejął moje obowiązki, centrum straciłoby tę wiedzę, którą zdobyłam przez ostatnie trzy lata, lecz z pewnością poprawiłoby wizerunek. Coś by straciło, ale co innego by zyskało. Ale Anne-Lise? Ona wszystko popsuje.

- Na zebraniu nikt nie mówił o tym, co będzie korzystne dla centrum - zauważa Iben.

- Najwyraźniej wszystkim jest to obojętne! Jedynym powodem tego, co się stało, jest fakt, że Paul jest mężczyzną i dowiedział się, że Anne-Lise popłakała się w czasie lunchu. Jeśli w taki sposób będzie się podejmować decyzje, to ja też będę płakać na wszystkich lunchach. Zobaczysz wtedy, jakie centrum stworzymy!

13

Na razie Malene miała operowaną tylko jedną dłoń. Ale przyszłość jest kompletnie nieprzewidywalna.

Przy gościcu jej stan może się pogorszyć szybko i nieodwołalnie, ale choroba może też pozostawać uśpiona przez dłuższe okresy albo zaatakować i okaleczyć inne rejony ciała. U Malene gościec od kilku lat zatrzymał się na stosunkowo niezmiennym poziomie, znacznie łagodniejszym niż u wielu innych osób.

Od operacji szczególnie dokuczają jej dłonie i stopy, w mniejszym stopniu kolana. Stan stóp uniemożliwia jej bieganie i uprawianie większości sportów.

Oprócz niepewnej przyszłości jej największą bolączką są nawracające dni choroby, podczas których gościec mocno daje o sobie znać i żadne środki przeciwbólowe nie są w stanie pomóc jej na tyle, by mogła chodzić o własnych siłach. W dwu-, trzymiesięcznych odstępach (tego nigdy nie da się przewidzieć) Rasmus musi ją znieść po schodach do taksówki, która wiezie ją na oddział reumatologiczny Szpitala Centralnego. A jeśli Rasmus jest za granicą, pomagać musi Iben. W szpitalu robią jej zastrzyk bezpośrednio w dotknięte chorobą stawy i to w ciągu doby przynosi ulgę.

Część chorych na gościec buduje swoją tożsamość wokół choroby. Są przede wszystkim chorymi, a dopiero potem ludźmi o rozmaitych innych cechach osobowości. Czytają dziesiątki książek o chorobie, chodzą na spotkania organizowane na jej temat, a ich bliscy zachowują się w ten sam sposób. Malene tak nie robi. Stara się, by otoczenie zwracało jak najmniejszą uwagę na jej problemy zdrowotne. Czasami przychodzi do pracy nawet wówczas, gdy dokuczają jej silne bóle. W biurze ma, rzecz jasna, ergonomiczną mysz, super krzesło, biurko z ruchomym blatem i odpowiednie przybory do pisania. Ale prawie nie wspomina o swojej chorobie, skarży się jedynie Rasmusowi i Iben.

Czasami trudno jej wstać z krzesła, którego nie może odsunąć od stołu w sposób umożliwiający inne rozłożenie ciężaru ciała i podparcie się, ale to nie rzuca się w oczy w biurze, w którym wszyscy pracownicy mają krzesła na kółkach. W mieszkaniu ma również takie krzesło, przy stole w jadalni - to może jest bardziej niecodzienne, ale nikt, kto przychodzi do niej z wizytą, tego nie komentuje.

Ma nóż do chleba - i inne noże kuchenne - ze specjalnym uchwytem, który przy krojeniu pozwala nie zginać ręki w nadgarstku. Ma też całą serię przyborów kuchennych z grubymi, miękkimi rączkami, dzięki którym dużo łatwiej się je trzyma. Ich okrągłe, kolorowe kształty mogą przy odrobinie dobrej woli uchodzić za ekskluzywne designerskie wzory. Malene spotkała się wręcz z pytaniami gości, gdzie je kupiła, jak gdyby i oni mieli na nie ochotę.

Ale jest również coś, co trudno wyjaśnić: nieustający lęk, że następny dzień okaże się dniem, w którym choroba da o sobie znać. To w zasadzie najgorsze. Zawsze łądzi się nadzieją: „Przecież jest tak dobrze. Przez ostatnich pięć tygodni właściwie prawie nic nie czułam. Może choroba ustępuje? Może przez najbliższe pół roku następnego ataku nie będzie? O takich rzeczach też się słyszy. Przecież może tak być”.

W dobrych okresach znów cieszy się swobodą, niezależnością od innych. Nastrój się poprawia, a wraz z nim ożywają marzenia o przyszłości, rodzi się optymizm. „Wszystko tak świetnie się układa. Dlaczego miałabym znów zachorować?”

W niektóre dni, zwłaszcza wiosną, w przypływie rozmarzenia i rozrzutności, tak jak zdrowi ludzie, kupuje buty, które nie zostały uszyte przez szewca specjalizującego się w obuwiu ortopedycznym, chociaż niejednen by powiedział, że nigdy ich nie włoży.

Ale choroba zawsze wraca, pojawia się bez powodu. Człowiek zaczyna szukać przyczyn, bo od tego nie może się powstrzymać: Czy mam przestać jeść czekoladę? Czy to przez ten chleb na drożdżach? Może spałam za mało? A może za dużo? Czy atak nastąpi w dwa dni po stresie? A może nazajutrz po dniu wyjątkowo dobrego humoru? Może nie powinnam się już tak cieszyć? Czy o to chodzi? Czy to przez ten dobry humor? Czy to jakaś kara? Czy to ja zawiniłam?

I tak dalej, i tak dalej, roku po roku. Jedynym systemem, jaki wydaje się za tym kryć, jest nieprzewidywalność i brak sensu.

Kiedy choroba atakuje, oprócz bólu i niemożności samodzielnego poruszania się, jest jeszcze strona psychiczna: rozczarowanie! Nie pomogła, więc trzytygodniowa dieta bezcukrowa, nie pomogły medytacje ani healing. Nie pomogło unikanie stresu i zbyt dużych huśtawek nastroju.

Rozczarowanie miesza się z bólem, a ból z bezsilnością, z upokorzeniem, bo trzeba ją nosić po schodach. Znów! Akurat wtedy, gdy po raz tysięczny tak się starała zwalczyć ów zły system.

To ani trochę nie pasuje do Malene, która samotnie przejechała Afrykę, Amerykę Południową i Azję, która tak walczyła o studia w Kopenhadze, chociaż wytyczono jej zupełnie inną drogę.

Ktoś by powiedział, że powinna się poddać. Cieszyć się dniami, kiedy jest zdrowa, i nie marzyć o niczym więcej. Ale to nie leży w jej naturze. Nawet wtedy, gdy postanawiała, że przestanie już szukać jakiejś prawidłowości w atakach choroby, że od tej pory będzie piła czerwone wino i pływała w zimnej wodzie, że będzie żyła na luzie, mimo wszystko nie udawało jej się tego zrealizować. Ona chce pokonać ten system. Nie może tego tak zostawić. I za każdym razem, gdy dociera do niej prawda, że to jednak nie ona decyduje o tym, co się dzieje z jej ciałem, poddaje się czarnym myślom.

* * *

Samolot z Kolonii powinien wylądować na lotnisku Kastrup przed ósmą. Firma zafunduje Rasmusowi taksówkę do domu i przy odrobinie szczęścia będzie na miejscu o dziewiątej. Malene zastanawiała się, jak uczcić jego powrót, bo przecież przez dziesięć dni delectował się w niemieckich hotelach i restauracjach wykwintnym jedzeniem i winami.

Postanawia podać prosciutto z oliwkami, ekologicznymi pomidorami, oliwą z oliwek i owczy ser z orkiszowym chlebem z delikatesów Emmer's. Rasmus uwielbia dobry chleb. Potrafi zjeść kilka kromek z samym tylko masłem i solą. Ponieważ menu powitalne jest takie proste,

Malene poświęci czas na przyrządzenie drinków ze świeżo wyciśniętych soków z owoców tropikalnych, naśladujących te, na których punkcie oboje oszaleli podczas wakacji w Wietnamie.

Przygotowuje cztery różne soki. Z limonki, pomarańczy, brzoskwini i melona. Będą je mieszać ze złocistą tequilą, którą Rasmus przywiózł z którejś z poprzednich podróży. Szykuje wszystko tak, by posiłek nie sprawiał kłopotów i można go było zjeść w sypialni.

Poza tym wyjmuje nowy program Cinemateki na cały miesiąc. W czasie pobytu Rasmusa w domu kino Filmhuset organizuje przegląd filmów z Jackiem Nicholsonem. Malene nie wspomniała o tym przez telefon. Program ma być dla niego niespodzianką.

Gdy Rasmus staje w drzwiach, wszystko dzieje się bardzo szybko.

Widzi po nim, że wcale nie za jedzeniem i drinkami tęsknił najbardziej, a on po niej, że dzisiaj nie zrobią tego w przedpokoju, tylko w łóżku.

Malene leży i węża jego tors, który pachnie obco hotelowym mydłem. Rasmus dzisiaj naprawdę się rozpałił, a ona zaczyna się temu poddawać.

Chyba nawet nie myśli o biurze. Przez chwilę ma wrażenie, że tamte sprawy odpłynęły bardzo daleko.

Za łóżkiem jest szafa, której drzwiczki wydają się uchylone pod takim samym kątem jak okno. Poza tym z łóżka trudno jest dojrzeć francuski plakat Rasmusa, który wisi przy drzwiach - w refleksach światła z lampy na suficie widać jedynie ciemną smugę na ścianie.

Jeszcze raz stara się oddać temu, co robią. Nie wie, czy jej się udaje.

Ale po chwili ma już pewność.

- Nie, Rasmus. Jakoś nie mam nastroju. Musimy trochę poczekać.

Twarcz Rasmusa na moment ściąga się w irytacji, gdy przetacza się na bok, ale w jego głosie zaraz pojawia się życzliwość:

- Co się dzieje?

- Po prostu jakoś nie mogę się wczuć. Rasmus wzdycha, lecz pyta równie życzliwie:

- Zrobić ci jeszcze coś do picia? Trochę więcej limonki i bez melona?

Malene siada.

- Przepraszam. Jakoś dzisiaj nie...

Siedzi na wysokości jego brzucha i patrzy na piękne ciało.

- Mogę ci pomóc...

- Nie jestem krową, którą trzeba doić.

- Wcale tak nie myślałam.

Idą do kuchni i wystawiają kolację, której nie zdążyli zjeść wcześniej. Malene opowiada o biurze, ale najważniejsze rzeczy Rasmus już usłyszał przez komórkę, kiedy czekał na samolot w Kolonii.

Rasmus jako jedyny z grona znajomych filmoznawców przeszedł do branży IT. W czasie studiów nakręcił wraz z przyjaciółmi kilka krótkometrażowych filmów eksperymentalnych. Z tej dawnej grupy dwoje pracuje teraz za darmo lub za symboliczne wynagrodzenie w spółce filmowej, jeden jest autorem tekstów w branży reklamowej, Rasmus sprzedaje części do komputerów, a pozostali są bezrobotni.

Kiedy Malene spotkała go po raz pierwszy, był razem z grupą. Filmowali wywiad nad jeziorem Peblinge. Obaj rozmawiający byli zanurzeni w wodzie. Gdy w tym czasie Malene przypadkiem tamtędy przechodziła, Rasmus stał na pomoście i reżyserował.

Zatrzymała się zaciekawiona, a Rasmusowi zaledwie w ciągu kilku chwil udało się wejść w jej życie, chociaż w pierwszym momencie wręcz go odrzuciła. Od tamtej pory minęły już dwa lata, a rok, odkąd Rasmus wprowadził się do jej mieszkania.

Gdy Malene opowiada mu, jak minął dzień, wydaje się przygnębiony. Malene natychmiast go o to pyta, a on po krótkich przepychankach, wyznaje w końcu:

- Bardzo chcę cię wspierać, ale nie przez cały czas. Zawsze coś się dzieje. Czy to się nigdy nie skończy?

Teraz i ona czuje, że ma tego dość. Rzeczywiście, cały wieczór dręczyły ją myśli o Anne-Lise i o biurze.

- Nic nie poradzę na to, że przedwczoraj dostałam mail, w którym grożono mi śmiercią. A dzisiaj odebrano mi i zniszczono część mojej pracy.

- No tak, to prawda.

- A ty mówisz o tym tak, jakby to była moja wina. Każdy wpadłby w zły humor, dowiadując się, że musi przekazać swoje dotychczasowe obowiązki nieznośnej koleżance.

- Masz rację, to nie twoja wina. To naprawdę poważna sprawa. I tak się postarałaś z tym jedzeniem i drinkami. - Krojąc pomidory w plasterki, dodaje: - Tylko, że... tylko, że zawsze jest coś.

- Widzisz, znów mówisz, że to moja wina.

- Nie. Po prostu cudownie się czułem w Kolonii. Byłem wesoły tak jak podczas wyjazdów do Norwegii, do Austrii i do Portugalii. Za każdym razem tak się cieszę na powrót do domu, staram się wierzyć, że tu razem z tobą będę mógł być tak samo wesoły...

- Rasmus, nie zaczniesz chyba wszystkiego od początku, i to teraz, kiedy ja przeżywam coś takiego!

- Nie. - Odkłada nóż. - Ale ostatnio też nie mogłem o tym mówić, ponieważ ty byłaś cały czas taka nieszczęśliwa, bo twoja najlepsza przyjaciółka cię zawiodła, nie napisała do ciebie z Kenii, a przecież to ty załatwiłaś jej ten wyjazd. To również była bardzo poważna sprawa i zrozumiałe, że tak to przeżywałaś. A już z całą pewnością niemożliwe to było i poprzednim razem,

kiedy miałaś atak choroby. Ale to w porządku. Nie chodzi o gościec! Jeszcze wcześniej odwiedziłaś Charlotte na Fionii i byłaś nieszczęśliwa z tego powodu. To się powtarza zawsze.

Patrzy jej w oczy, jakby mówił coś miłego.

- Po prostu bardzo chciałbym się cieszyć na powrót do domu i na wesołe chwile z tobą.

Musiał zauważyć, że jego cios był celny. Nie dała mu powodów do nokautu, lecz mimo to uderzył jeszcze raz:

- Malene, chcę ci po prostu powiedzieć, że to już jest nie do wytrzymania.

Malene absolutnie nie chce pytać, do czego ma doprowadzić to zdanie. Przecież cały czas tak się starają, żeby ich świat był bardziej higieniczny i bezproblemowy. Skoro on stale czuje się pod presją i mówi, że sytuacja jest „nie do wytrzymania”, to...

A jednak nie może się powstrzymać od zadania tego pytania i od płaczu. Nie może też powstrzymać się od powiedzenia mu, jak odbiera jego słowa.

Rasmus wycofuje się i wyjaśnia, że jego „nie do wytrzymania” może również znaczyć, że ich związek jest wart, aby o niego walczyć, i że muszą spróbować zrobić wszystko, by stał się do wytrzymania. Pociesza ją. Malene trochę się uspokaja. On w tym czasie pieści jej obolałe ręce, a dotykając jej chorych stawów, sam się uspokaja, a ona znów może poczuć się mu bliska.

Leżą na nowej, eleganckiej kanapie, Malene z głową na jego kolanach. On masuje jej barki. Później razem się z siebie śmieją, kiedy

Malene opowiada, jak obserwowała łyzy wpadające jej do szklanki i malujące wzory w drinku z soku melonowego i wódki.

Malene zastanawia się, jak często Anne-Lise miewa takie sytuacje z mężem. Czy próbowała obserwować swoje łyzy wpadające do melonowego drinka?

Na pewno wszystko wygląda zupełnie inaczej w tej ich północnozealandzkiej willi z dwojgiem dzieci.

Ciekawe, czy Anne-Lise i Henrik czują się dzisiaj szczęśliwi? Może piją szampana, ponieważ Paul kazał jej przejąć wyszukiwanie książek dla użytkowników?

Trudno to sobie wyobrazić. Właściwie nigdy nie widziała Anne-Lise naprawdę zadowolonej. Zresztą, dlaczego wyszukiwanie książek miałoby mieć tak wielkie znaczenie?

Czuje, że masaż Rasmusa rozluźnia jej barki. Myśłami wędruje dalej, do Iben. Iben nigdy tak nie leżała z narzeczoną.

Jakże puste muszą być wieczory Iben. Kiedy siedzi sama nad porcją jedzenia dla jednej osoby, podgrzaną w kuchence mikrofalowej, pewnie tęskni za kimś, kogo mogłaby kochać.

Rasmus masuje jej głowę, Malene to uwielbia. Zapaliła w pokoju kilka świeczek, żadne z nich się nie odzywa.

Może Gunnar mimo wszystko nie byłby taki zły dla Iben?

A przecież nie spodobało jej się zainteresowanie przyjaciółki Gunnarem. Oczywiście nie sprzeciwiła się temu wprost.

Przez moment wyobraża sobie Gunnara i Iben jako rodzinę. Kiedyś, w przyszłości. Mieszkają w mieszkaniu Gunnara, pełnym jego afrykańskich mebli, razem z jego dwiema córkami i wspólnym niemowlęciem. Chociaż Malene tego nie chce, również i ona pojawia się w tej fantazji. Rasmus się od niej wyprowadził, a ona przychodzi z wizytą w roli samotnej, chorej ciotki. Odpycha od siebie te obrazy, zanim zdążą się pojawić.

Później wracają z Rasmusem do łóżka. Teraz to Malene przejmuje inicjatywę. I znów ten obcy zapach hotelowego mydła. Robi, co może, żeby im było dobrze. Czuje jego ciężar, który nie jest jednak zbyt przygniatający. Czuje dotyk jego silnych, zdrowych rąk. Tym razem przeżywa orgazm, ale niezbyt mocny.

Rasmus chce wstać i coś jeszcze zjeść. Odzyskał spokój. Łatwiej teraz z nim rozmawiać. Sama Malene nie potrafi powiedzieć, jak się czuje.

Później leżą w łóżku i rozmawiają. Malene pokazuje mu wydruk swojego maila od revenge_is_near. On również stwierdza, że nie ma się, czego bać.

Malene opowiada mu o wieczorze u Grith i o dysocjacyjnym zaburzeniu tożsamości.

To go interesuje. Je prosciutto razem z kawałkami melona, który został po przyrządzeniu drinków, przygotował sobie jeszcze kromkę chleba z masłem i solą.

- Grith wyjaśniała, że maile mogą pochodzić od pozornie całkiem normalnych ludzi, od kogokolwiek, kto zna Iben i mnie - tłumaczy Malene. - To wcale nie musi być osoba tak jednoznacznie skłonna do przemocy, chociaż po tekstach widać, że to ktoś, kto sporo wie o ludobójstwie.

Rasmus odrywa wzrok od chleba z solą.

- W jaki sposób można by się dowiedzieć, kto to jest?

- Trzeba chyba zacząć od rozważenia, czy ktoś w jakikolwiek sposób powiązany z DCIL nie przerzucił gniewu na swoją drugą osobowość, której nie znamy, na co dzień.

Nawet później, gdy Malene przynosi niebieską piłeczkę do treningu palców i wykonuje swoje wieczorne ćwiczenia, Rasmus nie może o tym zapomnieć. Z ustami wilgotnymi od soku melonowego pyta:

- Czy ona powiedziała, w jaki sposób można odkryć, że ktoś przerzucił swój gniew na tę drugą tożsamość?

- Nie.

- Wobec tego nie możecie oskarżać Anne-Lise o wysłanie tych maili? Musicie ją traktować tak, jakby była niewinna?

Malene uśmiechem mówi mu: „trafiłeś w samo sedno”.

- No właśnie.

Leżą rozluźnieni, fantazjując o szalonych sposobach odkrycia nadawcy maili. Malene obejmuje klatkę piersiową Rasmusa i tuli do niej głowę, jednocześnie zerka w okno.

Zaledwie dwa dni temu Iben nie chciała u niej nocować. Naprawdę wierzyła, że ktoś może się tu włamać i zabić ją w łóżku. To się wydaje takie odległe. A przecież chyba nic się nie zmieniło? Może mail przysłał ktoś, kogo znają osobiście, a może nie. Może zrobił to Mirko Zigić lub jakiś inny niebezpieczny zbrodniarz wojenny, a może nie.

Tak samo jak czasami można być bardzo smutnym w pierwszy naprawdę piękny wiosenny dzień albo czuć się bardzo świeżym i przytomnym, chociaż siedziało się w nocy wyjątkowo długo, tak samo teraz Malene leży i czuje się całkiem inaczej, niżby się spodziewała. Czuje się bezpieczna. Napawa się bliskością swego niedowierzającego partnera i myśli, że gotowa jest zrobić wszystko, byle tylko on czerpał z ich związku więcej radości.

Zapomniane tragedie w Europie

W maju DCIL organizuje trzydniową konferencję na temat wysiedlenia Niemców z Europy Wschodniej.

Malene Jensen

Po zakończeniu drugiej wojny światowej na tereny Niemiec wkroczyła Armia Czerwona.

Przez dwa lata żołnierze radzieccy przedzierali się przez Rosję i Polskę, walcząc wśród krajobrazów naznaczonych bliznami, pozostałymi po próbach nazistów podporządkowania sobie rasy słowiańskiej.

Jeszcze przed wybuchem wojny Hitler instruował dowódców swojej armii, by „bez współczucia i litości zabijali wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci pochodzenia polskiego”. Oprócz właściwych działań wojennych niemieccy żołnierze, dopuszczający się zbrodni ludobójstwa, zastrzelili, powiesili i świadomie doprowadzili do śmierci głodowej, co najmniej dziesięć milionów cywilów, Rosjan i Polaków.

Teraz sytuacja się odwróciła. Żołnierze radzieccy przybyli do niemieckich miast i wiosek, z których zniknęli wszyscy mężczyźni zdolni do walki. Niemal każdy z żołnierzy radzieckich stracił przez Niemców rodzinę, starych przyjaciół albo towarzyszy broni. Przez cztery lata cierpieli głód, chłód i musieli obywać się bez kobiet.

Opętało ich szaleństwo. Niezliczone relacje naocznych świadków opisują gwałty dokonywane niemal na wszystkich kobietach, na dziesięciolatkach i osiemdziesięciolatkach. Niektóre gwałcono wielokrotnie, dopóki nie umarły. Nie wszystkie później zastrzelono, lecz rosyjski żołnierz Aleksander Sołżenicyn, późniejszy laureat literackiej Nagrody Nobla, w swym długim poemacie epickim *Pruskie noce* tak opisywał swoje przeżycia:

„Dziewica zmienia się w kobietę, kobiety stają się trupami, zamroczone, z zakrwawionymi oczami błagają: «Zabij mnie, żołnierzu»”.

Gwałty, których nikt nie chce pamiętać

Dopiero w roku 1992 ukazała się książka na ten temat tabu. W pracy Sander i Johr *Befreier und Befreite* statystyk Gerhard Reichling szacuje liczbę niemieckich kobiet zgwałconych w tych miesiącach na milion dziewięćset tysięcy. Liczba samych aktów gwałtu jest znacznie wyższa, rzadko, bowiem się zdarzało, by kobiety gwałcono tylko raz. Wiele z ponad czterdziestu tysięcy pisemnych relacji świadków, przechowywanych w niemieckim „Bundesarchiv-Ostdokumentation” w Bayreuth, opisuje zamykanie grup kobiet w piwnicach jako czegoś w rodzaju zapasów, po które żołnierze mogli schodzić na dół i traktować je tak, jak chcieli, tyle razy, ile chcieli.

We wschodniopruskim mieście Nemmersdorf kobietom, według relacji wielu naocznych świadków, wbijano gwoździe w dłonie i stopy i krzyżowano je na drewnianych drzwiach wiejskich chałup. Dzieciom, inwalidom wojennym, odesłanym przez Niemców do domu, i starcom pozostałym w wioskach strzelano w kark. Wysyłano ich do rosyjskich obozów koncentracyjnych lub rozbijano im czaszki.

Stalinowski pisarz Ilja Erenburg tak pisał w odezwie do żołnierzy radzieckich:

„Nie licz dni, nie licz kilometrów, licz jedynie trupy Niemców, których zabiłeś. Zabijaj Niemców - o to modli się twoja matka. Zabijaj Niemców - do tego wzywa cię Rosja. Nie wahaj się. Nie przepuszczaj okazji. Zabijaj!”*.

Rosjanie, jeźdźcy mongolscy i żołnierze pozostałych stu pięćdziesięciu - zwłaszcza azjatyckich - narodowości w imperium sowieckim mieli wolne ręce i mogli robić, co chcieli. Oprócz okazywania łaski.

Zima 1945 roku była ciężka. Niemcy z Prus Wschodnich uciekali piechotą w 18-25-stopniowym mrozie, a do uciekinierów strzelano i zrzucano na nich bomby z radzieckich

samolotów. Doganiały ich radzieckie czołgi. Biorąc uciekinierów w kleszcze, żołnierze odcięli im drogę do zachodnich Niemiec, wielu z nich zdecydowało się, więc na wędrówkę w stronę wybrzeża, gdzie usiłowali dostać się na pokład przeludnionych statków. Jeden z tych statków, „Wilhelm Gustloff”, przeznaczony dla tysiąca czterystu sześćdziesięciu pasażerów, został zatopiony przez rosyjską łódź podwodną i już w tym jednym wypadku utonęło około dziewięciu tysięcy osób z jedenastu tysięcy obecnych na pokładzie - sześć razy więcej niż ofiar katastrofy „Titanica”.

Kónigsberg staje się Kaliningradem

Wielu uchodźców dotarło do oblężonej stolicy Prus Wschodnich, portowego miasta Kónigsberg, w owych czasach jednej z potęg kulturalnych Niemiec, z zabytkową zabudową, słynną katedrą, muzeami, teatrami. Przed dojściem Hitlera do władzy wydawano tu liczne gazety, działał też cieszący się międzynarodowym uznaniem uniwersytet.

W mieście znajdowała się również największa w Niemczech księgarnia, z której korzystali między innymi artyści i uczeni.

* Przeł. Stanisław Głabiński.

W ciągu siedmuset lat istnienia Kónigsbergu liczba ludności wzrosła do trzystu osiemdziesięciu tysięcy, lecz w chwili zdobycia miasta pozostało zaledwie sto tysięcy mieszkańców. Wśród nich było wielu uchodźców z okolic położonych dalej na wschód lub rodzin, które już raz uciekły przed bombardowaniami z Berlina, a teraz miały nadzieję na ucieczkę z powrotem do stolicy.

Amerykański dyplomata i historyk George Kennan leciał latem 1945 roku nad opuszczonymi Prusami Wschodnimi. We wspomnieniach napisał:

„Katastrofa, która dotknęła ten obszar wraz z wejściem oddziałów sowieckich, nie ma sobie równych we współczesnej Europie. Na znacznych obszarach spośród pierwotnej ludności przy życiu pozostał zaledwie jeden mężczyzna, kobieta lub dziecko. Doprawdy, trudno uwierzyć, by wszystkim tym ludziom udało się uciec na zachód”.

Po wojennej klęsce Niemiec tę część dawnych Prus wcielono do Związku Radzieckiego. Pod panowaniem sowieckim trzy czwarte pozostałych przy życiu mieszkańców Kónigsbergu zmarło z głodu i chorób. Pozostałe dwadzieścia pięć tysięcy deportowano w roku 1947 do późniejszej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Niektórzy trafili do radzieckich obozów

specjalnych, w których około dwudziestu pięciu procent więźniów zmarło między innymi z głodu lub na tyfus plamisty.

Wysiedlenia w latach powojennych

Wysiedlanie niemieckiej ludności cywilnej z dawnych niemieckich landów, z Prus Wschodnich, Śląska i Pomorza trwało w latach powojennych. Na konferencjach z udziałem Stalina, Churchilla i Roosevelta, Stalin nalegał na zatrzymanie ziem polskich, które Związek Radziecki zaanektował po umowie z Hitlerem z roku 1939. Polsce należała się za to rekompensata. Na konferencji w Teheranie w grudniu 1943 roku Churchill za pomocą trzech zapalek zademonstrował, w jaki sposób można to rozwiązać: usunął prawą z dwóch zapalek, które ułożył obok siebie na stole, za to z lewej strony dołożył trzecią.

W rzeczywistości owo przełożenie zapalek oznaczało wysiedlenie trzech milionów Niemców z dawnych terenów niemieckich, które od tej pory miały należeć do Polski. Ludzie ci musieli teraz szukać miejsca zamieszkania i pracy. Opustoszałe obszary miały następnie zostać przekazane Polakom przesiedlanym z rejonów, które od tej pory należały do Związku Radzieckiego.

Jednocześnie cywilną ludność niemiecką wysiedlano - w równie brutalny sposób - z Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii i innych krajów europejskich. Niemcy stracili domy i wszystkie ruchomości, których nie byli w stanie unieść.

Miliony Niemców wysiedlono z rodzinnych stron. Wielu z nich zginęło bądź zmarło z głodu, zimna i ciężkich warunków panujących w roku 1945 i w okresie pierwszych pięciu lat po zawarciu pokoju.

Mimo obszernej dokumentacji w archiwach niemieckich zainteresowanie międzynarodowych kręgów badawczych tym tematem było dość ograniczone. Łatwo stwierdzić, dlaczego.

„To przecież Niemcy zaczęli”. Żaden poważny naukowiec nie chce umniejszać znaczenia zbrodni dokonywanych przez Niemców na Żydach, Słowianach, Cyganach i homoseksualistach. Niemcy usystematyzowali i usprawnili dokonywanie zbrodni ludobójstwa, tworząc niespotykaną dotąd maszynę destrukcji.

Zasadnicze pytanie brzmi: Czy niemieckie dzieci ponoszą winę za to, że dorośli mężczyźni z ich rodzin dokonali zbrodni przeciwko ludzkości w sposób, jakiego nikt wcześniej nie potrafił sobie wyobrazić? Tak z pewnością uznaliby naziści. W opinii nazistów można karać cały naród za przewinienia popełnione przez pojedyncze jednostki.

Ale my dzisiaj nie myślimy już chyba w ten sposób.

Czarna dziura informacyjna

Chociaż zainteresowanie naukowców wysiedleniem Niemców znacznie w ostatnich latach wzrosło - także poza terenem Niemiec - uzyskanie dokładnych i obiektywnych informacji wciąż może być trudne.

Ktoś, kto szuka na przykład wiedzy o największej na świecie katastrofie morskiej - o zatonięciu „Wilhelma Gustloff” - nie znajdzie nic na ten temat w Narodowym leksykonie duńskim, w Encyclopaedia Britannica ani też w wielkim leksykonie niemieckim Brockhaus.

Wyszukiwanie w sieci pod hasłami „Vertreibung”, „deutsche” i „1945” przynosi kilka tysięcy wyników, lecz są to głównie linki do dużych związków wypędzonych w Niemczech. Jeśli ktoś obawia się o obiektywizm tych stron, może szukać za pomocą angielskiego określenia: „expulsion”, „German” i „1945”. Pojawiają się wówczas linki do znacznie mniejszej liczby stron.

Wiele z nich przedstawia mocno zniekształcony obraz historii drugiej wojny światowej, zwłaszcza Holocaustu. Sprawiają wrażenie obiektywnych, lecz w rzeczywistości ich autorami są ludzie podważający prawdę o Holocauście. Wielu z nich utrzymuje kontakt ze środowiskami neonazistowskimi.

DCIL organizuje konferencję na temat wysiedleń

Osobie niezajmującej się zawodowo tą dziedziną niełatwo jest dotrzeć do wiarygodnych informacji o wysiedleniach Niemców, zwłaszcza, że trudno odróżnić materiały zdecydowanie tendencyjne od tych bardziej obiektywnych.

Właśnie, dlatego DCIL w dniach 15-17 maja organizuje oficjalną konferencję na ten temat. Centrum ma nadzieję wesprzeć w ten sposób nowe badania - zwłaszcza skandynawskie - a wiedzę o tej tragedii wyprowadzić poza internetowe strony fałszerzy historii.

Zarezerwujcie sobie te dni. Szczegółowe informacje na temat programu i warunków uczestnictwa w konferencji zamieścimy w najbliższym numerze „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa”.

14

Wiceprezes zarządu DCIL, trzydziestopięcioletni Frederik Thorsteinsson, pracuje, na co dzień jako szef podległego Ministerstwu Spraw Zagranicznych Centrum Demokracji, które zajmuje się upowszechnianiem doświadczeń demokratycznych w krajach wschodnioeuropejskich.

Frederik jest tą osobą w zarządzie, z którą Paulowi najtrudniej się współpracuje. Jest również jedyną tam osobą młodszą od Paula. Z wykształcenia historyk, jako bardzo młody człowiek napisał - nagrodzoną złotym medalem - pracę na Uniwersytecie Kopenhaskim dotyczącą narodzin duńskich tradycji demokratycznych. Minęło już półtora roku, odkąd zrezygnował z etatu na Uniwersytecie w Roskilde, aby objąć kierownictwo niewielkiego Centrum Demokracji.

Prędko posprzeczali się z Paulem na temat pewnego projektu informacyjnego w Republice Serbskiej.

W tygodniu, w którym konflikt osiągnął szczyt, DCIL zorganizowało gwiazdkowy lunch w restauracji nad jeziorami. Późnym wieczorem Paul, Malene i Iben trafili do klubu na Norrebro. Paul

powiedział wówczas Malene, przekrzykując muzykę i hałas niedobitków z dziesięciu innych gwiazdkowych lunchów:

- Czy ty nie widzisz, że Frederikowi chodzi wyłącznie o promocję własnej osoby? Przecież tylko, dlatego się tu znalazł. Zachowuje cholerną poprawność polityczną, ponieważ dzięki temu wiatr wieje mu w plecy i popycha go w górę. Doprawdy, nie mogę znieść tego kmiotka z północnej Zelandii! Czy potrafisz wymienić, chociaż jedną wartość etyczną, którą ceniłby bardziej niż własną karierę?

W następny poniedziałek Paul wezwał Malene do swego gabinetu i próbował wycofać się ze swoich zarzutów, lecz nie bardzo mu to wychodziło.

- Malene, żałuję tego, co powiedziałem w piątek, no, wiesz, o Frederiku. Nie mam absolutnie podstaw, by przypisywać mu takie motywy. Poza tym bardzo niewłaściwe z mojej strony było mówienie tego do ciebie. Szczerze, więc cię za to przepraszam. I niech to zostanie między nami, dobrze?

Malene zapewniła, że zostanie.

Podczas dalszej rozmowy Paul dodał:

- Przede wszystkim to źle świadczy o mnie. To wszystko przez te moje uprzedzenia. Przecież Frederik ze swoim wyglądem idealnie pasuje do roli oficera SS w amerykańskim filmie wojennym z lat sześćdziesiątych... Oczywiście z wyjątkiem modnej fryzury.

Malene roześmiała się, a Paul stwierdził jeszcze:

- Głupio jest mieć takie uprzedzenia.

Paul, opisując Frederika, trafił w sedno. Zdaje się, że i sam Frederik uwielbia swoje jasne włosy, mocno zarysowane kości policzkowe, wąski nos. Poza tym jest o pół głowy wyższy od Paula i pozostałych mężczyzn w zarządzie.

Kobiety nic do Frederika nie mają. Owszem, może jest odrobinę północnozelandzki, ale czarujący, Malene przypuszcza, że bez trudu poderwałby każdą z nich czterech. Ale w obecności Paula żadna nie mówi o tym głośno.

Trzy tygodnie po tamtej imprezie Paulowi zaproponowano wejście do zarządu Centrum Demokracji, na co od razu przystał. Dzięki temu jest zwierzchnikiem Frederika, chociaż nie jest wiceprezesem tak jak Frederik w DCIL.

Malene ma dobre układy z Frederikiem. Z odrobiną flirtu, ale bez przesady.

W środę przed południem Frederik dzwoni do Malene. Do pracy nad książką potrzebne mu są pewne dokumenty prawnicze z polskich sądów, będące w posiadaniu DCIL. Oczywiście mogłaby się tym zająć. Ale teraz obowiązuje nowa zasada, ustalona przez Paula.

Dziś Malene musi odmówić Frederikowi i skierować go do biblioteki.

Ponad biurkiem patrzy na Iben, która odpowiada jej spojrzeniem. Najwyraźniej zorientowała się, o co poproszono Malene przez telefon. Obydwie w tej samej chwili unoszą brwi.

Malene robi krótką przerwę, a potem życzliwie - jak zawsze - informuje, że zostawi segregatory z dokumentami w dużej sali konferencyjnej.

Po skończeniu rozmowy wyznaje Iben:

- Po prostu nie mogłam się przemóc. Przynajmniej dzisiaj. - Próbuje się uśmiechnąć. - Nie dzisiaj, i nie z Frederikiem.

Iben nie odpowiada, tylko sięga po swoją kawę. A Malene, która to zauważa, dodaje:

- Tak, tak, dobrze wiem.

Prędko odnajduje listę dokumentów sądowych w komputerze. To dość proste, ponieważ Anne-Lise wklepała wszystko do bazy danych, do której mają dostęp. Notuje lokalizację segregatorów w bibliotece.

Przez parę minut gawędzi z Iben, zbierając siły, by iść wreszcie po dokumenty.

W końcu wstaje. Mijając biurko Anne-Lise, zdobywa się na wysiłek, żeby spojrzeć jej prosto w oczy i spokojnie powiedzieć „cześć”.

Polskie dokumenty stoją w głębi korytarzy bibliotecznych na głębokich zielonych regałach magazynowych, jeszcze z czasów, gdy swoje archiwum miała tutaj gmina.

W drodze do wyjścia - z pięcioma niedużymi tekturowymi segregatorami na małym wózku - odzywa się:

- Jak się miewasz?

- W porządku.

Anne-Lise o nic jej nie pyta, Malene podąża, więc korytarzem do dużej sali konferencyjnej. Również to pomieszczenie z czasem obudowano regałami. Zarząd, co drugi miesiąc urządza tu zebrania, lecz pomimo nazwy sala służy głównie jako czytelnia dla użytkowników centrum, którzy pragną w spokoju zapoznać się z materiałami.

Frederik zaraz po przyjeździe zatrzymuje się przy biurkach Malene i Iben, chwilę z nimi żartuje. Potem Malene prowadzi go do sali konferencyjnej i pokazuje, co znalazła. Frederik nie zna polskiego, lecz nauczył się rozpoznawać rozmaite słowa i wydarzenia, umie, więc wybrać dokumenty, które zamierza przekazać pracującemu w jego centrum polskiemu tłumaczowi.

Paul zjawia się dopiero po lunchu. Po sprawdzeniu skrzynki pocztowej w komputerze wchodzi niedbałym krokiem do Ogrodu Zimowego, nienaturalnie rozluźniony, a to zły znak.

Dotarłszy do biurek Malene i Iben, podobnie niedbałym tonem mówi:

- Malene, musimy porozmawiać. Zajrzysz do mnie, gdy znajdziesz chwilę czasu?

Malene natychmiast się podrywa.

- Mogę już teraz.

Mijając Camille, kierują się do jego gabinetu. Paul idzie pierwszy, a Malene wie, że ma starannie zamknąć za sobą drzwi. Paul siada.

- Ty też usiądź.

Potem robi ręką taki ruch, jakby palił fajkę.

- Malene, zawarliśmy wczoraj pewną umowę.

- Tak.

- O tym, że to Anne-Lise będzie załatwiała sprawy biblioteczne z użytkownikami centrum.

- Tak.

Paul, gdy mówi nieprzyjemne rzeczy, jest zawsze spokojny i opanowany.

- Ale ty postanowiłaś się do niej nie stosować.

- Tak, ponieważ Frederik i ja ściśle ze sobą współpracujemy. Chciałam mu pomóc w tym, o co mnie prosił.

- Skoro mówisz o Frederiku, to czy skierowałaś kogoś innego do Anne-Lise?

- Jeszcze nie. Ale na pewno to zrobię. Ustalenia zapadły zaledwie wczoraj i oczywiście się im podporządkuję.

Paul nic więcej nie mówi. Siedzi nieruchomo i tylko patrzy. Malene spogląda na tył ramki do zdjęć, którą postawił na biurku. Cień ramki pada ukośnie na plik papierów.

- Rozmawiałaś o tym z Anne-Lise? - pyta Malene, przenosząc wzrok na Paula.

- Nie. Zapytałem Frederika, jak działa nowy system.

Malene wie jednak, że to nieprawda.

- Bardzo dobrze sobie poradziłaś z tymi austriackimi fundacjami. - Paul zmienia ton.

- Dziękuję. Dostałam kilka dobrych wskazówek w ambasadzie.

A potem nagle - bez ostrzeżenia i wciąż z takim samym spokojem - Paul mówi:

- Sądziłem też, że drzwi do biblioteki będą otwarte.

- I tak będzie, ale na razie, dopóki nie przesuniemy biurka Camilli, nie możemy ich otworzyć. Najpierw musi przyjść Bjarne i przenieść podłączenie do sieci i wszystkie inne gniazdka.

Paul wciąga powietrze przez nos i wypuszcza je przez usta. Zwykle oznacza to u niego zniecierpliwienie. Malene, czym prędzej dodaje:

- Ja nie miałam z tym nic wspólnego.

- Wcale tak nie myślałem, Malene. Mówiłaś Camilli, że te gniazdka trzeba przenieść jak najszybciej?

- Tak, mówiłam. Nie użyłam dokładnie takich słów, ale powiedziałam, że to musi być szybko. Camilla twierdzi, że Bjarne zrobi to taniej, jeśli sam będzie mógł wybrać dzień, a w tym tygodniu najwyraźniej ma wielu klientów.

Paul zaczyna przekładać jakieś papiery.

- Sam porozmawiam z Camillą.

* * *

Po rozmowie w gabinecie Paula Malene wychodzi do kuchni „po kawę”. Wie, że zaraz zjawi się tam Iben i będą mogli chwilę porozmawiać.

Ale do kuchni niemal jednocześnie z Iben wchodzi Frederik. Wymienia inne polskie miasteczka, z których dokumenty również chciałby zobaczyć.

Regały DCIL mieszczą jeden z największych na świecie zbiorów dokumentów dotyczących wysiedlenia Niemców z Polski. Paul, bowiem w walce o rozwój centrum stosuje niekiedy dość niekonwencjonalne metody. Dwa lata temu obiecał pewnemu polskiemu socjologowi, że załatwi mu roczne stypendium u jednego ze swoich przyjaciół na Syddansk Universitet. W zamian za tę przysługę socjolog miał obejrzeć polskie miasteczka i porobić fotokopie dokumentów przechowywanych w archiwach w ratuszach, sądach i kościołach.

Polak, chudy i zorientowany bardziej prawniczo, aniżeli jakikolwiek duński socjolog, z którym Malene miała do czynienia, musiał chyba robić fotokopie przez okrągły rok albo poprosić, żeby ktoś go w tym wyręczył. Papiery, które nigdy wcześniej nie były zebrane w jednym archiwum, przyjechały w trzech kontenerach zawierających dwieście siedemdziesiąt osiem kartonowych pudeł. Część z dokumentów wygląda na oryginalne, jak gdyby socjolog zamiast nich zostawił w polskich miasteczkach fotokopie, a może nie zostawił w ogóle nic.

Ów socjolog niewiadomymi ścieżkami otrzymał roczne stypendium, a kiedy stypendium się skończyło, znalazł sobie duńską żonę, z którą mieszka teraz w Odense.

Pytanie Frederika o kolejne dokumenty sprawia, że Malene i Iben wymieniają spojrzenia. Iben lekkim kiwnięciem głowy daje znak przyjaciółce, która spokojnie - tak jak powinna - informuje, że wszelkimi sprawami ksiązek i dokumentów ma się teraz zajmować Anne-Lise.

Frederika wyraźnie to dziwi. Mówi coś na ten temat. Malene patrzy to na Iben, to na niego. Odpowiada śmiało i nie krępuje się, że powie odrobinę za dużo:

- Tak jest, kiedy się stanowi zespół. Wszyscy musimy się nawzajem do siebie dopasować. - Podnosi filiżankę z kawą tak energicznie, że jej odrobina wylewa się i ścieka po ściance. - Tak musi być. Dlaczego zresztą miałybyśmy nie współpracować przy niektórych zadaniach?

Frederik opiera się o stół przy ekspresie do kawy. Ściąga brwi, co nadaje jego twarzy wyraz lekkiego niedowierzania.

- Brzmi to jakoś nazbyt formalnie. Malene palcem wyciera filiżankę.

- Aż takie formalne nie jesteśmy. Prawda, Iben?

- Jasne.

Malene ujmuje Frederika za rękę, w której on trzyma filiżankę, i prowadzi do drzwi.

- Usiądź sobie i czytaj dalej. Pójdę do Anne-Lise i powiem jej, czego potrzebujesz. Ona przyniesie ci to do sali konferencyjnej.

- Dziękuję.

- Nie ma, za co. Teraz ty też będziesz współpracował z Anne-Lise.

Po południu Malene siedzi razem z Frederikiem w dużej sali konferencyjnej. Omawiają projekt angielskojęzycznego zaproszenia na konferencję na temat wysiedlenia Niemców.

Aby obojgu było wygodniej nanosić poprawki na wydruku Malene, siedzą obok siebie po tej samej stronie stołu. Uwagi i skreślenia Malene, zrobione zielonym flamastrem, dominują w górnej części kartki, natomiast uzupełnień Frederika niebieskim długopisem jest więcej na dole wydruku.

Pukanie. Podnoszą głowy. Do sali wchodzi Anne-Lise.

- Cześć, przeszkadzam?

- Nie, nie.

- To dobrze.

Po krótkiej chwili Anne-Lise nawiązuje z nimi kontakt wzrokowy.

- Coś wam powiem: mamy w centrum dokumenty z sądu w Gryficach, Łobzie i Nowogardzie, ale nie mamy tych z Koszalina.

Anne-Lise podchodzi do stołu. Porusza się pewnie, chociaż jej mina świadczy o tym, że nie jest tak do końca.

- Tam wszystkie miejscowości mają po kilka nazw. Kiedy swego czasu rejestrowałam zawartość naszych polskich zbiorów, zrobiłam w bazie danych automatyczne odsyłacze. Dzięki temu można mieć pewność, że się odnajdzie wszystko bez względu na to, czy szukamy polskich czy niemieckich nazw miast. Przeszukałam na wszelki wypadek bazę jeszcze raz pod kątem niemieckiej nazwy Koszalina, czyli „Kóslin” z niemieckim o. I tych dokumentów nie ma.

Anne-Lise musiała się naprawdę dobrze przygotowywać do tej prezentacji. To jej pierwszy kontakt z użytkownikiem centrum od chwili wydania przez Paula zalecenia o nowym podziale obowiązków. Wygląda też tak, jakby tuż przed przyjściem tutaj podkreśliła oczy kredką. Spłoszona patrzy na Malene i dobitnie wymawia słowa:

- Dlatego obdzwoniłam różne urzędy w Koszalinie. Powiedzieli, że wszystkie dokumenty z miasta zostały przeniesione do Niemiec i teraz znajdują się w dziale „Ostdok” w niemieckim Bundesarchiv w Bayreuth. Do nich też dzwoniłam. Znalazłam dział, w którym przechowywane są dokumenty z Koszalina. Mam numer telefonu do tego działu i adres mailowy.

Malene wspiera się na łokciach, jednym zaśłania nieco wydruk, który omawiali z Frederikiem.

- Sądziłam, że mamy tutaj te dokumenty - mówi. - To dziwne.

Z wahaniem patrzy na Frederika, a Anne-Lise odpowiada:

- No, ale ich nie ma. Sprawdziłam to bardzo dokładnie i wiem na pewno, że tak jest.

- No oczywiście, skoro tak mówisz.

Anne-Lise kładzie na stole kartkę z kilkoma nazwiskami, numerem telefonu i adresem mailowym.

- Z całą pewnością możemy je odnaleźć. Chciałam was tylko o tym poinformować. Sama tam zadzwonię albo wyślę maila.

Frederik też zaślonił łokciem wydruk. Nagle podnosi głowę, lekko zdezorientowany.

- Powiedziałaś „wszystkie dokumenty z miasta”. Chciałem się tylko upewnić. Wiesz, że nie chodzi o dokumenty z miasta Koszalin, prawda?

Świeżo zrobiona kredką do oczu kreska drga.

- Nie rozumiem?

- Koszalin to zarówno nazwa miasta, jak i okręgu. Ja potrzebuję dokumentów z niedużych sądów w okręgu.

- W okręgu?

Malene podnosi kartkę zapisaną przez Anne-Lise.

- Spójrz, Frederiku, to adres mailowy Ilony. - Mimowolnie w jej głosie pojawia się radość, że go rozpoznała.

Frederik przez moment przygląda się kartce.

- Ja go sobie nie przypominam.

- Ależ tak, to na pewno ten adres.

Anne-Lise uprzedza odpowiedź Frederika.

- Malene, przecież powiedziałaś mi, że chodzi o sąd w Koszalinie!

- Nie, nie. - Malene patrzy na nią obojętnie. - Nic takiego nie mogłam ci powiedzieć. Nie mamy przecież ani jednego dokumentu z miast tej wielkości. Powiedziałam: „dokumenty z okręgu Koszalina i z sądów w Gryficach, Łobzie i Nowogardzie”.

Słychać lekki trzask obcasa Anne-Lise na linoleum.

- A może jednak powiedziałaś...

- Powiedziałam: „dokumenty z okręgu Koszalina”.

Usta Anne-Lise ściągają się. Wygląda tak, jakby chciała coś dodać, ale się powstrzymuje. Nie mówi nic.

Ulicą z głuchym turkotem przejeżdża autobus. Malene przerywa ciszę.

- Jestem tego w stu procentach pewna.

Anne-Lise nie odpowiada.

Malene usiłuje się do niej uśmiechnąć.

- Anne-Lise, naprawdę mi przykro, jeśli źle mnie zrozumiałaś. Może mogłam to powiedzieć wyraźniej, ale trudno jest wymieniać wszystkie te nazwy. Tych pięć sądów z okręgu Koszalina, z których mamy dokumenty, to sądy w Białogardzie, Darłowie, Świdwinie, Złocieńcu i Kołobrzegu.

Na ulicy za autobusem przejeżdża jakiś inny duży pojazd na ropę.

- Ale to przecież ty całymi tygodniami wkłapywałaś to do bazy - ciągnie, Malene - więc po prostu nie przyszło mi do głowy, że nie możesz nie wiedzieć, co... - urywa.

Frederik stara się okazać życzliwość.

- Nie martw się, nic się nie stało.

Anne-Lise już na nich nie patrzy. Prostuje się zdecydowanie.

- Zaraz je przyniosę. Teraz, kiedy już wiem, czego szukać, na pewno szybko znajdę.

Malene wkłada jedną dłoń w drugą.

- Tak, na pewno dasz sobie radę.

W środę wieczorem Rasmusa odwiedza przyjaciel. Malene krąży między sypialnią, przedpokojem i kuchnią, próbując zostawić ich w spokoju.

Myśli: „Powiedziałam: dokumenty z Koszalina”, i ma okropnie zły humor. Nagle okazuje się, że wieczór zszedł na niczym.

Jeszcze przed wyjściem przyjaciela Rasmusa zażywa dwie tabletki od bólu głowy. Oboje są zmęczeni, opierają się każde o swoją poręcz kanapy ze stopami u siebie na kolanach. Malene ćwiczy palce.

Pyta, o czym Rasmus rozmawiał z Jonasem. Okazuje się, że Jonas ma jakieś kłopoty w pracy.

* * *

Radio z budzikiem. Tubka pasty do zębów. Palce na klinkierowej podłodze łazienki. Para z kabiny prysznicowej. Zapach dezodorantu Rasmusa. Wata. Jogurt light. Kawa.

Kiedy Malene przychodzi do centrum w czwartek rano, zastaje wszystkich przy biurku Camilli, w Ogrodzie Zimowym. W ułamku sekundy Malene rejestruje, że Camilla jeszcze przed chwilą płakała.

Zanim Malene odstawia torebkę, Paul mówi:

- Camilla też dostała mail.

Podaje jej wydruk.

ANYBODY WHO HOSTS OR GIVES HELP TO OUR ENEMIES IS OUR ENEMY.
YOU, CAMILLA BATZ, WILL DISCOVER THAT
COLLABORATORS WHO THINK THEMSELVES
INNOCENT OFTEN DIE TOO.*

* Każdy, kto gości naszych wrogów lub udziela im pomocy, jest naszym wrogiem. Ty, Camillo Batz, przekonasz się, że kolaboranci, którzy uważają się za niewinnych, też często umierają.

Mail został wysłany wczoraj wieczorem, o godzinie 21.57, również z adresu revenge_is_near@imhidden.com. Malene ze złością odrywa wzrok od kartki i patrzy na Anne-Lise, która unika jej spojrzenia.

Anne-Lise opiera się o komodę Camilli, jedną rękę trzyma na blacie szafki, obok frankownicy. Nie wydaje się aż tak zdenerwowana, jak można by oczekiwać, jeśli to ona wysłała ten mail. Lecz na ile dobrze Anne-Lise umie kłamać? Z pewnością świetnie. Przez tyle miesięcy udawało jej się ukrywać nienawiść do koleżanek.

A poza tym, jak powiedziała Grith, osoba, która wysłała maile, może w ogóle nie pamiętać, co zrobiła. Albo może jej się wydawać, że się to jej tylko przyśniło. Albo pamięta o tym wyłącznie wtedy, gdy jest w określonym nastroju... Możliwe są wszelkie linie podziału, jakie możemy przeciągnąć w czyjejs świadomości.

Malene nie może patrzeć na Anne-Lise. Odwraca się do niej plecami i dołącza się do grupy.

- Wypiłam już dwie szklanki - mówi Camilla, wskazując na butelkę whisky, którą Paul dostał po jakimś odczycie, a która teraz stoi na jej biurku razem z kilkoma szklaneczkami. Uśmiecha się, ale trudno stwierdzić, jakie uczucia kryją się za jej bezradnym wyrazem twarzy i szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

- Dzwoniłaś do Finna? - pyta Malene, która nie wie, w jaki sposób okazać jej nagły przypływ sympatii.

Camilla, w za dużej bluzce, prychna i odpowiada:

- Tak, chciał tu przyjechać, ale powiedziałam, że nie trzeba.

Kiedys Finn był mężem najlepszej przyjaciółki Camilli, lecz tuż po urodzeniu córki wykryto u niej zaawansowanego raka macicy. Przez kilka następnych miesięcy Camilla na długie tygodnie zwalniała się ze swojej poprzedniej pracy, by pomagać Finnowi w opiece nad umierającą żoną i nad niemowlęciem.

15

W środę wieczorem Rasmusa odwiedza przyjaciel. Malene krąży między sypialnią, przedpokojem i kuchnią, próbując zostawić ich w spokoju.

Myśli: „Powiedziałam: dokumenty z Koszalina”, i ma okropnie zły humor. Nagle okazuje się, że wieczór zszedł na niczym.

Jeszcze przed wyjściem przyjaciela Rasmusa zażywa dwie tabletki od bólu głowy. Oboje są zmęczeni, opierają się każde o swoją poręcz kanapy ze stopami u siebie na kolanach. Malene ćwiczy palce.

Pyta, o czym Rasmus rozmawiał z Jonasem. Okazuje się, że Jonas ma jakieś kłopoty w pracy.

* * *

Radio z budzikiem. Tubka pasty do zębów. Palce na klinkierowej podłodze łazienki. Para z kabiny prysznicowej. Zapach dezodorantu Rasmusa. Wata. Jogurt light. Kawa.

Kiedy Malene przychodzi do centrum w czwartek rano, zastaje wszystkich przy biurku Camilli, w Ogrodzie Zimowym. W ułamku sekundy Malene rejestruje, że Camilla jeszcze przed chwilą płakała.

Zanim Malene odstawia torebkę, Paul mówi:

- Camilla też dostała mail.

Podaje jej wydruk.

ANYBODY WHO HOSTS OR GIVES HELP TO OUR ENEMIES IS OUR ENEMY.

YOU, CAMILLA BATZ, WILL DISCOVER THAT COLLABORATORS WHO THINK THEMSELVES INNOCENT OFTEN DIE TOO.*

Mail został wysłany wczoraj wieczorem, o godzinie 21.57, również z adresu revenge_is_near@imhidden.com. Malene ze złością odrywa wzrok od kartki i patrzy na Anne-Lise, która unika jej spojrzenia.

Anne-Lise opiera się o komodę Camilli, jedną rękę trzyma na blacie szafki, obok frankownicy. Nie wydaje się aż tak zdenerwowana, jak można by oczekiwać, jeśli to ona wysłała ten mail. Lecz na ile dobrze Anne-Lise umie kłamać? Z pewnością świetnie. Przez tyle miesięcy udawało jej się ukrywać nienawiść do koleżanek.

A poza tym, jak powiedziała Grith, osoba, która wysłała maile, może w ogóle nie pamiętać, co zrobiła. Albo może jej się wydawać, że się to jej tylko przyśniło. Albo pamięta o tym wyłącznie wtedy, gdy jest w określonym nastroju... Możliwe są wszelkie linie podziału, jakie możemy przeciągnąć w czyjejs świadomości.

Malene nie może patrzeć na Anne-Lise. Odwraca się do niej plecami i dołącza się do grupy.

- Wypiłam już dwie szklanki - mówi Camilla, wskazując na butelkę whisky, którą Paul dostał po jakimś odczycie, a która teraz stoi na jej biurku razem z kilkoma szklaneczkami. Uśmiecha się, ale trudno stwierdzić, jakie uczucia kryją się za jej bezradnym wyrazem twarzy i szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

- Dzwoniłaś do Firma? - pyta Malene, która nie wie, w jaki sposób okazać jej nagły przypływ sympatii.

Camilla, w za dużej bluzce, prychna i odpowiada:

- Tak, chciał tu przyjechać, ale powiedziałam, że nie trzeba.

Kiedys Finn był mężem najlepszej przyjaciółki Camilli, lecz tuż po urodzeniu córki wykryto u niej zaawansowanego raka macicy. Przez kilka następnych miesięcy Camilla na długie tygodnie zwalniała się ze swojej poprzedniej pracy, by pomagać Finnowi w opiece nad umierającą żoną i nad niemowlęciem.

Kiedy dziecko miało półtora roku, przyjaciółka Camilli, po długiej chorobie, zmarła. Camilla przeprowadziła się z powrotem do siebie, ale teraz ma syna z Finnem i wraz z dwojgiem dzieci mieszkają w niedużym domku z ogródkiem, należącym niegdyś do Firma i jego żony, na Amager, gdzie Finn pracuje jako hydraulik. Spotykają go przy dorocznych letnich i gwiazdkowych obiadach wydawanych przez centrum. Jest niewysokim, łysym i życzliwie nastawionym do świata człowiekiem z dużym poczuciem humoru.

* Każdy, kto gości naszych wrogów lub udziela im pomocy, jest naszym wrogiem. Ty, Camillo Batz, przekonasz się, że kolaboranci, którzy uważają się za niewinnych, też często umierają.

Malene podchodzi do Camilli i obejmuje ją. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, lecz Malene nie ma nawet czasu, żeby się zastanowić, i już się to stało. Stoją i obejmują się, a z ciała Camilli bije ciepło. Malene, zaskoczona, czuje, że jest równie bliska płaczu jak ona.

Zamiast jednak się rozplakać, woła dziwnym grubym głosem, który zaskakuje nawet ją samą:

- Nie pozwolimy na to, Camillo!

Na szyi czuje, że Camilla kiwa głową, a za jej plecami Iben mówi zdumiona:

- Malene, na nasze maile zareagowałaś inaczej.

Malene uwalnia Camille z objęć. Rzeczywiście, jest wściekła na osobę, która to zrobiła, i nie wie, skąd jej się to bierze.

- To prawda, ale...

Iben patrzy na nią z uwagą.

- Camilli nie wolno wysyłać takich rzeczy! - ciągnie Malene i znów obraca się do Camilli. - Przecież ty nic nie zrobiłaś. To my piszemy te artykuły. Czym ty zawiniłaś?

Słyszą, że winda zatrzymuje się na ich poziomie. Do środka wchodzi Bjarne, informatyk, pracujący dla DCIL na zlecenia. Chce przesunąć gniazdko do komputera Camilli.

Anne-Lise mówi przenikliwym tonem:

- Musimy coś zrobić, żeby wreszcie się dowiedzieć, kto wysłała te maile.

Kiwają głowami, ale nie patrzą jej w oczy.

Wszyscy są w tej sprawie zgodni, ale co mogą zrobić?

Nic więcej ponad to, co już zrobili.

Po krótkich wyjaśnieniach, dokąd należy przesunąć biurko Camilli, Bjarne idzie do niewielkiego magazynu, gdzie stoi serwer centrum, przechowywane są tam również kable i inny sprzęt, to wszystko będzie mu potrzebne.

Paul, który jako jedyny usiadł, pyta, czy Camilla nie chciałaby wrócić do domu, żeby dojść do siebie.

- Dziękuję, Paul, ale w domu nikogo nie ma. Wolę zostać tutaj.

Iben odwraca się plecami do Malene.

- Możesz sobie usiąść w którejś z sal konferencyjnych, jeśli chcesz odpocząć.

- Tak naprawdę wolałabym się położyć na kozetce, z tyłu za biblioteką.

Malene ściska Camille za ramię.

- Możesz robić, co chcesz. Ja będę dzisiaj odbierała telefony.

- Wszyscy jesteście kochani.

Camilla patrzy na swoich kolegów z pracy, jej twarz znów wydaje się zakłopotana, ale teraz już w znajomy sposób.

- Ja nie byłam taka miła, kiedy wy dostałyście te maile.

- Ale teraz to, co innego, Camillo - odpowiada Malene. - Nasze maile były wysłane tego samego wieczoru. Teraz widać, że to coś więcej niż jednorazowy impuls. Przez to sprawa staje się poważniejsza. Również dla nas.

Przesuwając wzrokiem po twarzy Anne-Lise, Malene zadaje sobie w duchu pytanie: Dlaczego Anne-Lise nie wygląda na bardziej wystraszoną? Przecież to groźba skierowana do całego centrum. Czy nie byłoby bardziej naturalne, gdyby widać było po niej niepokój?

- Ja też powinnam była... - ciągnie Camilla.

Malene jej przerywa:

- Camillo, wszystko zrobiłaś dobrze. A teraz musisz się tylko zdecydować, czy chcesz zostać tutaj i pozwolić mi odbierać telefony, czy wolisz iść się położyć na kozetce. Jak chcesz.

Camilla dziękuje i znów zaczyna płakać, a Paul wstaje i oświadcza, że jeszcze raz zadzwoni na policję.

Malene i Iben prowadzą Camille na kozetkę. Anne-Lise idzie za nimi, a kiedy dochodzą do korytarzy bibliotecznych, Anne-Lise czuje, że opieka nad Camillą przechodzi na nią. Podchodzi do Camilli i mówi:

- Mam teraz zatroszczyć się o resztę? Jest tu gdzieś koc i coś do picia. Albo może będziesz chciała czegoś jeszcze.

Malene chce odpowiedzieć, ale uprzedza ją Iben:

- Potrzebujesz czegoś, Camillo?

Camilla odpowiada, że potrzebuje tylko chwili spokoju. Malene i Iben wychodzą.

* * *

W Ogrodzie Zimowym Bjarne klęczy za komodą, którą odsunął od ściany. Chce przesunąć biurko Camilli już teraz, by sprawdzić, czy gniazdka w nowym miejscu działają prawidłowo. Malene i Iben postanawiają zrobić to same. Podkładają ulotki reklamowe pod nogi biurka, żeby nie zarysować podłogi, i zaczynają pchać. Wspólnymi siłami ustawiają biurko na nowym miejscu, Malene nie musi niczego podnosić, pcha, nie obciążając dłoni.

Potem przenoszą małe regały, monitor, rośliny i drobiazgi, tak by wszystko prezentowało się jak najładniej, kiedy Camilla się obudzi. Przyłącza się do nich Anne-Lise i po raz pierwszy zostawia drzwi między Ogrodem Zimowym a biblioteką otwarte.

Wszystkie trzy zajmują się przeprowadzką. Iben i Anne-Lise przesuwają dwa większe regały, aby wokół nowego stanowiska Camilli było jeszcze więcej światła i powietrza. W tym czasie Bjarne, leżąc na podłodze, łączy kable internetowe, najwyraźniej źle poprowadzone, ponieważ musi ciągnąć nowe od serwera w magazynie.

Teraz Anne-Lise musi być zadowolona. Wszystkie trzy pracują razem, „w grupie”, a Iben z nią rozmawia. Malene też powinna się odezwać, lecz słowa nie chcą jakoś przyjść. Nie ma nic do powiedzenia.

Gdy nieco później Anne-Lise wraca do siebie, drzwi wciąż pozostają otwarte. Od tej pory wszystkie mogą słyszeć, co która mówi. W praktyce będzie to oznaczać, że Anne-Lise będzie słyszeć, co mówią pozostałe, a nie odwrotnie, ponieważ ona na ogół nie mówi nic.

Wkrótce przerwa na lunch. Iben i Malene nie udaje się zbyt wiele zrobić. W pewnym momencie Iben kiwa głową i puszcza oko, co oznacza, że Malene ma iść za nią. Spotykają się w powielarni, przy kopiarce.

Iben staje blisko Malene i prawie szepcze:

- Odniosłam wrażenie, że Camilla boi się innego człowieka niż my.

- O czym ty mówisz?

- To z pewnością nic ważnego... Nie możemy zanadto fantazjować, ale czy ty nie sądzisz, że zareagowała trochę za ostro? Wypiła dwie porządne szklanki whisky o dziewiątej rano, a teraz leży na kozetce i śpi czy co tam robi, ponieważ boi się iść do domu. Nie jest też w stanie pracować.

Malene nie zastanawiała się nad tym w ten sposób, ale musi przyznać Iben rację. A przyjaciółka ciągnie:

- Słyszałam, jak mówiła przez telefon do Finna, zanim przyszła: „Wiedziałam, że on się zjawi”.

- I co jeszcze?

- Więcej już nic. Tylko to.

- Co to może znaczyć?

- Nie mam pojęcia. Próbowałam ją pytać, ale wykręciła się od odpowiedzi.

Światło w powielarni jest dziwnie blade. Malene odsuwa się nieco do tyłu i pyta:

- Ale czy przedstawiła ci jakieś wyjaśnienie? Nie powiedziała, że znajomy miał przyjść z wizytą czy coś podobnego?

- Nie. - Iben patrzy jej prosto w oczy. - Nie wiem. Może po prostu coś źle zrozumiałam.

- No tak, Camilla jest przecież rozsądna. Na nic by nas nie narażała. Pytałaś kilka razy?

- Tak, dyskretnie. Na tyle, na ile mogłam. Przecież to tylko wrażenie, że ona boi się jakiegoś mężczyzny, którego zna. I że traktuje jego maile o wiele poważniej niż my.

Malene opiera dłoń z rozsuniętymi palcami o tackę, na której umieszcza się papier w specjalnych formatach.

- Może ja też spróbuję ją spytać?

Iben odpowiada wciąż bardzo cicho:

- Możesz. Ale nie przypuszczam, żeby udało ci się coś z niej wyciągnąć.

* * *

Tak jak ustaliły, Malene przez resztę przedpołudnia odbiera większość telefonów. Dzwoni Finn żeby się dowiedzieć, jak się czuje Camilla, Malene idzie, więc do biblioteki, zobaczyć, czy Camilla nie śpi.

Camilla budzi się na dźwięk jej kroków. Razem wracają do Ogrodu Zimowego. Camilla zatrzymuje się w drzwiach.

- Tak ma to teraz wyglądać?

Malene przelotnie zerka na Iben i odpowiada:

- Sama zdecydujesz, jak będzie. Przysunęliśmy tylko biurko do nowych gniazdek, żeby Bjarne mógł sprawdzić, czy wszystko działa.

Iben wstaje z krzesła.

- Tak, to tylko tymczasowo. Jeśli chcesz, żeby było inaczej, to pomożemy ci wszystko przenieść.

Camilla musi usiąść na miejscu Malene, żeby porozmawiać przez telefon z mężem, ponieważ aparat na jej biurku wciąż jeszcze nie jest podłączony.

Odłożywszy słuchawkę, przygląda się nowemu stanowisku pracy.

- Może i tak będzie dobrze?

Malene stoi z egzemplarzem „La Lettre de la Federation Internationale des ligues des droits de l'Homme” w ręku. Uśmiecha się.

- Prawda?

Iben wygląda na „szalenie zatroskaną” - jak gdyby Camilla właśnie powiedziała, że nie podoba jej się nowe stanowisko. Prostuje się znad ekranu i patrzy na siedzącą naprzeciwko Camille.

- Za parę dni się przekonasz. Do nowego miejsca zawsze trzeba się najpierw przyzwyczać, dopiero wtedy człowiek wie, co o nim myśleć.

- Widzę też, że podłączenie do sieci w dawnym miejscu zupełnie zniknęło - stwierdza Camilla obojętnie.

- Tak, Bjarne powiedział, że coś z nim było nie tak. Jest teraz przy serwerze.

W otwartych drzwiach pojawia się Anne-Lise. Wzrok Camilli spoczywa na niej odrobinę dłużej niż zwykle. Jak gdyby Camilla wciąż jeszcze się nie obudziła.

Lunch jedzą razem z Bjarnem, a dziś przyłącza się do nich również Paul. Wszyscy dyskutują, na ile wzrost gospodarczy zachodniego świata warunkuje wzrost gospodarczy w Afryce. I odwrotnie: Jakie mechanizmy czysto ekonomiczne prowadzą do konfliktu interesów różnych części świata. W dyskusję angażuje się przede wszystkim Paul.

Po południu, gdy siedzą zajęte pracą, próbują się przyzwyczać do drzwi biblioteki, które teraz już stale mają być otwarte.

Iben mówi głośno i wyraźnie:

- Jak tam w środku?

Biurko Anne-Lise ustawione jest w takim miejscu, że nie może ona zajrzeć do Ogrodu Zimowego. Odpowiada z odległości zaledwie paru metrów, tuż zza futryny:

- Świetnie, świetnie.

Rozlega się kilka finalnych uderzeń w klawiaturę, potem odgłos krzesła odsuwanego od biurka i chwilę później Anne-Lise jest już u nich.

Nawet po powrocie Anne-Lise do biblioteki Iben i Malene rozmawiają z uprzejmą obojętnością, jak najzupełniej obcy sobie ludzie na przyjęciu.

Malene usiłuje wymyślić temat jakiegoś wykładu, który ma napisać dla Paula. W milczeniu wpatruje się w ekran.

Jeśli od tej pory tak ma być, to będę musiała złożyć wymówienie - myśli. - Co innego mogę zrobić?

Nie mówi nic, tylko patrzy na Iben. Ciekawe, co jej chodzi po głowie? Co tak naprawdę sądzi o tym, co tu się dzieje? Czasami może się wydawać, że Iben dostrzega coś w Anne-Lise. A może w rzeczywistości ten formalny ton bardzo jej odpowiada?

IBEN

16

Minimalne napięcie policzków i mięśni oczu Iben wystarcza, aby od skóry głowy oderwały się kolejne kropelki potu.

Czuje, jak spływają pod białym T-shirtem, którym zakrywa sobie głowę i kark, żeby uchronić się przed poparzeniem słonecznym. Płyną pod jej dużymi okularami przeciwsłonecznymi wzdłuż nosa i dalej po grubej warstwie kremu do opalania, pokrywającego skórę twarzy. Bez względu na to, jak mocno zaciska powieki, nie może pozbyć się koloru. Słońce świeci równie mocno i czerwono przez okulary i zamknięte oczy.

Na gliniastej drodze między chatami z błota ich samochód otaczają stale rosnące kręgi wystraszonych i podnieconych mieszkańców slumsów. Ale nikt nie ma odwagi podejść do czworga zakładników i dwóch uzbrojonych porywaczy na pace otwartej furgonetki bliżej niż na odległość piętnastu metrów.

Z tyłów tłumu dobiegają krzyki i rozmowy, a gdy Iben znów otwiera oczy, widzi niespokojną powierzchnię morza barwnych chust kobiet i krótko ostrzyżonych kręconych czarnych włosów na głowach mężczyzn.

Podczas ataku, który nastąpił wcześniej tego dnia, mieszkańcy slumsów dotarli aż do szoferki samochodu, ale potem dwóch z nich zastrzelono, a reszta się wycofała. Trupy musiały już zostać wyniesione przez otwarte rynsztoki, pełniące również funkcję ścieżek wśród rojowiska chat. Ponad dźwiękami stacji radiowej, nadającej po arabsku i w suahili, Iben słyszy krzyki i płacz.

Od tamtej pory ciasne kręgi Nubijczyków nie pozwalają tłumowi przedrzeć się naprzód. Mężczyźni są skoordynowani, jak gdyby byli żołnierzami w cywilu. Ubrani w gabardynowe spodnie, wzorzyste koszule i inną niepotrzebną już w Europie odzież z lat siedemdziesiątych. Stoją jak skamieniały, ale są czujni. Tylko jeden trzyma ciężki pistolet maszynowy, taki sam jak te, które mają porywacze, reszta jest uzbrojona tylko w pałki i te ich długie, ostre pangi. Czekają.

Żołnierz-chłopiec z pistoletem maszynowym, który stoi na pace samochodu tuż przed Iben, monotonicznie recytuje wersety z Biblii, wpatrując się we wzbierające i coraz ciężiej uzbrojone ludzkie morze. Podobnie jak pozostali porywacze pochodzi z plemienia Luo. Iben widzi, jak z minuty na minutę chłopak coraz bardziej się załamuje.

Doprawdy, trudno powiedzieć, co robi. Iben przesuwając udo nieco bardziej w bok, ale rozpalona od słońca metalowa ławka wbudowana w platformę samochodu parzy. Cofa, więc nogę.

Na horyzoncie, za blaszanymi dachami chat na tle biało-niebieskiego nieba, rysują się sylwetki wieżowców. Jeśli Nubijczycy otaczający samochód wezwali policję, powinna już tu być. Tutejsi policjanci słyną z gwałtowności i skłonności do przemocy, ale czy jest jakaś inna możliwość?

Łańcuch mężczyzn wokół samochodu postępuje o kilka kroków do przodu, a dwaj z nich, uzbrojeni w pistolety maszynowe mierzą prosto w szoferkę. Nubijczycy mają teraz o jeden pistolet więcej. Wcześniej dysponowali tylko jednym. Za godzinę na pewno będą mieć ich dziesięć.

Jeden z dwóch Luo w szoferce woła coś przerażony, a chłopak na pace naprzeciwko Iben podnosi swój pistolet i celuje. Łańcuch ludzi wokół samochodu jeszcze trochę się przysuwa. Potem znowu się cofa.

Nubijczycy kilkakrotnie już tak grozili. Koleżanka Iben, Cathy, kręci głową za każdym razem, kiedy to robią. Pyta bardzo cicho:

- Co to znaczy? Dlaczego oni tak się zachowują?

Ale nikt nie jest w stanie pojąć logiki w ruchach tłumu. Być może reagują na coś, co się dzieje w szoferce.

Ci dwaj Nubijczycy, których porywacze zastrzelili ponad godzinę temu, zostali straszliwie potraktowani. Na filmie zabójstwa odbywają się szybko, niemal higienicznie. Inaczej niż w wypadku tych dwóch Nubijczyków w nylonowych koszulach z szerokimi kołnierzykami, którzy tak niedawno jeszcze leżeli na splekanym, zaschniętym błocie przy samochodzie i wili się konwulsyjnie z wielkimi plamami moczu na spodniach.

Iben przenosi wzrok na Cathy, która powinna grubiej posmarować kremem przeciwsłonecznym stopy w sandałach. Pewnie nie ma odwagi prosić o pozwolenie na poszukanie kremu w plecaku. Patrzy też na Roberta, który na pewno się boi, że przywódcę zabiją

pierwszego. On wcale nie wygląda na przywódcę. Jest chudy i bardzo włoski, w sposób, który wręcz może uchodzić za kobiecy.

Drugi Luo na platformie łapie wzrok Iben. Jest wyższy, brak mu kilku zębów i bardziej pachnie slumsem niż tamci dwaj w szoferce i chłopak naprzeciwko Iben.

Iben czym prędzej spuszcza oczy, ale jest już za późno.

- Ty tam!

Podsuwa jej pangę tuż pod brodę.

Ten nóż jest na tyle szeroki, że Iben widzi tylną krawędź ciemnej klingi, która dotyka jej szyi.

Muszę teraz myśleć o wszystkich, których kocham tam, w domu - mówi sobie w duchu.

Ale nikt nie pojawia się w jej wyobraźni.

Próbuje jeszcze raz. Koncentruje się: Wszyscy, których kocham, wszyscy, którzy kochają mnie.

Wciąż jednak nic się nie dzieje, Iben myśli, więc: Zmarnowałam swoje życie. Umieram, a nie ma mężczyzny, który po mnie zapłacze, nie ma dzieci, nie ma ojca.

Plakać będzie matka i moje dwie przyjaciółki. Zasłużyłam na śmierć. Przez dwadzieścia osiem lat niczego nie osiągnęłam.

Teraz odzywa się w niej jakiś głos: Jakie to typowe dla ciebie! Zawsze za dużo myślisz. I zawsze musisz źle o sobie mówić. Teraz trzeba działać.

Wysoki Luo przerywa jej myśli:

- Zejdiesz z samochodu. Wyciągniesz kierowcę. Sama usiądziesz za kierownicą.

Iben patrzy na niego. Bardzo się pilnuje, żeby poruszać się spokojnie, budzić zaufanie.

- Wyciągnąć kierowcę?

A głos w niej mówi: Jak mam sobie poradzić, skoro nie uważam nawet, że na to zasłużyłam?

Twarz wysokiego Luo jest ściągnięta i niemożliwa do odczytania, przypomina twarz mumii.

- Otworzysz drzwi. Wyniesiesz szofera. Usiądziesz za kierownicą.

- Jak to... wyniosę?

- On nie żyje.

Iben wyczuwa, że mężczyzna z pangą przyłożoną do jej szyi mimo wszystko ma jakieś uczucia pod ściągniętą twarzą. Zdradza go oddech. I lekkie drzenie pangi.

- Zdażyli mu poderznąć gardło, gdy tu podeszli.

Głos w jej głowie rozważa: Wszyscy ci zabici, o których co dzień piszę, zasłużyli na to, żeby przeżyć więcej niż dwadzieścia osiem lat. Każdy z nich na to zasłużył. I wszyscy zasłużyli na znalezienie kogoś, kogo by kochali. Na dzieci. A więc i ja na to zasłużyłam.

Iben powolnym ruchem wskazuje na pangę, którą porywacz trzyma przy jej szyi. Bardzo chce zrobić błagalną minę, ale nie wie, co w tej chwili wyraża jej twarz.

Przez chwilę widzi, że on ma wątpliwości, czy zabić jeszcze więcej osób. Jej cienkie bawełniane spodnie w miejscach, gdzie dotykają białej ławki z metalu, są przesiąknięte potem. Ale jego zwątpienie trwa zaledwie kilka sekund. Zaraz znów się zamyka. Powtarza głębokim głosem:

- Otworzysz drzwi. Wyniesiesz mojego przyjaciela.

Iben widzi po Robercie, Cathy i Marku, że teraz oni również zrozumieli, dlaczego Nubijczycy w regularnych odstępach się podniecają, celują w szoferkę i groźnie zbliżają do samochodu.

Dzieje się tak za każdym razem, gdy porywacz na siedzeniu pasażera usiłuje wypchnąć martwego kierowcę, aby samochód mógł jechać dalej. Nubijczycy przysuwają się do niego, aż do momentu, kiedy tamten znów nie wycofa się na swoje siedzenie. Teraz mężczyzna stojący naprzeciwko Iben chce, by ona zrobiła to, na co nie odważy się żaden z Luo.

Z pangą przyłożoną do szyi Iben wygląda poza burtę samochodu. W dole widać zaschniętą skorupę błota, nawozu i odpadków.

Być może zdoła przebiec stąd dwadzieścia metrów poza łańcuch Nubijczyków. Jeżeli porywacze zastrzelą ją podczas ucieczki, zaryzykują natychmiastowym odwetem. Nic nie zyskają, jeśli ją zabiją. Trudno jednak oszacować, na ile racjonalnie myślą.

Iben bez słowa wstaje, patrząc na inne osoby w samochodzie. Cathy zaczyna płakać.

Gdy Nubijczycy widzą, że Iben schodzi z wysokiej paki dużego offroadera, wybuchają radością. Niektórzy postępują parę kroków do przodu, jednemu z zaskoczenia wypada z rąk długa, czarna dzida. Boją się jednak wejść na pas ziemi niczyjej i usiłują wcisnąć się z powrotem na swoje miejsca za ludźmi tworzącymi pierwszy pierścień.

W kurzu na drodze, która mogłaby być drogą ku wolności, Iben rozgląda się nowymi oczami. W jaki sposób może jeszcze trochę przeciągnąć wykonanie zadania?

Zastanawia się, czy nie zawołać „Idę!” do Luo siedzącego przy martwym kierowcy, żeby nie zaczął strzelać zaskoczony widokiem postaci wyłaniającej się mu zza pleców. Ale to da Nubijczykom więcej czasu na rozważania, jakie podjąć kroki. Może uznają, że lepiej zastrzelić jedną zakładniczkę, by uratować troje pozostałych i nie dopuścić do ich wywiezienia.

Zawraca, więc do wysokiego Luo na pace i mówi stłumionym głosem:

- Powiedz mu, że idę. Żeby się nie przestraszył.

Dwaj Luo rozmawiają ze sobą krótko, nie widząc się nawzajem. Żaden z Nubijczyków nie reaguje, jak Iben miała nadzieję: nie rozumieją języka dhuluo.

Konflikt między Luo a Nubijczykami wybuchł w chwili, gdy pewna rodzina Luo odmówiła zapłacenia czynszu nubijskiemu wynajemcy chat. Ten stawiał się w chacie wraz z grupą innych Nubijczyków, zginęło dwóch podnajemców, a sześcioro zostało rannych.

Później grupa ruszyła do innych podnajemców, atakując wszystkich, którzy nie chcieli płacić. Po zabiciu kolejnych dziesięciu Luo i odrąbaniu niektórym z ofiar rąk i nóg w tej dzielnicy slumsów zebrała się ponad tysiącosobowa gromada mężczyzn z plemienia Luo i tysiącosobowa gromada Nubijczyków. Obie strony paliły domy, gwałciły, zabijały i okradały się nawzajem.

Policja rozdzieliła przeciwników za pomocą gazu łzawiącego i gumowych kul, lecz została przy tej okazji oskarżona o czynny udział w gwałtach.

Wielu Luo odmawiało płacenia czynszu Nubijczykom, zachęcał ich do tego prezydent Kenii, Daniel Arap Moi, który twierdził, że to wcale nie Nubijczycy są właścicielami ziemi w Kiberze, dzielnicy slumsów, tylko państwo. Nubijczycy dostali ją jedynie w użytkowanie od dawnych angielskich władz kolonialnych.

Iben nie wie, czy chłopak na pace samochodu naprawdę by do niej strzelił, gdyby odmówiła wyciągnięcia kierowcy z szoferki.

Przed chwilą stał z pistoletem maszynowym i płakał tuż przy jej twarzy. Miał w sobie mniej zawziętości, widocznej w wielu innych niewzruszonych twarzach, jakie widywała tu nawet u ośmioletnich chłopców.

Iben stara się też mieć na oku dwóch Nubijczyków trzymających pistolety maszynowe. Jednego zasłania jej samochód. Drugi stoi gotowy, w białej koszuli, kaszkiecie i ciemnozielonych gabardynowych spodniach. Z tej odległości nie widzi jego twarzy. Nie jest w stanie wyczytać z niej chęci zabijania.

Zapach. Kurz. Słońce. Nubijczyk z pistoletem. Luo z pistoletem. Horda gapiów. Jakaś mucha uparcie usiłuje wejść Iben do ucha. Na pace porywacze wywijają bronią i krzyczą.

W kraju, w spokojnym biurze w Kopenhadze, miejsce Iben naprzeciwko Malene jest teraz puste. Staje jej przed oczami blady skandynawski zmierzch, który nadciąga nad jej klawiaturę, i karteczki post-it na pustym blacie biurka. Ma wrażenie, że właśnie w tym świetle nad pustką stapia się ze sobą to wszystko, czego nie zdążyła zrobić w życiu.

Sięga do klamki drzwi od strony szofera i słyszy zdumienie i krzyki Nubijczyków. Ich język jest dla niej równie niezrozumiały jak dhuluo. Martwy szofer opiera się o drzwi, a gdy wypada na drogę z wysokiego samochodu, Iben musi uskoczyć w bok, żeby nie zwałił się na nią.

Na razie jedynym martwym człowiekiem, jakiego widziała, był jej ojciec, któremu personel w Szpitalu Okręgowym w Roskilde dziewięć lat temu zamknął oczy, a po umyciu go pozostawił w maleńkim jednoosobowym pokoiku z cienkimi firankami w oknach.

Martwe ciało spada z siedzenia. Jego górna połowa leży tuż pod nogami Iben, ale stopy trupa utknęły między pedałami w szoferce, więc uda i dolna połowa ciała zwisa między progiem szoferki a zakurzoną drogą. Rój much unosi się znad jego piersi - w upale krew na koszuli i spodniach zdążyła już zakrzepnąć - i obsiada jego wciąż mokre plecy, uwolnione teraz od oparcia siedzenia.

Wykrzywiona twarz z otwartymi ustami, poderżnięte gardło i skóra zszarzała od upływu krwi.

Iben odsuwa się od samochodu w kurz na drodze. Ma wrażenie, że nie jest już sobą.

Nie przewidziała, że Luo, tkwiący z pistoletem maszynowym na siedzeniu pasażera, aż tak się przerazi.

Jak wszyscy ludzie stąd zwykle jest obojętny na muchy, lecz teraz jest ich znacznie więcej, a to coś znaczy. W ciasnej szoferce krew jego towarzysza trysnęła również na niego. Ścisnąc pistolet maszynowy w rękach, które wydają się tak zmęczone, jak gdyby całymi dniami walczył z wielkimi owadami.

Niekontrolowanym ruchem kieruje pistolet w Iben.

- Musisz... musisz... wsiadaj!

Głos ma tak ochrypły, jak gdyby wymawiając słowa, głośno chrapał.

Iben czuje mdłości. Zaczyna się jej kręcić w głowie. Wpatruje się w pokryte grubą warstwą kurzu podłużne ślady na drodze.

Mija kilka sekund, a może minut, lecz ona wciąż nie czuje się sobą.

Siedzi na miejscu kierowcy. Luo obok mimo wszystko nie ma odwagi wycelować broni w jej stronę. Obrócił się znów ku ścianie Nubijczyków przed nimi.

- Przyjedzie policja - mówi Iben. - W jakimś momencie przyjedzie policja.

- Jedź! - odpowiada Luo.

Ale Iben nie jedzie. Wie, że jeśli przekręci kluczyk, będzie to oznaczać koniec dla nich obojga.

- Jedź!

Nagle on się podrywa. Musiało mu się wydać, że ktoś od tyłu podkłada się do drzwiczek z jego strony samochodu. Ktoś, kto może poderżnąć mu gardło, tak jak jego przyjacielowi. Otwiera drzwiczki i odwraca się od Iben z bronią gotową do strzału.

Iben ma ułamek sekundy na to, by wyskoczyć, i podejmuje ryzyko. Biegnie na ukos za samochód, tak żeby mężczyzna musiał przesunąć się aż na jej siedzenie i dopiero stamtąd wycelować.

Przy każdym kroku jej stopy wzbijają kurz na drodze. Zaraz rozlegnie się huk broni maszynowej. I odgłos jej krwawiącego upadku. Nagle jednak dookoła zalega przytłaczająca cisza. Iben nie przestaje biec.

Nareszcie dociera do ludzkiego muru mieszkańców slumsów, który otacza ją jak ciemna woda. Wbija się kilka metrów w tłum. Nogi pod nią nie przestają się poruszać, ale dalej nie może się już precyzyjnie przemieszczać. Ciemny, zbawczy tłum obejmuje ją, walczy o to, by przysunąć się do niej jak najbliżej.

Wśród otaczających ją ludzi rozpoznaje mężczyzn i kobiety, z którymi chodziła na mecze piłki nożnej, na zajęcia w szkole i na spotkania rozjemcze. Tym ludziom grozi śmierć, jeśli czynsze zostaną jeszcze obniżone, podobnie jak śmierć grozi Luo, jeśli czynsze utrzymają się na obecnym poziomie.

Ciało Iben osunęłoby się na ziemię, gdyby ci ludzie jej nie podtrzymywali. Nubijczycy dają jej wody. Wylewają ją z plastikowych wiader i kalebas na głowę, na ciało, wlewają do ust. Iben pije, chociaż wie, że co najmniej przez tydzień będzie miała biegunkę, lecz w tej chwili jest jej to obojętne.

Jakaś wciąż przytomna część jej mózgu zastanawia się, czy nie powinna wrócić tam, gdzie tłum jest bardziej zbity, aby zobaczyć, co dzieje się z uwięzionymi kolegami. To jednak niemożliwe, jest kompletnie wycieńczona i przemoczona, a poza tym boi się, że uzbrojony Luo w szoferce ją dostrzeże.

Siedzi, więc pod ścianą z krowiego łajna, obejmując starszą, bezzębną kobietę; nie pamięta, czy widziała ją wcześniej, choć ta zachowuje się, jak gdyby były dobrymi znajomymi.

Międzynarodowa organizacja Stop Ethnic Cleansing, dla której Iben tutaj pracuje, uważa się za neutralną w tym konflikcie plemiennym, lecz wiele innych organizacji humanitarnych działających w slumsach Nairobi tak obawia się agresji ze strony sprzyjającej Luo rządzącej partii Kenii, że nie ma odwagi zadzierać z innymi plemionami. W porównaniu z tymi organizacjami Stop Ethnic Cleansing może sprawiać wrażenie sprzyjającej Nubijczykom, a wręcz wrogo nastawionej do Luo.

Kiedy więc ludzie, otaczający teraz Iben, zablokowali drogę samochodowi, być może nie zrobili tego, by ratować życie czworga obcych. Może walczą o to, by porwanie się nie udało, by Stop Ethnic Cleansing, w obawie o bezpieczeństwo swoich pracowników, nie wycofała się ze slumsów. Ci ludzie na ulicy walczą o własne życie.

Stopy przesuwają się w kurzu tam i z powrotem, jak gdyby wciąż chciały biec. Iben oddycha głośno i myśli:

To sekretarka Roberta przyjęła zaproszenie na spotkanie z jakimś ważnym wodzem. Gdy zjawił się chłopak w koszulce z Hongkongu, który miał wskazywać drogę samochodowi Stop

Ethnic Cleansing, sekretarka zapewniła, że wyjazd będzie bezpieczny. Czy, wyprawiając Iben i jej kolegów, wiedziała o tajnych planach?

Iben usiłuje sobie przypomnieć szczegóły wyrazu twarzy (troskliwość) i głosu (rozbawienie) sekretarki. Niczym się nie zdradziła. Ale oczywiście wiedziała, co robi. Sama pochodzi z plemienia Luo. Wszyscy wokół niej myślą wyłącznie o dobru własnego plemienia, więc ona też to przejmuje i zaczyna się zastanawiać: Czy inni wspierają jej rodzinę i jej sposób życia, czy raczej chcą ich zniszczyć? Istnieje taka możliwość. I każde twierdzenie o bezstronnych rozwiązaniach wydaje się zdradą.

Nagle rozlega się odgłos zepsutej syreny, włączającej się ostrymi elektronicznymi piknięciami, co wywołuje strach wśród ludzi na ulicy. Nareszcie jest policja.

Iben wspina się na ścianę domu, pod którą siedziała. Wcześniej nie sądziła, że to możliwe. Okazuje się jednak dość łatwe, dzięki kawałkom gałęzi wystającym ze ściany. Chata jest tak niska, że można wspiąć się zaledwie na pół metra nad ziemię, lecz blaszany dach wystaje ponad ścianę, Iben może, więc ukryć twarz w cieniu i nie wyróżniać się z tłumu.

Policja przyjeżdża otwartą furgonetką. Podobny samochód pojawia się po drugiej stronie tłumu.

Iben widzi również ich pojazd. Wszyscy siedzą i stoją dokładnie w tych samych miejscach jak wtedy, gdy uciekała. Zakładnicy najwyraźniej wciąż nie mają odwagi wstać, nawet teraz, gdy zjawiała się policja. Iben mruży oczy, ale nie jest w stanie dostrzec ich twarzy. Syreny przeraźliwie wyją, lecz Iben czuje ulgę.

Zmienia się to jednak, gdy widzi, co się dzieje. Policjanci na oślep walą w tłum długimi, białymi pałkami. Wielu Nubijczyków pada na ziemię, odnieśli obrażenia na tyle dotkliwe, że nie mogą się podnieść.

Iben chce biec do szefa policjantów, zanim kogoś okaleczą, i krzyknąć: „Nie, nie, mylicie się! Oni chcą nas uwolnić! To ich musicie chronić”.

Ale bezzębna kobieta wczepia się w nią, usiłuje ją zaciągnąć do rynsztoków między chatami. Cały czas wyrzuca z siebie niezrozumiałe słowa. Lecz Iben nie może przecież zostawić ludzi, którzy uratowali ją, gdy jej życie wisiało na włosku.

Kobieta obejmuje ją, próbuje ściągnąć w dół. Szlocha, gdy Iben udaje się wyrwać.

Już z daleka Iben woła do policjantów, że biją nie tych, ale droga nagle robi się pusta. Ludzie uciekają płataniną wąskich uliczek za chaty, gdzie policja nie może ich dosięgnąć. Zostają jedynie pojedynczy ranni i wielki biały samochód, niewzruszony pośrodku całego zamieszania.

W odległości kilku metrów od policjantów Iben znów zaczyna myśleć. Przestała już wołać, ale rozgląda się za starą kobietą i szuka jakiegoś miejsca, w którym mogłaby się jak najszybciej ukryć. Wpada w ręce dwóch policjantów.

Nikt jej nie bije. Wszystko odbywa się spokojnie, gdy policja, okazując wręcz uprzejmość, odprowadza ją z powrotem do porywaczy i pozostałych zakładników w samochodzie. Iben tłumaczy wszystko policjantom. Wiele razy. Ale oni z obojętnymi minami umieszczają ją dokładnie w tym samym miejscu, z którego udało jej się uciec.

Cathy zasłania twarz rękami, ale w jej głosie słychać całkowite załamanie, kiedy syczy do Roberta:

- To ty powinieneś wiedzieć, że policja trzyma z porywaczami. Powinieneś być wiedzieć to wcześniej.

Głos Cathy rozmywa się w tłumionym płaczu, złości i czymś jeszcze, czego Iben nigdy dotąd u niej nie słyszała. Cathy powtarza to raz po raz. Mruczy pod nosem jak bezdomna, która wystaje na rogu w pobliżu DCIL.

- To ty jesteś za wszystko odpowiedzialny. Jesteś naszym szefem. Twoim obowiązkiem jest nas chronić. To ty powinieneś być to wiedzieć.

Iben zerka na twarz Roberta, ale niczego w niej nie dostrzega. Policjanci kładą martwego kierowcę na pace przy zakładnikach, by porywacze mogli go zabrać. Droga zostaje w końcu uprzątnięta i mogą bez przeszkód jechać dalej.

17

Pewnego wieczoru, wkrótce po śmierci ojca, Iben szła o zmierzchu willowymi uliczkami.

Na śnieg kładło się niebieskawe zimowe światło, oddychała bardzo cicho i słuchała, jak drobinki śniegu skrzypią pod jej butami. Przy jednym z drzew owocowych, na którego gałęziach wciąż leżał śnieg, usłyszała głosy dwóch kobiet, przywołujących swoje koty. W innych miejscach Roskilde również inni ludzie musieli wołać koty na noc.

- Kici, kici, kici, Tygrysku, chodź do mamusi!

Iben ogarnęło wrażenie, że wszystkie te kobiety wzywają jej zmarłego ojca. Że matki w całym mieście, do tej pory pochylone nad starymi kuchennymi stołami, prostują się, wstają z kącika na kanapie, gdzie najczęściej rozmawiają przez telefon, albo z mokrych od łez małżeńskich łóżek z jedną tylko kołdrą. I wszystkie stają w oświetlonych drzwiach i wołają w nocną ciszę Roskilde:

- Mruczek, wracaj do mamusi, chodź tutaj. Mruczek, wracaj do mnie!

* * *

Teraz Iben stoi przy stołach na tyłach sklepu Company's i grzebie w ofertach. Obok bluzek, które przerzuca, leżą stopy małych kawałków futerka. Przypominają kolorowe skórki martwych kotów, ale to oczywiście niemożliwe.

W żadnym z siedmiu sklepów, które już zdążyła odwiedzić, nie znalazła nic odpowiedniego dla siebie.

To chodzenie po sklepach to wina Gunnara. Zajmują go wprawdzie inne rzeczy niż stroje. Ale przecież zainteresował się Malene, a Malene bardzo dba o wygląd.

Iben unosi do góry kremową bluzkę, żeby sprawdzić, czy jest dopasowana, czy luźna, chociaż wie, że to naprawdę obojętne, co na siebie włoży.

Dlaczego miałabym wpaść na niego akurat teraz? Gdzie by to miało być? Przecież nigdy wcześniej nie spotkałam go przypadkiem.

Przechodzi do następnego stosu ciuchów i przerzuca go w roztargnieniu, a jej myśli wciąż przeczą jedna drugiej. Mówi sobie w duchu: Wiem tyle rzeczy, które nie mają ze sobą związku.

* * *

Następnego dnia przed południem Paul staje się w otwartych drzwiach do Anne-Lise, a dzięki nowemu systemowi wszyscy w centrum mogą się teraz nawzajem słyszeć. Paul wygląda na zdenerwowanego.

- Anne-Lise, na tych wydrukach, które od ciebie dostałem, są jakieś dziwne plamy. - Przerzuca plik papierów. - Odciski palców z czegoś, co przypomina brązowy toner. I one brudzą!

Iben i Malene próbują się do siebie nie uśmiechać. Ale gdy Iben podnosi głowę znad ekranu, Malene już na nią patrzy.

Z biblioteki dobiega głos Anne-Lise:

- Oj! Rzeczywiście mam coś brązowego na palcach. Co to jest?

Paul ze zirytowanego zmienia się w zdezorientowanego.

- Masz też coś na twarzy. Jakaś smuga. Pociągnęłaś palcem po nosie. I na bluzce też są ślady.

- Ojej!

Anne-Lise przewraca papiery i szuflady, nie potrafi jednak stwierdzić, skąd wziął się ten proszek. Paul przez Ogród Zimowy wraca do gabinetu.

Iben i Malene nawet się nie poruszają.

Po pewnym czasie Anne-Lise podchodzi do ich biurek z pytaniem, czy nie wiedzą, co to może być.

- W pierwszej chwili myślałam, że szminka mi się otworzyła w torebce, ale torebka jest całkiem czysta. Nic już nie wiem.

Iben raczej nie wyczuwa w jej głosie podejrzeń, że to one wykręciły jej jakiś numer. Anne-Lise niespokojnie przestępuje z nogi na nogę.

Pokazuje im dłonie. W kącikach przy paznokciach są ubrudzone czymś czerwonobrazowym. To coś utkwilo też w zmarszczkach u nasady palców we wnętrzu dłoni. A kilka drobnych włosków na wierzchu dłoni pogrubilo się i zabarwiło, jakby pomalowała je tuszem do rzęs.

Iben pyta, jak to pachnie.

Anne-Lise podsuwa dłoń pod nos, ale na pewną odległość, jak gdyby - tak samo jak Iben i Malene - sama brzydziła się własnej ręki i nie chciała znaleźć się zbyt blisko niej.

- Nie wiem. Jedzeniem? Może czymś słodkim?

* * *

Nieco później przez otwarte drzwi słyszą jej krzyk. Natychmiast się podrywają i biegną do biblioteki. Anne-Lise stoi na środku z palcami konwulsyjnie rozstawionymi, z trudem łapie oddech.

- To spadło z regału... A potem chciałam...

Łatwo się zorientować, co się stało.

Anne-Lise znalazła kilka czerwonobrunatnych plam na regale. Wyjmowała z niego książki i segregatory z czasopismami. Zorientowała się, że kolorowy proszek pochodzi z zaschniętych kropli na górnej półce. Wyciągnęła się, żeby zdjąć plastikowy segregator i przechyliła go.

Krew, którą ktoś wlał do segregatora, poląła się na nią. Na szczęście tylko odrobinę, ale włosy i twarz ma poplamione. Prawa dłoń i ramię są mokre i lepkie. Anne-Lise odskoczyła i segregator z czasopismami spadł u jej stóp, a setki maleńkich kropelek rozprysnęło się na jej spodniach, bluzce i twarzy.

Stoi w bezruchu. Z trudem chwyta powietrze i nie może nic powiedzieć.

Żadna nie ma ochoty zbliżyć się do niej i do tej kałuży, w której stoi. W końcu to Iben bierze się w garść.

- Anne-Lise, to jakieś straszne! Jak to się mogło... Musisz się położyć... Musimy to wytrzeć... Musimy...

W kałuży krwi na podłodze leży pęknięta zewnętrzna błona zakrzepłej krwi. Iben przestaje oddychać, jak gdyby możliwe było uniknięcie odoru, który wydostał się teraz spod błony. Zapach jest słodki, zgniły i mdlący.

Bardzo chciałyby zostać i pomóc, ale musi stąd wybiec. W toalecie z trudem chwyta oddech, nie wie, czy będzie wymiotować, czy nie. Przyłącza się do niej Malene, która mówi, że czuje tak samo.

Gdy wracają, okazuje się, że Camilla pootwierała już wszystkie okna, ściera krew z podłogi i wyżyma ścierkę do wiadra. Anne-Lise została razem z nią. Wisi na swoim krześle, jakby zaraz miała zemdleć. Ściągnęła z siebie blezer i rzuciła go na podłogę. Zużyła całe mnóstwo wilgotnych chusteczek, żeby się jak najstaranniej wytrzeć, lecz i ona, i regał wciąż wyglądają strasznie.

Doprawdy, nie wiadomo, co powiedzieć. Co to ma znaczyć? Kto mógł wymyślić coś podobnego?

Paul też wyszedł ze swego gabinetu. Reaguje milczeniem, sztywnym krokiem obchodzi całe centrum, sprawdza okna i zamki przy drzwiach wejściowych, i wyjście awaryjne z biblioteki, szuka śladów włamania.

Iben pyta Anne-Lise:

- Jak sądzisz, kiedy tę krew tam nalano?

- Ja... ja tam zbyt często nie zaglądam - odpowiada Anne-Lise szeptem. - To mogło się stać... może w ostatnim tygodniu.

Wszyscy milczą, coś sobie myślą w duchu, pomagają ratować papiery i książki na regale Anne-Lise. Każdą książkę i segregator trzeba wyjąć i przetrzeć wilgotną ściereczką, po którą Malene idzie do kuchni.

Anne-Lise trochę dochodzi do siebie i mówi, że chce iść do toalety, żeby dokładniej się umyć.

Wraca Paul, oznajmia, że nie znalazł nic nadzwyczajnego przy zamkach. Kładzie opróżniony regał na podłodze w taki sposób, żeby mogły usunąć krew również spod najniższej półki. Ustalają, że to musi być wieprzowa krew, którą ktoś zdobył u rzeźnika.

Tak nie powinno się postępować w miejscu przestępstwa - myśli Iben. - Teraz znikną wszystkie ślady.

Skoro jednak dalej wspólnie działają w ten sposób, to znaczy, że nie wierzą, by policja chciała się tym zająć. Tak czy owak i Paul, i one, chociaż nie mówią o tym na głos, przyjmują za pewnik, że krew została tu przyniesiona przez kogoś, kto jest związany z centrum.

Kiedy już z grubsza ogarnęli bibliotekę, wraca Anne-Lise, a Paul mówi:

- Trzeba zwołać zebranie. Anne-Lise, czy możemy coś dla ciebie zrobić? To musiało być naprawdę straszne. DCIL oczywiście zwróci ci koszty ubrania. I nie wiem... Może chciałabyś porozmawiać z psychologiem?

Anne-Lise sprawia wrażenie, że doszła już do siebie. Nie chce psychologa, ale chciałaby iść do domu. Mówi, że nie ma nastroju na zebranie, więc Paul zamawia jej taksówkę.

Wszyscy starali się ją wspierać i pocieszać, a po jej wyjściu siadają wokół stołu konferencyjnego w gabinecie Paula.

Paul miał czas na przemyślenie tego, co chce powiedzieć. Wygląda na opanowanego i, mówiąc, zagląda im po kolei w oczy.

- Wszyscy, a szczególnie Anne-Lise, przeżyliśmy dziś okropny szok. Ale patrząc na to z szerszej perspektywy, uważam, że możemy pozwolić sobie na pewną ulgę. Teraz wiemy już, że na nasze centrum nie uwziął się żaden notoryczny morderca w rodzaju Mirka Žigicia. Takim ludziom nie chciałoby się marnować energii na coś tak niegroźnego. Tak, naprawdę uważam, że to duża ulga. Przypomina mi to raczej wybryk nastolatków sympatyzujących z neonazistami. Dostawałem od nich wiele listów, ale nigdy nie poważyli się na coś więcej niż wybicie trzech szyb w moim domu. A raz przez otwór na listy w drzwiach wrzucili do środka zgniłą rybę. Bez względu na to, jak bardzo przykre to było przeżycie, uważam je za punkt zwrotny. Możemy skonstatować, że to nie Mirko Žigic nas dręczy i że nikt nie musi się obawiać napaści ze strony kogoś takiego jak on.

Paul przygotował dla nich cały wykład i żadna nie ma ochoty mu przerywać. Paul kontynuuje:

- Wiele osób z całą pewnością uzna, że mógł to zrobić wyłącznie ktoś związany z centrum, ale nic nam o tym nie wiadomo. W godzinach pracy drzwi na klatkę nie są zamykane na klucz. W zasadzie każdy może się tu zakraść w chwili, gdy w największym pomieszczeniu nikogo nie ma. Musimy coś z tym zrobić. Poinformuję zarząd i powiem, że potrzebne nam jest wzmocnienie drzwi wejściowych i kamera na schodach. Trzeba zorganizować to tak, żeby w małym okienku na ekranach wszystkich komputerów było widać, kto stoi za drzwiami. Dopiero po skontrolowaniu, kto przyszedł, będzie można go wpuścić przez wciśnięcie klawisza na klawiaturze. Zarząd na pewno zrozumie, że musimy mieć na to pieniądze. Oczywiście będą mnie pytać, skąd mam pewność, że nie zrobił tego nikt z nas. No cóż, nie potrafię sobie wyobrazić, aby któraś z was mogła narazić Anne-Lise na coś takiego. Po prostu w to nie wierzę! Ale będę zmuszony odpowiedzieć, że, niestety, takiej pewności nie mamy. Musimy się zdecydować. Albo będziemy sobie nawzajem ufać, albo nie. Paul jest zadowolony z tych słów.

- Doświadczenie mi mówi, że okazywanie zaufania ma dobry wpływ na ludzi. Dużo lepszy niż kontrole i podejrzenia. To również uświadomię zarządowi. Dopóki nie ma żadnej pewności, zawsze będę stawiał na zaufanie do osób, z którymi pracuję.

Robi przerwę, ale nikt nic nie mówi. Paul dodaje, więc:

- Chyba, że oczywiście któraś z was ma coś do powiedzenia.

Ale żadna nie chce nic dodać.

Później rozmawiają o tym, komu spoza centrum mógłby przyjść do głowy taki pomysł, kto mógł się zakraść do DCIL. Iben czuje, że Paul, mimo zapewnień o zaufaniu, czeka, czy któraś nie zdradzi się w rozmowie. Zadaje pytania i słucha odpowiedzi w taki sposób, że bez trudu można przejrzeć jego zamiar.

Ale one też się tak zachowują. Do końca zebrania deklarują swoje dobre intencje. „Trzeba znaleźć sprawcę - mówią, i bez względu na to, jakich słów używają, ich oświadczenia są jednoznaczne: - To nie ja”.

W pewnej chwili Malene pyta Paula:

- Skoro żadne z nas tego nie zrobiło, to czy nie powinniśmy zadzwonić na policję?

- Racja, oczywiście - uśmiecha się Paul. - Powinniśmy to zrobić. Zaraz zadzwonię.

* * *

Wieczorem Iben odwiedza matkę w Roskilde. Jest rocznica śmierci ojca, a one od dziewięciu lat podtrzymują tradycję i jedzą razem uroczysty obiad z drogim winem, które ojciec Iben tak lubił.

Siedzą w jadalni przy przystawce. W pokojach jak zwykle panuje cisza. Długie, cienkie firanki są zasłonięte, unosi się rozkoszny zapach pieczeni jagnięcej, która dochodzi po wyjęciu z piekarnika.

Matka mówi o bezpieczeństwie córki w DCIL. Iben ma już tego dosyć. Tłumaczy cierpliwie:

- Nie zrobił tego nikt z tych ludzi, o których czytasz w naszych biuletynach. Policja sprawdziła zamki w drzwiach wejściowych i wyjście ewakuacyjne i stwierdziła, że nie było żadnego włamania.

- Ale ktoś jednak dostał się do środka?

- Naprawdę nie sądzę, żeby serbscy ludobójcy wysyłali maile albo wlewali krew do segregatorów z czasopismami...

Iben myśli, że to dobry moment na wyznanie, iż od tamtego wieczoru, kiedy przyszedł mail z pogrózkami, nosi przy sobie sztylet.

Przylepiła pochwę do lewej łydki. Zwisa luźno tuż nad skarpetką. W domu ćwiczyła szybkość, z jaką mogłaby wyciągnąć sztylet, gdyby została zaatakowana. Doszła do trzech sekund.

Nie opowiedziała jednak o sztylcie nawet Malene ani Grith. Jest zła na siebie, że ostatnio stała się taka bojaźliwa. Poza tym naprawdę zrobiło jej się niedobrze od widoku i zapachu tej krwi dzisiaj w biurze.

Matka Iben pochyla się nad pasztetem z łososia. Podnosi głowę, kiedy Iben urywa, ale nic nie mówi. Iben zaś ciągnie:

- To może się wydawać trochę szalone, ale jedyny sens w tych okolicznościach znajduję w tym, co mówiła Grith, że wszyscy mamy w sobie różne tożsamości. I że naprawdę dość powszechne jest, że jedna tożsamość nie wie, co robi druga. Anne-Lise mogła, więc sama nalać tej krwi do segregatora. Może to był akt autoagresji? Wiem, że to brzmi... Ale jak to inaczej wytłumaczyć?

Jest w tym wszystkim coś niewiarygodnie smutnego. Iben mruga kilka razy, nim zacznie mówić dalej:

- Grith twierdzi, że to wcale nie jest takie niezwykle. A w Anne-Lise jest coś dziwnego. Wydaje mi się, że ma jakieś problemy psychiczne.

Matka starannie przeżuwa ostatni kęs pasztetu z łososia i w końcu się odzywa:

- Chyba pracujesz tam już na tyle długo, że mogłabyś poszukać sobie innego zajęcia?

- Ale ja nie chcę.

- No tak... Ja też nie...

- Robimy coś ważnego - przerywa jej Iben. - Ktoś musi to robić. No i jest tam Malene.

- Oczywiście.

Matka zmienia temat. Wynoszą talerzyki po przystawkach. Matka podaje mięso, Iben idzie za nią z czerwonym winem i sałata.

Matka Iben jest pielęgniarką, a jej ojciec był lekarzem. Gdy Iben myśli o swoim dzieciństwie, musi przyznać, że ona i ojciec nie zawsze odnosili się miło do matki.

Odkąd Iben skończyła sześć lat, pochłaniała książki i omawiała je z ojcem. Utworzyli coś w rodzaju „klubu mędrców” w rodzinie, którego matka nie była członkiem. Zdaniem Grith, Iben przystąpiła do klubu ze strachu, że ojciec będzie traktował ją z wyższością, tak jak traktuje matkę. Później Iben, idąc w jego ślady, zaczęła studiować medycynę.

Jednym ze skutków załamania po jego śmierci była zmiana, po roku, kierunku studiów z medycyny na literaturoznawstwo.

Wznoszą toast za ojca Iben. Rozmawiają o nim krótko, wspominają kilka wydarzeń sprzed lat, a potem Iben pyta matkę, jak minął jej tydzień.

Wciąż jednak jest zirytowana uwagą matki o zmianie pracy. Wraca do tego wątku i nie odpuszcza, chociaż matka wielokrotnie próbuje zmienić temat, aż w końcu musi się bronić.

- Po prostu wydaje mi się, że to jakieś nieprzyjemne miejsce. Chyba nie chcesz zostać tam na zawsze?

- Nie jest ani trochę nieprzyjemne!

- Krew na regale i...

- To przecież wyjątek, do diabła! Pracuję tam już dwa lata! Do tej pory tak nie było. Musisz wyciągać akurat to?

- Oczywiście, oczywiście. Wcale nie uważam...

Iben naprawdę chce być miłą. Stara się być życzliwa, co tak łatwo przychodzi jej w towarzystwie innych ludzi. Ale w tym domu zawsze się złości, zawsze czuje się osamotniona, a jednocześnie osaczona, i pragnie się z tego wyzwolić.

Po tym parkiecie ułożonym w kwadraty chodzi dłuższym krokiem, bardziej powłóczy nogami. Przy tym stole gwałtownie gestykuje. W połowie rozmowy uświadamia sobie, że z wysiłkiem wplata aluzje do swego dorosłego kopenhaskiego życia erotycznego, (którego oczywiście nie ma). Czegoś podobnego nie powiedziała by nigdy w obecności przyjaciół czy znajomych.

W domu w Roskilde jest, krótko mówiąc, kimś zupełnie innym, i w pełni zrozumiałe się staje, dlaczego jej matka uważa, że z córką trudno się dogadać.

Przy plastrach idealnie upieczonej jagnięciny Iben mówi do matki:

- Karen Blixen pisze, że wszyscy jesteśmy maskami. A w książkach o psychologii relacji można przeczytać, że „przydzielamy sobie nawzajem role”. Ale to błędne podejście. Wcale się tak nie dzieje...

Matka Iben, a propos ról, opowiada o dawnej sąsiadce, która kiedyś grała w teatrze amatorskim w Dyrehaven. Iben jednak nie ustępuje:

- My wcale nie wkładamy masek. Nie decydujemy się na odgrywanie roli. Tu nie ma mowy o zewnętrznej presji czy o świadomym wyborze. Zmieniamy się w różnych w pełni rozwiniętych ludzi. Właściwszym słowem jest tu „tożsamość”. Mamy w sobie wiele tożsamości.

Matka musi zajrzeć do tarty z jabłkami w kuchni. Iben porzuca temat i już do niego nie wracają.

W powrotnej drodze do Kopenhagi Iben siedzi spokojnie w pociągu i wygląda przez okno. Za szybą przesuwają się światła Hoje Taastrup. Iben myśli: To dobrze, że matka się o mnie niepokoi. Zirytowałabym się o wiele bardziej, gdyby było inaczej.

A nieco później, wciąż trawiąc w myślach ten wieczór:

Czy ja właściwie dałam jej szansę, żeby zrozumiała, o co mi chodzi z tą Karen Blixen i tożsamościami? Czy nie mówiłam okropnie niezrozumiale?

Wagon odbija się w ciemnym oknie, Iben musi, więc przysunąć twarz do samej szyby i zasłonić światło ze środka, by widzieć, którędy jadą.

I czy w ogóle chciałam, żeby ona mnie zrozumiała? Mówiłam tak, jakbym dzieliła się z nią swoimi przemyśleniami, ale zrobiłam to w sposób bezwzględny, nie dałam jej szans na zrozumienie tego, co powiedziałam. Niemożliwe jest prześledzenie toku mojego myślenia. Zrobiłam to prawie po to, by ją ukarać. Karen Blixen. Ach! To strasznie głupie z mojej strony. Okropnie głupie.

W myślach dodaje jeszcze: Nawet, kiedy próbowałam wyplątać się z tej sytuacji i mówić o tożsamościach, to wciąż byłam usidlona przez jedną z nich. Władzę nade mną przejęła agresywna nastolatka, która wciąż we mnie jest.

Odsuwa się od czarnego okna, w wagonie nie ma, na co patrzeć. Jedzie prawie sama. Daleko z przodu siedzi tylko łysy mężczyzna z okrągłą głową.

Iben myśli o pozostałych osobach z DCIL. W jakich zupełnie innych ludzi potrafią się zmienić? Co może im przyjść do głowy?

18

Gdy Iben przychodzi do pracy następnego dnia rano, okazuje się, że nie ma Camilli. Iben przesłuchuje mrugającą sekretarkę automatyczną i słyszy, że Camilla wzięła na dzisiaj zwolnienie.

Camilla nie odbiera telefonu, ale na domowej sekretarce ma nagrany numer komórki i pod tym numerem Iben udaje się ją złapać.

- To prywatna sprawa - mówi Camilla. - Wołałabym was w to nie mieszać.

Jej głos jest spokojny i łagodny jak w biurze, lecz odrobinę głębszy.

Iben usiłuje się dowiedzieć, o co chodzi, lecz Camilla odpowiada wymijająco. Wyraźnie widać, że się boi. Boi się zupełnie inaczej niż wszyscy. Wydaje się Iben nieco histeryczna, chociaż minęło zaledwie kilka dni od chwili, gdy sama też się tak czuła. Pyta Camille:

- Gdzie jesteś?

- To nieważne.

- Ale w domu też boisz się być?

- Nie. To by było niemądre.

- Jeżeli masz jakiś pomysł na to, kto się tu zakrada, zostawia krew... to uważam, że powinnaś nam o tym powiedzieć.

- Masz rację. Dobrze wiem. Ale robię tak wyłącznie, dlatego, że jestem przekonana, iż jemu nie chodzi o was.

- My też dostałyśmy maile. A krew była na regale Anne-Lise.

Na to Camilla nie odpowiada.

Chwilę później zaczyna płakać.

- To facet, z którym kiedyś się związałam, bo byłam głupia. Nie chciałam wam o tym opowiadać. To takie... Miałyście o tym nie wiedzieć.

- Camillo, nie przejmuj się tym tak bardzo.

Iben czuje się miękka w środku. Ścisza słuchawkę obiema rękami, jak mogłaby ją trzymać Malene.

- Możesz nam zaufać - mówi. - Przecież wszystkie zakochiwałyśmy się w niewłaściwych facetach. Naprawdę nie ma się, czego wstydzić. Wszystkie jedziemy na tym samym wózku.

Iben daje jej czas na odpowiedź, ale Camilla milczy. A kiedy jasne się staje, że nic więcej już nie powie, Iben dodaje:

- Nikt cię za to nie potępi. Bez względu na to, z kim się związałaś. Ale twierdzisz, że to nie jest człowiek, którego my, pozostałe, powinnyśmy się bać?

- Nie, nie, skąd! Pracujcie dalej. Nie wiadomo, co powiedzieć.

- Czy Finn się tobą opiekuje? - pyta Iben.

- Tak, kiedy nie jest w pracy. Dzisiaj może wyjść wcześniej.

- Miło by było wiedzieć, gdzie jesteś.

- Wolałabym tego nie mówić.

- Może któraś z nas mogłaby coś dla ciebie zrobić?

- Wolałabym nie mówić. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. W środku rozmowy przychodzi Paul. On też chce porozmawiać z Camille, która obiecuje mu, że za kilka dni, gdy już będzie gotowe wzmocnienie drzwi, a na schodach kamera, wróci do pracy

Malene przychodzi z taksówkową fryzurą i cerą. Nie ma rozwianych włosów i nie jest przemarznięta jak po jeździe rowerem. Iben domyśla się, że musiała mieć jakiś niewielki atak gościa. Na pewno bołą ją ręce i stopy, chociaż nawet o tym nie wspomina.

Rozmawiają o Camilli i o tym, kim może być człowiek, który budzi w niej taki strach.

- Niemożliwe, żeby chodziło o jej dawnego chłopaka, kimkolwiek ten człowiek był - mówi Malene. - Ona coś fantazjuje. To się w ogóle nie trzyma kupy.

Anne-Lise wychodzi z biblioteki i włącza się do rozmowy. Bardziej zrozumiałe by było, gdyby to ona nie przyszła do pracy po wczorajszych wydarzeniach. Paul proponował, aby została w domu, lecz Anne-Lise najwyraźniej ma w sobie siłę, o którą Iben jej nie podejrzewała.

Malene trzyma się za palce dłoni i czeka, aż Anne-Lise wyjdzie. Dopiero wtedy pyta Iben:

- Słyszałaś kiedyś, żeby Camilla wspominała, z kim była przed Finnem? Przy mnie nic o tym nie mówiła.

Nieco później, przed południem, Iben i Malene pracują przy swoich biurkach. Iben znów ma w słuchawce jeszcze jednego bezrobotnego magistra. Co najmniej parę razy w tygodniu do centrum dzwonią bezrobotni absolwenci wyższych uczelni, by dowiedzieć się, czy nie ma jakiegokolwiek możliwości pracy, zlecenia albo okresowej współpracy przy jakimś projekcie, czy w ogóle po prostu czegoś.

Iben stara się dodawać im otuchy i okazywać jak największą życzliwość, lecz często trudno się ich pozbyć przez ten ich rozpaczliwy czar, którego nauczyli się na kursach poszukiwania pracy.

W czasie, gdy Iben wysłuchuje długiej listy kwalifikacji magistra, o którą wcale nie prosiła, w drzwiach biblioteki staje nagle Anne-Lise z bardzo poważną miną.

- Malene, czy mogę z tobą porozmawiać?

- Oczywiście - odpowiada Malene.

Nie rusza się jednak z miejsca, Anne-Lise musi, więc spytać:

- Mogłabyś do mnie przyjść na chwilę? Malene przygląda się jej z przesadnym spokojem.

- Nie możesz tego powiedzieć tutaj, żeby i Iben słyszała?

- Pomyślałam, że może zechcesz przyjść...

- Przy Iben możesz mówić wszystko...

Malene obraca się w stronę drzwi do gabinetu Paula, które tego dnia wyjątkowo zostawił otwarte, i dodaje z uśmiechem, jak gdyby on mógł ją widzieć:

- ...przy Paulu też. Mamy przecież teraz te otwarte drzwi.

Ponieważ jednak Anne-Lise dość długo się waha, Malene wstaje z demonstracyjną miną, świadcząca o nadzwyczajnej cierpliwości, ale puszcza oko do Iben. Idzie za Anne-Lise do biblioteki.

Ani Malene, ani Anne-Lise nie zamykają za sobą spornych drzwi, lecz Anne-Lise idzie dalej niż do swojego biurka, Iben może, więc słyszeć jedynie mamrotanie między regałami. Udaje jej się zakończyć rozmowę telefoniczną i wraca do wymordowania dwóch milionów Sudańczyków w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Po raz pierwszy będzie pisać o Sudanie w „Informatorze o Zbrodniach Ludobójstwa”, na jej biurku pełno jest, więc papierów i książek.

Kobiety w bibliotece zaczynają rozmawiać głośniej. Paul chyba nic nie słyszy, ale do Iben, która siedzi tuż przy drzwiach, dociera niepewność w głosie Anne-Lise, który zresztą się podniósł:

- No i mówią, że nigdy nie słyszeli o innych możliwościach przeszukiwania biblioteki niż te, które są w Internecie.

Głos Malene jest spokojny, przyjaciółka wymawia jednak słowa nieco zbyt wyraźnie, a to - jak Iben wie - świadczy o jej gniewie.

- A kto chciał o tym słyszeć?

- Wszystko jedno.

- Anne-Lise, oczywiście, że o tym mówiłam - ciągnie Malene z tą przesadnie wyraźną dykcją. - Jeśli komuś zapomniałam o tym powiedzieć, to chciałabym wiedzieć, komu. Jak inaczej mogę się poprawić?

Teraz trudno coś usłyszeć, dopóki głos Malene nie nabiera przenikliwości:

- Anne-Lise, musisz jasno powiedzieć, o co chodzi! Mam dużo pracy.

Anne-Lise po krótkiej chwili mówi bardzo szybko:

- Dowiedziałam się właśnie, że wręcz starałaś się utrzymać użytkowników jak najdalej od biblioteki.

- Musisz mi wreszcie powiedzieć, o kim mówisz!

- Czy to nie wszystko jedno?

Głos Malene staje się jeszcze bardziej władczy:

- Nie, to absolutnie nie wszystko jedno. Jesteśmy koleżankami z pracy. Jeśli ktoś mówi coś na temat koleżanki, to trzeba być solidarnym i jej to przekazać. Mamy pracować w centrum razem. Ty również. Chodzi o wizerunek naszego biura. O to, żebyśmy mogły naprawiać swoje błędy i jak najlepiej obsługiwać użytkowników.

W głosie Anne-Lise pobrzmiwa jeszcze większy żal, ale już nie krzyczy.

Nieco później Malene wraca na swoje miejsce i mówi szeptem:

- Anne-Lise rozmawiała o mnie z Erikiem Prinsem.

- O tobie?

- Ona jest nieprawdopodobna.

- Słyszałam, co nieco z waszej rozmowy.

- Tak myślałam.

Erik Prins to nieduży mężczyzna z brzuszkiem i tłustą cerą, w ubraniu sprzed piętnastu lat. Chyba nie ma jeszcze czterdziestki, ale wygląda na znacznie starszego.

Od lat pracuje nad obszerną książką na temat skandynawskiej polityki zagranicznej od czasów drugiej wojny światowej. Nie bardzo wiadomo, w jaki sposób książka i jego wieloletnia praca są finansowane. Czy dostaje stypendium, czy też (co jest bardziej prawdopodobne) pobiera jakiś zasiłek. Nikomu nie chciało się go o to zapytać.

Erik często zagląda do centrum, żeby przejrzeć nowe książki i trochę poczytać na miejscu. Po kilku godzinach jego pobytu w dużej sali konferencyjnej na ogół muszą ją wietrzyć, ponieważ Erik je przy czytaniu, a jego drugie śniadanie zostawia w pokoju zapach pasztetu i rozmoczonego żytniego chleba.

Ale w kolejce użytkowników centrum Malene zawsze daje Erikowi fory przed innymi i gwarantuje mu najlepszą obsługę. Z reguły znajdują też chwilę na rozmowę, między innymi o dawnym koledze Erika ze studiów na wydziale historii, Frederiku Thorsteinssonie.

Według słów Paula na zebraniach zarządu DCIL wielokrotnie powoływano się na pochwały Erika, zadowolonego z poziomu obsługi centrum. Za pośrednictwem Frederika opinia Erika dociera, bowiem zawsze dalej do zarządu, który traktuje go jako kogoś w rodzaju naocznego świadka. Członkowie zarządu, doskonale wykształceni eksperci i naukowcy, najwyraźniej uważają tego niechlujnego człowieczka za przedstawiciela przeciętnych użytkowników centrum i w pewnym sensie za ich rzecznika.

Iben uśmiecha się do Malene zatroskana.

- Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek był niezadowolony z twojej pracy. I na dodatek jeszcze ten rozpieszczany Erik Prins!

Iben jest właściwie obojętne, ile z tego może usłyszeć Anne-Lise, ale ścisza głos, żeby w awanturę nie włączać Paula.

- Na pewno po prostu pochwalił Anne-Lise, jak to zwykle się robi, gdy zaczyna się współpracować z kimś nowym, aby wszystko układało się jak najlepiej. Pewnie powiedział, że dobrze pracuje i szkoda, że tego wcześniej nie odkrył... - Iben czuje, że wzrok jej gdzieś umyka, lecz tylko na ułamek sekundy, i kończy już spokojnie, opanowana: - Przecież takie rzeczy się mówi. Tobie na pewno też by tak powiedział. Albo mnie czy komukolwiek innemu.

Malene odchyła się na krześle i wzdycha z rezygnacją.

- Pewnie masz rację. Oczywiście, że takie rzeczy się mówi. Każdy stara się być życzliwy. Okropne jest tylko to, że Anne-Lise wszystko rozumie opacznie.

Gdy później zostają same w powielarni, Malene mówi do Iben:

- To była ta upiększona wersja.

- Co?

- Tak, to, że Erik powiedział kilka życzliwych słów, z których Anne-Lise wyciągnęła błędne wnioski.

Iben już wie, że ta rozmowa potrwa. Siada na stole, kserokopiarka postukuje, kopiuje, sortuje i zszywa obszerny zbiór artykułów z gazet, które Camilla miała dzisiaj rozesłać do zarządu. Iben musi ją w tym wyręczyć.

Malene niespokojnie krąży po pokoju.

- Zastanawiałam się nad tym, skąd u Anne-Lise takie przekonanie? Wyraźnie widać, że ona w to wierzy. Może nawet spytała Erika wprost.

Iben siedzi z rękami wsuniętymi pod uda.

- Albo jedno i drugie. On, chcąc okazać życzliwość, powiedział jej parę miłych słów, a ona skorzystała z okazji i zaczęła go wypytywać o ciebie.

- No, a Erik poczuł się przyciśnięty do muru i koniecznie chciał powiedzieć o mnie coś więcej. Ona spytała o coś jeszcze i w końcu zaczęli rozmawiać na mój temat. Nie wolno zapominać, że teraz Erik jest zależny od niej. Ważniejsze dla niego są dobre układy z nią niż ze mną, jeżeli wciąż chce liczyć na wyjątkowe traktowanie w centrum.

- No i co teraz?

- To jest ważne. Jeśli ona obmawia mnie również przed innymi, to może nagle podburzyć przeciwko mnie Frederika, Olego i wszystkich innych.

- Jeśli to prawda.

- Wiem. Muszę się upewnić.

* * *

Paul je dzisiaj z nimi lunch. Atmosfera jest napięta, chociaż nikt nie wspomina o Eriku Prinsie ani o przedpołudniowej rozmowie w bibliotece.

Malene była w supermarkecie i kupiła pszenney chleb. Przed wyjściem spytała wszystkich, czy czegoś nie potrzebują, i Anne-Lise dała jej pieniądze na paczkę carpaccio z oliwą i parmezanem. Teraz mówi, że jeśli ktoś ma ochotę, może się częstować. Ale oprócz Paula nikt nie reaguje na jej zachętę.

Iben nie może już dłużej wytrzymać przeciągającego się milczenia, więc po zjedzeniu ogórka zaczyna opowiadać o książce, którą pożyczyła od Grith i czytała do późnej nocy:

- Dziewięciu na dziesięciu pacjentów z rozszczepieniem osobowości to kobiety. I niemal wszystkie doświadczyły w dzieciństwie molestowania i przemocy. Autor pisze wprost: „Rozszczepienie osobowości to mała dziewczynka, która wyobraża sobie, że molestowany jest ktoś inny”. Właśnie, dlatego jedna z osobowości dorosłych pacjentów wciąż pozostaje małą dziewczynką.

Książka Grith nosi tytuł Dissociative Identity Disorder. Diagnosis, Clinical Features and Treatment of Multiple Personality. Być może nie jest to najlepszy temat do rozmowy akurat w tej chwili, ale Iben stara się mówić takim tonem, jak gdyby nie miało to żadnego związku z wydarzeniami w biurze.

- Samemu trudno stwierdzić, czy ma się DID, czyli rozszczepienie osobowości, bo zasadą jest właśnie to, że normalne „ja” nie pamięta o strasznym dzieciństwie. Wielu pacjentów całkowicie wyrzuciło je z pamięci, a czasami wręcz zapamiętują sprawcę jako miłego człowieka.

Nikt nie reaguje na jej wywody. Wszyscy przeżuwają swoje kanapki, ale sprawiają wrażenie zainteresowanych, więc Iben mówi dalej:

- Pewną wskazówką może być zauważenie u siebie okresów, z których się nic nie pamięta, albo takich, w których własne zachowanie dziwi. Nawet temu nie można jednak ufać. Badania przeprowadzane wśród całkowicie normalnych ludzi wykazały, że blisko trzy czwarte uczestników było w stanie wykonać z łatwością coś, co zwykle jest dla nich bardzo trudne. Ponad połowie zdarzyło się jechać samochodem i nie zapamiętać czegoś z tej podróży. A więcej niż dziesiąty stwierdzał kiedyś, że ma na sobie jakąś część garderoby, ale nie mógł sobie przypomnieć, że ją wkładał.

Malene śmieje się, trzymając w ręku kanapkę z serem.

- Iben, ty jesteś sfiksowana. Kiedy dodasz do tego pracę doktorską o teorii queer?

Iben nie odpowiada, ale rezygnuje z opisu dalszych wyników badań.

Kiedy przerwa dobiega końca, Iben czuje, że Malene znów ma jej coś do powiedzenia w cztery oczy. Zostają więc w jadalni w nadziei, że inni wyjdą.

Paul rzeczywiście wychodzi, bo dzwoni do niego Ole, ale Anne-Lise zostaje. Siedzi, udając, że czyta gazetę. W końcu Iben i Malene muszą poszukać sobie innego miejsca, gdzie mogą być same.

Wracają do swoich biurka w nadziei, że zdążą zamienić, chociaż kilka słów, zanim Anne-Lise znajdzie się za otwartymi drzwiami. Malene opowiada, że kiedy zeszła po chleb, rozmawiała z Erikiem przez komórkę.

- Powiedział, że absolutnie nie mówił Anne-Lise, że jest ze mnie niezadowolony, chociaż ona próbowała go wypytywać. Erik odniósł wrażenie, że Anne-Lise chciała coś takiego usłyszeć.

Malene, która podczas lunchu panowała nad sobą, teraz wybucha gniewem, ale nadal mówi szeptem:

- Poproszę Paula o rozmowę i powiem mu, że skoro Anne-Lise zaczyna obgadywać mnie w obecności osób, z którymi pracujemy, na co dzień, to ja się wycofuję z tego interesu. Takie zachowanie jest nieprofesjonalne i nielojalne. To wbijanie noża w plecy.

Malene nachyla się bliżej Iben, aby móc mówić jeszcze ciszej:

- On musi zrozumieć, że już i tak dostatecznie długo ją chroniliśmy. To na pewno ona jest autorką tych maili. Nie mógł ich wysłać dawny chłopak Camille, bo to się kupy nie trzyma.

Anne-Lise przechodzi przez Ogród Zimowy do biblioteki. Malene i Iben milkną, kiedy je mijają, a gdy koleżanka siada na swoim miejscu za drzwiami, zmuszone są do poszukania sobie innego miejsca, gdzie mogłyby spokojnie dokończyć rozmowę.

Kawę właśnie przyniosły, a przy kopiarce spędziły już zbyt wiele czasu. Wszystkie wiarygodne wymówki na pogaduszki zostały już dziś wykorzystane, ale przecież nie mogą przerwać rozmowy w takim momencie.

W kuchni po lunchu pracuje zmywarka. Zapach proszku do mycia naczyń miesza się ze zwykłym w tym miejscu z zapachem kawy.

Od pary wydobywającej się ze zmywarki w pomieszczeniu jest ciepło i wilgotno.

Opierają się o stół kuchenny, jedna obok drugiej. Malene trzyma się za czoło, kiedy pyta, czy Iben pójdzie z nią na rozmowę z Paulem.

- Przecież wiesz, że on bardziej słucha ciebie - dodaje.

- A co z Camille? Czy nie lepiej, żebyśmy poczekały, aż będziemy mogły pójść do niego we trzy?

- No tak, tak byłoby najlepiej.

Malene patrzy na zaparowaną szybę i szare niebo za nią.

- Po prostu nie jestem pewna... Jeśli Paul zwróci się do niej wprost, istnieje ryzyko, że ona się wycofa. We dwie jesteśmy silniejsze. A co będzie, jeśli ona w trakcie tego wszystkiego zacznie trzymać z Paulem?

Iben wie, że to prawda. Kiwa głową akurat w chwili, gdy Malene odwraca się i znów patrzy na nią z zasmuconą miną.

- Naprawdę się starałam, żeby Anne-Lise lepiej się układało w pracy. Musisz mi przyznać rację. Dzisiaj widzę, że mi się nie udało.

Iben w milczeniu trze kciukiem blat.

- Nie pozostaje, więc nic innego - ciągnie Malene. - Trzeba się jak najszybciej rozprawić z problemem i pogodzić z konsekwencjami.

Iben odrywa wzrok od stołu i znów patrzy na Malene.

- Nie mogłybyśmy poczekać kilka dni i trochę ochłonać?

19

Kawiarnia jest ciemniejsza niż miejsca, w których Iben zwykle bywa. O ile potrafi dobrze ocenić, jest to miejsce szczególnie lubiane przez dziennikarzy, techników radiowych i muzyków klasycznych z budynku radia położonego naprzeciwko.

Jak zawsze od czasu, kiedy dostała tamten mail, siada odwrócona plecami do ściany, przy stoliku, z którego ma widok na drzwi - jak bohaterowie marnych filmów w telewizji.

Jest wczesny wieczór, ale na dworze już całkiem ciemno. Tu kilka reflektorków rzuca plamy w kształcie półksiężyca na nierówno otynkowane ściany, a dalej kawiarnia jest pogrążona w mroku, jak bar. Iben przygląda się uważnie, kto wchodzi, przerzucając jednocześnie jeden z tych magazynów miejskich, informujących o imprezach, które jeszcze parę lat temu czytywała regularnie.

Co takiego Malene powiedziała o Gunnarze, kiedy wracały razem na rowerach ze spotkania u Sophie?

„Bylebyś tylko nie zabrała mi Gunnara”?

Nie, tak chyba nie mogła powiedzieć.

A może: „Gunnar bardziej pasuje do ciebie, mnie to niepokoi”? Albo...

Słowa Malene całkowicie zatarły się w pamięci.

Iben, po przejrzeniu czasopisma i sterty gazet, opuszcza kawiarnię w złym humorze.

Na dworze mocno wieje, wiatr przyciska białą plastikową torebkę do szprych przedniego koła jej roweru. W czasie, gdy szuka kluczyka w kieszeni, zastanawia się nad odczuciami Malene, której wydaje się, że jest poza życiem - i poza wspólnotą, którą - jak sobie wyobraża - tworzą zdrowi ludzie. Ale przecież Malene ma faceta. Wszystko jedno, ile on jeździ po świecie.

Malene wie, że kogoś ma. I nawet gdyby jej związek z Rasmusem się rozpadł, to jest na tyle ładna, że na pewno dwudziestu innych interesujących mężczyzn, takich jak na przykład Gunnar, z pewnością będzie próbowało ją poderwać.

W rzeczywistości to ja jestem poza światem - myśli Iben. - To ja jestem sama od trzech lat i za mną mężczyźni się nie uganijają.

To ja mogę mieć pewność, że jeśli w końcu zainteresuję się jakimś facetem, to on będzie w takim wieku, że wywołam kryzys w jego związku z partnerką, chociaż wcześniej będzie mi mówił, że się z nią rozstał. To ja stale czekam na prawdziwe życie.

Czy Malene powiedziała: „Bylebyś tylko nie zabrała mi Gunnara”? Nie, nie mogła tak powiedzieć. Bez względu na to, jak bardzo bolały ją nogi tamtego wieczoru.

Iben spina nogawki taśmą odblaskową i zdrętwiałymi z zimna palcami wyjmuje z torebki latarki rowerowe, zarówno przednią, sprawną, jak i zepsutą tylną, którą musi jednak założyć, żeby w razie czego mogła wykręcić się od mandatu, jeśli zatrzyma ją policja.

Przejeżdża ze trzydzieści metrów i już cała się spina, bo czuje, jak mocno zaczyna jej bić serce. Pomimo ciemności widzi, że Gunnar zmierza w stronę swojej ulubionej kawiarni. Jest sam, idzie z głową wciśniętą w ramiona czarnej skórzanej kurtki. Iben zsiada z roweru i podchodzi do niego.

Na jej widok Gunnar opuszcza ramiona i prostuje się, a ona już się z tego cieszy.

Żółte światło ulicznej latarni oświetla go od tyłu.

- Miło cię widzieć! Metrobar, do którego często zaglądam, jest właśnie tu niedaleko. Mogę cię zaprosić na kieliszek wina?

Taśma przytrzymująca sztylet na wewnętrznej stronie jej lewej łydki, przykleiła się do włoska. Każdy krok w powrotnej drodze do kawiarni wywołuje leciutkie ukłucie.

Po dwóch godzinach spędzonych przy tym samym stoliku, przy winie i bez jedzenia, Iben czuje się idiotycznie. Ale w głowie ma większą jasność niż wtedy, gdy na siebie wpadli.

Widzi dłonie Gunnara, duże, o regularnym kształcie, i zauważa, że wino zaczyna działać.

Czy właśnie takie wieczory Malene lubi tak bardzo, że nie potrafi z nich zrezygnować, nie przejmując się tym, co o tym myśli Rasmus?

Gunnar dolewa Iben wina.

- Spotkałem tam wielu ludzi, którzy przynajmniej pozornie bez najmniejszego trudu posiekali na kawałki przyjaciół, członków rodziny, sąsiadów i obcych, motykami i szpadlami, tym, co im wpadło w ręce. Możliwe, że każdy z nas ma to w sobie, właśnie tego dotyczy wasza praca w centrum. Nie wolno tylko nigdy zapominać, że ludzie - nawet ci sami - mogą mieć w sobie także nieprawdopodobną i niewytłumaczalną dobroć. Spotkałem przecież i takich, którzy ukrywali i chronili całkowicie obcych uchodźców, wyłaniających się z dżungli przy ich wiosce. Ryzykowali życie, aby ocalić ludzi kompletnie nieznanym.

Gdy Gunnar opowiada, z jego ust słowa płyną strumieniem powiązanych zdań. Iben słucha go z przyjemnością. Z nią jest tak samo. Niekiedy trudno jej rozmawiać z ludźmi, ponieważ musi albo milczeć, albo używać przesadnie dużej liczby słów, aby wyjaśnić, co ma na myśli. Z Gunnarem mają podobny rytm mówienia.

- No właśnie - odpowiada. - Ale co decyduje, czy będą ryzykować życie, by uratować obcą kobietę, która wychodzi z dżungli, czy pozwolą jej umrzeć, czy też po prostu ją zabiją? To chyba jakiś im puls. Reakcja niezrozumiała nawet dla nich samych.

Do kawiarni wchodzi grupka hałaśliwych muzyków z instrumentami, zapewne z którejś z orkiestr radiowych. Iben ciągnie, nie zważając na zamieszanie przy sąsiednim stoliku:

- Oglądałam w telewizji film o lwach. Zaraz po zabiciu antylopy lwy walczyły o mięso. Walczyły do upadłego, mogły pozagryzać się na śmierć. A kiedy się najadły, ułożyły się w trawie, przytulone do siebie, kładąc sobie nawzajem łby na brzuchach, i spokojnie zasnęły. Minał zaledwie krótki czas, a między nimi nie było już nawet cienia nieufności czy urazy. Żaden nie osądzał „złej” czy też „zdradzieckiej” natury tego drugiego.

Czy powinna już przestać gadać? Patrzy na Gunnara, który słucha z taką uwagą, jak wtedy, gdy zaczynała mówić. Iben wypija, więc łyk wina i ciągnie:

- W nocy lwy zaatakowało stado hien. Niektóre lwy narażały życie, by ratować innych przedstawicieli swego gatunku, a przecież te zwierzęta wcześniej tego samego dnia o mało się nie pozagryzały. Często myślę o tym, że w wypadku zwierząt łatwo jest stwierdzić przyczyny takiego nagłego przejścia od troski do gotowości zabicia drugiego osobnika. Kiedy brakuje jedzenia lub gdy chodzi o rozmnażanie, skłonne są walczyć na śmierć i życie. Gdy jednak te okoliczności się

unormują, tworzą kochającą się rodzinę, są pełne oddania i ufności. Te zmiany w ich zachowaniu następują błyskawicznie, bez komplikacji, a stan poprzedni odchodzi w zapomnienie.

Gdy Gunnar się uśmiecha, po obu stronach ust tworzą mu się leciutkie zmarszczki, których nie widzi się u młodszych mężczyzn.

- Niewiele osób myśli w ten sposób, przyrównując ludzi do lwów.

Iben dotyka mankietu bluzki, którą kupiła podczas przedwczorajskich zakupów.

- Bo też i my różnimy się od zwierząt. W ludziach nie tylko walka o pożywienie i miłość rozpała to, co postrzegamy jako zło. W nas jest to znacznie bardziej skomplikowane. Mamy w sobie przyciski, które włączają w nas wolę walki, a może nawet zabijania. Inne przyciski włączają dobro. I sami nie mamy pojęcia, gdzie te przyciski się mieszczą, kto nimi steruje, ani nawet, kiedy jedna czy druga strona się w nas uaktywni.

Jedna ręka Gunnara leży na blacie stolika.

- Właśnie tym zajmujecie się w DCIL, wspieracie badania nad „przyciskami”, które ludzie mają w sobie.

- Owszem, chociaż nie słyszałam, żeby ktoś inny użył takich słów. Co wzbudza w ludziach zło i popycha ich do masowych zbrodni? I odwrotnie, co wzbudza w nich dobro? Jeśli będziemy umieli odnaleźć te przyciski, to może da się wcześniej ingerować w procesy powstawania zła i zapobiegać ich rozwojowi?

- I przy jednej i tej samej okazji dostać pokojowego Nobla, plus z literatury i medycyny?

Śmieją się.

Przy sąsiednim stoliku nagle robi się cicho. Kobieta z grupy muzyków wyjmuje z pudła wiolonczelę. Stawia ją przed sobą i wydobywa z niej jeden nieskończenie długi, mrocznie brzmiący ton.

Iben zastanawia się, czy ten dźwięk nie przypomina odgłosu zwierzęcia. Może to skarga lwiątką? Ale tak nie jest. Dźwięk jest zbyt czysty, ma w sobie zbyt dużo kultury.

Kiedy ton zamiera, przy stoliku wiolonczelistki znów toczą się rozmowy. Najwyraźniej ten dźwięk miał zilustrować jakąś puentę w dyskusji, ponieważ wiolonczelistka starannie, niemal z czułością chowa instrument.

Noga Gunnara pod stołem zawadza o nogę Iben. Boi się, żeby nie wyczuł sztyletu i nie uznał jej za paranoiczkę, więc się odsuwa.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio rozmawiałem z kimś w sposób tak... oczywisty - mówi Gunnar.

Iben zastanawia się, czy to samo powtarza Malene. Przypomina sobie, jak bardzo Malene cierpi, gdy z powodu ataku choroby trafia na reumatologię do Szpitala Centralnego. Na moment staje jej przed oczami twarz przyjaciółki ściągnięta bólem.

Płomień niskiej, szerokiej świecy na stoliku migocze, gdy do kawiarni wchodzi kolejna grupa gości.

Iben patrzy na Gunnara. Wydaje się taki wielki w stosunku do niedużego krzesła, na którym siedzi. Rejestruje jeszcze jego zdenerwowanie, a potem słyszy słowa:

- Jeśli miałabyś kiedykolwiek ochotę wpaść do mnie, to serdecznie zapraszam.

* * *

Następnego dnia przed południem Iben i Malene są w gabinecie Paula. Stoją na środku, a Paul nerwowo kręci się na swoim dyrektorskim fotelu raz w jedną, raz w drugą stronę. Od samego początku rozmowy sprawia wrażenie poirytowanego, również na Iben.

A Iben jeszcze przed wejściem do gabinetu czuje się zakłopotana tym wszystkim, ale przecież wcześniej się umówiły, że więcej osiągną, jeśli to Iben przedstawi sprawę. Szybko dochodzi do konkluzji:

- ...a więc uważamy, że najlepiej dla Anne-Lise byłoby, gdyby wzięła zwolnienie. Trzeba jej umożliwić pewien odpoczynek od centrum, żeby mogła stanąć na nogi. Naprawdę zachowuje się dziwnie, jakby nie była sobą.

Paul wykonuje ostry zwrot na fotelu.

- Nie - mówi.

Iben i Malene nie wiedzą, co robić, ani co powiedzieć.

- Jak... - próbuje Malene.

Paul patrzy na nie.

- Przecież ona nie jest chora.

Obie boją się wspomnieć o złym stanie psychicznym Anne-Lise, skoro nie mają jasnych dowodów. A Paul ciągnie:

- Powiedzmy to sobie szczerze: Wymuszone zwolnienia lekarskie stosuje się w oczekiwaniu na okazję do zwolnienia. Problem zostaje tymczasowo rozwiązany i czeka się z nadzieją, że w taki czy inny sposób zniknie sam z siebie. Ale problem nie znika.

Iben i Malene jedna przez drugą usiłują zaprzeczać, chcą żeby słowa Paula jak najprędzej odeszły w niepamięć.

- Ależ wcale tak nie...

- Skąd!

Iben kurczy się w sobie.

- Wcale nie tak należy to rozumieć. Może Anne-Lise w domu dojdzie do siebie. Najwyraźniej jest całkowicie wytrącona z równowagi. Sam przecież proponowałeś jej psychologa po tym wypadku z krwią na jej regale.

A Malene uzupełnia:

- Po prostu się obawiamy, że ona zapadnie na poważniejszą chorobę psychiczną, jeśli nie będzie miała trochę spokoju.

Paul mówi niezwykle zwięźle i konkretnie:

- Wy to wiecie i ja to wiem: Takie odesłanie do domu to jak równia pochyła prosto do wyrzucenia z pracy. Bardzo trudno będzie jej tu wrócić. Anne-Lise ma dzieci i męża, na których mogłoby się to odbić. A poza tym wykonuje naprawdę ważną pracę dla centrum. Przecież prawie nie było czasu, żeby sprawdzić ten nowy system. Musicie przyjąć ją do swego grona i dać jej szansę.

Iben czuje, jak krew napływa jej do policzków i uciska w skroniach, kiedy próbuje się bronić:

- Zaproponowałyśmy to jedynie, dlatego, że to my jesteśmy z nią najbliżej. Ale nasza współpraca okazuje się bardzo trudna. Pomyślałyśmy, że gdyby miała trochę czasu, żeby dojdź do siebie... Bo przecież wszystko inne już wypróbowałyśmy. Malene zorganizowała tamto zebranie, zmieniłyśmy częściowo podział obowiązków...

Malene przerywa z większą złością, niż zamierzała:

- Przecież to niebezpieczne również dla nas, jeśli ona nadal będzie tak działać. Bez względu na to, jak bardzo nie chcemy się do tego przyznać, to zagrożenie śmiercią...

Paul ją hamuje.

- Co chcecie powiedzieć przez to, że to jest niebezpieczne dla was? Ona jest tutaj jedyną osobą, na którą poląła się krew!

- Ale przecież sama mogła to zrobić! - Malene wzrokiem kieruje spojrzenie Paula na Iben. - Iben, opowiedz o tym, co czytałaś.

Iben chce, żeby to się już skończyło - albo w ogóle nigdy nie zaczęło - i znów próbuje zreferować kilka tez psychologicznych.

Sama słyszy, że jej wiedza psychiatryczna w tych okolicznościach wydaje się nie na miejscu.

Paul przygląda jej się z trudnym do zniesienia rozczarowaniem w oczach. Przerywa jej w pół zdania i podsumowuje:

- Jestem przekonany, że tych maili nie wysłał nikt z naszego zespołu. Wy również powinniście mieć zaufanie do wszystkich pracowników.

Malene wyrywa się jeszcze ciche:

- Ale...

- To wykluczone! - Paul niemal krzyczy.

Przestaje obracać się na fotelu i mówi, teraz już ciszej, ale bardziej dobitnie:

- To nie Anne-Lise czy Camilla. Koniec i kropka. Wkrótce pojawi się kamera przy drzwiach.

Miejmy nadzieję, że wszystko się skończy i będziemy mogli odpocząć.

Malene chce coś dodać, lecz po minie Paula poznaje, że lepiej zrobi, jeśli zamilknie.

Wszyscy próbują się opanować. Ciszę przerywa Paul:

- Widzę pewne problemy. Zdecydowanie. Ale zamierzam puścić tę rozmowę w niepamięć i nie wspominać o niej zarządowi. Oczywiście chyba, że chcielibyście, żebym ją przekazał. To tylko dla waszego dobra. Bo nie jesteście w porządku.

20

Iben i Malene siedzą w pociągu linii nadbrzeżnej w drodze do Louisiany, muzeum sztuki współczesnej, gdzie DCIL wraz z Instytutem Praw Człowieka organizują dwudniową międzynarodową konferencję „Odbudowa zaufania i demokracji w byłej Jugosławii” dla stu czterdziestu uczestników.

W pociągu jest niewielu pasażerów. O tej porze osoby dojeżdżające do pracy jadą do Kopenhagi. Puste miejsca wokół Iben i Malene oświetla listopadowe słońce, wiszące tak nisko, że świeci prosto w oczy, gdy się wygląda na luksusowe wille wzdłuż Strandvejen.

W ciągu tygodnia, który minął od tamtej nieprzyjemnej rozmowy o Anne-Lise w gabinecie Paula, Malene zaproponowała szefowi, by DCIL zainwestowało w nowe oprogramowanie umożliwiające wybranej grupie naukowców czytanie i komentowanie nawzajem swoich artykułów

w zamkniętej części www.dcil.dk. Można by urządzać spotkania on-line i czatować przez okrągłą dobę. Byłaby też wspólna tablica ogłoszeń, do której wszyscy mieliby dostęp i mogli ją aktualizować.

Malene do swoich dotychczasowych obowiązków osoby kontaktującej się z naukowcami jest gotowa dołożyć również funkcję webmastera, opiekującego się zamkniętą częścią strony. W ten sposób DCIL mogłoby rozszerzyć działalność, stając się wirtualnym ośrodkiem badawczym. A wydatki związane z tym projektem byłyby minimalne w porównaniu ze stworzeniem staroświeckiego, „analogowego” centrum badawczego.

Mimo to Paul odmówił.

W pociągu jadącym w stronę Louisiany myśli Malene krążą wokół tego tematu.

- Wystarczyłoby jedynie zebrać to, co zrobiłam do tej pory. Jeśli Szwedzi wystąpią z taką inicjatywą pierwsi, wykołęgają nas z całej dotacji na badania. Naprawdę tego nie rozumiem.

Iben nie bardzo umie coś więcej dodać, bo rozmawiały już o tym kilka razy. Zanim Malene zaskoczyła Paula swoim pomysłem, sprawdziła ceny i zasięgnęła języka o działalności podobnych ośrodków wirtualnych. Wyliczyła to wszystko i wypisała korzyści, koszty i komentarze.

Malene pociąga łyk z dużego papierowego kubka, który kupiła na dworcu. Wypuszcza gorący kawowy oddech i draży dalej:

- Sądzisz, że on myśli o zmianie pracy? I że będzie chciał zabrać ten pomysł ze sobą?

Iben w to nie wierzy. I Malene musi to odczytywać z jej twarzy.

- Myślisz, że planuje dla mnie jakieś nowe zadania, o których jeszcze nie słyszałam?

Wyjeżdżają z lasu i słońce nagle zaczyna razić Iben w oczy. Malene próbuje nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

- Chyba nie chodzi o zawężenie naszej działalności? O ograniczenie naszej współpracy z naukowcami?

Obniżenie dotacji na badania równałoby się usunięciu Malene z centrum. Ale to by było idiotyczne, i to akurat Iben komentuje.

Malene nie potrafi znaleźć więcej wyjaśnień. Zapada milczenie, obie patrzą na domy przesuwane się za szybą, pierwsza odzywa się Iben:

- Jest jeszcze jedna możliwość, nad którą się zastanawiam.

- Tak?

- To takie luźne rozważania. Na niczym nieoparte.

- Wiem, wiem.

- Pamiętam, że kiedy zaczęłam pracować w centrum, mogłaś liczyć na większe poparcie dla swoich projektów. W ogóle. Nie chodzi, więc chyba tylko o to.

Malene kiwa głową.

- A Paul nie był wtedy aż tak przejęty potrzebami biblioteki - dodaje Iben.

- No nie.

- Coś się, więc wydarzyło od tamtego czasu. Coś, o czym nikt nie mówi.

Malene odstawia kawę. Patrzy na przyjaciółkę, nie rusza się. A Iben bierze głęboki oddech.

- Pomyślałam, że to może mieć związek z ciągłym niepokojem Paula o to, że jesteśmy taką małą instytucją. Z obawami, że ktoś zechce nas włączyć do jakiegoś większego ośrodka. Dlatego do tej pory uważał, że centrum musi się rozrastać, inaczej zginie. I dlatego zachęcał cię do realizowania każdej inicjatywy badawczej, jaka ci tylko przyszła do głowy, bo dzięki temu dostawaliśmy dotacje na projekty i przez cały czas przyswajaliśmy sobie nowe obszary.

- Tak, rzeczywiście kiedyś tak było. Jakby...

- A jeśli... Ale nic o tym nie wiem. Jeśli do Paula dotarły jakieś plotki, że Ministerstwo Nauki, Technologii i Rozwoju chce się z nami rozstać? Najprawdopodobniej przeniosą nas wtedy do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i tam w którejś kolejnej rundzie reorganizacyjnej wchłonie nas Instytut Praw Człowieka. To oczywiste. Jeśli Paul słyszał takie plotki, to by wyjaśniało, dlaczego tak się denerwuje przed tymi spotkaniami w ministerstwie. I oczywiście już teraz stara się wyprzedzać myślą dwadzieścia ruchów w grze i zaczyna szukać możliwości ratunku. Może chce wykorzystać to, że duńskie biblioteki naukowe podlegają różnym ministerstwom. Im bardziej rozrośnie się biblioteka DCIL, tym większe będzie prawdopodobieństwo, że Paul zdoła przemanewrować nas do jakiegoś trzeciego ministerstwa jako „bibliotekę z funkcjami wspierającymi”. Może to być Ministerstwo Kultury, Sprawiedliwości albo Ministerstwo do spraw Uchodźców, Imigrantów i Integracji czy co też tam sobie wymyślił. Wśród bibliotek naukowych istnieje zupełnie inna tradycja, bardzo małych jednostek, tam Paul nie będzie czuł niczyjego oddechu na plecach.

Iben patrzy na Malene, która zupełnie nie brała takiego rozwiązania pod uwagę. Najwyraźniej bezsenność Iben ma też swoje zalety.

- Jeśli taki jest jego plan awaryjny - ciągnie Iben - to twoje inicjatywy mu w tym przeszkadzają. Wolałby zostać przeniesiony do wszystko jedno, jakiego ministerstwa, byle nie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. A twoje kontakty z naukowcami również nie mogą być zbyt rozległe.

- No tak. Ale przecież tak strasznie mu zależało, żeby nasze nazwiska znalazły się w gronie organizatorów tej konferencji, i tamtej na temat Niemców w 1945.

Jakaś starsza pani kręci się po przejściu z niedużą torbą na kółkach. Malene w ogóle nie zwraca na nią uwagi, a Iben opowiada dalej:

- To dla niego taniec na linie. Kiedyś, za kilka lat, on i Frederik będą konkurować o to samo stanowisko. Obaj już to wiedzą. Do tego czasu Paul będzie musiał udokumentować, że był lepszy

niż Frederik z centrum Demokracji w budowaniu ośrodka o silnych inicjatywach. Ale tu i teraz inicjatywy mogą się przejawiać wyłącznie przy okazji konferencji i innych szczególnych okazji. W codziennej pracy biura twoje zadania powinny wyglądać na działania wspierające Anne-Lise.

Malene mocniej wciska plecy w oparcie fotela i patrzy w przestrzeń.

Iben, wyjrzawszy kilka razy przez okno, kończy:

- O tym wszystkim nikt nigdy nie mówił. Niczego nie wiem na pewno. Ale wolno przecież snuć przypuszczenia.

* * *

Iben nie przypomina sobie tak pogodnego dnia w listopadzie. Uczestnicy konferencji zebrali się w restauracji w Louisianie oraz na tarasie z widokiem na park z rzeźbami i cieśninę. Naukowcy, pracownicy organizacji pozarządowych, studenci, dziennikarze i inne zainteresowane osoby stoją w grupkach, witając się z tymi, których prace wcześniej czytali lub, z którymi kiedyś współpracowali. Albo przepychają się do dawnego kolegi, którego dostrzegli gdzieś w tłumie.

Iben rozpoznaje wiele twarzy. A ponieważ Malene od trzech lat jest główną osobą od kontaktów z naukowcami, musi być jedną z tych, którzy znają tu najwięcej osób.

Sporo osób komentuje maile z pogrózkami przeciwko DCIL, o których doszły ich słuchy. Inni omawiają artykuły Iben, a jeszcze inni - którzy nie widzieli Iben od powrotu z Afryki - mówią jej, z jaką ulgą przyjęli wiadomość o tym, że porwanie miało szczęśliwy finał.

„Dobrze, że przeżyłaś”, słyszy wciąż, chociaż od jej powrotu do domu minęły już blisko cztery miesiące.

- Dobra robota - stwierdza pewien urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, któremu kiedyś pomogła w znalezieniu potrzebnych adresów.

Przez cały czas przybywają kolejni uczestnicy. Malene zajmuje się jednym z bośniackich wykładowców, który wydaje się nieco zdezorientowany, wyjaśnia mu, więc różne sprawy związane z konferencją i opowiada o stosunkach panujących w Danii.

Paul też jest tutaj, stoi w parku w okularach przeciwsłonecznych. (Okazał się przewidujący, skoro zabrał je ze sobą w listopadzie.)

Rozmawia z Mortenem Kjaerumem i Birte Weiss, a obok nich stoi Anne-Lise. Uśmiecha się, patrząc z uwagą na mężczyzn, i od razu wygląda na osobę, która usiłuje wkręcić się w cudzą rozmowę. Paul po raz pierwszy uznał, że bibliotekarka z centrum powinna uczestniczyć w konferencji.

Iben obserwuje zgromadzonych: wypiełgnowani idealisci, niektórzy opaleni po powrocie z misji i wszyscy, oprócz studentów, ubrani z wyluzowaną elegancją. Zadowoleni, uśmiechają się w blasku słońca.

O dziesiątej Morten Kjaerum wita zebranych i zaprasza na pierwszy wykład na dole, do sali koncertowo-konferencyjnej Louisiany. Prelegentem jest młody burmistrz z Bośni. Sylwetkę ma prostą i muskularną jak żołnierz, lecz od czasu układu pokojowego z Dayton bośniacka dieta spowiła jego ciało równiutko rozłożoną warstwą tłuszczu, więc z miejsc Iben i Malene pośrodku sali przypomina okrągłego chłopca. Podobnie jak inni jugosłowiańscy prelegenci, w przeciwieństwie do Duńczyków, stał się w garniturze, białej koszuli i szerokim krawacie. Ciemne włosy ma ostrzyżone jak Rosjanie na starych filmach szpiegowskich.

Metodycznie i bez najmniejszych oznak emocji referuje po angielsku, korzystając równocześnie z epidiaskopu, statystyki ludobójstwa dokonanego przez Serbów w jego rejonie.

- 184 zabitych - odczytuje,
- 416 spalonych domów,
- 1783 osoby wypędzone,
- 73 osoby zgwałcone lub torturowane.

Jego omówienie nie wnosi nic nowego. Te fakty słuchacze w dużej mierze znali już wcześniej i nikt nie robi notatek.

Gdy wystąpienie wreszcie się kończy i wszyscy zastanawiają się, dlaczego, na miłość boską, tego człowieka tu zaproszono, pada pierwsze pytanie:

- W jaki sposób panu udało się przeżyć?

Burmistrz odpowiada tonem, który wciąż brzmi jak beznamiętna relacja:

- Było nas kilku, którzy już wcześniej bali się tego, co może się stać. Zmuszono nas do zdania broni. Ale kupiliśmy nowe karabiny od szeregowych Serbów. Serbscy przywódcy kazali nam udać się do szkoły w mieście, gdzie później zastrzelili wszystkich mężczyzn. Ale my uciekliśmy do lasu. Mieszkaliśmy tam kilka miesięcy.

Burmistrz stoi częściowo odwrócony plecami do publiczności i wpatrując się w krótką statystykę śmierci na rzuconym przez projektor prostokącie światła, mówi dalej tym samym monotonnym głosem:

- Serbowie nas okrążyli i obiecali, że pozwolą nam przeżyć, jeśli się poddamy. Mówili, że jeśli się nie zgodzimy, zginiemy. To ja dowodziłem naszą grupą i postanowiłem, że się nie poddamy. Później okazało się, że gdybym zdecydował inaczej, wszyscy byśmy zginęli. W lesie udało nam się okrążyć i pojmać dwudziestu Serbów. Ubiliśmy interes. Uwolniliśmy więźniów w zamian za przetransportowanie nas neutralnymi autokarami na obszar pozostający pod kontrolą bośniacką. Tam przyłączyliśmy się do armii bośniackiej, w której walczyłem i prędko

awansowałem na pułkownika. Wraz z kompanią wyzwoliłem moje miasto, a później wybrano mnie na burmistrza.

Nikt nie wie, jak skomentować tę opowieść. Wszyscy słuchacze milczą przez kilka sekund, potem zaczynają padać pytania, dotyczące różnych aspektów wystąpienia.

Podczas przerwy na kawę Iben podchodzi do Paula, który stoi na tarasie i rozmawia z siwobrodym, nieco korpulentnym prezesem zarządu DCIL Olem Henningsenem. Ole Henningsen przekroczył sześćdziesiątkę. Zanim zainteresował się badaniami nad ludobójstwem, napisał kilka prac na temat historii Związku Radzieckiego. Wielokrotnie występował w telewizji jako ekspert z dziedziny historii, między innymi w teleturniejach. Jest zadowolony ze sposobu, w jaki Paul kieruje centrum, więc między nimi dwoma nigdy nie pojawiły się istotne kontrowersje.

Iben dostrzega wystającą z tłumu jasną głowę Frederika. Oddala się od nich dwóch, najwyraźniej właśnie się z nimi rozstał.

Paul poufale pochyla się nad Olem, a Iben ma jeszcze okazję usłyszeć ostatnie słowa jego skargi na to, że Instytut Praw Człowieka pierwotnie chciał zorganizować konferencję bez współudziału DCIL.

- Niewykorzystanie naszej znajomości tematu byłoby uderzające. - Przez ciemne okulary nie da się dojrzeć jego oczu, może nie zauważył nadejścia Iben. Ciągnie: - Być może poruszę to z Mortenem.

Iben wie, że DCIL zostało współorganizatorem konferencji wyłącznie dzięki temu, że Paul dowiedział się o planach IPC za pośrednictwem jakichś znajomych. Materiały prasowe i zaproszenia rozesłano w ostatniej chwili.

Teraz konferencję, dzięki pomocy DCIL, rozszerzono na dwa dni, co ma większy sens w wypadku uczestników z zagranicy. A DCIL został równorzędnym sygnatariuszem wszystkich dokumentów konferencji. W zamian za to centrum wyłożyło piętnaście tysięcy koron, przekazało doskonałą listę mailingową z adresami naukowców z całej Europy, zainteresowanych sprawami Jugosławii, oraz udzieliło wsparcia w postaci kilku godzin pracy Iben, poświęconych na opracowanie graficzne rozmaitych materiałów.

Poza tym w dzisiejszym „Information” ukazał się całostronicowy artykuł Paula na temat konferencji, prelegentów i spodziewanych wyników obrad.

Paul był zmuszony porozmawiać z Olem, zanim DCIL mogło podjąć wiążące zobowiązania dotyczące konferencji, lecz - jak Paul relacjonował w biurze - działo się to do tego stopnia w ostatniej chwili, że nawet nie było czasu na przesłanie pisemnej informacji do zarządu DCIL, w tym również do wiceprezesa Frederika Thorsteinssona.

W przeciwieństwie, więc do DCIL, Centrum Demokracji, któremu szefuje Frederik, nie zdążyło się dowiedzieć o konferencji w porę.

Najwyraźniej Paul również jako członek zarządu Centrum Demokracji o niczym nie poinformował Frederika. Iben go o to nie pytała.

Gdy tylko Iben przyłącza się do mężczyzn na tarasie, Ole zmienia temat. Swoim spokojnym głosem pyta, jak Iben się wiezie, i w biurze, i w domu. Wszyscy w zarządzie bardzo się nią interesują, odkąd wróciła z Kenii. Ole chwali też artykuły, które napisała w ostatnim miesiącu i zamieściła w Internecie.

Następny prelegent, starszy bośniacki dziennikarz intelektualista, rozpoczyna wystąpienie od wyrażenia wdzięczności za wielki wkład pracy ze strony wielu krajów europejskich i organizacji pozarządowych w odbudowę Bośni.

- Bez tych organizacji i bez konferencji takich jak ta moja ojczyzna byłaby pozbawiona jakichkolwiek widoków na przyszłość.

Później opisuje, jak był więziony w szopie pod Sarajewem:

- Coś się w człowieku zmienia. Ta zmiana pozostaje w nim już na zawsze. Szczególnie dotkliwe blizny pozostawia brak perspektyw. Całkowite poddanie się ciału. To właśnie prowadziło do załamań. To właśnie działało niszcząco.

Bierze głęboki oddech i znów spogląda na ostatnie, najwyższe rzędy sali wykładowej.

- Teraz jednak chcemy zmusić się do nadziei na lepszą przyszłość dla Bośni. Między innymi z pomocą organizacji, które są tu dzisiaj reprezentowane.

Podczas przerwy na lunch Iben nie może się skupić. Wszystko znów do niej wraca. Omoro, który śpiewa w kręgu, pancrzyk żuka, który naciska palcem.

Nie chce teraz o tym myśleć.

Siedzi obok Malene przy jednym z długich stołów w restauracji w Louisianie, ustawionym prostopadle do panoramicznych okien, za którymi rozciąga się rozświetlony Oresund i niezwykle przejrzysty widok aż do Szwecji.

Stu czterdziestu uczestników konferencji, którzy nawiązują kontakty w językach skandynawskich, a zwłaszcza po angielsku, robi spory hałas.

Malene obficie soli wegetariańskie danie dnia.

- Rozmawiałam z Frederikiem. Udało mi się wpleść w rozmowę Erika Prinsa i wydaje mi się, że Erik nie powiedział mu nic złego na mój temat.

Malene mówi szybciej niż zwykle. Tak działa na nią mnogość wrażeń, gdy tylu przedstawicieli środowiska zbiera się w jednym miejscu. Jest na haju konferencyjnym.

- Oczywiście nie spytałam go wprost, bo i tak by mi szczerze nie odpowiedział. Ale wyczułam, że zachowuje się wobec mnie całkiem normalnie.

Malene wciąż jest tą osobą z DCIL, którą różni ludzie z ich otoczenia znają najlepiej. Jeśli Anne-Lise obmawia Malene nie tylko do Erika, Malene może podać tym innym osobom swoją wersję, i to raczej jej uwierzą.

Ale za kilka miesięcy sytuacja się zmieni. Do tego czasu Anne-Lise wypracuje sobie taką pozycję, że wszyscy użytkownicy będą właśnie od niej najbardziej uzależnieni w sprawach bibliotecznych. Z wieloma klientami zwiąże się bliżej niż Malene. I być może dalej będzie ją obmawiała. „Wtedy będę skończona” - stwierdza któregoś dnia Malene. Ma mało czasu na działanie.

Iben widzi plecy Anne-Lise przy stole pośrodku restauracji. Przełyka to, co ma w ustach, i nachyla się do Malene.

- Widzę, że rozmawia z Leą.

Malene nic nie mówi, ale posyła Iben znaczące spojrzenie.

Lea to młoda, ekspansywna socjolog, pozostająca w bliskich kontaktach z Tatianą Blumenfeld, jedyną kobietą w zarządzie DCIL. Tatiana cieszy się ogromnym szacunkiem i byłoby prawdziwą katastrofą, gdyby Lea przekazała jej plotki insynuujące, że to Malene zaburza dobrą atmosferę w centrum.

- Porozmawiam z Leą na którejś przerwie - mówi Iben. - I jeśli to wypadnie naturalnie, wspomnę, jak wszystko wygląda.

- Dzięki.

Iben, która również zamówiła wegetariańskie danie dnia, przełyka kawałek tarty szpinakowej.

- Widziałam gdzieś też Birgitte. Jeśli z nią porozmawiasz, Tatiana będzie miała dwa niezależne źródła informacji przeciwko temu, co powie Anne-Lise.

Birgitte to jedna z ulubionych studentek Tatiany.

Iben odchyła się do tyłu. Wśród posilających się uczestników konferencji widzi Leę, którą bardzo rozbawiło coś, co powiedziała Anne-Lise.

* * *

Po lunchu wysłuchują wystąpienia o „Intelektualistach Serbii i Uniwersytecie Belgradzkim na demokratycznych Bałkanach”.

Podczas następnej przerwy Iben krąży po restauracji. Na łydce czuje ciężar sztyletu. Czy ktoś tutaj może być tą osobą, związaną z DCIL, która wysłała maile i nalała krwi do segregatora?

Stara się coś wyczytać z każdej pary oczu. Dziennikarze odpowiadają na jej spojrzenie, nawiązując z nią kontakt wzrokowy. Przedstawiciele organizacji pozarządowych są mniej skłonni do kontaktu. Oczy naukowców są onieśmiałe, a studenci uciekają spojrzeniami gdzieś w bok. Ci z byłej Jugosławii reagują prawie tak samo jak dziennikarze.

Pewien badacz zajmujący się zagadnieniami demokracji, który swego czasu często przesiadywał nad książkami w dużej sali konferencyjnej DCIL, pyta:

- Czy w tobie nic się nie zmieniło?
- Co masz na myśli?
- Nie bardzo umiem to nazwać. Wydaje mi się, że...
- Może jestem trochę zmęczona.
- Nie, nie, nie o to mi chodzi.

Zaczyna mówić o listach z pogrózkami. Nie miał żadnych nowych wiadomości od czasu, gdy wszyscy podejrzewali głównie Žigicia, i opowiada z przejęciem:

- Słyszałem, że część serbskiej mafii Žigicia rozbudowuje swoją sieć kontaktów w Rosji i w Stanach. Podobno widziano go w Niemczech i w Ameryce.

Malene w tłumie wpada na Iben. Jest podniecona i mówi szybko, niemal zdyszana, jak gdyby wróciła z parkietu tanecznego.

- Rozmawiałam z Rie z Organizacji Współpracy między Narodami. Okazuje się, że to dobra znajoma Olego. Jej matka mieszkała kiedyś razem z nim w akademiku. Zawsze świetnie się rozumiemy. Spytała mnie, czy miałabym ochotę zagrać w squasha, ale to... Umówiliśmy się, że pójdziemy razem na koncert Highlife w Store Vega. Dobrze by było, gdyby mi się udało szepnąć kilka słów na temat Anne-Lise.

W ciągu dwóch następnych przerw Iben widzi, jak Paul rozmawia z jednym z członków zarządu Instytutu Praw Człowieka. Znajduje również czas, by zamienić kilka słów z paroma dziennikarzami i z urzędnikiem z MSZ-etu. Prowadzi go do stołu, wokół którego stoją uczestnicy konferencji z byłej Jugosławii. Tam Paul z wielką pewnością siebie przedstawia urzędnika ostatniemu prominentnemu wykładowcy, mimo że nie za dobrze go zna.

Iben obserwuje, jak zagraniczni prelegenci żywo ze sobą dyskutują. Urywają nagle, orientując się, że otacza ich krąg bardziej wstrzemięźliwych Skandynawów.

Widzi też, że Frederik z ożywieniem rozmawia z Olem, który stoi spokojnie i słucha ze swoją jak zwykle niewzruszoną miną. Jeszcze później Frederik dyskutuje z trzema dziennikarzami, z profesorem z Arhus i z rzecznikiem do spraw polityki zagranicznej Socjalistycznej Partii Ludowej, z którym chyba jest zaprzyjaźniony, bo klepie go po ramieniu.

Nagle obok Iben wyrasta Lea. Uśmiecha się i mówi, że z przyjemnością odwiedzi DCIL.

- Nie mija pół roku, a znów w taki czy inny sposób ulepszacie wasze centrum.

- Miło to słyszeć.

- Anne-Lise wspomniała mi, że zamierzacie uporządkować bibliotekę i zorganizować tam znów miejsca dla czytelników, które teraz są zavalone książkami.

Iben nigdy wcześniej o tym nie słyszała. Wie, że Malene na tę wieść aż podskoczy pod sufit, ale zachowuje kamienną twarz.

- Tak, snują nam się po głowach takie różne plany. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Ludzie zaczynają wchodzić na ostatni wykład. Lea również kieruje się w tamtą stronę. Jej radość wydaje się szczerą.

- Miło będzie posiedzieć i poczytać u Anne-Lise, a nie tylko w dużej sali konferencyjnej. Stamtąd jest tak daleko do książek.

21

Cisza między regałami i przy stołach wywołuje dziwne uczucie. Blade światło jarzeniówek i całkowity bezruch. Mimo biurek, stert papierów i monitorów komputerowych wydaje jej się, że porusza się po mokrej zamglonej łące.

W wyjątkowy sposób chłonie wrażenia również, dlatego, że wstała tak wcześnie, a jeszcze tej nocy znów źle spała. I w biurze, i w samej, Iben jest coś nierzeczywistego, jak ze snu.

Na wypadek, gdyby Anne-Lise też przyszła dziś wyjątkowo wcześnie do pracy i Iben nie zdążyła odejść od jej komputera, wymyśliła historyjkę o tym, że chciała dodać kilka słów do haseł, za pomocą, których wyszukuje się artykuły o Sudanie, nad nimi właśnie pracuje. Kody dostępu, niezbędne do uzupełniania bazy danych, leżą na komputerze Anne-Lise. Iben nigdy nie próbowała korzystać z tego programu, ale to przecież ma być tylko wymówka.

Siada na krześle Anne-Lise i nie może uniknąć patrzenia na duże zdjęcie jej męża i dzieci, ustawione pośrodku, równoległe do krawędzi biurka. Obok fotografii stoi cyfrowy zegarek z pulsującymi w sekundowym rytmie kropkami. Siódma osiemnaście.

Komputer nie jest całkowicie wyłączony, pozostał w stanie czuwania. Iben porusza myszą, aby go obudzić. Na ekranie pojawia się komunikat: „Komputer zablokowany. Podaj kod dostępu: _____”.

Naciska klawisz „enter”, bo tym na ogół zadowolają się komputery w centrum. Anne-Lise jednak najwyraźniej ustawiła u siebie żądanie prawdziwego kodu dostępu. Iben wstukuje „Anne-Lise”, ale komputer dalej nie chce się zalogować.

Dookoła panuje zupełna cisza.

Iben i Malene, chcąc chronić centrum i siebie przed Anne-Lise, muszą zdobyć namacalny dowód dla Paula. Bez dowodu, że to ona jest autorką maili, Paul nigdy nie wyśle jej na zwolnienie. Będzie się snuła między regałami i robiła coraz dziwniejsza, aż wreszcie jej tłumiona agresja któregoś dnia eksploduje.

Dlatego Iben chce sprawdzić tożsamości w skrzynce pocztowej na komputerze Anne-Lise. Boi się próbować kolejnych kodów dostępu. Po kilku nieudanych próbach logowania komputer może się całkowicie zablokować. Anne-Lise nie powinna wiedzieć, że Iben tu była. Gasi, więc światło, zamyka drzwi i wraca na swoje miejsce, gdzie próbuje się skoncentrować na czymś, co pewni holenderscy eksperci napisali o muzułmanach w południowej Rosji.

Po przyjsciu pozostałych koleżanek do pracy szeptem informuje Malene o tym, co się stało, a przed południem idzie do Anne-Lise i pyta:

- Anne-Lise, jeśli znajdę jakieś słowa, które chciałabym dodać do wyszukiwarki, to jak mam to zrobić?

- Po prostu dać je mnie, a ja je wprowadzę. To żaden problem.

- No dobrze, ale gdybym chciała to zrobić sama?

- Najprościej będzie, jeśli dasz je mnie, Iben, a ja się zajmę resztą.

- Bardzo ci dziękuję, ale chciałabym umieć zrobić to sama.

- Zazwyczaj ja to robię. Czy nie lepiej, żebyś miała kontrolę nad bazą danych?

- Jak chcesz.

Iben czuje, że brnie bez sensu. Ale obojętne jej jest, co powie na to Anne-Lise.

Jeszcze parę razy powtarza to samo i w końcu Anne-Lise pokazuje jej, w jaki sposób wklepuje się nowe hasła do wyszukania książki lub artykułu.

- A gdyby cię nie było - pyta Iben - to mogę przyjść do twojego komputera i to zrobić?

- Gdyby mnie nie było?

- No tak, gdybyś zachorowała albo gdyby to było już po twoim wyjściu z pracy

Wyraźnie widać, że Anne-Lise nie podoba się obrót, jaki przybiera ta rozmowa. Ale tym razem nie próbuje dociekać, o co tak naprawdę chodzi. Poprzestaje na odpowiedzi:

- Po prostu sama musisz włączyć komputer.

Iben uśmiecha się, starając się zachować naiwną minę.

- To znaczy, że nie używasz kodu dostępu czy czegoś w tym rodzaju?

- Nie.

Można by sądzić, że Anne-Lise sprawia wrażenie szczerzej. Że umie udawać, że nie rozmawiają o niczym innym tylko o hasłach do przeszukiwania bazy danych. Ale przecież już wcześniej udowodniła, że potrafi miesiącami nie ujawniać nikomu, co się w niej naprawdę dzieje.

Iben draży:

- A kiedy komputer jest w stanie czuwania?

- To tak samo.

- Wtedy też nie używasz kodu dostępu?

- Nie, to chyba tutaj niepotrzebne. A wy macie jakieś kody?

- Nie, nie mamy - opowiada Iben, patrząc jej prosto w oczy. - Powinno się udostępniać swój komputer również innym pracownikom.

- Ja też tak uważam.

Znów uśmiechają się do siebie i Iben zirytowana wraca do Ogródu Zimowego.

To ostatni dzień, kiedy mogła być sama w biurze przed dziewiątą, bo niedługo przyjdzie Bjarne i zainstaluje nowy, sterowany elektronicznie zamek i kamerę nad drzwiami. Od jutra, więc Camilla znów nie będzie się bała przychodzić do pracy, a ona zawsze zjawia się dużo wcześniej od innych. Paul zgodził się, by pracowała w tych samych godzinach, co jej mąż hydraulik.

* * *

Bjarne szybko uwija się z umieszczeniem kamery na schodach. Potem jednak trzeba przeprowadzić kabel przez Ogród Zimowy do serwera w magazynie i zainstalować programik na każdym komputerze.

Kiedy nowy program już działa na komputerze Camilli, Iben i Malene chcą go wypróbować. Malene staje na schodach.

- Możesz zapisać moje zdjęcie?

Iben próbuje nowych poleceń w menu.

- Tak, coś tu jest... Okej, zapisane.

Malene prędko podchodzi do monitora Camilli.

- Jak ja strasznie wyglądam!

Iben się śmieje.

- Rzeczywiście.

Malene ma olbrzymią, rozdętą twarz z białymi plamami na, jak się wydaje, tłustej skórze.

- To, dlatego, że stałaś za blisko. Teraz Iben wybiega.

- Moje zdjęcie też zapisz!

Po powrocie do monitora Camilli obie znów się śmieją.

- Ja też tak wyglądam!

- Myślę, że gdybyś stanęła dalej...

- No tak, ale wtedy nic nie widać.

- To jakaś dziwna kamera, skoro wszyscy w niej wyglądają tak samo.

Malene znów wybiega, żeby Iben zrobiła jej jeszcze jedno zdjęcie. Woła do przyjaciółki:

- Pomyśl, co by było, gdyby nas poszukiwano na podstawie tych zdjęć. „Poszukuje się dwóch kobiet podobnych do wielkich białych żab”.

Malene musi mieć dzisiaj wyjątkowo dobry dzień, bo gościec rzadko pozwala jej tak biegać. Śmieją się, Bjarne się do nich przyłącza. Najwyraźniej podoba mu się ten trochę głupawy nastrój, bo woła w kierunku biblioteki:

- Anne-Lise, nie chcesz sobie zrobić zdjęcia nową kamerą?

Ale Anne-Lise nie rusza się z biblioteki, odpowiada stamtąd tylko, że jest zajęta.

Malene posyła Iben spojrzenie i woła:

- Anne-Lise, nie mogłabyś, chociaż raz zrobić czegoś tylko dla żartów?

Koleżanka udaje, że ich nie słyszy, chociaż drzwi oczywiście są otwarte.

Wkrótce potem wszystko wraca do normy. Telefony dzwonią, trzeba wysłać maile, przypomina się niewesoła sytuacja.

Na szczęście Bjarne zostaje z nimi na lunchu. Może trochę złagodzi napięcie. Jako wolny strzelec dużo pracuje sam. Zastanawiały się, czy lubi przebywać w ich towarzystwie. Zawsze tak planuje swoje wizyty, żeby zjeść z nimi lunch.

Kiedyś pokazał im stary, rozmyty tatuaż na ramieniu. Na środku był napis „Mar”. Opowiedział, że w młodości poszedł do tatuażysty w Las Palmas razem ze swoją dziewczyną Marią, ale podczas nakłuwania igłą tak się pokłócili, że tatuaż nie został ukończony. Zerwali ze sobą tego samego wieczoru.

Teraz zawsze nosi koszulę z rękawami, żeby klienci jego jednoosobowego serwisu komputerowego nie widzieli jego ramion. Ma lekki brzuszek i zapuścił wypielegnowaną, ciemną brodę, przez co wygląda szlachetniej aniżeli ten łobuz, którym najwyraźniej kiedyś był.

Od dawna już wiedzą, że mieszka w szeregowcu w Albertslund z dziewczyną, architektem krajobrazu, którą zna od trzech lat, i jej dwiema córeczkami, uczennicami prywatnej szkoły.

Dzisiaj cały lunch schodzi mu na opowiadaniu o córeczkach. Co narysowały, co powiedziały, jak starszej poszła lekcja jazdy konnej.

Bjarne dużo się śmieje, przyniósł ze sobą wielkie drugie śniadanie, zjada kanapki z szynką i sałatkę z buraków, i chłonie skupioną na sobie uwagę.

Anne-Lise żuje kanapkę z sałatką śledziową. Jej brwi wiszą nisko nad oczami. Gdy już się wie, co ona jest w stanie wymyślić, łatwo popaść w nerwowość, przebywając z nią sam na sam.

Bjarne opowiada o podaniach, które napisała jego dziewczyna, i o tym, jak trudno architektowi krajobrazu dostać jakiegokolwiek zlecenie.

A Iben patrzy, jak Anne-Lise, jedząc, mocno zaciska wargi. Jedzenie jest widoczne wyłącznie jako wybrzuszenie policzków, które zapadają się, gdy połyka z zaciśniętymi ustami.

Od innych zamkniętych w sobie, trochę dziwnych ludzi, różnią ją zaledwie drobiazgi - myśli Iben. - Czy zauważyłabym to, gdybym nie wiedziała, jaka jest prawda?

* * *

Wieczorem Iben jedzie z pracy rowerem do domu ulicami, które w blasku reflektorów samochodowych lśnią czernią w gęstym deszczu. Na szczęście jest starannie owinięta peleryną przeciwdeszczową.

Po wejściu na klatkę schodową zdejmuje ją i wtedy dopiero czuje, że cała jest mokra od potu, który nie miał jak odparować z ciała.

Zawsze, gdy idzie po schodach do swego mieszkania, szczególnie cieszy się, że ma przy sobie sztylet. Zanim otworzy drzwi, sięga w dół i dotyka go przez spodnie. Wie dokładnie, jak szybko jest w stanie go wyjąć.

To nie jest całkiem racjonalne, bo przecież i tak niewiele mogłaby zdziałać, stając twarzą w twarz z doświadczonym zabójcą. Poza tym, jakie to ma znaczenie, skoro to Anne-Lise wysłała te maile?

Robi jeszcze raz krok nad reklamami, które leżą na podłodze za drzwiami. Kolejny raz obchodzi mieszkanie, by się upewnić, że nikogo w nim nie ma. Kolejny raz wkłada zamrożoną

kostkę dorsza do kuchenki mikrofalowej. I kolejny raz sprawdza maile - nie ma nic oprócz spamu - i zerka na automatyczną sekretarkę, która nie mruga.

Siada do obiadu przy małym, okrągłym stoliku odziedziczonym po babci ze strony matki. Salon to pokój z gołymi ścianami umeblowany przypadkowymi rupieciami.

W jakimś momencie będzie musiała, tak jak Malene, kupić nową kanapę. Gdyby ktoś miał mnie odwiedzić w tak urządzonym mieszkaniu - myśli - na pewno nie doświadczyłby „doznań estetycznych” jak u Malene.

Może na razie mogłabym kupić narzutę na kanapę? Powinna być w mocnych kolorach, żeby pokój nie składał się wyłącznie z regałów, ciemnych drewnianych mebli i białych ścian. Zastanawiała się nad tym już wiele razy, ale teraz wyobraża sobie, że w końcu naprawdę coś z tym zrobi.

Zjada dorsza z czerwoną papryką i ekologicznym chlebem chrupkim, czytając przy jedzeniu. Jest w połowie książki Raula Hilberga *The Destruction of the European Jews*, którą kupiła w antykwariacie internetowym.

Po obiedzie myje głowę. Rano zwykle myje tylko ciało. Włosy może myć o rozmaitych porach i nawet nie musi się do tego rozbierać.

Z głową owiniętą ręcznikiem siada z filiżanką herbaty i dzwoni do Grith, tylko tak, żeby pogadać, ale Grith nie ma w domu.

Iben nie wpisała do kalendarza telefonu Gunnara, lecz zna go na pamięć, mimo że słyszała go tylko raz i nigdy nie użyła. Dzisiaj też nie dzwoni.

Zamiast tego telefonuje do matki, z którą rozmawia, oglądając jednocześnie ściszoną niemal zupełnie telewizję. Matka opowiada o tym, jak po jej ostatniej wizycie spotkała starych znajomych, którym bardzo podobał się wywiad Iben w telewizji na temat porwania. Przekazuje od nich pozdrowienia, cieszą się, że wszystko się tak dobrze skończyło.

22

Gdy Iben tego samego wieczoru wychodzi z domu o pół do jedenastej, ciągle leje. Źle się czuje w tym mokrym mroku, w którym trudno zobaczyć, kto idzie z naprzeciwka po chodniku czy przechodzi przez jezdnię. Przeklina ich plan, przeklina to, że nie może teraz leżeć w swoim łóżku pod kołdrą i dalej czytać Hilberga.

Malene i Rasmus zabierają ją z chodnika do taksówki i wszyscy troje jadą do biura.

Gdy wysiadają, deszcz zalewa Iben twarz, chociaż tylko na moment wyjrzała spod parasolki, żeby popatrzeć w okna DCIL.

- Nie świeci się - mówi.

Powinni mieć, co najmniej godzinę na swobodne poruszanie się po biurze, a tuż przed pracą i tuż po istniejącym ryzyku, że zjawi się Paul.

Na klatce schodowej Iben czuje, jak mocno wali jej serce. Powtarza sobie w duchu: To nie jest prawdziwe włamanie. Jakoś się wytłumaczymy przed strażnikiem czy przed zarządem.

Oddech Malene zdradza, że ona również jest bardzo przejęta. Mamrocze pod nosem słowa, które są echem myśli Iben.

- To nie jest prawdziwe włamanie. Mamy chyba prawo przebywać w biurze w nocy?

Nasłuchują. Jest cicho. Jada, więc na górę starą windą. Na piętrze DCIL znów nasłuchują. Ktoś wychodzi z jednego z biur na dole.

Stoją nieruchomo, wstrzymując oddechy. Osoba na dole wciska guzik przywołujący windę i stare, zgrzytliwe urządzenie po kilku głuchych stukach zaczyna się poruszać. Może to strażnik? Może ktoś pracuje dłużej? A może sprzątaczką?

Co by zrobił Paul, gdyby w środku nocy zadzwonił do niego strażnik z wiadomością o ich nocnej eskapadzie? Stosunki z szefem i tak są już napięte po tej rozmowie o wysłaniu Anne-Lise na zwolnienie. Musiałby poinformować o wszystkim Frederika, Olego i cały zarząd. Wszyscy zrozumieliby, po co oni tu przyszli.

Jaka jest, więc najgorsza rzecz, która może się zdarzyć? Oczywiście to, że wcale nie Anne-Lise napisała maile z pogrózkami, tylko że Mirko Zigić czyha na nie gdzieś w ciemności.

Tak jednak nie jest. Więc co poza tym?

Kiedy osoba na piętrze pod nimi już wychodzi, Malene wciska kod alarmu DCIL (to 110795 - data początku masakry w Srebrenicy) i otwiera drzwi kluczem.

Wchodzą do Ogrodu Zimowego, gdzie świecą rozmaite czerwone i zielone lampki komputerów, automatycznej sekretarki i pozostałych urządzeń. Niewiele światła miasta przedziera się przez ulewę za oknem, ale stoją przez chwilę nieruchomo i wreszcie stosy papierów zaczynają lekko jaśnieć, niczym prostokątne księżycy.

Nie zapalają światła. Idą do biblioteki, do komputera Anne-Lise. Malene pierwsza, Iben z tyłu. Znają tu wszystko tak dobrze, że mogłyby się poruszać w kompletnej ciemności. Rasmusa muszą prowadzić między sobą.

W bibliotece trudniej jest coś dojrzeć, lecz obie zabrały ze sobą latarki rowerowe. Malene zapala swoją.

Rasmus siada na miejscu Anne-Lise, a one stają po obu jego stronach.

Rasmus stuka palcami w klawisze, robi to bardzo szybko i pewnie.

- Tak, tego hasła nie ominę. Ale nie szkodzi, chciałem to tylko sprawdzić. Przejdźmy do serwera.

Wciąż poruszają się po ciemku, idą do magazynu, w którym stoi serwer. Tu nie ma okien. Zamykają drzwi i wreszcie mogą zapalić światło.

- Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć hasło administratora - mówi Rasmus.

Rasmus już zabrał się do roboty i najwyraźniej wie, gdzie trzeba zajrzeć, kiedy się szuka czegoś, czego nie wolno zapisać, a co ludzie i tak zapisują. Zagląda pod podkładkę, na spód klawiatury, na tył monitora, a potem zaczyna przeglądać segregatory z czasopismami na najbliższych półkach. Nic nie znajduje.

- Będę musiał wyłączyć serwer - stwierdza.

Zanim zdążą odpowiedzieć, już naciska wyłącznik prądu, bez wyłączania Windowsów.

Iben opiera się o niemalowany, głęboki regał z płyty wiórowej, na którym stoi sprzęt biurowy. Tu, za zamkniętymi drzwiami, w świetle, nie boi się już oddychać. Wydaje z siebie kilka głębokich westchnień.

Rasmus wkłada dyskietkę do napędu serwera i ponownie włącza prąd. Nikt się nie odzywa, dopóki Rasmus nie wykrzyknie:

- No właśnie! Miałem taką nadzieję. Jest ustawiony tak, żeby przed uruchomieniem własnego programu z twardego dysku sprawdzać, czy w stacji nie ma dyskietki startowej. Gdyby komputer się zepsuł, administrator mógłby go uruchomić za pomocą dyskietki startowej i znaleźć błąd. Teraz ja go uruchomię z mojej dyskietki, a ona poleci komputerowi wczytać moje Windowsy, które włożę do CD-romu.

Z czarnego etui z mnóstwem nagranych kompaktów wyjmuje jedną płytę, wkłada ją do stacji i na ekranie zaczyna mrugać mnóstwo liter i cyfr.

- Wszystko idzie zgodnie z planem.

Tak jak niektórzy mężczyźni w podobnych okolicznościach, Rasmus też zaczyna zapominać, gdzie jest, i zadowolony jednoczy się z komputerem.

- Spójrzcie, zmusiłem go, żeby uruchomił mój własny program. Teraz muszę tylko w jakiś sposób dostać się do środka, żeby odczytać hasło administratora.

Iben obserwuje go w milczeniu. Zawsze mięknie na widok mężczyzn, którzy z taką radością oswajają komputery wraz z ich wszystkimi tajemniczymi możliwościami. Czuje się trochę tak jak filmowi bohaterowie, kiedy po raz pierwszy widzą, jak ich wybranka z uczuciem gra na fortepianie lub na wiolonczeli. Uświadamia sobie coś, co wcześniej, wielokrotnie ledwie przeczuwała, że Rasmus nie pasuje do Malene. Aż przykro, że widzi to tak wyraźnie.

- Mam jeszcze programik hakerski, który świetnie się do tego nada - mówi Rasmus.

Wkłada do stacji następną dyskietkę i uruchamia jeszcze jeden program. Teraz dzieje się coś, co Iben miała już okazję oglądać w wykonaniu Bjarnego. Przez ekran przelatuje całe mnóstwo programów, folderów i przycisków, w które trzeba kliknąć, a potem okienek, które trzeba wypełnić, a Rasmus stuka w klawiaturę szybciej, niż daje się przeczytać, co komunikuje program.

Iben i Malene patrzą na siebie. Iben przez cały czas nasłuchuje dźwięków zza drzwi. Nic jednak nie słyhać. Tylko odgłosy komputera i Rasmusa, który głośno mówi „Yes”, później przeklina, i znowu powtarza „Yes”.

Po niezliczonych wciśnięciach rozmaitych klawiszy Rasmus wreszcie mówi:

- To tyle.

Wyjmuje swoją płytę i dyskietkę. Wyłącza komputer i włącza go ponownie.

Gdy komputer tym razem uruchamia się normalnie i prosi o podanie kodu dostępu, Rasmus wstukuje kod, który właśnie ściągnął. Bjarne najwyraźniej zdecydował, że ich komputer będzie chronić słowo „tłuścioch”.

Śmieją się niepewnie, a Iben jeszcze nigdy nie widziała Rasmusa tak ożywionego.

- Zobaczcie - mówi. - Teraz zalogujemy się jako administrator do całej waszej sieci. Widzę, że to wszystko po staroświecku zrobione, ale i tak możemy odczytać, co jest na wszystkich komputerach.

- A więc Bjarne i Paul mogą zobaczyć, co mamy u siebie w komputerach?

- Wszystko. Mogą zobaczyć absolutnie wszystko.

Nie patrzy na miny Iben i Malene, tylko ciągnie:

- Najpierw spróbuję przeszukać wszystkie pliki, które zawierają słowa „revenge_is_near”.

Komputery Camilli i Paula są wyłączone, nie ma, więc do nich dostępu. Rasmus mógłby je włączyć, ale one przecież akurat nie mają znaczenia.

Mija trochę czasu, zanim serwer sprawdzi dokładnie pozostałe trzy komputery. Wyszukiwarka znajduje pliki z komputerów Iben i Malene, ale to oczywiście, dlatego, że korespondowały z kolegami z innych ośrodków na temat nadawcy maili.

Anne-Lise natomiast najwyraźniej nie napisała ani jednego maila z użyciem słów „revenge_is_near”. To rzeczywiście dziwne. Czyżby naprawdę nie powiadomiła nikogo ze znajomych i przyjaciół, o tym, co im się przydarzyło?

Rasmus szuka innych wyrażen, które mogłyby coś ujawnić.

- Rzecz jasna w szczególności szukamy śladów wskazujących na to, że ona ma prywatny adres mailowy na jakimś serwerze. Czy na przykład bez pośrednictwa Outlooka albo Explorera nie sprawdza poczty na stronie anonimowego serwera pośredniczącego.

Próbuje różnych nowych wyszukiwań, ale bez skutku. Wstrzymuje, więc przeszukiwanie automatyczne i zaczyna przeglądać dokumenty i maile w folderach Anne-Lise.

- Bardzo dziwne. Wszyscy na ogół mają trochę prywatnych maili, czegoś, co nie ma związku z pracą.

Rasmus jest tak pochłonięty swoim zajęciem, że nawet nie drgnie, mówiąc:

- Ho, ho, spójrzcie tutaj!

- Na co mamy patrzeć?

- To program, który usuwa wszelkie ślady aktywności internetowej. Musiała go ściągnąć z sieci. To, dlatego nie mogliśmy nic znaleźć. Nieżle zna się na Internecie i na komputerach. Wiedziałyście, że ona coś takiego potrafi?

- Nie!

- Ależ skąd!

- To znaczy, że byłaby w stanie tworzyć nowe adresy mailowe i zacierać za sobą ślady? - pyta Malene. - Coś w tym rodzaju, tak?

Palce Rasmusa poruszają się niespokojnie, jakby potrzebował trochę kawy.

- Przypuszczam, że tak.

* * *

Rasmus dalej grzebie w plikach Anne-Lise, a w tym czasie Iben i Malene idą przejrzeć jej papiery.

W korytarzu nie ma okien, mogłyby, więc zapalić światło i nikt nie dostrzegłby ich z ulicy, ale nie muszą, bo nawet po ciemku świetnie się tu orientują. Przechodzą, więc bezpiecznie.

Iben nagle przypomina sobie, że miała sen, w którym długie, wąskie przejścia między regałami w centrum mieszały się ze zdjęciami z filmu o tonącej niemieckiej łodzi podwodnej.

Film pokazywano w telewizji kilka miesięcy temu, akcja toczyła się w storpedowanej łodzi podwodnej. W jej śnie marynarze zamknięci byli w wąskich korytarzykach między regałami Duńskiego Centrum Informacji o Ludobójstwie, a połyskujące czerwone alarmy ostrzegały o cichym upadku centrum na dno morza.

Zabawnie jest chodzić w ciemnościach i odkrywać, jak dobrze znają odległości między znajdującymi się tutaj sprzętami. Zaczynają się ścigać, która będzie szybsza.

Iben zaczyna biec, a Malene za nią.

Wpadają do Ogrodu Zimowego między biurka i regały. Tak dobrze znają kierunki i odległości, że właściwie nie muszą używać ani głowy, ani oczu.

Odpoczywają, przysiadając na stertach papierów na biurku Camilli. Malene musi być zachwycona, ponieważ może się poruszać zupełnie swobodnie, bez bólu.

- Jakie to cudowne uczucie przebywać tutaj i chociaż raz robić i mówić to, na co naprawdę ma się ochotę - stwierdza Iben.

A Malene odpowiada głośno, tak żeby Rasmus ją usłyszał:

- Tak, mogę na przykład powiedzieć teraz: „Paul, musisz przerzucić Anne-Lise do pracy w przetwórni rybnej na Spitsbergenie, bo ona kompletnie psuje naszą robotę”.

- A ja mogę powiedzieć: „Paul, najwyższy czas, żebyś to wiedział. Jeśli nie zamkniesz jej w budce telefonicznej z rocznym zapasem sałatki śledziowej...”

- I z zegarkiem. Musi tam mieć też zegarek.

- „...to centrum tak się opuści w pracy, że to Frederik zastąpi kiedyś Kjaeruma jako szef Instytutu Praw Człowieka, a nie ty”.

- Ha, ha, i co na to powiesz, Paul?

W Ogrodzie Zimowym jest dostatecznie jasno, by Iben mogła widzieć, że Malene odwraca głowę w stronę gabinetu Paula.

- Ale ty oczywiście o tym nie wiesz, bo stale jesteś na tych swoich spotkaniach, czy gdzie tam, do diabła, chodzisz.

Potem idą do biurka Anne-Lise i próbują znaleźć jakieś dowody w jej papierach.

Wracają do Rasmusa, który teraz przeszukuje serwer w nadziei na znalezienie choćby szczątków mailowej korespondencji Anne-Lise. Szczątków, do których jej program do usuwania plików nie ma dostępu.

- Szkoda, że nie wzięliśmy ze sobą piwa - mówi.

- Nie ma problemu, Paul ma w szafce butelkę whisky.

- Możemy ją tak po prostu wziąć?

- Jasne, on się nie zorientuje. Camilla któregoś dnia też ją piła. Iben przynosi z gabinetu Paula butelkę i trzy szklanki. Ponieważ to prezent, whisky jest oczywiście ekskluzywna - single malt, lecz Paul już wcześniej dostał tyle innych butelek, że tę po prostu tu zostawił.

- Przyniosłam też szklankę wody - mówi Iben. - Czytałam, że dobrą whisky trzeba przełamać, to znaczy dodać kilka kropli wody, żeby miała łagodniejszy smak.

- Nie szkoda jej rozcieńczać?

- Ja nie mówię o rozcieńczaniu, to rzeczywiście byłaby szkoda. Trzeba dodać tylko odrobinę. Zrobię tak w mojej szklance, a ty możesz sobie nalać czystej. Porównamy różnicę w smaku.

Później, kiedy już wszyscy troje posmakowali whisky z różną ilością wody dodanej do alkoholu, Iben i Malene wracają do biurka Anne-Lise.

Teraz zapalają górne światło. Nie ma powodów do hysterii. Przy świetle łatwiej szukać. Kto zresztą miałby stać na dole, na ulicy, i patrzeć w ich okna o tej porze?

Jedna z szufladek Anne-Lise jest zamknięta na klucz. Próbują otworzyć ją linijką, ale linijka się łamie.

Iben wtyka ją do tylnej kieszeni spodni, żeby Anne-Lise nie znalazła jej jutro. Nie robi awantury tylko, dlatego, że zginęła linijka.

Teraz próbują nożem do papieru.

Udaje się, choć nigdy wcześniej czegoś podobnego nie robiły. To tanie biurko i zamek musiał być symboliczny.

Cieszą się swoimi nierozpoznanymi dotąd złodziejskimi talentami. Normalne reguły przestały obowiązywać. Wszystko tutaj jest tak znajome, a jednocześnie sprawia wrażenie nowego i obcego.

- Nareszcie możemy zamknąć te cholerne drzwi! - mówi Malene.

Zatrząskuje je i obie się śmieją.

Przychodzi Rasmus, zaskoczony światłem i hałasami. Iben tłumaczy podniesionym głosem:

- Przecież i tak nikt tutaj nie przyjdzie.

- Poza tym mamy prawo tu przebywać. My tu pracujemy.

- Po prostu siedzimy i pracujemy do późnej nocy.

- Jesteśmy bardzo pracowite!

- Znalazłem coś - mówi Rasmus.

Gaszą światło i idą za nim, a on tłumaczy po drodze:

- Mam program, który może przejrzeć sieć w poszukiwaniu plików, które właściwie zostały już usunięte, ale ich resztki dają się odzyskać.

W magazynie pokazuje im fragment pliku, który najprawdopodobniej pochodzi z komputera Anne-Lise. Gdzieś w tym kawałku widać słowo „Malene”, dalej są dwie linijki niezrozumiałych znaczków i wreszcie tekst:

„Nie poznaję siebie samej. Nigdy nie odczuwałam takiej nienawiści... Nie wiem, co mogłabym jej zrobić... Czuję się przez nią chora w środku”.

Wszyscy wlepiają oczy w ekran. Malene przysiada na niedużym krzeselku biurowym.

- No, o tym to wiedziałam już wcześniej - mówi.

Iben czuje się nieco zamroczone. Przez ostatnie noce źle spała. Opiera się o ramię Malene.

- Nie wiem, czy Paulowi wystarczy to jako dowód.

- Nie. On już wie, że ona mnie nie znosi. A jedyną jego reakcją jest przekazanie jej moich obowiązków. To dla niego nic nowego. Jest mu to obojętne.

Rasmus idzie się wysikać.

Podczas jego nieobecności odczytują ostatnie maile Anne-Lise. Dziś wieczorem dostała dwa, wciąż są oznaczone jako nieprzeczytane. Pierwszy jest następującej treści:

„Cześć, Anne-Lise. Potrzebuję wszelkich możliwych informacji o zabójstwach dzieci w Timorze Wschodnim. Czy mogłabyś mi wydrukować listę materiałów na ten temat, dostępnych w bibliotece, i jak najszybciej przesłać ją mailem? Najlepiej jutro przed południem. Pozdrowienia, Tatiana”.

Malene jednym szybkim kliknięciem kasuje mail.

W następnej wiadomości czytają:

„Cześć, Anne-Lise. Bardzo dziękuję za listę. Była świetna. Trzymaj się, Lotta”.

Ten mail również kasują.

Teraz zostały już tylko maile przeczytane przez Anne-Lise. Tych nie ruszają.

Znów popijają whisky i wracają do stanowiska Anne-Lise. Przechodząc, nie zapalają światła, ale nie, dlatego, że się boją, by ktoś ich nie zobaczył, po prostu uważają, że po ciemku jest zabawniej. Zadowolone krążą po biurze z uczuciem, że to miejsce wreszcie należy do nich.

Tylko raz Iben źle odczytuje kontury otaczających ich w przestrzeni sprzętów.

Z całym impetem wpada na zamknięte drzwi między biblioteką a Ogrodem Zimowym. Zapomniała, że Malene je zatrzęsnęła, a zobaczyć się tego nie dało.

Upada, zrzucając z regału kilka segregatorów z czasopismami.

Nic ją nie boli, prędko się podnosi. Kilka czasopism wyślizgnęło się z segregatora, ale nie chce jej się zapalać światła, więc obmacuje podłogę i wkłada je z powrotem w przypadkowej kolejności. Musi pamiętać, żeby jutro je uporządkować.

Słyszy, że Malene jest w bibliotece, przy miejscach dla czytelników, z których Anne-Lise uprzęta stosy książek, aby użytkownicy mogli czytać u niej.

Rozlega się głośny huk.

Malene właściwie się nie śmieje, ale w jej głosie wibruje coś jakby śmiech.

- Ups!

Iben od razu wie, że to jeden z bardzo wysokich stosów książek, które Anne-Lise tymczasowo ułożyła na podłodze przy częściowo już uporządkowanych miejscach w czytelni. Odnajduje drogę do Malene.

- Nic nie szkodzi. Sam mógł spaść.

Iben popycha drugi stos.

- Tak samo jak ten. Ten też się sam wyrócił.

A Malene szturcha trzeci.

- Jakby potraçały się nawzajem przy upadku.

Iben ma ochotę uściskać Malene. Obejmuje ją w pasie, ale prędko przyciąga rękę z powrotem.

* * *

Iben właśnie idzie przez Ogród Zimowy z butelką whisky, która powinna wrócić do gabinetu Paula, kiedy słyszy jęk windy.

Dźwięk ten trwa zaledwie sekundę i zaraz ustaje, bo ktoś wysiada na ich piętrze.

Długimi krokami biegnie do biblioteki, głośno szepcząc do Malene:

- To Zigić! To Zigić!

Kieruje się ku głosowi Malene, która odszeptuje po ciemku:

- Nie, nie.

Iben dłońmi wyczuwa bluzkę Malene.

- Nie, to nie może być on.

Stoją wtulone plecami w regał pod ścianą, dokładnie naprzeciwko otwartych drzwi do Ogrodu Zimowego. Trzymając się za ręce, nasłuchują, jak ktoś mocuje się z zamkiem przy drzwiach wejściowych.

- Czy światła wszędzie pogaszone? - pyta szeptem Malene.

- U Rasmusa przy serwerze się pali.

- Byle tylko usłyszał, co się dzieje.

W labiryncie regałów na tyłach biblioteki jest mnóstwo kryjówek, ale Iben nie ma odwagi tam iść. Znow ogarnia ją wrażenie, że sieć wąskich korytarzy w centrum to storpedowana łódź podwodna, która tonąc, powoli opada na dno oceanu ku głębi, w której panuje olbrzymie ciśnienie.

Drzwi się otwierają i zapala się światło. Przez otwór drzwiowy wpada go tyle, że dobrze widzą siebie i najbliższe regały.

Jak usłyszeć, czy to Zigić?

Obok nich jest dwoje ludzi. Jedna osoba na twardych podszwach butów kieruje się do gabinetu Paula, druga po cichu krąży w koło.

Ta druga staje przy biurku Malene. Sprawdza coś, dotyka jej papierów.

Iben stoi nieruchomo, słyszy, jak serce jej wali. Od człowieka w Ogronie Zimowym dzieli je zaledwie parę metrów.

Czuje pot na całym ciele pod bluzką, a kropla spływa wzdłuż jej nogi i zatrzymuje się dopiero na taśmie mocującej sztylet do łydki. Rozlega się kobiecy głos:

- Chyba o czymś myślałeś, kiedy wiozłeś ją do Arhus?

To głos Helen. Żony Paula.

Iben czuje ulgę, ale wciąż się nie odzywa.

Helen jest nauczycielką w liceum. Kiedyś była bardzo piękna i wciąż ma gęste, jasne, kręcone włosy. Ale teraz jest w niej coś dziwnego. Zawsze w ostatniej chwili informuje, że nie przyjdzie na obiad wydawany przez centrum czy na przyjęcie gwiazdkowe.

Z gabinetu Paula dobiega jego głos:

- Skończ z tym wreszcie!

- To ty mnie zmuszasz, żebym o tym myślała! - woła Helen. - Dlatego że kręcisz!

- Co za brednie!

Iben nigdy nie słyszała, żeby Paul mówił takim głosem, pełnym jednocześnie rezygnacji, pogardy i złości. Jakby odpowiadał głupiemu dziecku, które całymi tygodniami bezsensownie go dręczy.

Może wracają z jakiegoś przyjęcia, podczas którego Helen sporo wypila, bo znów krzyczy:

- Właśnie, że nie!

- Bzdury! Mówię, że to nieprawda. Koniec i kropka! To nie żadne kręcenie!

Głos Paula słyhać teraz z Ogrodu Zimowego. Z pewnością przyszedł po coś, co jest mu potrzebne na jutro, a ma być poza centrum przez cały dzień. Ciągnie z taką samą rezygnacją:

- Gdybym naprawdę uważał, że Malene jest taka śliczna, to chyba od czasu do czasu jadałbym z nimi lunch, prawda?

Jakieś papiery uderzają o blat.

- Nawet powinienem to robić, przecież jestem ich szefem. Ale nie mam na to siły. Nie mam ochoty wysłuchiwać tego wszystkiego. Możesz być pewna, że nie myślę o Malene w ten sposób.

Helen nie odpowiada. Słyhać taki dźwięk, jakby kołysała którymś z krzeseł biurowych w tył i w przód.

Zapada cisza.

Paul odzyskuje bardziej normalny, lecz nieco zbyt kontrolowany głos, który znają na co dzień.

- Chodź, zobaczysz.

- Co?

- Zobaczysz, jak Anne-Lise porządkuje miejsca dla czytelników w bibliotece. Będzie naprawdę ładnie.

- Nie mam nastroju.

- Przecież to tu zaraz.

Paul podchodzi do drzwi Iben i Malene. Teraz i jego dzieli od nich zaledwie kilka metrów.

Iben drga, gdy Helen krzyczy:

- Nie chcę oglądać tych zasranych miejsc! Czy ty tego nie rozumiesz?

Słychać jedynie deszcz za oknem. Paul głęboko wzdycha. Rozlega się klaśnięcie.

Główne drzwi się otwierają, światło gaśnie. Wychodzą.

* * *

Serce Iben bije jak opętane. Ona sama ani drgnie. Stoi wciśnięta w regał.

Mogą przecież wrócić, jeśli Paul o czymś zapomniał albo, gdy sobie uświadomi, że zauważył w biurze coś podejrzanego.

Malene unosi dłoń Iben i kładzie ją sobie na sercu. Iben czuje, że ona także jest spocona, a serce wali jej równie mocno.

Iben wie, że uśmiechają się obie zaciśniętymi wargami, chociaż nie mogą tego zobaczyć.

Słyszą, że winda staje, ale nie słyszą, żeby ktoś wysiadał w holu na dole. Nie słyszą otwierania bramy na ulicę, ani samochodu ruszającego w deszczu.

Mimo to po kilku minutach muszą założyć, że Paul już nie wróci.

Stoją dalej w tej samej pozycji, Iben czuje się źle. Boi się ciemności, regałów w odległym końcu biblioteki Anne-Lise i tego, co może się za nimi kryć. Nikt tego nie sprawdził, kiedy wchodzili do środka.

Czuje się pijana w niedobry sposób. A przecież aż tyle nie wypila, więc mdłości zapewne powoduje strach.

Chwilę później przychodzi Rasmus i szepcze:

- Skończ z tym wreszcie!

Śmieją się z ulgą.

- Wolałbym już wrócić do domu - mówi Rasmus.

- Chyba wszyscy tego chcemy.

- Zgasilem światło i przez cały czas, kiedy tu byli, siedziałem pod stołem. Muszę tam jeszcze wrócić i uporządkować pliki, żeby nie było widać, że w nich grzebałem.

Idą blisko niego, nie zapalają już rowerowych latarek.

W magazynie włączają główne światło. Dziwnie się czują, kiedy znów wszystko widzą.

Iben i Malene w roztargnieniu obserwują Rasmusa, który robi coś przy komputerze i w jakiś dziwny sposób na ekranie ukazują się maile od Tatiany i Lotty. Rasmus pyta dość obojętnie:

- Dlaczego je skasowałyście?

Malene wzrusza ramionami i prędko kieruje spojrzenie na pudełka w regale.

Rasmus nachyla się, czyta oba listy i w końcu mówi:

- Hm.

Potem kilka razy w coś klika.

- Jeśli tak, to trzeba je całkiem usunąć z systemu.

Kasuje je jak należy. Więcej o tym nie rozmawiają.

23

Następnego dnia rano Iben budzi telefon.

To Malene. Iben od razu po jej głosie poznaje, w czym rzecz. Wie, że Malene przez ostatnie godziny zażywała środki przeciwbólowe, lecz mimo to nie mogła zasnąć. Że płakała, ale już nad sobą panuje.

Iben ma rację, bo Malene mówi:

- Muszę jechać na reumatologię.

Iben siada. Swoją pojedynczą kołdrą przykrywa sobie plecy.

- To okropne. A przecież wczoraj czułaś się tak dobrze.

- Ja też nie wiem, co jest. Na ogół tak się nie dzieje.

- Bardzo cię boli?

- Strasznie. Ból przyszedł w nocy, a nigdy nie pojawia się tak nagle. Nie wiem... Nie wiem, czy mogę już być pewna czegośkolwiek. To taki okropny ból. Chociaż brałam tabletki. Nie mogę myśleć. Kolano mi spuchło jak bania. Ciągnie aż do uda. Ból powinien narastać wolniej. Nigdy nie słyszałam, żeby pojawiał się tak nagle.

Bliska płaczu dodaje:

- A wczoraj wieczorem tak dobrze się czułam!

- Mam do ciebie przyjechać?

- Chce ci się?

- Oczywiście.

- To tylko, dlatego, że Rasmus właśnie pojechał na lotnisko. Rozmawiałam już z ambulatorium. Po dziewiątej spróbują mnie jakoś wcisnąć.

- Będę u ciebie za pół godziny.

Iben już wcześniej jeździła z Malene na oddział reumatologiczny Szpitala Centralnego, kiedy Malene nie była w stanie sama zejść ze schodów. W szpitalu Iben wchodziła razem z nią do gabinetów lekarskich, gdzie Malene kładła się na jednorazowych papierowych prześcieradłach rozciągniętych na kozetkach. Trzymała Malene za rękę, gdy lekarz wbijał igłę w jej kolano i wyciągał jedną strzykawkę płynu za drugą.

Nie sądziły jednak, że atak tak prędko się powtórzy. Przy ostatnim zabiegu lekarz stwierdził:

- Dłużej tak nie może być. Takie częste zapalenia mogą uszkodzić staw kolanowy. Musimy zapisać lek, który zahamuje ataki.

Malene zaczęła, więc brać methotrexat. Bardzo jej pomógł - aż do dzisiaj.

Teraz mówi przez telefon:

- Nie mogę chodzić. Właściwie nie mogę wstać, tylko siedzę.

Szum ulicy znika ze słuchawki. Malene musiała zakryć ją ręką,

Iben ledwie słyszy jej kaszel z odgłosem jakby płaczu. Potem Malene odsłania słuchawkę i mówi nieswoim głosem:

- W ogóle nic nie mogę zrobić. Tak mnie boli. W ogóle nic nie mogę.

- Malene, nic nie rób, siedź. Zaraz u ciebie będę.

Iben jest mistrzynią we wstawaniu w ostatniej chwili, a mimo to w niespóźnianiu się do pracy. Na jej półeczce toaletowej pod lustrem jest miejsce na poranną bułkę z serem i kubek neski na wodzie gotowanej przez półtorej minuty w mikrofalówce. Do jej stałego pospiesznego porannego rytuału należy jedzenie śniadania podczas mycia i nakładania odrobiny makijażu.

Jadąc rowerem do Malene, znów powtarza w duchu, jak wiele razy w ciągu nocy, że nie powinny były usuwać maila Tatiany. Bez względu na to, co Anne-Lise nam zrobiła, powinnyśmy

zachować czyste konto i nie robić nic, do czego nie mogłybyśmy się przyznać. Inaczej spadniemy do jej poziomu, a wtedy przestaniemy walczyć o przyszłość centrum i o dobro sprawy.

Rozważa rozmaite sposoby naprawienia tego w taki sposób, żeby nikt nie stracił twarzy.

Wciąż jadąc bardzo szybko, wyjmując z kieszeni płaszcz swoją komórkę i wystukuje numer DCIL, aby dać znać, że się dzisiaj spóźni, a Malene jest chora.

Telefon odbiera Anne-Lise. Camilla nie przyszła do pracy, Paul natomiast przez cały dzień będzie na spotkaniu w Nyborg. Iben opowiada o nagłym ataku gościa.

- O, to przykre - mówi Anne-Lise. - Bardzo ją boli?

Ktoś, kto by jej nie znał, nie zorientowałby się, że nienawidzi Malene.

Iben, wyprzedzając rower z przyczepką, mówi:

- Lea w Louisianie wspominała, że Tatiana pisze jakiś większy artykuł. Może znasz jakiś sposób na przeszukanie bazy danych biblioteki, którego ona nie zna?

- Na pewno. A o czym ona pisze?

- Nie wiem. Ale może powinnaś do niej zadzwonić, zapytać, czy nie mogłabyś się do czegoś przydać?

Na chwilę w telefonie zapada cisza, a potem słychać głos Anne-Lise:

- To bardzo miłe z twojej strony. Naprawdę dobry pomysł. Zaraz to zrobię. Dziękuję.

- Nie ma za co. Przecież pracujemy razem.

- Właśnie, że jest, Iben. Jest w tym coś więcej. Uwierz mi, bardzo się cieszę, że mi to powiedziałaś.

Poza tym Anne-Lise wydaje się wyjątkowo zadowolona. Siedzi teraz w centrum zupełnie sama i jej głos brzmi zupełnie inaczej niż zwykle. Iben traci nieco koncentrację, próbując wśród zaparkowanych samochodów wypatrzeć przerwę w ruchu ulicznym, pozwalającą przeskoczyć na drugą stronę Osterbrogade.

Otwiera drzwi mieszkania Malene dodatkowym kluczem, który ma z uwagi na takie właśnie sytuacje. Malene leży na kanapie.

Rasmus pomógł jej się ubrać w luźny dres. Dał jej śniadanie i zaprowadził do toalety. Ale teraz jest na lotnisku, w drodze do Glasgow z kolegami sprzedawcami.

Malene jest blada, ale wciąż piękna, nawet bez makijażu.

- Jakieś niezłe gównno, prawda? - mówi Iben. - Mhm. - Co wzięłaś?

- Dwa ibuprofeny w nocy, o piątej. Później dwa panodile i jeszcze dwa ibuprofeny. Więcej nie mogę brać.

- I tak ci spuchło przez noc?

- Tak.

Iben pakuje torbę przyjaciółki i delikatnie wkłada jej buty na leżąco. Zawija je tak, by kokardka była dość mocna, ale sznurowadła pozostawały luźne. Potem podnosi ją z kanapy, pyta, czy Malene nie chce do ubikacji, ale Malene odmawia. Następnie Iben delikatnie kładzie sobie jedną rękę Malene na karku, uważając przy tym, żeby nie ścisnąć jej zbyt mocno za dłoń, która również może być obolała. Później chwyta ją wpół i stara się jak najlepiej odciążać jej stopy i tę rękę, którą Malene się jej przytrzymuje.

W korytarzu znajduje właściwy płaszcz i narzuca go na przyjaciółkę, by nie musiała podnosić ramion ani wyginać ich za bardzo do tyłu. Zapina płaszcz, znajduje szalik Malene i obwiązuje go wokół jej szyi, potem wsuwa jej dłonie w duże, ciepłe rękawiczki z jednym palcem.

Wyprowadza Malene na klatkę, tam zostawia ją na chwilę, sama wkłada kurtkę i wynosi obie torebki.

Gdy Iben znów staje przy Malene, przyjaciółka patrzy jej w oczy spojrzeniem świadczącym o ogromnym bólu. Kryje się w nim jednak coś jeszcze. Coś, czego z pewnością nie widział nikt inny oprócz Rasmusa.

Droga na dół jest najtrudniejsza. Z czasem jednak nauczyły się sobie z nią radzić, i to tak, że Malene ani razu nie zawadza piętą o stopień. Iben pomaga jej dojść do czekającej już taksówki, potem tłumaczy kierowcy, że ma otworzyć przeciwległe drzwiczki i delikatnie wciągnąć Malene do środka, ujmując ją pod pachy. Malene musi znaleźć się na drugim siedzeniu, aby dało się zamknąć drzwiczki bez konieczności zginania kolana.

* * *

Od chwili przybycia do wejścia numer czterdzieści dwa Szpitala Centralnego wszystko idzie dużo łatwiej. Tu korytarze są szerokie, a windy obszerne.

Ambulatorium reumatologiczne nie ma właściwie poczekalni, a jedynie ślepy załom korytarza, gdzie można usiąść i przejrzeć tygodniki albo powyglądać przez wielkie okna na Tagensvej, kiedy kogoś ogarnie zbyt wielki smutek od patrzenia na innych pacjentów na wózkach, ze zgarbionymi plecami i powykęcanyimi dłońmi.

Iben sadza tu Malene, zdejmując jej płaszcz i przynosi dodatkowe krzesło, na którym przyjaciółka może położyć nogę. A potem idzie do gabinetu na środku korytarza, zgłosić przyjazd Malene.

Teraz minie najwyżej godzina, zanim któryś z lekarzy znajdzie czas, by usunąć płyn z kolana. Malene powinna przyjąć to z ulgą, ale nie ma na to siły. Musi siedzieć nieruchomo i wytrzymać.

Iben siada przy niej.

- Mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Malene ostrożnie kładzie rękę na spuchniętym kolanie. Nie odwraca głowy do Iben, tylko patrzy gdzieś przed siebie.

- Bardzo ci dziękuję. Teraz już w porządku.

- Wystarczy, żebyś powiedziała, jeśli...

- Już wszystko w porządku. Możesz jechać do pracy, jeżeli chcesz.

- Oczywiście, że zostanę tutaj.

Z nerwowego przyzwyczajenia Iben usiłuje nawiązać kontakt wzrokowy z Malene, chociaż wie, że przyjaciółka w chwilach takiego bólu zamyka się w sobie.

- Ale będę musiała zejść na dół i przez telefon załatwić kilka spraw związanych z pracą. To nie potrwa długo. Przynieść ci coś z kiosku?

Malene się nie porusza.

- Nie, dziękuję.

Na terenie szpitala nie wolno używać telefonów komórkowych. Iben kieruje się, więc na wąski parking przed budynkiem.

Idzie długim, zdecydowanym krokiem, czuje, jak piętami wali o posadzkę, jak szybko poruszają się jej kolana.

Ach Boże, ależ się z nich cieszę - myśli, wstydząc się zarazem swojej radości.

Prędko zmusza się do powiedzenia sobie, że nie ma się, czego wstydzić, przecież, do diabła, pomaga właśnie swojej przyjaciółce. Nie ma powodu, by się oskarżać o złe postępowanie.

Do windy oprócz niej wsiadają dwaj pracownicy szpitala w białych fartuchach. Jeden z nich ją potrąca. Iben mówi sobie: „A nie minęła jeszcze godzina, odkąd pomogłam Anne-Lise. Wiele osób postąpiłoby inaczej, bo przecież dla mnie lepiej by było, gdyby Tatiana straciła dla niej szacunek. A mimo wszystko nie potrafiłam jej nie pomóc”.

Na zewnątrz chłodne powietrze wciąż jest wilgotne po nocnym deszczu. Pomiędzy ciasno zaparkowanymi samochodami krąży kilka osób albo z komórką, albo z papierosem w ręku.

Iben dzwoni do niedużej, drobnej Nisy z Duńskiego Instytutu Studiów Międzynarodowych z prośbą o podanie kilku liczb dotyczących wciąż trwającej masakry Indian znad Amazonki.

Po załatwieniu spraw praktycznych Nisa pyta o DCIL.

- Wszystko dobrze - odpowiada Iben. - Pracujemy nad biuletynem na temat Czeczenii.

Ale Nisa usiłuje dowiedzieć się czegoś więcej. Iben domyśla się, do czego Nisa zmierza, i rzeczywiście chwilę później słyszy:

- Podobno macie jakieś kłopoty z Anne-Lise.

Iben nie może powstrzymać się od uśmiechu na myśl o mocach, jakimi mimo wszystko dysponują z Malene. Nie tak łatwo je utracić. Wie, że powinna odpowiadać powściągliwie.

- A kto tak mówi? - pyta.

- No, słyszałam coś o tym od Erlinga.

Świetnie. Erling zasiada w komitecie do spraw badań razem z Olem Henningsenem, więc chyba informacje mogą się rozprzestrzeniać tą drogą.

- I co on mówi? - pyta Iben.

- Podobno Anne-Lise ma jakieś problemy z alkoholem.

- Ja nic o tym nie wiem, ale skoro tak mówisz, Niso... To by tłumaczyło wiele z jej zachowania.

Słowa płyną same z siebie. Iben nie przerywa:

- Bo parę rzeczy nas zastanawiało.

Nisa próbuje dowiedzieć się czegoś więcej, lecz Iben krótkimi zdaniami sygnalizuje, że te informacje DCIL pragnie zachować dla siebie.

Po konferencji w Louisianie półtora tygodnia temu Iben i Malene pojechały do mieszkania Malene i tam zaplanowały strategię obrony przeciwko Anne-Lise.

Działania Anne-Lise, która je oczernia, nie mogą, bowiem podważyć ich wiarygodności wobec użytkowników, zarządu i Paula. To mogłoby pociągnąć za sobą zwolnienia, a w ostateczności uniemożliwić Iben i Malene znalezienie jakiegokolwiek pracy w duńskim środowisku zajmującym się obroną praw człowieka.

Dlatego mają niewiele czasu na uświadomienie otoczeniu, że Anne-Lise ma zdeformowany obraz świata. Już dzień później Iben zadzwoniła do Lei, by „porozmawiać o konferencji”. Opowiedziała o tym, jak ona i Malene widzą problemy DCIL, a Lea spytała - kierując się własnymi doświadczeniami z koleżanką w innym biurze - czy Anne-Lise przypadkiem nie pije.

W tym momencie Iben nie brała pod uwagę takiej możliwości. Nagle jednak sporo elementów zaczęło do siebie pasować. Jeśli Anne-Lise ma kłopoty w domu i ucieka w alkohol, to naprawdę wiele tłumaczy.

Lea musiała opowiedzieć to komuś dalej, gdyż pojawiły się dyskretne pytania ze strony innych osób z Uniwersytetu Kopenhaskiego. Obie wtedy odkryły, że wątpliwości wokół możliwych problemów Anne-Lise z alkoholem to najłatwiejszy sposób na uświadomienie otoczeniu, jak bardzo nie zrównoważona i trudna jest we współpracy. Liczą, że wątpliwości podziałają jak coś w rodzaju szczepionki, dzięki której ludziom związanym z centrum od tej pory już trudniej będzie przełykać to, co Anne-Lise przyjdzie do głowy powiedzieć o koleżankach.

W całej tej nieprzyjemnej sytuacji Iben podkreśla, że nie szkodzą Anne-Lise bardziej, niż są do tego zmuszone. W rozmowie z Malene wyraźnie zaznaczyła, że robią to dla dobra sprawy, po to, by ratować centrum i siebie, wcale nie chcą się mścić.

Powiedziała też pewnego wieczoru w domu u Malene przy herbacie i bułeczkach domowej roboty:

- Nie ma wątpliwości, że musimy się starać, by Ole, Frederik i wszyscy inni w przyszłości bardziej ufali nam niż jej. Ale jednocześnie ważne jest, abyśmy same sobie wyznaczyły wyraźne granice.

Malene całymi latami kpiła z potrzeby „słuszności postępowania” Iben i z jej pragnienia „czynienia dobra”.

Ale tego wieczoru dyskusja była w opinii Iben na tyle ważna, że nawiązała bezpośrednio do tych żartów o sobie samej, mówiąc:

- Najważniejsze dla mnie jest to, abyśmy przez cały czas miały pewność, że to my jesteśmy „te dobre”.

Zachowała kamienny wyraz twarzy, gdy Malene się do niej uśmiechnęła.

- To Anne-Lise musi pozostać tą osobą, która nie przebiera w środkach, byle tylko zgiąć wrogowi kark.

Tej granicy etycznej od tej pory się trzyma. Chociaż Anne-Lise zaczęła jawnie lepić się do Lei, Birgitte i innych osób ze środowiska, próbując na siłę się z nimi zaprzyjaźnić. I chociaż Anne-Lise sprawia wrażenie obojętnej na nieprzyjemną atmosferę w DCIL, która tak bardzo ciąży Iben i Malene. Mogłoby się wydawać, że Anne-Lise jest zdolna do walki trwającej całą wieczność, jak gdyby walka była jej naturalnym żywiołem.

* * *

Gdy Iben wraca na oddział reumatologii, Malene wciąż czeka na wizytę u lekarza. Wpatruje się w to samo miejsce na ścianie i wciąga powietrze w krótkich oddechach, które bierze z wysiłkiem. Ręce przyciska mocno do ciała, a twarz ma spiętą z bólu. Iben przypuszcza, że ktoś, kto zna zmysłową, wesołą Malene, wręcz by jej teraz nie poznał.

Kaniula, którą lekarz niedługo wbije w kolano Malene, nie jest cienka jak zwykła igła do zastrzyków. Ma za zadanie wyssać gęstą ropę, przypomina, więc niemal rurkę z ostrym końcem. Iben wie, że będzie musiała wejść do gabinetu i trzymać Malene za rękę podczas punkcji.

Młody mężczyzna o chłopięcym wyglądzie wstaje, żeby nalać sobie szklankę wody z sokiem z małego stolika na kółkach. Wygląda na zupełnie zdrowego, można, więc się zastanawiać, co mu dolega.

Iben relacjonuje swoje rozmowy telefoniczne, lecz Malene jest rozkojarzona i właściwie nie reaguje, więc Iben przestaje mówić.

Dopiero trzy kwadransy po powrocie Iben z parkingu jeden z lekarzy woła Malene do gabinetu.

Lekarz, którego wcześniej ani Malene, ani Iben tu nie spotkały, od razu budzi zaufanie. Jest jakby o dziesięć kilo szczuplejszym i nieco młodszym wydaniem ich prezesa zarządu, ma taką samą wytrymowaną siwą brodę i te same spokojne ruchy.

We dwoje z Iben pomagają Malene położyć się na kozetce. Lekarz obmacuje kolano Malene, usiłując palcami ocenić wielkość opuchlizny. Ucisk w środku jest tak wielki, że w szczelinie między dwoma mięśniami w zagłębieniu kolana pojawia się balonik ropy.

- Mówi pani, że wczoraj wieczorem wszystko było w porządku? - pyta lekarz.

- Tak.

- Hm. Nie powinno puchnąć tak szybko - obmacuje bok nogi Malene.

- Ja też nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłam.

- Wykonywała pani wczoraj jakieś nagłe ruchy?

Iben widzi skurcz bólu przebiegający po twarzy przyjaciółki. Przez cały czas ma ochotę podskoczyć i coś zrobić, żeby jej ulżyć, ale tutaj pomoc może tylko lekarz.

Malene odpowiada spokojnie, ale suchym, skrzypiącym głosem:

- Tak, możliwe, że tak.

Lekarz wciąż skupia się wyłącznie na jej kolanie.

- Biegałam - ciągnie Malene. - Poruszałam się szybciej niż zwykle. Było trochę inaczej. Ale miałam wrażenie, że wszystko jest w porządku.

Wreszcie lekarz podnosi głowę i patrzy na nią spokojnie dużymi, piwnymi oczyma.

- Prawie na pewno zwichnęła pani kolano.

Chociaż jego słowa przeznaczone są wyłącznie dla Malene, od czasu do czasu zerka również na Iben, jak gdyby były parą.

- Musi pani wiedzieć, że pani stawy nie są już tak mocne jak wtedy, gdy była pani zdrowa. Są miękkie i mają nierówną powierzchnię, dlatego łatwo je zwichnąć. Może się przy tym odłamać drzazga z kości, więc te bóle mogą być też spowodowane jakimś pęknięciem w obrębie stawu. Będę musiał posłać panią na rentgen, zanim zrobię punkcję.

- Jak długo to potrwa?

- Zaraz się dowiem. Zadzwońię do nich. Oni mają plan równie napięty jak ja. Będzie pani musiała poczekać tak długo, jak będzie trzeba.

Już bierze słuchawkę do ręki. Malene zaczyna płakać.

- Nie może pan już teraz wyciągnąć trochę tego płynu?

- Nie byłoby dobrze.

- Ale czy nie może pan czegoś zrobić już teraz? Usunąć, chociaż trochę?

Lekarz wychyla się nad biurkiem. Malene wciąż leży na kozetce, ale z obróconą głową, doktor może, więc życzliwie popatrzeć jej w oczy.

- Nie chodzi mi o to, żeby pani zaszkodzić, tylko jak najlepiej się panią zająć. Jak najlepiej zadbać o pani kolano.

Przez telefon umawia się, że Malene, jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie miała zrobione prześwietlenie już za nieco ponad godzinę.

- Zadzwoń do naszych salowych. Ktoś tam panią zawiezie.

Malene płacze bezgłośnie, a w głosie Iben pojawia się przenikliwość:

- Musi pan jej dać coś przeciwbólowego. Nie ma sensu, żeby tak cierpiała i tylko czekała.

- Zaraz coś znajdę. Proszę mi tylko powiedzieć, co pani już dzisiaj brała.

Dowiedziawszy się jednak, co Malene zdążyła zażyć, stwierdza, że muszą poczekać, zanim będzie mogła wziąć coś jeszcze. Obiecuje, że wcześniej i tak zrobi punkcję.

Iben pomaga Malene wyjść z gabinetu, a lekarz za ich plecami mówi jeszcze, że spróbuje po raz drugi zadzwonić na rentgen i poprosić, by postarali się przesunąć Malene na początek kolejki.

Pojawia się salowy i przez niepomalowane korytarze piwniczne pełne wielkich dziur w suficie wiezie Malene na wózku. Iben idzie obok, niosąc ich płaszcze.

Na oddziale rentgenowskim znów czekają. Tu nie ma kącika z tygodnikami, tylko długi, wąski korytarz, gdzie bladzi pacjenci z kroplówkami śpią na łózkach, pochrapując otwartymi, pozbawionymi sztucznych szczęk ustami.

Trudno tu rozmawiać. Iben czuje, że nie może mówić o żadnych innych sprawach niż gościec. A o gościu też niewiele da się powiedzieć oprócz tego, że boli. Malene się nie odzywa.

Przestała już reagować na otoczenie. Zamknęła się na wszelkie komunikaty wysyłane przez inne ciała. Jej własne ciało zagłusza wszystko.

Być może to zarówno izolacja między mową różnych ciał, jak i milczenie tworzą ów niezręczny nastrój, dystans, którego nie powinno być.

Po półgodzinie Malene wreszcie się odzywa:

- Rasmus już niedługo wylądaje.

- Tak, wielka szkoda, że nie możesz włączyć komórki - odpowiada jej natychmiast Iben.

Nad zeszywniała górną wargą Malene widać kropelki potu. Nie podtrzymuje rozmowy, więc Iben dodaje:

- Bo na pewno by zadzwonił. Jestem przekonana.

Panuje taka cisza, że Iben słyszy, jak świadomie Malene oddycha. Wdech. Pauza. Wydech. Pauza. Wdech. Pauza.

Niemожność zrobienia czegokolwiek doprowadza ją do rozpacz. W końcu pyta:

- Zejść i sprawdzić, czy nie zostawił wiadomości na sekretarce?

Ma wrażenie, że odwraca się do niej powoli i kiwa jej głową zupełnie obca dziewczyna.

Iben uśmiecha się, ale nie wypada to naturalnie.

- Dobrze, zejdę. Przekażę ci, co powiedział.

Wyjmuje komórkę Malene z kieszeni jej płaszcza i cały czas się uśmiechając, odwraca się i wychodzi.

Przy wejściu numer trzy roi się od poważnie wyglądających ludzi, którzy w grubych płaszczech wchodzi i wychodzą przez szerokie, otwierane elektronicznie drzwi z niskim, czarnym daszkiem.

Rzeczywiście na komórce Malene jest wiadomość od Rasmusa. W tle słychać hałas lotniska. Rasmus mówi pieszczotliwie:

„Cześć, cudowna dupeńko. Za dwie sekundy wsiadamy do samolotu. Peter doszedł do siebie, to tak jak mówiłaś. «Powiedzmy dwanaście wejść USB». Ani słowa więcej. Cha, cha, jesteś taka mądra. Już niedługo wrócę do domu, będę ssał i lizał, aż sąsiad z dołu zacznie walić w rury i szyby z okien wylecą. A potem zrobi się awantura z sąsiadami, jak nie przestaniemy, pomimo wybitych szyb. Ale nam będzie wszystko jedno, prawda, dupeńko? Całusy”.

Iben wciska odpowiedni klawisz w telefonie, by zapamiętał wiadomość i by Malene mogła ją odsłuchać po wyjściu ze szpitala. Potem stoi nieruchomo, czując, jak nadciąga chłód.

Nie robi nic. Nikt nigdy tak nie mówił - takim słodkim głosem - do niej. Do Iben.

Co się wtedy czuje?

Myśli o Gunnarze, którego Malene trzyma „w rezerwie”. Na pewno siedzi teraz na swoim krześle redakcyjnym w „Rozwoju”. Ciekawe, o czym myśli. Może jest zazdrosny o Rasmusa, który zostawia Malene takie wiadomości.

Gdy Malene poznała Rasmusa trzy lata temu, przez kilka tygodni sądziła, że to tylko przelotny romans. W tym czasie zdążyła opowiedzieć przyjaciółce najbardziej intymne szczegóły o jego niekiedy całkowicie niezrozumiałym i egoistycznym zachowaniu, o jego krzywym penisie, o wszystkim.

Te zwierzenia dawno już się zakończyły i Iben liczy się z tym, że teraz to on słucha najbardziej intymnych szczegółów o Iben. Ciekawe, jaki ma obraz najlepszej przyjaciółki swojej partnerki.

Gdy Rasmus jest w delegacji za granicą, Malene często skarży się, że mało czasu spędzają razem. Prawie, co wieczór wraca do domu tuż przed porą snu. Gdy wyjeżdża, Malene z reguły bywa weselsza. Ogromnie się cieszy, że znów go zobaczy, i zapomina o tym, że będąc w Danii, jest prawie tak samo nieobecny.

Raz Malene z radością opowiadała, że rozmawiali o dziecku. Później, Iben kilkakrotnie o to pytała, ale już, co najmniej od roku Malene przestała o tym mówić.

W te dni, gdy Iben widzi wszystko w najczarniejszych barwach, bywa także przygnębiona w imieniu przyjaciółki, wyobraża sobie wtedy, że Rasmus szuka jedynie odpowiedniej dziewczyny i wkrótce zniknie.

Również, kiedy jest w lepszym nastroju, myśli o tym, że chociaż Malene chciałaby częściej mieć Rasmusa w domu, to tak naprawdę tylko jego liczne wyjazdy sprawiają, że ten związek jeszcze w ogóle się trzyma. I nie ma odwagi wyobrazić sobie, jak strasznie Malene by się czuła, gdyby Rasmus ją zostawił.

Iben wystukuje na swojej komórce numer Gunnara do pracy, ale zamiast się połączyć, kasuje cyfry jedną po drugiej.

Dzwoni do sekretarki Tatiany do Rehabilitation Council for Torture Victims RCT, prosi o kilka zdjęć, które zamierza wykorzystać w biuletynie, a później w trakcie rozmowy, niepytana, wyjaśnia sekretarce, którą widywała wielokrotnie, jakie stosunki zapanowały w DCIL.

- ...nie mam pewności, że ona pije. Może właśnie próbuje przestać, ale w każdym razie na własne oczy widziałam, jak siedziała i trzęsła się w godzinach pracy.

* * *

Iben wraca na długi korytarz z półuśpionymi pacjentami, oczekującymi na swoją kolejkę. W miarę jak zbliża się do Malene, ona również zaczyna się poruszać powoli, trochę sztywniej. Ostrożnie siada w fotelu obok wózka Malene, jakby także odczuwała przynajmniej lekki ból.

- Była wiadomość od niego... Zostawił wiadomość.

Malene nie odpowiada i Iben jeszcze raz próbuje się uśmiechnąć.

- Powiedział, że za tobą szaleje i że jak wróci, będzie wam cudownie.

Malene o nic nie pyta. Wyraźnie widać, że kompletnie oderwała się od świata. Twarz ma spoconą, a jej włosy wyglądają tak, jakby pocila się jej również głowa.

Może się wydawać, że ktoś wykradł z Malene życie i zabrał je sobie. Otacza ją nieprzyjemna aura. Oto miejsce przestępstwa, kradzieży. A najbliżej niej jest Iben.

Iben siada wygodniej w fotelu, rozgląda się w poszukiwaniu podartych tygodników, które zazwyczaj gdzieś tu są. Nagle jednak nie widać żadnego.

Zagląda do torebki, ale najwyraźniej musiała zapomnieć cienkiej książki z wykładami Christophera Browninga, chociaż myślała, że ma ją przy sobie.

Zmuszona do milczenia, zaczyna być równie nieobecna jak Malene.

Cały czas w ciszy czekają, aż Malene wejdzie na prześwietlenie. Później, również w milczeniu, czekają na wywołanie zdjęcia i na salowego, który ma odwiedzić Malene z powrotem.

Lekarz jest na korytarzu. Od razu widzi, jak źle czuje się Malene, i natychmiast pozwala jej wejść do gabinetu, mimo że inni pacjenci czekają w kolejce.

Malene leży w milczeniu na jednorazowym prześcieradle, podczas gdy lekarz ogląda zdjęcia. Czekają, gdy doktor przez telefon konferuje z radiologiem na temat tego, co może oznaczać niewielka, ciemna smuga na kości.

- Na zdjęciu nic nie widać - oświadcza po odłożeniu słuchawki. - Jeszcze sprawdzę, czy nie ma pani zerwanych więzadeł.

Iben po twarzy Malene poznaje, że nie powinna brać jej za bolącą rękę.

Następuje uciskanie i obmacywanie i wkrótce na biały stolik przy kozetce trafia pięć grubych strzykawek wypełnionych mętnym żółtym płynem.

I nareszcie Malene czuje się lepiej. Siada, ale bardzo ostrożnie.

- Ach, do diabła! Cholera jasna! - Wzdycha głęboko kilka razy i rozgląda się po gabinecie, jak gdyby wcześniej go nie widziała. - Cholera jasna, ciągle mnie boli, ale teraz przynajmniej czuję resztę ciała.

Mruga kilka razy, szybko, a potem powoli kręci głową najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

- Dziękuję. O rany. - I dodaje: - Dziękuję, Iben.

Iben patrzy na nią i czuje w sobie płacz, tylko, że łzy nie chcą płynąć. Tym razem jakoś się udało.

Malene wciąż z trudem dochodzi do siebie.

- Ach, doktorze! Ciągle jeszcze okropnie mnie boli. Ręce i nogi też bolą. I ten ból również pojawił się w nocy.

Lekarz pochyla się nad jej ręką.

- To wiele wyjaśnia.

- Co? - dziwi się Malene.

- Nie wzięła pani wczoraj lekarstwa. A być może również przedwczoraj.

- Ależ brałam.

Przygląda się jej z niedowierzaniem, wyćwiczonym ojcowskim spojrzeniem.

- Widziałem w pani karcie, że Niels półtora miesiąca temu przepisał pani methotrexat. Musi pani to zażywać raz w tygodniu.

- Wiem.

- Ale dopóki methotrexat nie zacznie działać, codziennie musi pani brać jeszcze hormon kory nadnerczy.

- Wiem.

- Jeżeli będzie pani regularnie brała leki, nie będzie pani miała takich nagłych ataków.

Głos Malene wciąż jest suchy, inny niż zwykle:

- Ale przecież ja to brałam.

- Gdyby tak było, nie zdarzyłoby się to, co dziś. Nie mam, co do tego wątpliwości.

- Ale ja przecież...

Wyraźnie widać, że lekarz jej nie wierzy. Nie zamierza jednak dłużej o tym dyskutować.

- Tak, tak - mówi cicho do siebie.

Notuje coś w jej karcie.

Później podnosi wzrok znad papierów, jak gdyby coś wpadło mu nagle do głowy.

- Mogę zobaczyć pani tabletki?

Iben wyjmuje tabletki Malene z jej torebki. Malene trzyma je w srebrnej papierošnicy z lakierowanym wzorem w stylu art nouveau, przedstawiającym łucznika. Kupiła używaną i wyłożyła ją aksamitem.

Lekarz wychyla się ponad biurkiem, bierze jedną z tabletek.

- To nie jest hormon kory nadnerczy.

- Przecież sama je tu wkładałam.

Lekarz grubym, męskim palcem grzebie w maleńkich tabletkach na aksamicie. Potem znów się odchyła.

Jest absolutnie tego pewny i lekko wykrzywia usta:

- Właściwe tabletki mają inną kreskę przez środek. Musiała je pani zażywać aż do przedwczoraj, bo inaczej atak nastąpiłby wcześniej.

- Czy to znaczy, że ktoś właśnie wczoraj podmienił mi...

Głos Malene się załamuje. A Iben wydaje z siebie taki odgłos, jak gdyby właśnie otrzymała silny cios w żołądek.

Malene nie kończy zdania, a już obie wiedzą, że ktoś ruszał tabletki Malene.

Etui na leki zawsze leży w torebce Malene, a wczoraj torebka stała obok biurka. Przez cały dzień prawie nikt nie miał do niej dostępu.

Malene odchyła głowę ruchem, jakiego nie była w stanie wykonać od rana.

- Jak ona mogła coś takiego zrobić?! - krzyczy. - Ona musi być chora! CHORA!

Znów zaczyna płakać.

- Tak mnie bolało. Nie mogę... Nie mogłam...

Iben przelatuje przez głowę: Aż tak zła Anne-Lise nie jest! Nie potrafiłaby zrobić czegoś takiego! To musi być ktoś inny.

Ale rozsądek podpowiada, że jej intuicja się myli. Osobowość Anne-Lise może zawierać cechy, jakich one nawet sobie nie wyobrażają. Pomimo pancерnej maski na twarzy Anne-Lise już od dawna okazuje im swoją wściekłość.

Anne-Lise

24

- Przez cały czas przeczuwaliśmy, że w pewnej chwili nas opuścisz, by stawić czoło większym wyzwaniom. Wiedzieliśmy też, że pragniesz swoją pracą przyczynić się do naprawy świata. Mieliśmy tę świadomość. Ale i tak wszystkim nam jest przykro, że to musiało nastąpić już dzisiaj.

Cały personel Biblioteki Miejskiej w Lyngby zebrał się na przyjęciu pożegnalnym Anne-Lise.

Skupili się wokół koreczków i białego wina w dużej sali bibliotecznej z panoramicznymi oknami, wychodzącymi na jezioro Molledammen i otaczającą go przyrodę.

Szefowa kontynuowała swoją przemowę:

- Będzie nam brakowało twojego ciepła i twojego zaangażowania w nasze życie, bo zawsze traktowałeś nas jak dobrych przyjaciół. Będzie nam brakowało twojego poczucia humoru. No i oczywiście twojej następczyni trudno będzie ci dorównać w sprawach zawodowych. Sądzę, że każdy z nas miał jakiś problem z bazą danych czy z programem komputerowym, a wtedy pierwszą

myślą było zwrócenie się o pomoc do ciebie. Przylapywaliśmy się na tej myśli i mówiliśmy sobie: Przecież nie można bez końca zawracać głowy Anne-Lise.

Koledzy się uśmiechali.

- Chodziliśmy, więc pytać siebie nawzajem. Często jednak stawało na tym, że po prostu musieliśmy prosić, abyś ty nam pomogła. A ty jak zawsze wszystko wiedziałaś.

I znów wszyscy się roześmiali. A Anne-Lise patrzyła na krąg otaczających ją twarzy. Zebrała się spora gromadka osób poznanych podczas tylu lat codziennej pracy w tym samym miejscu. Teraz jednak porwała się na coś większego. Miała stawić czoło frapującym zadaniom, poznać wielu naukowców i innych ciekawych ludzi - w swojej nowej pracy w Duńskim Centrum Informacji o Ludobójstwie.

Jej oczy przesunęły się po Molledammen, po jego ciemnozielonej wodzie i kaczkach pływających tuż pod oknami biblioteki.

Anne-Lise chłonęła to wszystko w siebie: kolegów, ręcznie kolorowane miedzioryty ze starego królewskiego miasta Lyngby, które wspólnie zbierali, i słowa szefowej, która podnosząc w górę kieliszek, patrzyła na Anne-Lise zza okularów i ciągnęła swoje przemówienie:

- Wierzę i wiem, że będzie ci dobrze w tej nowej, interesującej pracy. Ale może czasami i ty wrócisz myślą do nas. Ufam, że tak będzie. Bo chociaż praca tutaj jest bardziej zwyczajna, to mamy też coś szczególnego. Łączy nas kilka wspólnie spędzonych dobrych lat. I możesz być pewna, że będziemy cię dobrze wspominać.

* * *

Pierwszego dnia Anne-Lise przyszła do pracy w DCIL pełna oczekiwań, lecz również z pewnymi obawami, czy sama sprostą oczekiwaniom trojga młodszych od niej kolegów po wyższych studiach - Paula, z wykształcenia historyka, Malene, specjalistki od krajów rozwijających się, i Iben po literaturoznawstwie. Ale przecież zdecydowała się na podjęcie nowej pracy właśnie z uwagi na nowe wymagania.

Na ten pierwszy dzień kupiła sobie nowy bliźniak i poszła do fryzjera odświeżyć farbę na siwiejących włosach.

Pierwsze trzy dni minęły dobrze. Malene wprowadziła ją w nowe obowiązki i wytłumaczyła, jak na początek może poznać systemy katalogowe, rejestrując książki, które wpłynęły do centrum po odejściu poprzedniej bibliotekarki. Mąż jej poprzedniczki dostał pracę w Finlandii i cała rodzina wyjechała tam dwa tygodnie temu.

Tę pracę Anne-Lise musiała wykonywać w bibliotece sama. Regały ustawione blisko siebie pochłaniały światło, w pomieszczeniu panował, więc półmrok, chociaż było w nim tyle samo lamp, ile w Ogrodzie Zimowym.

Miło by było w tym momencie przenieść się do koleżanek, prosząc jednocześnie o zamontowanie w bibliotece dodatkowego oświetlenia. Anne-Lise postanowiła jednak o tym nie wspominać, bo na razie najważniejsze było ułożenie sobie dobrych stosunków z nowymi koleżankami.

Powstał też pewien problem z drzwiami w pobliżu biurka Anne-Lise. Drzwi prowadziły z biblioteki do niewielkiej powielarni, z której bił ostry zapach chemikaliów. Anne-Lise zamykała te drzwi, lecz gdy ktoś korzystał z drukarki lub kopiarki, zawsze je otwierał i nigdy nie zamykał ich za sobą.

Anne-Lise parę razy je zamknęła, a w powielarni otworzyła okno, żeby powietrze tam nie było zbyt gęste od chemikaliów. Ale gdy któraś po raz kolejny bez słowa zamknęła okno i zostawiła drzwi otwarte, Anne-Lise już się do tego nie wtrącała.

Okazało się, że zaledwie na parę dni przed przyjściem Anne-Lise do centrum zmarła ciotka Malene. Koleżanki dużo o tym rozmawiały i przyjemnie było widzieć, że potrafią się wspierać również w sprawach prywatnych. Wielokrotnie w ciągu dnia coś tam razem szeptały. To rozumiały, że w związku z jakimś poważnym wydarzeniem mogą pojawić się tematy, o których chce się porozmawiać tylko z ludźmi, których zna się od dawna.

Ale w następnych dniach izolacja Anne-Lise wcale się nie zmniejszyła. Poza przerwami Anne-Lise siedziała sama w bibliotece i katalogowała książki od chwili przyjścia do pracy aż do wyjścia. W tym czasie koleżanki wysyłały maile, odbierały telefony, gadały ze sobą i zajmowały się gośćmi odwiedzającymi centrum.

Podczas przerw na lunch Anne-Lise próbowała opowiedzieć coś o sobie, aby lepiej mogły się poznać. Może poczułyby się przy niej na tyle bezpiecznie, że dopuściłyby ją do rozmów o ciotce Malene.

Starala się też trochę żartować i opowiadać dowcipy, lecz one najwyraźniej miały inne poczucie humoru. Uznała, że nowy pracownik musi właściwie być na to przygotowany, i że na pewno z czasem wszystko się ułoży.

Gdy minął tydzień, a potem jeszcze parę dni, spytała, czy nie można by zamykać drzwi między powielarnią a biblioteką.

Anne-Lise powiedziała o tym w ich biurze. Malene i Iben siedziały z dłońmi gotowymi do pisania na klawiaturze. Anne-Lise czuła się prawie naga, gdy tak stała na środku i jako jedyna nie miała, czego wziąć do ręki.

Malene popatrzyła na nią i z uśmiechem wyjaśniła, że te drzwi zawsze były otwarte, bo inaczej w powielarni bardzo śmierdzi.

- No tak, ale czy nie mogłybyśmy raczej otwierać okna? Tak chyba byłoby najlepiej, inaczej to u mnie będzie śmierdziało.

Ponieważ żadna nic nie powiedziała, Anne-Lise dodała:

- A powietrze z biblioteki zacznie się rozchodzić dalej, będzie coraz gorsze dla nas wszystkich.

- Próbowaliśmy otwierać okno, ale kiedy mamy tam coś skopiować, okazuje się, że jest za zimno.

W następnych dniach Anne-Lise dostosowała się do innych. Zostawiała drzwi do powielarni otwarte przez cały dzień - z wyjątkiem kilku pojedynczych wypadków, kiedy duża drukarka pracowała na okrągło ponad godzinę, bo wówczas smród chemikaliów stawał się nie do wytrzymania. Ale gdy następnym razem któraś z koleżanek korzystała z tego pomieszczenia, znów zamykała okno, a drzwi do biblioteki zostawiała otwarte.

Anne-Lise prędko się przekonała, że nie powinna także proponować organizowania zebrań informacyjnych na temat wydarzeń nadchodzącego tygodnia i czekających je zadań. Takie zebrania koordynacyjne umożliwiłyby jej lepsze wciągnięcie się w pracę centrum, a być może również w te liczne krótkie rozmowy, które prowadziły koleżanki.

Dowiedziała się, że poprzednia bibliotekarka nigdy nie miała nic przeciwko rytmowi i sposobowi pracy. Anne-Lise odniosła wrażenie, że koleżanki wyłącznie z czystej życzliwości nie dodały, że jej poprzedniczka była też szybsza i lepsza.

Niestety, po tych paru dniach zaczęła gorzej oceniać Malene i Iben. Początkowo sądziła, że właśnie z nimi dwiema się zaprzyjaźni.

Camilla natomiast wydawała się naprawdę miłą. I ona, i Anne-Lise miały mężów i dzieci, obie też były mniej więcej dziesięć lat starsze od dominujących w centrum młodych kobiet, powinny, więc naprawdę się porozumieć, gdy już się lepiej poznają.

W gorszy dzień Anne-Lise potrafiła nawet pomyśleć, że Malene i Iben z tym swoim chichotem i wiecznym zainteresowaniem sobą nawzajem sprawiają wrażenie głupich i niedojrzałych.

Często rozmawiały ze sobą w taki sposób, że tylko one mogły się nawzajem rozumieć, niczego nie tłumacząc ani Camilli, ani Anne-Lise. Oprócz tych ich wszystkich „To samo Rasmus mówił latem” i „Zawsze byłeś w tym dobra”, w czym i tak trudno było w jakikolwiek sposób uczestniczyć, w osobliwy sposób bawiły je niektóre słowa. Malene potrafiła na przykład wpleść w rozmowę wyrażenie „opony zimowe” albo „machać fajką” i już obie zaśmiewały się do łez, a nikt inny nie mógł zrozumieć, o co im chodzi.

Czasami wystarczała jakaś specyficzna wymowa niektórych słów, żeby płakały ze śmiechu. Kiedy Iben przeciągała „o” w słowie „footookoopiarka”, aż pokładały się na klawiatury.

Anne-Lise starała się w podobnych sytuacjach patrzeć na Camille. Przecież ona w takich chwilach również musiała się czuć wyłączona ze wspólnoty, nie tylko, dlatego, że była sekretarką.

Pewnego dnia, w czwartym tygodniu pracy w centrum, Anne-Lise znów usłyszała, że jej poprzedniczka nie miała nic przeciwko otwartym drzwiom między biblioteką a powielarnią. Tego dnia Paul akurat był w biurze. Usłyszał rozmowę i zaproponował, by na zmianę otwierały drzwi i okno.

Koleżanki najwyraźniej uznały, że dopuściła się czegoś niewybaczalnego, odpowiadając na to, co mówiły, podczas obecności Paula. W każdym razie odnosiły się do niej tak, jakby doniosła szefowi. Przez resztę dnia cisza zapadała za każdym razem, gdy Anne-Lise musiała przejść przez Ogród Zimowy

Tego wieczoru, leżąc w łóżku razem z Henrikiem, Anne-Lise po raz pierwszy płakała z żalu za swoją dawną pracą.

Następnego dnia przekonywała się jednak, że na pewno wszystko się ułoży. Umalowała się mocniej niż zwykle, lecz przed wyjściem mimo wszystko zmyła makijaż, uznała, bowiem, że on ujawni jej bunt.

W biurze koleżanki wciąż się do niej nie odzywały. I w czasie, gdy w jej głowie aż się gotowało od rozważań nad tym, co powinna zrobić, rozmawiała ze sobą w duchu głosem, który starał się nie być przerażony: „Potrzeba czasu, żeby wpasować się w nowe miejsce. Muszę tylko zachować odwagę i dobry humor. Na pewno wszystko się ułoży”.

Ale tego dnia przed południem spytała Malene, kiedy wreszcie będzie mogła rozpocząć swoją właściwą pracę. Najwyraźniej nie powinna była tego robić, przynajmniej takie wrażenie odniosła z krótkich odpowiedzi i odpychających min koleżanek.

Musiało być jeszcze wiele innych rzeczy, które zrobiła nie tak. Trudno jednak było stwierdzić, co. Nikt nic o tym nie mówił. Tak samo jak nikt nie chwalił, ani nie krytykował pracy, którą wykonywała w bibliotece.

Podczas przerwy na lunch starała się udawać, że nic się nie dzieje. Słuchała młodzieńczych opowiadań Iben i Malene, usiłowała uśmiechać się i śmiać w tych momentach, kiedy śmiała się Camilla. Sama również opowiadała jakieś historyjki i wciąż odczuwała różnicę w poczuciu humoru. Jej opowieści nikogo nie bawiły. Ale mógł to również być rodzaj kary za przewinienie, którego najwyraźniej się dopuściła.

Dwa dni później Anne-Lise podczas nieobecności Paula spytała koleżanki wprost, czy zrobiła coś złego.

Odpowiedziały, że nie. Próbowала się dowiedzieć, o co tak naprawdę chodzi, i w pewnym momencie udało jej się nawet skłonić Iben do wyznania, że Anne-Lise za bardzo się upierała przy otwieraniu okna w powielarni. I że nie powinna go była sama otwierać, skoro miało być zamknięte.

Ta krótka rozmowa trochę pomogła, przynajmniej tak jej się wydawało. I chociaż Paul zdecydował, że okno ma być na zmianę otwierane i zamykane, Anne-Lise zgodziła się, że może być zamknięte. Od tej chwili wydawały się bardziej przyjazne. Kilka razy Iben i Malene same z siebie do niej zagadały i nie przerywały już swoich rozmów, gdy Anne-Lise się zbliżała.

Ale pod koniec tego samego dnia Anne-Lise najwidoczniej musiała znów zrobić coś nie tak.

Iben i Malene zaczęły sobie robić żarty przy wysyłaniu faksu. Tutejsze urządzenie było inne niż w Bibliotece Miejskiej w Lyngby, więc któregoś z pierwszych dni Anne-Lise omyłkowo wysłała faks do prezesa zarządu, Olego Henningsena. Jego numer był wpisany w klawisz skrótów, więc urządzenie wysłało faks od razu w momencie, gdy Anne-Lise wcisnęła pierwszą cyfrę numeru właściwego odbiorcy.

Teraz Iben i Malene stały przy faksie i żartowały. Rozmawiały przy tym na tyle głośno, iż mogły mieć pewność, że Anne-Lise je słyszy. A w ich głosach dźwięczał ten ton, który, jak Anne-Lise zdążyła się już zorientować, oznaczał „teraz robimy sobie jaja”. Malene powiedziała głośno:

- Obym tylko się nie pomyliła przy wysyłaniu tego faksu.

- A do kogo wysyłasz? - roześmiała się Iben.

- Do Olego.

- No nie, to chyba proste.

Nic więcej nie powiedziały. Jedynie po drwiącym tonie można było poznać, że naśmiewają się z niej. Nie mogła, więc zaprotestować.

Zanim wyszła do domu, Camilla też się od niej odsunęła. Wcześniej Anne-Lise zdołała z nią kilka razy miło porozmawiać, gdy pozostałych koleżanek nie było w pobliżu. Teraz jednak i z tym nastąpił koniec. Gdy Anne-Lise coś opowiadała, Camilla wciąż uśmiechała się życzliwie, lecz w jakiś sposób zawsze udawało jej się zakończyć rozmowę, zanim właściwie się rozpoczęła.

Już po pięciu miesiącach Anne-Lise płakała niemal, co wieczór. Płakała w samochodzie, jadąc do domu i do dzieci. Płakała, szykując jedzenie, kiedy dzieci oglądały telewizję, a później w łóżku z Henrikiem szlochała w jego objęciach, najbardziej na świecie żałując, że zrezygnowała z dawnej pracy. Zaledwie pół roku wcześniej była wesołą, zadowoloną osobą, a jej największy problem stanowiło to, że niekiedy w Bibliotece Miejskiej dni płynęły nieco zbyt monotennie.

Henrik ją pocieszał, mówił, że na pewno znajdzie jakąś inną pracę, lecz Anne-Lise, słysząc to, szlochała tylko głośniej.

- Przecież nie ma innych prac! Wszyscy ograniczają zatrudnienie! Nie ma innych miejsc, w których bibliotekarka nagle wyjechałaby do Finlandii. Nie ma żadnej dziury, w którą dałoby się wskoczyć!

- Ale jeśli znalazłaś tę pracę, to równie dobrze możesz znaleźć inną.

- Nikt nie zatrudni kobiety czterdziestoletniej, dobrze o tym wiesz! Jeśli już raz na kilka lat trafi się wolne stanowisko, to wołają przyjąć kogoś młodego!

Anne-Lise wtulała się w Henrika i policzkiem wyczuwała, że T-shirt, w którym sypiał, zrobił się mokry. Żałowała wszystkiego, co zrobiła w biurze.

- Po co ja mówiłam o tym oknie? Po co je w ogóle otwierałam?

Henrik obejmował ją i powtarzał spokojnie:

- To nie o to chodzi. To przecież taki drobiazg.

- Właśnie, że tak! Taki drobiazg! Skąd mogłam o tym wiedzieć? Skąd mogłam wiedzieć, że to takie straszne? Wszystko musi być tak, jak one chcą! Wszystko! I to taki drobiazg?

Następnego dnia rano w biurze Anne-Lise ściągnęła z Internetu program odnajdujący i odczytujący usunięte pliki.

W czasie, gdy koleżanki sądziły, że ona siedzi w ciszy, przedzierając się przez śmiertelnie nudne katalogowanie, zainstalowała program i znalazła w swoim komputerze sporo interesujących rzeczy.

Możliwe, że poprzedniczka Anne-Lise nigdy w obecności koleżanek nie skarżyła się na warunki pracy, ale pisała maile do swoich przyjaciółek i do męża o tym, jak nienawidzi każdej godziny spędzonej w DCIL.

W liście do przyjaciółki napisała również, że ogromnym szczęściem jest wyjazd jej męża do Finlandii, bo w Danii bibliotekarka nie ma szans na jakąkolwiek pracę.

Ponadto Anne-Lise znalazła obszerną korespondencję bibliotekarki z użytkownikami centrum. Najwyraźniej, więc jej poprzedniczka nie została z góry skazana wyłącznie na skanowanie i katalogowanie.

To znaczyło, że wszystkie mające związek z ludźmi obowiązki Anne-Lise Malene musiały przejść zaledwie w ciągu tych trzech tygodni, kiedy w centrum nie było bibliotekarki. I teraz nie zamierzała z nich rezygnować. Anne-Lise nie potrafiła sobie nawet wyobrazić awantury, która by wybuchła, gdyby ośmieliła się o tym wspomnieć.

25

Mija blisko rok od czasu, gdy Anne-Lise rozpoczęła pracę w DCIL. Późnym popołudniem zjeżdża sama starą windą z biura na dół. Zza zamkniętych drzwi centrum słabo dochodzi głośny śmiech Malene. Potem ich wesołość znika i winda obejmuje Anne-Lise swym zwykłym postukiwaniem i świstem.

Wkrótce znajdzie się na zewnątrz budynku. Na tę chwilę cieszy się już od momentu, gdy się obudziła rano. A szczerze mówiąc, cieszyła się na to już wczoraj wieczorem, gdy starała się zasnąć, i wcześniej, gdy jadła obiad razem z Henrikiem i dziećmi. Teraz zostało jej parę godzin do chwili, gdy zacznie się bać jutrzejszego pójścia do pracy i cieszyć, że ten dzień także się skończy. Bierze kilka głębokich oddechów, powoli wypuszcza powietrze.

Na samej górze drewnianych paneli windy ktoś wyrzył trzy malutkie nieprzyzwoite rysunki. Anne-Lise przygląda się im, czując lekkie szarpanie i ściąganie podłogi, która spokojnie zwozi ją na dół i oddala od DCIL.

Umówili się z Henrikiem, że dzisiaj to on odbierze dzieci. Zawiezie je też na piłkę nożną i na taniec. Czekając, aż wyjdą z zajęć, załatwi w samochodzie różne sprawy papierkowe.

Dzięki temu Anne-Lise będzie miała przed obiadem półtorej godziny dla siebie, odwiedzi ją wreszcie stara przyjaciółka, Nicola. Już od roku nie miały okazji spotkać się tylko we dwie. Anne-

Lise musi jeszcze w drodze do domu kupić ciastka, a nie chce, by Nicola czekała, więc po wyjściu z DCIL od razu biegnie do samochodu.

Nagle okazuje się, że jedzie autostradą na Helsingor, na wschód od Lyngby. To nie jest właściwa droga. Musiała znaleźć się na złym pasie, kiedy szosa się rozwidła. Znajduje zjazd, na którym może zawrócić i pojechać z powrotem w stronę obwodnicy Lyngby.

Anne-Lise i Henrik mieszkają w starej, otynkowanej na czerwono willi niedaleko rezerwatu Vaserne, na północ od Holte. Willa położona jest parę ulic za domami, których właściciele zapłacili dodatkowe półtora miliona za widok na jezioro Fureso. W zamian za brak widoku Anne-Lise i Henrik mają wielki ogród. Właściciele większości starych willi w sąsiedztwie w latach sześćdziesiątych albo siedemdziesiątych rozparcelowali swoje ogrody na małe działki budowlane.

Dzielnica jest dobra dla dzieci. Niedaleko do lasu i na plażę, wszędzie są towarzysze zabaw. Cała okolica pełna jest rodzin, dla których tak jak dla Anne-Lise i Henrika dobro rodziny jest ważniejsze niż adres nad wybrzeżem Oresundu.

Gdy Anne-Lise dojeżdża wreszcie do domu, Nicola już czeka pod daszkiem drzwi wejściowych. Jest ubrana w krótką, jasną, futrzaną kurtkę, która wygląda na drogą i ciepłą. Ma też brązowe eleganckie spodnie i lekkie kozaczki, prawdopodobnie od Prady, jak przypuszcza Anne-Lise, bo Nicola uwielbia tę markę. Na podjeździe zmieścił się też samochód Nicoli, małe czerwone autko dla żony, takie jak samochód Anne-Lise.

Nicola nie posiada się z radości, że nareszcie udało im się zgrać plany. Ścisła mocno przyjaciółkę.

- Przesunęłam obiad w domu, żeby mogła wreszcie zobaczyć Henrika i dzieci. - Nicola uśmiecha się i od razu próbuje wrócić do ich dawnych zwyczajów, które zaniedbywały przez cały rok. Wciąż trzyma Anne-Lise za ramię. - I tak się cieszę, że pokażesz mi wszystko, co zrobiliście w domu od czasu, gdy się ostatnio widziałyśmy.

Zanim Anne-Lise zaczęła pracę w DCIL, we dwoje z Henrikiem wyburzyli trzy ściany na dole, żeby mieć więcej przestrzeni. W dawnej pralni umieścili murowany stół i ogromną szafę. Zamówili we Włoszech stiuki i zamontowali je w pokojach. Gdy mniej więcej uporali się z domem, zajęli się przekształcaniem i pielęgnacją ogrodu.

Anne-Lise otwiera kluczem drzwi wejściowe, tłumacząc, że od ostatniego razu niewiele się tu zmieniło.

- Och, ani trochę w to nie wierzę! - mówi Nicola, idąc za nią korytarzem. - Przez cały rok? Jeśli dobrze cię znam, to zrobiliście mnóstwo!

W kuchni Anne-Lise chowa ciastka do lodówki.

- Ho, ho, ale ze mnie egoistka - śmieje się Nicola. - Myślałam, że będziemy je jadły!

- O Boże, przecież właśnie tak ma być!

Anne-Lise wyjmując ciastka, nalewa wody do elektrycznego czajnika i pyta Nicole, co słyszy u jej synka.

Bardzo sobie ceni przyjaźń z Nicola, właściwie dziwi ją, że przez tak długo nie miała siły, by ją zaprosić.

Poznały się wiele lat temu przez wspólną koleżankę Juttę, z którą obie od tamtej pory przestały się widywać. Wówczas chłopak Jutty studiował w Wyższej Szkole Handlowej i właśnie wśród przyszłych biznesmenów, z którymi się przyjaźnił, i Nicola, i Anne-Lise znalazły mężów. Mąż Nicoli jest teraz dyrektorem w firmie Maersk Oil. We troje z synem mieszkają w domu wielkości willi Anne-Lise i Henrika, który jednak kosztował dwa razy tyle, ponieważ jego ogród wychodzi właśnie na Oresund.

Z czasem Nicola przyswoiła sobie maniery obowiązujące na najdroższych ulicach w Hellerup, lecz nadal pracuje jako pielęgniarka. Anne-Lise w każdej chwili może liczyć, że Nicola jako jedna z niewielu osób zawsze otwarcie wyrazi swoje zdanie.

Na życzenie Nicoli po herbacie i ciastkach obchodzą jednak dom. Rundę kończą w ogrodzie, w którym poprzedni właściciel założył klomb rododendronów, dziś, co najmniej czterdziestoletnich.

Na jesiennych krzakach bzu liście są brązoworude po brzegach, lecz wciąż jeszcze zielone na środku. Niebo jest blade, a jagody na krzewach, które ozdabiają rabatę w końcu ogrodu, poczerniały, zapowiadając nadejście zimy. Z krzaczka pod jabłonią opadły liście i sterczą tam tylko intensywnie czerwone gałązki.

Nicola chwali rabatę, chociaż widziała ją już wcześniej. Bo rzeczywiście, tak jak mówiła Anne-Lise, ani w domu, ani w ogrodzie nie ma nic nowego. Magnolie, które Anne-Lise miała zasadzić przed rokiem, nie pojawiły się. Wciąż nie ma też domku do zabawy dla Ulrika, który miał powstać na jabłoni.

Anne-Lise przypomina sobie, jak jeszcze parę lat temu paliła się, by to wszystko zrobić. W weekendy oboje z Henrikiem brali się wcześniej do pracy, a wieczorem on ją obejmował i przyglądali się temu wszystkiemu, czego udało im się wspólnymi siłami dokonać.

Teraz Anne-Lise rzadko odzyskuje zainteresowanie ogrodem, zwykle pod czyimś wpływem, ale trwa ono krótką chwilę i potem gaśnie.

Wracają do salonu i siadają przy kominku, którego Anne-Lise jednak nie rozpala. Rozmawiają o dzieciach, o mężach, o dawnych znajomych. Anne-Lise myśli, że jest taka jak zawsze. Sądzi, że Nicola nic nie zauważy, ale w środku opowieści o nowym trykocie Clary na lekcje tańca Nicola jej przerywa.

- Anne-Lise?

- Tak?

- Musisz mi powiedzieć, o co chodzi.

Anne-Lise patrzy na nią, niczego nie rozumiejąc, a Nicola mówi:

- Coś się dzieje w pracy, prawda? Dalej się tak zachowują wobec ciebie?

Wkrótce po rozpoczęciu pracy w DCIL Anne-Lise trochę opowiadała Nicoli o tym, jak koleżanki się do niej odnoszą. Wszystko jednak starała się sprytnie zakamufłować i o najgorszym nie wspomiała.

- Bardzo się zmieniłaś - oświadcza Nicola.

- Ależ skąd!

- Anne-Lise, nie wolno ci się do tego przyzwyczajać. Ty taka nie jesteś. Już tego nie pamiętasz?

Nicola patrzy jej w oczy. Ręką wykonuje gwałtowny gest w stronę Anne-Lise, aż spod rękawa bluzki wysuwa się złoty łańcuszek.

- Nie możesz zadzwonić do swojej dawnej szefowej? Tak bardzo cię przecież lubiła. Może mogłabyś tam wrócić?

Anne-Lise patrzy na nią w osłupieniu. Już sama myśl o tym, że komuś może się to wydawać takie proste, wytrąca ją z równowagi. Ściany salonu odsuwają się, w oczach ma za dużo wilgoci, żeby mogła widzieć wyraźnie.

Nicola dotyka jej ręki i mówi cicho:

- Musisz komuś powiedzieć, co robią twoje koleżanki. Inaczej zniszczą ci i życie prywatne. Popsują wszystko.

Anne-Lise pokasłuje, cieknie jej z nosa. Po raz pierwszy opowiada o wszystkim komuś innemu niż Henrikowi. Mija zaledwie chwila, a Nicola już musi biec do kuchni po papierowy ręcznik. Kiedy wraca, Anne-Lise ciągnie:

- Nie rozumiem, jak mogą być takie podłe! I jeszcze uważają, że są takie dobre, pełne ideałów. Przecież widzą, co się ze mną dzieje...

Nicola gładzi Anne-Lise po ręce. To takie inne od wszystkiego, czego Anne-Lise doświadcza na co dzień. Wstaje i obejmuje przyjaciółkę.

- Obojętne im jest, czy będę bezrobotna, czy się rozwiodę, czy to się odbije na moich dzieciach. Z takimi ludźmi muszę pracować. Do takich ludzi muszę się codziennie uśmiechać. Muszę patrzeć im w oczy i udawać, że nie czuję do nich nienawiści.

- Anne-Lise, powinnaś rzucić tę pracę.

- Nie mogę.

- Owszem, możesz. Później znajdziesz sobie coś innego. Anne-Lise wyrywa się. Odwraca wzrok.

- Ale przecież ja nie chcę stać się taka! - I wcale się nie staniesz.

- Tak, będę taka jak Jutta. Ja nie chcę być taka... Znienawidziłabym siebie.

- Nigdy taka nie będziesz - mówi łagodnie Nicola i wyciąga do niej rękę. - Ja to wiem, Anne-Lise. Cokolwiek by się stało, nigdy nie będziesz taka jak Jutta.

- Ale ja przecież nigdy nie znajdę pracy. Ja... To wszystko będzie... A ja przecież... Moje dzieci...

- Chodź, Anne-Lise, siadaj! Chodź tutaj.

Gdy Anne-Lise i Nicola przyjaźniły się z Juttą, ona pracowała w agencji reklamowej. Pokłóciła się jednak z szefem i nie mogła tam dłużej zostać. Znalazła sobie inną pracę, ale teraz nie mogła się zgodzić z kolegami.

Mąż Jutty założył własną spółkę inwestycyjną i wkrótce zaczął zarabiać kilkakrotnie więcej niż mężowie Anne-Lise i Nicoli, Jutta mogła, więc nie pracować. Nie czuła się jednak z tym najlepiej i mąż dał jej pieniądze na otwarcie niedużego sklepu przy Gronnegade z ekskluzywnym francuskim i włoskim wyposażeniem kuchni.

Sklepu po paru latach też nie mogła znieść i całkiem zrezygnowała z pracy.

Teraz Jutta chodzi ubrana znacznie drożej, niż wtedy, gdy pracowała, a jej dom jest naprawdę fantastyczny. Podłogi są z sosny oregońskiej i, podobnie jak sosnowe panele, ozdoby i meble, zostały zaprojektowane specjalnie przez szwedzkiego architekta, zainspirowanego pracami Alvara Aalto, z którym Jutta nawiązała kontakt po przeczytaniu długiego artykułu na jego temat w jednym z pism wnętrzarskich.

Gdy spotyka się z kobietami, które pracują, pyta, jak im leci, i mówi: „Ach, to interesujące” i „To musi być dla ciebie ciekawe”. Ale jej zainteresowanie jest powierzchowne, wyczuwa się pod nim wyższość, jak gdyby uwierzyła czasopismom, że stała się lepsza i nowocześniejsza dzięki temu, co sobie kupiła.

Przeświadczenie to podziela niewielka grupka jej kompletnie nieznośnych przyjaciółek i z każdym rokiem spotkania z nią stają się coraz mniej przyjemne. Jutta mówi w taki sposób, jakby wszystkie, oprócz niej, się poddały, jakby żadna, oprócz niej, nie potrafiła sprostać podstawowym wymagom, którym sprostać powinna każda Dunka.

Kilka lat temu Jutta parę razy zadzwoniła w środku dnia do Anne-Lise i Nicoli, bełkocząc coś do słuchawki. Nie wiedzą jednak, jak często upija się sama w domu, wśród swoich unikatowych mebli.

Po tych telefonach zdecydowały, że spróbują coś zrobić, by jej pomóc. To jednak okazało się niemożliwe, ponieważ jest tak odpychająca, a w dodatku traktuje je z taką pogardą.

Najgorsze, że pewna znajoma, której dzieci chodzą do jednej szkoły z dziećmi Jutty, twierdzi, że dzieci Jutty są agresywne i sprawiają wiele kłopotów. Może Jutta zrezygnowała z nich tak jak z pracy?

Anne-Lise przestaje szlochać. Słyszą samochód Henrika na wysypanym żwirze podjeździe. Dzieci wracają do domu. Za chwilę wpadną do salonu i będą się od niej domagały całej jej uwagi.

Anne-Lise przez moment nie wie, co robić. Potem biegnie do drzwi, wołając:

- Powiedz im, że jestem w łazience!

Już w korytarzu odwraca się i wsuwa głowę do salonu.

- Dziękuję, Nicola, dziękuję. Muszę zaraz...

Biegnie na górę, do łazienki, żeby poprawić twarz. Słyszy, jak dzieci wpadają do salonu, do Nicoli, wołając: „Mamo! Mamo!” Czuje się okropnie, że tak się przed nimi chowa. Słyszy głosy Nicoli i Henrika, wchodzącego do domu i zatrząskującego za sobą drzwi.

W lustrze widzi, że dobrze zrobiła, uciekając, bo dzieci by się wystraszyły. Plamy tuszu rozmazały się wokół oczu, szminka roztarła się na policzku, a wierzchem dłoni ubrudziła nią również nos.

Czym prędzej usuwa z twarzy resztki makijażu i przemywa oczy zimną wodą. Musi też trochę się podmalować, by ukryć zapuchnięcie i czerwone plamy. Wykonując gorączkowe ruchy, słyszy, jak Ulrik biega po pokojach.

Często myśli o tym, że jej problemy w żaden sposób nie mogą się odbić na Ulriku i Clarze.

Dopóki Anne-Lise nie zaczęła pracować w DCIL, nigdy by jej nie przyszło do głowy, że może chcieć zrezygnować z pracy, złożyć wypowiedzenie i iść w nieszczęśliwe pijackie ślady Jutty.

Może już jest z nią źle. Może wszyscy już coś zauważają, lecz tylko Nicola, jako jedyna, cokolwiek powiedziała. Może również jej dzieci zapłacą za jej pracę w DCIL.

Anne-Lise wraca do salonu. Dzieci nic nie widzą, Nicola bawi się z nimi, rozmawia z Henrikiem, a wkrótce się żegna.

Dziś wieczorem w menu jest pizza z zamrażarki. Kiedy się piecze, Anne-Lise cicho opowiada Henrikowi o wizycie i o tym, co się stało. On obejmuje ją długimi, chudymi ramionami. Anne-Lise policzkiem sięga mu zaledwie do piersi. Henrik nie musi nic mówić.

* * *

Wieczorem, kiedy Clara, co najmniej osiem razy spakowała swój plecak i tyleż razy go opróżniła, i kiedy dzieci wreszcie są już w łóżkach, dzwoni Nicola.

- Nie skończyliśmy. Nie mogę tak po prostu odejść, kiedy ty się tak czujesz.

Anne-Lise zdążyła już wrócić do swego normalnego stanu. Mówi, że to wszystko nie jest aż tak poważne, jak się jej wydawało po południu. Przykro jej, że tak przestraszyła Nicole, ale na ogół tak się nie zachowuje.

Właściwie mogłaby już odłożyć słuchawkę, ale Nicola nie ma takiego zamiaru.

Podczas tej rozmowy Anne-Lise ogarnia coraz większy spokój. A Nicola coraz bardziej się podnieca. Po kwadransie jej głos staje się wręcz przenikliwy.

- Ty przecież całkiem zapomniałaś, jaka jesteś świetna w tym, co robisz. Nie pamiętasz, jak pracowałaś w Lyngby? To ty byłaś wtedy odpowiedzialna za czytelnię i za abonentów bazy danych. Za to, co trudne! To ty dostałaś tę pracę spośród osiemdziesięciu innych kandydatów! Nie przypominasz sobie tego? Musisz iść do lekarza, Anne-Lise! Musisz dostać zwolnienie! Przecież one cię niszczą! Widzę, że się kompletnie załamałaś!

Anne-Lise patrzy na wielkie, ciemne okna wychodzące na ogród. Przenosi się z bezprzewodowym telefonem na kanapę, opiera plecami o jej bok, a nogi podciąga do góry i okrywa pledem.

- Mogę narobić jeszcze większych szkód, jeśli przedstawię swoją wersję wydarzeń w związku zawodowym i w zarządzie centrum.

- To chyba obojętne!

- Mogę sobie wyobrazić, że Malene, i może również Iben, zostaną zwolnione, a mając za sobą taką historię, nigdy nie znajdą pracy w...

- Przestań! - woła Nicola.

- Jeśli doprowadzę do ich zwolnienia, to przecież nie zdołam już tego cofnąć.

Ostatni raz Anne-Lise słyszała, jak Nicola tak krzyczała, kiedy miały po dwadzieścia lat.

- Ty się bardziej martwisz o nie, niż o siebie! Nie widzisz, że to idiotyczne? Jesteś jak królik oślepiiony reflektorami samochodów na autostradzie! Zostałaś wciągnięta w jakąś ohydną grę!

- One na pewno mają i dobre strony, których ja po prostu nie...

- Przestałaś już reagować rozsądnie, Anne-Lise! Nie jesteś już w stanie się bronić! Koniecznie musisz stamtąd odejść! I to już teraz!

* * *

Parę tygodni po wizycie Nicoli Iben i Malene dostają anonimowe maile z pogrózkami.

I właśnie podczas zamieszania w biurze dzień później Anne-Lise po raz pierwszy mówi - bardzo niepewnie, strasznie ze sobą walcząc - że koleżanki się na nią uwzięły. Malene, Iben i Camilla natychmiast ją atakują.

Albo potrafią doskonale kłamać, albo też - co jest o wiele bardziej prawdopodobne - potwornie okłamują siebie i naprawdę nie widzą, że w ciągu zwyczajnego tygodnia pracy ani nie rozmawiają z Anne-Lise, ani nie patrzą jej w oczy.

Być może nie wiedzą również, że zmuszają ją i do tego, by była inną osobą niż dawniej. „Szara, nudna bibliotekarka”, wyłączoną z wszelkiego życia społecznego. Taką chcą ją widzieć, a ona nie jest w stanie zmienić tego obrazu.

Dzień po tej scysji Anne-Lise zostaje wezwana do gabinetu Paula na zebranie. Koleżanki w obecności szefa oświadczają, że drzwi między Ogrodem Zimowym a biblioteką zawsze były zamknięte, ale żadna nie wspomina, że przez pierwszy miesiąc jej pracy w centrum były jednak otwarte. Dopiero później Camilla stwierdziła, że od przeciągu z otwartych drzwi może się nabawić reumatyzmu.

Na tym zebraniu Paul po raz pierwszy podejmuje decyzję na korzyść Anne-Lise. Nareszcie po całym roku cierpliwego wyczekiwania Anne-Lise będzie miała kontakt z użytkownikami centrum, który obiecano jej podczas rozmowy o pracę i który był zasadniczym powodem jej rezygnacji z poprzedniego stanowiska. A poza tym drzwi do biblioteki mają teraz stale być otwarte.

Nie mija tydzień od tego zebrania, jak koleżanki się mszczą. I robią to dotkliwiej, niż Anne-Lise mogła sobie wyobrazić. Pewnego dnia przed południem Anne-Lise zauważa u siebie na rękach jakiś brązowy proszek. Zastanawia się, co to może być, i widzi, że zdążyła już rozmazać go na bluzce. Na twarzy również ma kolorowe smugi.

Idzie do nich, żeby zapytać, czy nie wiedzą, skąd to się wzięło. Jak zwykle czuje się nieswojo, stoi, podczas gdy one siedzą. Patrzy na twarz Malene. Widzi, że Malene coś wie. To jej część zemsty. Tak samo jak parę dni wcześniej, gdy Malene upokorzyła ją w obecności Frederika Thorsteinssona.

Anne-Lise wciąż nie ma pojęcia, czym poplamila sobie ręce. Przeszukuje swoje stanowisko pracy, a gdy przechyła jeden z segregatorów na czasopisma z najwyższej półki regału, jakaś ciecz wylewa jej się na twarz i rękę.

Czym prędzej zamyka oczy, odskakuje i wypuszcza z rąk segregator. Słyszy, jak upada na podłogę, i czuje, że jego zawartość rozpryskuje się dookoła.

Krzyczy, usiłując otworzyć oczy. Ciecz jest gęsta, cała jest nią spryskana, ale do oczu nie spływa. Anne-Lise widzi, że to krew.

Cała jest oblana krwią. Jest tak wstrząśnięta, że całkowicie się zacina. Jediną rzeczą, jaką może zrobić, to patrzeć na Malene, która stoi w drzwiach.

Malene świetnie potrafi odgrywać przerażenie. Ale tym razem nie najlepiej jej to wychodzi. Spod jej udawanej miny przebija pełen zadowolenia uśmiešek.

Anne-Lise chce tylko stąd wyjść, uciec do domu. Nie słyszy, co one mówią. Wyciera się papierowymi chusteczkami, myje się w toalecie i przyjmuje propozycję Paula powrotu do domu taksówką, chociaż jej samochód stoi na dole na ulicy.

Dopiero po powrocie do domu i po kąpieli dzwoni do Henrika. Chodzi po pokojach z bezprzewodowym telefonem w ręku, z głową owiniętą białym ręcznikiem, w białym szlafroku.

Tego dnia wydarzyło się coś ważnego. Jest roztrzęsiona wewnątrz, ale po kąpieli wszystko to wydaje się jej dość odległe.

- Musisz rzucić tę pracę! - krzyczy Henrik do słuchawki. - Następnym razem cię zabiją!

- Ale kiedy mnie zobaczyły we krwi, to Iben i Camilla były przerażone i mi współczuły.

Anne-Lise idzie do kuchni przygotować sobie bułkę z serem.

- Myślę, że żałują tego, co zrobiły - mówi. - Może teraz wyrzuciły już z siebie złość. Może to się już skończyło.

- Anne-Lise, to się n i e skończyło!

- Pomogły mi wycierać. Myślę, że były przerażone sobą.

- One nie przestaną! Anne-Lise, posłuchaj mnie... One. Nie. Przestaną!

Anne-Lise nie odpowiada.

W słuchawce słychać świst, z jakim Henrik bierze głęboki wdech, żeby mówić dalej. Nagle jednak zapada cisza. Przez chwilę nie wie, co powiedzieć.

W końcu rozlega się jego głos, bardzo zdecydowany:

- Jadę do domu. Roześlę maile, że jestem chory. Będę za dwadzieścia minut.

Anne-Lise starannie smaruje bułkę. Zjada ją, chodząc boso po parkiecie. Zatrzymuje się na wprost wielkiego okna, skąd ma widok na drzewa owocowe w ogrodzie. Myśli, że nie tylko one wyzbyły się złości, oblewając ją krwią. Ona również od czegoś się uwolniła, ale, od czego, sama nie wie.

26

Po dwudziestu minutach spędzonych w ciszy i samotności Anne-Lise słyszy, jak audi Henrika ostro hamuje na podjeździe. Mąż wbiega do przedpokoju.

- Chodź, opowiedziałem Yngvemu, co przeżyłaś. Ma teraz dla ciebie czas. Jedźmy do niego od razu.

Yngve od lat jest lekarzem rodzinnym Anne-Lise i Henrika, a ponieważ nigdy nie poznali nikogo innego o tym imieniu, zwykle tak o nim mówią. Gdy Henrik swego czasu miał kłopoty z kolanem po wypadku samochodowym, Yngve okazał się bardziej kompetentny niż specjalista, który go leczył. A kiedy później Anne-Lise nie mogła zajść w ciążę, Yngve również okazał się lepszym lekarzem niż ginekolog, do którego ją skierowano.

Dlatego zdecydowali, że pozostanie ich lekarzem, nawet, kiedy przeprowadzili się z Osterbro w okolice na północ od Holte, chociaż musieli z tego powodu zmienić ubezpieczenie na droższą, drugą grupę.

Yngve jest mężczyzną, którego wszyscy zgodnie uważają za bardzo przystojnego, nawet teraz, gdy przekroczył pięćdziesiątkę. Ma głęboki, melodyjny głos, krótkie, ciemne włosy i gładko wygolony, ostry podbródek.

Z jakiegoś powodu Anne-Lise wydaje się, że jest samotny. Poza tym może być gejem, bo ma w sobie coś dziwnego, czego ona nie potrafi sprecyzować.

Sekretarka medyczna od razu wprowadza ich do gabinetu.

Oboje siedzieli już w tym miejscu, wystraszeni, czekając na diagnozę dotyczącą ich choroby. Setki innych ludzi tkwiły tu w takim samym napięciu, w tym samym niewielkim pomieszczeniu, w którym unosi się zapach mydła, lekarstw i bandaży.

Henrik i Anne-Lise siadają na tanich składanych krzeselkach z metalowych rurek i czarnego plastiku. Yngve nigdy nie tracił pieniędzy na wyposażenie wnętrza. On sam również siada na zwyczajnym biurowym krześle.

Kładzie swoje wielkie dłonie na biurku i prosi, by opowiedzieli, z czym do niego przyszli.

Przerywa Anne-Lise już po paru słowach.

- Musisz wiedzieć, że mobbing jest śmiertelnie niebezpieczny. Groźniejszy niż palenie czy alkohol. Ofiarom mobbingu wydaje się czasami, że będą w stanie to wytrzymać, ale tego nikt nie zniesie.

Wystarcza kilka minut, by człowiek poddał się Yngvemu, atmosferze i zapachowi tego pomieszczenia. Anne-Lise przypuszcza, że mąż odnosi podobne wrażenie. Czuje, jak się jej rozluźniają mięśnie twarzy.

- Wiem - odpowiada krótko.

- Obserwuję to w swojej praktyce - ciągnie Yngve. - Ludzie, których dotknął mobbing, popełniają samobójstwa, umierają na rozmaite choroby, na które nie zapadaliby, gdyby nie ta sytuacja. Albo też chorują na skutek braku pracy czy alkoholizmu, do czego doprowadził ich mobbing.

Henrik prostuje się na swoim krześle i z zadowoleniem patrzy na Anne-Lise. Przez krótką chwilę jest na tyle naiwny, by sądzić, że są zgodni z Yngvem w swoich opiniach.

- No właśnie - mówi. - Dlatego musisz iść na zwolnienie! Jutro możesz być na zwolnieniu, a potem złożysz wypowiedzenie. Nie musisz tam wracać, nawet na jeden dzień!

Yngve poruszył swymi spokojnymi dłońmi i uderzył w stół niedużym notesem.

- Tak, to prawda. Można i tak. Ale chyba się z tobą nie zgodzę.

Anne-Lise zerka w bok, na Henrika, który uśmiecha się na kruchym krześle i z ciekawością czeka na kontrargumenty.

- Zainstalowałam na swoim komputerze taki program - mówi Anne-Lise - który nie pozwala nikomu innemu zobaczyć, co robię w Internecie. Dzięki niemu mogę w godzinach pracy wchodzić na strony z ogłoszeniami i pisać podania o pracę. Yngve uśmiecha się do niej.

- Bardzo dobrze. Zgłosiłaś się gdzieś?

- W ciągu ostatniego półrocza odpowiedziałam na dwadzieścia dwa ogłoszenia i nie zaproszono mnie na żadną rozmowę. Dzwoniłam z pytaniem, co źle zrobiłam. Wszystko było bez zarzutu, ale wszędzie mają mnóstwo zgłoszeń i zawsze przyjmują kogoś młodszego.

- Postanowiliśmy, więc zrobić przerwę w tych podaniach - dodaje Henrik.

- Tak, na razie. Już tego nie wytrzymuję.

Yngve składa dłonie.

- To oznacza, Anne-Lise, że masz trzy możliwości: Albo pozwolisz się usunąć z rynku pracy - a wtedy nie jest wcale pewne, czy kiedykolwiek jeszcze będziesz pracować. Albo zostaniesz i pozwolisz się zaszczuwać. Albo trzecia możliwość: zostaniesz w pracy, ale doprowadzisz do tego, że przestaną cię szykanować.

- Sądziłem, że w opinii wszystkich ekspertów człowiek, który znajdzie się w takiej sytuacji, powinien jak najszybciej się od niej uwolnić, ponieważ tej walki nie można wygrać - wtrąca Henrik.

- Rzeczywiście tak mówią - przyznaje Yngve.

Ale to zdaje się nie wywierać na nim wrażenia. Mówi dalej, tak jakby „wszyscy eksperci” byli mu obojętni. Jego spokojne, piwne oczy spoglądają najpierw na Anne-Lise, potem na Henrika.

- Jeśli złożysz wymówienie, do końca życia będziesz uważała się za przegraną, a świat za zły. To cię zniszczy. Jeśli pozwolisz im to kontynuować, one zniszczą cię. Zalecałbym, więc konfrontację. Zdecydujesz się na podjęcie walki?

Anne-Lise w pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, dlaczego Henrik chciał ją zaciągnąć do lekarza. Teraz jednak widzi, że to był dobry pomysł.

- Tak - odpowiada.

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

- Dobrze. Cieszę się, że tak mówisz. Bo możesz to zrobić. Znam cię od lat i wierzę, że jesteś w stanie zmienić warunki, w jakich pracujesz.

Coś w sposobie mówienia lekarza, w jego głębokim, melodyjnym głosie sprawia, że Anne-Lise czuje się bezpieczna. Yngve uśmiecha się do niej.

- Wierzysz mi, kiedy mówię, że możesz to zmienić?

- Tak... tak, wierzę.

- To dobrze.

Anne-Lise patrzy na wielkie dłonie Yngvego, który odchyła się na krześle, jak gdyby jeden rozdział właśnie został zamknięty i teraz mieli zabrać się do następnego.

- Powiem ci, że ludzi, którzy padają ofiarą mobbingu, n i e łączą żadne wspólne cechy osobowości. Robiono w tym zakresie badania i oczywiście próbowano dowieść, że szczególnie podatne na mobbing są osoby aspołeczne, zamknięte w sobie, leniwe, niezdolne czy charakteryzujące się czymś innym, co może irytować kolegów z pracy. Tak jednak nie jest. Wprost przeciwnie. Wiadomo, że szykanowani bywają często ci najzdolniejsi. Być może jest jedna

powtarzająca się cecha osobowości: Wygląda na to, że ofiary mobbingu w wyższym stopniu niż ich koledzy unikają konfrontacji. Godzą się na coraz więcej w nadziei, że koledzy sami z siebie przestaną ich szykanować. Tak się jednak nie dzieje. Jak więc jest, Anne-Lise? Czy ty się boisz im coś powiedzieć?

Anne-Lise myśli o tym, jak bardzo niezwykły jest Yngve. Pozbawia człowieka woli. W wypadku innych osób byłoby to nieznośne, lecz z Yngvem człowiek po prostu się na wszystko godzi. A gdy już raz się to stanie, to nawet można znaleźć w tym przyjemność.

- W poprzedniej pracy tak się nie bałam - mówi Anne-Lise. - Ale w DCIL liczy się dla mnie jedynie to, by dopuściły mnie do swego kręgu. Więc nie mogę po prostu zacząć się z nimi kłócić.

Yngve patrzy jej w oczy, nic nie mówi. Henrik też się nie odzywa. W końcu Anne-Lise podejmuje temat:

- Pewnie również, dlatego, że przez cały czas mam wrażenie, że stanie się coś okropnego, jeśli wyrażę własne zdanie choćby tylko w sprawie drobiazgu.

Zza drzwi dobiega hałas. Może to sekretarka upuściła tacę? Yngve nie reaguje, nawet się nie krzywi.

- Budzą w tobie takie uczucia, aby łatwiej im było tobą manipulować. Ale musisz wiedzieć jedno...

- Tak?

- Wiedz, że niektóre osoby z każdym tygodniem stają się coraz bardziej wojownicze. Jedyne, co można zrobić, to wytyczyć ostre granice, które będą dla nich wyraźne.

Yngve sprawia wrażenie bardziej zastygłego w swym spokoju niż zwykle. Być może to przejaw jego zaangażowania w problemy Anne-Lise. Może i on był kiedyś narażony na coś podobnego - myśli Anne-Lise, ale nic o tym nie wie i nie śmie pytać. Jak zwykle musi się pogodzić z tym, że go nie rozumie.

- Mobbing jest wszędzie, wśród dzieci, w szkołach i świetlicach - ciągnie Yngve. - Dzieciom godzinami się wpaja, że nikogo nie wolno prześladować. Są karane, gdy to robią. Podejmowane są też rozmaite inicjatywy polityczne, których jedynym celem jest ukrócenie mobbingu. Ale wszystko to bez powodzenia. W mojej praktyce lekarskiej mam kontakt z dziećmi cierpiącymi na poważne schorzenia i urazy psychiczne spowodowane mobbingiem.

Bierze długopis i układa go na płaskiej dłoni równolegle do palców. Przygląda mu się, nie dotykając go, a potem znów podnosi wzrok na Anne-Lise i Henrika.

- O mobbingu wśród dorosłych nie mówi się tak wiele, chociaż jest równie powszechny. Być może uważacie, że przesadzam. Ale ja po prostu sprawę mobbingu wśród moich pacjentów traktuję tak samo poważnie, jak raka czy choroby serca. I wiem, że powinienem tak właśnie do tego podchodzić.

Anne-Lise zastanawia się, czy Yngve ma kochankę, jeśli naprawdę jest gejem. On nie przestaje mówić:

- W rzeczywistości ludzie zabijają się nawzajem. Bez względu na to, jak wielkie środki przeznaczy się na profilaktykę i uświadamianie skutków, to i tak trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: to leży w ludzkiej naturze.

Teorie Yngvego ani trochę nie zgadzają się z opiniami naukowców, którzy przychodzą do DCIL. W artykułach, które Anne-Lise czytała, badacze przypadków ludobójstwa dochodzą do wniosku, że morderstwa na zwykłych ludziach dokonywane przez innych zwykłych ludzi - to jedynie wyjątek od reguły. Twierdzą, że „normalnością” w stosunkach międzyludzkich jest chęć współpracy i wzajemna życzliwość.

Żaden z badaczy problemu nie pisze o zabójstwach jako nieuchronnej konsekwencji „ludzkiej natury”. Ale stwierdzenie Yngvego: „to leży w ludzkiej naturze”, wciąż się przewija przez tę długą konsultację. Anne-Lise i Henrik siedzą na twardych plastikowych krzesłkach i nieustannie słyszą te słowa, powtarzane niczym mroczna mantra.

- Jemy, rozmnażamy się, chronimy swoich najbliższych, odrzucamy tych, którzy są inni, i zabijamy naszych rywali - mówi dalej Yngve. - Możemy podejmować próby zapanowania nad tym, mniej lub bardziej skutecznie. Ludzie tym różnią się od zwierząt, że dzięki sile woli mają możliwość wzniesienia się ponad własne instynkty. Żaden inny gatunek nie byłby w stanie stworzyć społeczności, w której nikt nie uprawia seksu, a tak jest przecież w Watykanie. Lecz jeśli tylko na chwilę przestaniemy się pilnować, większość z nas się poddaje. Jeden jest niewierny, inny zjada coś tuczącego albo powoli pozbawia życia kolegę z pracy. To ostatnie zachowanie jest do tego stopnia niepożądane, że człowiek woli zrobić to w pewnym rozrządzeniu, bo sam nie chce o tym wiedzieć. Musisz się liczyć z tym, Anne-Lise, że twoje koleżanki czują się mniej więcej tak jak ty, gdy pewnego wieczoru oglądasz telewizję, a obok ciebie stoi duża miska chipsów, których postanowiłaś nie jeść. Możesz utrzymać się w swoim postanowieniu dopóty, dopóki będziesz się na nim koncentrować. Lecz jeśli film choćby przez moment tak cię wciągnie, że zapomnisz o sobie samej, to bez zastanowienia, machinalnie, sięgniesz do miski. Kiedy film się skończy, okaże się, że chipsów nie ma, a ty tak naprawdę nie wiesz, co się z nimi stało. Podobnie rzecz się ma z twoimi koleżankami i z tobą. Być może kiedyś postanowiły, że będą dla ciebie życzliwe, a może nie. W każdych okolicznościach traktują cię jak rywalkę, czasami wręcz nie zdają sobie z tego sprawy, że ręka sama im się wyrywa. Wtedy zadają ci cios. To się dzieje automatycznie, później nawet nie pamiętają, że coś takiego zrobiły.

Anne-Lise jest wzburzona tokiem myślenia, w który Yngve chce ją wciągnąć, ale coś w niej powoduje, że wciąż siedzi najzupełniej spokojna na swoim krześle. Uświadamia sobie, że Henrik od dawna się nie odzywa, a za drzwiami kręci się sekretarka, pewnie zamiata to, co rozsypała.

Anne-Lise rozważa też w myślach, dlaczego zawsze uważała Yngvego za człowieka samotnego, skoro nic nie wie o jego życiu prywatnym. Czy to ma jakiś związek z jego inteligencją? Czy może, dlatego, że ona, nie zastanawiając się nad tym głębiej, zawsze wychwytywała w jego głosie coś, co starał się tłumaczyć?

Rozmawiają dalej o tym, że Anne-Lise nie może doprowadzić do konfrontacji w związku z oblanie krwi. Nie mając w ręku niezbitych dowodów, z pewnością przegrałaby tę walkę. Zostałaby odrzucona i naraziła się na jeszcze większą agresję.

- Musisz mi teraz powiedzieć, Anne-Lise, czy jest coś, co one zrobiły bezspornie źle i w związku z tym mogłabyś na pewno wygrać tę konfrontację?

- Ja już niczego nie jestem pewna. Cały czas podejmuję niedobre decyzje i robię głupie rzeczy. W głowie mam tylko to, że wszystko jest takie straszne. Nie jestem tak naprawdę sobą.

- No tak, to jasne, rozumiem. Ale to minie. Już możesz się na to cieszyć, chociaż akurat w tej chwili bardzo trudno w to uwierzyć.

Wchodzi sekretarka z informacją, że czeka następny pacjent. Mówi szybko i cicho, jakby się bała Yngvego.

Lekarz odpowiada jej życzliwie, ale krótko. Teraz, gdy nie zajmuje się Anne-Lise, ona może mu się lepiej przyjrzeć. Yngve jednak zaraz do niej wraca.

- Oczywiście musisz wiedzieć o czymś, co zrobiły wbrew interesom centrum.

Anne-Lise długo się namyśla.

- Jeden z naszych użytkowników, Erik Prins, powiedział, że Malene udzieliła mu błędnych informacji o możliwościach przeszukiwania biblioteki. Wyłącznie po to, by trzymać go z dala ode mnie. Może to mogłoby...

- Czy w poprzednim miejscu pracy zaakceptowałabyś podobne zachowanie?

- Nie, w żadnych okolicznościach.

- No to możesz wierzyć, że tu również źle się stało. I szkodzi to nie tylko tobie, lecz także interesom centrum.

Znów układa dłonie płasko na stole.

- Tę konfrontację potrafisz wygrać, prawda?

- No tak.

- Ale czy ty sama wierzysz, że ją wygrasz?

- Tak.

- To dobrze.

Wstaje i podaje rękę, najpierw Henrikowi, potem Anne-Lise.

- Dobrze by było, gdybyś jeszcze z tym do mnie przyszła. Zrozum, moim obowiązkiem jest bardzo poważne traktowanie zarówno groźnych dla życia sytuacji, jak i chorób moich pacjentów. Czy od tej pory i ty będziesz podchodzić do tego tak samo poważnie?

- Tak.

- I nie pozwolisz, żeby koleżanki doprowadziły do twojego odejścia z pracy, tylko podejmiesz walkę?

- Tak.

- Świetnie. Umówmy się na spotkanie, kiedy będziesz mogła mi opowiedzieć, jak się rozwija sytuacja. Powiedzmy za trzy tygodnie. Odpowiada ci to?

- Tak.

- To dobrze. Uzgodnij termin z rejestratorką.

Gdy Anne-Lise i Henrik wychodzą na ulicę, oboje są zaskoczeni, że jest jeszcze widno. Mają wrażenie, że powinien być wieczór. Ale od momentu, gdy Anne-Lise została oblana krwią, minęło zaledwie kilka godzin. Mają mnóstwo czasu do chwili, kiedy trzeba będzie odebrać dzieci.

* * *

W następnych dniach w pracy nie jest jednak wcale lepiej.

Anne-Lise próbuje skonfrontować Malene z faktem, że informując o możliwościach przeszukiwania biblioteki, powiedziała nieprawdę tylko, dlatego, by nie dopuścić do niej użytkowników. Malene jednak sprowadza dyskusję do oskarżenia, że Anne-Lise popełniła jeszcze większy błąd, nie mówiąc, kto jej o tym powiedział.

W Ogrodzie Zimowym po otwarciu drzwi do Anne-Lise zrobiło się ciszej. Koleżanki mówią szeptem albo piszą do siebie maile, wychodzą porozmawiać do kuchni albo do małej salki konferencyjnej. A gdy Anne-Lise je zaskakuje, pojawiając się nagle w Ogrodzie Zimowym, zauważa, że czasami komunikują się bezgłośnie, własnym językiem migowym i chichotami.

Podczas przerwy na lunch Iben jak zwykle wygłasza swoje krótkie wykłady. Często dotyczą one książek, które właśnie czyta, nie mogąc zasnąć. Ostatnio jest to głównie literatura naukowa z dziedziny psychiatrii.

Referując rozmaite teorie psychiatryczne, Iben patrzy na Anne-Lise. Wyraźnie chce sprawdzić jej reakcję. Najwidoczniej podejrzewa ją o rozszczepienie osobowości, a więc o ciężką chorobę psychiczną.

Pewnego wieczoru, po kolejnym dniu z okropną przerwą na lunch, pełną jadowitych aluzji i podejrzeń o chorobę psychiczną, Anne-Lise czyta na głos swoim dzieciom.

Ulrik i Clara leżą na piętrowym łóżku, które zachowało się z czasów przed przeprowadzką młodszej siostry z pokoju Ulrika do własnego. Po kwadransie czytania Małego domku w Wielkich Lasach ma przyjść Henrik i przenieść Clary razem z kołdrą do jej własnego łóżka.

Clara leży na plecach, na brzuchu trzyma lalkę Barbie. Bawi się nią, powtarzając bezgłośnie różne słowa. Czasami przydaje im trochę dźwięku, co brzmi jak mamrotanie. Sprawia wrażenie całkowicie pochłoniętej lalką, lecz Anne-Lise wie, że jutro Clara będzie doskonale pamiętać wszystko, co jej przeczytała.

Starszy brat Clary leży na górnym łóżku. Zrzucił z siebie kołdrę. Głowę opiera na drewnianej poręczy i patrzy na matkę.

Anne-Lise od czasu do czasu odrywa wzrok od książki i zagląda w jego uważne, duże oczy.

Mamrotanie Clary, chociaż dziewczynka nie jest tego świadoma, staje się coraz głośniejsze, ale wciąż tak samo niezrozumiałe.

Ulrik wychyla się ze swego łóżka i woła do niej:

- Przestań! Cicho bądź!

Clara nie patrzy na niego. W ogóle nie reaguje na krzyki brata, oprócz tego, że jej głos cichnie i zabawie lalką towarzyszą tylko bezgłośnie ruchy warg.

W pokoju jest ciepło - tak dzieci szybciej zasypiają. Czuć zapach pasty do zębów. Z gabinetu Henrika, który też znajduje się na pierwszym piętrze, dochodzą odgłosy świadczące o tym, że kolejny raz grzebie w swoich dwóch komputerach. Przy obiedzie mówił, że chce przetestować nowy program do kopiowania ustawień z jednego komputera do drugiego.

Mamrotanie Clary znów staje się głośniejsze.

Ulrik jeszcze raz wychyla się z górnego łóżka. Teraz już ze złością.

- Przestań! Przestań, powiedziałem! Zamknij się!

Anne-Lise czyta o tatusiu Laury, który w lesie spotyka jelenia z jelonkiem. Clara znów zniża głos do niesłyszalnego szeptu, a Anne-Lise nagle zaczyna płakać.

Jelonek nie ucieka, ale stoi nieruchomo i patrzy na ojca Laury wielkimi oczami. Łzy cicho płyną po policzkach Anne-Lise, która wciąż jest w stanie czytać tak, by dzieci niczego nie zauważyły.

W książce nie ma nic do płaczu. W pokoju też nie ma żadnego powodu do smutku, a mimo to łzy płyną ciurkiem i chociaż Anne-Lise jest równie cicha jak córka, Ulrik to zauważa.

- Co się stało, mam?

Ojciec Laury mówi, że nie będzie polował, dopóki dzieci zwierząt nie urosną, a Anne-Lise musi popatrzeć na tę buzię, która wpatruje się w nią, gdy ona czyta na głos.

Uśmiecha się do niego, nie mając pojęcia, co się z nią dzieje.

- Chyba się przeziębiam.

Clara ze swego łóżka widzi lepiej. Odkłada lalkę.

- Płaczesz?

- Nie, tylko się trochę przeziębiam.

- Boli cię? - nie ustępuje Clara.

- Nie, skądże.

- No to, dlaczego płaczesz?

Ulrik wychyla się i woła w dół do młodszej siostry:

- Mama wcale nie płacze! Jest przeziębiona!

Anne-Lise czuje, że za parę sekund wybuchnie łkaniem. Jej dzieci nie mogą tego zobaczyć.

Musi stąd wyjść. Czuje narastającą panikę. Podrywa się tak prędko, że aż robi jej się ciemno w oczach.

- Koniec na dzisiaj.

- Nieee!

Anne-Lise tłumi w sobie szloch.

- Owszem, koniec. Nic więcej nie będzie.

- Nie, nie! Poczytaj jeszcze!

Ogarnia ją panika.

- Henrik! Henrik! Musisz przyjść!

Wybiega z pokoju dziecinnego i na korytarzu wpada na męża. Teraz już szlocha bez opanowania, wołając:

- Idź im poczytaj!

Biegnie dalej, do sypialni, tam zatrząskuje za sobą drzwi, pada na łóżko i w kołdrze Henrika z całych sił stara się stłumić głośny płacz.

Wkrótce przychodzi Henrik, rozmawiają chwilę i on zaraz wraca do dzieci. Udaje mu się je uspokoić. Czyta im rozdział do końca i przenosi Clarę do jej łóżeczka.

Kiedy dzieci zasypiają, wraca do Anne-Lise. Podchodzi cicho do łóżka i siada przy niej. Anne-Lise nie otwiera oczu, ale czuje, jak pod ciężarem jego ciała ugina się materac przy jej głowie. Cieszy się, że on tu jest, i na osłep wyciąga rękę. On ją ujmuje. Żadne z nich nic nie mówi, a Henrik drugą ręką głaszcze jej skronie.

Anne-Lise jest gorąca od płaczu i rozluźniona. Wyobraża sobie, że jej rozgrzane i odprężone ciało rozplywa się i przenika przez włókna białej narzuty. Mogłoby przepłynąć przez kołdrę, przez materac i niżej, przez wszystkie belki i deski, przez pustą przestrzeń, przez cegłę i beton. Mogłaby

się przez to wszystko przesączyć i użyźnić glebę. Z czasem Anne-Lise przeniknęłaby w ziemię w ogrodzie, a deszcz zaniósłby ją do sąsiednich ogrodów, aż w końcu spłynęłaby do jeziora Fureso.

Henrik jeszcze raz pyta, czy powie mu, co się stało, ale ona tylko pomrukuje w odpowiedzi i wciska nos pod jego udo. Czuje na policzku przyjemne ciepło jego ciała, napawa się też własnym ciepłem.

Prawie bez świadomości kładzie mu rękę na brzuchu. On jeszcze raz pyta, dlaczego tak nagle wybuchła tym konwulsyjnym, niepoohamowanym spazmem. Anne-Lise nie odpowiada, tylko zaczyna poruszać ręką.

- To dobry pomysł? - pyta Henrik.

Teraz ona na niego patrzy.

Henrik wstaje, zamyka drzwi i gasi światło. Jedną z zalet takiej starej, solidnej willi jest to, że bardzo niewiele dźwięków przenika z pomieszczenia do pomieszczenia. Przy zamkniętych drzwiach nie muszą się martwić o to, że dzieci coś usłyszą.

Anne-Lise czuje się jak w spadającym samolocie. Cały świat z hałasem wiruje wokół niej, gdy nagle skrzydła maszyny się odrywają i świat leci w nicość. A ona może się wyginać i robić ze swoim nieważkim ciałem rzeczy, których zwykle nie robi. Może zapomnieć o wszystkim, jakby w rzeczywistości była kimś innym. Czuje jego pierś przy swojej, jej skóra otwiera się, ma wrażenie, że jej pot rzeczywiście sączy się przez materac, podłogę, drewno i cegły.

- Co się dzieje? - pyta Henrik, bo Anne-Lise nigdy taka nie była. - Uwielbiam to - dodaje. - Nie sądziłem, że i ty tak czujesz.

Potem milczy, tak samo jak Anne-Lise.

Najpierw na podłogę spada cicho poduszka, za nią kołdra, która sama tłumi odgłos własnego upadku.

Wszystkie jej radości zostały zniszczone. Wszystko jest popsute. Z Anne-Lise pozostała jedynie naga ostryga. Ta ostryga wczepia się w niego, rozpływa na jego piersi, naśladuje jego ruchy, prawie znika.

Tak chcę umrzeć - myśli. - Chcę zniknąć wtedy, kiedy jestem szczęśliwa, właśnie, dlatego, że już mnie nie ma.

Za każdym razem, gdy on w nią wchodzi, ona myśli w milczeniu: Zabij mnie. Nigdy nie byłaby w stanie wypowiedzieć tych słów na głos. Henrik natychmiast by przestał.

Znika, jest miękka, najczystsza nicością.

Na poły śni.

Zabij mnie, zabij mnie, zabij mnie!

Anne-Lise nigdy w życiu nie przeżyła nic podobnego. Z nikim. Czuje jego zapach. Coś przesunęło się w materacu. Sprężyny jęczą niczym olbrzym, który z trudem chwyta oddech. Anne-Lise zapada się dalej w nicość, bezgłośnie powtarzając te same słowa:

Zabij mnie, zabij mnie, zabij!

27

Przez cały dzień Anne-Lise żyje wyobrażeniem, że nastały nowe czasy.

Wie, że zbyt dużą wagę przywiązuje do wyrazu twarzy i zachowania Iben i Malene. Wie też, że tłumaczenie i wyobrażanie sobie różnych rzeczy odbiera jej siły, dziś jednak zaszła radykalna zmiana.

Iben zadzwoniła z oddziału reumatologii w Szpitalu Centralnym, dokąd pojechała z Malene. Powiedziała, że Tatiana pisze jakiś większy artykuł, i zaproponowała, by Anne-Lise skontaktowała się z nią i zaproponowała swoją pomoc. Wcześniej żadna z koleżanek na nic takiego się nie zdobyła. Anne-Lise natychmiast zatelefonowała do Henrika, by przekazać mu tę wiadomość:

- Być może od tej chwili naprawdę będą chciały ze mną współpracować.

Henrik odpowiedział „tak” i był taki miły. Anne-Lise wie jednak, że on już nie wierzy w to, co nazywa jej fantazjami.

Niewielką częścią siebie Anne-Lise również czuje, że to mało prawdopodobne, by coś się zmieniło. Właśnie, dlatego tak trudno jej się przed nimi bronić. Nagle, na chwilę, są takie miłe, a człowiek, doprawdy, nie rozumie, co się stało. A później w równie niezrozumiały sposób znów stają się takie jak dawniej.

Za każdym razem, gdy tak się dzieje, Anne-Lise myśli, że może to jednak ona jest wszystkiemu winna albo, że to niesamowity splot nieporozumień.

Dzień w DCIL już się skończył. Anne-Lise przyjechała do przedszkola po Clarę. To nieduże, przyjemne przedszkole, mieści się w niskim, żółtym budynku z cegły i już przy wejściu Anne-Lise spotyka rodziców i znajome dzieci.

Po spokojnym dniu w biurze wyjątkowo nie jest tak wyczerpana jak zazwyczaj, gdy wraca z pracy. Po głowie chodzi jej zabawna piosenka z radia, czuje, że tego popołudnia ma prawie tyle samo energii, ile jej miała, nim zaczęła pracować w DCIL.

W środku, za podwójnymi drzwiami przedszkola, jest cicho. Anne-Lise pozdrawia jakiegoś ojca i dwójkę jego dzieci. Zastaje Clarę przy wycinankach z kolorowego papieru. Pomaga jej przykleić wycięte elementy na dużej, białej kartce, a przedszkolanka, którą Anne-Lise zawsze lubiła, opowiada o dwóch bójkach z udziałem Clary

Podczas jednej z nich Clara uderzyła chłopca w głowę gałęzią, trzeba mu było założyć opatrunek.

Anne-Lise słucha uważnie, gdy nagle dzwoni jej komórka. Widzi na wyświetlaczu, że to Paul, pyta, więc przedszkolankę:

- Mogę odebrać? To mój szef.

Przedszkolanka kiwa głową i Anne-Lise słyszy głos Paula:

- Przeszkadzam?

- Nie, nie.

- To dobrze.

Paul mówi takim głosem, jakby chodziło o coś bardzo ważnego.

- Posłuchaj, dzwoniła do mnie Iben ze szpitala.

- Tak?

- Pojechała dzisiaj z Malene na oddział reumatologii i spędziła tam cały dzień.

- Tak, wiem o tym.

Anne-Lise próbuje się zorientować, skąd Paul dzwoni, ale nie potrafi zidentyfikować miejsca.

- To bardzo miło z jej strony - mówi Paul.

- To prawda.

- Iben i Malene mówią, że... i są, co do tego zgodne...

Anne-Lise już wie, że to będzie coś złego. Paul zawsze mówi płynnie, bez wahania i namysłu, jakby występował przed kamerą.

- ...że ktoś podmienił tabletki Malene na inne, takie, które nie działają... na nią... to znaczy na gościec. I dlatego dostała dziś tego ataku.

- Ach, tak?

- Był bardzo bolesny.

- Tak, wiem, że to boli. To dopiero...

Anne-Lise urywa, bo dopiero teraz dociera do niej, co on powiedział.

- „Ktoś” podmienił jej tabletki?

- Tak mówią... Jest mi bardzo nieprzyjemnie, że muszę ci to przekazywać... ale one same nie chciały o tym z tobą rozmawiać.

Paul oddycha pospiesznie i wciąż mówi jak nie on.

- Mówią, że tylko ty mogłaś to zrobić.

Z Anne-Lise uchodzi całe powietrze. Patrzy na rysunki domków wykonane kredkami, na dym z kominów, na ludzi z zapalczanymi nogami i wielkimi, okrągłymi oczami. Widzi szpilki przytrzymujące rysunki na tablicy, i osuwa się na dziecinne krzeselko, którego oparcie sięga jej do kolan. Nie jest w stanie nic powiedzieć, a Paul jest na tyle miły, że nie draży tematu.

Anne-Lise odwraca głowę, żeby popatrzeć na Clare, na przedszkolankę, na inne dzieci i dorosłych. Przedszkolanka udaje, że nie słucha, ale marnie jej to wychodzi.

Anne-Lise szepcze:

- Ależ, Paul, to przecież... Paul, czy ty nie widzisz, że to jakieś szaleństwo? Przecież ja nie mogłabym czegoś takiego zrobić!

- Oczywiście. Nigdy bym też czegoś takiego o tobie nie pomyślał.

Anne-Lise kuli się na krzeselku.

- Przecież pracujemy razem od roku. Musisz to wiedzieć! Nigdy, przenigdy nie mogłabym zrobić czegoś takiego! Ty tego nie wiesz? Nie wiesz, że nie mogłabym zrobić czegoś takiego?

Clara podbiega do niej, palce wciąż ma wsunięte w otworki swoich krótkich, tępych dziecinnych nożyczek. Anne-Lise każe jej wrócić do stolika z kolorowym papierem.

Wie, że Paul również słuchał wywodów Iben o oderwanych od siebie stronach osobowości, które mogą istnieć w jednej i tej samej osobie.

Czy dlatego Iben ostatnio tyle o tym mówi? Czy zaplanowały to, by Paul ją zwolnił?

Za jej plecami rozlega się płacz dziecka. To jeden z ojców przerywa córce zabawę, chce zabrać ją do domu. Niepokój rozrasta się i ogarnia inne dzieci, one również zaczynają krzyczeć.

Anne-Lise wstaje. Robi to zbyt gwałtownie, mało brakuje, a by zemdląca. Czym prędzej się pochyla, żeby krew napłynęła jej do głowy. W tym czasie Paul mówi coś jeszcze, nie słyszy, co.

Wychodzi z sali i znajduje toaletę dla dorosłych, w której może dokończyć rozmowę.

Kiedy wraca, przedszkolanka pragnie dalej rozmawiać o bójce, podczas której Clara uderzyła chłopca gałęzią.

Anne-Lise wciąż jest zamroczone, jak w chwili, gdy za szybko wstała. Teraz jednak wie, że schylenie się nic nie pomoże. Chwieje się na nogach, ale stara się udawać, że słucha.

Przedszkolanka zmienia ton na zdecydowanie ostrzejszy.

- Zmusiliśmy Aleksandra, żeby posiedział spokojnie przez kwadrans, musiałyśmy się upewnić, czy nie ma wstrząsu mózgu. Na szczęście mógł się bawić dalej z plastrem na głowie. Ale Liselotte bardzo się zaniepokoiła na widok jego guza.

Przedszkolanka mówi i mówi. Opiera się o ścianę, dając tym do zrozumienia, że rozmowa może potrwać.

- Clara ostatnio zaczęła się często bić.

A Anne-Lise ma ochotę krzyknąć: „To przeze mnie! To moja wina! To, dlatego, że mnie wszystko rozpada się na kawałki, o niczym nie pamiętam, płaczę, a moje koleżanki z pracy uważają, że jestem nie do zniesienia”.

Opanowuje się jednak. Z pewnością może się wydawać tylko roztargniona, może nieco dziwna.

Po skończonej rozmowie Anne-Lise pyta, czy nie mogłaby zostawić Clary jeszcze na chwilę w przedszkolu. Musi pilnie zadzwonić i nie będzie w stanie w tym czasie przypilnować córki.

Przedszkolanka usiłuje dowiedzieć się czegoś więcej o rozmowie telefonicznej, lecz Anne-Lise ją ignoruje. Podchodzi do córeczki, która biega teraz za dwiema dziewczynkami. Łapie ją, kuca i mówi spokojnie:

- Muszę załatwić jeden telefon. Możesz się tu jeszcze chwilę pobawić. Zaraz po ciebie przyjdę, dobrze?

Clara nie odpowiada, wrywa się i biegnie dalej za koleżankami.

Anne-Lise wraca do toalety, ale tu jest za duża akustyka. Wszyscy będą mogli usłyszeć, o czym mówi, zwłaszcza, jeśli zacznie krzyknąć.

Decyduje się pójść do samochodu. Idzie pod prąd fali rodziców, którzy przybywają po dzieci mniej więcej jednocześnie.

I w korytarzu między podwójnymi drzwiami, i na wyłożonej płytkami drodze do przedszkola musi wciąż odpowiadać:

- Nie, Clara jest w przedszkolu. Zapomniałam o czymś.

- Nie, nie, muszę tylko coś załatwić.

- Za chwilę po nią wrócę.

- Nie, nic się nie stało.

Wsiada do samochodu, ale strumień rodziców nie przestaje płynąć. Postanawia pojechać kilka ulic dalej.

Znajduje niewielką boczną drogę, prowadzącą do rezerwatu przy Vaserne. Tędy z pewnością nie będzie przechodził nikt z przedszkola.

Wyłącza silnik, przygląda się ogołoconym z liści drzewom, próbując przygotować się duchowo, a potem dzwoni do Iben, na jej numer domowy.

Tak jak Paul powiedział, Iben jest absolutnie przekonana, że to Anne-Lise wysłała maile i zamieniła pigułki Malene.

Anne-Lise usiłuje się bronić, ale na Iben nic nie działa. Po kilku minutach Anne-Lise krzyczy i rozpaczliwie przysięga na wszystko, że tego nie zrobiła. Przysięga na wszystko, w co wierzy. Przysięga na męża, na swoje zdrowie i na swoje dzieci.

Przez krótką chwilę żałuje tego ostatniego. Nigdy, przenigdy nie powinna przysięgać na dzieci. A już z pewnością nie wobec osoby tak wrogo do niej usposobionej jak Iben.

Oczywiście, że Anne-Lise nie podmieniła tych pigułek, ale złowroźnie brzmi już samo przywołanie dzieci w rozmowie z Iben, która jest bezdzietna i której, według jej własnych teorii o rozszczepieniu osobowości, może przyjść do głowy wszystko.

Anne-Lise żałuje, że nie może cofnąć słów.

* * *

Codzienne wieczory o pół do jedenastej to dla Anne-Lise i Henrika spokojny czas. W domu jest cicho, telewizor zgaszony, a Henrik często siada na czarnej kanapie i przerzuca protokoły z zebrań, które odbyły się tego dnia, albo rachunki czy inne dokumenty związane z jego pracą.

Anne-Lise czasami czyta „Information”. Namówiła Henrika na prenumeratę tej gazety, by mogła się pewniej włączyć w rozmowy w DCIL. W inne wieczory leży na kanapie z nogami otulonymi kocem i z głową na udach Henrika, który przegląda swoje papiery.

To w takie wieczory Anne-Lise czyści mózg i ładuje akumulatory na następny dzień. Takie wieczory pozwalały jej znajdować w sobie siły, by wytrzymać cały rok w DCIL.

Tak właśnie leży teraz. Czuje pod głową ciepło ud Henrika. Od czasu do czasu jego duża dłoń dotyka jej karku, a gdy Henrik przewraca kartkę, przedramieniem ociera się o jej policzek.

Rozmawiali już o podmienieniu tabletek Malene i doszli do wniosku, że Malene i Iben jutro trochę się uspokoją. Zrozumieją, że to sama Malene musiała przez pomyłkę zamienić tabletki, a nawet, jeśli nie, to przyznają przynajmniej, że różne inne osoby też mogły to zrobić, nie tylko Anne-Lise.

Anne-Lise leży i patrzy za stos książek na stoliku przy kanapie. Patrzy na miedzioryt, który dostała od kolegów z Biblioteki Miejskiej w Lyngby. Wyobrażenia o jutrzejszym dniu w biurze powracają.

Myśli też o Henriku. Wie, że zawsze potrafi dotrzymać tajemnicy. Wie też, co mąż jest w stanie wymyślić, aby ją chronić. Kiedyś, gdy byli na nartach w Austrii, w połowie urlopu Henrik odebrał wiadomość, że ciotka Anne-Lise poważnie zachorowała. Zadbał o to, by członkowie rodziny Anne-Lise mieli numer jego komórki na wypadek, gdyby stan ciotki się pogorszył, ale

przez następne cztery dni spędzone na śniegu nie powiedział żonie ani słowa. Później stwierdził, że nie było sensu psuć jej urlopu, bo choroba mogła się okazać niegroźna.

Tego wieczoru Anne-Lise siada, chociaż bardzo krótko leżała na kanapie. Henrik patrzy na nią zaskoczony.

- Henrik?

- Słucham.

- Chodzi mi o te maile, które dostały Iben i Malene.

Próbuje mówić najspokojniej jak potrafi, żeby on źle tego nie przyjął. Kładzie mu rękę na udzie w miejscu, gdzie przed chwilą grzał jej policzek.

- Byłeś naprawdę kochany, że je wysłałeś. Zrobiłeś to, by mi pomóc. Wiem dobrze. I rzeczywiście, trochę to pomogło. Na kilka godzin. Bo potem znowu zaczęły.

- Ja nie wysłałem tych maili.

- To naprawdę miłe z twojej strony. Wszystko w porządku.

- Tak, ale ja ich nie wysłałem.

Odkłada swoje papiery, a ona uważnie bada jego twarz, chce się dowiedzieć, czy znów postanowił ją chronić przed tym, o czym wie. Naprawdę świetnie mu to wychodzi, nic nie daje po sobie poznać.

- Jak popatrzysz na te maile, to w wiadomości do Iben napisano, że uważa się za jedyną sprawiedliwą, do Malene, że jest zła, a do Camilli - że kolaboruje, chociaż wydaje jej się, że jest neutralna. Kto oprócz ciebie i mnie zna je wszystkie od tej strony?

- Tego nie wiem.

- Ja też nie wiem, kto to mógłby być.

Uśmiecha się, zachęcając Henrika do podzielenia się z nią jego tajemnicą.

- Naprawdę możesz mi o tym powiedzieć. Uważam, że to było bardzo miłe z twojej strony.

Twarz Henrika odrobinę tężeje.

- Uważasz, że to również ja podmieniłem tabletki?

- Nie, nie.

Ale on od razu widzi, że wcale nie jest tego taka pewna. Nie sądziła, że tak będzie. Nie chodziło jej o popsucie atmosfery między nimi.

- Tyle razy przecież mówiłeś, jak strasznie ich nienawidzisz. I doskonale bym rozumiała, g d y b y ś to ty zrobił.

- Ale...? - pyta Henrik.

- Ale chociaż one... No, ta krew w regale, uważam jednak, że z tabletkami to już przesada. Gościec potrafi sprawiać Malene naprawdę wielki ból. Nie uważam, że my... Nie uważam, że któreś z nas w ogóle powinno to robić.

- Ja też tak myślę.

Wokół jego oczu i ust widać lekkie oznaki napięcia. To prawie nic, lecz Anne-Lise nie może tego znieść. Henrik bierze ją za ramiona, patrzy jej w oczy i mówi dobitnie:

- To nie ja. Nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego.

- No, oczywiście. Skoro tak mówisz. Tylko... wiesz, jak to jest.

* * *

Anne-Lise idzie po żwirowych ścieżkach przez rezerwat w Vaserne. Jedną ręką trzyma Ulrika, drugą Clarę. Jest lato, ma nową pracę. Są weseli.

I być może tego samego dnia, a być może innego, Malene jedzie swoją jasnozieloną wyścigówką po tych samych wąskich ścieżkach między wysokimi zaroślami. Jest pochłonięta własnym światem i wydaje jej się, że nie może zrobić nic złego.

Z gęstych, zielonych zarośli - tak przynajmniej wyobraża to sobie Anne-Lise - wyskakuje młody mężczyzna w czerwonym dresie. Spycha Malene z roweru, przystawia jej mały czarny składany nóż do gardła i wciąga ją w zarośla.

A teraz Anne-Lise wyobraża sobie brunatne trzciny, które łamią się wokół Malene i tego mężczyzny. Kiedy są już daleko od ścieżki, mężczyzna wrzuca Malene w trzciny. Ona błaga go o litość, walczą, a on wbija jej mały czarny nożyk w gardło.

Anne-Lise przypomina sobie coś, co Yngve, składając dłonie, powiedział, gdy byli u niego na konsultacji:

- Liczne badania dowodzą, że wśród ofiar mobbingu dominują wyobrażenia dotyczące zemsty. Bardzo typowa jest nadzieja ofiar na jakieś nieszczęście, które spotka ich prześladowców. Fantazje często stają się tak natrętne, że wydają się ofiarom obce, i bardzo powszechne jest, że zaczynają bać się same siebie.

Anne-Lise cieszy się, że o tym wspomniał, bo obraz krwi Malene, rozlewającej się wśród suchych trzciny, który w sobie nosi, nie jest przyjemny. Krew rozlewa się po nierównej ziemi, napastnik ucieka.

Nikt nie słyszy krzyków Malene, która w następnej minucie umiera. I teraz, dopiero teraz po raz pierwszy przyznaje, że zniszczyła życie drugiego człowieka.

Malene myśli o Bogu, o tym, czy istnieje jakaś wyższa sprawiedliwość. Czy dlatego leży tu i wykrwawia się na śmierć, ponieważ sama próbowała zniszczyć kogoś innego?

Anne-Lise wyobraża sobie, że głos Malene tak osłabł, że ona go nie słyszy, chociaż wędruje nieodległą ścieżką, gawędząc ze swymi dziećmi.

Gdyby mogła usłyszeć skargę Malene, oczywiście by jej pomogła. Taką już ma naturę. Ale nic nie słyszy. Może, więc bez poczucia winy ją zostawić.

Krew nie przestaje płynąć z otwartej rany na szyi Malene, wsiąka w ziemię między szczątkami zeszłorocznych trzcin.

I tam, tuż przed śmiercią, Malene żałuje. Po raz pierwszy pragnie wszystko cofnąć. Ale jest już za późno. Bez względu na to, jak głośno jęczy i żebrze.

Ma umrzeć. Ale nie umiera. Wypływa z niej coraz więcej krwi. I znów dostaje cios nożem. Wyobraźnia Anne-Lise krąży w kółko. Napastnik znów rzuca Malene w krzaki. I Malene znów żałuje. Żebrze i jęczy. W wyobrażeniach Anne-Lise twarz Malene przybiera całkiem nowy wyraz, gdy uświadamia sobie, co zrobiła.

* * *

- Może mimo wszystko jest coś w tych sensacjach o *dissociative identity disorder*, o których Iben ciągle mówi w przerwach na lunch.

Między Anne-Lise i Henrikiem znów wszystko wróciło do normalności. Razem myją zęby. Zanim sprowadzili się do tego domu, wydali strasznie dużo pieniędzy na urządzenie łazienki za ich sypialnią. Przesunęli ścianę, żeby łazienka była dostatecznie duża, a wielka wanna osadzona jest na białym podeście, na który wchodzi się po schodkach.

I Anne-Lise, i Henrik rzadko mają czas na kąpiel w wannie, korzystają, więc z niej tylko dzieci, ale wieczorem Henrik przysiadła na brzegu wymurowanego podwyższenia z warcząca elektryczną szczoteczką do zębów.

Próbowali się zastanawiać, jakie to może mieć znaczenie, jeśli ktoś rzeczywiście podmienił tabletki Malene.

- Rozumiem, że to musiał być ktoś z biura - mówi Anne-Lise. - Tylko, że to niepojęte. Wszyscy znają torebkę Malene, nikt więc nie mógł pomyśleć, że to moja torebka i że to mnie podmienia tabletki.

- Jediną osobą, która mogła wysłać te maile i podmienić tabletki, pozostaje wobec tego Camilla - stwierdza Henrik.

- To absolutnie nie pasuje do sposobu, w jaki ją postrzegam!

Anne-Lise wypuszcza na podłogę tubkę z pastą do zębów i na kafelkach pojawia się biała smuga. Podnosi tubkę i ciągnie:

- Ale oczywiście może właśnie, dlatego postanowiła zostać w domu przez jakiś czas po wysłaniu maila do siebie. To ją po prostu przerosło, a ten eksnarzeczony to jedynie wymówka. Ale... Nie, to się wciąż nie trzyma kupy. Ona po prostu taka nie jest.

- Czy Iben wspominała, w jaki sposób można rozpoznać rozszczepienie osobowości?

- Tak. Camilla musiałaby ukrywać wielką nienawiść do Iben i Malene. W to akurat chętnie uwierzę. One nie traktują jej zbyt dobrze, tyle, że w porównaniu z traktowaniem mnie aż tak nie rzuca się to w oczy. No i musiałyby być w jej życiu momenty, o których by nie pamiętała. Ale takie rzeczy zdarzają się każdemu.

Zakrętka ześlizguje się z tubki, Anne-Lise odkłada, więc tubkę i zakrętkę osobno i mówi dalej:

- Rozszczepienie osobowości to bardzo poważna choroba psychiczna. Iben twierdzi, że chory zwykle ma za sobą straszne dzieciństwo, doświadczył przemocy lub molestowania seksualnego. To się w każdym razie powtarza u takich osób.

- A jakie dzieciństwo miała Camilla?

Upływa trochę czasu, zanim Anne-Lise odpowiada:

- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek coś na ten temat mówiła. Nie jest taka jak Iben i Malene, które bez przerwy paplają.

- Sądziłem, że ona dużo gada podczas przerw?

- Bo tak też i jest. Opowiada o próbach chóru, na które bardzo lubi chodzić, o wakacjach spędzanych z całą rodziną na kempingach w Norwegii i w Szwecji, o tym, jak bardzo z Finnem oszczędzają, kupując hurtem w Metrze na rachunek jego firmy.

Anne-Lise, pomimo dłuższego zastanowienia, nie może sobie przypomnieć nic, co mogłoby jej odkryć jakąś głębszą prawdę o Camilli.

- W ogóle nie mam pojęcia, gdzie ani jak ona dorastała.

- Siedzicie cztery baby i przez rok codziennie jecie razem lunch, a ty nic nie wiesz o jej dzieciństwie - uśmiecha się Henrik. - Powiem ci tylko, że coś tu jest okropnie niebabskiego!

Śmieje się ze swojego głupiego męskiego dowcipu, a Anne-Lise nie ma siły na to zareagować.

- Być może powinnam się zastanowić, czy któraś z pozostałych dziewczyn nie ma za sobą trudnego dzieciństwa, którego skutkiem mogłyby być tak głębokie problemy psychiczne. Sądząc po ich zachowaniu, łatwo to sobie wyobrazić.

Anne-Lise przysiadła obok męża na podwyższeniu wanny.

- Wydaje mi się, że nie miały wcale trudniej niż większość ludzi.

Po umyciu zębów Henrik idzie do swojego gabinetu, by zrobić kilka notatek w kalendarzu elektronicznym. Anne-Lise wygląda przez okna sypialni na ogród. Na zewnątrz jest tak ciemno, że widać jedynie drzewa najbardziej oddalone od domu, a zarazem najbliższe latarniom na ulicy.

Gdy później leżą w łóżku, Henrik mówi:

- Jeśli one wbiły sobie do głowy, że to ty wysłałaś maile, a potem podmieniłaś te tabletki, to w pewnym momencie zmuszą Paula i zarząd, żeby również w to uwierzyli. Będziesz musiała bardzo szybko znaleźć coś na dowód, że Malene sama zamieniła tabletki lub, że zrobiła to Camilla. Inaczej cię wyrzucą.

Anne-Lise dobrze o tym wie. Musi jechać jutro do biura, bez względu na to, jak straszne jej się to wydaje.

Leżąc obok siebie, urządzają burzę mózgow, zastanawiają się, jak zdobyć dowody przeciwko Camilli.

Czasami wieczorem, kiedy w sypialni jest ciemno i całkiem cicho, Anne-Lise wydaje się, że czuje zapach Henrika z jego strony łóżka. Lubi to. To dość słaby, ale ciepły, bezpieczny zapach, który pamięta sprzed wielu lat, kiedy mieszkali razem w jej małym pokoiku w akademiku.

- Jej mąż jest hydraulikiem, prawda? Może mógłbym go namówić, żeby zrobił coś u nas w domu, i wtedy bym z nim pogadał?

- To kompletnie nierealne.

- Po prostu podrzucam pomysły. A co powiesz na nawiązanie kontaktu z ich dawnymi przyjaciółmi? Może w ten sposób czegoś się o nich dowiemy?

Ale ani Anne-Lise, ani Henrik nie mają pojęcia, jak to zrobić. Pozostaje jedynie możliwość, że Anne-Lise w pracy namówi Camille, by opowiedziała jej coś o sobie.

Anne-Lise nie bardzo wierzy w ten plan.

- Przecież my i tak niewiele ze sobą rozmawiamy. A poza tym jutro one będą na mnie wściekle.

- Owszem, ale będą się też ciebie bały! Uważają, że masz rozszczepioną osobowość i jesteś chora psychicznie. Z pewnością nie będą wiedziały, co robić. A wtedy praca potoczy się swoim zwykłym torem. Tak będzie najbezpieczniej. Zobaczysz jutro. Przekonasz się. Być może obcy, którzy przyjdą do biura, w ogóle nic nie zauważą.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście pójdzie tak łatwo.

Anne-Lise ten plan wydaje się idiotyczny. Henrik wyobraża sobie, że w napiętej atmosferze w DCIL ona nagle powie: „Posłuchaj, Camillo, właściwie nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Mogłabyś mi powiedzieć, co robisz, kiedy nie jesteś w pracy?”

Boi się tego dziwnego dnia jutro w biurze. Ale w jej życiu jest pewna nowość: w ostatnich tygodniach każdej nocy była w stanie w ciągu paru sekund odepchnąć to wszystko od siebie.

Tak jakby to nie ona doświadczała walki w biurze. Jak gdyby to nie na jej zwolnienie koleżanki miały nadzieję. Kiedy Anne-Lise i Henrik leżą razem nadzy, potrafi lepiej niż kiedykolwiek oddać się temu, co robią, i zniknąć.

28

Następnego dnia rano Malene dzwoni do biura i informuje, że jest chora. Tego Anne-Lise nie przewidziała.

Poza tym Paul jest w Odense, gdzie ma mieć wystąpienie w „innym charakterze” na konferencji dla burmistrzów i pracowników administracji gminnej Fionii. Anne-Lise jest, więc sama z Camille i Iben.

Henrik miał rację: one z pewnością ukrywają setki sprzecznych uczuć, ale nad nimi panują. Nikt nie może niczego udowodnić, więc wszystkie zachowują się mniej więcej tak jak zwykle. Za otwartymi drzwiami do Ogrodu Zimowego jest może trochę ciszej niż w zwyczajne przedpołudnie, ale też i nie ma Malene.

Również Anne-Lise usiłuje, tak jak koleżanki, skupić się na swoich obowiązkach. Musi znaleźć odpowiednie dla wyszukiwarki słowa w relacjach naocznych świadków ludobójstwa w roku 1971 we wschodnim Pakistanie.

Zbrodni tej dokonano niespodziewanie i ku zdumieniu wszystkich po wyborach parlamentarnych w roku 1970, wygranych przez uciśnioną większość bengalską. Główne mniejszości narodowe Pakistanu, Pendżabczycy i Pasztuni, nie uznały wyników wyborów i dokonując przewrotu wojskowego, przejęły władzę. Pakistańscy Bengalczykowie protestowali, strajkując bez walki, lecz to doprowadziło do wydania armii rozkazu zabijania i gwałcenia Bengalczyków, których Pendżabczycy i Pasztuni już wcześniej uważali za niższą rasę.

Pakistańscy żołnierze zmusili do ucieczki około czterdziestu milionów własnych rodaków, niszcząc wiele wiosek w ciągu dnia, zgwałcili blisko ćwierć miliona kobiet w różnym wieku i wymordowali około trzech milionów ludzi.

Anne-Lise przeczytała mnóstwo relacji świadków na temat tych dziewięciu strasznych miesięcy w roku 1971. Teraz czyta o dwudziestopięcioletniej Bengalce, która była żoną oficera i miała troje dzieci. Żołnierze zabrali jej męża, chociaż rzuciła się na placyk przed domem, błagając, by go zostawili. Później go oddali, lecz tak okaleczonego w wyniku tortur, że był bliski śmierci. Rankiem przybyła inna grupa żołnierzy i zgwałciła kobietę na oczach jej męża i dzieci. Mężczyznę związali, a płaczące dzieci bili. Tego samego popołudnia żołnierze zabrali ją z domu, zamknęli w jakiejś piwnicy i tam gwałcili, co noc aż do utraty przytomności.

Kiedy wróciła po trzech miesiącach, była w ciąży.

Wiele powracających bengalskich kobiet rodziny odrzuciły z powodu hańby, jaką przyniosły krewniakom. Ta kobieta miała na tyle szczęścia, że w wiosce okazywano jej współczucie. Mąż jednak nie zgodził się przyjąć jej z powrotem, a ponieważ sąsiedzi coraz bardziej na niego naciskali, pewnego dnia się powiesił.

Anne-Lise czyta tę relację jeszcze raz, aby znaleźć najlepsze hasła, które można umieścić w wyszukiwarce bibliotecznej bazy danych, ale po kilku liniijkach się zacina. Próbuje jeszcze raz, od początku, ale zacina się znowu.

Po czterech daremnych próbach dochodzi do wniosku, że musi zrobić sobie przerwę, i idzie do Ogrodu Zimowego.

Wystrój pokoi DCIL wyraźnie świadczy o pewnej hierarchii.

Na samej górze króluje gabinet Paula, który jako jedyny ma parkiet i miejsce na ekspozycję plakatów. Są tu również lampy zaprojektowane przez Poula Henningsena i elegancki stół konferencyjny.

Pośrodku hierarchii jest Ogród Zimowy, do którego przychodzą goście. Regaty z książkami zakrywają niemal wszystkie ściany, lecz tutaj również zmieściło się parę plakatów, są rośliny Malene oraz tablica z widokówkami Malene i Iben, ich zdjęciami i identyfikatorami z różnych konferencji.

Na samym dole tej hierarchii jest biblioteka Anne-Lise, gdzie regały z pudłami i segregatorami na czasopisma stoją tak gęsto, że na ścianach można powiesić tyle ozdób, co w przyfabrycznym magazynie, i właściwie wszędzie, gdzie się spojrzy, coś zasłania światło.

Anne-Lise staje na środku jasnego Ogrodu Zimowego. Jak zwykle nikt na nią nie reaguje. Camilla rozmawia przez telefon, informuje, że nie przyjdzie na próbę chóru, ponieważ wieczorem musi iść do szkoły na zebranie rodziców. Jarzeniówka nad regałem z holenderskimi publikacjami mruga, należałoby ją wymienić.

Gdy Camilla odkłada słuchawkę, Anne-Lise pyta:

- Idę do kuchni zrobić herbaty. Czy ktoś jeszcze miałby ochotę?

Zwykle nikt nie odpowiada, kiedy Anne-Lise proponuje coś podobnego, ale dzisiaj, ku jej zaskoczeniu, Iben mówi, że chętnie się napije. Minę ma zyczliwszą niż zazwyczaj, no, ale przecież Malene nie przyszła dziś do pracy.

Anne-Lise wciąż nie wie, jak zrealizować ów rozpaczliwy plan wypymania Camilli o jej życie poza biurem. Może się to jednak okazać dużo łatwiejsze, jeśli Iben jest zdecydowana na rozwiązanie konfliktu i puszczenie w niepamięć wczorajszej kłótni przez telefon.

W małej kuchence Anne-Lise nalewa wody do czajnika elektrycznego. Stoi i czeka, aż się zagotuje.

Dzisiejszej nocy starała się przypomnieć sobie wszystko, co wie o Camilli.

Wyraźnie widać, że Camilla ma kompleks na punkcie swojego wyglądu. W biurze nigdy nie rozmawiają z nią o dość niecodziennych rzeczach, które jada na lunch. Ostatnio są to ogórki. W ciągu dnia pracy z lodówki potrafi zniknąć cały długi ogórek. Przez ten rok, który Anne-Lise przepracowała w DCIL, Camilla przeprowadziła trzy kłócające się ze sobą kuracje odchudzające.

W poprzednim miejscu pracy Anne-Lise były dwie kobiety, który odżywiały się w taki sam sposób, ale rozmawiały o odchudzaniu i potrafiły żartować ze swoich wysiłków. Tutaj wszyscy czują, że Camilla nie jest na to gotowa.

W rzeczywistości wcale nie jest tak gruba, jak tamte koleżanki

Anne-Lise. Camilla jest nieduża i okrągła, lecz nie ma w tym nic niezwykłego, zważywszy, że ma czterdzieści lat, urodziła dziecko, a jej powszednie dni wypełnia pośpiech, bo musi sprawdzić się jako matka dwójki maluchów.

Niezbyt normalny stosunek Camilli do własnego ciała może chyba świadczyć o trudnym dzieciństwie, które bywa przyczyną DID?

Podobnie można pewnie odczytać i to, że otyłość, którą sobie wmawia, kompensuje świadomością posiadania pięknego głosu.

Są z Camille mniej więcej w tym samym wieku, choć Anne-Lise uważa, że wygląda młodziej. Jednym z powodów może być trwała, którą zrobiła sobie Camilla. Jej włosy koloru średni blond układają się w dość staroświecką fryzurę. Płyn do trwałej mocno je wysuszył i rozjaśnił o parę tonów, przydając jej panusiowatego wyglądu.

Co Anne-Lise wie oprócz tego?

Zna tę dramatyczną historię o przyjaciółce Camilli, która zmarła na raka macicy i po której Camilla przejęła męża i córeczkę - Paul kiedyś o tym opowiadał.

Anne-Lise wie też o wszystkich nic nieznaczących drobiazgach, o których Camilla opowiada podczas przerw na lunch. Być może wśród nich kryją się szczegóły, które mogłyby coś ujawnić. Nie wiadomo tylko, co z tego jest ważne.

Ostatnio Camilla opowiadała, że Finn kupił tanio luksusową lodówkę z kostkarką do lodu i musieli wyjąć z futryny dwie pary drzwi, żeby ją wnieść do kuchni.

Ale jest też i to, co Anne-Lise potrafi wyczytać z zachowania Camilli:

Dzień po nadejściu pierwszych maili z pogrózkami Iben rozprawiała o konieczności zrozumienia zbrodniarzy wojennych, o tym, że oni także stają się ofiarami sił, których nie są w stanie kontrolować.

Camilla zdenerwowała się wtedy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Może to być oznaką czegoś. A raczej z całą pewnością coś znaczy. Camilla nie zamierza wybaczać mężczyznom, którzy popełniali zbrodnie. I czy przy tej okazji sama nie wspomniała o gwałcie?

Bardzo nerwowo zareagowała też na wysłany do niej mail. Wyszła z pokoju, położyła się i zapadła w siebie. Leżała nieruchomo, ale nie spała. Anne-Lise za mało się zna na psychologii, żeby stwierdzić, czy jest to typowa reakcja osoby po traumie.

Tuż przed zagotowaniem się wody w kuchni pojawia się Iben.

Staje niepewnie przy lodówce i mówi, że zdaje sobie sprawę z tego, że wczoraj podczas tej rozmowy telefonicznej zachowała się niemądrze.

Jest bliższa przeprosin, niż Anne-Lise się spodziewała. W oczach Iben widać onieśmienie, odwraca wzrok, kiedy mówi:

- Nie mam absolutnie żadnych podstaw, aby sądzić, że to ty podmieniłaś tabletki.

Anne-Lise, mimo że czuje złość, musi obrócić ten nastrój w coś pozytywnego, jeśli chce odkryć Camille.

- No tak. Z pewnością obie byłyście bardzo wzburzone i nie całkiem nad sobą panowałyście. Rozumiem. To musiało być okropne przeżycie.

- Rzeczywiście tak było.

Anne-Lise jeszcze raz dziękuje Iben za wczorajszą podpowiedź, żeby zadzwoniła do Tatiany. Rozmowa się powiodła. Właściwie wyglądało na to, że Tatiana wręcz spodziewała się jej telefonu.

- To było naprawdę miłe z twojej strony. Zobaczmy, czy Tatiana w przyszłości będzie częściej korzystać z biblioteki.

Woda się gotuje. Anne-Lise zalewa ziołową herbatę, która pachnie odrobinę dziwnie, polem owsa i cynamonem.

Anne-Lise ma ochotę zadzwonić do Henrika, by powiedzieć mu, że wszystko dobrze się układa, ale teraz trudniej do niego dyskretnie telefonować, kiedy drzwi cały czas mają być otwarte, a Anne-Lise uważa, że nie może ich zamknąć nawet na chwilę. Jak by to wyglądało.

Podczas przerwy na lunch rozmawiają o przemianach w środowisku akademickim we wschodnim Pakistanie po roku 1971. Przy pomocy Indii wschodniej części Pakistanu udało się powstrzymać ludobójstwo, oderwać się i utworzyć samodzielne państwo pod nazwą Bangladesz. Do tej pory Bengalczyki znani byli jako naród, który nie wojuje. Pogardliwy stosunek Pendżabczyków i Pasztunów wynikał między innymi stąd, iż Bengalczyków uznawano za niezdolnych do służby wojskowej.

Zbrodnie ludobójstwa jednak ich odmieniły. Uwidoczniło się to zwłaszcza na uniwersytetach. Armia pakistańska starała się przede wszystkim unicestwić nauczycieli akademickich, studentów i innych intelektualistów, z których mogli wykształcić się przywódcy.

To sprawiło, że w roku 1971 uniwersytety zmieniły się w rzeźnię. Po utworzeniu samodzielnego państwa studenci tak przywykli do broni, że konflikty między ugrupowaniami studenckimi rozstrzygano przy użyciu przemocy i właśnie broni palnej. Uniwersytety stały się jednymi z najniebezpieczniejszych miejsc w Bangladeszu, a ekstremistyczne ugrupowania studenckie zdominowały całe środowisko.

Anne-Lise myśli gdzie indziej. Zastanawia się, czy Iben ostatecznie zmieni swoje nastawienie do niej. Prawdziwą ulgą był ten spokój trwający całe przedpołudnie, a Iben pod nieobecność Malene jest życzliwa i miła.

Camilla po namyśle szykuje sobie czwarty kawałek chrupkiego chleba z twarogiem i plasterkami ogórka.

Wygląda na to, że koleżanki nareszcie trochę się rozluźniły.

W każdym razie Anne-Lise nieco się odpręża. Wszystko jest w równowadze. Właśnie teraz, według planu ułożonego z Henrikiem, powinna zachęcić Camillę, by opowiedziała jej coś o swoim życiu poza biurem, o czymś, co mogłoby odsłonić jej chorobę psychiczną i pokazać, że to nie Anne-Lise należy podejrzewać i zwolnić z pracy.

Zbiera się na odwagę, ale Iben jej przerywa, mówiąc wesoło:

- Chociaż pracujemy razem, to nie znamy się zbyt dobrze.
- No tak, to prawda.

Iben jest jak zawsze nieco blada, a ostatnio jej cienie pod oczami przez brak snu jeszcze się pogłębiły. Patrząc na Anne-Lise, mówi z uśmiechem:

- Pomyślałam, więc Anne-Lise, że kiedy tak tu sobie przyjemnie siedzimy, to czy nie mogłabyś nam opowiedzieć trochę o tym, co robisz po pracy?

29

Leje deszcz, kiedy Anne-Lise parkuje w ciemności kawałek od Centrali Poczty.

Ma w samochodzie duży parasol, więc nie moczy nawet butów. Idzie szybko, mija wejście do Sali Koncertowej w Tivoli i skręca w lewo przy budynku Dworca Głównego. Boi się. Nigdy czegoś takiego nie robiła i zdecydowała się na to wyłącznie, dlatego, że czuje się przyparta do muru. Jeśli nie chce zostać wyrzucona z pracy i z pewnością nigdy już nie znaleźć żadnej innej, musi dowiedzieć się czegoś o Camilli.

Przed nią rozciąga się niemożliwy do ogarnięcia wzrokiem kompleks zrosniętych ze sobą betonowych kolosów i neonowych rurek tworzących kopenhaską Centralę Poczty. Przed bramą czeka grupka kobiet w wieku około pięćdziesiątki, a Anne-Lise oświadcza im, że dziś wieczorem się do nich przyłączy. Przedstawia się:

- Mam na imię Birgitte.

Kobiety przyjmują ją z sympatią. Jedna wkłada kartę identyfikacyjną do zamka przy drzwiach i grupa prowadzi Anne-Lise po stromych schodach z metalowej siatki na dół do piwnicy. Kobieta w długim, czarnym płaszczu wyjaśnia:

- Tak naprawdę musimy dojść do pomieszczenia za recepcją, ale wieczorem przy wielu drzwiach jest włączony alarm, dlatego trzeba iść przez piwnice.

Przechodzą płataniną świeżo pomalowanych, białych korytarzy z szeregiem zamkniętych drzwi po obu stronach. Po wejściu na górę po kolejnych metalowych schodach Anne-Lise zostaje wprowadzona do czegoś w rodzaju sali konferencyjnej. To duże pomieszczenie, również tutaj ściany są świeżo malowane na biało, gołe, bez żadnego plakatu czy obrazka.

Unosi się tu lekki zapach mokrych płaszczy, a nieopodal drzwi rozmawia i śmieje się grupa mniej więcej dwudziestu kobiet. Najmłodsza ma około trzydziestki, najstarsza jest w wieku emerytalnym.

Na jednej ze ścian jest duże okno, przez które rzeczywiście widać recepcję Poczty Głównej. Są tam również drzwi, więc gdyby alarm był wyłączony, mogłyby przejść właśnie tędy.

Lokal musiał zostać urządzony z myślą o konferencjach prasowych i przyjęciach jubileuszowych Poczty Duńskiej. Dużo tu wolnego miejsca i tylko kilka drogich mebli w ostrych kolorach. W grupie jaskrawoczerwonych foteli typu „Jajko”, zaprojektowanych przez Arne Jacobsena, siedzi sześciu starszych mężczyzn i popija z puszek piwo.

Pod szklaną ścianą, która wychodzi na recepcję, stoi młoda kobieta i ustawia coś w organach elektronicznych. To musi być dyrygentka. Anne-Lise na jej widok o mało nie dostaje mdłości, tak bardzo przypomina czymś Malene, chociaż nie jest równie ładna. Na stronie internetowej Kopenhaskiego Chóru Poczтового Anne-Lise przeczytała, że dyrygentka właśnie skończyła muzykologię na Uniwersytecie Kopenhaskim. Jeszcze rok temu Anne-Lise lubiła towarzystwo takich młodych humanistek, które swoim ubiorem sygnalizują życie dalekie od biznesu i innych światów ludzi w pełni dorosłych. Teraz trudno jej nawet na nie patrzeć.

Bierze się w garść. Dyrygentka wita ją serdeczniej niż kiedykolwiek Malene.

- Miło zobaczyć nową twarz! Gdzie nas znalazłaś?

- W Internecie.

- No proszę. A więc nasza strona naprawdę działa!

Zwraca się do grupy i wysokim, pięknym, szkolonym głosem, jeszcze dźwięczniejszym niż głos Camilli, mówi:

- To Birgitte, znalazła nas w sieci. Będzie z nami śpiewać dziś wieczorem. Postarajcie się jej nie wystraszyć. Chcielibyśmy zobaczyć ją tutaj znów w przyszłą środę.

Kobiety śmieją się i jedna przez drugą zaczynają się przedstawiać, opowiadać o występach chóru w kościołach i wyjazdach na festiwale organizowane przez Skandynawski Związek Chórów Pocztowych.

- Co roku śpiewamy podczas Letniego Festiwalu Gminy Kopenhaga.

- Ale najważniejsze, żeby było wesoło. I tak właśnie u nas jest. Urządzamy fantastyczne imprezy, prawda?

Kilka kobiet naraz odpowiada:

- Tak, mamy nadzieję, że ci się spodobają.

Na stronie chóru w Internecie Anne-Lise przeczytała, że większość chórzystek pracuje w Poczcie Duńskiej, lecz chór od dawna jest otwarty dla wszystkich, którzy chcą się przyłączyć.

Kobiety pytają:

- Śpiewałaś już kiedyś w chórze?

- Mamy nadzieję, że się wciągniesz.

- Może myślałaś, że jesteśmy młodsze?

Dyrygentka znów wraca do Anne-Lise.

- Wiesz, jaki masz głos?

- Nie.

- Wydaje mi się, że alt. Sądzę, że możesz zacząć od ustawienia się w altach.

Czarnowłosa kobieta około sześćdziesiątki wyciąga teczkę z nutami.

- Mam na imię Tess, możesz stanąć obok mnie i korzystać z moich nut, dopóki nie będziesz miała własnych.

Na razie wszystko idzie dobrze i Anne-Lise czuje, że ucisk w dołku trochę słabnie. Trudno się bać wśród tak życzliwych osób. Najbardziej się obawiała, że ktoś z chórzystów przypadkiem ją rozpozna i kłamstwo wyjdzie na jaw. Albo, że znów dostanie jednego z tych swoich napadów płaczu.

Dyrygentka klaszcze w dłonie. Mężczyźni unoszą się z drogich foteli na drugim końcu sali recepcyjnej, mijają białe stoły w kształcie superelipsy projektu Pieta Heina i dołączają do kobiet.

Ustawiają się twarzami do dyrygentki i jej elektronicznych organów. Kobieta z upiętymi włosami w kolorze mahoni i ciemnoniebieskiej chustce informuje dyrygentkę:

- Camilla Batz dzwoniła do mnie po południu z pracy i mówiła, że nie może dzisiaj przyjść.

Ma zebranie w szkole córki.

A Anne-Lise szepcze do Tess dokładnie z takim zaskoczeniem w głosie, jak to sobie zaplanowała:

- O Boże, Camilla Batz? Czy ona ma kręcone włosy średni blond i takie nieduże usta?

- Znasz ją?

- To zabawne. Przyjaźniłyśmy się w dzieciństwie. Pomyśleć tylko, że ona z wami śpiewa!

Co teraz robi? Jak jej się wiedzie?

Zaczyna się jednak rozgrzewka i ćwiczenia głosu. Anne-Lise stara się uczestniczyć w tym najlepiej jak umie, tylko śpiewa dość cicho. Chórzyści wykonują ćwiczenia oddechowe - głębokie

wdech do brzucha, przy czym cały ciężar ciała spoczywa na nogach, barki i kark są w tym czasie rozluźnione. Potem śpiewają *Tears in Heaven* Erica Claptona.

Podczas krótkiej przerwy Anne-Lise pyta Tess:

- Co Camilla teraz robi?

- Pracuje w takim niedużym biurze, które informuje o... nie bardzo wiem. Będzie tu w następną środę, wtedy się spotkacie. Czasami po próbie idziemy razem na piwo, będziecie miały okazję porozmawiać.

Anne-Lise jest zdumiona łatwością, z jaką przychodzą jej kłamstwa. Tess ma piękny, nieco chropawy głos. Również jeden z męskich głosów w tenorach szczególnie się wyróżnia.

*Would you feel the same,
if I saw you in heaven?
I must be strong and carry on
'Cause I know I don't belong here in heaven.*

Anne-Lise czuje się wręcz podniecona, jak gdyby zdenerwowanie w połączeniu z ich życzliwością wprawiało ją w stan oszołomienia.

Gruba kobieta obok Anne-Lise ściska ją. Tess nachyla się do niej i szepcze:

- Tak, to piękna piosenka.

Musiały coś dostrzec w jej twarzy. Otaczające ją kobiety zapewne sądzą, że to muzyka przemówiła do niej tak silnie, i gdy dyrygentka tłumaczy mężczyznom jakieś różnice w rytmie, kobieta o imieniu Pernille z rzędu przed nią szepcze:

- Chyba przyjdiesz następnym razem?

W biurze Camilla i Malene często powtarzały, rzucając od niechcienia, jakby to nie miało większego znaczenia: „Nigdy nie widać, co Anne-Lise myśli” albo „Po twarzy Anne-Lise nigdy nie znać żadnych uczuć”. Tymczasem zupełnie obcy ludzie zauważają, że coś się z nią dzieje. Te kobiety mają oczy szerzej otwarte niż koleżanki, z którymi pracuje od roku.

Anne-Lise, śpiewając, myśli o ponurych opiniach Yngvego na temat ludzkiej natury. Nie chce wierzyć w to, co powiedział. Ludzie tacy nie są. Postanawia, że spróbuje bardziej zagłębić się w badania nad ludzkimi skłonnościami do czynienia zła.

Paradoksalnie najlepszym z krótkich duńskich wprowadzeń do tematu jest z pewnością seria artykułów o Psychologii zła, którą Iben napisała w numerach z ostatniego rocznika „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa”. Anne-Lise zamierza je przeczytać jeszcze raz po powrocie do domu.

Podczas przerwy idzie za Tess do małego stolika przy organach elektronicznych dyrygentki. Stoi na nim karton z puszkami piwa, skrzynka różnych napojów z Netto i kasetka z pieniędzmi. Anne-Lise wrzuca pięć koron i bierze oranżadę pomarańczową.

Potężna kobieta o imieniu Ruth, która również śpiewa w altach, mówi o tym, jak poszczególne grupy głosów trzymają konkretny ton w *When I'm sixtyfour*:

- Basy mają długie, a tenory krótkie. Stwórzcie sobie swój własny obraz.

Kobiety wybuchają śmiechem. Normalnie Anne-Lise nie rozbawiłby tego rodzaju dowcip, ale dzisiaj czuje wyjątkowy przypływ energii i śmieje się całym ciałem, aż gaz z oranżady podchodzi jej do nosa.

Usiłuje w porę zamknąć usta, ale to się nie udaje. Prycha oranżadą na bluzkę Ruth, na stolik. Oranżada ścieka po brodzie również na jej ubranie. Anne-Lise, czym prędzej zaczyna wycierać plamy na bluzce Ruth suchymi kawałkami własnej bluzki.

- Przepraszam!Przepraszam!Takajestemniezgrabna!Tookropne.

Odnosi wrażenie, że gaz z oranżady od środka ciśnie się jej też do oczu. Ma ochotę uciec stąd jak najdalej.

Słowa Anne-Lise wpadają na siebie.

- Zaraz powycieram. Czy jest tu jakaś ścierka? Gdzie znajdę ścierkę? Odkupię ci bluzkę. Przecież ją zniszczyłam.

Ale ktoś z chórzystów już przyniósł gąbkę spod białej tablicy, która stoi na statywie pod ścianą. Gąbka robi rundę i wszyscy mogą się osuszyć.

Kobieta w ciemnoniebieskiej chustce uśmiecha się, a wokół jej oczu tworzą się zmarszczki.

- Dobrze, że Ruth cię rozbawiła. Nas też rozśmiesza.

A Ruth mówi:

- Nie musisz mi odkupywać bluzki, Birgitte. Przecież to się spierze. Nic się nie stało.

Anne-Lise wpatruje się w podłogę i stara się nie rozpaść na kawałki. Przez głowę przebiega jej myśl: To się nigdy nie skończy! To się nigdy, przenigdy nie skończy! Jakkolwiek bym się starała przed tym uciec. Gdzie mogę być dawną Anne-Lise? Tą sprzed DCIL?

Po chwili Tess zwraca się do kobiety w czarnej spódnicy:

- Pamiętasz, jak ja się śmiałam z colą w ustach?

Kobieta w spódnicy patrzy na nią, nic nie rozumiejąc.

- Co?

- Nie pamiętasz, jak się śmiałam z colą w ustach i poplamiałam ci całą bluzkę na brązowo?

Anne-Lise podnosi głowę i widzi, że kobieta w spódnicy jest kompletnie zdezorientowana, ale wreszcie dociera do niej, co powinna powiedzieć:

- A tak, tak, no pewnie, że pamiętam.

Udaje im się poprawić humor Anne-Lise. Wszystko tutaj jest takie inne niż to, do czego przywykła. W DCIL koleżanki miesiącami by jej tego nie wybaczyły.

Poza tym z góry uważają ją za niekulturalną bez względu na to, co robi. Podczas przerw na lunch Anne-Lise widzi, jak Malene odwraca się, gdy ona żuje swoje jedzenie, chociaż tak bardzo się stara tylko odrobinę uchylać usta i jeść po maleńkim kawałeczku.

Z piosenką Erika Claptona w głowie, w fantastycznym humorze wychodzi do toalety, żeby się odświeżyć.

Toaleta najwyraźniej tak samo jak i pozostałe pomieszczenia jest odnowiona na kredowobiało, bez najmniejszej plamki koloru. Są tu drogie baterie i wielkie lustro, ale unosi się ostry zapach środków czyszczących.

Przed lustrem, lekko zabarwionym na niebiesko, stoi kilka kobiet. Jedna z nich, Vibeke, sopran, mówi na jej widok:

- Miło będzie, kiedy Camilla przyjdzie następnym razem. Będziesz miała przynajmniej jedną znajomą osobę.

- Tak, chodziłam z nią do jednej klasy w podstawówce. Nie widziałam jej już od lat. Jak ona się miewa?

Wokół niej robi się cicho.

- Co się stało? Czy powiedziałam coś złego?

Vibeke odsuwa się trochę od lustra i nagle jej głos zaczyna brzmieć ostrzej:

- Nie sądziłam, że ona przyjaźniła się z kimkolwiek ze swojej klasy.

- Nie widziałyśmy się już od wielu lat, więc nie wiem, co u niej słychać.

- Ale mówisz, że chodziłaś razem z nią do klasy?

- Tak.

- Co wy właściwie sobie wtedy myśleliście?

- O czym ty mówisz?

- Co sobie myśleliście, powtarzając na każdej przerwie, że ona śmierdzi, albo gdy zmuszaliście najsłabsze osoby z klasy, żeby ją dotykały, chociaż płakały i wzbraniały się, bo wszyscy mówili, że cuchnie?

Pozostałe kobiety usiłują uciszyć Vibeke.

- Vibeke, przecież ma nam tu być miło.

Jakaś inna kobieta próbuje łagodzić sytuację:

- Birgitte straci ochotę i nie przyjdzie tu w następną środę!

Ale Vibeke nie zamierza przestać:

- Co myśleliście, kiedy uczennica z innej klasy próbowała popełnić samobójstwo z powodu mobbingu, a wy dalej robiliście to samo? Jakbyście chcieli, żeby i ona próbowała się zabić. Codziennie! O czym sobie każdego dnia myśleliście?

Vibeke jest tak wzburzona, że nie czeka na odpowiedź Anne-Lise.

Wybiega z toalety i trzaska drzwiami tak mocno, jak tylko pozwala na to automatyczny zamek.

Pozostałe kobiety natychmiast zaczynają przeproszać Anne-Lise. Mówią, że Vibeke ostatnio ma trudny okres, że raz, kiedy chór występował w Malmö, też dostała ataku wściekłości, a później bardzo za to przeproszała. Mówią, że jeśli Anne-Lise dalej będzie przychodzić na próby, odkryje zupełnie inne strony Vibeke i że ją koleżanka na pewno też przeprosi.

Ale zarzutów Vibeke żadna nie podważa.

* * *

W powrotnej drodze długim korytarzem do sali recepcyjnej wszystkie milczą. Tuż przed wejściem spotykają uśmiechniętą Tess.

- Ach, Birgitte, masz szczęście!

- Tak, dlaczego?

Kobieta w niebieskiej chustce już ma otworzyć drzwi, kiedy Tess mówi:

- Zebranie Camilli skończyło się wcześniej. Właśnie przyszła.

Anne-Lise sztywnieje. Stara się zapanować nad twarzą. A Tess promienieje.

- Jest w środku, właśnie zdejmuję mokry płaszcz. Powiedziałam jej, że tu jesteś. Chyba cię pamięta.

Anne-Lise język rośnie w ustach, przykleja się do podniebienia. Udaje jej się tylko powiedzieć:

- Ach!

I już się odwraca. Czuje na karku spojrzenia innych kobiet. Odwraca jednak głowę i rzuca:

- Zostawiłam kredkę do oczu w toalecie.

Zaczyna biec i suchymi ustami woła do nich:

- Zaczynajcie, ja zaraz przyjdę!

- Nie, Birgitte, zaczekamy na ciebie.

W toalecie nie ma już nikogo. Anne-Lise wie, że będzie musiała uciec, ale jak to zrobić? Jeśli Camilla ją tu zobaczy, wszyscy w DCIL i w zarządzie uznają, że jest szalona. Wtedy już nie tylko Malene i Iben będą przeciwko niej. Jak stąd wyjść? Musi znaleźć jakieś inne schody do piwnicy, a potem spróbować odszukać drogę wśród krętych piwnicznych korytarzy.

Uświadamia sobie, że jej kurtka i parasolka wciąż są w sali konferencyjnej. W domu postanowiła iść na próbę chóru w kurtce, której Camilla nigdy wcześniej nie widziała, tak by nie mogła rozpoznać jej później z opisu innych.

Ale w kieszeni kurtki leży portmonetka. W środku jest prawo jazdy i karta kredytowa. Jak ją stamtąd wydostać, tak by Camilla jej nie zobaczyła?

Nasłuchuje głosów w korytarzu. Dlaczego nie włożyłam portmonetki do torby? Przecież o tym myślałam. Już miałam to zrobić. A teraz portmonetka leży tam, u Camilli. Kiedy głosy na korytarzu cichną, Anne-Lise wymyka się z toalety i oddala od sali recepcyjnej. Minawszy kilka zakrętów i dwoje drzwi przeciwpożarowych, odnajduje schody do piwnicy.

W tych korytarzach na dole można się zgubić. Na wszystkich drzwiach namalowane są nieduże czarne numerki, lecz Anne-Lise nie zwracała na nie uwagi, kiedy szła tędy wcześniej. Nie ma pojęcia, w jakim miejscu pod tym betonowym kolosem się znalazła. Rozgląda się w poszukiwaniu jakichś szczegółów, które mogłaby rozpoznać, wydaje jej się, że gdy szła tędy po raz pierwszy, widziała bęben ze zwiniętym węzem przeciwpożarowym. Czy będzie w stanie go odnaleźć?

Wszystkie korytarze są jednakowo oświetlone. Ani jedna świetlówka się nie popsuła. W ogóle wszystko tutaj wygląda identycznie. Nie ma żadnego, bodaj maleńkiego graffiti, żadnego porzuconego worka pocztowego, żadnego drobiazgu, po którym mogłaby się orientować. Mija kilka zakrętów, na chybił trafił wybiera kierunek i wtedy na skrzyżowaniach zauważa na jasnej podłodze dwa czarne ślady hamowania jakiegoś wózka. To jedyny znak orientacyjny, na jaki dotychczas się natknęła, ale nie przypomina sobie, by widziała go wcześniej. Odnajduje jakieś schody z metalowej siatki, wspina się po nich i dociera do wielkich drzwi. Czy alarm się uruchomi, jeśli je otworzy?

Gdzieś tutaj leżą miliony banknotów, więc z całą pewnością miejsce jest pilnie strzeżone przez całą dobę. Przed oczami staje jej gromada strażników, którzy ją znajdują, a cały chór i Camilla dowiadują się, kim ona jest, kiedy mężczyźni wloką ją między sobą. Czy przyjdą z psami? Może już po piwnicy krąży strażnik, który patroluje to miejsce? Jeśli nie zaryzykuje i nie sięgnie do klamki, by uciec tymi drzwiami, pewnie ją znajdzie.

Stoi nieruchomo na najwyższym stopniu schodów i nasłuchuje.

Drzwi są wielkie i ciężkie. Trudno stwierdzić, jakie dźwięki zdołają się przez nie przedrzeć. Anne-Lise nic nie słyszy. Nie słyszy ani szczekania, ani męskich głosów.

Postanawia nacisnąć klamkę.

Alarm się nie włącza. Ale drzwi są zamknięte na klucz. Ma ochotę czymś w nie uderzyć, wie jednak, że musi być cicho. Bezszelestnie wraca tym samym korytarzem, którym przyszła. A może to zupełnie inny korytarz? Najlepiej by było, gdyby w jakiś sposób dotarła na drugą stronę recepcji. Mogłaby wtedy zajrzeć do sali konferencyjnej przez szybę, zobaczyć, kiedy Camilla wychodzi. A gdyby Camilla nie była jedną z ostatnich, to Anne-Lise mogłaby zbiec po schodach, z powrotem pobiec do sali - nie spotykając jej po drodze przez piwnicę - i zabrać swoją kurtkę, zanim ktoś zacznie przeszukiwać kieszenie. Lecz aby ten plan się powiódł, musiałyby mieć naprawdę dużo szczęścia. Czy ma jednak inne wyjście? Może znaleźć bramę, którą przyjeżdżają samochody pocztowe? Muszą być jakieś wjazdy i wyjazdy w tym budynku. Tamtędy na pewno łatwiej by się było wydostać. Ale jej portmonetka by tam została i z pewnością przekazano by ją Camilli, bo przecież tylko ona jedna знаła wcześniej „Birgitte”.

Anne-Lise znajduje inne metalowe schody, którymi wchodzi z powrotem na górę. Podbiega do drzwi i te dają się otworzyć. Wchodzi do niedużego białego pomieszczenia z takimi samymi świetlówkami jak wszędzie. W tym pomieszczeniu jest troje drzwi, dwoje zamkniętych. Na trzecich widnieje duża trójkątna nalepka „Alarm”. Te boi się otworzyć, więc wraca do piwnicy. Od jak dawna tutaj krąży? Według jej zegarka minęło dwadzieścia pięć minut, ale to nie może być prawda. Musiało upłynąć więcej czasu.

Wydaje jej się, że słyszy kogoś, kto gorączkowo próbuje złapać oddech, jak gdyby dwa psy coś zwietrzyły i niecierpliwie ciągnęły właściciela za sobą. Trudno się zorientować, czym dokładnie jest ten dźwięk, lecz z całą pewnością jest tu ktoś jeszcze.

Anne-Lise stoi nieruchomo, a potem zdejmuje buty i bezszelestnie podbiega do najbliższych drzwi, oznakowanych małymi czarnymi numerkami. Chwyta za klamkę, ale drzwi są zamknięte. Biegnie, więc dalej, do następnych, te też są zamknięte, próbuje jeszcze jednych i jeszcze. Brakuje jej tchu, ale musi nabierać powietrza jak najciszej, by nikt jej nie usłyszał. Biegnie za róg i z daleka widzi na podłodze zużytą do połowy rolkę papierowych ręczników. Pamięta ją. Jest niedaleko od schodów prowadzących do wejścia.

Podąża dalej z butami w rękę, próbując otworzyć po kolei wszystkie mijane drzwi i stale słyszy te oddechy za plecami.

Wreszcie któreś drzwi się otwierają. Czym prędzej wpada do środka i zamyka je za sobą. Jest w składziku ze środkami i przyborami do sprzątanania. Ciemno tu jak w grobie, ale nie ma odwagi zapalić światła, nawet gdyby to było możliwe.

Po chwili słyszy głosy dwóch mężczyzn przechodzących obok.

Wstrzymuje oddech i nieruchomieje, siedząc na podłodze i przyciskając się do węża od odkurzacza.

Mężczyźni rozmawiają w jakimś obcym języku. Czyżby po serbsku? Anne-Lise chodzą po głowie najdziwniejsze teorie spiskowe.

Dopiero po przejściu mężczyzn uświadamia sobie, że głos jednego z nich brzmiał zdumiewająco podobnie do głosu Paula. Ale to przecież niemożliwe. I znów kolejne dzikie fantazje przeplatają się ze sobą. Anne-Lise nie wie jednak, ile z tego, co słyszy, może przyjąć za prawdę. Wszystko wydaje się takie obce po tym śpiewaniu w chórze, bieganiu po korytarzach, a teraz jeszcze w tych ciemnościach.

W nozdrzach ma ostry zapach amoniaku. Nagle słyszy, że za drzwiami ktoś woła:

- Birgitte! Birgitte!

To kobieta w niebieskiej chustce, która dodaje:

- Może nie trafiła z powrotem z toalety.

A jakaś inna mówi:

- Wiesz przecież, co powiedziała Vibeke. Birgitte nie ma teraz najmniejszej ochoty wrócić.

Doskonale to rozumiem. Nie wiem, dlaczego Vibeke jest taka. Pamiętasz, co się stało po koncercie z tym szwedzkim chórem w Malmö, kiedy ona...

Skręcają za róg i wkrótce już całkiem ich nie słychać.

Ponieważ odległe dyszenie psów od dłuższego czasu ani się nie wzmogło, ani nie ucichło, Anne-Lise dochodzi do wniosku, że ten odgłos to zapewne jakiś zepsuty wentylator.

Nasłuchuje mówiących po serbsku mężczyzn, chórzystek i Paula, ale nic nie słyszy.

Na korytarzu przekrada się do ręcznika papierowego. Parę zakrętów dalej znajduje jeszcze jedne schody. Znów trafia do jakiegoś niedużego pomieszczenia, ujmuje klamkę w drzwiach i teraz rozlega się alarm. Nie wyje jak normalna syrena, to przenikliwy świst, bardzo nieprzyjemny, niczym olbrzymi gwizdek dla psów, który nie chce ucichnąć.

Anne-Lise rozgląda się. Stoi w recepcji, a przez wielką szybę widzi ją cały chór. Teraz koniec ze wszystkim. Już zaczyna się zastanawiać, w jaki sposób oznajmi Henrikowi, że wyrzucono ją z pracy, że od tej pory przez wiele lat będzie ją miał w domu, jak pijaną, niezdolną Jurtę. Że z powodu upadku matki ucierpią dzieci.

Pernille otwiera drzwi między recepcją a salą konferencyjną - alarm i tak już się włączył. Wchodzi do Anne-Lise.

- No, jesteś wreszcie!

Anne-Lise nie odpowiada, patrzy w podłogę, gotowa wejść na salę i ujawnić wszystkie swoje kłamstwa przed całym chórem. Zamiast tego jednak słyszy, jak z drugiego końca grupy ktoś mówi:

- Camillo, twoja koleżanka z klasy już się znalazła.

Tess wychodzi jej na spotkanie.

- Bardzo się zaniepokoiiliśmy, co się z tobą stało.

Ale Anne-Lise wypatruje jedynie Camilli. Jeszcze jej nie widziała.

Ktoś z tyłu woła:

- Camillo?!

Jeszcze kilka osób o nią pyta.

- Gdzie ona się podziała? Najpierw znika jedna, potem druga.

- Camilla? Camillo?

- Jej torebka dopiero tu była.

Anne-Lise w milczeniu idzie po kurtkę, torebkę i parasol. Uśmiecha się do osób, które wciąż nie wiedzą, co się tu dzieje. A od innych słyszy, jak mruczą o reakcji Camilli na wieść, że jest tu Birgitte. Perspektywa spotkania z kobietą, która chodziła z nią do jednej klasy w podstawówce, musi wciąż przerażać ją do tego stopnia, że uciekła. Wymknęła się przez nikogo niezauważona.

- Ja też muszę już iść - oświadcza Anne-Lise.

Kobiety patrzą na nią ze współczuciem, życzliwie. Ale żadna nie protestuje, ani nie pyta, dokąd idzie.

Psychologia zła I

W ostatnich latach obserwujemy rosnące zainteresowanie psychologią sprawcy zbrodni ludobójstwa. W tym i w następnym numerze „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa” zamieszczamy krótki przegląd dotychczasowych badań w tej dziedzinie.

Iben Hojgaard

W samym tylko Starym Testamencie dwadzieścia siedem razy powtarza się stwierdzenie, że jakiś lud „zniknie z powierzchni ziemi”.

Ludobójstwo jest, zatem integralną częścią kultury zachodniej, a podobne zbrodnie, ku zaskoczeniu wielu osób, okazują się równie powszechne także i w innych kulturach.

Wszędzie na Ziemi ludobójstwo znane jest od tysięcy lat, a w ostatnich stuleciach liczba zabitych stale wzrasta. W całym XX wieku w wyniku ludobójstwa lub wojen śmierć poniosło ponad sto milionów ludzi. Liczba ta jest ponad pięciokrotnie wyższa od liczby zabitych w wieku XIX, a blisko dziesięciokrotnie wyższa od liczby ofiar w wieku XVIII. Nic nie wskazuje na to, by ta krzywa załamała się sama z siebie.

Sprawcami ludobójstwa są zawsze ludzie mający władzę, więc pomimo tysiącletniej wiedzy o dokonywanych zbrodniach dopiero po klęsce nazistów w drugiej wojnie światowej

psychologowie uzyskali możliwość prowadzenia badań wśród ludzi, którzy zbrodnie te zaplanowali i realizowali.

Trybunał w Norymberdze

Po klęsce hitlerowskich Niemiec w Norymberdze odbyły się procesy dwudziestu dwóch nazistowskich przywódców, oskarżonych między innymi o popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości.

Podczas wojny propaganda aliantów przedstawiała nazistowskich przywódców jako chorych na umyśle szaleńców, a i późniejsze filmy dokumentalne nakręcone w niemieckich obozach koncentracyjnych nie pozostawiały mieszkańcom Europy i Stanów Zjednoczonych wątpliwości, że w istocie muszą to być najciężej chorzy na umyśle ze wszystkich zaburzonych ludzi, jakich widział świat.

Do dwudziestu dwóch więźniów uzyskała dostęp grupa psychologów i psychiatrów pod kierownictwem Douglasa M. Kelleya i Gustave'a Gilberta. Mieli oni na podstawie badań określić rodzaj choroby, na jaką cierpią nazistowscy przywódcy. Większość ekspertów nie miała wątpliwości, czy przywódcy nazistów są chorzy psychicznie, szukała raczej odpowiedzi na pytanie o stopień zaawansowania i rodzaj choroby psychicznej, która ich dotknęła.

Eksperci korzystali głównie z testów na inteligencję oraz metody testowej Rorschacha.

Wyniki testów na inteligencję nie były szeroko komentowane w mediach, gdyż nazistowscy przywódcy okazali się nadzwyczaj inteligentni, a to nie pasowało do oczekiwań opinii publicznej. Żaden z oskarżonych nie osiągnął wyniku średniego (100) bądź poniżej średniej. Ich IQ mieściło się w przedziale 106-143, co dawało przeciętną 128. Przeciętna ta była wyższa aniżeli przeciętna Amerykanów z wykształceniem uniwersyteckim (118), wielu zaś osiągnęło wynik na granicy geniuszu. Jeśli więc byli chorzy na umyśle, to należałoby ich nazwać bardzo inteligentnymi szaleńcami.

Testy Rorschacha to metoda badania osobowości, nie inteligencji.

Psycholog pokazuje pacjentowi standardowy zestaw tablic z plamami atramentowymi i pyta, co dany obraz przedstawia. Plamy stworzone są w celu poruszenia wyobraźni, lecz żadna z nich nie niesie konkretnego znaczenia, nie ma, więc „prawidłowych” odpowiedzi. Psycholog zapisuje odpowiedzi osoby badanej, a także czas, jaki zajęło jej ich udzielenie, sposób wyrażania emocji, spontaniczne uwagi i inne reakcje na plamy. Uzyskuje dzięki temu obraz osobowości, wyobraźni i sposobu myślenia osoby badanej. Ta metoda diagnostyki powstała w latach dwudziestych XX wieku i jest stosowana do dziś.

Współpraca Douglasa M. Kelleya i Gustave'a Gilberta nie układała się do tego stopnia, że nie byli w stanie wspólnie przeprowadzać testów.

Psychiatra Kelley, doświadczony interpretator metody Rorschacha, zbadał siedmiu oskarżonych i nie znalazł u nich jakichkolwiek oznak choroby psychicznej.

Psycholog Gilbert, chociaż nie miał doświadczenia z tą metodą, przebadał szesnastu oskarżonych. O swoich przeżyciach i wrażeniach ze spotkań ze zbrodniarzami wojennymi w Norymberdze napisał kilka książek i artykułów. Przedstawiał w nich nazistowskich przywódców jako psychopatyczne „roboty do mordowania”, pozbawione litości i sumienia, lecz prawie w ogóle nie odwoływał się do wyników testów, które przeprowadził.

Jego książki opierały się przede wszystkim na nieformalnych rozmowach z więźniami, odbył je ponadto w okresie, kiedy wielu oskarżonych wykorzystywało opinię świata zewnętrznego na ich temat i symulowało chorobę psychiczną. Między innymi Rudolf Hess, zastępca Hitlera, przyznał później, że udawał szaleństwo w nadziei na łagodniejszą karę bądź lepsze możliwości ucieczki.

Ponieważ Gilbertowi brakowało doświadczenia w analizowaniu testów Rorschacha, jego notatki z badań zostały później przekazane dziesięciu ekspertom, specjalizującym się w tej metodzie badawczej, którzy mieli dokonać ponownej analizy osobowości nazistów.

Jednak żaden z nich nie przedstawił swojej opinii. Można przypuszczać, że stało się tak z obawy przed konsekwencjami. Gdyby wyniki testów wyraźnie nie wykazały choroby psychicznej przywódców nazistowskich, panujące ówczesnie w Stanach Zjednoczonych i Europie nastroje społeczne sprawiłyby, że większość zwykłych obywateli uznałaby metodę Rorschacha - w której eksperci się specjalizowali - za w oczywisty sposób błędną.

Dopiero blisko trzydzieści lat później, w roku 1975, powrócono do analizy notatek Gilberta z badań metodą Rorschacha. Po ich opublikowaniu w postaci książki rozpoczęła się dyskusja wielu psychologów, na nowo interpretujących wyniki testów. Jedni dopatrywali się w nich wyraźnej psychopatii, depresji i skłonności do przemocy. Inni wykazywali, że analitycy Rorschacha w ślepych teście nie potrafili odróżnić tych wyników od wyników osób niebędących nazistami.

Od czasów wojny naukowcy rozbudowali i unowocześnili metodę Rorschacha. W wyniku analizy najlepiej wykorzystującej nową wiedzę (Eric A. Zillmer, Molly Harrower, Barry A. Retzler i Robert P. Archer) dopiero w roku 1985 stwierdzono, że nazistowscy przywódcy zdecydowanie nie cierpieli na żadne choroby psychiczne. Byli na ogół dobrze funkcjonującymi społecznie osobami o bardzo różnych cechach osobowości. Dwie cechy jednak mieli wspólne: niezwykle umiejętnie dostosowywali swoje postawy do oczekiwań aktualnych przywódców, zamiast kierować się „wewnętrznym kompasem”, a ponadto wykazywali tendencję do przeceniania własnej osoby.

Pomimo tych dwóch cech naukowcy stwierdzili, że różnice między nazistami były większe aniżeli podobieństwa. Nie istnieje, więc żaden jednorodny „typ osobowości nazistowskiej”.

Administracja Trzeciej Rzeszy

Przez pierwszych piętnaście lat od zakończenia drugiej wojny światowej próby zrozumienia sprawców Holocaustu polegały przede wszystkim na badaniu ich odchyleń psychicznych. Interesowano się wyłącznie wysoko postawionymi zbrodniarzami, a głównym źródłem badań były akta procesów norymberskich.

Inną linię badań stanowiły próby określenia „typu osobowości autorytarnej”, który w opinii wielu osób był szeroko rozpowszechniony w niemieckim kręgu kulturowym. Ludzie o tym typie osobowości wykazują skłonność do podporządkowywania się rozkazom również wówczas, gdy rozkazy te pozostają w całkowitej sprzeczności z rozsądkiem i przyzwoitością.

Wczesne lata sześćdziesiąte przyniosły zmiany. Zasadniczą rolę w tym procesie odegrały następujące trzy wydarzenia:

1) W 1961 roku Raul Hilberg wydał pionierską pracę *The Destruction of the European Jews*, w której przedstawił pierwszą gruntowną analizę struktury administracyjnej reżimu nazistowskiego. Wykazał, że Niemcy hitlerowskie nie były jednorodną, zarządzaną odgórnie hierarchią, jak dotychczas sądzono. Reżim składał się z wielu różnych organizacji, zaciekle rywalizujących ze sobą o władzę. Ogromna machina śmierci angażowała ludzi ze wszystkich grup społeczeństwa niemieckiego.

Hilberg wykazał również, że zabójstwa liczone w milionach istnień ludzkich wymagały rozbudowanej administracji, działającej na określonych zasadach, pracy biurowej i procedur, których nie dałoby się realizować, gdyby zależały od zaangażowania osób chorych psychicznie czy od ludzi o domniemanym wyjątkowym niemieckim typie osobowości. Publikacja ta rozbudziła zainteresowanie całym systemem administracyjnym Trzeciej Rzeszy oraz tymi zbrodniarzami, którzy na poziomie średniej administracji realizowali wytyczne opracowane przez kierownictwo na górze.

2) Znana amerykańska filozofka i intelektualistka Hannah Arendt wydała w roku 1963 książkę *Eichmann w Jerozolimie: Rzecz o banalności zła*. Przedstawiła w niej raporty z wielomiesięcznego procesu przeciwko Adolfowi Eichmannowi, który został ujęty w Argentynie przez izraelskie służby specjalne. Eichmann jako kierownik referatu do spraw żydowskich w Gestapo był między innymi główną osobą odpowiedzialną za transporty milionów Żydów do obozów koncentracyjnych z dotkniętej wojną Europy.

Hannah Arendt pisała, że w Eichmannie najbardziej przeraża właśnie to, iż nie był on demonicznym szaleńcem, opętanym myślą o unicestwieniu Żydów. Zdecydowanie bardziej przerażało odkrycie, że to nudny, pozbawiony osobowości biurokrata, który bez zaangażowania i wyobraźni o następstwach bezwolnie wykonywał wydane mu rozkazy.

Obliczem zła nie była maska demona owładniętego szaloną nienawiścią, lecz twarz przeciętnego człowieka, zainteresowanego przede wszystkim własną biurokratyczną karierą.

Hannah Arendt w swojej książce nakreśliła nowy obraz zła. Obraz ten głęboko wpłynął na nasz stosunek do hitlerowskich Niemiec i do perfekcyjnie zorganizowanych dużych organizacji. Jej wpływ trwa, chociaż obecnie większość historyków zgadza się, że Hannah Arendt pomyliła się w swojej ocenie Eichmanna. Bezkrytycznie przyjęła jego słowa o własnym wkładzie pracy, które wygłosił na sali sądowej tylko po to, by się wybielić.

Później ujawniono, że nie wykonywał rozkazów przełożonych, jeżeli negatywnie wpływały na efektywność żydowskich transportów, którymi kierował jego referat. Działał znacznie energiczniej, niż był do tego zobowiązany, a jego zaangażowanie sięgało tak głęboko, że skłonny był wręcz osłabić sukcesy wojenne Niemiec, jeśli dzięki temu mógł wyekspediować o czasie więcej transportów Żydów.

3) W roku 1963 psycholog społeczny Stanley Milgram opublikował wyniki eksperymentu, pokazujące, do jakiego stopnia przeciętni ludzie są posłuszni autorytetom - także wówczas, gdy autorytety nie mają dostatecznej władzy, by ich karać lub nagradzać.

Pierwotnie Milgram planował porównanie stopnia posłuszeństwa autorytetom w USA i Niemczech. Pragnął zmierzyć elementy składowe niemieckiego charakteru narodowego. Nie udało mu się jednak zrealizować niemieckiej części badań, ponieważ wstępne wyniki z USA okazały się bardziej bulwersujące, niż początkowo zakładano.

Najsłynniejszy na świecie eksperyment z dziedziny psychologii społecznej

Eksperyment Milgrama od roku 1963 stał się sławny na całym świecie dzięki podręcznikom akademickim i szkolnym, artykułom w prasie, filmom fabularnym i programom telewizyjnym. Jest on tak powszechnie znany, że nawiązywano do niego nawet w filmach reklamowych.

Podczas badania dwie osoby dowiadują się, że będą uczestniczyły w eksperymencie badającym wpływ kary na przyswajanie wiedzy. Losują, która z nich zostanie „nauczycielem”, a która „ucznem”, ale wynik losowania jest z góry ustalony.

Jedną z osób uczestniczących w eksperymencie jest, bowiem asystent prowadzącego, lecz o tym osoba naprawdę badana nie wie. We wszystkich realizacjach eksperymentu osoba badana jest nauczycielem, chociaż uważa, że tylko przez przypadek nie została uczniem.

Asystent odgrywający rolę ucznia zostaje przypięty pasami do czegoś w rodzaju krzesła elektrycznego, a osoba badana wychodzi do innego pomieszczenia, z którego nie widzi już ucznia. Odpowiedzi ucznia ukazują się w postaci zapalających się tabliczek świetlnych. W razie udzielenia przez ucznia błędnej odpowiedzi osoba badana - nauczyciel - ma wcisnąć klawisz i ukarać ucznia impulsem elektrycznym.

Początkowo napięcie prądu jest słabe. Na pierwszym przycisku jest napis: 15 woltów - słaby wstrząs. Ale po każdej błędnej odpowiedzi zadaniem osoby badanej jest podnoszenie napięcia. Skala generatora rośnie w 15-woltowych interwałach aż do przycisku z napisem: 420 woltów - Niebezpieczeństwo. Poważny wstrząs, a następnie do 450 woltów-XXX.

Aby eksperyment dało się precyzyjnie porównać w obu krajach, opisano dokładnie, w jaki sposób ma się zachowywać eksperymentator i jego asystent odgrywający rolę ucznia.

Uczeń w żadnym momencie nie jest naprawdę rażony prądem, lecz w chwili, gdy osobie badanej wydaje się, że wysłała do ucznia impuls o napięciu 300 woltów, uczeń musi protestować, mocno walić w ścianę laboratorium, oddzielającą go od nauczyciela. Przy 315 woltach znów ma uderzać w ścianę. Następnie przestaje odpowiadać, a osoba badana może przypuszczać, że uczeń stracił przytomność.

Nauczyciel dowiaduje się, że brak odpowiedzi należy uznać za odpowiedź błędną, dlatego mimo całkowitej bierności ucznia powinien podwyższać napięcie.

Na protesty osoby badanej prowadzący ma cztery standardowe odpowiedzi. Pierwsza: Proszę kontynuować. Druga: Eksperyment wymaga pańskiego dalszego udziału. Następnie: Pański dalszy udział jest decydujący dla powodzenia eksperymentu. A na koniec: Nie ma pan innego wyboru, musi pan kontynuować.

Jeśli po tych czterech uwagach osoba badana wciąż odmawia wykonania polecenia, eksperyment zostaje przerwany.

Okazało się, że najbardziej powszechną reakcją osoby badanej są wielokrotne protesty. Ponadto do typowych należy pocenie się, trzęsienie, jękanie i przygryzanie warg.

Powszechne jest również, że uczestnicy badania, którzy przychodzą pewni siebie, normalnie funkcjonujący społecznie, w ciągu dwudziestu minut zbliżają się do granicy załamania nerwowego. Zdenerwowani krążą po pomieszczeniu, jak gdyby chcieli zrezygnować z badania, głośno do siebie powtarzając, że dłużej tego nie zniosą.

Osoby badane w każdej chwili mogą się wycofać z eksperymentu. Muszą tylko oświadczyć, że nie chcą dłużej w nim uczestniczyć i faktycznie przestać wykonywać polecenia. Wiedzą, że nie grożą im żadne represje.

Mimo to dwie trzecie osób badanych w pierwotnej próbie słuchało poleceń eksperymentatora aż do końca, do chwili, gdy myśleli, że rażą ucznia prądem o najwyższym możliwym napięciu. Wtedy eksperyment przerywał prowadzący.

Sam Stanley Milgram uważał, że wyniki jego eksperymentu potwierdzają pojęcie „banalności zła” Hannah Arendt. Osoby badane, które w roli nauczyciela sądziły, że aplikują uczniowi groźne dla życia dawki prądu, nie były na wskroś złymi potworami. Stanowiły dwie trzecie grupy całkiem zwyczajnych ludzi i nie działały pod wpływem choroby psychicznej, przekonań rasistowskich czy nienawiści, lecz z domniemanego poczucia obowiązku.

Eksperyment Milgrama powtarzało wielu innych badaczy, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w innych częściach świata. Zarówno oni, jak i sam Milgram wprowadzali w nim rozmaite zmiany. Obecnie nie ma wątpliwości, że procent osób badanych, które posłusznie wykonują polecenia eksperymentatora aż do zaaplikowania „uczniowi” maksymalnej dawki prądu, utrzymuje się na mniej więcej stałym poziomie, bez względu na kraj pochodzenia uczestników eksperymentu, datę jego przeprowadzania czy płeć osoby badanej.

Gdy osoby badane mogą słyszeć krzyki i skargi ucznia przez telefon, wynik spada zaledwie o kilka procent, gdy natomiast osoba badana znajduje się w tym samym pomieszczeniu, co uczeń, wynik obniża się z 65% do około 40%.

Inne eksperymenty z dziedziny psychologii społecznej wykazują, że wynik znacznie przekracza 65%, jeśli osoba badana jest w pracy i destrukcyjne polecenia otrzymuje od przełożonego.

Przez dziesiątki lat eksperyment ten chwalono i przez dziesiątki lat go krytykowano. Krytycy podkreślają ogromną różnicę pomiędzy aplikowaniem komuś wstrząsów elektrycznych przez godzinę a zabijaniem ludzi przez całe miesiące czy lata.

Bez względu na okoliczności badanie to jest interesujące, ponieważ podczas powojennych procesów sądowych linia obrony wielu zbrodniarzy polegała na podkreślaniu ich posłuszeństwa wobec przełożonych. Jednak obrońcy zbrodniarzy nigdy nie przedstawili nawet pojedynczego przykładu ukarania niemieckiego funkcjonariusza za odmowę wykonania pracy w obozie koncentracyjnym czy też uczestnictwa w innej formie zabijania cywilów.

Eksperyment Milgrama przesunął punkt ciężkości z wymuszonego posłuszeństwa na dobrowolne podporządkowanie się autorytetom.

Zwykli ludzie

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku w badaniach nad sprawcami zbrodni ludobójstwa nastąpił kolejny zwrot. Stało się tak w wyniku opublikowania w roku 1992 książki amerykańskiego

profesora Christophera Browninga *Zwykli ludzie. 101. Policyjny Batalion Rezerwy i „ostateczne rozwiązanie” w Polsce.*

Pozycja ta rozbudziła zainteresowanie udziałem szeregowych niemieckich żołnierzy w zagładzie Żydów. W roku 1995 w muzeum w Hamburgu zorganizowano wystawę na temat dokonywanych przez armię niemiecką zabójstw jeńców wojennych, Żydów i innej ludności cywilnej, a w roku 1996 ukazała się słynna książka Daniela J. Goldhagena *Gorliwi kaci Hitlera: Zwyczajni Niemcy i Holocaust.*

Browning opisuje Policyjny Batalion Rezerwy z Hamburga, liczący około pięciuset policjantów z rezerwy, których w roku 1942 wysłano do Polski na, jak sądzili, służbę wartowniczą. Batalion składał się przede wszystkim z mężczyzn w średnim wieku, niebędących nazistami, ponieważ wszyscy młodszy lub bardziej wojowniczo usposobieni już dawno zostali wysłani na front. Średnia wieku wynosiła trzydzieści dziewięć lat. Oznacza to, że ludzie ci dorastali i kształtowali swoje poglądy w Niemczech przed rządami nazistów. Ponieważ wszyscy wywodzili się z klasy robotniczej Hamburga, wielu z nich - wtedy, gdy było to jeszcze możliwe - prawdopodobnie głosowało na komunistów lub socjaldemokratów.

Wiele lat po wojnie mężczyzn tych szczegółowo przesłuchiwali prokuratorzy z Hamburga. Ów stary i bardzo drobiazgowy materiał z przesłuchań odnalazł i usystematyzował Christopher Browning.

Po trzech tygodniach rozmaitych niegroźnych zadań w Polsce tych pięciuset mężczyzn pewnego ranka przywieziono do Józefowa. Dopiero na miejscu dowiedzieli się, że mają zabić tysiąc ośmiuset miejscowych Żydów.

Dowodzący nimi major płakał, przekazując polecenia Berlina, i parokrotnie podkreślał, że każdy może na własną prośbę zostać odsunięty od wykonania tego zadania. Ale spośród pięciuset mężczyzn zdecydowało się na to zaledwie dziesięciu-trzynastu.

Żaden z oficerów ani szeregowych w batalionie nie uczestniczył wcześniej w podobnym zadaniu, lekarz batalionowy wyjaśnił, więc, że mają przykładac bagnet do szyi każdej z ofiar, tuż pod czaszką, i naciskać spust. Następnie wraz ze swymi ofiarami pomaszzerowali do lasu. Tam ułożyli na ziemi pierwszą niewielką grupkę dzieci, młodzieży i starców i zaczęli strzelać. Wszyscy jednak byli tak wstrząśnięci, że, pomimo iż strzały oddawali z bardzo bliskiej odległości, często nie trafiali.

Niektórzy przystawiali lufy karabinów bezpośrednio do czaszek ofiar, a z uwagi na użycie kul dużego kalibru czaszki eksplodowały. Przez kolejne godziny mózgi ofiar tryskały na policjantów. Wiele z nich nie mogło zapanować nad mdłościami i fizycznie nie było w stanie kontynuować egzekucji.

W miarę upływu dnia coraz więcej policjantów prosiło o zwolnienie ich z zadania wykonywanego w Józefowie. Inni się pochowali, niektórzy poświęcali przesadnie dużo czasu na przeszukiwanie od dawna już pustych domów albo celowo strzelali obok uciekających Żydów.

Gdy zaszło słońce i masakra dobiegła końca, stwierdzono, że o zwolnienie z powodu problemów fizycznych lub psychicznych poprosiło od 10 do 20% policjantów. Pozostali wykonali zadanie.

Po masakrze w Józefowie okazało się, że najgorsze policjanci mają już za sobą. Nauczyli się wykonywać rozkazy. W następnych miesiącach raz po raz okrążali polskie miasteczka, wyłapywali Żydów i wysyłali ich do obozów śmierci lub przeprowadzali egzekucje na miejscu. Po kolejnych dziesięciu miesiącach batalion miał na sumieniu, co najmniej osiemdziesiąt trzy tysiące żydowskich istnień.

Cała niemiecka machina śmierci została prędko usprawniona. Stanowiło to dużą ulgę dla szeregowych, którzy nie musieli już własnoręcznie zabijać Żydów. Większość z nich mieli teraz wpychać do pociągów, jadących do obozu zagłady w Treblince. Zapędzanie ofiar do pociągu, który, jak było wiadomo, wiozł Żydów na pewną śmierć, wydawało się tym ludziom niczym w porównaniu z własnoręcznym ich uśmiercaniem.

Oprócz tego ekstremalnie zwiększono im racje alkoholu, przysyłano też z Berlina muzyków i artystów, aby wieczorami mogli się bardziej odprężyć. Jeszcze później to jeńcy wojenni z frontu wschodniego przejęli realizację zadań wywołujących wciąż największe obrzydzenie.

Batalion zdobył doświadczenie w zabijaniu Żydów. Poznano sposoby pozwalające wykonywać egzekucje znacznie sprawniej i przy mniejszym obciążeniu psychicznym. Policjanci nie kazali już ofiarom kłaść się na ziemi, tylko zapędzali je na brzeg masowych grobów, strzelali z nieco większej odległości, a Żydzi sami wpadali do grobu.

Na skutek tej nowej metody wielu Żydów nie umierało od razu, zadaniem jeńców wojennych ze wschodu było, więc przeszukiwanie masowych grobów i dobijanie tych Żydów w stosach trupów, którzy wciąż się poruszali lub jęczeli. Jeńcom wojennym zapewniano wielkie ilości wódki, przed zejściem do grobów upijali się, więc do nieprzytomności. W dole brodzili w cieczy będącej mieszaniną wody gruntowej i krwi, sięgającej im po kolana. Stanowiąc jednocześnie bardzo duże zagrożenie dla samych siebie, strzelali na oślep do stosów ciał unoszących się w wodzie.

Dla większości policjantów zabójstwa stały się chlebem powszednim. Zahartowali się. Nauczyli się z tym żyć. Browning opisuje życie zbrodniarzy w ciągu kolejnych osiemnastu miesięcy.

Pisze o dumnym, władcym kapitanie SS, który przy okazji każdej „akcji żydowskiej” dostaje biegunki i skurczów żołądka i nie może wstać z łóżka. I o tym, jak próbuje utrzymać swoją słabość w tajemnicy przed przełożonymi.

Pisze o zdolnym, pewnym siebie oficerze, który często jeździ samochodem, na stojąco, jak generał. O tym, jak właśnie się ożenił i zaprosił młodą żonę w podróż poślubną do Polski, a tu postanowił pokazać jej likwidację getta. I o reakcji jego podwładnego, który oburzył się, że kobieta ma być świadkiem takich okrucieństw.

Pisze o trupie śpiewaków i aktorów przybyłych z Berlina, którzy błagają o zabranie ich na wycieczkę i o pozwolenie na udział w zabijaniu Żydów. Batalion na to przystaje.

Pisze o smrodzie, który nadciąga nad Lublin, kiedy za miastem płoną tysiące Żydów.

Pisze o tym, jak niektórzy policjanci okazują szczególną dbałość o własnych Żydów pomagających w kuchni, gdy otrzymują rozkaz ich zabicia. Starają się, aby „ich” Żydzi niczego nie podejrzewali, i zadają sobie trud zastrzelenia ich szybko od tyłu, by nie cierpieli, ani nie przeżywali takiego strachu, jak pozostałe ofiary.

Przykład kolegów

Do czasu ukazania się książki Browninga posłuszeństwo wobec autorytetów uważano za główną przyczynę łatwości, z jaką zwykłych Niemców udawało się zmienić w masowych morderców. Opinia ta opierała się między innymi na pochodzącym sprzed trzydziestu lat eksperymencie Stanleya Milgrama.

Browning obala to przekonanie. Stwierdza, że o wiele większe znaczenie miała presja kolegów. Ich przykład nakazywał nie ustawać w wypełnianiu rozkazów.

Żaden z nich, bowiem nie chciał się okazać słabeuszem w oczach pozostałych. Poza tym wszyscy brzydzili się zleconym im zadaniem, dlatego wycofanie się postrzegano jako akt niesolidarności i egoizmu - przez to koledzy musieliby zabić jeszcze więcej osób.

Nadgorliwi zbrodniarze

Z czasem część policjantów zaczęła bardziej angażować się w zabójstwa. Wykonywali swoje zadania z nawiązką. Potrafili bez powodu torturować ofiary albo kończyć zabawę jazdą do getta, aby strzelać do żywych celów. Zmienili się w tych, których w badaniach określa się jako „zbrodniarzy nadgorliwych”.

Za przykład może tu posłużyć czterdziestoosmioletni oficer, który początkowo jest na tyle pokojowo nastawiony, że szybko schodzi z drogi, gdy zanoszą się na zabijanie Żydów. Później następuje w nim dramatyczna przemiana. Często podczas akcji żydowskich upija się tak jak jeńcy wojenni z frontu wschodniego, wysyłani do masowych grobów, staje się nawet bardziej brutalny niż dwaj młodzi kapitanowie SS.

Zmusza swoich ludzi do okrucieństwa. Najstarszym Żydom z miasteczka każe rozebrać się do naga i pełzać po lesie, a od podwładnych wymaga, aby bili starców kijami.

Na świecie zebrano jeszcze zbyt mało danych, by móc z całą pewnością stwierdzić, jak duża część sprawców zmienia się w zbrodniarzy nadgorliwych. Ale liczby przytoczone przez Browninga odpowiadają wynikom eksperymentu z zakresu psychologii społecznej, znanego jako „Eksperyment więzienia w Stanford”. Ponadto praca, którą właśnie przygotowuje duński badacz Torben Jorgensen, wykorzystując materiały zgromadzone w DCIL, wskazuje, że procentowo liczby te rozkładają się następująco:

- 10-20% sprawców stara się o przeniesienie do innych zadań
- 50-80% wykonuje rozkazy
- 10-30% zmienia się w sprawców nadgorliwych, którzy wpadają w amok, upojeni zadawaniem bólu, zabijaniem i gwałtami

Przyszłość

Badania zbrodniarzy dopuszczających się ludobójstwa wciąż opierają się na zbyt skromnych danych. Kto powie, że dwudziestu dwóch przywódców czy też pojedynczy rezerwowy batalion policji jest w jakikolwiek sposób reprezentatywny dla mechanizmów, które wywarły wpływ na miliony ludzkich istnień?

Holocaust jest bezapelacyjnie najlepiej w historii zbadaną zbrodnią ludobójstwa. Mimo to luki w naszej wiedzy są ogromne. Równie ogromny jest też niezbadany materiał archiwalny. W Auschwitz było siedem i pół tysiąca strażników. Istnieje wiele protokołów z ich przesłuchań, lecz do tej pory nie zostały one przeanalizowane.

Obecnie jednak daje się zaobserwować wyraźny rozwój badań, których pionierem był Christopher Browning.

Pewną tendencją stają się szczegółowe studia regionalne, połączone z analizą wybranego regionu. Ten kierunek badawczy umożliwi rozpoznanie współdziałania policji, wojska, administracji publicznej i lokalnych przedsiębiorców z nazistowskim aparatem partyjnym.

Ponadto, nadal w niewielkim zakresie, prowadzone są badania nad kolaboracją okupowanych krajów wschodnioeuropejskich (często silnie antysemickich) z nazistami. Otwarcie archiwów radzieckich przyczyni się do rozwoju wielu projektów badawczych.

Niezrozumiałym priorytetem może się wydawać poświęcanie środków na badanie szczegółów zachowań znanych z nazwiska Niemców sprzed sześćdziesięciu lat, pomimo że inne zbrodnie ludobójstwa, na przykład w Chinach i Związku Radzieckim, które pochłonęły więcej ofiar niż Holocaust, dalej są w zasadzie niezbadane.

Nie ma jednak w historii świata innej zbrodni ludobójstwa, w której materiały archiwalne byłyby równie obszerne i łatwo dostępne. Badacze mają też nadzieję, że badania nad Holocaustem w dalszym ciągu będą dostarczać nam wiedzy wykraczającej poza Niemcy lat trzydziestych i czterdziestych, wiedzy, która znajdzie zastosowanie również w analizie innych zbrodni ludobójstwa, nie tak szeroko udokumentowanych.

A przede wszystkim wiedzy możliwej do wykorzystania w działaniach zapobiegawczych, pozwalającej uniknąć następnych katastrof, takich jak te, które świat wycierpiał, a o których dzisiaj najchętniej by zapomniał.

W następnym numerze „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa” przedstawimy drugą i ostatnią część artykułu pt. Psychologia zła.

Opublikujemy też przegląd wybranych badań z dziedziny psychologii społecznej, opisujących przebieg procesów zachodzących w psychice sprawców, którzy dopuścili się zbrodni ludobójstwa.

30

- Nie chciałem wam o tym wcześniej mówić, żeby was nie denerwować.

Paul z poważną miną poprosił Anne-Lise o przyście do Ogrodu Zimowego. Stoi teraz przy małej drukarce i niskim regale z numerami „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa”. Ręce ma skrzyżowane na piersi, stopy szeroko rozstawione, jak oficer, który pragnie pokazać, że jest odpowiedzialny i zdolny do działania.

Wszystkie podwładne zgromadziły się wokół niego.

- Ale teraz muszę już wam powiedzieć - kontynuuje Paul - że w Ministerstwie Finansów trwają prace nad projektem uchwały włączającej nasze centrum do Instytutu Praw Człowieka.

Milknij, aby słowa mogły wywrzeć odpowiedni skutek. To teraz wszystkie mają wyglądać na wstrząśnięte i okazać, jaka to straszna wiadomość, że Paul przestanie być ich szefem.

Anne-Lise nie wie, co myślą inne, lecz w skrytości ducha uważa, że takie połączenie byłoby niczym boską interwencją w jej sprawie. Natychmiast zapomina o nienawiści i lęku, to może być

nagroda za to, że wytrzymała w piekle DCIL. Zachowa swoją pracę, a jednocześnie, tak jak w Bibliotece Miejskiej w Lyngby, będzie miała codzienny kontakt z mnóstwem miłych kolegów.

Oczywiście ta ulga i radość Anne-Lise są całkiem nie na miejscu, ma, więc nadzieję, że koleżanki jak zwykle nie zdołają nic wyczytać z jej twarzy. Paul ciągnie, marszcząc czoło:

- To, dlatego ostatnio tak często musiałem brać udział w różnych spotkaniach poza centrum.

- Wzdycha, przez chwilę jego mina ma wyrażać poczucie winy. - Z pewnością dziwiłyście się, że tak mało tu przebywałem. Wiecie jednak, że będę walczył ze wszystkich sił. Nie pozwolę zniszczyć naszego centrum.

Malene dzisiaj - pierwszy dzień po zwolnieniu lekarskim - przyszła do biura umalowana wprost wyzywająco jak na zwykły dzień pracy.

- Paul, to przecież straszne! - jęczy głośno.

Iben i Camilla jej wtórują.

- Co możemy zrobić, żeby centrum przetrwało w obecnym kształcie?

- Od jak dawna to wiesz?

I tak dalej.

Anne-Lise nie spuszcza wzroku z Camilli, jak gdyby mogła dowiedzieć się o niej czegoś więcej już przez samo patrzeć jej w oczy. Robi tak od czasu, gdy odkryła, jak wielką traumą dla Camilli był mobbing.

Ale po Camilli nic nie widać. Jak zawsze. Stoi obok Anne-Lise w nieciekawej, luźnej zielonej bluzce.

- Tak sobie myślałam, że coś się dzieje - mówi - kiedy tyle cię nie było.

Paul nie odpowiada jej, tylko oświadcza:

- Już wcześniej potrafiliśmy stawić czoło podobnym wyzwaniom.

Mówi to z dużą pewnością siebie, ponieważ wszyscy wiedzą, że to on - Paul i nikt inny - stawiał czoło wyzwaniom i ratował niezależność centrum.

- Ale tym razem definitywnie zmienił się charakter wiszącego nad nami zagrożenia. Ponieważ to ktoś z naszego zespołu próbuje zniweczyć naszą walkę o przetrwanie.

Anne-Lise drętwieje. W jaki sposób to odkrył? Przecież ona nic nie powiedziała. Skąd on to wie?

Bierze się jednak w garść, znów z nadzieją, że nikt nie jest w stanie odczytać tego, co myśli. Bada oczy Paula, ale nic w nich nie dostrzega.

Czy Paul odkrył tajemnicę którejś z pozostałych pracowników? Anne-Lise rozgląda się, patrzy na Camille, na Iben, na Malene. Wszystkie trzy wyglądają na wystraszone i, być może, na winne.

Paul zdaje się nie zauważać ich reakcji, mówi jasno i spokojnie: - Frederik Thorsteinsson przyjął stanowisko koordynatora do spraw badań w Instytucie Praw Człowieka, a więc

bezpośredniego podwładnego Mortena Kjaeruma. Obejmie je za pięć miesięcy. Nie powiedział mi o tym osobiście, dowiedziałem się od przyjaciela zasiadającego w zarządzie instytutu, lecz ta informacja jest pewna. Paul bierze głęboki oddech.

- To oznacza, że Frederik ma interes w tym, aby nasze centrum podlegało Instytutowi Praw Człowieka i że już od jakiegoś czasu prowadzi podwójną grę, pracując jako członek naszego zarządu.

Malene zadaje szczegółowe pytania, które świadczą o tym, że podobnie jak Paul zna decydentów z Ministerstwa i z kierownictwa Instytutu Praw Człowieka.

- Aby centrum przeżyło, jesteśmy zmuszeni wyeliminować Frederika z naszego zarządu - kontynuuje Paul. - Nie przyznał się, że nie jest bezstronny w kwestii najgroźniejszego wyzwania, przed jakim staje centrum. Oczywiście będę musiał poruszyć sprawę jego podwójnej gry z Olem, lecz ani Ole, ani ja nie jesteśmy w stanie wykluczyć członka zarządu. Takie decyzje zapadają w Ministerstwie.

Anne-Lise czuje się całkowicie oderwana od tego wszechświata intryg i osobistych powiązań między centrami, instytutami, ministerstwami i ich kierownictwem. Rozumie jednak, że Malene i Iben te sprawy nie są obce. Ich wcześniejsza wiedza i szczegółowe pytania sprawiają, że Paul szybko zaczyna zwracać się do nich.

Gdy entuzjastycznie zgadzają się z Paulem, Anne-Lise uświadamia sobie, że Frederik jest przecież bliższym znajomym Malene niż kogokolwiek tu w centrum. Jeśli DCIL od przyszłego roku zostanie włączone do Instytutu Praw Człowieka, będzie pracować pod kierownictwem Frederika, i to właśnie Malene od razu stanie się kimś w rodzaju ulubienicy szefa, małe są szanse, by stała się nią Iben. Anne-Lise czuje, że coś uchwyciła, ale nie jest pewna, co to może być.

Uważnie obserwuje twarz Malene, chce sprawdzić, czy ona również wolałaby, żeby DCIL stało się częścią większej instytucji.

Paul przerywa jej rozmyślenia:

- Prawdę mówiąc, spytałem już ewentualnego następcę Frederika, czy nie miałby ochoty zostać nowym członkiem zarządu. To oczywisty kandydat, do którego mam ogromne zaufanie. Nie wiem, czy go znacie... Jesteście chyba za młode, żeby pamiętać czasy, kiedy jego gwiazda świeciła najmocniej. Kilka lat temu fenomenalnie pisał w „Information”. To dziennikarz od spraw Afryki, Gunnar Hartvig Nielsen.

Malene cała się rozjaśnia.

- Ja go znam.

Iben nic nie mówi, ale jej twarz jest teraz jakaś inna. Coś tu się dzieje, lecz Anne-Lise nie jest w stanie pojąć, co. Może właśnie tak Iben wyglądała w Nairobi, gdy - jak później mówiła w wywiadach - była kimś innym.

Paul mówi dalej:

- Wiele osób pamięta Gunnara. Wszyscy go bardzo cenią i szanują. I naprawdę znakomicie pisał, między innymi o Afryce Południowej, o Ruandzie i Ugandzie. Mógłby poprawić wizerunek naszego centrum. Nie stara się wypromować siebie, tak jak Frederik, i jest autorytetem. Nie wiem, dlaczego jeszcze nie zasiada w innych zarządach, ale rzeczywiście tak jest. Zaprosiłem go tu na spotkanie, żeby mógł się zorientować, co robimy.

Anne-Lise obserwuje Iben, która dłubie przy sprężynce w lampie na stole. Nagle sprężynka wyskakuje ze swojego miejsca i z głośnym brzękiem uderza w ramię lampy. Iben aż podskakuje przestraszona, a lampa, przytrzymywana już tylko jedną sprężyną, powoli osuwa się na blat.

Anne-Lise widziała Gunnara raz. Było to w Państwowym Muzeum Sztuki, dokąd parę lat temu wybrała się z Nicolą. Akurat kilka dni wcześniej Gunnar był gościem w „TV-avisen” i wypowiadał się jako ekspert na temat wpływu kultury plemiennej na korupcję w Afryce, dlatego Anne-Lise i Nicola go rozpoznały. Ale na żywo wydawał się zupełnie inny niż w telewizji.

Anne-Lise i Nicola wolnym krokiem przespacerowały się za jego plecami, podczas gdy on tłumaczył bardzo pięknej i dużo od siebie młodszej kobiecie, co myśli i czuje, patrząc na obraz Abildgaarda Ranny Filoktet.

Nicola również uważała, że jest niezwykle, chociaż nie czytała jego artykułów o Afryce. Kilka razy, więc, na zmianę, przechadzały się za nim, gdy dzielił się z młodą kobietą wrażeniami także przy innych obrazach.

Dzień później Anne-Lise, zamiast pracować, przeglądała w Bibliotece Miejskiej w Lyngby znajdujący się w tamtejszym księgozbiórze egzemplarz jego zbioru artykułów. Książkę zabrała później do domu i czytała ją wieczorem, leżąc obok Henrika.

Paul podnosi się z oparcia krzesła, na którym przysiadł. Siada teraz normalnie, na siedzeniu, ale krzesło obrócił w taki sposób, że oparcie ma między udami.

- Zdecydowanie liczę na jego zainteresowanie. W taki czy inny sposób znalazł się na bocznym torze kariery zawodowej. Miałby szansę znów wejść do gry, w której uczestniczył wcześniej. Przypuszczam, że kiedy wczoraj do niego zadzwoniłem, sięgnął po butelkę.

* * *

Wieczorem w domu Henrik mówi:

- Szef nie może ot, tak po prostu wyrzucić członka zarządu. Rozumiem, że jest przyzwyczajony do tego, by osiągać własne cele, ale w tym wypadku...

- A co Paul musi zrobić, żeby usunąć Frederika?

- Zastawić jakąś pułapkę albo udowodnić mu karygodny błąd, za który mógłby zostać usunięty.

- A co by to mogło być?

Henrik się śmieje.

- Mógłby na przykład zasugerować, że właśnie ten członek zarządu wysyłał maile z pogroźkami do pracowników centrum.

To żart, a Anne-Lise odczuwa taką ulgę na myśl, że DCIL może zostać włączone do IPC, że śmieje się razem z mężem.

Później tego samego wieczoru - gdy dzieci idą spać - Henrik ciągnie ją na czarną kanapę w salonie. Anne-Lise kładzie się na plecach z jego udami jako poduszką, chociaż wieczór wciąż jest zbyt wczesny na to, by odpoczywać. Patrzy na Henrika od dołu, gdy on mówi:

- Zrobiłem coś, czego nie powinienem był robić.

Anne-Lise dostrzega lekkie napięcie mięśni w jego górnej wardze, świadczące o wstrzymywanym z trudem uśmiechu. Wie, że nie musi się denerwować.

- To absolutnie zabronione - ciągnie Henrik. - I mogą mnie za to wyrzucić z pracy. Ale skoro ty chodzisz na próby chóru pod fałszywym nazwiskiem, to... - Nabiera powietrza i oznajmia: - Wydrukowałem w banku wyciąg z konta Camilli. Nie znalazłem w nim nic podejrzanego, ale może ty coś odkryjesz. Przyniosłem go do domu.

Uśmiechają się do siebie, a on dodaje:

- Malene i Iben też mają konta w Danske Bank, więc ich wyciągi również wydrukowałem.

Anne-Lise całuje go mocno, siada obok niego na kanapie, a on wyjmuje papiery i razem czytają, na co Camilla wydaje pieniądze.

Jest to dość przewidywalne: karta płatnicza, przedszkole, rachunki za telefony komórkowe, zakupy w supermarkecie Fakta na Amagerbrogade, w Hennes & Mauritz, w sklepie z zabawkami, drobne wydatki na pensjonaty i kafeterie w Szwecji. Składki członkowskie w Duńskim Towarzystwie Kempingowym i Kopenhaskim Chórze Pocztownym. Widzą również, że Camilla, co miesiąc dostaje pensję o tysiąc pięćset osiemdziesiąt koron niższą niż Anne-Lise.

Na przejrzanie wyciągów poświęcają sporo czasu. Ani Anne-Lise, ani Henrik nie próbowali wcześniej w taki sposób zdobywać wiedzy o innych ludziach. Znają to wyłącznie z filmów, a tam decydujące dowody zawsze kryją się w przeoczonym szczególe.

Znajdują też jedną dużą niespodziankę. Camilla opłaca składkę członkowską w partii Centrowych Demokratów. Musi to oznaczać, że w ostatnich latach uczestniczyła w zebraniach partii i podpisywała komunikaty polityczne. Czasami może szła na zebranie partii prosto z pracy.

Nikt o tym nie słyszał, musiała wyczuć, że jej przynależność do tej partii nie spodobałaby się Iben i Malene, i z pewnością miała, co do tego rację.

Samo członkostwo w Centrowych Demokratach nie jest ani trochę podejrzane, dowodzi jednak, że Camille zajmują również sprawy zupełnie inne niż te, o których zwykle papie podczas lunchu, tanie lodówki i wycieczki z dziećmi do akwaparków. A przynajmniej dowiedzieli się, że Camilla przez lata utrzymywała coś w tajemnicy.

Po przejrzeniu wyciągów z konta Camilli Anne-Lise i Henrik idą do kuchni podgrzać sobie po kubku soku z czarnego bzu. Nabrali zwyczaju picia ciepłego soku wieczorami, gdy Anne-Lise stale robiła soki z owoców z własnego ogrodu. Zwyczaj się utrzymał, chociaż teraz kupują gotowy sok.

Anne-Lise ma tego wieczoru dobry humor. Przez cały czas jej myśli krążą wokół tego, jak przyjemna może się stać jej praca, kiedy będzie miała setkę nowych kolegów z Instytutu Praw Człowieka. Dzisiaj zaświtała dla niej nadzieja.

Wracają na kanapę i zabierają się do wyciągów Iben. Od razu widzą, że ma na koncie sto osiemdziesiąt trzy tysiące koron. Przed trzema miesiącami wpłacono na nie sto dwadzieścia tysięcy, zapewne w ramach rekompensaty ze strony organizacji, dla której pracowała w Kenii. Pozostała część tej kwoty uskładała się z systematycznego wielomiesięcznego oszczędzania.

Chociaż Henrik już raz po południu w banku przeglądał te wyciągi, jako zawodowy finansista z Danske Bank znów denerwuje się takim ulokowaniem tych pieniędzy.

- To naprawdę niedobrze! Ktoś powinien jej podpowiedzieć, że musi spłacić kredyt studencki. A jeśli nie chce, to przynajmniej zainwestować te pieniądze w obligacje albo przelać na konto oszczędnościowe.

Anne-Lise ma dziś dość siły, żeby śmiać się z tego, jak bardzo jej mąż w każdej sytuacji pozostaje bankowcem. Dla niej wybór konta nie ma takiego znaczenia.

- Iben na pewno będzie musiała zapłacić podatek od tych stu dwudziestu tysięcy z Kenii, a nie wie, ile to wyniesie.

- Ktoś w banku powinien jej pomóc! Naprawdę źle się stało. Jej doradca bankowy kłał nasze dobre imię. Przecież jej w ogóle nikt nic nie doradził!

Również Iben, tak jak Camilla, zarabia mniej niż Anne-Lise. Ale tu różnica jest bardzo niewielka. DCIL stosuje się do umowy zbiorowej i chociaż Iben i Malene z racji wykształcenia mają wyższe zarobki początkowe niż bibliotekarze, to Anne-Lise zdążyła je wyprzedzić dzięki wysłudze lat.

Iben spłaca kredyt studencki. Żywność kupuje w supermarkecie Fotex na Norrebro, książki w księgarni Atheneum, jest też członkiem Amnesty International i Greenpeace. Prenumeruje „Weekendavisen” i „Information”. Poza tym prawie nie wydaje pieniędzy. Jest siedem płatności

dokonanych w różne dni w kawiarni o nazwie Metrobar, a raz kupiła coś w kiosku na dworcu w Roskilde.

W jej wyciągu dziwić może natomiast szereg kwot przelewanych do USA, Anglii i Niemiec.

- Widzisz, kto podejmuje te pieniądze? - pyta Anne-Lise.

- Z tego tutaj nie. Ale mogę spróbować się dowiedzieć.

Tylko w ostatnich trzech miesiącach pieniądze przelewano aż trzynaście razy na siedem różnych kont.

- Ona kupuje w sieci książki dotyczące ludobójstwa i psychiatrii. Ale chyba nie ma powodu, by kupowała je w siedmiu różnych księgarniach. Co to więc może...

Oboje, i Anne-Lise, i Henrik, wiedzą, że za korzystanie z zagranicznych anonimowych serwerów pośredniczących, takich jak ten, z którego zostały wysłane maile z pogrózkami, płaci się abonament. Nie muszą nawet głośno o tym mówić. Anne-Lise podąża za tą myślą:

- Dlaczego miałyby wysyłać taki mail do samej siebie?

- A te teorie, o których, jak twierdzisz, sama tyle mówi? O tym, że jedna jej strona potrafi nienawidzić tę drugą. Czy można to sobie wyobrazić? Czy to nie pasuje?

Anne-Lise nie znajduje odpowiedzi. Już myśli dalej:

- A poza tym... co innego mogła kupować przez Internet?

Henrik robi głupią minę.

- Cały czas dostaję spam ze stron oferujących pornografię. Ale ona chyba na coś takiego nie reaguje?

Anne-Lise rozbawia myśl o Iben, surfującej po Internecie w poszukiwaniu pornografii. Ale to zbyt nieprawdopodobne.

- Może raczej płaci za chat-room, za jakieś randki w sieci?

To budzi w Anne-Lise nowe skojarzenia. Ciekawe, jak bardzo samotna jest w rzeczywistości Iben. Widuje ją zawsze w towarzystwie Malene. W DCIL sprawiają wrażenie ogromnie zadowolonych z siebie, ze swego towarzystwa, a przez tę ich nieustającą wesołość Anne-Lise dotychczas nie kojarzyła Iben z samotnością.

Ale po pracy? Przecież ona nie ma męża. Rzadko też mówi o przyjaciółkach. Anne-Lise nigdy nie zastanawiała się nad głębią samotności Iben.

Później czytają wyciągi Malene. Malene ma kredyt kasowy, przekraczany niemal co drugi miesiąc. Oczywiście również jest członkiem Amnesty International i Greenpeace, i również prenumeruje „Weekendavisen” i „Information”. Oprócz tego spłaca kredyt studencki i wysokie raty na nieoprocenowanym koncie w ekskluzywnym sklepie z wyposażeniem wewnątrz Illums Bolighus. Spore kwoty wypłynęły też z konta w niedużych sklepikach z modną odzieżą na bocznych uliczkach przylegających do Straget. Malene rzadko wydaje pieniądze w supermarketach, na pewno

dlatego, że jedzenie kupuje w małych warzywniakach, prowadzonych przez imigrantów. Na koncie jest odnotowana pojedyncza wizyta w jakiejś dyskotecie, gdzie tańczy się salsę, w której cztery razy w ciągu tego samego wieczoru płaciła kartą. I sporo wizyt w restauracjach.

Niewyjaśnione na wyciągu Malene są nie te pieniądze, które wydaje, lecz te, które dostaje. Od czasu do czasu z jakiegoś nieokreślonego bliżej prywatnego konta wpływają na jej rachunek trzy-cztery tysiące koron.

Właśnie z tego pokrywa ekstrawydatki. Anne-Lise, zauważając to, głośno wykrzykuje:

- Ha!

Henrik opuszcza kubek z sokiem z czarnego bzu.

- Co?

- Czy to nie oczywiste?

- Ja nie wiem.

- No przecież!

Henrik mówi niepewnie:

- Sprawdziłem, od kogo są te pieniądze. Konto należy do kobiety, która nazywa się Jytte Jensen i mieszka w Kolding.

- Aha.

Anne-Lise zdaje sobie sprawę, że nie powinna być tak rozczarowana.

- Jytte Jensen to zapewne jej matka - mówi. - Sądziłam, że matka Malene jest biedną sekretarką, która przeszła na wcześniejszą emeryturę. Tak przynajmniej Malene opowiada o swoim dzieciństwie. Że wyszła z biedy i tak dalej.

- A co przed chwilą uważałaś za oczywiste?

- No, może rzeczywiście tak nie jest, nie wiem...

Milnie i dopiero po paru jego dociekliwych pytaniach odpowiada:

- Pomyślałam, że może Malene poznała jakiegoś bogatego faceta, którego odwiedzała i dostawała od niego pieniądze.

Henrik też nienawidzi Malene, ale odchyła się, z irytacją ściągając wargi.

- Czy to nie... Tylko, dlatego, że lubi się ubrać... Nie jest chyba prostytutką.

Anne-Lise wyciąga do niego rękę.

- Nie, nie. W każdym razie te pieniądze są od jej matki.

- No tak.

Anne-Lise gładzi go pod przedramieniu.

- Od jej biednej matki, która w ogóle nie ma pieniędzy.

31

Kilka dni po zamienieniu tabletek Malene do centrum dzwoni policjant z informacją, że „ktoś przyznał się do wysłania maili”.

Wiadomość tę przyjmuje Camilla. Przełącza do Paula, a potem mówi koleżankom, w czym rzecz. Anne-Lise przychodzi z biblioteki. Malene i Iben wstają od biurek i zbliżają się do drzwi gabinetu Paula. Ale drzwi są zamknięte, muszą, więc czekać w podnieceniu.

Wreszcie Paul wychodzi z gabinetu i opowiada:

- W Chicago, w wielkiej kolonii Serbów na wygnaniu, CIA zatrzymała kilku pomniejszych zbrodniarzy wojennych. Podczas przesłuchań jeden z nich przyznał się do wysyłania maili do DCIL.

Zasypują Paula pytaniami.

- Czy działał sam?
- Czy jest teraz w więzieniu?
- Czy naprawdę zamierzali nas zabić, tak jak pisali?
- Czy znał Mirka Žigicia?
- Jaki był powód, że pisał właśnie do nas i do nikogo innego?
- Czy chcieli się za coś zemścić?

Ale Paul nic więcej nie wie. Najwyraźniej za granicą potężne siły pracują nad wytropieniem Mirka Žigicia i ludzi z jego otoczenia. A te trzy krótkie maile skierowane przeciwko DCIL po prostu do tego pasowały.

Malene dzwoni do duńskiej policji, która nie potrafi jej udzielić więcej informacji. Iben telefonuje do ambasady amerykańskiej, gdzie też nic nie wiedzą. Potem wydzwaniamy do różnych biur w Stanach. A później wysyłają maile i telefonują po raz kolejny do licznych znajomych zajmujących się ludobójstwem na całym świecie. Wszystko na próżno.

Anne-Lise siedzi w bibliotece i patrząc na zdjęcie Henrika z dziećmi, słucha, jak one się nawzajem podniecają.

Osobiście nigdy nie bała się tych maili. Nie potrafi uwierzyć w to, do czego przyznał się ten zbrodniarz wojenny, z pewnością poddawany wielkiej presji. Według niej nic się nie zmieniło.

Słyszysz, jak one dyskutują, czy to również ów nieznany zbrodniarz wojenny z Chicago podmienił tabletki Malene i czy to on umieścił krew w bibliotece.

Zapewne mają świadomość otwartych drzwi do biblioteki i wiedzą, że Anne-Lise słyszy wszystko o krwi na jej regale, tak jakby to nie któraś z nich wlała ją do segregatora.

Dociera do niej, jak kłamią, mówiąc o zamianie tabletek Malene. Bo oczywiście najprawdopodobniej to sama Malene je zamieniła. Później zrobiła wielkie halo z tego, że jest prześladowana, mniej więcej tak jak ludzie, którzy wykrzykują pod niebiosa, że zginął im portfel, aż w końcu znajdują go w kieszeni własnej kurtki.

Oczywiście Iben i Camilla również rozważają taką możliwość, ale żadna z nich nie powie o tym głośno.

Niewiele więcej mogą zrobić. Rozmawiają podnieconymi głosami, przypominają sobie coraz to inne osoby, do których jeszcze mogą zadzwonić, i w ogóle wydaje się, że same wierzą w to, co mówią.

* * *

Po przyznaniu się Serba zachowanie Malene, Iben i Camilli wobec Anne-Lise się zmienia.

Przedtem ich wrogość była dezorientująca - Anne-Lise zawsze miała wątpliwości, że może ona lub one się pomyliły, a wszystko to razem jest jednym wielkim nieporozumieniem. Poza tym czasami któraś z koleżanek nagle okazywała jej życzliwość. Tak jakby zawsze chciały jej dobra i nic z tego, co Anne-Lise od nich doświadczyła, w rzeczywistości się nie wydarzyło.

Tak już nie jest. Teraz, gdy przestały się lękać tego, co Iben nazwałaby „rozszczepioną morderczą osobowością” Anne-Lise, robią, co mogą, by ją zniszczyć. Teraz już nawet tego nie kryją, ani przed sobą, ani przed nią. Mają jasny cel: chcą, by przestała pracować w DCIL, żeby rozpadła się na kawałki i zniknęła. Może na długim zwolnieniu lekarskim? Może z takimi urazami, które już nigdy nie pozwolą jej pracować?

Tak płyną dni. A pewnego dnia, w kilka tygodni po tym, jak Malene zamieniła swoje pigułki, Anne-Lise wychodzi do toalety. Kiedy z niej wraca, Malene stoi na korytarzu i czeka. W pierwszej chwili nie wiadomo, co to ma oznaczać, ale Malene zaraz zaczyna głośno nucić jakąś piosenkę.

Anne-Lise słyszy, że ktoś w bibliotece reaguje na niezgrabny sygnał Malene. Nietrudno rozpoznać odgłos kroków Iben, która szybko, ale nie wkładając wysiłku w skradanie się, wychodzi z biblioteki do Ogrodu Zimowego.

Gdy Anne-Lise mija Malene na korytarzu, koleżanka patrzy jej prosto w oczy i uśmiecha się, jakby się wręcz cieszyła, że Anne-Lise przyłapie je na grzebaniu w jej rzeczach. Jakby uważały to za dobrą zabawę.

Anne-Lise wchodzi do siebie i już w drzwiach widzi, co zrobiła Iben. Rano Anne-Lise wstawiła kilka zielonych gałązek z ogrodu do wysokiej szklanki z wodą i postawiła ją na swoim biurku. Teraz szklanka stoi krzywo, Iben podłożyła pod nią bloczek z żółtymi karteczkami post-it i długopis. Ustawiła to tak, że gdyby Anne-Lise leciuteńko trąciła biurko, szklanka by się przewróciła.

Anne-Lise ostrożnie podchodzi do biurka i nie dotykając niczego ani nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, zestawia szklankę na blat. Na biurku leży mnóstwo ważnych dokumentów. Na szczęście udało się je uratować.

Nie może poskarżyć się Paulowi na zmianę, jaka zaszła w koleżankach. Była już u niego o dwa razy za dużo. Również dla niego wszystko stałoby się o wiele łatwiejsze, gdyby po prostu zniknęła. Do tej pory miał dość charakteru, by tego nie okazywać, lecz teraz przestał bezpośrednio wyrażać swoje wsparcie dla niej, jak czynił to wcześniej.

Jedyne, co Anne-Lise może zrobić, to wytrzymać. I żyć z nadzieją, że wkrótce po połączeniu centrum z Instytutem Praw Człowieka będzie mieć nowe koleżanki.

No i może też zrobić to, co mówił Yngve. To znaczy podjąć wielką walkę z „ludzką naturą”. Znowu powinna spróbować coś im powiedzieć. Skonfrontować się z nimi.

Anne-Lise bierze głęboki wdech. Wciąż stoi, mruga, tak wolno, że za każdym razem ma oczy zamknięte przez kilka sekund. Nie czuje w sobie płaczu. Czuje jedynie, jak grubą ma skórę. Czuje się ciężka i opancerzona jak nosorożec.

Podchodzi do drzwi prowadzących do Ogrodu Zimowego. Patrzy na nieusadowione po obu stronach zsuniętych biurka.

Iben posyła Malene spojrzenie: „Już ją mamy, ty też to widzisz?” Jest jej najzupełniej obojętne, czy Anne-Lise także to zauważyła.

Anne-Lise zaczyna mówić, ale czuje, że minę ma zrezygnowaną. Powtarzała to już zbyt wiele razy.

- Czy mogłybyśmy spróbować utrzymywać bardziej profesjonalne relacje? Takie, w których ja bym nie przeszkadzała wam, a wy mnie. Wówczas mogłybyśmy poświęcać całą energię na pracę.

Malene odpowiada z niezmiennie słodką miną:

- Przecież nie chcemy, żeby tu panowały takie chłodne stosunki. Przecież jesteśmy koleżankami, Anne-Lise.

- Przestań! Czy nie możecie po prostu przestać wchodzić i... Same dobrze wiecie.

- Nie wiemy.

Iben przyłącza się do Malene.

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiecie.

- Nie wiemy.

- Czy nie możemy po prostu przestać przychodzić do siebie tylko po to, żeby sobie nawzajem dokuczać?

- Przecież my nigdy...

- Cicho, Iben! Niech Anne-Lise wytłumaczy, o co jej chodzi. No, Anne-Lise, co twoim zdaniem zrobiłyśmy?

Powoli zmuszają ją do opowiedzenia o niedawnym zajściu, a wtedy obie protestują.

-Ależ my nic takiego nie zrobiłyśmy! Jak możesz w ogóle coś takiego myśleć?

Najzupełniej obojętne im jest to, że ich głosy, gesty i wspólny śmiech wyraźnie pokazują, że kłamią. One się bawią. Anne-Lise myśli: Poderżnęłyby mi gardło, gdyby to było dozwolone. Albo gdyby nikt tego nie zauważył. I bawi je, że ja to wiem.

Właśnie tego Anne-Lise za nic nie może wytłumaczyć Henrikowi. Tego, że ich uśmiechy i dobry humor są w tym wszystkim najstraszniejsze. One uśmiechają się do niej szalenie uradowane, że Anne-Lise przestała już być dla nich człowiekiem.

Przez ostatni tydzień Anne-Lise dręczyły koszmary o ich wywiniętych do góry ustach. Wielkich i uśmiechniętych, z nadzieją, że Anne-Lise dzisiaj jeszcze bardziej rozpadnie się na kawałki.

We śnie Anne-Lise była wrzucana do krateru wulkanu, przykuwana do stołu i przebijana rozżarzonym żelazem, nabijana na pal i wieszana na drzewie, a Malene i Iben uśmiechały się tymi uśmiechami, które wydają się większe niż ciało Anne-Lise.

Budziła się i krążyła po wielkim, ciemnym domu, próbując wyrzucić te koszmary z pamięci. Siadała przy dzieciach i głaskała Ulrika albo Clarę po głowie, szła do salonu i patrzyła na drzewa albo na litografię Walasse'a Tinga, co zwykle pomagało. Powoli rozpalone żelazo i gorąca lava wulkanu ulatywały z niej. Pozostawały jedynie uśmiechy. Gdy później w zmęczeniu osuwała się na kanapę albo na łóżko, koszmary wracały. Budziła się przerażona ponownym spotkaniem z ich odsłoniętymi zębami.

Malene mówi:

- Ten bloczek z żółtymi kartkami musiał się dostać pod szklanę, kiedy przesuwałaś coś na biurku. To cię tak zirytowało, prawda? Szklanka mogła się przewrócić.

Iben porusza pod biurkiem stopami, jakby czegoś szukała. Jakby buty nagle zrobiły się niewygodne? Zagląda pod biurko, wyraźnie dając znak, że straciła koncentrację, że rozmowa zaczęła ją nudzić.

Malene też traci zainteresowanie, patrzy ponad biurkami i śmieje się do Iben.

- Co ty tam masz pod biurkiem? Czego tam szukasz?

Anne-Lise zerka na Camille, która udaje całkowicie pochłoniętą jakimiś rachunkami, chociaż oczywiście wcale tak nie jest.

Camilli jakby w ogóle tu nie było. Anne-Lise ma ochotę podejść do niej, spojrzeć jej w oczy i zawołać: Jesteś tu? Widzisz, co się dzieje? Czy ty masz jakieś zdanie o tym, co się tu wyprawia? Ty też byś się cieszyła, gdybym umarła?

Ale po ucieczce Camilli przed kobietą, która, jak sądziła, była jej dawną koleżanką z klasy, Anne-Lise nie ma już odwagi, by ją prowokować do wyjścia ze skorupy. Może ten paraliż Camilli to jej strategia przetrwania, której nauczyła się tamtym razem?

Być może Camilla całkiem się załame, jeśli ktoś zmusi ją do uczestnictwa w tym, co dzieje się w DCIL? Może zmieni jej się osobowość i wybuchnie w niej mordercza wściekłość, która skłania ją do wysyłania maili z pogrózkami i podmieniania tabletek Malene?

Ani Camilla, ani tamte dwie nie patrzą na Anne-Lise. Nikt nic nie mówi i Anne-Lise wraca do biblioteki.

* * *

Tego samego dnia po południu ma przyjść Tatiana Blumenfeld z zarządu po materiały, które przygotowała dla niej Anne-Lise.

Tatiana zna wszystkie osoby zajmujące się w Danii badaniami nad torturami, łamaniem praw człowieka i ludobójstwem, interesuje się też każdym, bez względu na to, czy ten ktoś pracuje w DCIL, w IPC, w Organizacji Współpracy między Narodami czy w Duńskim Instytucie Studiów Międzynarodowych. Jest też jednym z niewielu naukowców, którzy korzystają z wiedzy bibliotekarskiej Anne-Lise.

Inni użytkownicy centrum wykazują zastanawiającą rezerwę wobec niej i Anne-Lise nie ma wątpliwości, że to sprawka Iben i Malene. Być może obmawiały ją również przed Tatianą, tylko, że na nią ich kłamstwa nie podziałały. Nie ma jak tego potwierdzić. Podobnie, jak nie wiadomo, co Malene i Iben wymyśliły i co wszystkim opowiadają.

Tatiana niedawno skończyła sześćdziesiątkę, jest bardzo drobna i śniada. Na zebrania zarządu DCIL zwykle przychodzi w obcisłych czarnych spodniach i oryginalnych swetrach w jaskrawych kolorach. Zawsze obchodzi regały DCIL, poruszając się szybkimi krokami, niezwykle długimi jak na tak drobną kobietę. Słychać pospieszne stukanie jej drogich pantofli na wysokich obcasach.

Anne-Lise nigdy nie widziała, by Tatiana paliła, ale wyobraża sobie ją przez wiele lat z papierosem w ustach, bo tak wygląda jej cera.

W młodości Tatiana po przeanalizowaniu rysunków dzieci w obozach koncentracyjnych przedstawiła opartą na psychoanalizie teorię przebiegu terapii dla dzieci, narażonych na pobyt w obozie i na tortury lub zmuszonych do patrzenia na śmierć czy torturowanie rodziców. Prowadzone przez nią badania w tej dziedzinie przyniosły jej stopień doktora, jest też docentem na wydziale psychologii

Uniwersytetu Kopenhaskiego. Poza tym jest również związana ze znanym na arenie międzynarodowej kopenhaskim RCT, czyli *Rehabilitation Council for Torture Victims*, którym zarówno zarządza, jak i prowadzi tam terapię.

Anne-Lise wciąż nie zna jej zbyt dobrze, lecz podczas konferencji na temat Jugosławii w Louisianie, w przerwie na lunch, siedziała obok młodej socjolog Lei, która zna Tatianę i opowiadała o niej z podziwem.

Rozlega się nowy dzwonek, a okienko kamery pokazuje na komputerze, że przyszła Tatiana. Anne-Lise wciska kombinację klawiszy otwierającą drzwi i od razu wstaje. Chce zabrać Tatianę do biblioteki, zanim one na dobre ją zatrzymają.

Malene i Iben musiały się jednak poderwać chyba jeszcze wcześniej, bo gdy Anne-Lise po paru sekundach wchodzi do Ogrodu Zimowego, one już obskakują Tatianę. Malene dotyka jej ramienia, a Iben mówi:

- Musisz zobaczyć nasze nowe zdjęcia!

Już ją prowadzą do tablicy za swoimi biurkami. Tatiana idzie między nimi, stukając obcasami. Na widok Anne-Lise po drugiej stronie Ogrodu Zimowego mówi z radością:

- Cześć, Anne-Lise! Idziemy obejrzyć tę waszą zabawną tablicę.

Widok Tatiany w rękach tych dwóch budzi w Anne-Lise pragnienie, by ją chronić, niemal takie jak w stosunku do dzieci. Tatiana jest osobą, która okazała Anne-Lise najwięcej sympatii, a koleżanki są nieprzewidywalnie złośliwe, chociaż oczywiście nie zdradzą się z tym Tatianie.

Tatiana już z daleka zauważa nowe zdjęcia na tablicy.

- Ojej, powiesiłyście zdjęcie waszej dawnej koleżanki. To miłe. Bardzo jej wam brakuje?

Na zdjęciu jest poprzednia bibliotekarka, po której w komputerze zostały ślady maili świadczących o jej nienawiści do centrum. W zeszłym tygodniu Iben wyciągnęła stare zdjęcie, powiększyła je za pomocą skanera i wydrukowała na kolorowej drukarce.

- O tak, naprawdę - odpowiada Tatianie Malene. - Ale mamy tu więcej zdjęć osób, które lubimy.

Tatiana rozumie tę aluzję. Podchodzi bliżej do tablicy i wyjmuje okulary do czytania, żeby obejrzyć mniejsze zdjęcia.

- Ojej, to ja. Wyglądam jak wariatka... To chyba zdjęcie zrobione w Rzymie, prawda?

- Tak, dostałyśmy je od Olego, on też tam był.

Tatiana wciąż się śmieje. Kładzie swój płaszcz przy krześle Malene.

-To przecież była konferencja, a ja wyglądam tu jakbym była kompletnie pijana.

Śle przerażone, lecz jednocześnie niemalże pełne troski spojrzenie w stronę Anne-Lise. Zupełnie nie wiadomo, co to ma znaczyć.

Iben nachyla się nad Tatianą.

- Ależ skąd, przecież ty nie pijesz w godzinach pracy - mówi Iben, uśmiechając się do Anne-Lise. - Nikt tak o tobie nie myśli. To przez to światło policzki wydają się takie czerwone. No i jesteś uśmiechnięta. Po prostu widać, że masz dobry humor.

Anne-Lise próbuje się włączyć i też porozmawiać z Tatianą. Trudno jednak o rozluźnienie i życzliwość, gdy jednocześnie się czuje, jak bardzo koleżanki pragną, by wyszła.

Iben i Malene - zwłaszcza ona - potrafią naprawdę świetnie rozbawić użytkowników. Mija kwadrans, a Tatiana i Anne-Lise wciąż stoją przy tablicy.

Iben z z troskaniem wspomina o planach włączenia DCIL do IPC.

- Tak, szkoda, gdyby tak się stało - mówi Tatiana. - Bardzo się tym denerwujecie?

- Mhm, właściwie to tak.

Tatiana przekrzywia głowę. Można sobie wyobrazić, że cudownie byłoby mieć taką babcię.

- Świetnie to rozumiem, takie miłe i dobrze działające biuro. Naprawdę szkoda. Ale w nowej strukturze z pewnością zachowacie wasze dotychczasowe stanowiska i obowiązki.

Opowiada o swoich licznych doświadczeniach z wcześniejszym łączeniem ośrodków i podsumowuje:

- To raczej przede wszystkim Paul odczuje różnicę, gdy będzie miał nad sobą kierownictwo.

Iben przestępuje z nogi na nogę i pyta:

- Zastanawialiśmy się, czy zarząd nie będzie miał problemu, jeśli Frederik dostanie kierownicze stanowisko w IPC. Nie będzie już tak samo zainteresowany jak pozostali w utrzymaniu niezależności naszego centrum.

Anne-Lise sądziła, że takich rzeczy nie wolno mówić innemu członkowi zarządu, lecz Iben najwyraźniej lepiej zna wszystkie tego rodzaju zasady.

Tatiana jest zaskoczona tym pytaniem.

- To przecież nie problem! Frederik może pełnić dwie różne funkcje. Większość z nas tak robi. To przecież profesjonalista.

Malene intensywnie wpatruje się w Tatianę i wypycha się przed Anne-Lise.

- Czyli według ciebie nie musi dojść do konfliktu?

- Nie, nie, absolutnie sobie tego nie wyobrażam.

Tatiana bierze swój płaszcz na znak, że chce iść do biblioteki. Mówi jeszcze:

- Nie macie się, czym denerwować. Naprawdę. Musicie w to uwierzyć. Rozmawialiście z Paulem?

Anne-Lise nie ma pojęcia, jaka powinna być właściwa odpowiedź na temat ich szefa. Ale Malene odpowiada bez wahania:

- Nie, nie rozmawialiśmy. Na pewno powinnyśmy.

- Rzeczywiście. Paul bierze udział w zebraniach zarządu. Może wam powiedzieć, jak to funkcjonuje, i z pewnością również on uzna, że z tym nie będzie problemu.

Wreszcie Anne-Lise może zaprowadzić Tatianę do biblioteki. Tam pokazuje jej zbiór raportów, w których wysłannicy portugalskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych po portugalsku szczegółowo opisują dokonane przez Indonezyjczyków zbrodnie na około dwustu tysiącach cywilów w Timorze Wschodnim - około jednej trzeciej ludności okupowanego kraju.

Niekiedy stanie tak blisko drugiego człowieka i wspólne przeglądanie książki bywa niezwykle intymne. Można mieć od tego przyjemną gęsią skórę, taką, jaka pojawia się, kiedy się leży, a ktoś inny czyta spokojnym, głębokim głosem lub, kiedy fryzjer myje włosy.

Anne-Lise i Tatiana siadają razem przy komputerze i szukają komentarzy na temat sytuacji w Timorze Wschodnim w międzynarodowych czasopiśmie, do których DCIL abonuje dostęp.

Tatiana zagłębia się w biblioteczne korytarze, by samodzielnie przejrzeć półki z wynikami badań francuskich, które jeszcze nie zostały wprowadzone do bazy danych. W tym czasie Anne-Lise drukuje dla niej listę artykułów na małej drukarce w Ogrodzie Zimowym i idzie tam, by ją odebrać.

Teraz, gdy Tatiana nie może już ich usłyszeć, Iben mówi do Malene spokojnym, rozluźnionym tonem:

- Tyle się wydarzyło w ciągu tych tygodni, odkąd Anne-Lise wysłała do nas te maile. W ogóle nie miałyśmy czasu na napisanie ostatnich tekstów do plansz na twoją wystawę.

Mówi to tak, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego, jak gdyby założenia tych dwóch zdań zostały przez wszystkich ustalone i przyjęte do wiadomości.

Anne-Lise ma ochotę nie reagować, wolałaby milczeć i wycofać się do siebie, wie jednak, że będzie się tym zadrećcać. Po raz kolejny koleżanki zmuszają ją do udziału w ich zabawie, bez względu na to, jak bardzo jest temu niechętna.

- Przecież to nie ja wysłałam te maile - odpowiada spokojnie, z westchnieniem, ponieważ wie, co nastąpi.

W ich oczach błyszczy wyczekiwanie. Zaraz się przekonają, na ile pozwoli się sprowokować. Przekonają się, jaki da im odpór. Są jak chłopcy, którzy coraz głębiej wbijają zaostrome patyki w złapaną ropuchę.

- Ależ wysłałaś! - mówi Iben.

- Dobrze wiecie, że to nie ja. Zrobił to ten Serb, którego zatrzymała CIA.

- Wysłałaś przecież dużo maili, również do nas.

Anne-Lise stara się mówić głębokim, władczym głosem:

- Owszem, ale nie wysłałam żadnych maili z pogrózkami.

- Przecież ja nic takiego nie powiedziałam.

Teraz do Iben przyłącza się Malene:

- Ja też nie sądziłam, że Iben mówi o mailach z pogrózkami - i obrzuciwszy Anne-Lise zdziwionym spojrzeniem, ciągnie: - Dlaczego od razu myślisz, że chodziło nam właśnie o te maile?

Anne-Lise czuje, jak wszystko się w niej napina.

- Do diabła! To przecież oczywiste! O jakich mailach wobec tego mówiłaś?

- O zupełnie innych.

- O jakich innych? Jakie inne, maile mają w tym kontekście jakiegokolwiek znaczenie?

Malene z ironicznego, wesołego głosu uderza w poważny ton, jak gdyby to wszystko do tej pory było tylko zabawą, lecz Anne-Lise nagle przekroczyła jakąś zakazaną granicę.

- Zostawmy to, Anne-Lise. Uspokój się.

A Iben dodaje:

- Nie musisz od razu popadać w paranoję.

Anne-Lise już chce powiedzieć, że nie jest paranoiczką, lecz nagle wszystko wydaje jej się nie do przewyciężenia. One codziennie tak się zachowują. Co może wynikać z jej kolejnych protestów, oprócz tego, że jeszcze bardziej da się wciągnąć w ich „zabawę”?

Anne-Lise oddycha, więc głęboko, żeby nad sobą zapanować. Kilka razy. Potem wychodzi do toalety z nadzieją, że tam się uspokoi, zanim Tatiana wróci z wyborem francuskich artykułów o Timorze Wschodnim.

Ogląda swoją twarz w lustrze, lecz tam w ogóle nie ma nic do zobaczenia. Z jej oczu nie wypłynęła ani kropelka łez. W ostatnich tygodniach twarz straciła wszelki wyraz.

Myśli o spojrzeniu, które posłała jej Tatiana, gdy rozmawiały o piciu w pracy. Było w nim przerażenie. Ale czym? Patrzyła zupełnie inaczej niż zwykle. Jak Anne-Lise powinna to rozumieć? Czyżby one rozpuszczały plotki o tym, że pije w pracy? To by tłumaczyło reakcję Tatiany. A więc rzeczywiście przystąpiły do jej totalnej eksterminacji. Jak ona zdoła to wyjaśnić?

Bierze się w garść i wraca do biblioteki. Podczas dalszej pracy z Tatianą znajdują czas na chwilę rozmowy również na inne tematy niż wyszukiwanie informacji. Jako członek zarządu Tatiana interesuje się pracą centrum. Pyta, czy maile z pogrózkami miały duży wpływ na Anne-Lise i czy ulżyło jej, kiedy zatrzymano nadawcę.

Anne-Lise oczywiście nie mówi prawdy, lecz cieszy się, że Tatiana pyta. Robi jej się gorąco na myśl, że mogłaby teraz coś powiedzieć. Wie, że Tatiana wysłuchałaby jej z zainteresowaniem. Znowu myśli o niej jak o „babci”. Nie wiadomo, skąd jej to przyszło do głowy. Przecież Tatiana jest młodsza od jej matki. Później jednak myśli, że Tatiana jest tą babcią, jaką Anne-Lise chciałaby mieć, gdyby była dzieckiem.

Mija blisko godzina, zanim kończą pracę w bibliotece i Tatiana musi wracać do RCT.

Anne-Lise odprowadza ją przez Ogród Zimowy do głównego wejścia. Po drodze Malene również wstaje, by się pożegnać. Natychmiast kilkakrotnie rozśmiesza Tatianę. I tak jak wtedy, gdy przyszła, Tatiana zatrzymuje się w Ogrodzie Zimowym dłużej, niż zamierzała.

Iben mówi, wciąż ze śmiechem w głosie po którymś z żartów Malene:

- Ach, Tatiano, ostatnio nie miałyśmy okazji, żeby dłużej pogadać. Jaka szkoda! A tyle się tu działo, odkąd my wszystkie z wyjątkiem Anne-Lise dostałyśmy te maile z pogrózkami.

Tatiana nie bardzo wie, co ją uderzyło w tonie Iben, i pyta zdziwiona, otwierając usta:

- Słucham?

Malene wysuwa się do przodu i wyjaśnia:

- Ach, przepraszam, skąd mogłaś wiedzieć? To taki nasz biurowy dowcip, żartujemy sobie, że to Anne-Lise wysłała te maile.

Tatiana, zdziwiona, rozgląda się dokoła.

-Aha.

Nagle Anne-Lise ogarnia wrażenie, że Tatiana przez cały czas się zmuszała, żeby udawać „młodą” przy tych dwóch skorych do śmiechu dziewczynach. Malene i Iben są mimo wszystko młodsze od niej o ponad trzydzieści lat. Podobnie jak one stara się być zabawna i ironiczna, gdy zwraca się do Anne-Lise:

- No tak, ja też jestem pewna, że to ty wysłałaś te maile.

Wszystkie powinny się teraz roześmiać albo przynajmniej uśmiechnąć, lecz ten żart w ustach sześćdziesięcioletniej Tatiany brzmi niezdarnie.

Psychologia zła II

W badaniach nad sprawcami zbrodni psychologia społeczna poczyniła wiele zaskakujących odkryć.

Iben Hojgaard

Podpułkownik Dave Grossman w książce *On Killing* pisze, że wśród ludzi, którzy podczas wojny zabijają innych ludzi z dużej odległości, nie zetknął się jeszcze z nikim, dla kogo te zabójstwa byłyby traumatyczne.

Im bardziej jednak zabójcy zbliżają się do ofiar, z tym większą trudnością przychodzi im zabijać. Najtrudniej jest tym, którzy stają twarzą w twarz z ludźmi, mającymi ponieść śmierć z ich rąk.

A mimo to nigdy się nie zdarzyło, by jakiś rząd zrezygnował z zaplanowanej zbrodni ludobójstwa z powodu braku chętnych do realizacji mordów.

Jak to możliwe? W ostatnim numerze „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa”, w artykule *Psychologia zła I*, omówiliśmy eksperyment Stanleya Milgrama, badający ślepe posłuszeństwo wobec autorytetów. W dziedzinie psychologii społecznej przeprowadzono wiele innych eksperymentów, które rzucają światło na psychologię sprawców masowych zbrodni. Niniejszy artykuł przedstawia niektóre z nich.

Czyny kształtują postawy

Powszechnie uważa się, że nasze postawy decydują o naszych działaniach. Ale istnieje też odwrotny związek przyczynowo-skutkowy: to, co robimy, wywiera wpływ na nasze myśli, odczucia i opinie.

Kiedy ludzie uświadamiają sobie, że ich czyny pozostają w silnym konflikcie z postawami, zaczynają odczuwać dyskomfort, którego muszą się jak najszybciej pozbyć. Często, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, rozwiązują ten problem przez zmianę postaw i odczuć, a nie zmianę zachowania.

Psycholodzy społeczni przeprowadzili setki badań, pokazujących sposób, w jaki się to odbywa.

W jednym z takich eksperymentów jego autorzy- Leon Festinger i James M. Carlsmith - kazali uczestnikom godzinami wykonywać nużące czynności, na przykład przenosić tam i z powrotem małe, prostokątne w przekroju patyczki i obracać je z boku na bok.

Gdy w końcu zakomunikowano, że eksperyment dobiegł końca, prowadzący badanie poinformował, że jego asystent się spóźni, a to właśnie on miał opowiedzieć kolejnemu uczestnikowi, jak ciekawy jest udział w eksperymencie.

Eksperymentator prosił osobę badaną o zastąpienie asystenta i poinformowanie następnego uczestnika o tym, że zadanie, które będzie wykonywał, jest przyjemne i interesujące.

Festinger i Carlsmith podzielili uczestników na trzy grupy:

Pierwszej grupy nie poproszono o wypowiedzenie tego oczywistego kłamstwa.

Druga grupa otrzymała za kłamstwo po dolarze (w roku 1959 dolar był więcej wart).

Trzecia grupa dostała za kłamstwo 20 dolarów.

Uczestnicy, którzy skłámali za jednego dolara, oceniali później eksperyment jako naprawdę ciekawy. W obu pozostałych grupach twierdzono, że badanie było straszliwie nudne.

Ci, którzy skłámali za większą stawkę, wiedzieli, że istniało zewnętrzne uzasadnienie - pieniądze - które skłóniło ich do kłamstwa. Nie odczuwali podświadomej potrzeby zmiany swej postawy wobec badania, aby się z kłamstwa wytłumaczyć.

Jedynie osoby, które skłámaly za niewielką kwotę, odczuwały wewnętrzną presję, nakazującą im zmianę postawy i powiązanie jej z działaniem. Doświadczyli nieprzyjemnego stanu wewnętrznej niezgody, tak zwanego dysonansu poznawczego. Jest to podstawowe pojęcie w psychologii społecznej.

Tego nieprzyjemnego odczucia nie mogli się pozbyć przez zmianę swego działania, mogli jedynie zmienić swój sposób myślenia:”No tak, to przecież ważny eksperyment naukowy, więc właściwie stanowił wyzwanie, nie był wcale taki nudny”.

Taka zmiana oceny nie jest zewnętrzna i udawana, utrwała się jako szczerą opinią danej osoby na temat badania i utrzymuje się długo.

W realnym życiu dysonans poznawczy może przejawiać się następująco: Lewicująca specjalistka do spraw informacji otrzymuje propozycję pracy w agencji reklamowej, którą przyjmuje. Przeżywa teraz konflikt pomiędzy swoimi przekonaniem a działaniem. Jeśli nie zrezygnuje z pracy, stopniowo będzie dopasowywała swoje przekonania do czynów. Być może po kilku miesiącach stwierdzi, że reklama stanowi nieodzowny element demokratycznego społeczeństwa wolnego rynku i będzie skłonna z zaangażowaniem argumentować na rzecz swoich nowych poglądów. Być może też - nawet, jeśli w branży reklamowej spędzi niewiele czasu - postawę tę zachowa do końca życia.

Jeśli czuje, że została zmuszona do przyjęcia tej pracy, podobna koordynacja działań, postaw i wartości nie będzie aż tak konieczna dla pozostawania w zgodzie ze sobą. Dziewczyna w ogóle może nie zmienić swoich poglądów. Przy nieodparcie dużej korzyści materialnej wewnętrzna presja, zmuszająca do zmiany przekonań, staje się słabsza.

Jeśli natomiast wybrała tę pracę spośród kilku innych propozycji jako najbardziej interesującą, a w dodatku praca wcale nie jest lepiej płatna niż pozostałe oferty, takiej zmianie nastawienia bardzo trudno będzie się oprzeć.

Przed dokonaniem trudnego wyboru mamy wątpliwości, jakie działanie podejmiemy. Po podjęciu decyzji i jej zrealizowaniu, działanie zaczyna wywierać wpływ na nasze myśli. Wzmacniamy w sobie przekonanie, że wybór był właściwy. Wykonanie działania sprawia, że wątpliwości znikają, a my dostosowujemy nasze przekonania i wartości do tego, co zrobiliśmy, by pozostawać w zgodzie ze sobą.

Wiedzą o tym na przykład świadkowie Jehowy, kiedy zachęcają członków wspólnoty do wychodzenia na ulice i rozdawania broszur bez jakiegokolwiek wynagrodzenia. Skutkiem takich działań ma być zwerbowanie nowych wiernych, ale także silniejsze związanie członków ze wspólnotą. Przed pierwszym wyjściem z broszurami osoby te mogą być pełne wątpliwości, lecz po powrocie do domu dają się już porwać wierze.

Te przykłady, a także wiele innych, dowodzą, że nowe, zmienione postawy prowadzą do jeszcze większych zmian w zachowaniu, a te z kolei - do jeszcze większych zmian postaw.

Proces ten może doprowadzić zarówno do coraz wyraźniej czynionego dobra, jak i do coraz wyraźniejszych zachowań destrukcyjnych.

Tak głębokich zmian postaw nie dałoby się osiągnąć za pomocą samych tylko słów - bez wątpliwości, wyborów i następujących po nich działań.

W hitlerowskich Niemczech władza w pełni wykorzystywała ten mechanizm. Koszty odmowy wykonania gestu „Heil Hitler” i używania wielu innych symbolicznych oznak

przynależności do nazistów mogły wydawać się ogromne. Poszczególni Niemcy mogli zadawać sobie pytanie: Jaką szkodę może spowodować wyciągnięcie przeze mnie prawej ręki i powiedzenie "Heil Hitler"?

Ale za każdym razem, gdy podporządkowywali się grupie i pokazywali innym, że czczą Hitlera, miało to wpływ na ich sposób myślenia. Coraz trudniej było sprzeciwiać się mentalnie rządowi, który -jak wszyscy widzieli - wspierali swymi działaniami.

A zatem konkluzja brzmi: Działania, będące same w sobie z pozoru szkodliwe jedynie w niewielkim stopniu, prowadzą do trwałych zmian w psychice. Te zmiany z kolei umożliwiają podejmowanie działań poważniejszych i bardziej destrukcyjnych.

Role kształtują ludzi

W roku 1971 Phillip G. Zimbardo, amerykański psycholog społeczny, wraz z grupą współpracowników ze Stanford University postanowił zbadać, co dzieje się w psychice ludzi, którzy odbywają karę lub pracują w więzieniu.

Badacze zamieścili w gazecie ogłoszenie, że poszukują dwudziestu jeden studentów płci męskiej, którym zapłacili za czternaście dni uczestnictwa w badaniu. Ze wszystkimi kandydatami przeprowadzono wywiady i do eksperymentu wybrano tych o wyjątkowo stabilnej psychice, dojrzałych i odpowiedzialnych. Później uczestników losowo podzielono na dwie grupy. Na następne dwa tygodnie mieli całkowicie zmienić się w więźniów i strażników.

W pierwszym dniu eksperymentu dziesięciu uczestników „aresztowała” w ich domach prawdziwa policja. Byli „podejrzani” o włamanie i rozboje z użyciem broni. W piwnicy uniwersytetu, urządzonej na wzór korytarza więziennego, zabrano im ubrania, poddano odswawieniu i polecono się przebrać w więzienną odzież. „Strażnicy” dostali mundury, a także ciemne lustrzane okulary i pałki.

Na zebraniu strażnicy dowiedzieli się, że mają nie spuszczać więźniów z oczu i pilnować, by ci zachowywali się jak należy; zabroniono im jednak stosowania przemocy. Więźniowie przebywali w więzieniu przez całą dobę, natomiast strażnicy pracowali osiem godzin dziennie, a po pracy mogli przebywać we własnych domach i prowadzić normalne życie.

Na początku „eksperymentu więzienia Stanford” nie istniały żadne różnice osobowości pomiędzy grupą losowo wybranych strażników i grupą więźniów. A jednak zarówno więźniowie, jak i strażnicy zaczęli zmieniać się zaskakująco szybko.

Pełnia władzy, jaką otrzymali strażnicy, skłaniała więźniów do uległości, strażnicy natomiast, widząc jak potulni stali się więźniowie, w jeszcze większym stopniu wykorzystywali tę władzę. To sprzężenie zwrotne przybrało formę samonapędzającego się procesu zła.

Jedna trzecia strażników zmieniała się w wyzutyk z uczuć bezdusznym tyranów. Potrafili bez powodu karać więźniów, wykazując się niezwykłą pomysłowością w ich gnębieniu. W normalnych warunkach ci ludzie nie byli ani agresywni, ani źli.

Dwaj strażnicy usiłowali pomagać więźniom, choć daleko im było do otwartego przeciwstawienia się agresywnym strażnikom na oczach wszystkich. Reszta strażników okazywała surowość, lecz nie wymyślała dodatkowych kar.

Wielu więźniów bardzo szybko popadło w przygnębienie, rezygnację i bierność. Trzech z nich trzeba było czwartego dnia „zwolnić”, ponieważ histerycznie płakali, nie potrafili logicznie myśleć i wpadli w głęboką depresję. Czwarty więzień został zwolniony, gdy całe jego ciało pokryło się wysypką.

Wszyscy więźniowie, oprócz tych trzech, skłonni byli zrezygnować z zapłaty za dni spędzone w więzieniu, byle tylko wyjść na wolność. Ale dowiedziawszy się, że nie otrzymali zgody na „zwolnienie warunkowe”, znów stali się apatyczni i potulnie wycofali się do swoich cel.

Eksperyment więzienia Stanford unaocznia, w jaki sposób więźniowie i strażnicy wcielali się w role i wykonywali działania narzucone im z zewnątrz. Stopniowo dostosowywali do tych ról swoje myśli, system wartości i uczucia. Większość z nich już nie była w stanie odróżnić siebie od roli narzuconej im w badaniu.

Z każdym dniem następowała eskalacja brutalności. Wszelkie zasady etyczne rozchwiały się. Chociaż wszyscy wiedzieli, że znaleźli się w danej grupie wyłącznie przez przypadek, eksperymencie, który miał trwać dwa tygodnie, trzeba było przerwać już po sześciu dniach. Na jego kontynuowanie nie pozwalał stan psychiczny więźniów.

Ten eksperymencie, podobnie jak eksperymencie posłuszeństwa Milgrama, stał się jednym z klasycznych i najbardziej znanych badań w historii psychologii.

Później w wielu innych kontekstach wykazano, jak łatwo „rola” i „ja” zlewają się ze sobą. Ludzie często stają się tacy, jak tego wymaga od nich rola, i jako nowe osoby odnajdują sens w tym, co robią.

Zacytujmy zdanie Jamesa Wallera z książki *Becoming Evil*, na której oparto fragmenty tego omówienia:

„Złe czyny nie tylko pokazują, kim jesteśmy. One także nas tworzą”.

Grupy zbudowane na niczym

Angielski psycholog społeczny Henri Tajfel pragnął wraz ze swoimi współpracownikami zbadać, ile cech wspólnych muszą mieć ludzie, by zaczęli postrzegać się jako grupa i wykazywać uprzedzenia wobec innych grup. Początkowo postanowił zbadać grupy przypadkowe, pozbawione

jakichkolwiek cech wspólnych. Stopniowo chciał wprowadzać cechy wspólne, negatywne uprzedzenia i konflikty między grupami. Pragnął również zarejestrować, kiedy dochodzi do utworzenia się tak zwanej grupy minimalnej.

Prowadząc swój najsłynniejszy eksperyment grupy minimalnej, pozwolił uczestnikom wypowiedzieć się na temat kilku abstrakcyjnych obrazów. Później podzielił ich na dwie grupy. Członkowie jednej grupy dowiedzieli się, że preferują obrazy w stylu Paula Klee, drugiej - Wassilego Kandinskiego. Żadna z tych informacji nie była prawdziwa. Grupy zestawiono najzupełniej losowo.

Uczestnicy eksperymentu wcześniej nie mieli ze sobą żadnego kontaktu i byli sobie obcy. Mimo to faworyzowali tych uczestników, którzy znaleźli się w ich grupie, a nie tych z drugiej grupy. Uważali, że członkowie ich grupy lepiej pracują i są sympatyczniejsi. Przy rozdzielaniu pieniędzy wśród uczestników eksperymentu członkom własnej grupy dawali więcej niż tym drugim.

Niektórzy z uczestników podobnego eksperymentu byli do tego stopnia uprzedzeni do drugiej grupy, że woleli, aby wszyscy członkowie ich grupy dostali po dwa dolary zamiast trzech, jeśli to miało być warunkiem, by członkowie drugiej grupy otrzymali tylko jednego dolara zamiast czterech. Innymi słowy, bardziej interesowało ich pokonanie tamtej drugiej grupy niż własny zarobek.

Do czasu tego eksperymentu większość psychologów społecznych uważała, że uprzedzenia wobec innych grup rodzą się stopniowo i są wynikiem doświadczeń. Nikt się nie spodziewał, że uprzedzenia i wrogość mogą pojawić się, jeszcze zanim którakolwiek z grup będzie miała jakiegokolwiek doświadczenia z drugą grupą.

Relacje w obrębie grupy i relacje z innymi grupami to główne pola badań psychologii społecznej. W eksperymentach niezliczoną ilość razy wykazano, że myślimy w kategoriach "my" i "oni". Inne reguły obowiązują „nas”, inne "ich".

Powód takiego myślenia jest prosty: wszyscy ludzie muszą ustosunkować się do nieskończenie skomplikowanego i niemożliwego do ogarnięcia w całości świata. Aby uprościć i szybko przesortować nieistotne informacje, dzielimy ludzi na kategorie. To kategoryzowanie jest częścią sposobu myślenia człowieka. Jest ono dla nas niezbędne i nikt przed nim nie umknie.

Kategorie bywają różne w zależności od osób i kultur, lecz sam proces kategoryzowania jest wspólny dla wszystkich ludzi. Umożliwia nam ustosunkowywanie się do świata zewnętrznego, tworzy i definiuje nasze miejsce w tym świecie.

Psychologia społeczna wykazała jednak przewijające się zniekształcenia, nieodłączne funkcjonowaniu naszego myślenia i podziałom „my” i „oni”: przesadzamy, określając podobieństwa między członkami naszej grupy, przesadzamy, stwierdzając jednorodność członków

innych grup, przesadzamy, wykazując różnice między grupami, na ogół też troszczymy się bardziej o członków własnej grupy niż o członków innych grup.

W sytuacjach konfliktowych i kryzysowych ten charakterystyczny dla rodzaju ludzkiego sposób myślenia gwałtownie się wzmacnia i ułatwia nam wiarę w propagandę, zwłaszcza, gdy słyszy się powtarzane bez końca: "Zabijaj, bo inaczej sam zginiesz!"

Ofiary same zawiniły

Wszyscy wiemy, że również dobrych ludzi dotykają straszliwe cierpienia, lecz zdecydowana większość z nas usiłuje mimo wszystko trzymać się nadziei i wiary w sprawiedliwy z zasady świat. Musimy wierzyć, że nasze dzieci doświadczą dobra.

Niezliczone badania pokazują, jak nadzieja i podświadome poszukiwanie sensu skłaniają ludzi do zniekształconego odbioru rzeczywistości i dopasowywania jej do wyobrażeń o uporządkowanym świecie.

Nie tylko sprawcy zbrodni zniekształcają swoje myśli, wspomnienia, a nawet wrażenia zmysłowe, by świat wciąż mógł im się wydawać sprawiedliwy i sensowny. Tak samo postępują obserwatorzy okrucieństw, a nawet same ofiary.

Ludzie dotknięci ciężką chorobą, podobnie jak i ich otoczenie, potrafią bardzo się wysilać, by znaleźć "powód" tego, co ich spotkało. Odczuwają ogromną potrzebę dowiedzenia się, co złego zrobili, skoro tak ciężko zostali pokarani.

Taki sposób myślenia powszechny jest również wśród ofiar gwałtów. „Być może sama się do tego przyczyniłam. Nie powinnam była iść tamtędy tak późno. Nie powinnam była wkładać tej sukienki”. Myślami potrafią krążyć wokół tego, chociaż oczywiście wiedzą, że mają prawo chodzić tam, gdzie chcą, i ubierać się tak, jak chcą.

Wydawać by się mogło, że ofiary wolą same obciążać się oskarżeniami, aniżeli przyznać, jak straszny wpływ na ich życie może mieć zwykły przypadek.

Ten mechanizm psychologiczny oznacza, że jesteśmy skłonni znacznie naginać rzeczywistość, aby móc uwierzyć, że człowiek dotknięty wielkim nieszczęściem sam zawinił temu, co go spotkało.

Potwierdzają to liczne eksperymenty.

Melvin Lerner i Carolyn Simmons pozwolili siedemdziesięciu dwóm studentom obserwować ofiarę karaną silnymi elektrowstrząsami za udzielanie błędnych odpowiedzi. Ofiara była w rzeczywistości aktorką udającą reakcję na wstrząsy.

Niektórzy z obserwatorów dowiedzieli się nieco później, że mogliby wstrzymać elektrowstrząsy, gdyby chcieli, inni - że nie mają wpływu na przebieg eksperymentu, a ofiara dozna jeszcze wielu wstrząsów.

Gdy uczestnicy mieli potem opisać ofiarę, ci, którzy wierzyli, że jej ból będzie trwał, opisywali ją w znacznie bardziej negatywny sposób, aniżeli ci, którzy mogli powstrzymać elektrowstrząsy.

Ten mechanizm staje się jeszcze bardziej czytelny, gdy sami wyrządzimy krzywdę jakiemuś człowiekowi. Dysonans poznawczy każe nam lubić tych, którym próbowaliśmy pomóc, a źle myśleć o tych, których skrzywdziliśmy.

Eliot R. Smith i Diane M. Mackie w podręczniku uniwersyteckim *Social Psychology, 2nd ed.*, przerywają omawianie tego zjawiska i zachęcają studenta czytelnika, aby poprosił swego wykładowcę o napisanie im referencji. Pomimo że student nie szuka pracy - a więc opinia nie jest mu potrzebna - nauczyciel po pochwaleniu ucznia i wyświadczeniu mu tej przysługi, skłonny jest lepiej o nim myśleć.

Stanley Milgram w związku ze swoim eksperymentem „posłuszeństwa autorytetom” napisał, że wielu uczestników badania po eksperymencie mówiło między innymi: „On był taki głupi, że zasłużył na te wstrząsy”. Inni twierdzili, że sam się prosił o karę, skoro zgłosił się do uczestnictwa w badaniu, mimo że oni również zgłosili się dobrowolnie i byli przekonani, że to wynik losowania przesądził, kto będzie nauczycielem, a kto uczniem.

Na tej podstawie można stwierdzić istnienie potężnych sił psychologicznych, które skłaniają sprawców zbrodni do myślenia i odczuwania, że ofiary same dopraszały się o to, co je spotkało.

A im brutalniej traktują oni swoje ofiary, tym bardziej są skłonni postrzegać je jako ludzi, którzy zasłużyli na okrutną karę.

Wszyscy tworzymy swój własny obraz rzeczywistości, tak jak niemieccy cywile, którzy w niedługim czasie po wojnie zostali przez angielskich żołnierzy zmuszeni do przespacerowania się po obozie koncentracyjnym. Któryś z nich powiedział wtedy: „Musieli tu siedzieć jacyś straszni przestępcy, skoro spotkała ich taka kara”.

Dalsza lektura

Psychologia społeczna operuje wieloma nieomówionymi tutaj metodami i narzędziami do badania sprawców zbrodni.

Dla osób, które chciałyby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, pierwszym krokiem w dalszych studiach powinien być podręcznik psychologii społecznej opartej na eksperymentach. Na

razie dziedzina ta zajmuje marginalne miejsce w duńskim systemie szkolnictwa, dlatego też nie ma żadnego solidnego duńskiego opracowania tego tematu.

Na uniwersytetach amerykańskich, na których panuje większa swoboda w doborze przedmiotów, kurs psychologii społecznej często bywa obowiązkowy, bez względu na to, czy student zamierza zostać prawnikiem, nauczycielem, aktorem czy ekonomistą. Dzięki temu psychologia społeczna staje się wiedzą wspólną dla pracowników administracji publicznej, komunikacji, szkolnictwa czy systemu sprawiedliwości.

Oznacza to również, że w języku angielskim istnieje bogaty wybór grubych podręczników uniwersyteckich i obszernych zbiorów artykułów na ten temat. Wszystkie są na bieżąco weryfikowane i uzupełniane o wyniki najnowszych badań.

Jeśli ktoś pragnie poczytać o społeczno-psychologicznych aspektach ludobójstwa, to zalecalibyśmy trzy, naszym zdaniem, najlepsze współczesne pozycje w tej dziedzinie: książkę Jamesa Wallera *Becoming Evil* z roku 2002, ze wszech miar godną polecenia i porządkująca wiedzę; klasyczną pozycję Ervina Staub'a *The Roots of Evil* oraz zbiór artykułów *Understanding Genocide* pod redakcją Leonarda S. Newmana i Ralpha Erbera.

32

Iben ciężko tupie, wchodząc po schodach do swojego mieszkania na piątym piętrze. Jest późny wieczór, właśnie wraca od Malene, gdzie dyskutowały o Anne-Lise. Zmęczona, w głowie ma jedynie łóżko i nadzieję na zaśnięcie, jeśli i tej nocy nie będzie zbyt niespokojna.

Skreca na ostatnim fragmencie schodów i na piętrze przed własnymi drzwiami widzi cień. Machinalnie podnosi wzrok i dostrzega mężczyznę. Jest wysoki, ma gęste, kręcone czarne włosy, siwiejące na skroniach. Iben widzi jego czarną skórzaną kurtkę i oczy pozbawione blasku. Już w tym momencie wie, dlaczego on tu stoi i na nią czeka.

Zaczyna zbiegać ze schodów. On jednak dogania ją wielkimi skokami.

Zanim zdąży krzyknąć, napastnik chwyta ją za gardło, a w każdym razie tak wyobraża to sobie Anne-Lise. Przyciska jej plecy do swojej piersi, a Iben rozpaczliwie wierzga nogami, znacznie krótszymi niż jego, ponieważ wie, co teraz się stanie - tak jak wie to Anne-Lise.

W tej fantazji snującej się po głowie Anne-Lise widzi zmianę dokonującą się w twarzy Iben. Widzi bladoniebieskie sińce, które w zimnym świetle klatki schodowej wyraźnie występują jej pod oczami. I dostrzega sekundę, w której Iben zaczyna żałować. W której uświadamia sobie, co

zrobiła. Jak okłamywała samą siebie, jak żyła w egoistycznym mniemaniu, że jest ach, jaka dobra! a jednocześnie starała się zniszczyć drugiego człowieka.

W fantazji Anne-Lise nóż zbrodniarza wojennego jest duży, a w stali wyraźnie widać wyżłobienie, po którym ma spływać krew. Teraz Iben umrze. Już wkrótce jej ciałem wstrząsną ostatnie drgawki. Opuszczą ją siły i wszystko z niej wypłynie.

Z czasem ciało Iben drga konwulsyjnie i pada na zniszczone schody klatki kilka razy na godzinę. Fantazja jest równie uporczywa, jak ta o Malene, zabijanej przez gwałciciela w czerwonym dresie. To nieznośne.

Anne-Lise, zmęczona jak człowiek obeznany z bezsennością, porusza się wśród tych fantazji, które wysnuwają się jedna z drugiej i splatają ze sobą, chociaż ona cały czas usiłuje się skupić na innych sprawach. Często takie filmy w jej głowie rozgrywają się w chwilach, gdy znajduje się w rzeczywistym świecie, w Ogrodzie Zimowym, i wysiła się, by uczestniczyć w rozmowie z Iben czy Malene.

Ma ochotę na spotkanie z Yngvem, aby znów ją uspokoił. Wie jednak, że lekarz będzie nalegał na skonfrontowanie się z koleżankami.

Chciałaby również opowiedzieć Nicoli o ostatnich tygodniach, nie odbiera jednak telefonu, gdy czyta na wyświetlaczu, że to dzwoni przyjaciółka. Nie ma siły znów wysłuchiwać uwag o tym, że dała się wciągnąć w grę i że powinna zrezygnować z pracy.

Przez cały dzień stara się sama usunąć obrazy z głowy, zmuszając się do myślenia o czymś spokojniejszym. Rano na autostradzie zastanawia się, kiedy DCIL zostanie przejęte przez Instytut Praw Człowieka. Nie przestaje o tym myśleć, gdy skręca z Lyngbyvejen w lewo, na Jagtvej. Myśli o tym, gdy wysiada z samochodu i jedzie zgrzytającą windą z trzema pornograficznymi rysunkami wysoko w rogu.

Kiedy DCIL zostanie przejęte przez IPC, wszystko zacznie wyglądać inaczej. Będzie miała nowych kolegów, nowego szefa. Przestaną ją dręczyć pełne nienawiści fantazje.

Myśli o połączeniu z IPC, gdy podczas lunchu wywraca kubek z kawą i po wysłaniu maila pod błędny adres.

Usiłuje znaleźć słowa do wyszukiwarki na temat dokonanej przez Związek Radziecki zbrodni ludobójstwa w Afganistanie. Porównuje skany z trzech różnych książek, by zobaczyć, jakie są schematy układu treści i co należy poprawić.

Czyta o tym, jak Związek Radziecki po zajęciu Afganistanu w 1979 roku zaczął zmieniać skład etniczny ludności okupowanego kraju. W szczególności zredukowanie liczby Pasztunów miało ułatwić inkorporację północnych prowincji do Związku Radzieckiego.

Nie ma żadnych pewnych liczb, lecz ONZ według *Encyclopedia of Genocide* ocenia, że w latach 1978-1992 Związek Radziecki zabił od półtora miliona do dwóch milionów cywilnej

ludności afgańskiej. Nastąpiło to w wyniku bombardowań, użycia broni chemicznej, zrzucania zabójczych zabawek dla dzieci, masakr oraz niszczenia zbiorów i studni. Oprócz tego, co najmniej sześć milionów mieszkańców uciekło, a po to, by nikt nie wrócił, władze okupacyjne zniszczyły także systemy nawadniania, od których uzależnione jest afgańskie rolnictwo. W ten sposób rodzinne okolice uchodźców zamieniono w pustynię.

Klawisz spacji w klawiaturze Anne-Lise zacina się. Czasami między słowami są dwie albo trzy przerwy, innym razem słowa pisane są jednym ciągiem. Jeśli nie będzie wyjątkowo dokładna przy korekcie, cała jej praca na nic się nie przyda użytkownikom, bo nie znajdą tego, czego szukają.

Dociera do Tortur i zabójstw zagranicznych dziennikarzy, lekarzy i pracowników organizacji humanitarnych, gdy do Ogrodu Zimowego wchodzi Paul i głośno oznajmia:

- Gunnar Hartvig Nielsen zajrzy do nas jeszcze przed południem. Obiecałem pokazać mu centrum i porozmawiać z nim w cztery oczy o finansach i tak dalej. On obstaje przy tym, by go we wszystko wtajemniczyć, zanim zgodzi się na wejście do zarządu.

Anne-Lise słyszy Paula przez otwarte drzwi. Ze swego miejsca nie widzi koleżanek, domyśla się jednak, że ich nastrój się zmienia. Dobiega stamtąd mniej kliknięć klawiatury, częściej otwierają się szuflady, słychać odgłosy porządkowania papierów. I czy w głosie Iben rozmawiającej z Malene nie daje się wyczuć większego napięcia?

Papiery leżące na biurku Anne-Lise są najzupełniej w porządku, ale na wszelki wypadek chowa kilka żółtych karteczek post-it do szuflady - mogą sprawiać wrażenie, że ma opóźnienie w wykonywaniu swoich licznych obowiązków. Postanawia również znieść na dół trzy czarne worki, stojące przy jej biurku. Wypełniają je opakowania po książkach i czasopismach przysłanych z zagranicy. Właściwie świadczą wyłącznie o ilości pracy, lecz mimo to wprowadzają atmosferę nieładu. Poza tym wie, że nocna sprzątaczką często zapomina o wielu widocznych miejscach, zwłaszcza tych wokół kabli i urządzeń elektrycznych, przeciera je, więc na wszelki wypadek ściereczką.

Akurat w chwili, gdy Anne-Lise kończy porządki, koleżanki w pomieszczeniu obok wołają do siebie:

- Co mam zrobić z tym?

- Nie wiem. A ja z tym?

Anne-Lise nie słyszy odpowiedzi, ale one zaczynają się śmiać i zaraz Iben przybiega do biblioteki z pustą butelką po rumie. Anne-Lise nie wie, skąd wzięła się ta butelka, lecz Iben najpewniej miała ją w torebce, bo planowała wyrzucić ją do pojemnika na szkło. To do niej podobne.

- Ty masz dużo miejsca na takie rzeczy - śmieje się Iben, po czym wstawia butelkę do jednej z szafek Anne-Lise i zamyka drzwiczki.

Anne-Lise nie wie, co to ma znaczyć. Widzi, że Malene stoi w drzwiach i tylko patrzy.

Anne-Lise wali ręką w biurko.

-Dlaczego...

Nie ma pojęcia, co powiedzieć. Potrafi jedynie mruknąć:

- Ja nie mam problemu z alkoholem.

Iben już wraca do Malene przy drzwiach. Odwrócona do Anne-Lise plecami odpowiada:

- No nie. Mówią:

- Nie, nie.

- My nic takiego nie powiedziałyśmy.

Są już u siebie, ale Malene wsadza jeszcze głowę w drzwi i oświadcza:

- Nie bądź taka histeryczna, bo inaczej będziemy myślały, że trafiłyśmy w twój czuły punkt.

Camilla przełącza jakiegoś użytkownika do Anne-Lise, która ma mu doradzić w wyborze książek opisujących udział Francuzów w Holocauście na terenie Francji okupowanej przez Niemcy.

Podczas rozmowy bez przerwy myśli o tym, że musi jak najszybciej usunąć tę butelkę ze swojej szafki, w każdym razie przed wizytą Gunnara.

Nie pozwoli, żeby wbiegły tu i otworzyły szafkę w jego obecności.

Po zakończeniu rozmowy wkłada butelkę do plastikowej niebieskiej torby i umieszcza ją na samym spodzie kartonowego pudła w innej szafce, która stoi dalej od jej biurka. Upewnia się, czy nikt nie widział, gdzie ją schowała. Następnie przegląda wszystkie swoje szafki, szuflady i półki. Może Iben i Malene również w inne miejsca wsadziły butelki jako fałszywe dowody na to, że Anne-Lise pije w pracy.

Trzykrotnie przegląda wszystko, co tylko może, i siada z powrotem przy biurku. Wpatruje się w najbliższy regał i nie wie, o czym myśli.

Później - nie wie również jak dużo później - zauważa Gunnara w monitorującym wejście okienku na ekranie komputera.

Czym prędzej wstaje, by „przypadkiem” znaleźć się w Ogrodzie Zimowym, gdy będą go wpuszczać do środka.

Jest taki, jak go zapamiętała. To znaczy wielki, opalony, i jest też przystojny, lecz nie w konwencjonalny sposób, jak na przykład flirtujący z Malene ulizany Frederik Thorsteinsson z zarządu.

Jako wymówkę, dlaczego się tu znalazła, Anne-Lise obraca w palcach dużą rolkę nalepek, którą wyjęła z szafki przy biurku Camilli. Udaje, że odlicza pewną ich liczbę i odrywa zapas.

Uśmiecha się do Gunnara, a on odpowiada jej uśmiechem i oznajmia:

- Jestem umówiony na spotkanie z Paulem Elkjaerem.

Anne-Lise wie, że Camilla lubi sama wprowadzać gości do Paula, więc tylko się uśmiecha i czeka.

Upływa zaledwie kilka sekund, lecz ma wrażenie, że to trwa znacznie dłużej. Anne-Lise nigdy nie zdradziła Henrika i nie ma takich zamiarów, a mimo to czuje mrowienie w dłoniach i robi jej się gorąco. Koszula Gunnara w kontraście do jego opalonych rąk i twarzy wydaje się śnieżnobiała, jest rozpięta pod szyją. Na niej ma grubą, czarną marynarkę z miękkiej skóry.

Widzi, że Gunnar kieruje wzrok na Malene. On ją zna! Widać to wyraźnie. To okropne. Na razie żadne z nich jeszcze nic nie powiedziało, lecz Anne-Lise widzi to po obojgu.

Malene wstaje. Pomyśleć tylko, on ją zna! On ją lubi! Skąd może ją znać? Jak może ją lubić? Malene wspominała, że zna Gunnara, lecz Anne-Lise sądziła, że ma na myśli jego książki, a nie osobistą znajomość.

Czy byli razem w łóżku? Chyba nie? To człowiek z zasadami. A może Anne-Lise wszystko źle zrozumiała? Może Gunnar wcale nie jest takim człowiekiem, za jakiego go uważała?

Anne-Lise zwraca też uwagę na Iben, która obraca w dłoniach szary zszywacz. Gunnar uśmiecha się również do niej w taki sposób, jakby znał i ją. Czy uśmiecha się tak do wszystkich młodych kobiet? Może, więc jednak nie zna Malene? Anne-Lise znów na nią patrzy. Owszem, zna ją.

Iben jest bledsza niż zwykle. Teraz i ona wstaje, ale nie tak jak inne. Wygląda, jakby miała tylko ochotę zniknąć - albo wejść do biblioteki.

Znów minęło tylko kilka sekund i Camilla odpowiada Gunnarowi swoim pięknym, miękkim głosem:

- Tak, tak, wiem, że czeka.

Wstaje, by zastukać do drzwi Paula i poinformować go o przybyciu Gunnara. Od jego przyjścia minęło może dziesięć sekund. Może pięć.

Paul sam otwiera drzwi. Przez chwilę wydaje się zaskoczony widokiem wszystkich czterech kobiet, które za plecami Gunnara stoją między biurkami nieruchomo jak posągi, ustawione, co parę metrów.

Potem po jego twarzy widać, że odrzuca tę myśl. Myśli chyba: Nie, to raczej przypadek... To nie może nic znaczyć. I zaskoczenie prędko znika.

Zaprasza Gunnara do siebie i energicznie wciąga go za drzwi. Anne-Lise czym prędzej wraca do biblioteki.

Czy to oznacza, że Gunnarowi równie obojętne są względy etyczne, jak wielu mężczyznom w innych branżach? Z daleka wydał jej się zupełnie inny.

Anne-Lise siedzi przy biurku, głowę zwiesza nad blatem, niczego nie widzi i, jak zwykle, nie płacze.

Wie, że nie zdoła nikomu wytłumaczyć, co tu się dzieje, bo wyszłaby na histeryczkę. Ale jest tak obrzydliwie pusta w środku, i to tylko z powodu jednej krótkiej wymiany spojrzeń między Gunnarem a Malene.

Naprawdę wierzyła, że istnieją ludzie, którzy nie dają się zwieść młodszej, pięknej fasadzie Iben i Malene, że poza DCIL muszą istnieć inne światy, w których toczy się inne biurowe życie. Ale najwyraźniej każdy zakątek świata podlega prawom Malene.

Myśli o tym, suchymi oczami wpatrując się w blat biurka. Cały świat jest światem Malene. Nie ma takiego miejsca, gdzie można by się przed nią ukryć!

* * *

Drzwi do gabinetu Paula otwierają się i z pewnym nabożeństwem szef prowadzi Gunnara do kolejnych biur i przedstawia pracownicy centrum. Wszystkie cztery siedzą na swoich miejscach i udają wielkie zaangażowanie pracą, aż do chwili, gdy mężczyźni zatrzymają się dokładnie przy nich.

Anne-Lise słyszy, jak w Ogrodzie Zimowym Gunnar mówi, że Malene i Iben już zna. Z Malene są „starymi przyjaciółmi”, a Iben też miał okazję spotkać. Z tonu Gunnara trudno jest wyczytać coś więcej, lecz być może za tą znajomością kryje się coś jeszcze, ponieważ Malene i Iben są mniej gadatliwe i „czarujące” niż zazwyczaj w kontaktach z nowym mężczyzną, mającym pewną władzę.

Paul oprowadza Gunnara po zbiorach dokumentów na tyłach biblioteki. W czasie, gdy obaj tam przebywają, Anne-Lise słyszy, że w Ogrodzie Zimowym pojawia się prezes ich zarządu Ole Henningsen.

Camilla woła wesoło:

- Cześć, Ole! Gunnar Hartvig Nielsen jest w bibliotece razem z Paulem!

- Naprawdę? Nie mam zbyt wielu spraw, chciałem tylko zabrać teczkę z wycinkami z tego tygodnia. Będzie mi potrzebna wieczorem.

Wszyscy w centrum lubią Olego. Podobnie jak paru innych profesorów koło sześćdziesiątki, jakich Anne-Lise poznała, Ole ma krótką, siwą brodę, przypuszcza, więc, że taka moda panowała na uniwersytecie w latach siedemdziesiątych. Oprócz tego jest nieco tęższy, a ponadto nieco swobodniej ubrany, aniżeli większość pracowników uniwersytetu, którzy tu przychodzą.

Często się zdarza, że Ole zagląda do nich na krótką pogawędkę z Paulem o tym, jak DCIL ma się ustosunkować do tego czy tamtego, albo by przygotować się do spotkania, na które obaj się wybierają.

Kilkakrotnie uczestniczył też w przyjęciach gwiazdkowych i letnich obiadach wydawanych przez centrum.

Jeszcze pół roku temu Anne-Lise nie myślała zbyt wiele o życiu prywatnym ich łagodnego i zawsze życzliwie nastawionego prezesa. Wiedziała, że jest rozwiedziony i że ma dwóch synów. W pewne niedzielne przedpołudnie zadzwoniła kiedyś jej szwagierka i powiedziała, że w serii wywiadów „Demony, które mi towarzyszą”, publikowanej przez „Sondags Politiken”, jest wywiad właśnie z Olem.

Anne-Lise zaraz pobiegła do kiosku po gazetę i przekonała się, że Ole, podobnie jak dziewięciu innych mniej lub bardziej słynnych Duńczyków w poprzednich niedzielnych wydaniach, zdradził czołowej gwiazdce dziennikarstwa z „Politiken” najbardziej osobiste szczegóły ze swego życia.

Wywiad zajmował całą pierwszą stronę, a towarzyszyła mu wspaniała fotografia, na której Ole stał, bardzo z siebie zadowolony, z wypiętym brzuchem w jednej z tych małych łodzi, którymi podczas drugiej wojny światowej przemycano Żydów przez Oresund.

Ole zdradził dziennikarce, że cierpi na jednobiegunowe zaburzenie afektywne, które wcześniej nosiło nazwę depresji. Okresy depresji skłoniły go do nieracjonalnego działania przy wielu okazjach, wywarły też niszczący wpływ na jego rodzinę. Dziesięć lat temu - a więc długo po tym, jak obaj synowie wyprowadzili się z domu - żona Olego odeszła, nie mogła, bowiem dłużej znieść jego choroby. Miała czarną skórę i urodziła się na Saint Croix, poznał ją, kiedy prowadził tam badania. Teraz była żona mieszka w Moskwie z młodszym o osiem lat duńskim dyplomatą. Ole przeprowadził się do niedużego, ale ładnego mieszkania na jednej z uliczek za Teatrem Królewskim i mieszka tam do tej pory.

W profesjonalny sposób zdołał oczywiście nakierować wywiad również na zadania DCIL. Anne-Lise rozpoznała w gazecie kilka z jego sformułowań.

Na przestrzeni ostatnich stu lat podczas wojen zabito czterdzieści milionów ludzi. To przerażająca liczba. I konieczne jest, aby państwa całego świata przeznaczają wiele sił i środków na zapobieganie kolejnym wojnom.

Ponadto w ciągu tego samego stulecia sześćdziesiąt milionów ludzi, a więc półtora raza więcej, zginęło w wyniku masowych zbrodni, organizowanych przez rządy ich krajów. Na ile ważne jest, więc zrozumienie ludobójstwa i zapobieganie dalszym zbrodniom? Jeśli będziemy kierować się liczbą zabitych, widać, że jest to obecnie najważniejszy problem na świecie.

Mogło się wydawać, że dziennikarka „Politiken” jest w stanie wyciągnąć ze swego rozmówcy dosłownie wszystko. Na kolejnych szpaltach opisane zostały okoliczności, jakich człowiek nigdy by nie odgadł i zdecydowanie nigdy o nie nie zapytał.

Ole opowiadał, jak nowoczesna farmakologia zupełnie zmieniła jego życie i że nie może uwolnić się od myśli o tym, jak inaczej by ono wyglądało, gdyby środki antydepresyjne wynaleziono kilkadziesiąt lat wcześniej.

A to, że leki powodują pewne zakłócenia potencji, postrzega jako drobnostkę w porównaniu z możliwością pozbycia się czarnych miesięcy depresji. Jest wręcz dumny, że potrafił te drobne problemy obrócić w coś pozytywnego. Wzbogacił swoje życie seksualne o wiele nowych „sposobów”, które, jak mu podpowiada doświadczenie, kobiety niezwykle sobie cenią.

Anne-Lise czytała ten wywiad kilkakrotnie i przez całą niedzielę dyskutowała o nim z Henrikiem. Wcześniej nigdy by nie wpadła na to, że Ole był chory. Już w tamtą niedzielę myślała o tym, jak dużo tajemnic skrywają w sobie ludzie, z którymi się pracuje. W ostatnich tygodniach rozmyślała o tym jeszcze więcej.

W poniedziałek, po ukazaniu się wywiadu, Iben zrobiła wielkie halo z tego, jak bardzo wszyscy jesteśmy uzależnieni od chemii i jak drobne zaburzenia chemiczne mogą zmienić czyjeś życie w koszmar i że nie pomoże tu żadna terapia. To jeden z jej koników, podobnie jak porównywanie ludzi do zwierząt. I oczywiście ubawiły się setnie tym wszystkim, czego tak nagle się dowiedziały o swoim szacownym prezesie zarządu.

Gdy Ole kilka dni później zjrzał do centrum, poświęcono mu znacznie więcej uwagi niż zazwyczaj. Wszyscy chwalili go za otwartość. Iben opowiedziała o ciotce, która straszliwie cierpiała z powodu depresji, Malene wspomniała o przyjaciółach, których małżeństwo rozpadło się z powodu tej choroby, a jednocześnie wszyscy w centrum starali się nie przekroczyć norm dobrego wychowania.

A Ole sprawiał wrażenie osoby przyzwyczajonej do takich właśnie reakcji. Przyjął to do tego stopnia za pewnik, że zachowywał się tak, jakby uprzedzał ich reakcje, zanim jeszcze się pojawiły.

Uśmiechał się na ich pochwały, a one dopiero potem go chwaliły. Nieco później zaakceptował ich onieśmienie i rzeczywiście lekko się wtedy zakłopotał.

Po paru minutach rozmowa wróciła na zwykłe zawodowe tory i nikt z zewnątrz nie domyśliłby się, że pracownicy centrum właśnie dowiedziały się o swoim prezese tyłu intymnych szczegółów.

Gdy Gunnar i Paul wracają z głębi biblioteki, Ole wychodzi im na spotkanie. Uśmiecha się serdecznie, a pod pachą trzyma teczkę z wycinkami. Dotarłszy do drzwi - tuż przy Anne-Lise - mówi:

- Cześć, Gunnar. Cieszę się, że mamy tu coś, co może ci się przydać w „Rozwoju”.

Gunnar promienieje z radości. Wszyscy przecież mówią, że powołanie na członka zarządu jest dowodem uznania, i należało mu się już od dawna. Jest o pół głowy wyższy zarówno od Paula, jak i Ole-go, obaj, więc wyglądają przy nim na małych.

- Oczywiście, że macie, Ole - odpowiada. - Ale dzisiaj jestem tu tylko po to, żeby się rozejrzeć, zanim, być może, przyjmę tę propozycję. - Zwraca się do Paula i mówi z uśmiechem: - Zresztą na pewno tak będzie.

Ale Ole wygląda na zdezorientowanego, więc Gunnar ciągnie:

- Mam na myśli propozycję wejścia do zarządu na miejsce Frederika Thorsteinssona.

- Aha - odpowiada Ole. - To świetnie.

Ole nie mówi „Witaj” ani „Mamy nadzieję, że się do nas przyłączysz”.

Następuje krótka chwila przerwy w rozmowie i każdy, kto wie, jak otwarty bywa na ogół Ole, może się domyślić, że nie miał pojęcia, iż Paul zaproponował Gunnarowi miejsce w zarządzie.

Ole nie krzyczy, on nawet nie zdradza Paula. Pozwala mu zachować godność i mówi, że, niestety, musi już uciekać. Wychodzi, zanim ktokolwiek zdąży wciągnąć go w jakąś zobowiązującą rozmowę.

Ole niczego nie ujawnił. Nikomu oprócz tych, którzy naprawdę go znają. Może jednak Gunnar również go dobrze zna lub tylko jest dostatecznie uważny. W każdym razie radość z jego twarzy znika.

- No to świetnie - mówi Paul.

- Poznałeś też prezesa zarządu. To biuro, w którym sporo się dzieje. Mnóstwo tu niespodziewanych wejść i wyjść. A Ole zawsze tak się spieszy.

Prowadzi Gunnara dalej, do zamkniętych drzwi swego gabinetu, mówiąc:

- Ale o tym sam się niedługo przekonasz, kiedy wszystkich nas już poznasz.

* * *

Po wyjściu mężczyzn w Ogrodzie Zimowym zapada cisza. Anne-Lise ma straszną ochotę zatelefonować do Henrika, ale teraz, przy tych wiecznie otwartych drzwiach, rozmowy z nim stały się niemożliwe.

W ogóle bardzo by chciała zamknąć te przeklęte drzwi z powrotem. Jak dzień długi musi być na baczność i odgrywać tę grę, konieczną, by tu przeżyć. W ciągu dnia ma nie więcej niż dwie minuty na zdjęcie maski i bycie sobą.

Najprawdopodobniej nikt by nie protestował, gdyby teraz wstała i zamknęła drzwi. I nikt nigdy więcej już by ich nie otworzył. Nie potrafi się jednak na to zdobyć.

Nie jest jednak w stanie dłużej koncentrować się na pracy nad Afganistanem, zaczyna, więc otwierać pudła i sortować dokumenty, które przyszły z Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze.

Przez otwarte drzwi słyszy, jak Iben mówi:

- Teraz Gunnar nie będzie chciał mieć do czynienia z DCIL. Nie zechce się mieszać w intrygi Paula.

- Członkostwa w zarządzie na pewno nie odrzuci - odpowiada Malene.

Następuje chwila przerwy, a potem Anne-Lise słyszy, jak Malene dodaje:

- Na pewno właśnie o tym rozmawiają teraz w gabinecie. Właśnie teraz.

- On z całą pewnością tego nie zrobi.

Anne-Lise wyjątkowo, być może po raz pierwszy, słyszy złość w tonie Iben. Jej głos nabiera przenikliwości. Anne-Lise nigdy by nie pomyślała, że coś takiego może wyprowadzić koleżankę z równowagi.

A Iben już prawie krzyczy:

- Nie możesz tak o nim myśleć!

Głos Malene jest inny, bardziej opanowany, z odrobiną wyższości. Takim tonem zdenerwowana matka może przemawiać do córki.

- Tak czy owak, przez wiele lat musiał czekać na szansę powrotu do gry.

- Ale nie będzie chciał utracić kogoś w tak nieprzyjemny sposób. On taki nie jest.

- Musisz brać pod uwagę, że Gunnar mieszkał w Afryce i jest przyzwyczajony do tego, że korupcja otacza cię ze wszystkich stron.

- Ja też mieszkałam w Afryce!

Po tym wybuchu uspokajają się. Pierwsza kłótnia sama wyrwała im się z ust. Dopiero teraz uświadamiają sobie, jak bardzo dały się ponieść dyskusji. Ktoś nieznający ich sposobu komunikowania się być może nawet by nie zauważył ich gniewu. Anne-Lise po raz pierwszy miała okazję słyszeć, żeby tak się do siebie odzywały. Cieszy się, bo teraz na własnej skórze mogą poczuć to, na co narażają innych.

Malene udaje się w jakieś zdanie wpleść swoją chorobę. Iben nie reaguje.

A nieco później Malene zauważa spokojnie:

- Musiałaś go dobrze poznać przy tamtej jedynej okazji, kiedy z nim rozmawiałaś tamtego wieczoru u Sophie.

Iben już się pozbierała. W jej głosie słychać teraz pewność siebie.

- Rzeczywiście miło nam się rozmawiało tamtego wieczoru, to prawda. Rasmus też twierdzi, że najmilej pamięta rozmowy z ludźmi, których spotkał tylko raz.

Z Malene uchodzi powietrze.

- Wspominasz teraz o Rasmusie?

- A nie powinnam?

Trwa to jeszcze przez kilka minut, aż w końcu Iben wychodzi do kuchni, ochłonać.

Później Anne-Lise układa czasopisma na półkach w jednym ze swoich regałów. Staje tak, by mogła zajrzeć do Ogrodu Zimowego.

Iben jest na swoim miejscu, kiedy drzwi do gabinetu Paula nareszcie się otwierają. Gunnar wychodzi. Szybko idzie do głównych drzwi. Otwierając je, odwraca się do wszystkich i mówi uprzejmie:

- Do widzenia. Nic więcej. Wychodzi.

Anne-Lise, gdyby nie jej pancerz, uradowałaby się tą zmarszczką gniewu na jego czole.

33

Gdy za Gunnarem zatraskują się drzwi, Paul wynurza się ze swego gabinetu.

- Jak poszło? - pyta Iben.

- No, nie najlepiej... Że też, cholera, Ole musiał przyjść akurat w środku tego wszystkiego!

Paul wygląda na zirytowanego.

- No, zobaczymy, jak to się ułoży. A poza tym robimy to wszystko dla ratowania centrum.

Wraca do siebie, ale nim zamknie drzwi, mówi jeszcze:

- Będę musiał teraz zadzwonić do Olego.

Wszystkie spoglądają po sobie. Paul najwyraźniej niczego nie żałuje? Nie boi się reakcji Olego? Ale co to znaczy? Kto będzie zasiadał w zarządzie? Czy DCIL w przyszłości stanie się maleńką częścią IPC? Kto będzie ich szefem? I czy w wyniku reorganizacji trzeba będzie kogoś zwolnić?

Anne-Lise patrzy na Ogród Zimowy, który zna po każdy najdrobniejszy przekłuty szczegół: wzorowy porządek wśród karteczek post-it na biurku Camilli, mały plastikowy troll na biurku Malene, zepsuta sprężyna w lampie Iben. Może za kilka miesięcy będzie tu zupełnie inaczej?

Ole najwyraźniej nie odebrał telefonu, Paul, bowiem po kilku sekundach wraca. W rękę trzyma croissanta, który został widocznie po spotkaniu z Gunnarem.

Siada na dodatkowym krześle przy biurkach Malene i Iben, gestem daje znać Camilli, aby podeszła bliżej. Anne-Lise już stoi przy nich.

Paul odgryza kawałek croissanta i mówi, jedząc:

- No, praca musi toczyć się dalej... Posłuchajcie. Wczoraj jadłem lunch z jednym z moich przyjaciół. On ma przyjaciela w radzie do spraw polityki zagranicznej konserwatystów. Stąd wiem, że za dwa miesiące w Brukseli będzie omawiane nasze stanowisko w sprawie nieprzyznawania się Turcji do zbrodni ludobójstwa na Ormianach.

Czy Paul naprawdę uważa, że będą pracować, jakby to był normalny dzień?

Najwyraźniej tak jest. Anne-Lise patrzy na koleżanki. Jest pewna, że im również trudno jest zaakceptować postępowanie Paula. Ale po ich twarzach nic nie widać. Uduają, że Paul zachowuje się całkiem normalnie, więc Anne-Lise też tak robi.

A Paul już się rozkręcił.

- Ormianie oczywiście znajdą się na porządku dziennym w Christiansborg, w parlamencie, wszystkie media u nas i w całej Unii rzucą się na ten temat. Dlatego to my jako pierwsi musimy przekazać najlepsze w Europie i najświeższe informacje w tej kwestii. Zarówno w druku, jak i w Internecie. I po duńsku, i po angielsku.

Zwraca się do Iben:

- Od tej pory ta sprawa ma priorytet. Odłóż Czeczenie. To damy później. Za miesiąc musimy mieć gotowy do druku duży numer tematyczny „Ludobójstwo w Turcji”. Musimy mieć najlepsze w Europie tabele, artykuły i wywiady.

Paul zawsze imponuje energią, gdy do czegoś naprawdę się zapali.

- Musimy też mieć najlepsze w sieci linki do tego tematu. I cały czas trzeba myśleć: Co się kryje w tym regionie, czego inni jeszcze nie wiedzą? Historia tego regionu! Musimy sięgnąć znacznie głębiej niż codzienna prasa! - Robi głęboki wydech i pyta: - Anne-Lise, czy są jakieś książki, które powinniśmy znać, żeby przygotować ten numer? Jakies inne czasopisma, które wcześniej zajmowały się tym tematem?

Nowością jest, że on - czy w ogóle ktokolwiek - pyta ją w taki sposób. Anne-Lise myśli: To teraz! Na ten moment czekałam cały rok. Nareszcie dopuszczają mnie do grupy. Zaczyna:

- Zdecydowanie...

I wtedy się zacina.

-Wiem, że...

Nie jest w stanie wydusić z siebie nic więcej.

Koleżanki posyłają sobie przelotne, lecz wiele mówiące spojrzenia. Naprawdę można oszaleć. Ale to rzeczywiście ona nie może się skoncentrować i zachowuje się nieprofesjonalnie, nie one.

Paul wraca do Iben:

- Iben, chciałabyś coś na ten temat powiedzieć?

- Jasne, że tak. - Iben uśmiecha się i wygląda na absolutnie skoncentrowaną. Nie widać po niej, że Ole przed niespełną kwadransem zdemaskował kłamstwa Paula. - Gdybyśmy wykorzystali właściwych dziennikarzy zagranicznych, wolnych strzelców, moglibyśmy wyjść poza nasze zwykłe obszary działania. Przedstawić krótki przegląd stosunku większych europejskich krajów do zbrodni ludobójstwa popełnianych w innych krajach i w Turcji.

Anne-Lise nie słyszy, co mówią. Przez cały czas ma przed oczami Iben, która wbiega do biblioteki i wstawia pustą butelkę po rumie do jej szafki. Niewiarygodne, że ta chłodna, przekonująca intelektualistka, siedząca teraz naprzeciwko niej, przed niespełną godziną biegła po biurze jak niegrzeczna mała dziewczynka.

- To ułatwi użytkownikom ustosunkowanie się nie tylko do tematu, lecz również do wspólnej europejskiej decyzji - kończy Iben.

Paul, słuchając jej, pochłania resztę croissanta.

- Właśnie - mówi. - Świetnie, Iben. Anne-Lise, ty też nam będziesz potrzebna...

W Anne-Lise coś się wypaliło. Zostały w niej jedynie fantazje o Iben podnoszonej ze schodów. Iben, która czuje na szyi ostrze noża zbrodniarza wojennego. Twarz Iben, kompletnie odmieniona, oczy patrzące błagalnie w ostrym świetle klatki schodowej.

Anne-Lise tylko z daleka i jakby nierealnie widzi, jak Paul pospiesznie usuwa językiem resztki croissanta z przednich zębów i dalej coś do niej mówi. Słowa ledwie docierają:

- Konieczne jest, żebyś nie tylko znalazła mnóstwo artykułów i zestawień, lecz żebyś też razem z Iben dokonała ich selekcji. Będziecie pracować jako zespół. Masz do tego jakiś komentarz?

Ręka Iben łapie za brzeg skórzanej kurtki napastnika. Szarpie za nią, do przodu i do tyłu. Ale to na niego nie działa. Podobnie jak miękkie obcasy sportowych butów Iben, którymi rozpaczliwie wali go w łydkę. Jego ruchy są pewne i wyćwiczone. Ten potężny mężczyzna robił to już tyle razy wcześniej.

Anne-Lise wraca do biura. W oszołomieniu zastanawia się: Czy właśnie przed tym ostrzegali mnie Yngve? Czy już się wypaliłam? Przecież nie mogę myśleć. Czy kiedykolwiek jeszcze będę umiała myśleć? Czy już jestem do niczego?

Rozgląda się po koleżankach. Paul to widzi. Teraz przyzna im rację. Jestem nieznośna. Zwolnią mnie. Wykończyły mnie. Udało im się mnie zniszczyć.

W głowie rozjaśnia jej się na tyle, by usłyszeć słowa Paula:

- Ten numer tematyczny dla polityków będzie oczywiście stanowił legitymację DCIL. Chodzi o to, by myśleć ofensywnie. Jeśli przygotujemy najlepsze w Europie wydawnictwo i stronę internetową na ten temat, to trudniej będzie nas zamknąć. Więc, Iben i Anne-Lise... przez następny miesiąc będziecie razem pracować nad przetrwaniem centrum.

Anne-Lise kręci się w głowie: Czy on mnie prosił o coś więcej? Tak. Nie mam pojęcia, o co. Siedzę tu tylko i mało nie eksploduję od wizji zemsty na nich wszystkich. Co oni ze mną zrobią?

Ma ochotę wstać i uciec stąd, ale na to też nie może się zdobyć.

Czy nie bez powodu mówią, że mam rozszczepioną osobowość i jestem chora psychicznie? Może i tak. Akurat teraz naprawdę tak się czuję.

A to, że piję w pracy? Wszystko mi się płacze, a w gardle mam słodki, mdlący smak. To takie uczucie jak w liceum, kiedy mdliło mnie od nadmiaru przestrzeni. One chyba mają rację. Jestem alkoholiczką.

Czy to prawda, kiedy mówią, że nie daje się ze mną pracować? Jasne, że tak. Wiem o tym. Moje fantazje o nich są złe i straszne. Wiem.

* * *

Po tym zebraniu Anne-Lise dopada ból głowy. Staje w zimowym płaszczu i szaliku w otwartych drzwiach między biblioteką a Ogrodem Zimowym. Tabletki od bólu głowy nie pomagają, wbija w podłogę zmrużone oczy, by uniknąć światła jarzeniówek.

- Muszę jechać do domu - mówi cicho. - Nie mogę się skupić, czuję się chora. Same widziałyście, że nie jestem już w stanie więcej dzisiaj pracować.

Paul też jest akurat w Ogrodzie Zimowym, więc Camilla uśmiecha się, gdy on patrzy, i głośno mówi, że Anne-Lise była przecież tak samo skoncentrowana jak zawsze. Camilla zwraca się do niej tak miło, jakby ją chwaliła, ale przecież jest inaczej.

Na dworze jest zimno i po grudniowemu szaro. Anne-Lise udaje się bez problemu dojechać autostradą do Holte, lecz gdy skręca w Vasevej, w bladym, pozbawionym kontrastów świetle nie zauważa rowerzysty. Dopiero tuż przed jego tylnym błotnikiem wciska hamulce i nie oglądając się do tyłu, odbija od pobocza, auto obraca się i staje w poprzek drogi.

Samochód za nią również musi zahamować z piskiem. Anne-Lise czuje lekki wstrząs, gdy uderza ją w bok.

Wyskakuje kierowca. I on, i rowerzysta wrzeszczą na nią i mocno walą pięściami w dach jej samochodu.

Kierowca oświadcza, że ma wgnieciony zderzak i żąda jej numeru telefonu. Oczywiście Anne-Lise mu go poda. Próbuje tylko najpierw odwrócić samochód i odstawić na bok, żeby inni mogli przejechać. Gdy zamierza wolno ruszyć do przodu, silnik gaśnie. Dopiero wtedy widzi, że ma włączony trzeci bieg.

Wreszcie udaje jej się zaparkować na poboczu. Wymienia z mężczyzną numery telefonów, on pyta, czy ona się źle czuje. Ma na myśli, czy jest pijana. Anne-Lise odpowiada, że boli ją głowa. Po jego odjeździe siedzi w zaparkowanym samochodzie jeszcze chwilę z głową w dłoniach i nagle odkrywa, że boi się dalej jechać.

Do domu ma mniej niż kilometr. Zostawi samochód i ostatni kawałek przejdzie pieszo.

Idzie posypanym piaskiem trotuarem wzdłuż willowej ulicy, której nazwy nie zna. Porusza się tak blisko nieprzystryżonego żywopłotu, że długie bezlistne, pełne cierni gałęzie sięgają jej głowy.

Patrzy na nie, ale krótko. Ból głowy nie pozwala jej spojrzeć w niebo.

Byle tylko nie spotkała teraz nikogo z sąsiadów czy znajomych. Tymczasem kobiecy głos z pewnej odległości woła:

- Birgitte!

Dopiero po kilkakrotnym wołaniu Anne-Lise odwraca się, żeby zobaczyć, kto tak krzyczy. Na drodze nie ma nikogo innego oprócz wołającej kobiety i jej samej.

Anne-Lise idzie dalej.

Kobieta jednak ją dogania.

- To ty jesteś przyjaciółką Camilli! Zabawne! Mieszkasz tutaj?

Anne-Lise nie ma pojęcia, o czym tamta mówi. Ona jednak reaguje na jej zdziwione spojrzenie i wyjaśnia:

- Z chóru! Z Kopenhaskiego Chóru Poczтового.

- Ach!

Anne-Lise z powodu bólu głowy ledwie trzyma się na nogach, a teraz jeszcze to. Jeśli ta kobieta odkryje, że Birgitte ma w rzeczywistości na imię Anne-Lise, to Camilla już na następnej próbie pozna jej fałszywą tożsamość. Wtedy rzeczywiście będą mogły uznać ją za wariatkę.

Kobieta jest elegancko ubrana w długi niebieski wełniany płaszcz, a usta ma umalowane szminką zbyt mocno jak na swój wiek. Być może to dziwny nastrój Anne-Lise tak przebarwia świat, lecz odbiera tę kobietę jako lekko zaburzoną, nieprzystosowaną.

- Ty też mieszkasz gdzieś tu w pobliżu? - pyta kobieta. - Przydałby nam się chór tutaj, nie musiałybyśmy jeździć do miasta.

Anne-Lise dzieli od domu zaledwie sto metrów, ale udaje jej się jakoś skupić na tyle, by odpowiedzieć:

- Nie, jestem tu przypadkiem. Przyszłam... odwiedzić przyjaciółkę.

- Ale nie Camille? Czy może ona też się tu przeprowadziła? Kobieta wyraźnie nie śledziła przebiegu całej próby chóru.

- Nie, to nie ona - odpowiada Anne-Lise.

Odsuwa się od żywopłotu z ciernistymi gałęziami. Ciarki przechodzą jej po plecach, gdy na nie patrzy.

Nie ma siły na dłuższe uprawianie tej podwójnej gry. Próbuje odejść, zastanawiając się jednocześnie, czy już nigdy nie będzie mogła wyjść na spacer w tej okolicy.

Kobieta powtarza jeszcze raz:

- Mieszkam tu niedaleko. Przydałby nam się chór gdzieś w pobliżu.

Anne-Lise nie ma pojęcia, o czym myśli, mówiąc:

- Tak, to prawda.

- Może jednak mieszkasz w okolicy Holte?

- Nie, nie.

Kobieta wyciera kącik ust, jak gdyby coś jej się tam przykleiło.

- Ja też kiedyś przyjaźniłam się z Camillą - mówi.

Teraz Anne-Lise wie, że powinna się skoncentrować. Stara się okazać życzliwą uwagę. Tak fałszywą, jak ta, do której jest zmuszana w biurze.

- Ach, tak?

- Owszem, ale przestałam się z nią widywać, kiedy związała się z tym nieznośnym człowiekiem.

Anne-Lise musi się skoncentrować. Musi.

- No tak... Jak on miał na imię?

- Dragan.

- Aha, no właśnie, Dragan.

Kobieta sprawia wrażenie coraz dziwniejszej.

- To ten serbski uchodźca, no, wiesz?

- Tak, tak.

Anne-Lise zmusza się, by patrzeć na nią wprost i powtarza powoli, z namysłem, jakby miała jego nazwisko na końcu języka.

- Dragan... Dragan...

- No, Dragan Jelisić, prawda?

- Chyba tak. Tak, Dragan Jelisić. Ja też go z trudem znośliam.

Anne-Lise spieszy się do domu.

Dobrze by było porozmawiać teraz z Henrikiem, ale on wciąż jest w pracy. Drugą z kolei dobrą rzeczą byłoby nie rozmawiać już z żadnym innym człowiekiem aż do końca dnia. Tyle w każdym razie może zrobić.

Wchodzi na podjazd, otwiera kluczem drzwi i kładzie się na czarnej kanapie, na której zwykle poleguje z głową na jego kolanach.

Leży tak i stara się poczuć lepiej, nie mając pewności, czy jej się to uda. Z takim bólem głowy nie daje się zasnąć. Nie można też oglądać telewizji ani czytać.

Usiłuje rozważać, jakie to może mieć znaczenie, że Camilla związała się kiedyś z serbskim uchodźcą i nigdy się do tego nie przyznała. Ale gdy próbuje myśleć o czymkolwiek, ból tylko się nasila.

W jej głowie mogą żyć jedynie fantazje o zemście na Malene i Iben. Wdzierają się w mózg, żyją własnym życiem. Młody mężczyzna w czerwonym dresie po raz kolejny wrzuca Malene w krzaki.

Gałązki łamią się pod ciężarem jej ciała. Błada szyja Iben, dudniąca w uszach akustyka na klatce schodowej, żyły występujące jej na szyi i cienka, papierowa skóra pod oczami. Lęk w oczach Malene, zwłaszcza w chwili, gdy zostaje sprawiedliwie ukarana za to, że zniszczyła życie drugiemu człowiekowi.

Anne-Lise stara się myśleć o czymś innym, o czymś, co usposobi ją przychylnie. Dobrze pamięta, jak się czuła w Bibliotece Miejskiej w Lyngby, zanim popełniła swój największy życiowy błąd i zmieniła pracę. Wysila się, by uwierzyć, że może jeszcze odzyskać swój stary świat.

Krew, która nieustannie płynie z ciała Malene i wsiąka w porośniętą trzciniami ziemię. Ciecz, która spływa między trzciny. Ciecz, która znika w ciemnym tle pod nią.

Trudno powiedzieć, ile czasu mija, gdy Anne-Lise zauważa, że jest nieco przytomniejsza. Wciąż leży na kanapie, ale jest już gotowa zadzwonić do Henrika i poprosić, by odebrał dzisiaj dzieci.

Nie podnosząc się, wyciąga rękę po słuchawkę telefonu, który stoi obok na niedużym stoliku.

W słuchawce słychać głosy. A więc, gdy ona leżała na kanapie, Henrik musiał wrócić z pracy. Skoro jej samochodu nie ma, to nie mógł wiedzieć, że ona jest w domu.

Nie zrozumiała, co powiedział, ale słyszy, że ten drugi głos w słuchawce należy do Nielsa, brata Henrika. Chce coś do nich powiedzieć, lecz przekłada jeszcze słuchawkę, żeby lepiej przylegała do ust. Dochodzi do niej głos Henrika:

- Ja też jej to powtarzałem setki razy. Mówiąc wprost, to nie do wytrzymania.
- No tak, wierzę - odpowiada Niels.

Na moment zapada cisza, a Anne-Lise jest tak zaskoczona, że nie udaje jej się nic wtrącić.
Co to znaczy?

- Próbowaliście rozmawiać z lekarzem? - pyta Niels.

- Byliśmy na jednej wizycie. Ustaliliśmy to, poszło dobrze. Ale później odwoływała wszystkie konsultacje.

Niels jest poważny. Anne-Lise jeszcze nigdy nie słyszała, żeby mówił takim tonem.

- Pamiętaj, że zawsze możesz zadzwonić. Możesz też przyjechać, trochę tu pobyc albo przenocować.

Głos Henrika brzmi głęboko i smutno, gdy mówi:

- Są jeszcze dzieci.

Dopiero teraz, powoli, poprzez ból głowy, do Anne-Lise dociera, co się dzieje. Zaczyna głośno krzyczyć.

Biegnie. Nie chce dłużej być w tym salonie, lecz nie wie, gdzie mogłaby być.

Wybiega na korytarz, ale tam też nie daje się wytrzymać. Słyszy kroki Henrika na górze. Biegnie dalej. Wszystkie myśli zwalają się na nią bez żadnej kolejności.

Jak mogłam sądzić, że oni mogą ze mną żyć? Mam przecież w głowie pełno złych myśli. Ależ się okłamywałam! Nigdy nie będę umiała żyć z normalnymi, zdrowymi ludźmi. Będą musieli się stąd wyprowadzić. Nie, to ja się wyprowadzę. Zostawię im dom. Odejdę stąd, daleko.

W kuchni dogania ją Henrik. Anne-Lise osuwa się przy szafce z koszem na śmieci, siedzi, obejmując ramionami łydki, z głową wciśniętą w kolana.

- Ja nic nie powiedziałem! - krzyczy Henrik. - Nic nie zrobiłem!

Ale gwałcieł w czerwonym dresie wybiega z trzcin. Uderza mnie. Wyciąga swój nieduży czarny scyzoryk. Przykłada mi go do szyi i zmusza do wejścia w krzaki.

- Anne-Lise, przestań! - krzyczy Henrik. - Przestań!

Uderzam się po twarzy najmocniej jak potrafię. Bo jestem straszną żoną. Jestem straszną matką. Uderzam się kostkami dłoni w oczy, a przyszczyty gwałcieł śmieje się do mnie. Widzę jego małe, ostre zęby.

Henrik obiema rękami przytrzymuje moją dłoń. Uderzam się, więc drugą. Łapie i ją, aż traci równowagę i przewraca się na mnie. Łąduje brzuchem na mojej głowie. Wbija mi łokieć w podbrzusze.

- Anne-Lise! - krzyczy. - Przestań! Przestań!

Przytrzymuje mnie mocno, ściska za ręce tak, że nie mogę nimi poruszyć. Policzek przyciska do mojego policzka. Z ustami tuż przy moim uchu mówi:

- To Malene powinnaś bić, nie siebie. Ją i Iben. Nie siebie!

IBEN

34

W słabym świetle lampy naftowej na drugim końcu chaty coś błyszczy na ścianie. To pancrzyk martwego żuka. Początkowo Iben sądziła, że owad żyje, ale to było już dawno temu.

Ponad trzydzieści pięć godzin z krótkimi przerwami leżała i przyglądała się czarnemu lśniącemu pancrzykowi. Dotykała go, próbowała wydłubać, ale żuk wtopił się w ścianę z mieszaniny błota i krowiego łajna.

Iben jako jedyna z jeńców nie wymiotowała, miała tylko biegunkę i gorączkę. W normalnych warunkach nigdy nie piliby wody z kalebas znajdujących się w chacie i ze starych plastikowych kanistrów.

Porywacz o imieniu Omoro kilkakrotnie kuczał przy niej, pytał, czy jest bardzo chora, i modlił się, by prędko wyzdrowiała.

Oszołomiona gorączką Iben słyszy, jak Omoro jeszcze raz tłumaczy, że uprowadzenie było konieczne, że jego plemię musi przepędzić Stop Ethnic Cleansing z Kibery. Nikt mu się nie sprzeciwia.

- Bo my nie jesteśmy kryminalistami. To nie tak! - powtarza Omoro. W ciemności Iben nie widzi jego twarzy, ale słyszy żal w głosie.

Omoro to ten, który siedział z pistoletem maszynowym obok kierowcy w dużej białej furgonetce SEC. Teraz, po wyjściu z szoferki, Iben wie, że to wysoki i pięknie, proporcjonalnie zbudowany mężczyzna, ale brakuje mu mniej więcej jednej trzeciej dolnego kawałka ucha.

Iben w gorączce trudno jest odpowiadać na jego uporczywe pytania.

- Nie zauważyłaś, że to, co robimy, jest słuszne?

Iben dostrzega słabe odbicie światła lampy naftowej w długim nożu, który Omoro położył sobie na udach.

W dusznym mroku chaty smród jest nieznośny. Ale porywacze nie pozwalają więźniom wychodzić, z wyjątkiem wyjść „do toalety” w rynsztoku tuż za drzwiami. W zamian za to wszyscy czworo chodzą tam kilka razy na godzinę.

Raz Roberto nie zdążył wyjść, ani nawet podnieść się z klepiska. Jest bardzo osłabiony, lecz mimo to próbował po sobie posprzątać wiechciem słomy. Wciąż jest przy nim więcej much i robactwa niż w innych miejscach.

Akurat teraz marzną, ponieważ jest noc, a oni są tylko w trykotowych koszulkach i szortach. Ale niedługo wyjdzie słońce i znów zapanuje straszliwy upał, a powietrze stanie się jeszcze bardziej duszne.

Iben leży nieruchomo na boku. Wyciąga palec wskazujący i naciska pancerzyk żuka, jakby to był guzik mogący wszystko zatrzymać. Wie, że pozostali również nie śpią, lecz nikt nic nie mówi.

Strach jest inny. To nie jest krótki szok, który znika. Zakładnicy mogą zostać wyrzuceni z chaty i zastrzeleni. Za pięć minut, za dziesięć, za piętnaście. Nic się nie zmienia. Ich czujność nawet na chwilę nie usypia. Tylko czas się wydłuża.

Gorączka wycieńcza Iben, lecz mimo to udaje jej się zapadać w sen.

Pozostali są w jeszcze gorszym stanie. Wczoraj to ona miała trochę siły, żeby sprzątać wymiociny Roberta, zamrozonego gorączką. W dodatku Luo musieli uznać ją za silniejszą od reszty, bo to do niej się zwracają, przekazując polecenia dla wszystkich.

Jakie to ma znaczenie dla jej szans na przeżycie?

W innym oddziale SEC też uprowadzono czworo pracowników. Negocjacje dotyczące ich zwolnienia skończyły się niczym, porywacze zdążyli zabić najpierw jednego, potem drugiego zakładnika, zanim wypuścili dwóch pozostałych.

Kogo w tej chacie Luo zabiją najpierw? Czy tę osobę, którą postrzegają jako silną?

Iben nie może jednak pozwolić, by Roberto leżał we własnych wymiocinach. Ktoś musi coś zrobić. Dała mu wody. Wszyscy tak strasznie dużo piją, bo płyn zaraz i tak z nich wypływa. Na okrągło, więc podtrzymują infekcję. Ale to jedyna alternatywa dla pragnienia.

Iben obmyła wymiociny z twarzy Roberta i pomogła mu wyjść z chaty, gdy było to konieczne.

Pierwszego wieczoru Cathy i Mark, którzy w domu, w Illinois, są parą, leżeli ciasno spleceni w objęciach. Płakali i szeptem zapewniali się o miłości. Teraz leżą nieruchomo i patrzą przed siebie albo w ścianę.

Iben nie wie jednak, na ile są chorzy. Może to ich strategia przetrwania, żeby żaden strażnik się na nich nie rozzłościł?

Możliwe również, że w ich zachowaniu wcale nie ma wyrachowania. Może to lęk i szok paraliżuje ich bardziej niż choroba.

Iben musiała chyba zasnąć, bo teraz przez szczeliny wokół koca w otworze wejściowym wpada światło. Tu mrok będzie trwał, bo nie ma okien ani innych wywietrzników, z wyjątkiem tych szczelin. Ale ciepło powróci i przebłyski światła będą kłuły w oczy za każdym razem, gdy ktoś odsunie zasłonę, żeby wyjść do toalety.

Słyszących mężczyzn przechodzących obok chaty. Wielu mężczyzn.

Ale osada nie mogła zostać zaatakowana, bo mężczyźni idą spokojnie, nie dochodzą też ich krzyki.

Nikt z więźniów nie spytał towarzyszy: „Kiedy zaczną zabijać?”, „Kto z nas zginie pierwszy?”, „Który z tych mężczyzn to zrobi?”

A Iben od początku myślała: Chyba wstrzymają się z mordowaniem tych, których polubią najbardziej. Chodzi, więc o to, by jak najszybciej nawiązać osobisty kontakt prawie z każdym z nich. Dzięki temu nie wybiorą mnie pierwszej.

Ale bardzo trudno jest starać się być atrakcyjną dla bandy porywaczy, gdy człowiekowi odbiera siły biegunka, strach i bezsenność.

Słyszy, że mężczyźni na zewnątrz zaczynają śpiewać psalmy.

Śpiewają na wiele głosów, głęboko, z zaskakującą koordynacją, jak gdyby mieli dyrygenta. Inne poranne odgłosy osady milkną.

Podczas jazdy do tego miejsca więźniowie mieli zasłonięte oczy, lecz przy okazji wypraw do rynsztoka Iben oceniła, że chata leży w osadzie zamieszkaną przez około dwudziestu ludzi, niemal wyłącznie mężczyzn, a z pewnością nie ma tu dzieci.

Iben zaczyna śpiewać ze środka chaty. Zna sporo z tych psalmów. W każde święta Bożego Narodzenia jej ojciec puszczał dwie płyty długogrające angielskiego chóru kościelnego. Po każdej

pieśni sama powtarza głośno którąś z odśpiewanych zwrotek. Dzięki temu mężczyźni na zewnątrz lepiej ją usłyszą.

Wszystko idzie zgodnie z jej planem. Miała nadzieję, że religia okaże się ich czułym punktem. Odhiambo - strażnik, który nie brał udziału w porwaniu w Nairobi - przychodzi po nią do chaty. Nie zabronią wierzącej udziału w swojej mszy.

Iben już od ponad doby nie dostała nic do jedzenia, lecz nie jest głodna. Gorączka z wolna ustępuje. Może wyprostować plecy, chociaż nogi wciąż się pod nią uginają. A mrużąc oczy, jest w stanie wytrzymać ostre światło.

Jest na zewnątrz! Ciepły wiatr szarpie jej brudnym ubraniem. Tu są inne zapachy niż w chacie. Tu jest światło, drzewa i kolory.

Stoją w kręgu. Piętnastu mężczyzn, którzy, zanim msza dobiegnie końca, powinni zacząć myśleć o niej z większą sympatią. Śpiewają:

*O mysterious condescending!
O abandonment sublime!
Very God himself is bearing
all the sufferings of time!
Cross of Jesus, cross of sorrow,
where the blood of Christ was shed,
perfect Man on thee did suffer,
perfect God on thee has bled!*

Iben czuje zapach otaczających ich zarośli. Tak pachnie suche, spróchniałe drewno. Zerka ukradkiem na broń Luo. Mają w zasięgu ręki i pistolety maszynowe, i noże. Muszą się obawiać ataku z zewnątrz, bo chyba nie przypuszczają, że któryś z ich więźniów będzie miał dosyć sił, by uciec w płataninę zarośli.

Jakiś starszy mężczyzna w czarnych nylonowych spodniach, z powykręcany amuletem na szyi dyryguje pieśnią i przebiegiem mszy.

Być może to, dlatego, że Iben wciąż jest chora, z taką wrażliwością reaguje na poważne, wielbiące Boga głosy mężczyzn. Ten ton ją wzrusza.

Frail children of dust, and feeble as frail,

in thee do we trust, nor find thee to fail;

A może to, dlatego, że była tak długo zamknięta w ciemnościach? Mruganiem udaje jej się odpędzić łzy z oczu. Wzrusza ją głębia tych głosów, słowa i to, że znów może wzrokiem sięgnąć daleko. A jeśli baobaby to ostatnia przyroda, jaką widzę? - myśli, i tak jak oni oddaje się Bogu.

*O come, thou Rod of Jesse, free thine own from Satan's tyranny;
from depths of hell thy people save, and give them victory over the grave.
Rejoice! Rejoice!*

W modlitwach między psalmami już trudniej uczestniczyć, lecz Iben po cichu mamrocze swoje, własne duńskie słowa.

Na zewnątrz dostrzega, w jak trudnej sytuacji znajdują się porywacze. Nikt nie wie, jak to się skończy. Przedwczoraj zginęło dwóch ich przyjaciół, a nie dwóch przyjaciół Iben.

Gdy msza dobiega końca, Iben z zaangażowaniem zaczyna mówić, jak bardzo niesprawiedliwie zostało potraktowane plemię Luo. Już wcześniej przemyślała, że rozmowa z kimś to największa szansa na to, by pozwolono jej zostać tu dłużej.

Pięciu mężczyzn zbiera się wokół niej. Wszyscy się z nią zgadzają i w podnieceniu mówią, że takie uprowadzenie było konieczne.

Gdy któryś zaczyna na zmianę patrzeć to na Iben, to na chatę, w której leżą więźniowie, Iben, czym prędzej zmienia temat. Pyta Omoro, czy przyjaźnił się z kierowcą, który zginął przedwczoraj.

Okazuje się, że tak. Wypytuje go, więc o ich przyjaźń.

Pozostali wciąż się przysłuchują. Iben stara się na nich wyrzeć jak najlepsze wrażenie, na tyle, na ile jest to możliwe, gdy człowiek boi się o życie, a przed niespełną godziną leżał ciężko chory. Wydaje jej się, że jest kredowobiała, lecz oni chyba nie zwracają na to uwagi.

Jeżeli porywacze wiedzą, co jest dla nich dobre, to wkrótce znów odeślą ją do chaty. To, że pozwalają jej tak bardzo zbliżyć się do siebie i podjąć próbę zaprzyjaźnienia się z nimi, świadczy o ich braku doświadczenia. Iben pamięta, że kiedy 101. Policyjny Batalion Rezerwy z Hamburga miał po raz pierwszy zabić wszystkich mieszkańców żydowskiego miasteczka, każdemu z policjantów kazano eskortować jednego Żyda na miejsce egzekucji w lesie, zastrzelić go czy ją, i dopiero iść po następnego. Zaledwie tych kilka minut spędzonych w samotności z ofiarą na leśnej ścieżce, ta

krótka wymiana słów ogromnie utrudniała im zastrzelenie Żyda. Wielu musiało się poddać. A innych później dręczyły koszmary.

Oficerowie z batalionu prędko nauczyli się inaczej organizować zabójstwa i przy następnych masakrach szeregowi policjanci nie mieli okazji na rozmowę z Żydami. Musieli postrzegać skazanych na śmierć jako anonimową bandę. Podobnie było w niemieckich obozach koncentracyjnych: wygłodzenie, brud i golenie głów więźniom było w dużym stopniu wyrazem troski o higienę psychiczną niemieckich pracowników obozów. Odczłowieczenie ofiar przed ich zamordowaniem miało ułatwić strażnikom z obozu dalszą pracę.

Iben wie, że już tym krótkim pobytem poza chatą utrudniła strażnikom zabicie jej. Jest zadowolona z siebie i z tego, co zrobiła.

Podchodzi do niej nieduży siwowłosy mężczyzna z bliznami na policzkach. Najwyraźniej w języku dhuluo mówi, że powinna wracać do chaty.

Odpowiada mu Odhiambo, a wśród jego słów daje się wychwycić imię „Phillip”. W tej samej sekundzie, gdy Odhiambo je wypowiada, staruszek naznaczony bliznami zerka na Iben, jakby chciał sprawdzić, czy usłyszała.

Iben nie wolno teraz zareagować. Phillip to niezwykle imię jak na Luo. Iben od razu może się zorientować, o kogo chodzi: Dalmas Phillip to pomniejszy wódz Luo, który, jak wszyscy mówią, bardzo aktywnie uczestniczył w walkach przeciwko Nubijczykom i pomimo swych ponad sześćdziesięciu lat zgwałcił wiele nubijskich kobiet.

Iben czuje, jak bardzo jest chora i zmęczona. Nie potrafi całkowicie ukryć swojej reakcji. Widzi, że staruszek zauważył jej grymas, i jest przekonana, że to będzie miało znaczenie. Nie pozwoliła ujść z życiem tej, która wie, kto przewodzi porwaniu.

Iben, czym prędzej wraca do mroku chaty, kładzie się na swoim miejscu i płacze. Wewnątrz jest już tak gorąco, że przy każdym oddechu czuje ciężkie powietrze, kłujące w mokrym nosie i gardle.

Cathy próbuje ją pocieszać, lecz Iben wyczuwa nową rezerwę ze strony trojga pozostałych więźniów. Oni też potrafią wymyślić, że im lepiej Iben da sobie radę z mężczyznami na zewnątrz, tym większe jest ryzyko, że najpierw zastrzelą kogoś z nich.

Ale czy mogą czynić jej wyrzuty? Iben odpowie, że może jej dobre stosunki z tymi ludźmi przyczynią się również do uratowania pozostałych.

Cathy powtarza, że przeżyją wszyscy czworo, dokładnie tak, jak Iben monotonicznie powtarzała jej przez dwa minione dni. Iben jednak dość wcześnie zrozumiała coś innego: Gdyby Luo pragnęli jedynie usunąć SEC z Kibery, wystarczyłoby trochę postrzelać w stronę kilku członków organizacji, a względy bezpieczeństwa kazałyby wówczas zamknąć biuro. Skoro jednak

Luo zdecydowali się na uprowadzenie czworga pracowników SEC, ich żądania muszą być poważniejsze.

Przywódcy akcji najpewniej zażądali wysokiego okupu, chociaż Omoro, Odhiambo i pozostali strażnicy raczej o tym nie wiedzą. A SEC z zasady nie płaci okupu, ponieważ spełnienie żądań porywaczy prowadzi do kolejnych porwań i w sumie koszty są wyższe, bo ginie więcej ludzi, niż zostaje uratowanych.

Tego Iben nie powiedziała innym. Teraz jednak nie może się powstrzymać od wyznania, że podczas mszy odkryli, iż wychwyliła imię Dalmasa Phillipa.

Cathy, słysząc to, milknie.

Iben znów leży na tym samym nierównym klepisku, na którym leżała przez cały czas, próbuje wydłubać skorupkę żuka i zatopić się w marzeniach o domu w Danii. Jakiś miesiąc w jej brzuchu musiał doznać skurczu, nie czuje bólu, lecz cały brzuch jej się trzęsie.

Zaledwie trzy lata temu była zwyczajną studentką. O tej porze dnia siedziała w domu i czytała książki. Pamięta zapach kawy i papieru ze spotkań kółka studenckiego w zatłoczonych pokoikach przyjaciółek w akademiku. Z jakiegoś powodu w tej fantazji jej grupa dyskutuje o książkach Irvinga Welsha.

Głos Cathy wrywa ją z marzeń:

- SEC, rzecz jasna, zawiadomił nasze ambasady. Jeśli zagrozą cofnięciem pomocy humanitarnej, Arap Moi i policja mogą nagle stanąć po naszej stronie. Wtedy nas znajdą.

Lampa naftowa stoi przy niej i Iben widzi, że Cathy ma na policzku odcisnięte ślady nierówności ziemi, na której leżała.

- A jeśli to policja uwolni nas w wyniku jakiejś akcji, to obojętne będzie, czy widziałas Dalmasa Phillipa - dodaje Cathy.

Miło z jej strony, że tak mówi, lecz obie wiedzą, że „jakaś akcja” jest niemożliwa. Żadna z nich nie mówi o tym na głos.

Minał już długi czas, odkąd słyszeli głos Roberta. Iben pyta, jak on się czuje.

- Niezbyt dobrze - odpowiada tak, że ledwie go słysząc.

Iben przysiadła się do niego.

Jest coś dziwnego w czasie, w ciemności i upale. Pewnie, dlatego, że czas oczekiwania tak strasznie się wlecze. A nagle mimo wszystko znika kilka minut, bo udaje im się zapaść w drzemkę i śnić jakieś chaotyczne, pozbawione czasu historie.

Iben znów leży sama, gdy przychodzi Omoro z dzbankiem tej strasznej herbaty, jaką pije się w wielu miejscach Kenii. To wyraz troski z jego strony. Większość Kenijczyków uwielbia tę herbatę. Podaje się ją zawsze z mlekiem i z wielką ilością cukru. Iben i Cathy bardzo dziękują i

piją, chociaż rośnie im dziwnie w ustach tu, wśród zapachu odchodów, po trwającej już blisko dwie doby głodówce.

Później Omoro przynosi jeszcze talerz wyschniętej papki z mąki kukurydzianej. Muszą jeść palcami ze wspólnego talerza. Trzeba zapomnieć o wszystkich wyjściach do rynsztoka i chociaż szkoda, że Roberto wciąż jeszcze nie odzyskał apetytu, to również pewną ulgą jest świadomość, że jego palce nie zanurzają się w talerzu.

Omoro siada przy Iben.

- Jeśli ten stary człowiek z bliznami będzie chciał cię zabrać z chaty, to próbuj się na to nie zgodzić - szepcze.

Oczywiście Iben ma ochotę spytać, co Omoro słyszał o Dalmasie Phillipie, ale się powstrzymuje. Burczy tylko pod nosem, tak jak Luo na znak, że rozumieją coś i akceptują.

Do oka próbuje jej wejść mucha, Iben macha ręką i ją przegania, ale mucha wraca. Tubylcy nie reagują na muchy, Iben nie może zniszczyć tego poufalego nastroju niespokojnym wymachiwaniem rękami.

Omoro długo milczy. W końcu mówi:

- Widziałaś też Ojiji.

- Tak.

Iben wie, że Ojiji to zabity kierowca, przyjaciel Omoro. Omoro siedzi jeszcze przez chwilę, a potem znów mówi tylko:

- Jego też widziałaś.

- Tak, widziałam.

- W samochodzie razem ze mną.

-Tak.

Stara się wyglądać łagodnie i życzliwie, chociaż czuje, że mucha łaskocze ją w uchu.

- Omoro, to było straszne - mówi.

On znów nie wie, co odpowiedzieć. Iben mruczy, jak wcześniej, żeby okazać swoje zaangażowanie. Chociaż w ciemności dostrzega rysy jego twarzy, to nie widzi jej wyrazu. Wyczuwa jednak, że Omoro bezgłośnie płacze. Słyszy jego nieregularny oddech.

Omoro opowiada o chórze, w którym wielu mężczyzn śpiewało. Dzięki wsparciu chrześcijańskiej organizacji charytatywnej byli na tournée po Kenii. Oprócz chóru Omoro i Ojiji należeli również do mniejszej grupy śpiewaków, liczącej tylko cztery osoby. Z tą grupą pojechali do Mombasy, tam widzieli morze, spali w jakimś parku, chociaż to było zabronione, a wieczorem występowali w ratuszu przed burmistrzem.

W chacie zbudowanej z krowiego łajna, z otwartą latryną tuż przy wejściu, w której panuje czterdziestostopniowy upał, krąży niewiarygodna liczba much. Iben musi pozwolić, by owady pełzały jej po twarzy i po ciele.

Już dzisiaj rano po mszy Iben słyszała historie o Ojiji. Dla wszystkich mężczyzn jego śmierć wydaje się decydującym wydarzeniem ostatnich dni. Nie ubolewają w taki sam sposób nad śmiercią tego drugiego z ich grupy.

- Nigdy, przenigdy nie powinniśmy mu byli pozwolić na prowadzenie samochodu.

- Tak, Omoro, ale ty uważałeś, że bardziej niebezpieczniej jest na siedzeniu pasażera z pistoletem maszynowym. Nikt nie mógł przypuścić, że zabiją kierowcę.

Siedzą tak i rozmawiają po ciemku, otoczeni przez pozostałych chorych, aż do czasu, gdy ktoś z zewnątrz wywołuje Omoro.

Po jego wyjściu Cathy, która, jak Iben widzi, leży i patrzy w ścianę, mówi:

- Dobra w tym jesteś.

- Dziękuję. Z innymi jest trudniej. To również, dlatego, że byłam z Omoro razem w tej szoferce.

Iben się kładzie. Jest wycieńczona, ale ciągnie:

- Jeśli uda mi się nawiązać dobre stosunki przynajmniej z niektórymi z nich, może się to obrócić z korzyścią dla nas wszystkich.

Cathy dalej leży w milczeniu.

- Naprawdę! Przemawiam w naszej wspólnej sprawie.

Cathy dopiero jakiś czas później odpowiada szeptem:

- Przecież ja też mogłabym spróbować. Zwykle lepiej potrafię porozumiewać się z ludźmi.

Również w sytuacjach kryzysowych. Tak jak ty. Ale tutaj jakoś nie mogę. Jestem całkiem...

- Wciąż jesteś bardzo chora?

- Chyba tak - odpowiada Cathy słabym głosem. - Nie mam już biegunki, ale jestem... Nie wiem. Może to również, dlatego, że się boję.

Iben przypuszcza, że Mark i Roberto się przysłuchują. Rzuca, więc pytanie:

- A co z wami?

Żaden nie odpowiada.

-Mark też naprawdę źle się czuje - mówi Cathy. - Prawda, Mark?

Rozlega się głębokie westchnienie, świadczące o tym, że Mark słyszał ich rozmowę. Cathy obraca się, by położyć mu rękę na głowie.

On szepcze:

- Nie.

I Cathy odsuwa rękę.

Iben bierze niedużą lampę naftową i podchodzi do Roberta. Przystawia ją do jego twarzy i pyta:

- Roberto, jak się czujesz?

Nie wygląda to dobrze. Iben pyta jeszcze raz, ale Roberto wciąż się nie odzywa.

Pot, który wcześniej oblepiał mu skórę, wydaje się zimny.

Iben lekko poklepuje go po policzku. Żadnej reakcji. Czuje, jak serce jej bije. Lekko unosi mu powiekę. Roberto oczy ma wywrócone, widać jedynie białka i dolną krawędź tęczówki.

- Roberto!

- Co się dzieje? - pyta szorstko Cathy.

- Nie wiem. Ale on jest całkiem bezwładny, nieprzytomny. Ach, do diabła, jest nieprzytomny. Co my zrobimy?

Cathy tylko powtarza:

- Co zrobimy?

Iben, skulona, już przesunęła się o kilka kroków w stronę wyjścia. Odsuwa zasłonę na bok i głosem tak władczym, na jaki ją tylko stać, oświadcza:

- Potrzebny nam lekarz.

Ze strażnikiem przy drzwiach Iben nigdy wcześniej nie rozmawiała. Powtarza:

- Potrzebujemy lekarza. I to szybko!

Mężczyzna przyzywa innych mężczyzn krzykiem, ci wzywają następnych, i wreszcie przed chatą robi się zamieszanie.

Wołają staruszka, który prowadził mszę. Wchodzi do chaty i bada Roberta.

Ma zmartwioną minę i mówi całe mnóstwo słów w języku dhuluo. Teraz przyszedł również Dalmas Phillip. Dwaj starcy dyskutują.

Odhambo tłumaczy ich rozmowę.

- Ochieng sam pomoże twojemu przyjacielowi. Ochieng to musi być ten drugi staruszek.

- Ale Roberto potrzebuje prawdziwego lekarza!

I znów w grupie wybucha dyskusja. Wyraźnie widać, że to Dalmas Phillip o wszystkim decyduje. Zanim wyda w dhuluo swój wyrok, patrzy na Iben takim wzrokiem, jakby specjalnie się przygotowywał, by pokazać jej, że jest mu obojętna.

Odhambo tłumaczy:

- Twój przyjaciel nie może pojechać do białego lekarza. Lekarz nie może tu przyjechać. Ale Ochieng mu pomoże.

Iben widzi po Odhambo, że on sam ani trochę nie wierzy w umiejętności Ochienga.

Zwraca się, więc wprost do Dalmasa Phillipa. Czuje jego zapach w nozdrzach.

- Bardzo ważne, aby dostał się do lekarza, który da mu penicylinę i być może lekarstwa na cholere.

Usiłuje odszukać w grupie oczy Omoro, ale widzi, że on odszedł daleko i prędko kieruje się w stronę grupy drzew poza osadą.

Sytuacja się odwraca. Teraz Iben nie jest już tą więźniarką, którą jeden ze strażników lubi najbardziej, tylko tą, która wysunęła głowę do przodu, niebezpiecznie daleko. Dalej niż ktokolwiek inny.

Znów patrzy na Dalmasa Phillipa, który tym razem po angielsku oświadcza:

- Tak będzie.

Więcej nie mówi, tylko patrzy Iben w oczy.

Coś jest w jego oczach, w jego naznaczonej bliznami skórze, w krótkich siwych włosach.

Iben przelatują przez głowę obrazy tego, co zrobił Nubijkom.

Czuje, że nie ma odwagi nic już powiedzieć. Boi się choćby spojrzeć mu w oczy, czy też w ogóle w jego kierunku. Osuwa się na ziemię, tak jak stała. Dopóki któryś z mężczyzn nie zwraca się do niej, nakazując, jak sądzi, wrócić za zasłonę do chaty.

Iben posłusznie wraca, nie walcząc już o Roberta.

Cathy i Mark słyszeli wszystko. Nic nie mówią. Iben nie wie, czy są zadowoleni z tego, że to ona tak się wygłupiła, a nie oni.

Siada przy Robertcie, który wciąż leży bez życia, i dotyka go. Cathy ułożyła go na zamkniętym bocznym legowisku.

Później przychodzi do nich Ochieng, podsuwa Robertowi pod nos jakiś parujący napar z ziół, lecz sam dobrze wie, że nie jest lekarzem, że to jedynie rozwiązanie awaryjne.

Nocą znów robi się zimno, Iben leży na ziemi w cienkim ubraniu i cała się trzęsie.

Prosiła Dalmasa Phillipa o pomoc lekarską tylko jeden jedyny raz! Czuje się taka nikczemna, że pozwoliła, by z Roberta uchodziło życie, i to w taki sposób. W odległości zaledwie paru metrów od miejsca, w którym ona pragnie mieć spokój, by zasnąć. Wie, że musi coś zrobić dla Roberta, musi, chociaż spróbować. Ale wie również, że nie podejmie żadnych działań. Zamiast tego trzęsie się tylko i kilka razy szczypie się mocno w udo.

Cathy i Mark leżą cicho na swoich miejscach, są kompletnie wyczerpani. Albo, co bardziej prawdopodobne, udają wyczerpanych.

Czy Iben powinna przysunąć się do Roberta i grzać go własnym ciałem? On się nie trzęsie tak jak pozostałych troje. Leży tylko nieruchomo i jest zimny. Nie ogrzewała go w poprzednie noce, kiedy był przytomny, nie chciała zasypiać w objęciach chorego, upodłonego szefa.

Teraz nie będzie nic niewłaściwego w tym, że się tam położy. Ryzykuje natomiast, że w jakimś momencie w nocy zbudzi się, trzymając w objęciach trupa.

Mija trochę czasu, zanim się tam przesuwa. Skłania pozostałych dwoje, by również się przemieścili tak, aby wszyscy czworo mogli leżeć spleceni ze sobą i grzać się nawzajem.

Na początku nocy śni jej się, że jest z powrotem w biurze. Malene, Camilla i Anne-Lise są w hysterii, gdyż szeroki, krwawy ślad świadczy o tym, że ktoś ciągnął zwłoki po podłodze. Iben w jakiś sposób wie, że ten ślad zostawił Ojiji. Reszty snu nie pamięta.

Noc wydaje się taka długa, że jedynie sen Iben świadczy o tym, że naprawdę zasnęła. Po oddechach Cathy i Marka i po lekkich drgnięciach ich ciał towarzyszących zasypianiu wie, że oni również nie śpią, tylko na krótko nurkują w obce sny.

Gdy w szparze wokół zasłony w otworze wejściowym wreszcie pojawia się światło, Roberto wciąż żyje.

Wszyscy czują ulgę, lecz Mark zrobił się jakiś dziwny. Iben ma wrażenie, że on przez cały czas ma ochotę kogoś uderzyć. Porusza się niezgrabnie po ich niedużym pomieszczeniu, wpada na innych i to tak mocno, że wręcz boleśnie. Iben nie wierzy, by wciąż był chory fizycznie. Z całą pewnością jednak jest tak odmieniony, że nie ma odwagi o tym z nim rozmawiać.

Słyszą, że na zewnątrz mężczyźni znów zbierają się na mszę. Iben ma wątpliwości. Czy wyjść dzisiaj i znów z nimi śpiewać?

Jeśli wyjdzie, może wzbudzić ich gniew. To nie utrudni im jej zabicia. Może przeciwnie, powinna zostać w chacie, by pokazać im, że ich postępowanie wobec Roberta jest niewybaczalne. Albo może lepiej sprzeciwić się wszelkim naturalnym instynktom i wyjść do nich, okazując przyjaźń, by w ten sposób walczyć o życie.

Powtarza w duchu: Robię to nie tylko dla siebie. Mogę pomóc również innym. Może dzięki temu łatwiej będzie zawieźć Roberta do lekarza.

Iben dołącza się do chóru. I znów śpiewa kilka dodatkowych zwrotek, by usłyszano ją na zewnątrz.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu słyszy głos Marka. Odzywa się cicho, jak gdyby tak naprawdę wcale nie myślał tego, co mówi:

- Zamknij się!

- Mark! - upomina go Cathy, ale nie odwraca się do niego i nic więcej nie robi w tej sprawie.

- Iben, i tak się nie wyłgasz - dodaje Mark.

Nikt więcej się nie odzywa, a Iben dalej śpiewa. Ale dziś żaden ze strażników po nią nie przychodzi.

Iben wstaje i patrząc na Marka, usiłuje dojść do drzwi. Strażnik na zewnątrz wypowiada jednak kilka niezrozumiałych słów, wpycha ją z powrotem do chaty i opuszcza zasłonę.

Iben już nie płacze.

Wszyscy troje leżą i nasłuchują.

- Iben, ty jesteś survivor, ty przeżyjesz.

Dziś w chórze słyhać mniej głosów. Część strażników musiała, więc wczesnym rankiem opuścić obóz. Iben udaje się rozróżnić siedmiu mężczyzn.

Później, gdy wciąż nie dostają śniadania, Iben leży i drzemie. Słyszy bieżaninę, już się budzi, padają cztery strzały, potem ktoś krzyczy w suahili. I już.

Znów zapada cisza.

Iben wygląda na zewnątrz. Jakiś rodzaj umundurowanego oddziału strażników sprawdza po kolei wszystkie chaty. Ci mężczyźni noszą inne mundury niż policja i te oddziały armii, które Iben wcześniej widziała. Ktoś musiał wynająć ten mały oddział do uwolnienia zakładników.

Mężczyzn jest około dwudziestu, Iben nie może się zorientować, kto nimi dowodzi, dopóki żołnierze nie wyciągają jeszcze dwóch Luo z sąsiedniej chaty i nie popychają ich do mężczyzny w okularach, który zadaje im kilka agresywnych pytań, a potem wydaje rozkaz innym członkom oddziału.

Strażnik sprzed ich chaty zniknął. Iben stoi z głową wysuniętą za zasłonę, widzi to wszystko, ale nie chce podchodzić bliżej.

Na drugim krańcu osady stoi ośmiu rozbrojonych Luo, ustawionych w szeregu. Cathy i Mark wychylają głowy z drugiej strony zasłony. Kilku mężczyzn z oddziału brutalnie wpycha porywaczy do największej chaty w osadzie. Omoro jest wśród tych ośmiu w szeregu. Na widok Iben szeroko otwiera oczy i woła:

- Iben, Iben!

Na placu robi się cicho.

Dowódca oddziału z uśmiechem podchodzi do Iben i jej towarzyszy.

- Wszystko w porządku? - pyta.

Iben jednak ma trudności w patrzeniu na niego i w skupieniu się na tym, co on mówi.

Z wielkiej chaty dobiega kilka gardłowych dźwięków.

Być może Iben odpowiada na jego pytania. Później nie ma pojęcia, co mówili. Wszyscy umundurowani wychodzą z wielkiej chaty.

Spędzili tam zaledwie chwilę. Spojrzenia mają dalekie.

Na ich mundurach i na rękach nic nie widać, ale kurz lepi się do wilgoci pod ich butami. Na krawędzi podeszew, których nie zdążył jeszcze pokryć, skóra jest czerwona, a z chaty nie wychodzi żaden z porywaczy.

35

Iben nie pojmuje Paula.

Wkrótce po wyjściu Gunnara ze spotkania w DCIL Paul polecił jej odłożyć numer tematyczny „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa” poświęcony Czeczenii. Ma się najpierw zająć zredagowaniem numeru o ludobójstwie w Turcji. To nowe zadanie ją cieszy, ale Paul powiedział, że ma go opracować razem z Anne-Lise.

Tego już za wiele. Anne-Lise nigdy wcześniej ani nie pisała, ani nie redagowała tekstów dziennikarskich i z pewnością będzie za każdym razem biegać do Paula, gdy Iben podejmie jakąś decyzję, której ona nie zrozumie. To może popsuć stosunki Iben z Paulem, a na dłuższą metę ich stosunki z zarządem.

Na szczęście Anne-Lise po zebraniu idzie do domu z powodu bólu głowy, Iben ma, więc całą dobę na to, by się opanować, zanim zacznie udawać, że traktuje swą nową partnerkę poważnie w dyskusji na temat biuletynu.

Paul zamyka drzwi do swego gabinetu, więc Iben i Malene nie muszą wychodzić do kuchni, by omówić to, co się wydarzyło. Jest im wszystko jedno, czy Camilla słucha, czy nie.

W rozmowie Malene sprawia wrażenie roztargnionej i nieobecnej, a Iben dobrze wie, dlaczego: Malene wyraża niezadowolenie, ponieważ Iben przed południem przedstawiła swoje własne zdanie na temat Gunnara.

Po krótkiej rozmowie Malene oświadcza, że zjedzie na dół kupić ciasteczka do kawy. Bierze jednak ze sobą torebkę, Iben wie, że wyjście do sklepu to tylko wymówka, żeby z komórki, bez przeszkód, zadzwonić do Gunnara.

I rzeczywiście, Malene po powrocie mówi wprost, że z nim rozmawiała.

- Jest nieźle poirytowany. Podczas spotkania zorientował się, że Paul wcale nie ma takiego mandatu, jak go wcześniej zapewniał. I Gunnar prędko pojął, że Paul chce go wykorzystać w wewnętrznych rozgrywkach o władzę w centrum.

Malene patrzy przyjaciółce w oczy i tonem takim, jak gdyby to nie Iben właśnie taki przebieg wypadków przewidziała w ich wcześniejszej dyskusji, oświadcza:

- Zrezygnował, więc ze stanowiska w zarządzie.

* * *

Wieczorem, po powrocie do domu, Iben stara się nie myśleć o tym, jak się ułoży „współpraca” z Anne-Lise.

Kiedy sprawdza pocztę i automatyczną sekretarkę, rozważa też nie wiadomo który już raz, czy ona również nie mogłaby zadzwonić do Gunnara. Powiedziałyby, że chce się dowiedzieć, co on myśli o dzisiejszym spotkaniu. Sama jest pracownikiem centrum, więc czy byłoby w tym coś złego?

Kraje na kawałki warzywa i wkłada je do mikrofalówki wraz z przyprawami i oliwą z oliwek. Zjada je z chrupkim pieczywem, siedząc przed telewizorem.

Czy to nie jest naturalne, że chciałyby się dowiedzieć, jak się udało spotkanie? Czy tym zdoła się wybronić przed Malene?

Dzwoni. Staje przy ciężkim, bordowym fotelu. Słyszy w słuchawce jego spokojny głos z jutlandzkim akcentem.

- Może przeszkadzam, ale...

- Nie, nie, wcale nie. Cieszę się, że dzwonisz.

Ale Iben nie udaje się usłyszeć zbyt dużo na temat spotkania, ponieważ Gunnar oświadcza, że strasznie się spieszy i jest już w drzwiach.

Z Iben uchodzi powietrze. Od razu myśli: Może i tak będzie lepiej. On mnie nie lubi. Nie będzie żadnej awantury z Malene.

Gunnar się tłumaczy. Obiecał staremu przyjacielowi, że przyjdzie na pokaz jego filmu dokumentalnego o projekcie edukacyjnym w Ugandzie. Przyjaciel ma wygłosić krótki wykład na temat swojej pracy, a po filmie zapowiedziano dyskusję zarówno o filmie, jak i całym projekcie. A potem Gunnar pyta, czy Iben nie wybrałaby się razem z nim.

Odpowiedź nie chce jej przejść przez usta. Jedną ręką przytrzymuje się oparcia starego fotela. Odrywa wzrok od ręki. Patrzy na pokój. I ku swemu zaskoczeniu czuje, że jej ciało reaguje tak, jak by się bało, jak gdyby znów szykowało się do walki z przestępcą, który ukrył się gdzieś w mieszkaniu.

Głowę ma dostatecznie jasną, by zakryć słuchawkę dłonią, gdy głośno wypuszcza powietrze. Tu nie ma żadnego przestępcy, lecz mimo to rozgląda się badawczo po pokoju.

Umawiają się na spotkanie za pół godziny w sali wykładowej organizacji pozarządowej Ibis na Norrebrogade.

Gdy Iben przychodzi, Gunnar czeka już przy drzwiach sali. Wygląda na ucieszonego i przedstawia ją swemu przyjacielowi.

W sali panuje zupełnie inna atmosfera, aniżeli wśród ludzi, z którymi Iben styka się w DCIL. Aktywiści i pozostali słuchacze są w bardziej kolorowych ubraniach. Słychać śmiechy i radosne powitania ludzi, którzy być może kiedyś zostali razem oddelegowani do krajów Trzeciego Świata. Większość z nich jest opalona, trochę jak Malene.

Kilku dojrzałych mężczyzn, z których bije harmonia i pewność siebie - ale w brzydkich niebieskich lub zielonych koszulach - chodzi po sali, witając się z przybyłymi. Najwyraźniej tak jak Gunnar znają tu wiele osób.

No i jest też mnóstwo młodych ludzi, w przeważającej większości kobiet, wiele naprawdę ładnych. Trzy stojące pod oknem machają do Gunnara, który uśmiecha się i odpowiada im takim samym gestem.

Iben nie może powstrzymać się od rozważań o tym, jak wiele osób tutaj spało ze sobą - może kiedyś w jakiejś chacie w Zimbabwie czy Salwadorze, a może po prostu po jakiejś dłuższej imprezie tu, na Norrebrogade. I oczywiście nie potrafi się również powstrzymać od myślenia, ile z tych kobiet spało z Gunnarem. Natychmiast żałuje tej modnej kremowej bluzki, którą wybrała w domu. Ale nie ma pojęcia, na co innego mogła się zdecydować.

Gunnar przedstawia ją dziewczynie, którą nazywa „moją starą przyjaciółką”, chociaż wygląda bardzo młodo. Dziewczyna opiera się o Gunnara, a Iben nie wie, dlaczego turkusowa

sukienka tamtej wydaje jej się tak wyzywająca, skoro jest całkiem luźna, a w dodatku pod samą szyję.

Na szczęście wiele osób, którym Iben zostaje przedstawiona, wciąż pamięta z mediów jej porwanie sprzed pół roku. Aktywiści afrykańscy oczywiście zwrócili na to baczniejszą uwagę niż większość innych ludzi. Wypytyują ją o tamto zdarzenie i natychmiast uznają za swoją. Bez względu na to, jak bardzo jest blada i w co jest ubrana.

Gunnar zarezerwował dwa dobre miejsca na środku sali. Po bardzo krótkim wykładzie - w DCIL nazwano by to „wprowadzeniem” - rozpoczyna się film.

Iben i Gunnar siedzą w ciemności na lichych drewnianych siedziskach metalowych krzesełek.

Nie dotykają się. Jedną ręką Iben spoczywa na zewnętrznej stronie jej uda, dzieli ją, więc od niego zaledwie parę centymetrów. Wydaje jej się, że wyczuwa tą dłonią ciepło jego ciała. A ponieważ oboje siedzą nieruchomo, więc powietrze między nimi również się nie porusza, Iben czuje ciepło jego ciała również na udzie. A nieco później także na ramieniu i na barku.

Po filmie cztery osoby z notatnikami siadają przy kilku stolikach, na których stoją butelki z wodą mineralną, ustawionych przed publicznością. Przedstawieni zostają jako uczestnicy dzisiejszego panelu. Dwa razy otrzymują pytania, na które o odpowiedź proszą Gunnara, siedzącego wśród publiczności. Jak mówią: „Jest wśród nas ktoś, kto zna się na tym najlepiej”.

Gunnar odpowiada zrozumiale i z humorem. Nie wykorzystuje okazji, by kogoś pouczać, i nie traktuje siebie samego uroczyście, jak zrobiłoby wielu innych mężczyzn. W ogóle świetnie się prezentuje w tym zgromadzeniu. Iben zastanawia się, czy nie liczył na to, zanim ją zaprosił. Na myśl o tym, że mogłoby to mieć dla niego jakieś znaczenie, robi jej się przyjemnie.

Później - w tłumie ludzi, którzy chcą zejść po tych samych schodach i którzy wciąż jeszcze mają sobie mnóstwo rzeczy do powiedzenia - Gunnar zaprasza ją do Sebastopolu. A zaraz potem jego trzech przyjaciele, spotkani w drodze do wyjścia, pytają, czy pójdzie z nimi na piwo. Odpowiada, że bardzo chętnie, ale innym razem. Umawiają się, że zadzwoni i wspólnie ustalą jakiś termin.

Na zewnątrz, w ciemności Iben i Gunnar wolno prowadzą swoje rowery krótką drogą do kawiarni, rozmawiając o filmie.

A w Sebastopolu Iben siedzi wyprostowana przy stoliku, usiłując przybrać jednocześnie rozluźnioną, ale nieco formalną pozę, jak gdyby była na całkiem zwyczajnym wieczornym spotkaniu z którymś z użytkowników DCIL. Tłumaczy sobie, że obiektywnie rzecz ujmując, wcale nie jest na randce, podczas której chce poderwać wielbiciela swojej najlepszej przyjaciółki.

Rozmawiają o dzisiejszym przedpołudniowym spotkaniu Gunnara: Gdy Gunnar i Paul się pożegnali, Paul nakrył swoją lewą ręką ich mocno uściśnięte dłonie. Patrzył w tym czasie

Gunnarowi w oczy i obiecał informować go na bieżąco o „możliwym wejściu”. Śmieją się z tego razem.

Rozmawiają również o literaturze. Gunnar jest pierwszym człowiekiem, jakiego Iben spotkała, który nie skończył studiów humanistycznych, ale prenumeruje anglo-amerykański magazyn literacki „Granta”. Poza tym oboje czytali Botho Straussa i Gunnar uśmiecha się, gdy Iben przypadkiem pamięta jego cytaty: „Przy posprzątanym stole, w słabym świetle projektora milczący mężczyzna opierał się na przedramionach i wisiał między własnymi barkami jak ciężka mokra suknia”.

Gunnar zna większość jej artykułów, publikowanych w „Informatorze o Zbrodniach Ludobójstwa”. Rozmawiają o nazistowskich przywódcach, którzy podczas procesów norymberskich udawali chorych psychicznie. Gunnar opowiada, że Karl Donitz, głównodowodzący niemiecką flotą i następcą Hitlera, chodził po więzieniu z pochyloną głową, pomrukując. Gdy ktoś pytał go, dlaczego to robi, twierdził, że jest łodzią podwodną. Ale oczywiście nikt nie dał się nabrać na to przedstawienie i nie uwierzył w chorobę psychiczną tego wysoko postawionego człowieka.

Śmieją się z admirała, który, burcząc, chodzi po spacerunku. A potem Gunnar kładzie rękę na stole bardzo blisko dłoni Iben.

* * *

Pod domem Iben mocuje się z zamkiem do roweru. Dopiero, gdy chce go odrobinę przesunąć na bok i pedały lekko zawadza o sztylet na jej łydce, uświadamia sobie, że zapomniała o strachu przed zabójcą.

Czym prędzej rozgląda się po ciemnej ulicy. W oddali stoi nieruchomo jakiś mężczyzna o szerokich barach i patrzy w jej stronę. Iben rzuca rower pod ścianę i czym prędzej wchodzi na klatkę.

Wbiegając po schodach, myśli: Malene nie może go zatrzymać tylko dla siebie. Nie może go zachowywać na wypadek, gdyby z Rasmusem jej nie wyszło.

Rozważała to również przez całą drogę do domu. Gunnar jest przecież za stary dla Malene. Sama tak mówiła. Ale Iben jest przykro, że tak myśli. To by była katastrofa, gdyby przestały być przyjaciółkami i dobrymi koleżankami w centrum.

Najprawdopodobniej nie będzie mogła na razie zasnąć. Godzi się, więc z konsekwencjami i włącza telewizor w sypialni. Układa poduszki wysoko w łóżku pod ścianą i idzie do kuchni po kilka łyżek lodów z piankowymi galaretkami, które kupiła w supermarkecie Irma.

Zanim jednak dociera z powrotem do sypialni, dzwoni telefon. A gdy Iben biegnie do salonu, by go odebrać, widzi, że na sekretarce jest kilka wiadomości.

W słuchawce rozlega się głos Malene.

- Gdzie byłeś? Cały wieczór wydzwaniam!

Iben słyszy, jak bardzo Malene jest wzburzona. Przyzwyczaiła się, by na dźwięk jej głosu od razu myśleć, że chodzi o gościec, lecz Malene nie mówi z takim wysiłkiem jak podczas ataku.

Złe przeczucie. Iben właściwie już to wie. Pozostawia sobie jeszcze sekundę niepewności, zanim się to potwierdzi.

Malene krzyczy do słuchawki:

- Rasmus się wyprowadził!

- Co?

- Wyprowadził się. Wyprowadził!

- No dobrze, ale dokąd? Dlaczego on...

Iben w pewnym sensie już to wiedziała. Wszystko się na to składało. To się musiało stać. To się musiało stać już tego wieczoru.

Bez zastanowienia z całej siły rzuca miseczką z lodami i piankami w regał.

Wszystko dzieje się tak szybko. Po tym rzucie czuje się dziwnie rozedrgana w środku. Widzi, że cisnęła wyjątkowo mocno. Skorupy rozprysły się po podłodze. Lody rozmazały się po książkach i poleciały aż na telewizor.

Malene opowiada, że Rasmus wieczorem wyznał jej prawdę: od sześciu tygodni ma romans z barmanką w Bopa.

- Wyrzuciłam go! - krzyczy.

- Ty go wyrzuciłaś?

- Powiedziałam, żeby się wynosił z mieszkania. I to już!

Iben wie, że powinna wspierać przyjaciółkę, przekonać, że postąpiła słusznie, że należy się cieszyć, że starczyło jej pewności siebie, by działać tak, jak dyktują jej uczucia. Nie może się jednak przemóc.

- A ciebie nie było w domu - mówi Malene.

- Nie, nie było.

Iben niczego nie wyjaśnia. Trzyma słuchawkę przy uchu i jak zwierzę na łańcuchu rozciąga sznur telefoniczny, podsuwając się do regału, gdzie podnosi z podłogi jedną piankę i wkłada ją do ust. Zaraz potem zjada jeszcze dwie.

Malene mówi dalej:

- Wyrzuciłam go z mieszkania. Ale ja też nie chcę tu zostać. Nie chcę tego więcej widzieć na oczy.

Zapada cisza.

- Mogę przyjechać do ciebie? - pyta Malene.

Iben odpowiada tak, jakby nie słyszała jej pytania:

- No to przyjedź do mnie, Malene.

Po odłożeniu słuchawki Iben chce iść do kuchni, żeby nastawić wodę na tę herbatę, którą Malene najbardziej lubi. Musi też znaleźć coś do wytarcia lodów z regału. Chce sprzątnąć skorupy z podłogi i przebrać się w to samo ubranie, w którym była dzisiaj w pracy.

Nie dociera jednak do kuchni. Po drodze pada na kanapę i płacze z policzkiem i jednym okiem wciśniętym w twardej podłokietnik.

* * *

Dzwoni domofon. Iben podrywa się z kanapy i wciska guzik. Teraz najważniejsze to przebrać się i zmyć z twarzy rozmazany makijaż. Gdy przed kilkoma godzinami rozstawały się z Malene w DCIL, Iben wyglądała zupełnie inaczej.

Biegnie do sypialni i zdąża zmienić bluzkę. W spodniach zostaje. Potem pędzi do łazienki i naciera twarz kremem do demakijażu. Wciąż ma go na twarzy, gdy Malene wchodzi do mieszkania.

Iben woła:

- Jestem tutaj!

Malene przychodzi do niej. Wygląda na wytrąconą z równowagi, a na widok Iben wzdusza się i obejmuje ją.

- Ach, jaka ty jesteś... To dopiero przyjaciółka.

Idzie sama nastawić wodę na herbatę.

Kiedy siedzą na kanapie, Iben udaje się wziąć w garść.

Musi pamiętać, że to nie ona straciła partnera, z którym była trzy lata. Teraz jest potrzebna Malene.

Iben przypomina sobie własne rozstanie w jej jedynym trwającym kilka lat związku. On był jej wykładowcą na literaturoznawstwie, o jedenaście lat od niej starszym. Niewiarygodne, ile czasu

spędzali razem, zważywszy, że miał opinię bardzo pracowitego i zdolnego, a jednocześnie mieszkał ze swoją partnerką.

Już niemal od pierwszego spotkania mówił o odejściu od swojej dziewczyny, lecz pewnego dnia oznajmił, że zaszła w ciążę. Nie uważał, by miało to jakiegokolwiek znaczenie dla jego związku z Iben. Ona jednak już tego dnia z nim zerwała i była nieszczęśliwa ponad rok.

Malene nie pije swojej herbaty.

- Mówię, że to nic nie znaczy! - opowiada głośno drżącym głosem. - Przecież ich nic nie może łączyć. Ona ma dwadzieścia jeden lat, do diabła! Na co mu coś takiego? Dwudziestojednoletnia barmanka! Ale on twierdził, że owszem, coś ich łączy.

Malene patrzy w sufit, a łzy spływają jej na boki, po skroniach do uszu.

- Że coś ich łączy! Przez pół roku studiowała filmoznawstwo. Dyskutują o filmach! O pieprzonych filmach!

Mówi tak, jakby gardziła i nimi, i samą sobą.

- Mają więc, o czym rozmawiać.

- Ach, Malene!

- Spytałam go, czy ona jest zdrowa. Nie chciał o tym mówić, powiedział tylko, że to wcale, ale to wcale nie ma z tym żadnego związku. „Ale ty tego nie możesz wiedzieć - powiedziałam. - Może dolega jej coś strasznego. Może ma AIDS. Może sklerozę. Albo raka. Nie możesz tego wiedzieć. Po mnie nie było nic widać. Nie zauważyłeś tego wtedy, gdy mnie poznałeś. Wtedy, gdy mówiłeś, że się we mnie zakochałeś”.

Iben obejmuje jej głowę. Tuli ją do siebie i próbuje znajdować właściwe słowa, chociaż niewiele może pomóc.

Malene pobrudziła tuszem swoją białą bluzkę. Leży na kanapie. Od czasu do czasu wyciera nos. Ale zrezygnowała już z wycierania łez z twarzy. Jej głos brzmi ochryple. Powtarza to, co mówiła już wiele razy:

- Było nam tak przyjemnie. Zjedliśmy. On zawsze musi mi mówić najokropniejsze rzeczy właśnie wtedy, kiedy jest nam najprzyjemniej. Jemu też było miło, odpoczywaliśmy. Mieliśmy pooglądać telewizję, ale dopiero później. A on powiedział, że jest coś, czego nie może dłużej przede mną ukrywać. No i wtedy już poszło. Co on sobie wyobrażał? Co on sobie wyobrażał, mówiąc mi coś takiego?

- Nie wiem.

- Czy on sobie wyobrażał, że ja będę tego wysłuchiwać? A miły wieczór będzie dalej trwać?

Iben przypomina sobie, jak siedziała kiedyś na kamienistej plaży daleko na Amager i mówiła swojemu wykładowcy, że to już koniec. Ta plaża była ich miejscem. Tu mieli pewność, że nikogo nie spotkają. Protestował. Ale tylko tak, jakby monter powiedział mu, że musi wymienić

lodówkę. „Naprawdę? Nic więcej nie da się zrobić? Aha, no to okej. Wobec tego niech tak będzie”. Wysłuchał Iben i pojechał do domu.

Iben przestała chodzić na jego zajęcia. Kłopot sprawiło jej takie ułożenie planu zajęć, by nie spotykać go w instytucie. Nigdy więcej z nim nie rozmawiała. Informacje na jego temat docierały jednak do niej za pośrednictwem innych studentów, od tego nie mogła się odciąć. Wiedziała, że się ożenił i że urodził mu się syn, na którego punkcie zupełnie zwariował.

Iben rozgląda się i stwierdza, że jej salon jest odpychająco brzydki. Zupełnie inny niż dom Rasmusa i Malene. Nienawidzi tych starych mebli i plakatów nieoprawionych w ramy. Nienawidzi tego zimnego, białego światła.

Później, gdy Malene przestaje płakać, Iben wstaje.

Wychodzi do kuchni i przygotowuje jeszcze jeden dzbanek herbaty, wkłada do mikrofalówki cztery zamrożone bułki z ziarnami i kroji kilka plasterków sera.

Jedno jest pewne: Przez następne lata Iben znów stanie się tą osobą, która będzie pomagać Malene przy jej atakach goścca. Teraz Malene nie ma nikogo innego. Będzie tak do czasu, kiedy Malene łaskawie zezwoli podbić się kolejnemu przystojnemu wielbicielowi. Albo aż choroba się nasili i wielbiciele znikną.

Malene może pić herbatę i jeść, płacząc. Jej płacz na krótko się ucisza, po czym znów wybucha.

Siedzi na kanapie w skarpetkach i grzeje stopy pod udem Iben. Żując bułkę, mówi:

- Co on teraz robi? Pewnie się cieszą. Pewnie zdążyli się już przekochać ze dwa razy, odkąd zadzwonił do drzwi.

- Malene, myślisz, że ty...

- Leży w jej nagich ramionach. Z całą pewnością. Całuje jej piersi. Na pewno. Leży, a ona jest szczęśliwa. Taka szczęśliwa, że on „się zdecydował”, jak mówi tym swoim idiotycznym dwudziestojednoletnim jasnym głosem.

Malene doprowadza się do apogeum złości.

- I on też jest szczęśliwy. Bo on kocha nieskomplikowane dziewczyny. I... - Teraz znów płacze tak gwałtownie, że słowa więzną jej w gardle jak chrapnięcia, jakby jednocześnie wymiotowała.

Dopiero po wielu godzinach, późno w nocy, Iben przynosi mokrą ściereczkę, wiadro i mnóstwo ręczników kuchennych, żeby zetrzeć lody z regału z książkami.

Malene ją obserwuje.

- Co to jest?

- Rzuciłam lodami w książki, kiedy mi o tym powiedziałaś. Uśmiechają się do siebie, pociągając nosami.

- Ależ, Iben, przecież to nie chodziło o ciebie!
- No tak.
- Jesteś naprawdę kochana, że mogłam tak przyjechać i...
- W porządku.
- Ale ty mi podgrzałaś bułki, i mogę tu spać, i...
- Oczywiście. Przecież to dla ciebie trudna noc. Cieszę się, że byłam w domu i że mogłaś zadzwonić.
- No właśnie, a gdzie byłaś wcześniej?
- Wszystko jedno. To teraz nie jest ważne.

36

Iben wchodzi po schodach do mieszkania Malene. Zawsze uważała, że to piękna klatka: na każdym półpiętrze starego murowanego budynku jest wielkie witrażowe okno, sięgające od podłogi na wysokość dwóch metrów.

Z upływem czasu część oprawionych w ołów szybek w witrażach wypadła, a właściciel nieruchomości zdecydował się na tanie rozwiązanie i zastąpił je zwykłym matowanym szkłem, nic sobie nie robiąc z tego, że w obrazach pojawiły się bezsensowne białe plamy.

Właśnie teraz, w sobotę przed południem, Rasmus ma zabrać swoje rzeczy z mieszkania. Malene nie chce przy tym być, została, więc w mieszkaniu Iben, a Iben obiecała przypilnować, by Rasmus nie zabrał czegoś, co nie jest jego własnością. Iben mniej więcej wie, co do niego należy, a gdyby były jakieś problemy, ma zadzwonić do Malene.

Dziwnie będzie zobaczyć się z Rasmusem teraz, gdy w ciągu kilku dni wszystko się zmieniło. Iben wie, że powinna być na niego zła, ale nic takiego nie czuje. A on pewnie zamknie się przed nią, tak jak zamknął się przed Malene. Ale właściwie w to również nie wierzy.

Zaledwie przed czterema dniami Malene sądziła, że ją kocha, a on tymczasem od sześciu tygodni kochał się w innej kobiecie. Od czasu, gdy Malene się o tym dowiedziała i go wyrzuciła,

próbowała na wszystkie sposoby namówić go do powrotu, lecz on był przekonany, że postępuje „słusznie”, zostając ze swoją nową dziewczyną.

Malene opowiadała, jak się przed nią zamknął. Nastąpiło to z dnia na dzień. Zdecydował, że będzie zimny, i taki się stał. Malene była zrozpaczona jego obcością, ale na niego nic nie działało.

Opisy zachowania Rasmusa w ostatnich dniach skłoniły Iben do refleksji: Może uczucia mężczyzn są równie silne jak nasze. Trudno to stwierdzić. Jest tylko ta różnica, że mogą nad nimi panować, jeśli tak im pasuje. Nawet mężczyźni, których dobrze się zna, potrafią się zmienić w taki sposób, o jaki nigdy by się ich nie podejrzewało. Oczywiście kobiety są przerażone, gdy dostrzegą coś takiego u własnego męża, zaczynają się zastanawiać, jakie to może mieć dla nich znaczenie w przyszłości.

Dociera do ich drzwi na piątym piętrze. Słyszy, jak Rasmus kręci się po mieszkaniu, i już zamierza zadzwonić jak zwykle, potem jednak myśli, że Rasmus już tu nie mieszka. To mieszkanie Malene, a Iben w tej chwili jest jej bliższa niż on, powinna po prostu otworzyć sobie drzwi dodatkowym kluczem, który ma od lat. Malene z pewnością by wołała, aby w ten sposób zademonstrowała swoją nową pozycję.

Mimo wszystko Iben dzwoni do drzwi, a Rasmus wpuszcza ją do środka. Włosy sterczą mu na wszystkie strony, na pewno się spocił i wiele razy przeczesywał je ręką. Iben nigdy wcześniej nie słyszała, by mówił tak poważnym głosem.

- Iben, musimy porozmawiać! Chodź tutaj, usiądź na kanapie.

Idzie za nim do salonu. Brakuje tu już kilku małych obrazków na ścianach, książek na regale i mnóstwa płyt kompaktowych.

Wieża i kolumny są rozmontowane, stoją razem przy dużym telewizorze i składanych krzesłach, opartych o ścianę przy drzwiach na korytarz, gotowe do wyniesienia.

- Masz na coś ochotę? - pyta Rasmus. - Usiądziesz i... Gestem daje znać, że usiądzie razem z nią.

- Chyba nie powinnam... Nie będziemy przecież... Malene...

Siada jednak, nie wiedząc, co on jej powie, o sobie, o Malene, o swojej nowej dziewczynie.

A on jest taki „męski”.

Mówi o jakimś programie, który napisał. Najwyraźniej przygotował jakieś skomplikowane oprogramowanie dla Malene, program szpiegowski, który można wysłać do nadawcy maili z pogrózkami.

Może wśród tych technicznych zawłości rzuci parę słów o tym, jak wiele Malene dla niego znaczyła również w ostatnich tygodniach, kiedy ją zdradzał? Ale po długim, jak się wydaje, czasie, który poświęcił na omówienie szczegółów programu, uwaga Iben się wyłącza.

Później pomaga mu znosić rzeczy do dużej, białej furgonetki, którą pożyczył od jakichś znajomych. Wiele razy schodzi z torbami z ubraniem, z płytami i pudłami pełnymi drobiazgow.

Właściwie zawsze lubiła Rasmusa. To miły chłopak, tyle, że nigdy nie pasował do Malene. Jest niemal prowokująco harmonijny w swej wesołej nieszablonowości studenta filmoznawstwa. Jego rodzice w Svendborg są nauczycielami, interesują się żeglarstwem i byłoby dobrym argumentem dla tych, (z pewnością nielicznych), którzy uważają, że rodzice z wykształceniem pedagogicznym wychowują weselsze i zdrowsze psychicznie dzieci.

Malene i Rasmus urządzili kilka spotkań, w których uczestniczyli rodzice obojga. A Iben nigdy nie poznała nikogo, kto nie lubiłby rodziców Rasmusa. Każdego lata Malene cieszyła się na doroczne wakacje spędzane razem z nimi na ich żagłowie, a zdecydowanie nie napawała ją radością myśl o kilku dniach z własnymi rodzicami.

Iben, znosząc na dół dwa magnetowidy Rasmusa, myśli o pożegnaniu go kilkoma miłymi słowami, bo przecież zapewne już się więcej nie zobaczą.

Chciałaby powiedzieć, że cieszy się, że go poznała, że zrobił wiele dla Malene, i ma nadzieję, że będzie mu dobrze tam, gdzie się teraz przeprowadza.

To ostatnie stwierdzenie jest trochę kontrowersyjne, więc Iben w powrotnej drodze na górę planuje wstrzymać się z tym, dopóki Rasmus nie zniesie wszystkich rzeczy do samochodu i nie będą się żegnać.

Wychodzi na schody z wielkim naręczem zwiniętych plakatów i woła do Rasmusa w głębi mieszkania:

- Zejdę teraz z nimi!

- Iben, zaczekaj chwilę! - odpowiada jej z salonu. Iben wraca, a on wyjaśnia:

- Lepiej, żebym najpierw zniósł kilka cięższych rzeczy. Muszą iść na spód. Wezmę teraz stół.

- Pomóc ci?

- Nie, nie, aż tak ciężki nie jest i łatwiej się nim manewruje samemu.

Niepewnie wychodzi z salonu, dźwigając przed sobą duży brzoźowy stół.

Iben rozgląda się dokoła, zastanawiając się, co może zrobić. Nic jej nie wpada w oko, wychodzi, więc do kuchni i zaczyna wstawiać szklanki z suszarki do szafek. A skoro już zaczęła tu sprzątać, wlewa do miski trochę płynu do zmywania i wody, żeby zmyć sztućce, talerze i miski, które stoją na stole.

Czyżby Rasmus rozmawiał z kimś na klatce...? Kobięcy głos?

Zakręca wodę, chociaż miska do zmywania jest wypełniona zaledwie w jednej trzeciej.

Czyżby to Malene przyszła? Przez moment Iben wydaje się, że słyszy jej głos. Co teraz?

Czego Malene chce?

Ale ma wątpliwości. Żadnych głosów już nie słysząc, więc może to nie była Malene. Nie mogła to też być nowa dziewczyna Rasmusa. Kto zatem? Przypadkowa sąsiadka?

Iben stoi nieruchomo i nasłuchuje, ale dookoła jest tylko cisza.

Wychodzi do przedpokoju. I wśród całkowitej ciszy klatki schodowej gwałtownie drga, słysząc kilka kroków Rasmusa ze stołem, nagły huk i krzyk.

* * *

Biegnie przez korytarz, wybiega na puste półpiętro.

- Rasmus?! - woła. - Malene?! Rasmus?!

Nic tu nie ma, lecz w głowie już tworzą się obrazy tego, co mogło się stać.

Następne półpiętro. Tu też nic nie ma. Pędzi dalej po pustych schodach i teraz to widzi.

Wielka dziura pełna światła. Nie może podejść bliżej. Nieruchomieje w odległości kilku kroków na podeście i patrzy w pustkę, w której przedtem znajdował się witraż wysokości człowieka.

Ostrożnie podchodzi bliżej. Teraz z podwórza na tyłach domu dobiegają krzyki. Ludzie wołają coś do siebie przerażonymi głosami. Iben nie ma odwagi spojrzeć na to, co jest na dole.

Zbiega kilka stopni niżej i w ostatniej chwili zauważa, że stopień tuż przy dziurze po oknie jest mokry.

Obiema rękami łapie się mocno poręczy, przyciska ciało do drewna i ciężko ląduje na mokrym stopniu.

Chce się podnieść, podpira się obolałą ręką. Ale ręka ślizga się po gładkiej powierzchni. Iben wacha dłoń. Ktoś rozlał olej na schodach!

Udaje jej się wstać. Mocno trzymając się poręczy, usiłuje nie wejść w olej.

Omija plamę i dalej zbiega ze schodów, a potem na ulicę. Rasmusa tu nie ma. Malene też.

Furtka prowadząca na tylne podwórze domu jest zamknięta na klucz. Iben grzebie w kieszeni, szukając własnego klucza, zbyt długo to trwa. Wreszcie wsuwa go w zamek i biegnie przez ciemną bramę.

Podwórze jest ogrodzone płotem. Wisi na nim Rasmus.

Jego ciało jest przełamane w połowie w dziwny sposób. Iben nigdy by nie przypuszczała, że ciało może się tak złamać. Jeden z metalowych słupków ogrodzenia sterczy mu z pleców. Pomimo krwi Iben widzi, że metal wbił mu się też w głowę, szerokim pasem rozplątując twarz od brody do czoła. Tuż przy słupku siatka pod ciężarem jego ciała ugięła się, a mimo to wbiła mu się w brzuch, rozcinając go i uwalniając wnętrzności.

Iben cofa się i potyka o coś, co leży na asfalcie. Chociaż nie chce, siada. Patrzy na to, co ma pod sobą. To blat dużego stołu Malene i Rasmusa. Niewielkie jego fragmenty wyglądają jak nowe i nieużywane, jak gdyby tych ostatnich dni nie było, jak gdyby Iben, Malene i Rasmus mogli tu, na tym placyku, za chwilę zasiąść przy stole.

Inne części blatu są poplamione, połamane, albo po prostu ich nie ma.

Przy murze jakiś mężczyzna rozmawia przez telefon komórkowy. Niedługo przyjedzie policja. A do drzwi prowadzących na schody kuchenne przyciska się jakaś kobieta. Za nią, zdaje się, chowają się jakieś dzieci. Próbuje je zasłonić.

Iben wbija wzrok w nieuszkodzony fragment stołu. Jeszcze niedawno stały na nim talerze, butelka wina, kwiaty. Słyszy słowa, jakie nad nim padają: „Podaj mi ryż... Rasmus, spotkałam w autobusie Olego z Instytutu Filmowego... Nie masz pojęcia, co się działo w pracy”.

Z jasnego drewna blatu w Iben wpatruje się ciemny odprysk w kształcie migdała. Iben próbuje wstać.

37

- Stałam już na schodach, kiedy zawołałam, że schodzę z plakatami. To absolutny przypadek, że Rasmus poprosił, żebym zaczekała, aż on zniesie stół.

- I co się stało potem?

- Jeśli ktoś czekał na schodach i właśnie wtedy rozlał olej, to pewnie sądził, że to ja się na nim poślizgnę.

- Dobrze, ale proszę powiedzieć, co się stało.

Iben szybko nabiera powietrza i ciągnie:

- I gdzie się podziała barierka? Przed tym oknem zawsze była barierka. Długa, brązowa barierka. Kiedy została zdjęta? W ostatnich miesiącach wydarzyło się tyle dziwnych wypadków i... To nie jest przypadek. Ktoś mnie ściga. Albo uwziął się na Malene. To jej mieszkanie. Mogli pomyśleć, że to ona woła na schodach i schodzi z plakatami.

Iben siedzi z policjantką w samochodzie policyjnym, zaparkowanym przed klatką Malene i Rasmusa. Przed nimi stoją dwa inne radiowozy. Funkcjonariusze już odgradzają podwórko i schody, przesłuchują sąsiadów, pytają, czy nikt niczego nie zauważył.

Policjantka, która rozmawia z Iben, ma wielki tyłek, przez to jej kurtka od munduru jest na dole bardzo obcisła. Okazuje uprzejmość, lecz w dość odpychający sposób, lekko zirytowana.

- Iben, chciałabym po prostu usłyszeć, co się stało.

Iben opowiada, że wróciła do kuchni. Chciała pomóc Rasmusowi w zniesieniu stołu, ale wolał zrobić to sam. A następną rzeczą, jaką usłyszała, był huk i krzyk. Zbiegła na dół i mało brakowało, a sama by wypadła przez to okno.

Iben opowiada również o Anne-Lise, która z całą pewnością ma rozszczepioną osobowość i pokłady agresji w sobie, czego nie jest świadoma. Opowiada, jak Anne-Lise sama oblała się krwią w biurze i jak podmieniła tabletki Malene. Iben wie, że Anne-Lise może wymyślić wszystko. Bardzo możliwe, że to ona usunęła balustradę i rozlała olej na schodach.

Z trudem chwyta oddech. Uważa, że przekazuje ważne informacje. Być może doprowadzą do zatrzymania Anne-Lise.

Policjantka przez kilka minut przysłuchuje się jej opowieści, a w końcu mówi:

- Zdarza się wiele śmiertelnych wypadków. Jeśli ktoś spadnie z rusztowania albo zostanie porażony prądem, nie zaczynamy od podejrzeń, że rodzina to mordercy.

- No tak, ale przecież nie ma tej barierki.

- Na starych klatkach w Kopenhadze często się tak zdarza. W pracy, co tydzień mam do czynienia z wypadkami. Czasami wynikają z niesamowitego i niewiarygodnego zbiegu okoliczności. Ale wypadki niemal zawsze są po prostu wypadkami. Tylko w telewizji okazują się wyrafinowanymi morderstwami.

- Dobrze wiem, że świat nie jest taki jak w telewizji - mówi Iben. - Tylko, że...

Policjantka przerywa jej:

- Praca z tą kobietą musi być bardzo nieprzyjemna, ale dla policji to nieistotne.

- Ale ktoś przecież usunął tę barierkę i rozlał olej na schodach!

Policjantka jest niewzruszona.

- Moi koledzy już to badają. Robią zdjęcia. Dowiedzą się, co jest na schodach i kto mógł to rozlać.

Jakiś funkcjonariusz podchodzi do samochodu i puka w szybę. Policjantka otwiera okno. Mężczyzna mówi, że nikt nie widział samego wypadku i że na schodach nikogo nie było, gdy Rasmus wypadł przez okno.

Po jego odejściu policjantka zwraca się do Iben:

- To moja wizytówka. Jeśli przypomni ci się coś więcej, bardzo proszę, zadzwoń.

Mówi to tak, jakby wcale tego nie chciała.

Na wizytówce widnieje nazwisko: Dorte Jorgensen. Iben rozumie, że musi mówić spokojnie, żeby Dorte Jorgensen jej słuchała. Już się zresztą opanowała.

- Możliwe, że mi nie uwierzysz, ale normalnie nie jestem taka nerwowa. Kilka miesięcy temu, zanim to wszystko się zaczęło, byłam równie spokojna jak ty.

Usta Dorte uśmiechają się do Iben, ale jej oczy mówią, że myśli o czymś zupełnie innym, więc Iben znów podnosi głos:

- Ale akurat w tej chwili nie chcę wracać do siebie do domu. Chora umysłowo kobieta prawdopodobnie usiłowała mnie zabić. Dlaczego miałyby nie spróbować jeszcze raz? Może też zaatakować Malene!

Dorte nie reaguje, więc Iben mówi dalej:

- Musicie coś z tym zrobić!

Policjantka wysiada z samochodu, obchodzi go dookoła i otwiera drzwiczki od strony Iben, by i ona wysiadła. Iben podnosi się ostrożnie i powoli. Po upadku na schodach wciąż boli ją kość ogonowa i ręka.

Wcześniej, kiedy znosiła pakunki, rozgrzała się, a od chwili wypadku nie czuła chłodu. Ma na sobie jedynie starą, zieloną bluzę roboczą. Zaczyna marznąć.

Z ust Dorte, kiedy mówi, unoszą się małe obłoczki pary, ale nie wygląda na to, by w opiętej kurtce policyjnej było jej zimno.

- To reakcja postresowa - mówi. - Zupełnie naturalna po takim przeżyciu. Postaraj się spędzić resztę tego dnia z przyjaciółmi. Weź wolne na kilka następnych dni, spróbuj o tym porozmawiać. A jeśli wciąż będziesz się tak czuła, możesz zwrócić się o pomoc do psychologa, ponieważ to ty go znalazłaś.

Po raz pierwszy Iben wydaje się, że wychwytuje ślady ciepła w jej oschłym głosie, chociaż Dorte napina usta, kończąc:

- Bardzo chciałabym ci pomóc, ale nie potrafię. Nie uczyłam się tego. Nie na tym polega moja praca.

* * *

Iben robi kilka kroków za policjantką z powrotem do bramy na podwórzu domu Malene i Rasmusa. Może powinna ugiąć się przed doświadczeniem profesjonalistów, ale coś jej podpowiada, że oni całkowicie się mylą.

To wszystko jest zbyt straszne, żeby było tylko nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, jak twierdzi policjantka. Iben nigdy nie słyszała, by zdarzyło się coś podobnego.

Chce zadzwonić do Malene i ją ostrzec. Anne-Lise może przecież być właśnie w drodze do jej mieszkania.

Iben wyobraża sobie, jak dwaj policjanci przychodzą powiedzieć Malene, co się stało. Jak ona to przyjmie? W ostatnich dniach nienawidziła Rasmusa. Iben powinna wrócić do siebie. A może Malene woli zostać sama?

Torebka Iben z komórką, tak samo jak jej kurtka, portmonetka i klucz do roweru leżą w mieszkaniu Malene. Musi iść po swoje rzeczy na górę, ale najpierw chce wrócić na podwórze.

Ciało Rasmusa jest teraz przykryte szarym brezentem. Wisi na cienkim ogrodzeniu jak olbrzymi worek.

Otoczono je czerwono-białymi taśmami. Iben myśli: Ludzie wokół mnie cały czas umierają. Tłumaczy sobie, że w rzeczywistości umarł tylko jej ojciec, dziewięć lat temu, a potem porywacze w Kenii. Ma jednak uczucie, że ludzie, których życie się kończy, otaczają ją ze wszystkich stron. Jak gdyby unosili się w przejrzystym powietrzu, pełnym tylko białych obłoczków pary, tworzących się przy każdym jej wydechu.

Fotograf policyjny już odszedł. Jakiś policjant stoi z rękami założonymi na plecach i patrzy na nią. Tak tu cicho. Czy nie słyhać czegoś z któregoś z mieszkań? Może jej słuch zanadto się wyostrzył. Tak jak przy zlewie w mieszkaniu Malene. Może to tylko słyhać w jej głowie?

Podchodzi bliżej szarego worka, którym przykryto ciało Rasmusa. Spogląda w górę na wybite okno w brudnym murze wysoko nad nią. Wylądował daleko od ściany domu. Nawet ze stołem w ramionach musiał zbiegać po schodach z dużą prędkością. Taki był Rasmus, zawsze w pędzie do przodu.

Kiedy umarł ojciec Iben, też było zimno. Spacerowała wtedy po asfalcie na parkingu przy szpitalu. Patrzy na asfalt tam, gdzie stoi. Nie jest czarny, raczej jasnoszary. Tak jak brudny mur nad jej głową. Jak worek na ogrodzeniu.

* * *

Schody do mieszkania Malene na półpiętrze, z którego spadł Rasmus, są ogrodzone. Stojący tam policjant mówi, że Iben musi z powrotem zejść na dół i wejść kuchennymi schodami. Iben tłumaczy jednak, kim jest, i policjant przeprowadza ją przez odgradzony podest.

Nie widać, co robiła policja. Wszystko wygląda tak, jak przedtem. Z mieszkania Iben dzwoni do Malene:

- Dostałaś wiadomość?

Głos Malene jest cichy i bez wyrazu, jakby była zupełnie inną osobą.

- Tak.

Iben czeka, aż Malene powie coś więcej, ale przyjaciółka nic nie mówi.

- Mam przyjechać? - pyta Iben.

- Jak to się stało?

- Nie powiedzieli ci?

- Powiedzieli. Ale to ty tam byłaś.

Iben próbuje opisać wszystko najlepiej, jak potrafi. Ostrzega również przed Anne-Lise i czuje, jak bardzo nie ma ochoty wracać do domu.

Po zakończeniu rozmowy zabiera kurtkę i torebkę i wchodzi do salonu Malene i Rasmusa.

Przez chwilę tam stoi. Nic nie słyhać. Wchodzi do sypialni. Tu też jest cicho. Obchodzi wszystkie pomieszczenia w mieszkaniu, żeby je sprawdzić.

W salonie woła niemal szeptem:

- Rasmus, schodzę teraz z plakatami!

Wciąż jest cicho. Zatrząskuje za sobą kuchenne drzwi i schodzi na dół po wąskich schodach kuchennych. Na podwórzu zbliża się do Dorte Jorgensen i mówi:

- Coś jeszcze przyszło mi do głowy. Nie powiedziałam o tym wcześniej.

Policjantka robi niechętną minę, ale Iben ciągnie:

- Chodzi mi o fakty.

Dorte przerywa rozmowę z innym policjantem.

- Chodź ze mną do samochodu.

Tam Iben opowiada, że gdy zmywała - tuż przed upadkiem Rasmusa - usłyszała kobiecy głos. Mówi też, że to mogła być Anne-Lise.

Dorte wyciąga notatnik.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy?

- Nie miałam pewności. Ten głos był bardzo słaby. To zbyt poważna rzecz, żeby od razu o tym mówić.

- Rzeczywiście, to bardzo poważne. Jesteś pewna, że to był głos Anne-Lise?

- Nie, mówiłam już. Nie mogę mieć takiej pewności.

- A więc to mógł być również głos Malene?

Iben czuje ból kości ogonowej. Stara się mówić spokojnie:

- Dlaczego o to pytasz?

- Większość zabójstw popełniają współmałżonkowie albo partnerzy.

- Ale ja znam Malene. Ona nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

Dorte patrzy na nią, dopóki Iben nie powtarza:

- Po prostu wiem, że ona nigdy by czegoś takiego nie wymyśliła. Nigdy. Przenigdy.

- Spokojnie, Iben. Wierzę ci. To ty cały czas mówisz o zabójstwie, nie ja.

Głos Dorte staje się monotony, jak gdyby powtarzała coś, co mówiła już setki razy w innych sprawach.

- Jeśli podtrzymujesz to, co teraz powiedziałaś, będę musiała dalej nad tym pracować. Zamkniemy mieszkanie i samochód Rasmusa, bo tego wymaga śledztwo. Potem mój szef wezwie Malene i twoją koleżankę, spyta je, gdzie były w chwili, kiedy zdarzył się wypadek. I czy mają na to świadków.

- Wezwiecie Malene?

- Tak, to oczywiste. Jeśli wyniknie coś więcej, wezwę na przesłuchanie również ciebie i poproszę, żebyś się podpisała pod zeznaniem. Jesteś na to gotowa?

- Tak.

Dorte musiała dostrzec wahanie na twarzy Iben, bo mówi:

- Wiesz, że za składanie fałszywych zeznań grozi kara więzienia?

- Ale przecież ja nie powiedziałam, że wiem, że Anne-Lise tam była. Przez cały czas mówię, że wydawało mi się, że słyszę kobiecy głos i że to mogła być ona.

Dorte patrzy na Iben spojrzeniem, które jest jeszcze bardziej nieprzyjemne, dlatego, że Iben wie, iż w ciągu ostatniej godziny nie była sobą. Zachowywała się histerycznie, w sposób, który w innych okolicznościach zirytowałby również ją samą.

Dorte mówi powoli i spokojnie:

- Zastanów się dobrze, czy coś słyszałaś. Nie spiesz się.

Obraca długopis w palcach, a Iben odpowiada:

- Nie jestem tego pewna, cały czas to mówię.

- Wiesz, co... - Dorte chowa notatnik. - Wstrzymam się jeszcze z protokołowaniem.

Prostuje się i ujmuje za klamkę. Najwyraźniej znów muszą wysiąść z samochodu.

* * *

Rodzice Rasmusa organizują uroczystości pogrzebowe sześć dni później w Svendborg.

Podział jego ruchomości odbywa się bez problemów. Jest tym łatwiejszy, że Rasmus zdążył spakować niemal wszystkie swoje rzeczy. Kredyt studencki spłaca jego rodzice, natomiast Malene przejmuje jego dług w sklepie Illums, zachowa też meble, które kupili wspólnie. Pod względem

formalnym rodzice Rasmusa i jego brat mają prawo do jego całego majątku, ale pozwalają Malene zatrzymać niemal wszystko z jej wspólnego życia z Rasmusem.

Nikt nie mówi o tym, by cokolwiek oddać jego nowej dziewczynie.

Inni również starają się okazać Malene współczucie. Iben co wieczór rozmawia z nią przez telefon i często ją odwiedza. Pomaga jej też w załatwianiu wielu praktycznych spraw, które zawsze pojawiają się w związku ze śmiercią.

Ponieważ Iben podczas pobytu w Kenii nie znalazła czasu, by odpowiedzieć na maile i esemesy Malene, przyjaciółce trudno jest wyzbyć się podejrzeń, że Iben może ją opuścić bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Mimo wyjaśnień i przeprosin Iben, kwestia zaufania przez cały czas wisi w powietrzu.

To teraz, właśnie teraz, w tej trudnej sytuacji, Iben musi udowodnić, że jest dobrą przyjaciółką. Właśnie teraz może dowieść, że można jej zaufać.

Gunnar oczywiście także oferuje Malene swoją pomoc. Iben słyszy, że Malene kilka razy wychodziła z nim do miasta. Może Gunnar jak za dawnych czasów wpatruje się w nią z uwielbieniem swymi dużymi, szaroniebieskimi oczami.

Oprócz tego, zdaniem Iben, Malene w żałobie traci urodę. Schudła o parę kilo, a ponieważ już wcześniej była szczupłą, wyostrome rysy twarzy sprawiają, że wygląda na starszą. Ale mężczyznom jest to najwyraźniej obojętne. Wciąż oglądają się za nią, gdy idzie razem z Iben ulicą.

Zanim Gunnar dowiedział się o śmierci Rasmusa, zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce Iben.

„Cześć, mówi Gunnar. Dziękuję za ostatni wieczór. Było bardzo miło...”.

Potem nastąpiła chwila przerwy, w której wyraźnie się wahał. Gdy Iben po raz trzeci odsłuchiwała wiadomość, wytłumaczyła sobie tę pauzę tym, że ułożył sobie w głowie całą przemowę, lecz nagle miał ochotę improwizować i powiedzieć coś innego.

Gunnar ciągnął nieco suchym głosem - zapewne mimo wszystko mówiąc to, co zaplanował:

„Siedzę teraz i czytam artykuł w *The Guardian*, i przypomniało mi się, co powiedziałaś o braku świadomości politycznej w literaturze amerykańskiej. Ten artykuł jest bardzo interesujący... Ale nie tak jak to, co ty mówiłaś”.

Przy tym zdaniu jego głos stał się odrobinę weselszy. Gdy Iben słuchała wiadomości po raz ostatni, pomyślała, że być może coś go rozbawiło. Na koniec powiedział:

„Wiesz, że Inger Christensen ma czytać w czwartek swoje wczesne wiersze w Gliptotece? Może miałabyś ochotę jej posłuchać? Znasz mój numer...”.

Iben nie może zadzwonić do Gunnara. Nie wiadomo, do czego mogłoby to prowadzić. Wyłącza tylko sekretarkę, żeby nikt nie mógł zostawić nowych wiadomości, które skasowałyby jego słowa.

* * *

W niespełna tydzień po pogrzebie Rasmusa Iben i Malene jadą do Ikei poszukać nowego stołu do jadalni.

Chociaż to dzień powszedni, a Iben i Malene wyszły wcześniej z biura, w halach wśród mebli roi się od zadowolonych młodych par, które głośno planują wspólną przyszłość. Wiele tu kobiet w ciąży, a równie wielu mężczyzn niesie na brzuchu dzieci w nosidełkach firmy Snugli.

Malene nie płacze. Jest jednak spięta i zakupy z nią nie są przyjemne.

Dział stołów znajduje się obok szeregu barwnych „pokoi”, zaprojektowanych przez architektów wewnątrz Ikei. Nad nimi wisi długi napis: „Zapraszamy do nas do domu - 78 m²”.

Malene stara się wybrać jeden z najtańszych stołów. Minie jeszcze dużo czasu, zanim znów będzie ją stać na kupowanie mebli tej klasy, co ich kanapa. Ale nie ma ochoty wstawić do swojego salonu żadnego z tanich stołów z Ikei, ani też, o ile Iben może się zorientować, również żadnego z tych drogich.

Iben zatrzymuje się przy niedużym stole z drewna brzoźowego za siedemset osiemdziesiąt dziewięć koron.

- Po rozłożeniu będzie trochę przypominał ten, który mieliście.

Mocno trzymając blat, unosi jeden koniec stołu i opuszcza go na pokrytą laminatem betonową podłogę.

Ale Malene jest nieobecna.

Iben również nie może się powstrzymać od myśli, jak by ten stół wyglądał po upadku z czwartego piętra. Czy rogi by się obily, nogi połamały, a blat rozdzielił?

Coś w niej nie może pojąć, że przyszły po stół do salonu Malene. Nie mogą przecież kupować najlepszego stołu po to, żeby rozbił się o asfalt na podwórzu.

W pokojach „Zapraszamy do nas”, które ciągną się wzdłuż ściany, stoją nie tylko meble. Są też plakaty z pięknie zestawionych kolorów, ciepłe, zachęcające światło, książki na regałach i pyszności z plastiku, które aż chciałoby się zjeść.

Ale szwedzka przytulność sięga zaledwie trzech metrów od podłogi. Ponad oświetlonymi białymi listwami, które mają skłaniać do wyobrażenia sobie czegoś w rodzaju psychologicznego sufitu, jest ciemno aż do prawdziwego dachu hali, z mrocznymi piętnastometrowymi belkami z surowego betonu. Wygląda to tak, jakby w dolnej części znajdowały się domy dobrych przyjaciół, a na górze - stara hala przemysłowa.

Iben patrzy na gigantyczny wentylator, który wisi nad nimi, pozornie przymocowany do betonowych elementów jedynie cieniutkimi drutami. Ciekawe, ile może ważyć taka dmuchawa - zastanawia się Iben. Gdyby spadła, to czy zmiażdżyłaby człowieka? Z całą pewnością mogłaby zabić dziecko.

A dotykając innego niedużego, delikatnie wyglądającego białego stołu na stalowych nogach, myśli: Jeśli, ktoś się na nas czai, łatwo mu będzie dopaść nas tu, gdzie chodzimy tak blisko siebie, pochłonięte innymi sprawami, blatami, wzorami, wysokością stołów.

Malene przerywa jej myśli:

- Bez względu na to, czy Anne-Lise wylała ten olej na schody, czy nie, to on by żył, gdyby nie ona...

Iben wie, co usłyszy. Malene powtarzała to już nie raz, za każdym razem jak gdyby pobudzona nową myślą. Malene już nie udaje, że ogląda stoły. Twarz ma zamkniętą.

- Bo on by się nie wyprowadził, gdybym ciągle nie była taka wykończona z powodu Anne-Lise... Rasmus chciał mieć dziewczynę bez problemów, dobrze o tym wiedziałam, ale ja zawsze... To ja zniszczyłam nasz związek. Ale to wszystko przez Anne-Lise. Nie mogłam zachowywać się inaczej.

Jedna z par chodzących po dziale stołów odkrywa, że zna inną parę, stojącą nieco dalej przy urządzonych już, gotowych kuchniach. Wołają:

- No nie, wy też tutaj?

- Przeprowadziliśmy się. Potrzebny nam dodatkowy pokój dziecienny.

- Gratulacje!

Ich dzieci również się znają, wbiegają do działu uchwytów i gałek do drzwiczek. Rodzice idą za nimi.

- Byłam przecież wycieńczona po ośmiu godzinach każdego dnia razem z nią - mówi Malene. - Oczywiście musiałam mówić o tym Rasmusowi, nie mogłam inaczej. Nie mogłam, prawda?

Iben spodziewa się, że zdania Malene będą krążyć w koło. Właściwie nie słucha już, kiedy Malene mówi dalej:

- Ale gdyby Anne-Lise nie rozpoczęła tej wojny... Jestem taka wściekła. To dziwne. Ty nigdy nie byłaś taka wściekła, Iben, wiem o tym. Nigdy tego nie doświadczyłaś, nie jesteś taka. A ja nic nie mogę z tym zrobić. Nic nie mogę zrobić.

Pierwszego ranka po powrocie Malene do pracy po śmierci Rasmusa Anne-Lise stanęła przy biurkach Iben i Malene i wyraziła swoje współczucie. Wydawała się przekonująca, kiedy z szeroko otwartymi oczami głębokim głosem mówiła: „Właśnie tego wszyscy się boimy, to najgorsze. Często myślę o tym, jakie to musi być straszne”.

A mimo wszystko Malene nie miała odwagi zostać w domu i nie przychodzić do pracy dłużej niż przez dwa dni. Paul powiedział, że może wziąć wolne tak długo, jak zechce, ale każdy dzień jej nieobecności w centrum Anne-Lise może wykorzystać do przeciągnięcia użytkowników na swoją stronę. A jeżeli DCIL zostanie włączone do IPC i będzie musiała nastąpić „reorganizacja”, kontakty Anne-Lise z użytkownikami - a tym samym z zarządem - mogą mieć wpływ na wybór osoby, którą należy zwolnić.

„Współpraca” Iben z Anne-Lise nad przygotowaniem numeru tematycznego „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa” dotyczącego Turcji jest oczywiście również trudna. Ale prawdę mówiąc, Anne-Lise nie jest wcale tak beznadziejna w pracy dziennikarskiej, nie wtrąca się w dziedziny Iben, w pisanie i redakcję innych artykułów. A zaskakująco wielkiej pomocy może udzielić, jeśli chodzi o fakty, artykuły i nazwiska pracowników naukowych, które jako bibliotekarka potrafi znaleźć w bazach danych bibliotek zagranicznych uniwersytetów.

Iben w ostatnich tygodniach również przyznała, że zbyt pochopnie nabrała przekonania, że to Anne-Lise zabiła Rasmusa. Tamtego dnia na schodach mogło wydarzyć się wiele rzeczy.

Iben i Malene rezygnują na razie z wyboru stołu. Idą do restauracji w Ikei i obie kupują tradycyjne szwedzkie danie - klopsiki z sosem i borówkami. Do tego po kieliszku wina.

Iben je, a Malene po raz kolejny opowiada, jakim cudownym mężczyzną był Rasmus i jak ona sama źle się zachowywała.

Malene nie zjada swojego dania, tylko mówi:

- To tak jakby się trzymało palnik gazowy w ręku i nie wiedziało, w którą stronę należy go skierować. Nie wyobrażasz sobie, jakie to uczucie mieć w sobie tyle złości. - Grzebie w talerzu, dźgając widelcem sos, ziemniaki i borówki. - Cholera, teraz dopiero Anne-Lise zobaczy, co to znaczy, kiedy kogoś nie lubię!

Iben nie odpowiada. Nie jest już tak zaangażowana w konflikt z Anne-Lise.

38

Iben wiedziała, że ogród jest duży, lecz nie aż tak wielki.

Jest trzecia w nocy, a ona w zimowej poświacie księżycy przedziera się przez wysoką, mokrą trawę. Drzewa, krzewy, żywopłoty nie są czarne, lecz mimo to trudno odróżnić kolory, które w świetle dnia okazałyby się zapewne zielone czy brązowe. Wyraźnie jednak widzi, że krzak, który właśnie mijają, ma gałęzie o barwie ostrej czerwieni. Wysoka stara willa na końcu ogrodu również jest czerwona.

Ma na sobie najgrubszy płaszcz, kaptur na głowie, nie czuje, więc zimna, gdy wolno przechodzi pod jednym ze starych drzew owocowych. Nad sobą widzi pojedyncze jabłka zwisające z bezlistnych gałęzi, rysujących się na tle ciemnego nieba.

W czerwonej willi też jest ciemno. Wszyscy śpią. Oczywiście. Nikt inny na tej drodze na przedmieściach nie czuwa. A już na pewno nie przez tyle godzin. Niemożliwe, żeby komuś tak jak Iben przyszło do głowy w zimową noc jechać rowerem z Norrebro do Vaserne na północ od Holte.

Jeśli ktoś w willi wstanie i zapali światło, Iben zdąży zniknąć, zanim się zorientują, kto jest w ich ogrodzie. Ale dlaczego mieliby wstawać? Podchodzi bliżej domu, okrąża go i zagląda przez

ciemne okna do wysokiej piwnicy. W wielu miejscach może też odrobinę się wspiać albo stanąć na czymś, by zajrzeć na parter.

Jak zawsze ma sztylet przypięty do łydki, lecz Anne-Lise jest osobą, której obawia się najmniej. Bardzo mało prawdopodobne też, aby mordercy z Kenii czy Serbii odwiedzili ogród Anne-Lise o trzeciej w nocy.

Zajrzała już we wszystkie okna parteru willi Anne-Lise i powinna wracać do domu. Wciąż jednak nie znalazła nic interesującego, wypad wydaje się, więc bezsensowny, mimo że nie wie, co spodziewała się odkryć.

Minął już ponad tydzień, odkąd zrozumiała, że podejrzewała Anne-Lise o zabicie Rasmusa jedynie w wyniku reakcji stresowej, spowodowanej jego śmiercią. Ale Malene nadal nie potrafi uwolnić się od tego stresu. Malene musi wiedzieć jak najwięcej o tym, kim jest Anne-Lise. Musi mieć pewność, co się wtedy stało, żeby żyć dalej. Iben jest, więc tutaj dzisiejszej nocy bardziej dla Malene niż dla samej siebie.

Wchodzi do wiaty na samochód i ogląda nieduże czerwone auto Anne-Lise. Przyciska nos do szyby, zasłania ją przed refleksami światła, przykładając dłonie do skroni, chociaż nie wie, co miałyby znaleźć w środku. Zagląda też do dużego ciemnego samochodu męża Anne-Lise, próbuje otworzyć drzwi w obu, lecz oczywiście są zamknięte.

Za samochodem stoją narzędzia ogrodowe, leży też składana drabina. Iben niesie ją pod dom i tam ostrożnie, by nie narobić hałasu, rozciąga na pełną długość.

Jeśli dzisiejszej nocy znajdzie coś, co przyniesie ulgę Malene, może wreszcie wyzwoli się z poczucia winy wobec przyjaciółki. Może Malene wreszcie przestanie mówić o tym, że to dzięki niej Iben dostała pracę w DCIL, a później Paul zaproponował jej pobyt w Kenii, i mieć pretensje, że nie zadzwoniła stamtąd, kiedy Malene była chora i przechodziła kryzys z Rasmusem.

Jeszcze raz patrzy na piętro domu, gdzie wszystko wciąż pogrążone jest w ciemności. Ogląda się też na sąsiednie wille. Przez ostatnie pół godziny nie widziała żywej duszy ani okna, w którym widoczne by były jakiegokolwiek oznaki życia.

Przystawia drabinę do czerwonego muru i wspina się, by zajrzeć do środka przez jedno z okien na piętrze. Podobnie jak na parterze również tutaj pokoje muszą być niezwykle wysokie, wspina się, bowiem co najmniej siedem metrów w górę.

Jeśli wyrówna rachunki z Malene i wszystko zacznie się układać jak za dawnych dni, jej telefon do Gunnara będzie w porządku. Wie, że Gunnar się ucieszy, kiedy podniesie słuchawkę. Zaproponuje jakąś imprezę, na którą mogliby pójść razem, bo teraz jest już za późno, by wysłuchać wierszy Inger Christensen.

Okno, do którego prowadzi drabina, jest tylko przymknięte na haczyk. Iben widzi, że to gabinet. W środku stoi komputer i cały regał pełen segregatorów na czasopisma i teczek.

Nasłuchuje dźwięków z głębi domu. Nic nie słyszy. Kilka miesięcy temu za nic nie miałyby odwagi, żeby to zrobić, ale przecież wchodziła już do DCIL nocą. Wie, że to łatwe, gdy przypadkiem nadarzy się taka możliwość jak ta teraz. Wystarczy po prostu wejść. Tylko za pierwszym razem trudno jest przewyciężyć samego siebie.

Myśli o tym, co powie Gunnarowi, gdy do niego zadzwoni, i przechyla się nad parapetem.

W pokoju, tuż przy oknie, stoi ogromny stół do pracy z komputerem, mnóstwem papierów i teczek z dokumentami. Gdy Anne-Lise jutro wstanie, nie może się zorientować, że ktoś tu był. Iben zdejmuje, więc swój obszerny płaszcz, zawiesza go na otwartym oknie, inaczej mogłaby zawadzić o papiery, po których musi przejść. Zdejmuje też buty i wiesza je na sznurowadłach na haczyku okiennym. Są tak mokre od chodzenia po trawie, że zostawiłyby ślady.

Ocenia odległość od stołu i dalej do drzwi. Najgroźniejsze będą sekundy, zanim tam dotrze. Gdy już znajdzie się w środku, podstawi krzesło pod klamkę. Anne-Lise i jej mąż nie będą mogli wejść, nawet, jeśli się obudzą. Iben ma nadzieję, że zablokowane drzwi zapewnią jej dość czasu, by zdążyła zejść na dół po drabinie i zniknąć w ciemności.

Udaje jej się wejść przez okno i przepelznąć przez stół, niczego nie strącając ani nie wywracając. Zostaje w grubych, czarnych rękawiczkach, chociaż w środku jest za ciepło. Gdyby coś poszło nie tak i Anne-Lise rano nabrałaby podejrzeń, że ktoś tu jednak był, nie wolno jej zostawić odcisków palców.

Ustawienie krzesła pod klamką nie przysparza kłopotu. Iben dokładnie sprawdza, czy drzwi przypadkiem nie dadzą się otworzyć. Potem siada do komputera. Boi się zapalać tu światła i w ciemności znajduje pokrętło, którym ścisza głośniki. Sypialnia Anne-Lise i Henrika na pewno znajduje się również tutaj, na pierwszym piętrze. Nie może ich obudzić sygnał otwierania Windowsów.

Gdy komputer żąda kodu dostępu, próbuje wpisać „Anne-Lise”, później „Henrik”, potem po prostu nacisnąć „enter”, później ich inicjały, imiona dzieci, wszystko, co tylko przychodzi jej do głowy. Nie posuwa się jednak dalej.

Przydałaby się jej teraz płyta Rasmusa z jego programem, być może leży gdzieś u Malene, ale przecież Iben, wyjeżdżając z domu, nie miała pojęcia, że znajdzie się w takiej sytuacji.

Zaczyna przeglądać tecki i segregatory z czasopismami w regale. Trudno czytać, gdy jedynym oświetleniem jest poświata z ekranu komputera. Musi wszystko przynosić blisko ekranu, żeby sprawdzić, co to jest. Ale kiedy odstawia jeden z segregatorów z powrotem, pod plastikową torebką obok kilku baterii i monet znajduje małą latarkę rowerową. Baterie są bliskie wyczerpania, lecz mimo to o wiele łatwiej jest czytać w słabym, czerwonym świetle niż w całkowitych ciemnościach.

Prędko stwierdza, że wszystkie papiery tutaj mają związek z pracą Henrika i jego zeznaniami podatkowymi.

Iben podchodzi do drzwi i nasłuchuje. Jest cicho.

Ostrożnie odsuwa krzesło od klamki. Uchyła drzwi. Robi to bezszelestnie. Otwiera je szerzej i rozgląda się.

W takiej wielkiej starej willi podłoga na pewno trzeszczy. Za którymś z najbliższych drzwi obok Henrika leży Anne-Lise. A za innymi śpi jej dwoje dzieci. Słychać jakieś pomrukiwania i pochrapywanie mężczyzny, dochodzą z za tych najbardziej odległych drzwi.

Do schodów jest zaledwie kilka kroków. Nawet, jeśli Henrik się obudzi, to zanim do nich dotrze, Iben zdąży wrócić do jego pracowni, zabarykadować drzwi i zbiec na dół po drabinie.

Daje krok na korytarz. Podłoga nie skrzypi. Kieruje latarkę na dół i w czerwonym blasku widzi, że Anne-Lise i Henrik w całym korytarzu położyli nową, piękną podłogę. W samych skarpetkach robi jeszcze jeden krok. Już jest przy schodach.

Wciąż nie znalazła nic, co mogłaby dać Malene. Schodzi na parter.

Na dole przechodzi z korytarza do pomieszczenia, które pierwotnie najwyraźniej było trzema pokojami starej willi. Świeci do góry. Światelko latarki niemal znika pod sufitem, który musi wznosić się, co najmniej cztery metry nad nią.

Przede wszystkim Iben szuka możliwości jak najszybszej ucieczki na wypadek, gdyby ktoś ją tu zauważył. Duże szklane drzwi prowadzą bezpośrednio z salonu do ogrodu, lecz również od środka trzeba użyć klucza, aby je otworzyć. Główne drzwi najprawdopodobniej mają taki sam zamek. Utrudniłoby to złodziejom wydostanie się z domu ze skradzionymi rzeczami, a przez to posiadanie alarmu staje się mniej konieczne. Innymi słowy, gdy Iben będzie musiała bardzo szybko stąd wyjść, pozostanie jej wybicie szyby w drzwiach.

Zaczyna badać salon. Wszystkie ściany są tutaj białe. Na środku stoi czarna skórzana kanapa, całe wnętrze urządzone jest jakby w stylu lat osiemdziesiątych, z niebieskimi regałami Montana i dużą, oprawioną w ramy grafiką Walasse'a Tinga. Zważywszy na pozostałe elementy wyposażenia, Iben nie zdziwiłaby się, gdyby litografia była oryginalna.

Z salonu jest otwarte przejście do jadalni, a stamtąd do dużej kuchni. Na całym dole unosi się lekki zapach z pewnością gotowej pizzy, a dookoła na podłodze leżą porozrzucone samochodziki i inne zabawki. Iben stara się zapamiętać, gdzie się znajdują, żeby nie poślizgnąć się na nich w ciemności, jeśli będzie musiała zgasić latarkę.

Przegląda papiery na stołach i na półkach. Znajduje karty płatnicze, informacje z klubu piłkarskiego Ulrika, biuletyny z urzędu ubezpieczeń społecznych i ze Związku Bibliotekarzy, magazyny wnętrzarskie sprzed lat, a na stoliku przy kanapie dwie powieści Ib Michaela.

Obok kanapy stoi telefon z automatyczną sekretarką. Nie mruga, lecz mimo wszystko mogą być na niej jakieś wiadomości. Dłońmi w grubych zimowych rękawiczkach Iben przykręca głośność i wciska „play”.

Gdy taśma zaczyna się obracać, delikatnie pogłównia na tyle, by słyszeć słowa. Rozlega się zamglony kobiecy głos:

„...Jurta... jeśli... nie, ale to... Właśnie dyskutowałam z jednym z moich przyjaciół, gdy pomyślałam o tobie...”

Kobieta mówi dialektem z Hellerup i sprawia wrażenie kompletnie pijanej.

„Pamiętasz, jak byliśmy w domu u tego tam, jak on się nazywał... Właśnie dostałyśmy te... spodnie albo ty... ja dostałam spodnie... A potem ona powiedziała, żebyśmy poszły. Ty byłaś wtedy świetna, bo powiedziałaś jej, że właśnie przyjechałyśmy z Odense. Cha, cha, to było fantastyczne. Myślałam o tym, ponieważ teraz właśnie dyskutowałam z jedną z moich przyjaciółek, i ona zupełnie się ze mną nie zgadzała...”

Wiadomość się dłuży. Iben nie jest w stanie wyciągnąć z niej nic sensownego, ale zastanawia się, dlaczego pijana dama z wyższych sfer dzwoni z taką poufałością do Anne-Lise.

A może Anne-Lise sama w takim stanie dzwoniła do niej? Może tamta wie, że Anne-Lise także pije? Iben i Malene przez cały czas miały takie przeczucie, ale nigdy nie były pewne.

Na sekretarce nie ma innych wiadomości. Jest tak cicho, że Iben traci wyczucie odgłosów domu. Czyżby puściła tę wiadomość za głośno? Schody trzeszczą, może to mężczyzna schodzi z pierwszego piętra?

Iben podrywa się, jakby coś wybuchło, i podbiega do kominka.

Tam chwyta za ciężki pogrzebacz - nie po to, by nim walczyć - nigdy nie przyszłoby jej do głowy użyć go albo swego noża przeciwko Anne-Lise czy Henrikowi. Lecz jeśli będzie trzeba, stłucze nim duże szklane drzwi i wśród odłamków ucieknie do ogrodu. Gasi latarkę i staje tuż przy szklanych drzwiach, gotowa, z uniesionym pogrzebaczem. Stoi znieruchomiła, plecami odwrócona do salonu. Jest nadzieja, że jeśli ktoś przyjdzie, zdąży zareagować na tyle szybko, że Henrik lub Anne-Lise zobaczą jedynie anonimowe plecy, znikające w ciemności.

Nasłuchuje. Wie, że po tych podłogach można chodzić bez najmniejszego szmeru. Henrik może stać kilka metrów za nią, a ona go nie usłyszy.

I znów bardzo słabe odgłosy mieszają się z podejrzeniami dźwięków, które wydaje jej się, że słyszy - jakieś poruszenie w sypialni, głosy, które coś szepczą poza granicą słyszalności. Dźwięki, które muszą być fantazją. Tak jak wydawało jej się, że słyszała jakiś głos przed wypadkiem Rasmusa. Jak wtedy, gdy wydawało jej się, że słyszy rozmowy na podwórzu.

Długo stoi nieruchomo, w końcu opuszcza pogrzebacz. Bola ją dłonie i barki. Obraca się ostrożnie, krótkimi ruchami, usiłuje dostrzec, czy ktoś nie czai się w tej czerni. Chyba nie ma nikogo. Powinna wrócić do gabinetu i jak najszybciej wydostać się po drabinie do ogrodu.

Ale teraz, gdy już jest tu w środku i ma szansę, nie potrafi się powstrzymać, by w drodze powrotnej nie zajrzeć do kuchni. Może tam znajdzie jakiś ślad alkoholizmu Anne-Lise?

Przegląda kuchenne szafki i świeci do środka. Oczywiście nie ma tu nic, co by ją zdradzało w oczywisty sposób, tak jak półki pełne pustych butelek po gorzale. Jeśli Anne-Lise pije, to na pewno umie też zacierać ślady, tak jak robi przecież w DCIL.

Na lodówce wisi kalendarz. W świetle rowerowej latarki Iben odczytuje wszystkie plany Anne-Lise i Henrika.

Widać tam również, co robili tego dnia wieczorem: „17:00 A+H spotkanie w przedszkolu w sprawie Clary”. O co chodzi? Dlaczego muszą iść na spotkanie w sprawie córki?

Iben czyta też karteczki przyklejone magnesami do lodówki, ale nie znajduje nic interesującego.

W koszu na śmieci pod złożonymi pustymi pudełkami po pizzy na wynos znajduje zatłuszczoną, zmiętą kartkę z odręcznymi notatkami.

Papier prawie się rozpuścił pod wpływem dresingu czosnkowego i soku z rozgniecionego pomidora. Iben rozprostowuje kartkę i wyciera ją ostrożnie kawałkami papierowego ręcznika, które potem chowa do kieszeni, aby nie pozostawiać żadnych śladów.

Widzi, że nie jest to charakter pisma Anne-Lise, lecz bardzo staranne, drobne litery z prostymi kreskami, lekko pochylone w lewo. Na pewno pismo Henrika. Jest też data.

SPOTKANIE W SPRAWIE C

Przykro nam z powodu dzieci, które C pobila. Chcielibyśmy przeprosić rodziców.

Czy możemy coś zrobić lepiej?

To prawda, że Clara była agresywna również w stosunku do kolegów w domu. (Jeśli nazwą ją „nadmierzająco agresywną”, - okej, ale nic więcej. Nie opowiadać o epizodzie z Victorem.)

Podkreślać wolę współpracy. Przypomnieć, że oboje przyszedliśmy na dzień rodzica w sierpniu. (Próbować odsunąć rozmowę od tematu zebrania rodziców.)

Ważne: Nie mieliśmy wcześniej z Clarą problemów z opanowaniem agresji. Sądzymy, że jej wybuchy wkrótce miną.

(Omówić z A-L w samochodzie:

Tylko w razie konieczności: Niepokój w rodzinie być może podziałał na Clarę. To nie jej wina. Nie ma żadnych problemów. Oprócz okropnej sytuacji jej matki w pracy.

Podkreślać optymizm. Mamy nadzieję, że DCIL zostanie włączone do IPC. Z pewnością nastąpi to bardzo szybko, A-L będzie miała nowych kolegów i koleżanki, będziemy mieć więcej sił...

Dalej papier jest zbyt zniszczony, by Iben mogła przeczytać coś więcej, ale też i zapiski Henrika nie są dużo dłuższe. Odczytuje jeszcze słowo „w zaufaniu”.

Czuje ulgę. To już jest coś! To może mieć znaczenie dla Malene. Przez cały czas Iben była bardzo ostrożna i starała się nie dotykać nic, co mogłoby narobić hałasu, ale kiedy składa notatkę Henrika i ręką w grubej rękawiczce usiłuje ostrożnie wsunąć ją do tylnej kieszeni spodni, unosi jedną nogę lekko do przodu, żeby podrapać się w łydkę w miejscu, gdzie przymocowany jest sztylet. Gdy zgina kolano, nóż uderza w otwarte drzwiczki szafki przy kuble ze śmieciami.

Nie ma pojęcia, na ile głośny jest hałas, gdy drzwiczki się zatraskują.

Najciszej jak może biegnie z powrotem do salonu i tak jak wcześniej staje odwrócona plecami do przedpokoju, z pogrzebaczem wycelowanym w szybę drzwi do ogrodu. Stoi nieruchomo, ale serce jej wali, a w głowie huczą fantazje o tym, że Henrik wchodzi do salonu z kijem bejsbolowym albo ze strzelbą. O tym, że rani sobie stopy o odłamki szyby, gdy w samych skarpetkach próbuje wybiec do ogrodu.

Musi jak najprędzej wrócić do gabinetu i zejść po drabinie! Chyba, że już jest za późno. W żadnych okolicznościach nie ma czasu na schodzenie do suterenu.

Gdy tak stoi w bezruchu przed szklanymi drzwiami, zauważa nagle, że w ogrodzie coś się zmieniło.

Kiedy stała tu wcześniej, wyraźnie widziała prosty zarys pnia najbliższego drzewa. Teraz pień jest grubszy i nierówny, jakby pod drzewem ktoś stał lub ktoś się za nim ukrywał.

Wcześniej serce waliło jej jak młot, teraz robi jej się sucho w ustach i kręci się w głowie. Boi się, że się przewróci. Ktoś szedł za nią. Ktoś ją szpieguje. Od razu myśli o przyjaciółach Omoro w Kenii, którzy dowiedzieli się, że został zdradzony i zabity. Myśli też o Mirku Žigiciu - przed oczami staje wszystko to, co robił podczas wojny. To, że obciął rękę jednej ze swych ofiar i krwią malował ściany jej domu. Że innej ofierze zawiązał kabel na szyi i zahaczył go o hak w suficie, by nie mogła się poruszyć, gdy on i jego podwładni ją gwałcili.

Ponieważ Iben stoi całkiem nieruchomo, czuje, jak zimny jest pot, który pokrywa jej ciało.

Zmusza się, by myśleć, że to niemożliwe, to musi być jakiś cień, który pada teraz inaczej, ponieważ księżyc się przesunął. Na pewno coś takiego. Źle coś zapamiętała albo patrzyła na inne drzewo. Musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie. Niemożliwe, aby to było to, o czym bez przerwy myśli.

W duchu przemawia do siebie głośno, władcym głosem swego ojca. Nakazuje sobie nie słuchać bicia własnego serca. Mówi, że ma być „survivor”, tą, która przeżyje.

Musi stąd wyjść.

Teraz!

Może zbyt nagłym ruchem odwraca się w stronę salonu. Na szczęście nie ma tam nikogo, kto mógłby zobaczyć jej twarz. I być może trochę za bardzo się spieszy, podbiegając z powrotem do kominka, by odłożyć pogrzebacz na miejsce.

Pędem, ale zygzakiem, żeby nie potknąć się o porozrzucane samochody-zabawki, biegnie przez mrok z powrotem do przedpokoju. Dociera już prawie do pierwszego stopnia, gdy za schodami dostrzega jakieś drzwi.

Może mogłaby się tam zabarykadować, jeśli ktoś stoi na górze schodów lub w korytarzu koło sypialni? Ale czy jest tam okno, przez które będzie mogła wyjść?

Podbiega do tych drzwi i zagląda do środka. Dostrzega jedynie maleńkie okienko. A więc jest tu jeszcze ciemniej niż w pozostałej części domu. Zapala latarkę. I widzi, że to kolejny pokój do pracy, mniejszy.

Tu papiery leżą ułożone w porządkne pliki. To gabinet Anne-Lise.

Powinna już wyjść, ale to najlepsze miejsce, do jakiego mogła trafić. To, dlatego nie znalazła żadnych papierów Anne-Lise w miejscach, w których dotychczas szukała. Skoro już się tutaj znalazła, musi błyskawicznie sprawdzić, czy dałoby się coś stąd zabrać.

Przeszukuje mnóstwo szuflad, w dalszym ciągu stara się to robić bezszelestnie. Nie ma czasu na włączanie komputera, ale może Anne-Lise zrobiła zapasowe kopie swoich plików na płycie kompaktowej?

Wyczerpane baterie prawie się już wypalają. Czerwone światełko słabnie.

Iben przegląda stosy papierów, starając się zostawić jednocześnie wszystko tak, jak było, ale to trudne, gdy jedną ręką w rękawiczce trzyma latarkę i tylko drugą przekłada kartki.

Nareszcie w jednej z szuflad znajduje stos nagranych w domu płyt kompaktowych, oznaczonych datami. To muszą być zapasowe kopie. Nie bierze najnowszej, bo to Anne-Lise prędko by zauważyła. Łapie trzy ze środka stosu i jest już gotowa do wyjścia.

Pozostałe płyty wkłada z powrotem do szuflady i w tym momencie zauważa na jej końcu jakąś kartkę, która wślizgnęła się na sam tył i leży przyciśnięta wszystkim, co zostało tu schowane.

Wyjmuje tę kartkę, rozkłada ją i w dogasającym czerwonym świetle z wielkim trudem, chociaż latarkę trzyma tuż nad kartką, odczytuje:

...powodem fantazji o zemście nad Iben i Malene. Coraz bardziej obracają się przeciwko mnie. Stają się przerażająco żywe. Sama się w nie wplatom, jak gdybyśmy wszystkie, Iben, Malene i ja, powoli zlewały się w jedno. One zniszczyły coś głęboko we mnie, skoro karzę siebie zamiast ich. Jak wtedy podczas mojego „załamania”, jak nazywa to Henrik. Oddałabym wszystko - z wyjątkiem mojej rodziny - by mieć pewność, że nie rozpadnę się na kawałki, zanim Instytut Praw Człowieka przejmie...

Podobnych kartek może tu być więcej, ale Iben nie ma już czasu.

Wsusza kartkę i płyty za pasek spodni, żeby mieć wolne ręce, a potem na palcach wychodzi i usiłuje sprawdzić, czy nikt nie stoi na górze schodów.

Ma straszną ochotę pobiec jak najszybciej do gabinetu Henrika, bez względu na hałas, jakiego przy tym narobi. Za zablokowanymi drzwiami będzie bezpieczna. Nikt nie odkryje, kim jest, i uda jej się uciec.

Ale Anne-Lise i Henrik nie mogą się dowiedzieć, że ktoś był u nich w domu. Iben przemawia do siebie głosem ojca, zmuszając się do cichych, spokojnych i wyważonych ruchów.

Na schodach nikogo nie ma. Dookoła panuje cisza. Nie słyhać już nawet pochrapywania Henrika.

Otwiera drzwi do jego gabinetu, wchodzi do środka i zamyka je za sobą, wzdychając z ulgą. Znow blokuje krzesłem drzwi. Za parę minut stąd wyjdzie i odstawi drabinę na miejsce w wiacie.

Nikt w ogóle nie musi się zorientować, co zrobiła. Nikt oprócz Malene. I, pośrednio, Gunnara.

Spokojnymi ruchami odkłada latarkę na miejsce pod plastikową torebką. Obrzuca pokój spojrzeniem. Tutaj ma czas, by się upewnić, czy nawet najdrobniejszy szczegół nie zdradzi jej obecności.

Wszystko wygląda jak należy, postanawia, więc odsunąć krzesło spod klamki.

I właśnie w chwili, gdy to robi, widzi, że klamka leciutko się unosi. Ktoś po drugiej stronie musi ją naciskać od dołu, dokładnie tak, jak ona zrobiła to przed chwilą. Ktoś podstawił krzesło pod klamkę, żeby nie mogła wyjść. Teraz klamka znow nieruchomieje.

Iben rzuca się w stronę okna i słyszy krzyk mężczyzny w korytarzu:

- Już! Już!

Ten głos jest zdesperowany, tak jak ona sama.

- Odsuń to teraz! - krzyczy. - A potem uciekaj, żeby cię nie trafił!

Iben podbiega do okna i widzi, że drabina już leży na trawie. Stoi przy niej potężny mężczyzna z dużym czarnym psem.

Rozmawia przez telefon komórkowy i jest na tyle blisko, że Iben słyszy jego spokojne słowa:

- Nigdzie nie będę biegł - niespiesznie tłumaczy stojącemu w korytarzu Henrikowi. - W Danii nie ma włamywaczy posługujących się bronią palną. Za to grozi trzykrotnie wyższa kara.

Mężczyzna na dole ubrany jest w czarny płaszcz. Wystają mu spod niego spodnie od pizamy. Najpewniej sąsiad, do którego zadzwonił Henrik.

Zapala latarkę i świeci w okno, lecz Iben udaje się umknąć poza snop światła. Mężczyzna woła do niej:

- No, dostaniesz od trzech do pięciu miesięcy, co? I to na dokładkę do całej reszty, jaką już pewnie nazbierałeś. Będą cię pieprzyć w dupę, co?

Iben jest wściekła na siebie. Jak mogło jej przyjść do głowy, żeby wchodzić do tego domu? Od samego początku powinna wiedzieć, że to się źle skończy.

Światło latarki wędruje po suficie. Iben stara się cały czas trzymać w ciemności. Siada pod ścianą z podciągniętymi kolanami. Cała się trzęsie, oddałaby wszystko, żeby cofnąć te ostatnie wariackie półtorej godziny swego życia.

Mężczyźni nie mówią o dzwonieniu na policję, musieli, więc już ją wezwać. Kiedy to zrobili? Policja może tu być w każdej chwili.

Za drzwiami rozlega się zaspany chłopięcy głos.

- Co robicie?

Henrik puchnie z dumy przed synem.

- Tatuś złapał włamywacza.

- Gdzie?

- Jest zamknięty w pokoju komputerowym.

-Ach!

Po tym rozlega się krzyk Anne-Lise:

-Nie!

- Co się stało? - pyta chłopiec.

- Po prostu się przestraszyłam. Nie przechodź koło tych drzwi.

- Dlaczego?

- Po prostu tam nie chodź. Zostań tutaj, ze mną.

- On może strzelić przez drzwi? Anne-Lise odpowiada spokojnie, z miłością:

- Nie, nie może.

Iben wyczekuje tych kilku sekund, podczas których latarka mężczyzny na dole nie jest skierowana w okno, i rzuca się na szeroki stół, łapie swój płaszcz i buty, które wciąż wiszą na oknie. Mężczyzna słyszy ją i czym prędzej zaraz świeci w górę, ale ona już zdążyła położyć się płasko na biurku.

Gdy zawiązuje sznurowadła, słyszy chłopczyka na korytarzu:

- Dlaczego nie mogę tam iść? On może wyjść?

Anne-Lise odpowiada:

- Po prostu wolałabym, żebyś był przy mnie. Chodź, pójdziemy do twojego pokoju.

- Nieee, nie chcę.

- Chodź, chodź,

- Auuu!

Iben zdejmuje bluzę. Z kieszeni płaszcz wyciąga czapkę i szalik. Szalikiem obwiązuje twarz, naciąga kaptur mocno na czoło, upewniając się, czy nie wystają jej spod niego jasne włosy. Zapina płaszcz, a bluzą obwiązuje biodra tak, by płaszcz był luźny powyżej bluzy, a opięty poniżej. Ma nadzieję, że sąsiad na dole z daleka uzna ją za mężczyznę.

Wskakuje na biurko i staje w otwartym oknie. Usiłuje się zorientować, jakie ma możliwości. W tej starej willi wszystko jest takie wysokie. Do ziemi bardzo daleko, chociaż znajduje się zaledwie na pierwszym piętrze.

- Nie próbuj skakać, połamiesz nogi! - woła mężczyzna w ogrodzie. Lekko szarpie za smycz i dodaje: - A Skipper i tak cię dopadnie.

Być może do przyjazdu policji została zaledwie minuta, lecz Iben mimo to wraca do gabinetu. Pod biurkiem leżą kable do drukarki, komputera i lamp. Wyciąga z kontaktu dwa przedłużacze. Wyrzuca rozgałęziacze i wiąże je ze sobą. Teraz tworzą linę długą, na co najmniej sześć metrów.

Anne-Lise najwyraźniej wciąż jest na korytarzu. Iben słyszy, jak pyta z bezpieczniejszej odległości:

- A jeśli jest ich dwóch?

- Nie ma dwóch. Widziałem go na dole w salonie.

Głos Anne-Lise jest całkiem inny niż w biurze.

- Myślisz, że wyskoczy?

- Nie. A jeśli tak, to, co najmniej połamie sobie nogi. Zresztą Lars jest na dole ze Skipperem.

Iben otwiera również górną część okna. Mężczyzna, który najwyraźniej ma na imię Lars, świeci jej prosto w oczy.

Iben znów staje na parapecie. Przytrzymując się poprzeczki między górną a dolną połową okna, wychodzi na zewnątrz. Dolna część okna sięga jej do biodra, a gdy się wyprostuje, jest w stanie chwycić rynnę.

- Uważaj na to, zostaw to! - krzyczy mężczyzna na dole, a przez komórkę tłumaczy: - On chyba wybiera się na dach!

Iben nie słyszy już, co odpowiada Henrik z korytarza.

- Na pewno jest naćpany - mówi Lars. - Niezbyt potężny. Nie podoba mi się to. To nie wygląda najlepiej. - Potem znów krzyczy do niej: - Wracaj! Po prostu pójdiesz do więzienia! To lepsze wyjście od tego, co robisz. Wracaj!

Iben stawia nogę na górnej części ramy otwartego okna i podciąga się. Krawędź dachu ma teraz na wysokości brzucha. Próbuje naciskać na ramę całym swoim ciężarem; jeśli rynna nie wytrzyma, zdąży jeszcze złapać się okna.

Ale rynna wygląda raczej na mocną. Iben przechodzi na sam brzeg okna i bokiem rzuca się na dach.

Spieszy się, nie może tracić cennych sekund, bo policja zdąży przyjechać i ją złapie. Próbuje podciągnąć się jeszcze wyżej, ale bluza, którą przewiązała się w pasie, zaczepia o uchwyt rynny i o dachówkę. Przytrzymując się jedną ręką okna na strychu, drugą próbuje się uwolnić.

Słyszy, jak Lars mówi:

- Potrzebna będzie wasza drabina. Policja musi wejść po niego na dach.

Na odczepienie bluzy Iben poświęca najwięcej czasu. Wreszcie udaje jej się uwolnić i z ulgą patrzy na wielką dziurę, jaką w niej wyszarpała.

Teraz przytrzymuje się ramy okna dachowego, udaje jej się przepełznąć na brzuchu aż do kalenicy. Stara się leżeć najzupełniej płasko. Tu, na górze, Lars nie może jej już zobaczyć, ani też ona jego. Zdejmuje, więc szalik z twarzy i czuje wiatr na skórze.

Lars nie może pilnować całej wielkiej willi. Iben musi próbować zeskoczyć gdzieś, gdzie go nie ma, by przed nim uciec.

Odszedł teraz nieco dalej, aby ją zobaczyć. Stoi na dużym trawniku przed domem i oświetla ją latarką. Iben więc czym prędzej naciąga szalik na twarz, chociaż latarka nie jest dostatecznie mocna, by jej światło dotarło aż tutaj.

Zapalają się światła w dwóch sąsiednich willach, jedna to z pewnością dom Larsa, lecz być może i z tego drugiego domu zaraz wyjdzie jeszcze jeden mężczyzna. Iben będzie musiała spuścić się na dół za pomocą dwóch związanych przewodów. Ale nie ma odwagi.

Czołga się środkiem kalenicy, by Lars nie wiedział, w którym miejscu zdecyduje się wylądować.

Z każdą sekundą sytuacja staje się coraz gorsza. Być może niedługo do ogrodu zejdzie również Henrik, albo pojawi się w którymś z okien dachowych. Przyjedzie policja, dołączą inne psy z sąsiedztwa. Musi teraz skoczyć.

Musi.

Ale siedzi dalej i tylko patrzy. Czuje, jak bardzo jest zimno. Czy palce jej usłuchają? Czy węzeł z przedłużaczy wytrzyma? Wyjmuje je z kieszeni. Ciągnie za nie, żeby sprawdzić, jak gdyby to dawało jakąkolwiek gwarancję. Myśli o Rasmusie.

Myśli o tym, co się stanie, jeśli bluza albo płaszczem zaczepi o rynnę po drodze w dół, lub, gdy po ciemku poślizgnie się na dachówce. Znowu myśli o Rasmusie.

W oknie dachowym zapala się światło. Ktoś wszedł na strych.

Teraz.

Ale dalej siedzi. Widzi światła zbliżającego się szybko samochodu. To może być tylko radiowóz policyjny.

Teraz.

I rzeczywiście to robi.

Pełźnie w dół ku oknu w dachu, wychodzącemu na tyły domu. Gdy na nie wpada, zatrzymuje się, obowiązuje ramę kablami i wiąże solidny supeł. Potem wstaje i przytrzymując się kabla jak liny ratunkowej, pokonuje ostatni odcinek do krawędzi dachu.

Tam siada i powoli ześlizguje się poza dach. Spuszcza się po przewodzie.

Była nastawiona na to, że szybko zjedzie na dół po kablu, by nie zdążyli obieć domu, lecz wszystko dzieje się znacznie szybciej niż planowała. Ręce w rękawiczkach zaciska na przewodzie tak mocno, jak tylko potrafi, ale zjeżdża w dół ze straszliwą prędkością. Dociera do supła na środku, mocne szarpnięcie za rękę o mało nie zmusza jej do puszczenia przewodu, ale łapie go poniżej supła i pędem zsuwa się na koniec.

W tym miejscu miała zamiar się zatrzymać, powisiec przez moment i zorientować się, jak daleko jest do ziemi i gdzie powinna wylądować.

Plan jednak zawodzi. Gdy dociera do dolnej wtyczki, uderzenie w dłoń jest tak mocne, że nie jest w stanie się utrzymać.

Łąduje na tyłach domu przy stojaku do suszenia bielizny i złożonych meblach ogrodowych. Upada na kolana. Stopy, kolana i dłonie uderzają o płyty.

Przeżyłam, myśli z radością. I zaraz potem: Już nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię.

Wstaje. Parę metrów dalej jest wysoki płot do sąsiadów.

Podsuwa tam stół ogrodowy i szykuje się do skoku, nie wskakuje jednak, zamiera przestraszona. Dopiero teraz czuje ostry ból w prawej stopie tuż przy pięcie.

Wspina się na stół ogrodowy i dalej na płot. Gdy ma wylądować po drugiej stronie, stara się zsunąć ostrożnie i oprzeć tylko na lewej nodze.

W obcej, nieoswojonej ciemności rozgląda się dokoła. Słyszy głosy dochodzące gdzieś z tyłu, posuwa się, więc biegiem. Mogliby ją dogonić w parę sekund, chociaż biegnie szybciej, niż właściwie potrafi. Musi znaleźć jakąś kryjówkę. Ale za każdym razem, gdy stawia prawą stopę na trawie, paraliżuje ją taki ból, że prawie się przewraca. Biegając, penetruje wzrokiem ogród. Jest garaż, drzewa, na które można się wspiąć, krzaki, pod które można wpełznąć, samochód, za którym można się położyć.

Decyduje się przeczołgać przez niewielką dziurę w żywopłocie do sąsiedniego ogrodu. Leży tam stos drewna przykryty brezentem, lecz to niepewna kryjówka.

Przeciska się przez żywopłot do kolejnego ogrodu, a potem jeszcze do następnego. Przy wiacie stoi rower. Wdrapuje się po nim na dach wiaty. Tam się kładzie. Znajduje się teraz niecałe trzy metry nad ziemią. Nasłuchuje krzyków dobiegających z ogrodów. Skipper najwyraźniej nie ma

najlepszego wężu, a policjanci nie przywieźli psów, bo głosy poruszają się w niewłaściwym kierunku.

Leży nieruchomo, czując, jak krew pulsuje w jej ciele. Ból w nodze przemieszcza się w górę kostki, jest coraz bardziej dokuczliwy.

Bolą także ręce. Sprawdza, co się stało, i widzi, że przewód głęboko rozciął rękawiczkę. W jednym miejscu rozdarcie sięga aż po skórę dłoni.

Wciąż jest ciemno, ale głosy wreszcie milkną. Dopiero wtedy przewraca się na brzuch i najciszej jak można wymiotuje na dach wiaty.

Pół godziny później, trzęsąc się z zimna, schodzi na dół. Kulejąc, idzie willową uliczką.

Znajduje się na innej ulicy niż ta, przy której mieszka Anne-Lise z Henrikiem. Jej rower stoi ukryty na podjeździe kawałek dalej. Wsiada na niego i myśli to samo, o czym myślała, kiedy położyła się na dachu wiaty: Mam coś dla Malene! Wyrównamy rachunki. To było trudniejsze, niż sądziłam. Ale nareszcie coś mam.

39

Ona kłamie! To kłamstwo!

Iben wścieka się, gdy to czyta. Uderza w materac zdrową stopą, ale wstrząs pomimo tabletek od bólu głowy wywołuje ukłucie w stopie, na której wylądowała tej nocy. Złości się jeszcze bardziej. Od powrotu do domu jest zbyt wzburzona, by zasnąć, i mało nie pęknie ze złości.

Wzięła do łóżka swój przenośny komputer. Na jego ekranie widać tekst:

Poniedziałek rano. Jestem w DCIL już od dwóch miesięcy. Idę się przywitać. Nikt nie pyta, jak mi minął weekend, ani o tę wycieczkę, o której opowiadałam w zeszłym tygodniu.

Mówię „cześć” spokojnym głosem, staram się zapomnieć, jak się zachowywały w ubiegłym tygodniu. Próbuję dać im szansę, żeby zacząć wszystko od nowa. Tylko to: Wchodzę do ich wspólnego pokoju i mówię „cześć”. Camilla odpowiada, Iben się nie odzywa.

Żadna z nich nie odwraca do mnie głowy. Stoję przez chwilę w nadziei na jakieś powitanie, żebym mogła powiedzieć, chociaż parę zdań o tym, jaka jestem wypoczęta, jak cudownie było, bo słońce świeciło, cokolwiek.

Trzy minuty zajęło im ściągnięcie mnie z powrotem. Do tego wszystkiego, co udało mi się wypchnąć z pamięci. Szybko poszło...

Iben bierze kilka głębokich oddechów. Do płyt Anne-Lise nie ma kodu dostępu. Otwiera, więc kolejny plik z jej dziennika.

Najwyraźniej upierają się, żeby traktować mnie jak „nudną, szarą bibliotekarkę”, której nikt nie lubi. I są gotowe zrobić wszystko, by skłonić mnie, abym tak właśnie się zachowywała. Złoszczą się, gdy jestem miła albo czymś je zainteresuję. Bo wtedy trudniej im o podłość.

Podczas przerwy na lunch Iben nakrzyczała na Camille, z całą pewnością, dlatego, że Camilla przed przerwą odezwała się do mnie życzliwie. Nikomu nie wolno ze mną rozmawiać. Iben i Malene już się o to zatroszczyły.

Za każdym razem, gdy nie ma mnie tu dłużej, zapominam, jak tu jest strasznie. Po prostu nie potrafię w to uwierzyć, gdy nie jestem w środku tego, co tu się dzieje. Jak ktoś może być tak zły? Nie pojmuję!...

Iben znów wymiotuje. Na szczęście na małym stoliku przy łóżku stoją dwa duże puste kubki po herbacie i głęboki talerz.

Później czuje, jak świeżo umyta skóra oblewa się zimnym potem, i zaczyna się trząść. Odchyła się do tyłu, ociera czoło poszwą kołdry i nie ma siły wynieść zawartości kubków i talerza do łazienki. Wciąż nie może odzyskać równowagi.

Jest piętnaście po ósmej rano. Tej nocy w ogóle nie spała, a za niespełną godzinę musi stawić się w pracy i zachowywać najzupełniej normalnie. Anne-Lise nie może nabrać nawet cienia podejrzeń, że to Iben była włamywaczem, któremu grozi od trzech do pięciu miesięcy w zawieszeniu.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła wyczerpana po powrocie do domu pociągami ze stacji Holte, było zażycie dwóch tabletek od bólu głowy i kąpiel. Siedząc w wannie, wypila kubek gorącej czekolady i zjadła miskę płatków owsianych z rodzynkami i orzechami, zalanych ekologicznym odtłuszczonym mlekiem. Potem położyła się do łóżka. O ile wie, nie zostawiła w domu Anne-Lise żadnych śladów. Nikt jej nie rozpoznał, nikt się nawet nie zorientował, że jest kobietą.

Ale czy wiadomo? Iben nigdy wcześniej nie robiła takich rzeczy. Przestępstwa zna tylko z filmów, a tam zawsze ktoś znajdzie jakiś drobny, ale decydujący ślad. Boi się dziś zgłaszać do lekarza ze stopą, lecz jeśli jej stan się nie poprawi, to po paru dniach udawania przed Anne-Lise zdrowej pojedzie na pogotowie i oświadczy, że właśnie się przewróciła.

Po kąpieli powinna iść spać, lecz była zbyt poruszona, by, chociaż odpocząć. Zamiast tego zaczęła oglądać płyty, znalezione u Anne-Lise.

Otwiera jeszcze jeden plik. Pochodzi zaledwie sprzed paru tygodni, Anne-Lise napisała w nim:

Muszę próbować trzymać się myśli, że one nie mają racji. Muszę o tym pamiętać. Nie mają prawa sądzić, że trzeba mnie wyeliminować. Ale prawdą jest, że, tak jak uważają, nie potrafię radzić sobie z innymi ludźmi - z użytkownikami, z kolegami. Wszystko wychodzi nie tak. Kiedyś

wydawało mi się, że łatwo się ze mną pracuje, ale być może moje dawne koleżanki chciały mi się po prostu przypodobać.

Często myślę o tym, by zadzwonić do mojej dawnej biblioteki i spytać, czy lubiły być ze mną w zespole. Oczywiście odpowiedzą, że tak. Wciąż będą kłamać, jeśli oczywiście kłamią. Nigdy się tego nie dowiem.

Może tak samo kłamią moi przyjaciele. Dla Henrika. Z takimi sprawami nigdy nic nie wiadomo. Cały świat staje mi się obcy i niebezpieczny. Rok temu nie miałam takich wątpliwości.

Mdłości Iben minęły. Z tego dziennika łatwo wywnioskować, że Anne-Lise jest chora. Musi cierpieć na jakiś rodzaj paranoi, połączonej z przywidzeniami. Wieczorem Iben zadzwoni do Grith i omówi z nią bardziej precyzyjną diagnozę kliniczną.

Ale nawet, gdy się to wie, poznanie tak zniekształconego obrazu siebie i życia w centrum jest wstrząsem. Irytujące, że Iben musi czytać o takich rzeczach właśnie teraz, kiedy już wcześniej i tak ją mldiło.

Mdłości w jakiś sposób wpływają na jej odbiór fantazji Anne-Lise. Te wymysły chorej wyobraźni mają w sobie jakiś czar. To, że zostały zapisane, że są tak szczegółowe i rozbudowane, sprawia, że stają się jeszcze bardziej przekonujące.

* * *

W łóżku na próżno usiłowała zasnąć, za to teraz zasypia w toalecie na muszli. Dzwoni do biura z informacją, że spóźni się trzy kwadranse. Wyjątkowo pozwala sobie na taksówkę do pracy.

Wciąż z lekkimi mdłościami w luźno zawiązanych adidasach, utykając, przechodzi z taksówki na klatkę i wsiada do windy. Na piątym piętrze przed otwarciem drzwi bierze kilka głębokich oddechów.

Już w chwili, gdy wychodzi na piętro, mogą ją zobaczyć przez kamerę. Nie powinny zauważyć, że jedna noga piekielnie ją boli, że zaledwie kilka godzin wcześniej rozbiła się o płyty na tyłach domu Anne-Lise, że ma mdłości i nieprzespaną noc za sobą, że właśnie przeczytała chore opisy samej siebie w dziennikach Anne-Lise.

Zerka dzielnie w kamerę nad drzwiami. Przed wyjściem z domu chciała nałożyć podkład na sinoczarne obwódki pod oczami, ale zobaczyła, że krem, zwykle pasujący odcieniem do jej bladej skóry, dzisiaj okazał się zbyt ciemny. Jest jeszcze bledsza niż zwykle. Trudno to teraz zauważyć, bo pokryła cienką warstwą podkładu całą twarz.

Naciska dzwonek do DCIL i brzęczyk wpuszcza ją do środka. Uśmiecha się, wita i nie ma ochoty robić już ani jednego kroku więcej na bolącej pięcie i kostce.

Najpierw musi podejść do znajomego rzędu wieszaków i powiesić płaszcz, potem pokonać po podłodze trasę, która będzie wyglądała na naturalną. A później udawać rozluźnienie.

Nie umie zapanować nad myślami: Może tak właśnie czuje się Malene w ostatnich dwóch tygodniach? Oprócz tego, że Malene często musi znosić wielki ból, to teraz jeszcze dodatkowo walczy o to, by nikt nie zauważył, że ona również nie może spać z powodu Rasmusa.

Przed śmiercią Rasmusa Malene czasem rozmawiała z Iben o tym, że za kilka lat zmieni się w samotną inwalidkę. Rasmus mógł ją opuścić, ona sama skończyć na wózku, nie będąc w stanie pracować ani mieć dzieci. Wraz z jego śmiercią to wszystko gwałtownie się przybliżyło. A jednocześnie Malene przestała mówić o gościu.

Teraz bez przerwy wspomina, jak wspomniały był Rasmus. Płacze godzinami, opowiada najrozmaitsze historie o wszystkich kochanych i cudownych rzeczach, jakie robił.

Prawdę powiedziawszy, po wielu dniach te opowieści stają się dość nieznośne. Przecież ich związek nie był aż tak idealny. Zachwyty nad wszystkimi nadludzkimi cechami Rasmusa przeplatają się z samooskarżeniami: Malene twierdzi, że to ona go od siebie wypędziła. To oczywiste, że musiał odejść. A potem znów następują ataki na Anne-Lise. To Anne-Lise spowodowała wszystkie te problemy, o których nie mógł już słuchać. To Anne-Lise zniszczyła ich związek, a przez to również ona popchnęła go do śmierci. Wciąż też nie jest wykluczone, że to Anne-Lise rozlała olej na schodach albo nawet wypchnęła Rasmusa.

Nie jest to prawdopodobne, lecz taka możliwość istnieje.

W pewien późny wieczór Iben opowiedziała Malene, że tuż przed wypadkiem Rasmusa chyba słyszała na klatce kobiecy głos. Malene wracała do tego tyle razy i z taką złą energią, że Iben od dawna już stara się jej o tym nie przypominać.

Teraz, w drodze do biurka, Iben myśli, że naprawdę świetnie naśladuje swój zwykły sposób przychodzenia rano do pracy. Udaje jej się wesoło zagadać, gdy spokojnym krokiem przechodzi od wieszaków do swego krzesła.

A jednak Malene natychmiast to zauważa. Żałoba nie przyćmiła uwagi.

- Co się dzieje? - pyta, szeroko otwierając oczy.

- Nic.

Iben wie, że Malene jej nie wierzy. Ale odpowiadając, wykrzywia minimalnie kącik ust. Nikt inny tego nie zauważy, lecz Malene wstrzyma się z dalszym wypytywaniem.

Zamierza opowiedzieć przyjaciółce o wszystkim, co odkryła dzisiejszej nocy, postanawia jednak trochę poczekać. Coś ją powstrzymuje, nie wie, co. Camilla nic nie mówi, a Anne-Lise siedzi sama w bibliotece.

Iben pyta, co się wydarzyło w biurze przed jej przyjściem. Koleżanki odpowiadają:

- Nic.

- Czy Anne-Lise tu była?

- Nie.

Malene patrzy na nią wprost i pyta:

- Dlaczego o to pytasz?

- Bez powodu.

Iben siada. Stara się ukryć, jak wielką ulgę jej to przynosi. Teraz nie musi wstawać aż do lunchu.

Iben jest wściekła na Anne-Lise bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Może nawet tak wściekła jak Malene. Nie może jednak nic zrobić, by wyrzucić z siebie tę złość. Ma wrażenie, jakby czuła na sobie wzrok Anne-Lise, świadomość, że ona ze szczegółami obserwuje, co się dzieje, i wszystko zapisuje, hamuje wszelkie działania.

Iben schyla się pod biurkiem, by w miarę dyskretnie zdjąć buty. Sznurowadła prawego buta ma tak luźne, jak to tylko możliwe, a mimo to boli ją, gdy ściąga but z kostki. Jęk, który jej się wyrzywa z ust, na szczęście udaje się stłumić w lekkie sapnięcie.

Czy Malene naprawdę tak się czuła, co dzień w ostatnim czasie? Iben okazywała jej sympatię i troskliwość, lecz takiej formy dyskomfortu, jaką sprawia robienie dobrej miny do złej gry w pracy, nigdy wcześniej nie zaznała, ani nawet nie potrafiła sobie wyobrazić.

Iben prostuje się, przysuwa sobie jeden z uporządkowanych stosów papierów i przegląda kartki na wierzchu.

Wsluchując się w rytm klawiszy Malene, wie, że przyjaciółka pisze i poprawia kilkakrotnie jedno i to samo słowo. Za trzecim razem Malene ze złością uderza w klawiaturę, niezbyt mocno, jedynie tak, że przesuwa ją o kilka centymetrów na biurku. Jej palce trafiają w róg dużego płaskiego urządzenia, to jej superergonomiczna mysz. Najwyraźniej ją zabolalo, bo zaraz przyciąga rękę do siebie i trzyma się za palce. Uśmiechają się jedna do drugiej.

Plik papierów, nad którymi siedzi Iben, to artykuły na temat dokonanego przez Turków zabójstwa około trzystu tysięcy Greków Pontyjskich w latach 1914-1922. Zbrodnię tę przesłoniła masakra około półtora miliona Ormian, ona również zostanie omówiona w poświęconym Turcji numerze „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa”. Iben zamierza tam między innymi zamieścić relację naocznego świadka o tym, jak tureccy żołnierze wypędzali greckie rodziny z kobietami, starcami i dziećmi z wybrzeża na pustynię. Tam je izolowali, odbierali im żywność i wodę, resztę pozostawiając pustyni.

Iben siedzi w milczeniu przy biurku. Patrzy w blat. Najważniejsze, by wydawało się, że nic się nie zmieniło. Nie jest jednak w stanie się skupić na pisaniu streszczeń do biuletynu. Nie jest w stanie również odpowiadać Malene czy Camilli, gdy się do niej zwracają.

Przegląda na chybił trafił stare numery „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa” i zatrzymuje się na tym, na którego pierwszej stronie widnieje duża tłusta plama. Jeszcze raz czyta własny artykuł *Psychologia zła II*, o mechanizmach psychologicznych zbrodni ludobójstwa.

Wśród ludzi, którzy podczas wojny zabijają innych ludzi z dużej odległości, nie zetknął się jeszcze z nikim, dla kogo te zabójstwa stałyby się traumą. Im bardziej jednak zabójcy zbliżają się do ofiar, z tym większą trudnością przychodzi im zabijanie.

Myśli o tym, jaka odległość dzieli ją od Anne-Lise. Jak bardzo jej nienawidzi. I o tym, że gdyby Anne-Lise spotkał jakiś poważny wypadek, w wyniku, którego poniosłaby śmierć lub musiała przestać pracować w centrum, rozum Iben mówiłby, że to tragedia, lecz tak naprawdę czułaby przede wszystkim ulgę.

Coś w tych rozmyślaniach skłania ją do przeczytania tego artykułu inaczej.

Działania, same w sobie będące z pozoru szkodliwe jedynie w ograniczonym stopniu, prowadzą do zmian w psychice. A te zmiany umożliwiają działania poważniejsze i bardziej destrukcyjne.

To również może się odnosić do jej stosunku do Anne-Lise.

Po przeczytaniu plików z płyty CD o życiu Anne-Lise poza DCIL Iben wie, że pasuje do niej również następujący fragment:

Przesadzamy, określając podobieństwa między członkami naszej własnej grupy, przesadzamy, stwierdzając jednorodność członków innych grup, przesadzamy, wykazując różnice między grupami.

Poranne mdłości wracają. Iben patrzy na złamaną sprężynę swojej lampki. Na mały, ostry metalowy czubek zwisający z zielonego ramienia lampy, na odbicie światła jarzeniówki w gładkim punkcie, w którym metal się przełamał, na plastikową zaślepkę nieokreślonego koloru w miejscu mocowania sprężyny.

Musiała na pewien czas się wyłączyć. Malene i Camilla są w środku rozmowy o zajęciach na pływalni, na które zapisała się Malene.

- Nie chodzi tylko o utrzymanie ciała w dobrej kondycji. To ma również znakomity wpływ na umysł i na nastrój - odpowiada Malene na jakieś pytanie.

Iben tego nie słyszy. Czyta dalej:

...dysonans poznawczy każe nam bardziej lubić tych, którym próbowaliśmy pomóc, a źle myśleć o tych, których skrzywdziliśmy. Słyszy, jak Malene mówi:

- Jeśli człowiek nie dba o formę, na przykład chodząc na chór tak jak ty, to kończy tak jak „ta tam”.

Malene ruchem głowy wskazuje bibliotekę.

Iben musi być sama. Chociaż przez kilka minut. Prędko wkłada buty, chociaż z powodu bólu trudno jej się schylić.

Podnosi się szybko i idzie do toalety. Odwraca przy tym twarz, aby żadna nic po niej nie poznała.

Cudownie, że może przekręcić zamek w drzwiach i usłyszeć lekkie stuknięcie, gdy zasuwka wchodzi w futrynę. Siada na klapie sedesu, sama w tym wysokim, ciasnym pomieszczeniu z melonowymi ścianami i ostrym zapachem odświeżacza powietrza. Podnosi prawą nogę, a dłońmi ścisną napiętą, opuchniętą skórę kostki.

Ostatnie słowa artykułu, które przeczytała, brzmiały:

Im brutalniej traktują ofiary, tym bardziej są skłonni postrzegać je jako ludzi, którzy zasłużyli na okrutną karę.

Zastanawia się: Czy właśnie tak postąpiliśmy z Anne-Lise? Czy prawdą jest to, co napisała w swoim dzienniku? Czy to my z niewinnej koleżanki stworzyliśmy potwora?

Ból kłuje jakby nie tylko w nodze. Rozprzestrzenił się aż do oczu, utkwiał w karku, w gardle, w rękach. Wiruje wraz z obrazami zbrodni ludobójstwa popełnionymi na świecie, które wieszala w witrynach biblioteki, a które teraz zdają się ją osaczać. Bóg wie po raz, który zadaje sobie to samo pytanie, jakie chyba wszyscy mający podobną pracę stawiają sobie wielokrotnie w ciągu jednego dnia:

Gdybym przypadkiem urodziła się w Niemczech przed drugą wojną światową, to czy byłabym zbrodniarką uczestniczącą w Holocauście, czy też bym odmówiła?

Jeśli nie chce, by Anne-Lise odkryła jej tajemnicę, powinna już wyjść z toalety, bez względu na to, jak trudne jest udawanie, że nic się nie stało.

Gdy wchodzi do Ogrodu Zimowego, Anne-Lise stoi przy biurku Malene. Chyba jest zła. W ciągu ostatnich tygodni po śmierci Rasmusa wszyscy byli dla Malene wyjątkowo mili, również Anne-Lise. Najwyraźniej to się już skończyło. Ale też i Anne-Lise ma za sobą, podobnie jak Iben, noc pełną lęków.

Mówi za szybko, twardym, metalicznym głosem:

- Rozmawialiście o mnie przed chwilą. Siedzicie tu i mówicie o mnie, chociaż ja jestem tuż obok, mówiliście, że jeśli człowiek nie weźmie się w garść, to skończy tak jak ja.

Sprawia wrażenie, że zaraz się rozpadnie, jeśli ktoś powie do niej teraz choćby jedno niewłaściwe słowo.

- Ale posiadanie dwojga małych dzieci również zmusza do pewnej aktywności. Dobrze o tym wiesz, Camillo.

Malene wciąż siedzi. Jest najzupełniej spokojna.

- Anne-Lise, nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

- Owszem, powiedziałaś. „Skończy jak ta tam”. I miałaś na myśli mnie.

- Anne-Lise, coś ci się przywiduje. Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

Iben musi naśladować swoje zwykłe reakcje, odwraca, więc twarz do Anne-Lise, by spokojnie powiedzieć: „Malene tego nie powiedziała, gwarantuję”.

Ale słowa nie chcą jej przejść przez usta. Malene jest tak przyzwyczajona do sposobu, w jaki Iben włącza się w te rozmowy, że ze zdziwieniem patrzy na przyjaciółkę, nie wie, co się stało.

Zapada krótka chwila milczenia, kiedy Iben się nie odzywa.

Spokojny, zimny ton Malene jest całkowicie inny od tego, jakim wczoraj po pracy, zapłakana, rozmawiała z Iben przez ponad półtorej godziny.

Malene rozpoczyna numer, który ćwiczyły już kilkakrotnie, a który zazwyczaj kompletnie wyprowadza Anne-Lise z równowagi.

- Jeśli słyszysz jakies głosy, które coś o tobie mówią, to powinnaś iść do lekarza.

Camilla przyłącza się tak, jak powinna.

- Lekarz ci pomoże, Anne-Lise... A przynajmniej warto spróbować.

Malene patrzy na Iben. Powinna teraz coś dodać. Ale Iben czuje się coraz bardziej chora.

-Ale przecież wy tak powiedziałyście! - krzyczy Anne-Lise. - Powiedziałyście to!

Malene świetnie potrafi udawać zatroskanie.

- Anne-Lise, to poważna sprawa, kiedy się słyszy głosy. Musisz coś z tym zrobić.

- Ja nie słyszę głosów! Wy to powiedziałyście!

- Masz dobrego lekarza? Naprawdę by ci się przydał.

A Camilla, która również patrzy na Iben, ponieważ ta nie bierze udziału w rozmowie, uzupełnia:

- Wiem, że w Internecie można znaleźć różne rady dla pacjentów cierpiących na schizofrenię.

Policzki Anne-Lise obwisają martwo po obu stronach szerokiej szczęki. Może nie trzeba nic więcej, żeby spuściła głowę. Może już wraca do siebie do biblioteki.

- W ogóle nie wspominałyśmy dzisiaj o tobie - mówi Malene. - Prawda, Iben?

Iben nic nie może odpowiedzieć.

Malene znów na nią patrzy, powtarza głośniej i wyraźniej:

- Prawda, Iben?

Stara przyjaciółka Iben patrzy na nią, w oczach ma całą swoją żalobę, a jednocześnie przekonanie, że kolejne małe zwycięstwo jest już zapewnione.

Iben na zastanowienie ma najwyżej sekundę.

* * *

Ćwierć sekundy już minęło.

To przypomina jakiś test. Próbę najważniejszych cech w człowieku.

Minęło pół sekundy.

Uświadamia sobie, że wszystko w tej sytuacji potwierdza to, co napisała w swoim pierwszym artykule na temat psychologii zła. Badania Christophera Browninga wykazały, że zwykłych Niemców do zabijania Żydów nie skłaniały wcale groźby surowych kar. Działali pod presją kolegów. Najlepszych przyjaciół. Współtowarzyszy żołnierzy, z którymi przeżyli najtrudniejsze chwile i których nie wolno im było zawieść.

Minęło trzy czwarte sekundy.

Presja, którą czuje Iben, również pod innymi względami przypomina tę, która powoduje sprawcami ludobójstwa: wszyscy są wstrząśnięci i wyprowadzeni z równowagi w zetknięciu ze śmiercią. Niektórym dokuczają brak snu i ból fizyczny. Nie ma czasu na zastanowienie. Ta jedna mała sekunda ma nieprzewidywalne konsekwencje i decyduje o wyborze strony na resztę wojny.

Sekunda minęła. Nie mogę się dłużej zastanawiać. Muszę odpowiedzieć.

Malene jest ostatnio taka krucha, nie wolno jej dokładać więcej bólu. Moja przyjaźń z nią nie przetrwa, jeśli ją upokorzę w obecności innych. Straci do mnie resztki zaufania. Może nie będziemy mogli dłużej razem pracować. Może któraś z nas będzie musiała odejść z tej pracy. Malene może mnie oczernić przed Gunnarem. Może odmienić moje życie. Gdybyśmy tylko mogli to omówić same, w cztery oczy.

Upłynął już czas dłuższy, niż powinien. Wszystkie na mnie patrzą. Wydaję się jakaś dziwna. Sądzą, że się zacięłam. Myślą, że nic się we mnie nie dzieje.

Dziwne. To, co mam teraz zrobić, jest przeciwieństwem tego, czego nauczyłam się ze wszystkich filmów i książek, które przeczytałam. Przecież wierzę, że żadna grupa nie ma prawa niszczyć innych jednostek. Taka jest nasza ideologia w DCIL. A ja mam teraz dokonać wyboru pomiędzy ideologią a współczuciem dla mojej najlepszej przyjaciółki, między ideologią a przyjaźnią.

„Idź za wewnętrznym głosem, a na pewno dasz sobie radę”. Słyszałam to wielokrotnie. Ale mój wewnętrzny głos każe mi wspierać moją chorą, opuszczoną przyjaciółkę. Muszę powiedzieć Anne-Lise, że jest chora psychicznie. Muszę ją zniszczyć. To mi podpowiada mój ludzki instynkt.

Upłynął już zbyt długi czas. Muszę odpowiedzieć. One patrzą. Malene mi ufa. Jej oczy mówią: Odpowiadaj.

Mój instynkt nie jest dobry. Mój ludzki instynkt prowadzi, tak jak instynkty milionów Niemców, Rosjan, Chińczyków, Kambodżan - wszystkich rodzajów ludzi - do zniszczenia innych.

Tyle poświęcę, jeśli zerwę teraz z Malene. I czy aby na pewno Anne-Lise nie zasłużyła na takie traktowanie? Czy nie była nieznośna? Bez wycucia towarzyskiego? Czy i ona nie jest winna temu, co się stało?

Odpowiadaj, Iben. Odpowiadaj. Odpowiadaj. Zrób coś. Wybierz Malene albo Anne-Lise. Opowiedz się po którejś stronie. Twoje milczenie samo przemówi, jeśli ty czegoś nie powiesz.

Gdyby tylko Anne-Lise również była temu winna. Gdyby ponosiła bodaj odrobinę winy. Nie musiałabym wtedy kompletnie zmieniać swego życia. Życia wszystkich. Anne-Lise, czy ty mimo wszystko na to nie zasłużyłaś? Nie zasłużyłaś na to?

Nie jestem gotowa do odpowiedzi, ale odpowiadam. Odbywa się to szybko, już po wszystkim, nie da się tego odwrócić.

* * *

W Ogrodzie Zimowym panuje cisza, słychać jedynie lekki szum komputerów. Wszystko tu jest blade. Jak gdyby w świetle jarzeniówek w powietrzu wirował kurz. Jak gdyby ktoś kopniakiem wywrócił regał.

Iben patrzy Anne-Lise w oczy, nie pamięta, kiedy ostatni raz się to zdarzyło.

- Rozmawialiśmy o tobie, Anne-Lise. - Iben w jasnym, zakurzonej świetle musi kilka razy mrugnąć. - Więc wcale nie popadasz w chorobę psychiczną.

Malene uderza płasko dłońmi o blat biurka, czego nigdy nie robi.

- Co?

Iben powtarza już mocniejszym głosem:

- Rozmawialiśmy o tobie, Anne-Lise. Dobrze słyszałaś.

W Malene otwiera się szczelina tak straszna, jak Iben przypuszczała. Szczelina pomiędzy całkowitym załamaniem z powodu śmierci Rasmusa, które przechodziła wczoraj, i profesjonalizmem, który jest w stanie na siebie włożyć, przychodząc do pracy.

- Ależ, Iben, chyba nie myślisz tak naprawdę? Nie słyszałaś, o czym rozmawialiśmy? Ty... ty chyba tak nie myślisz?

Iben zaczyna płakać. Nikt już nie wierzy, że jest taka jak zawsze. Wszyscy widzą, że w nocy była bliska śmierci i że właśnie traci najlepszą przyjaciółkę, a być może również pracę.

Nie bardzo widzi Malene. Kieruje, więc spojrzenie na Anne-Lise, której też nie widzi.

- Nie popadasz w chorobę psychiczną, Anne-Lise. Masz rację! Dobrze słyszałaś. Rozmawialiśmy o tobie. Rozmawialiśmy też o tobie, kiedy indziej. Nic ci się nie przywiduje.

Iben nie widzi, ale słyszy, że Anne-Lise też zaczyna płakać. Malene krzyczy:

- Trzymasz, więc teraz z nią?

- Nie, nie. Ja z nikim nie trzymam. Po prostu mówię, co słyszałam.

Iben wie, że ta sekunda odmieni wszystko. Jej pracę, jej karierę, jej przyjaźń. Nie wie, czy Anne-Lise zasłużyła na tak wielką ofiarę. Na to, że Iben odrzuca to, co najważniejsze w jej życiu, że niszczy to, co najważniejsze w życiu jej przyjaciółki. Wciąż nie widząc Malene wyraźnie, mówi:

-Rozmawialiśmy o Anne-Lise. Taka jest prawda. Właśnie tak było.

- Ty z nią trzymasz! - krzyczy Malene.

- Nie, po prostu mówię to, co...

Malene z trudem łapie oddech.

- Nie mogę... Ty jesteś po prostu...

Anne-Lise wciąż stoi obok Iben, gdy Malene wybiega z biura, głośno zatraskując za sobą drzwi.

40

Iben też wybiega najszybciej, jak pozwala jej na to boląca noga.

Malene nie ma ani na klatce, ani na dole na chodniku. Iben dzwoni na jej komórkę, ale Malene nie odbiera. Na ulicy zupełnie nie ma ludzi, tylko niekończące się rzędy zaparkowanych samochodów.

Iben obejmuje się w przedpołudniowym chłodzie, opiera o czerwony mur i próbuje zebrać myśli.

Potem dzwoni do centrum tuż nad nią. Telefon odbiera Anne-Lise, która ma zupełnie inny głos niż zwykle. Niemal jak gwiazda sportu udzielająca wywiadu w czasie, gdy wciąż jest w szoku w dwie minuty po zdobyciu złotego medalu.

Anne-Lise ma ochotę godzinami rozmawiać o tym, co się stało, lecz Iben wielokrotnie jej przerywa, aż w końcu krótko oznajmia, że zaraz jedzie do domu z bólem głowy i zostanie tam już do końca dnia.

Po przyjeździe taksówką do własnego mieszkania znów dzwoni do Malene. Tym razem na jej numer domowy. Za dziesiątym razem Malene podnosi słuchawkę i mówi:

- A więc teraz trzymasz z nią?

- Nie, nie. Ale ty nie jesteś sobą. Nie byłaś taka jeszcze trzy tygodnie temu, a już na pewno pół roku temu. Trzymam z tobą! Ale ty jesteś inna niż zawsze.

Malene protestuje, lecz Iben ciągnie:

- To oczywiste, że jesteś inna. Po tym wszystkim, co cię spotkało. Niepokoję się o ciebie.

Malene krzyczy:

- Nie obchodzi mnie, do jasnej cholery, jak się o mnie troszczysz! Rzuca słuchawką i już nie odbiera telefonów.

* * *

W sypialni Iben jest ciemno, gdy się budzi, a cyfry na jej radiu z budzikiem pokazują, że jest dziewiąta wieczorem. Iben leży na kołdrze w ubraniu. Minęło dziewięć godzin.

Kuśtyka do kuchni i przyrządza sobie olbrzymią porcję płatków owsianych z odtłuszczonym mlekiem i rodzynekami. Myśli o tym, jak bardzo załamana jest na pewno w tej chwili Malene. Jej chłopak nie żyje, a najlepsza przyjaciółka wbiła jej nóż w plecy. Wszystko ułożyło się źle. Iben boli noga. Jest jednocześnie przemęczona i zaspana. A jej uczucia są trudne do wyjaśnienia i mylące: Tego uśmiechu, który czuje w sobie, nie można nie zauważyć.

Siada przy stole do pracy w salonie i ostrożnie kładzie prawą nogę na jednym ze starych krzeseł. Włącza laptopa i ustawia go tak, by jedząc, mogła przeczytać jeszcze kilka plików Anne-Lise. Są tam zdjęcia z letnich dni w ogrodzie i z wakacji przed dwoma laty, które Anne-Lise, sądząc z nazwy folderu, spędziła z rodziną na Rodos. Dzieci się kąpiają, a Henrik, wysoki i biały, z uśmiechem patrzy na fotografa.

Iben dobrze wie, co robi, lecz jest jej to obojętne. Mnóstwo eksperymentów z zakresu psychologii społecznej dowodzi, że ludzie, którzy właśnie dokonali trudnego wyboru, poszukują informacji utwierdzających ich w słuszności podjętej decyzji.

Zanim osoby badane dokonają wyboru, możliwości wyboru wydają im się mniej więcej równie rozsądne. O ostatecznym wyborze rozwiązania decydują drobiazgi albo przypadek. Lecz gdy decyzja zostaje już podjęta, poszukują informacji i wyjaśnień, które przekonają ich, że decyzja była słuszna. Zamykają się na wszystkie inne argumenty i w niedługim czasie różnice pomiędzy możliwościami zaczynają się im wydawać bardzo znaczące.

Tak postępują wszyscy ludzie, bez względu na to, czy wybierają samochód, dom czy słowa, jakimi zwrócą się do koleżanki z pracy. To bardzo ułatwia życie. Dlaczego więc Iben również nie miałyby sobie na to pozwolić?

Po zjedzeniu płatków ogląda stare zdjęcia szczęśliwej rodziny podczas wizyty w letnim domku u znajomych. Iben jest dumna z tego, co zrobiła dzisiaj. Odmówiła udziału w totalnym zniszczeniu kobiety na zdjęciach.

I chociaż wie, że Holocaust był czymś zupełnie innym, mimo wszystko nie może powstrzymać się od myślenia o niewielkiej gromadce wybranych bohaterów, którzy po 1945 roku mogli zasiać z takim samym poczuciem w sobie: „Nie postąpiłem tak jak inni, to był egzamin na to, co w człowieku najważniejsze, i ja go zdałem”.

Wyobraża ich sobie w mieszkaniach. W jej fantazji kobieta po drugiej wojnie światowej również siedzi przy stole do pracy, z prawą nogą opartą na krześle i przegląda zdjęcia ofiary, którą uratowała.

Późną nocą, po przeczytaniu następnej partii notatek o smutkach i nieszczęściach Anne-Lise w DCIL, Iben leży w swoim łóżku i myśli: Jak to możliwe, że konsekwencje tego, co robiłyśmy, wydawały mi się nierzeczywiste, dopóki nie przeczytałam o nich w jej dzienniku? Bo przecież gdzieś w środku wiedziałam o nich przez cały czas.

Dochodzi do wniosku, że tok myślenia jej i Malene, choć nie miały pełnej świadomości, przebiegał jednocześnie trzema całkowicie sprzecznymi ze sobą torami.

Po pierwsze, uważały, że to, co robią, jest najzupełniej w porządku, ponieważ nie krzywdzą Anne-Lise. Ona i tak była na tyle gruboskórna, że nic nie czuła.

Po drugie, uważały zarazem, że to, co robią, jest najzupełniej w porządku właśnie, dlatego, że Anne-Lise z tego powodu cierpi. Zasłużyła na takie traktowanie całym złem, jakie wyrządziła środowisku i atmosferze w DCIL.

A po trzecie, wiedziały również, że ich traktowanie Anne-Lise jest z gruntu złe. Chociaż nigdy tego nie pomyślały, ani nie nazwały tej myśli słowami, czuły, że to coś, o czym nikomu nie powinny mówić.

Gdy Iben następnego ranka przychodzi do DCIL, Paul stoi przy biurku Malene i wymienia się z nią ploteczkami na temat kilku znajomych z Niemiec. Sprawia wrażenie odprężonego. Iben od razu widzi, że Paul nie wie, co zaszło wczoraj w biurze.

Malene, jak łatwo się domyślić, miała ochotę dać znać, że jest chora. Musiała jednak przyjść do pracy, jeśli nie chciała ryzykować, że w centrum pod jej nieobecność powstaną nowe relacje.

Iben wita się z koleżankami jak zwykle, a potem na obolałej nodze po raz pierwszy idzie powiedzieć „dzień dobry” również w bibliotece.

Staje przy regale najbliższym Anne-Lise.

- Cześć.

- Cześć.

Iben, próbując popatrzeć Anne-Lise w oczy, pyta:

- Jak się masz?

- Świetnie, świetnie, naprawdę świetnie. A ty?

- Ja też dobrze.

Anne-Lise waha się przez chwilę, zanim mówi:

- Naprawdę się cieszę.

Iben dotyka szafki Anne-Lise, ruchem głowy wskazuje na papiery przed nią i pyta:

- Co robisz?

- Muszę poprawić wyszukiwane słowa w tym stosie nowych książek.

Iben krzywi się, co ma oznaczać, że dobrze wie, jak bardzo jest to nudne.

- No tak, ja też muszę się do czegoś zabrać - mówi. Anne-Lise potakuje, a potem dodaje, tak jak Malene często, gdy kończy się przerwa:

- No tak, trzeba wziąć się do roboty.

Gdy Iben siada na swoim miejscu, Paula nie ma już w Ogrodzie Zimowym. Malene pochyla się niżej nad biurkiem i szepcze:

- Musimy porozmawiać.

- Zdecydowanie - odpowiada Iben i wychodzą do małej sali konferencyjnej.

Tam mówią sobie, jak wiele dla nich znaczy ich przyjaźń. Iben podkreśla, że żałuje, iż znalazła się pod presją sytuacji, w której to wszystko było tak niejasne, i przy innych pokazały, że się ze sobą nie zgadzają.

Malene przeprosza, że zanadto się uniosła i że wczoraj wieczorem nie odbierała telefonów.

Z uwagi na Paula muszą prędko wracać do swoich biur, lecz obiecują sobie, że jeszcze w ciągu dnia porozmawiają w cztery oczy, a poza tym spotkają się wieczorem.

Właściwie Iben ma sporo roboty przy tym numerze poświęconym Turcji, który redaguje wspólnie z Anne-Lise. Wysyła, więc maila tych parę metrów do biblioteki. Pisze, że z ich planowanych rozmów o biuletynie z pewnością wynikną bardzo interesujące rzeczy, ale chętnie odłożyłaby to na parę dni.

Anne-Lise mogłaby dzisiaj kleić się do niej, wyczuwa jednak sytuację na tyle, że odpowiada również mailem: „W porządku”.

Iben zamiast pracować nad numerem o Turcji, proponuje, więc Malene, aby porozmawiały o materiałach dla uczestników konferencji o wysiedleniach Niemców w Europie Wschodniej w latach 1945-1950.

Przysiadła się do niej, aby mogły razem przejrzeć projekty opracowane przez Malene. Teraz wszystko będzie działać jak dawniej. Musi działać.

Iben przesuwa swoją filiżankę z kawą na biurko Malene, wypija duży łyk i zerka w jej papiery.

Już sam tytuł wydaje jej się zły: Welcome to the International Conference „Expulsion of Germans 1945-1950”. Pierwsze zdanie jest w dodatku niezgrabne i prowadzi w zupełnie złym kierunku. Drugie zdanie jest tak ciężkie, że człowiek się całkowicie na nim zacina. Iben przerzuca pierwszą stronę, nie chce jej się nawet na nią spojrzeć. Potem odwraca następną stronę. To beznadziejne.

Próbuje sobie przypomnieć, jak przyjęła szkic Malene, gdy czytała go po raz pierwszy. Pamięta, że uznała go wtedy za dobry punkt wyjścia do gotowego tekstu. Co ma powiedzieć teraz?

Wysila się. Najpierw coś pozytywnego. Ale co w ogóle mogło jej się wtedy w tym podobać?

Podnosi wzrok znad papierów i patrzy na wyczekującą przyjaciółkę. To ta sama kobieta, która wciągnęła ją w zachowanie, którego będzie się wstydzić do końca życia.

Czy Malene dostrzega, jakie uczucia wzbudza dziś w Iben myśl o ich przyjaźni?

Na pewno nie, bo Iben już od kilku miesięcy miała do niej dziwny stosunek, a Malene się nie zorientowała.

Ale sama Iben też tego nie zauważyła! Dopiero teraz odkrywa to, co krążyło jej po głowie już od dawna. Zastanawia się: Może Malene wyczuła to, chociaż ja się nie zorientowałam? Chyba właśnie stąd to jej nieustanne „Nie zadzwoniłaś do mnie z Kenii” z niekończącymi się dyskusjami: „Zostawiłabyś mnie od razu, gdybyś tylko znalazła coś bardziej interesującego”. „Ależ skąd! Nie mogłabym”.

Owszem, Malene, teraz już wiem, że miałaś rację - myśli Iben. - Mogłabym.

Szczęśliwie na ostatniej kartce Iben znajduje coś, co szczerze może pochwalić i przestać kulić się w środku.

- Podoba mi się ten ostatni akapit. Jest zachęcający, a jednocześnie lekki w bardzo przyjazny sposób.

- Staralam się, żeby właśnie taki był.

Uśmiechają się do siebie i równocześnie lekkim wygięciem ust mówią sobie, że uważają przyjaźń za ważną.

* * *

Iben, po powrocie na własną stronę biurka, zamierza napisać recenzję nowej książki o Jugosławii na stronę internetową DCIL. To łatwe i przyjemne zadanie, ale nie może się skoncentrować. Zamiast tego robi kilka notatek dla siebie. Może później całkiem zwyczajnie je wyrzuci. To tylko skojarzenia, w dodatku z pewnością zbyt osobiste. Ale może i z nich powstanie kiedyś artykuł w jej serii o „Psychologii zła”.

Nie marnuje, więc czasu pracy. I tak jest to jedyna rzecz, na jakiej może się skupić.

Psych. zła III

Każdy chyba z własnego doświadczenia zna sytuację, w której przyjaciółka mówi, że między nią a jej chłopakiem wszystko świetnie się układa, a krótko po rozstaniu z nim twierdzi: „Od samego początku wiedziałam, że to się nie utrzyma”. Być może w czasie, gdy to „wiedziała”, zdążyli się pobrać, może kupili razem mieszkanie albo urodziły im się dzieci.

Interesujące jest to, że ona twierdzi, iż o tym wiedziała, lecz zachowywała się tak, jakby nie wiedziała. I może właśnie od tej strony powinniśmy spojrzeć, gdy usiłujemy zrozumieć ludzi, którzy popełniają straszne czyny, choć w innych momentach życia byli przekonani, że nic podobnego nigdy nie przyszłoby im do głowy.

Może powinniśmy przestać przyjmować każdego człowieka jako jedność, a zamiast tego postrzegać jego psychikę jak kiść winogron, w której każde grono ma swoje własne cechy, własny obraz świata i własne poglądy. Nasza świadomość, chociaż nie zdajemy sobie z tego sprawy, może wędrować od gronka do gronka.

Wcale nie cierpiąc na prawdziwe rozdwojenie osobowości, możemy nosić w sobie wiele sprzecznych obrazów świata jednocześnie. Mogą się one rozwijać i nabierać różnych odcieni przez wiele lat, chociaż my w danym czasie jesteśmy obecni tylko w jednym z nich i w zasadzie nie domyślamy się istnienia innych.

Iben notuje

Czy już tutaj wstawić relacje z badań nad DID? Czy mam jakieś inne przykłady? Trzeba je znaleźć. Gdzie?

Taki sposób patrzenia na człowieka może na przykład wyjaśnić czyny wielu serbskich nauczycieli, którzy w Bośni aktywnie uczestniczyli w mordowaniu własnych uczniów i ich rodziców.

Rodzice, którzy przeżyli, z reguły nie potrafili pojąć, jak nauczyciel mógł postępować w taki sposób. Przecież wcześniej zawsze sprawiał wrażenie człowieka kochającego uczniów. Uznali, że przez długi czas musiał ich okłamywać.

Ale on nie kłamał! Nadeszła wojna, przeskoczył do innego winogrona w kiści, a gdy wojna się skończyła, wrócił do tego pierwszego. Ten ostatni skok może wyjaśniać, dlaczego tak wielu zbrodniarzy wojennych nie żałuje swoich postępów. Dalej wiodą normalne życie, a wojna wydaje im się odległa i zamglona, jakby to nie oni mordowali niewinne dzieci i dorosłych.

Brak mi tu zgrabnego przejścia? Może ta następna rzecz powinna znaleźć się w zupełnie innym artykule? Psychologia zła IV? Z drugiej strony to dopiero tutaj rozwijają się perspektywy.

Claude Rawson w książce *God, Gulliver and Genocide* analizował mowy Hitlera sprzed wojny. Są one bardzo mgliste w kwestii Żydów.

Co miało się z nimi stać? Mieli trafić na Madagaskar? Pozornie Niemcy mieli wątpliwości, a mimo wszystko jednocześnie wiedzieli, o co chodzi. Hitler potrafił utrzymywać we mgle to, co wstrętne w jego polityce, lecz w wyraźny sposób podkreślał jej zalety dla Niemców, niebędących z pochodzenia Żydami.

Podobne zjawisko znamy z przemówień radiowych w Rwandzie, wynika to również z badań prowadzonych wśród żołnierzy niemieckich: Nikt nie wypowiada wprost słowa „zabić”. Wszyscy przemawiający wiedzą, o czym mówią, lecz swoją wiedzę potrafią ukrywać w tej niewyraźnej

mgle. Odpowiedni dobór słów sprawia, że przyszłe cierpienia ofiar rejestruje jedynie to gronko w naszej kiści, którego istnienia prawie sobie nie uświadamiamy.

W przyszłości badania mogłyby się skoncentrować na sprawdzeniu, czy owa niejasność w mowach poprzedzających zbrodnię ludobójstwa jest czymś więcej niż tylko zjawiskiem językowym. Może w procesach prowadzących do katastrofy ma ona zasadnicze znaczenie psychologiczne. Może aktu ludobójstwa po prostu nie da się dokonać bez pewnej liczby niejasności językowych, które wspierają wygodne rozdzielanie procesów umysłowych na poszczególne grona w kiści świadomości?

Oznaczałoby to, że proces prowadzący do zbrodni ludobójstwa następuje przy współdziałaniu różnych gron w kiści, angażując rozmaite, równoległe tory myślenia, nie zaś myślenie jednotorowe, w naszej opinii powszechne.

Dzięki temu moglibyśmy poszerzyć wiedzę o ludzkim myśleniu i o procesie podejmowania decyzji, również poza światem ludobójstwa.

Iben opiera się z powrotem na krześle. Czuje ulgę. Miała w głowie te dwa ostatnie fragmenty, lecz wiedziała, że ani ona sama, ani nikt inny później nie zrozumiałby tego, gdyby nie udało jej się napisać reszty.

Trudno powiedzieć, czy te przemyślenia kiedykolwiek znajdą się w biuletynie, ale tekst przynajmniej jest już w komputerze. Iben znów ma w sobie dość energii, by rozejrzeć się po Ogrodzie Zimowym.

Malene siedzi pochylona nad swoim ekranem, a Paul wrócił. Wygląda na to, że zaplanował sobie dzisiaj częste zaglądnienie do swoich podwładnych i rozmowę ze wszystkimi. Pragnie być inspirującym i obecnym szefem. I taki też jest, tyle, że w zupełnie niewłaściwym momencie.

Nie wyczuwa napięcia panującego w biurze, a nawet gdyby je wyczuł, to i tak nie wiedziałby, skąd się wzięło.

Staje teraz obok Camilli, która z pewnością wie, co się dzieje, lecz trzyma się w bezpiecznej odległości, jak najdalej od problemów.

Camilla pyta go, co słyhać u Olego i w zarządzie, bo wielu członków zarządu w ostatnich dniach dzwoniło i chciało porozmawiać z Paulem. Ole musiał powiadomić ich o wizycie Gunnara w centrum.

Można by przypuszczać, że Paul będzie się bał, gdy zarząd odkryje jego próby wyeliminowania jednego z członków, ale on tylko się uśmiecha i mówi:

- Świetnie, świetnie.

Później przy biurku Malene dodaje:

- Wszystko na pewno się ułoży. Zaufajcie mi.

Podczas przerwy na lunch Paul z zaangażowaniem opowiada o nowych wynikach badań z Kanady. Pyta też Iben, co ostatnio czytała, oczywiście z dziedziny, którą zajmuje się DCIL. Ale ona znów zaczyna mówić o książkach na temat DID i o przemyśleniach zawartych we fragmentach artykułu, które zapisała tylko dla siebie.

Mówi ściszym głosem i raz zerka na Anne-Lise, ale nie udaje jej się nawiązać z nią kontaktu wzrokowego. Nie może też porozumiewać się spojrzeniem z Malene, zwraca się, więc przede wszystkim do Paula.

Nagle urywa. Jak zawsze obawia się, że mówiła zbyt długo. Ale Paul głośno ją chwali:

- Tak, tak, Iben. Właśnie takie dyskusje powinniśmy tu prowadzić. To wspaniale, że porywasz się na takie swobodne myślenie.

Potem przedstawia sporo zastrzeżeń, absolutnie nie w agresywny sposób, lecz po to, by pokazać możliwości i zakres tej teorii kiści winogron. A być może po prostu przyjemność sprawia mu sama dyskusja.

Gdy przerwa na lunch dobiega końca i wszyscy wracają na swoje stanowiska, prosi, by Iben przyszła sama do jego gabinetu. Iben zawsze bardzo się w takich sytuacjach denerwuje.

Paul siada i daje jej znak, by usiadła naprzeciwko niego. Odchyła się na krześle, a Iben widzi, że pod koszulą zaczyna mu się rysować brzuszek.

Iben siedzi odwrócona plecami do otwartych drzwi do Ogrodu Zimowego. Dochodzi do wniosku, że skoro Paul ich nie zamknął, spotkanie nie może być ani nieprzyjemne, ani bardzo poważne.

- Wiesz - zaczyna Paul. - Obawiam się, że Robert Jay Lifton w swojej książce *The Nazi Doctors* już napisał o twoich przemyśleniach.

Iben uśmiecha się zadowolona. Paul chce po prostu kontynuować ich dyskusję w czasie, gdy pozostałe pracują. Szef kładzie nogi na sąsiednim krześle i mówi:

- Lifton wprowadza tu pojęcie „doubling”, na określenie rozszczepienia powstałego u lekarzy, którzy w godzinach pracy przeprowadzają eksperymenty, będące torturami, i kroją żywych ludzi, a po pracy znów stają się łagodni i bawią się z dziećmi.

Iben czuje się jak ryba w wodzie. Bez problemów odpowiada:

- Nie, teoria doublingu Liftona to coś zupełnie innego. Mówi, że u lekarzy znajdujących się pod szczególną presją w obozach koncentracyjnych następował podział osobowości. Wyodrębniła się ta strona osobowości, która niezależnie od ich normalnego „ja” potrafiła zanurzać ciała badanych we wrzątku i...

Iben dała się porwać dyskusji i mówi chyba głośniej, niż powinna odzywać się do szefa.

- Ja mam na myśli model o większej liczbie rozszczepień. Model oparty na nowych badaniach wielu stopni rozszczepienia osobowości. Ten model nie opisuje stanu pojawiającego się w sytuacjach szczególnych, lecz coś, co tkwi w nas wszystkich.

Paul nie odpowiada.

Zakłada ręce za głowę i zaraz je opuszcza. Iben boi się, że powiedziała coś nie tak.

- Nie jestem pewien, czy się z tobą zgadzam - mówi wreszcie Paul. - Ale musisz wiedzieć, że na wypadek gdybyśmy znaleźli się pod rządami Mortena Kjaeruma i całej tej zgrai z IPC, będę do końca walczył o to, żebyś nie wyleciała. Do końca!

Patrzy jej prosto w oczy.

- Zważywszy na to, że jesteś specjalistką do spraw informacji, a nie badaczem, to masz wyjątkowy talent. A tego nam potrzeba. Będę o tym przekonywał każdego.

Iben czuje ulgę i dumę. Myśli jednak również o otwartych drzwiach za plecami. Oczywiście koleżanki próbowały podsłuchiwać.

- Dziękuję... dziękuję, to bardzo miło z twojej strony, że tak mówisz.

Przez całe przedpołudnie Paul usiłował stworzyć dobry nastrój, chwając wszystkich, lecz to, co powiedział Iben, to coś zupełnie innego. To oświadczenie, że Iben wyprzedza wszystkich na jego liście priorytetów.

Chwilę później Iben wraca do Ogrodu Zimowego. Ból nogi już jej tak bardzo nie dokucza. Łatwiej jest nie utykać. Mija Camille, która siedzi tak blisko drzwi, że z pewnością słyszała każde słowo Paula.

Camilla udaje, że nic nie zaszło. Iben próbuje pochwycić jej spojrzenie, lecz Camilla wpatruje się w monitor.

Iben dochodzi do Malene. Jako koordynator projektu, Malene przy połączeniu jest raczej tą, która będzie pierwsza do odstrzału, chociaż pracuje tu najdłużej.

Spojrzenie Malene przypomina wzrok Cathy wtedy, w tamtej małej chacie z krowiego łajna, w której Iben lepiej niż wszystkim innym udało się zaprzyjaźnić z Omoro. Ale Malene nie mówi „Ty jesteś w tym dobra”, ani „Ja też mogłabym spróbować”, jak powiedziała Cathy.

Malene szepcze samymi tylko wargami:

- Pójdiesz ze mną?

Wchodzą do małego magazynu, po którym dwa i pół miesiąca wcześniej buszowały razem z Rasmusem, gdy próbowali znaleźć kod dostępu do komputera Anne-Lise.

Malene siada na starym krześle biurowym, które stoi przy ekranie komputera-serwera. Patrzy na Iben.

- Naprawdę myślałaś, że rozmawialiśmy o Anne-Lise?

- O co ci chodzi?

- O wczoraj. Kiedy Anne-Lise weszła i twierdziła, że o niej rozmawialiśmy.

- No, bo przecież rozmawialiście.

- Oczywiście, że nie.

- Ależ...

Duże piwne oczy Malene patrzą natarczywie. Przerywa Iben:

- Anne-Lise ma halucynacje. A ty też byłaś wczoraj jakaś okropnie roztargniona. Sprawiałaś takie wrażenie, jakbyś w ogóle nie spała w nocy. Na ile jesteś pewna, że to słyszałaś?

Ktoś przechodzi korytarzem. Brzmi to jak Anne-Lise. Iben i Malene milkną, a kroki prędko się oddalają.

- Nie jesteś tego wcale taka pewna - ciągnie Malene. - Widzę po tobie.

- Owszem, jestem. Rozmawialiście o tym.

Malene mówi cicho i poważnie, jakby o bitwie, którą już przegrała.

- To nieznośne, że Anne-Lise musi nam ciągle siedzieć na karku z tą paranoją, ale panowałyśmy nad sobą. To my byłyśmy profesjonalistkami, które próbowały jedynie zrobić coś, by to biuro jakoś funkcjonowało. Byłyśmy spokojne i konstruktywne. Próbowałyśmy jej pomóc, chociaż nas zadreczała, a Paul nie chciał jej odesłać na zwolnienie.

Malene, mówiąc, przyciska czubki palców jednej ręki do pewnego punktu na nadgarstku drugiej. Iben ostatnio widziała to, będąc u niej, gdy Malene leżała na kanapie obłożona mnóstwem poduszek i mówiła: „Leżę i słyszę, jak moje kości po cichu rozsypują się w proch”.

Teraz w małym magazynie z serwerem mówi:

- Nie wiem, dlaczego ją popierasz i twierdzisz, że o niej rozmawialiśmy, skoro wcale tak nie było.

- Ależ przecież rozmawialiście!

- Nie zamierzam o tym dyskutować również z tobą. Ale domyślam się niektórych rzeczy, w których maczałaś palce.

- Co?

- Do tego też na pewno się nie przyznasz?

- Najpierw musisz mi powiedzieć, o co...

- O Paula, o pracę i o współpracę z Anne-Lise.

- Co? Malene, nie możesz...

Malene znów wbija spojrzenie w Iben.

- To, co napisali o tobie w tym mailu, to najprawdziwsza prawda. Przez cały czas tak myślałam. Uważasz się za jedyną sprawiedliwą.

* * *

Znów siedzą przy dwóch biurkach ustawionych naprzeciwko siebie. Mają tu siedzieć przez kolejne tygodnie, może przez wiele kolejnych lat. Ale Iben nie wie, czy wciąż są przyjaciółkami.

Widzi, jak Malene wali w swoją ergonomiczną klawiaturę. Jak ona może się skupić? Co jest w stanie teraz napisać?

Może po prostu pisze mail do samej siebie z przemyśleniami na temat Iben? Oczywiście, tak jak Iben, ma przede wszystkim ochotę iść do domu. Ale Malene też jest z tych, co walczą o przetrwanie.

I co z tego? Czy mają przestać dzwonić do siebie wieczorami? Czy Iben kiedykolwiek jeszcze będzie miała taką przyjaciółkę jak Malene? Na pewno nie. Już nigdy nie będzie miała najlepszej przyjaciółki, z którą byłaby związana od młodości.

Przypomina sobie sytuacje z czasów, gdy mieszkały razem w akademiku. Malene, która tak nagle wypiękniała i ciągnął się za nią dwór wielu mężczyzn, którymi chciała zawładnąć. Malene na imprezach z ufarbowanymi na czarno włosami, fryzura funky. Malene rano, w kuchni w akademiku, rozplywająca się przy jednym ze stołów, z resztkami makijażu, rozmazanego w egzotyczny sposób, nad okruchami ze śniadania innych mieszkańców, przy parującej cafe au lait, i jakiś zagubiony facet, być może śpiący teraz w jej pokoju albo idący ulicami do swego mieszkania.

Ma też przed oczami wizytę u rodziców Malene, w Kolding, w ich małym jednorodzinny domku. Nieszczęśliwa matka rencistka, zasuszony ojciec, pracujący w ubezpieczeniach, i Malene, która wyrosła na jedyną piękność w rodzinie i jedyną osobę z wyższym wykształceniem, z prestiżową pracą w Kopenhadze.

Ale dodatkowo Iben wyobraża sobie również swoje przyszłe spotkania z Gunnarem w małych restauracjach na mieście. Iben i Gunnar nachyleni do siebie nad stolikiem. On trzyma ją za ręce, patrzy jej w oczy, prowadzą długie, ciekawe rozmowy na wszelkie możliwe tematy, którym oboje dają się porwać.

Przerzuca ogromny stos leżących przed nią artykułów o Turcji, ale nie musi udawać, że się skupia.

Malene najwyraźniej nie jest w stanie uwierzyć, że mówiła o czymś, o czym naprawdę mówiła.

Co jeszcze może robić, nie pamiętając o tym później? Czy jej rozszczepiona osobowość potrafiłaby nalać krwi do segregatora z czasopismami? Czy mogłaby wysyłać listy z pogrózkami, a potem całkiem już o nich nie pamiętać?

Iben z odległości dwóch metrów obserwuje przyjaciółkę. Naprawdę nie ma pojęcia, co się w niej dzieje. Malene zauważa, że Iben na nią patrzy, lecz nie chce wytrzymać jej spojrzenia. Zamiast tego wpatruje się uporczywie w grzbiety kilku teczek obok zdjęć na ich tablicy.

To niemożliwe, by Iben słyszała głos Malene na schodach na chwilę przed wypadkiem Rasmusa. Iben przez cały czas uważała, że to wykluczone. Ale w ciągu ostatnich godzin zauważyła, jak bardzo rozbieżne potrafią być jej myśli.

Malene

41

Kiedy Iben i ja byliśmy w kinie niedługo po tym, jak zaczęła pracować w centrum, szliśmy przez plac Ratuszowy, a ona spytała:

- Nie uważasz, że ratusz niewiarygodnie przypomina główny budynek straży w Birkenau?

A nieco później, podczas tego samego wieczoru, powiedziała:

- Widzisz tego psa? Wygląda tak samo jak pies komendanta obozu w Treblince.

Pracowała w DCIL krócej niż ja, a już myślała o ludobójstwie i psychologii zbrodni przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W rzeczywistości nie powinna chyba pracować w takim miejscu. To intelektualistka, lecz jest zbyt wrażliwa. Nie potrafi zachować dystansu i równowagi, jak my, pozostali.

Może trudno byłoby robić jej z tego zarzut, bo ona taka po prostu jest, ale prowokuje mnie DO SZALEŃSTWA, takim widzeniem tej sprawy. Traktuje mnie jak biurową faszystkę, która dla Anne-Lise zaplanowała Endlosung.

Jak mam traktować przyjaciółkę, która tak myśli?

Nie powiedziała mi tego wprost, ale wiesz, jak to jej teoretyzowanie zdradza jej myśli. Tak mnie to złości. To kpina z ludzi doświadczających prawdziwego ludobójstwa. Jak ona może

porównywać ich cierpienia z rozkapryszą bibliotekarką, która nie potrafi zrozumieć, dlaczego tyle osób jej nie lubi? Jak może porównać swoją przyjaciółkę ze zbrodniarzem wojennym?

Wpadło mi do głowy, że może ona przeżywa coś w rodzaju załamania. Jak już się zapewne domyśliłeś, zastanawiam się również, czy to nie ona wysłała te maile z pogrózkami i podmieniła moje tabletki. Z całą pewnością jest na tyle dziwna, by ukryć.

* * *

Dzwoni telefon. Malene odrywa się od listu, który pisze na komputerze, i rozgląda po pokoju. Dopiero teraz zauważa jak się ściemniło w trakcie jej pisania. Zrobiło się tu ponuro, musi pozapalać lampy w kątach, gdy skończy już rozmawiać przez telefon.

W słuchawce rozlega się głos jej matki:

- Musisz zmienić tę wiadomość na sekretarce.

- Tak, wiem.

- Można dostać szoku, gdy się bez ostrzeżenia usłyszysz nagle jego głos.

- Tak, wiem. To też... - Malene drapie się w twarz lewą ręką i dodaje: - Stale też dostaję rachunki na jego nazwisko. Jak gdyby w ogóle nie przestał rozmawiać przez komórkę... To straszne.

- No tak, ale musisz mieć wzgląd na innych ludzi.

- Na pewno to zrobię.

Może Malene naprawdę powinna poświęcić trochę pieniędzy i kupić drugą automatyczną sekretarkę? Wie, że nie będzie w stanie się przemóc i skasować powitania Rasmusa. W niektóre noce puszcza sobie to nagranie z jego głosem raz za razem. Zdarza się, że pije białe wino i godzinami naciska guzik „autokomunikat” w sekretarce.

Matka przerywa jej myśli.

- To ma znaczenie dla osób, które do ciebie dzwonią.

Kiedys nastąpi przerwa w dostawie prądu - myśli Malene - albo ktoś zawadzi nogą o sznur. Wtedy ten komunikat i tak się skasuje. Gdybym kupiła nową, miałabym dwie sekretarki.

Matka opowiada o starych znajomych z Kolding, którzy słyszeli o Rasmusie i bardzo współczują Malene.

- Naprawdę musisz powiedzieć, jeżeli jest bodaj drobiazg, który mogłabym dla ciebie zrobić. Bardzo ci współczujemy. Dużo o tobie myślimy.

Malene nie odpowiada, a matka pyta:

- Siedzisz i pisziesz do Rasmusa?

- Mhm.

- To dobrze. Lepiej to z siebie wyrzucić. Bo na pewno jest mnóstwo rzeczy, które chciałabyś mu powiedzieć.

- Mhm.

* * *

Po tej rozmowie Malene chodzi po salonie i zapala lampy. Ktoś, kto nie ma pojęcia o goścu, nie dostrzegłby w mieszkaniu drobnych śladów choroby Malene: pojedyncze metalowe krzesło z mnóstwem możliwości regulacji wśród drewnianych krzesel, które wcześniej stały wokół stołu jadalnianego. Specjalne noże i narzędzia w kuchni. A jeśli w odwiedziny przyjdą dobrzy przyjaciele, to w pokoju mogą leżeć różne przyrządy do ćwiczenia sprężystości dłoni.

Malene wraca do pisania:

Przyznaję to. Iben, niestety, ma rację, że byliśmy zbyt ostre dla Anne-Lise. Musimy być czyste, nawet, jeśli to ona zaczęła.

To ona tak wymanewrowała Paula, że przekazał jej część moich bardzo interesujących obowiązków. To ona ustawiła się w takiej pozycji, że najprawdopodobniej właśnie mnie zwolnią przy najmniejszej redukcji etatów, jeśli zostaniemy włączeni do IPC. Chociaż pracuję tu najdłużej, chociaż choruję na tę przeklętą chorobę i może mi być trudno znaleźć inną pracę, chociaż Ty umarłeś trzy tygodnie temu i najprawdopodobniej nikogo już nigdy nie znaję. A już na pewno nikogo, kto chciałby mieć ze mną dzieci.

Rasmusie, nie rozumiesz, że można się zezłościć? I robić rzeczy, których w innych sytuacjach by się nie zrobiło?

A mimo to zachowałam się wobec Anne-Lise profesjonalnie. Nie byłam wobec niej przyjacielska, ale w każdym razie zawsze postępowałam przyzwoicie.

To Iben namówiła mnie na jakieś niestosowne głupstwa. Nigdy nie powinnam była tego robić. Żałuję tego. A teraz nagle Iben zmienia front i jako ta jedyna sprawiedliwa obwinia mnie o to, do czego samma mnie namówiła!

Malene kilka razy z rzędu błędnie uderza w klawisze. Jestem za bardzo rozzłoszczona, żeby pisać dalej. Nie mogę...

Wstaje i na stojąco wypija pół kubka herbaty, a potem próbuje jeszcze raz.

Nie jestem aż tak głupia, by nie widzieć, co się za tym kryje. Iben zdobyła tę pracę za moim pośrednictwem. Załatwiłam jej wyjazd do Kenii. Pomogłam jej zaistnieć w środowisku zajmującym się prawami człowieka, a teraz

Paul lubi ją bardziej niż mnie. Jeśli uda się jej jeszcze zabrać Gunnara, będzie to znaczyło, że zabrała mi WSZYSTKO.

A teraz ją już nie interesuję! Potrzebuję pomocy, ponieważ nie mam już Ciebie, a moja choroba może w każdej chwili się zaostrzyć. Właśnie teraz ona wymyśla powód, żeby się mnie pozbyć.

Może nawet sama w to wierzy. Naprawdę uważa się za jedyną sprawiedliwą. Strasznie się na niej zawiodłam, Rasmusie.

Rozczarowała mnie już Kenia, lecz obie walczyłyśmy, by to naprawić. Ale teraz jestem tak cholernie zawiedziona, że nie widzę możliwości, bym kiedykolwiek odzyskała do niej zaufanie.

Malene rozgląda się po salonie. Połowa obiadu została na talerzu na stole przy kanapie. Teraz zawsze je tutaj, bo wciąż nie ma nowego stołu.

Ciebie nie ma. Iben mówi, że nasz związek nie był tak dobry, jak go pamiętam. Ale co ona o tym wie? Co ktokolwiek wie o tym oprócz Ciebie i mnie?

42

To niezwykle dzień w DCIL. Pewna badaczka, która często korzystała z pomocy centrum, broni pracy doktorskiej w Instytucie Historii Uniwersytetu Kopenhaskiego. Tematem są zbrodnie Stalina w latach 1937-1938 na co najmniej czterech i pół milonie mieszkańców Związku Radzieckiego, a promotorem jest Ole, prezes zarządu DCIL.

Wszyscy w centrum bardzo polubili Anitę, gdy niemal codziennie przesiadywała w dużej sali konferencyjnej nad dokumentami z obszernego, choć nieco chaotycznego zbioru radzieckiego DCIL. Anita jest z wykształcenia pielęgniarką i historię zaczęła studiować dopiero w wieku trzydziestu trzech lat, po urodzeniu trojga dzieci. Teraz po dziesięciu latach i po rozwodzie zdobędzie tytuł doktora. Wszyscy uważają to za fantastyczne i bardzo zasłużone.

W obronie jej pracy i mającym się odbyć później przyjęciu będą uczestniczyć Ole, Frederik i różne inne osoby z zarządu. Zaproszony jest również Paul i wszyscy pracownicy centrum. Biuro jest, więc zamknięte przez całe przedpołudnie.

Malene gna przez nieprzenikloną sieć szerokich betonowych korytarzy budynków Uniwersytetu Kopenhaskiego na Amager.

Zorientowała się, że idzie źle. Potem znów błądzi. Wie, że nawet ludzie, którzy tu studiują, nie zawsze potrafią odnaleźć właściwą drogę. A Iben, nim zaczęła tyle mówić o DID i o

ludobójstwie, często opowiadała o filmach o zwierzętach i porównywała te korytarze do pajęczyn utkanych przez pająki, u których naukowcy farmakologicznie wywołali schizofrenię.

Dwaj studenci, pochyleni nad papierami zajmującymi całe siedzenie jednej z umieszczonych tu na stałe betonowych ławek, oglądają się za Malene. Jest ubrana w krótki ciemnozielony wełniany żakiet, który świetnie pasuje do koloru jej włosów, a nowe buty za kostkę sama zaprojektowała ze wszystkimi szczegółami dla szewca wykonującego obuwie ortopedyczne.

Trzeba się cieszyć z tego, co się ma, próbuje myśleć. Nie należy snuć fantazji o tym, co może się zdarzyć za pięć lat.

Zastanawia się, kiedy znów powinna zadzwonić do Gunnara i czy wkrótce się spotkają. Ostatnio, gdy telefonowała, nie zastała go, ale nie zostawiła żadnej wiadomości. Wie, że wysłano go służbowo z gazety do Afganistanu, ale chyba powinien już wrócić. Może wyjazd się przeciągnął?

Nareszcie daleko przed sobą widzi grupę odświętnie ubranych historyków. Góruje nad nimi jasna głowa Frederika.

Malene szybko podchodzi bliżej. Ole też tu jest, to wokół niego wszyscy się gromadzą. A gdzie Paul? Czy w ogóle widział się z Frederikiem, odkąd zarząd dowiedział się o jego numerze?

Malene się wita. Gawędzi przez chwilę z Frederikiem, jak zwykle odrobinę flirtując, aż wreszcie ludzie zaczynają wchodzić do środka. Malene rozgląda się za Iben i pozostałymi koleżankami. Z pewnością już zajęły miejsca w sali wykładowej. Malene zadaje sobie pytanie, jak daleko od Iben powinna usiąść. Jeśli usiądzie po przeciwnej stronie, to będzie zbyt rzucać się w oczy.

Przed wejściem Malene spotyka kolejnych znajomych. Sporo słuchaczy wywodzi się ze środowiska, z każdym musi zamienić przynajmniej kilka słów. Niektórzy, o ile Malene wie, nie mają bezpośrednich związków ani z Anitą, ani z sowieckim ludobójstwem. Są tu być może po to, by podtrzymać dobre stosunki z Olem i Tatianą, no i może jeszcze z kimś z zarządu.

Ale Paula nie ma. Malene trochę się niepokoi. Ze względu na nie wszystkie on również, powinien odrobinę kadzić prezesowi, zwłaszcza w takiej sytuacji.

W dużej białej sali wykładowej z rzędami stołów i krzeseł Malene wśród mnóstwa ludzi dostrzega wreszcie koleżanki. Iben siedzi między Anne-Lise i Camillą, Malene będzie więc musiała zająć miejsce obok nich.

Czym prędzej przeciska się za stolikami z tyłu sali tak, by mogła się do nich zbliżyć od drugiej strony i usiąść obok Camilli, a nie przy Anne-Lise.

Już z daleka słyszy ich głosy. Iben mówi nieco za głośno, gdy natarczywie pyta:

- Czy Zigić i Dragan się znają?

Camilla rozgląda się lękliwie i sprawia takie wrażenie, jakby miała ochotę stąd uciec.

- Ależ Dragan nienawidzi Žigicia!
- Camillo, ja pytałam, czy oni się znają.
- Dragan go nienawidzi!
- Ale czy się spotkali?
- Nie, nie. Nie spotkali się.

Camilla kręci głową. Z jakiegoś powodu wydaje się, że kłamie.

Malene też szybko się rozgląda. Ile z obecnych tu osób ich słucha?

Chyba sporo. Ludzie czekają, aż Anita zacznie, nie mają nic innego do roboty.

Ale Iben nie dopuszcza do tego, by przerwały jej gesty Camilli czy też spojrzenia innych ludzi.

- Szukałyśmy Dragana Jelisicia w naszej bazie danych. Jest wymieniony w książce zatytułowanej *Days of Blood and Singing*. Pojechałam, więc rano do centrum, by ją odszukać. Wypożyczenia książki nie odnotowano, ale w bibliotece jej nie ma.

Malene siada i pyta, co się dzieje.

Nikt nie odpowiada, koleżanki są zbyt pochłonięte własnymi sprawami.

Gdy pyta po raz drugi, Anne-Lise wychyla się za plecami pozostałych i wyjaśnia:

- Iben sprawdziła wczoraj w Internecie, że odstąpiono od oskarżenia tego Serba w Chicago, który przyznał się do wysłania maili z pogrózkami.

- No dobrze, ale co to...

Malene łatwo może sobie wyobrazić, że Iben będzie się tym podniecać. Ona natomiast ma poważniejsze zmartwienia. Anne-Lise wyjaśnia:

- Nikt nas o tym nie powiadomił, więc zadzwoniła, żeby się upewnić...

W tym czasie Iben kontynuuje przesłuchanie Camilli:

- Wiesz, gdzie się podziała ta książka?

- Nie.

Camilla zaciska usta i pochyla głowę nad blatem stołu, który ma przed sobą. Jak można aż tak nie umieć kłamać? Jak gdyby się dopominała, żeby ją ukarały, jeszcze zanim zyskają jakąkolwiek pewność.

Pomrukiwanie dookoła cichnie. Ludzie zorientowali się, że przewodniczący komisji egzaminacyjnej wstaje. Iben zdąży jeszcze powiedzieć:

- Ale ktoś był w centrum i musieli...

Orientuje się, że tylko ona mówi.

Przewodniczący wita wszystkich i po krótkiej chwili oddaje głos Anicie, która wygląda bardzo poważnie i dostojnie w długiej niebieskiej sukni. Mówi, że cieszy się, że wreszcie będzie

mogła wtajemniczyć przyjaciół i kolegów w to, nad czym pracowała od czterech lat. Przeprasza, że nie wybrała większego lokalu. Szkoda, że niektóre z osób przybyłych jako ostatnie muszą stać.

Potem zaczyna wykład. Malene w tym czasie usiłuje zrozumieć, co się stało.

Wczoraj wieczorem Iben zorientowała się, że być może nadawca maili z pogrózkami wcale nie został odnaleziony. Do przedwczoraj zadzwoniłaby z taką informacją przede wszystkim do Malene. Teraz tak nie jest.

Może telefonowała do Paula lub do Camilli, a na pewno do Anne-Lise.

Anne-Lise już wcześniej opowiadała, jak przypadkiem dowiedziała się, że Camilla miała kiedyś chłopaka, który był serbskim uchodźcą. Camilla wtedy zaprzeczyła, a Anne-Lise nikt nie uwierzył. Teraz jednak Iben najwidoczniej zmieniła zdanie.

Wczoraj wieczorem, z pewnością jednocześnie rozmawiając przez telefon, szukały jego nazwiska w Internecie, w googlach i w bazie danych DCIL. Anne-Lise oczywiście już wcześniej próbowała coś znaleźć. Chętnie jednak zrobiła to znów razem z Iben, bo pragnie najszybciej jak się da związać się z dominującą osobą w centrum. I w końcu okazuje się, że Camilla skrywała przed wszystkimi wielką tajemnicę.

Nie można spytać Camilli, jak to wytłumaczy, bo Anita jest w środku swego wykładu. Malene nie słucha, wychyla się odrobinę do przodu i tylko zerka na Camille, która siedzi obok niej jak sparaliżowana.

Komórka Iben błyska bezgłośnie na stoliku przed nią. Ktoś dzwoni. Iben wstaje, starając się zrobić to jak najdyskretniej, ale swoją torbę z komputerem zawadza o oparcia krzeseł wielu słuchaczy.

Sama nie mówi ani słowa, ale trzeszczą wszystkie krzesła, odsuwane, by ją przepuścić. Iben przepaszającym gestem podnosi rękę do Anity, wskazując na swoją komórkę, na szczęście Anita bez przeszkód kontynuuje wykład.

Centrum, doprawdy, nieźle się dzisiaj popisuje! Dyrektor nie stawiał się na spotkanie, pracownicy hałasują przed rozpoczęciem wykładu Anity, a specjalistka do spraw informacji wychodzi w połowie obrony.

Co to za rozmowa? Pewnie coś w związku z Draganem Jelisiciem? Ale czy to nie może zaczekać?

Iben po powrocie z Kenii czasami sprawia wrażenie osoby ogarniętej paranoją, i teraz z pewnością opętały ją najdziksze fantazje o byłym narzeczonemu Camilli.

Po wykładzie i udzieleniu przez Anitę odpowiedzi na pierwsze pytania w dyskusji następuje przerwa. Ludzie zaczynają powoli wychodzić na korytarz, gawędząc wesoło w zbitej gromadzie.

Przy drzwiach tworzy się kilka kolejek. Malene trafia w pobliże dwóch wykładowców historii, których poznała przy okazji współpracy nad tematem duńskiej polityki imigracyjnej w

latach trzydziestych. Uznaje, że musi z nimi chwilę porozmawiać, a gdy wreszcie wychodzi na korytarz, nigdzie nie widać już Iben i pozostałych koleżanek.

Zagląda do sali, w której stoi przygotowane wino, ciastka, tapas i shery. Ale tam też ich nie ma. Mikala, która wkrótce również będzie bronić doktoratu z historii, jest w środku. Mówi, że pomagała Anicie przygotować poczęstunek. Sama najwyraźniej po kryjomu rozpoczęła już przyjęcie, bo trzyma papierowy talerzyk z melonem i czekoladkami.

Rozmawiają krótko i nagle zjawia się Ole z Frederikiem. Ole pije colę.

- Gdzie Paul? - pyta ją.

Na brodzie ma mikroskopijny okrusek czekolady.

- Nie wiem.

- Unika mnie dzisiaj. Nie mogę się też dodzwonić na jego komórkę.

- Przecież on na ogół zawsze ma włączony telefon. Malene nie podoba się zbratanie Olego i Frederika.

- Może bateria mu siadła - mówi.

Ole i Frederik wymieniają dziwne spojrzenia.

- Byle tylko nic mu się nie stało - dodaje Malene.

Frederik uśmiecha się do niej.

- Nie, to na pewno nie to. -A co?

Frederik krzywi się i Malene wyczuwa, że nie powinna więcej pytać. Pewnie obecność Olego powstrzymuje go od dalszych komentarzy. Zwykle udawało jej się skłonić go do powiedzenia wszystkiego-

Zza drzwi dobiega gwar rozmów. Malene udaje się wydostać z tłumu, nie rozmawiając z nikim zbyt długo. Idzie w dół szerokiego korytarza. Zawraca, jeszcze raz przebija się przez grupę słuchaczy i rusza w przeciwnym kierunku. Tu też nikogo nie ma. Dopiero za rogiem słyszy głosy koleżanek dobiegające zza zamkniętych drzwi kolejnej sali wykładowej. Iben krzyczy:

- A jak wytłumaczysz to, co tu jest napisane?

Malene otwiera drzwi akurat w chwili, gdy Iben odczytuje coś z ekranu swego laptopa, który trzyma w rękach.

- „Wiadomo, że ludzie poddawani okrutnym torturom, w wyniku traumy, z której nie wyzwolą się do końca życia, będą powtórnie przeżywać w pamięci cierpienia w sposób bardzo bolesny i bardzo żywy. Przebłyski w pamięci otwierać się będą za każdym razem, gdy ofiary ujrzą coś, co przypomni im o torturach. Z bezgranicznym okrucieństwem wykorzystają to bojówki w obozie w Omarskiej. Mirko Zigić, obecnie poszukiwany przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, i jeden z jego żołnierzy, Dragan Jelisić...!

Iben urywa i patrzy na Camille, która już od jakiegoś czasu płacze.

Iben czyta dalej:

- ...i jeden z jego żołnierzy, Dragan Jelisić, wymyślili, że podczas torturowania ofiar w ich polu widzenia znajdują się butelki coli. Za każdym razem, gdy ofiara, której uda się przeżyć tortury, zobaczy butelkę coli, w reakcji posttraumatycznej będzie powtórnie przeżywać cały swój ból, przenikliwy i niszczący. A dokąd na świecie można pojechać, by przypadkiem nie zobaczyć butelki z colą? Anne-Lise wstaje z krawędzi katedry.

- To twój dawny chłopak? - pyta.

Camilla zachowuje się, jakby była małą dziewczynką. Stoi skulona.

- Ja wtedy nawet o tym nie wiedziałam! - Podnosi głowę. - Gdy się zorientowałam, właśnie, dlatego zgłosiłam się do pracy w centrum, bo uznałam, że to takie straszne! Przecież mnie znacie! Wiedziecie, że uważam to wszystko za okropne! Wiedziecie, że... Przecież mnie znacie!

- Jak długo byliście ze sobą? - pyta Iben.

- Cztery miesiące.

Camilla znów spuszcza głowę i zaczyna płakać głośniej. Iben podchodzi do niej, chce ją objąć, lecz Camilla, nie patrząc, wyciąga ręce gotowe odepchnąć każdego, kto się do niej zbliży.

Stoją i nie wiedzą, co robić. Nie zapaliły światła, gdy tu wchodziły, a przy tak pochmurnej pogodzie powinny były to zrobić. Ściany w półmroku przybierają barwę mokrego kartonu. Błaty stołów przypominają mętną wodę pod ciemnymi chmurami. A Iben i Anne-Lise wyglądają w tej przedpołudniowej szarówce jak wyblakłe.

Iben odstawiła swój komputer na jeden ze stołów. Malene podchodzi do niego.

Iben odczytała skan kilku stron z Days of Blood and Singing. Malene widzi, że Iben dostała te strony pocztą elektroniczną od pracownika Komisji Praw Człowieka ONZ w Genewie w czasie, gdy one słuchały wykładu Anity.

Camilla mocno sama się obejmuje. Nie odrywając oczu od podłogi, mówi cienkim dziewczęcym głosem:

- On wcale nie był taki, jak napisano w tej książce. To było, jeszcze zanim zesłam się z Finnem. Draganowi się podobałam, pomimo mojej tuszy, mojego ciała.

Malene odrywa oczy od komputera i patrzy na ciało Camilli, które jest najzupełniej w porządku.

- Gdzie się poznaliście? - pyta Anne-Lise.

- Na imprezie. On był taki delikatny. Wydawało się, że nigdy nie mógłby wyrządzić nikomu krzywdy. Było mi go żal. Uchodźcy wygnanego z własnego kraju. Opowiadał, że jego trzy siostry zostały zgwałcone i zabite przez Bośniaków. Sprawiał wrażenie takiego nieszczęśliwego, gdy o tym mówił. Nie wiem... Spotkaliśmy się jeszcze raz, a potem znów.

Camilla wyciera nos rękawem.

- On mówi, że w tej książce napisano nieprawdę.

Iben pyta cicho, lecz wciąż jest podniecona:

- Nie brałaś pod uwagę, że człowiek, który zabił setki ludzi, mógł cię okłamać?

Camilla nie odpowiada. Wszystkie milczą. Chwilę później Camilla mówi:

- On przyznaje, że robił tam u siebie złe rzeczy, tak jak wielu innych. To prawda. Ale wcale nie wyglądał na takiego, gdy go poznałam. Nie lubił o tym mówić. Było mu bardzo przykro.

- Wciąż się z nim widujesz? - pyta Iben.

Camilla nareszcie znów podnosi wzrok.

- Ależ nie, skąd! Oczywiście, że nie!

- Widziałaś się z nim po przeczytaniu tej książki?

- Nie, już się z nim nie widziałam.

- Ale przed chwilą powiedziałaś, że pytałaś go, czy to prawda.

Dziwnie jest widzieć Camille w takim stanie. Zawsze była najłatwiejszym człowiekiem, jakiego można sobie wyobrazić. Wszyscy lubią z nią pracować. Teraz jest całkiem odmieniona.

Zmiana, jaka dokonała się w Camilli, jest tak wyraźna, że Malene nie może się powstrzymać od myśli o czymś, co powiedziała ta psycholożka, przyjaciółka Iben, Grith, a mianowicie, że kobiety cierpiące na DID często w dzieciństwie były narażone na molestowanie seksualne i dlatego jedna z ich tożsamości z reguły bywa zrozpaczoną małą dziewczynką. Właśnie takie wrażenie sprawia teraz Camilla ze swoimi po dzieciennemu oczywistymi kłamstwami.

Iben bierze głęboki oddech i studzi się tak, jak ona to potrafi. Mówi wolno i spokojnie:

- Nie możemy chyba aż tak się nie zgadzać w naszym odbiorze tego człowieka? Gdy pomyślałaś, że mail do ciebie mógł wysłać właśnie on, okropnie się wystraszyłaś. O wiele bardziej niż my. Możesz wytłumaczyć, dlaczego?

Camilla nie odpowiada. W dalszym ciągu się obejmuje. A Malene zastanawia się, czy właściwie również w codziennej osobowości Camilli nie kryje się nic dziwnego.

Gdyby Camilla przez ostatni rok więcej rozmawiała z Anne-Lise, w DCIL nie byłoby żadnych problemów. To przecież naturalne, że dwie młode kobiety takie jak Iben i Malene najbardziej lubią rozmawiać ze sobą. Jediną dziwną rzeczą w DCIL jest to, że te dwie równolatki ze sobą nie rozmawiały. Chociaż obie mają dzieci, domy i mnóstwo wspólnego. Dlaczego Camilla przez cały czas wolała być trzecim kołem u wozu przyjaźni Malene i Iben, aniżeli nawiązać bliskie kontakty z Anne-Lise?

Być może ma to jakiś związek z jej osobowością. A konsekwencje dla nich wszystkich okazały się takie poważne.

- Czy on jest w Danii? - pyta Camille Anne-Lise.

Camilla siedzi i szczypie się szybko w różne miejsca na ręce. Podrywa głowę, jak gdyby była zupełnie gdzie indziej.

- Nie wiem - odpowiada. - Nigdy nie wiem.

- Ale sądzisz, że to on wysłał maile?

- Nie wiem.

- Ale tak właśnie pomyślałaś, gdy sama go dostałaś?

Camilla nie odpowiada i teraz Iben pyta:

- Sądzisz, że to on nalał krwi do segregatora i podmienił tabletki?

Camilla znów spuszcza głowę, więc nie widzą jej twarzy. Mówi cienkim głosem:

- Wszystko mi się miesza, kiedy tak na mnie napadacie. W ogóle nie mogę... To tylko...

Po kilku sekundach milczenia Iben pyta jeszcze:

- Myślisz, że to on wypchnął Rasmusa?

- Przestańcie! - krzyczy Camilla. - Przestańcie! Nie dręczcie mnie już dłużej! Przestańcie!

Anne-Lise wygląda na rozdartą pomiędzy chęcią pocieszenia Camilli a zachowaniem dystansu i triumfowaniem.

- Chcę iść do domu! - krzyczy Camilla.

- Świetnie to rozumiem - mówi ściszym głosem Iben. - To dla ciebie bardzo trudna sytuacja. Oczywiście. Odprowadzimy cię do taksówki. Ale musisz nam najpierw powiedzieć, czy mamy powód, żeby się bać. Myślisz, że on może zrobić coś jeszcze? Czy znów mamy się bać, że zbrodniarz wojenny chce nas zabić?

Chociaż Iben mówi spokojnym głosem, Malene słyszy, że najwyraźniej się boi tych dwóch morderców, którzy pewnie są starymi przyjaciółmi.

Jeszcze wczoraj Malene zastanawiała się, czy to Iben wysłała maile, ale gdyby to naprawdę ona zrobiła, musiałaby, zgodnie z przedstawionymi przez Grith teoriami DID, cierpieć na bardzo poważne rozszczepienie. Musiałaby być rzeczywiście bardzo chora.

Camilla powtarza, że chce wracać do domu, a Iben odpowiada jej swoim najłagodniejszym głosem:

- Nie będziemy cię już więcej wypytywać. Dobrze wiem, jakie to trudne. Ale czy ty nie widzisz, że musimy wspólnie - jako grupa - zdecydować, jak najlepiej możemy się bronić, jeśli to jakiś inny zbrodniarz, a nie Zigić na nas czyha. Nie rozumiesz tego?

- Rozumiem.

- Uważam, więc, że powinnaś tu zostać jeszcze trochę. Tylko trochę. Nie będziemy już na ciebie krzyknąć.

A Anne-Lise uzupełnia:

- Jesteśmy grupą. Jesteśmy koleżankami. Tkwimy w tym razem.

Camilla patrzy na nie, uśmiecha się z lekko mokrymi policzkami i mówi:

- To prawda, widzę. Mogę wyjść do toalety?

Wstaje i wychodzi.

Po jej wyjściu Malene zapala światło.

Spojrzenia krążą niespokojnie, a końcu zatrzymują się na Iben. To ona jest szefową. Tutaj i w ogóle.

Przerwa w obronie doktoratu musiała się już dawno skończyć. Malene patrzy na Anne-Lise, na jej kwadratową, szeroką twarz, na nieciekawe drogie ubranie, na ciemne włosy ostrzyżone na pazia.

Nie rozmawiają. Siedzą tylko i patrzą.

- Musimy teraz zwracać się do niej spokojniej - mówi w końcu Iben. - Może za bardzo się pospieszyliśmy. Ale ona ukrywała przed nami, że może nam grozić coś ze strony człowieka, którego zna. To mimo wszystko...

W miarę jak płyną minuty, coraz bardziej oczywiste się staje, że Camilla już nie wróci. Uciekła.

Większość ludzi nie zauważyłaby nic po Iben - z całą pewnością mogłaby tu na miejscu wygłosić godzinny wykład na dowolny temat związany z ludobójstwem. Ale Malene widzi.

Iben podchodzi do okna, wygląda na szare bloki i bezlistne drzewa. Patrzy badawczo we wszystkie strony. Jak gdyby serbski zbrodniarz mógł gdzieś się tu na nią czaić między krzakami. I Malene wie, że Iben właśnie o tym myśli.

Iben przechodzi dreszcz, chociaż w sali nie zrobiło się wcale chłodniej, a Anne-Lise staje przy niej. Ona też patrzy w okno.

Po zapaleniu światła wszystko odbija się w wielkich szybach, więc Malene oprócz zimowej pogody na zewnątrz widzi twarze dwóch kobiet stojących obok siebie.

I tak, jak Camilla, Malene ma ochotę iść do domu.

43

Najpierw Rasmus śpiewa kawałek basów ze starej piosenki Barry'ego White'a:

Daaaum - daum daum - da da.

A potem mówi:

Dodzwoniłeś się na automatyczną sekretarkę Malene i Rasmusa. Gdzie jesteśmy? Sami nie wiemy. Przynajmniej na razie. Zostaw, więc wiadomość.

Jest wieczór. Malene zapaliła tylko kilka małych lampek w salonie. Po kilkakrotnym odsłuchaniu komunikatu z płaczem sprawdza, która jest godzina, i wychodzi do kuchni. Tam wyjmuje z lodówki butelkę białego wina.

Korkociąg jest elektryczny, a Rasmus przykręcił go do ściany. To jeden z niewielu naprawdę pożytecznych prezentów urodzinowych, jakie Malene dostała od wuja i ciotki, bo niedobrze jest nie mieć sił w rękach, by samemu otworzyć butelkę. Malene wsuwa szyjkę w czarny plastikowy otwór, zakończony błyszczącą metalową rurką. Wciska szeroki, biały przycisk, a metal z burczeniem wbija się w plastik.

Wyjmuje z szafki kieliszek do wina ręcznej roboty i kostki lodu z zamrażarki. To jej zepsuje całą noc. Ale to nie ma znaczenia.

Gdy z powrotem siada na dużej, jasnej kanapie, wypija kilka łyków, rozgląda się po salonie i nachyla nad stolikiem z telefonem i sekretarką. Wciska guzik:

Daaaum - daum daum - da da.

Dodzwoniłeś się na automatyczną sekretarkę Malene i Rasmusa. Gdzie jesteśmy? Sami nie wiemy. Przynajmniej na razie. Zostaw, więc wiadomość.

Po kolejnym kieliszku, który wypija bardzo szybko, idzie po jego zniszczony jasnoniebieski T-shirt. Zapomniał znieść go do samochodu, ponieważ leżał w koszu z brudną bielizną. Malene go nie uprała. Kładzie się płasko na kanapie z T-shirtem na piersiach.

Po chwili nasuwa T-shirt na głowę, zamyka oczy i głęboko wciąga powietrze przez materiał. Łzy moczą i plamią trykot, który lepi jej się do skroni.

Musi wypić jeszcze jeden kieliszek, a potem położyć się na kanapie bardziej płasko. Kładzie się na dywanie. Koszulkę, sekretarkę i białe wino zabiera ze sobą na podłogę.

Daaaum - daum daum - da da.

Dodzwoniłeś się na automatyczną sekretarkę Malene i Rasmusa. Gdzie jesteśmy? Sami nie wiemy. Przynajmniej na razie. Zostaw, więc wiadomość.

Myśli, że tego Iben nie potrafiłaby zrozumieć. Lecz gdyby Malene jej to wyznała, Iben by nie pytała. Nie powiedziałyby: „Dlaczego to robisz?” ani „Dlaczego tak się dręczysz?” Popatrzyłyby tylko na Malene świadomym spojrzeniem przyjaciółki, jakby naprawdę ją „akceptowała”.

Ale, do jasnej cholery, co tu jest do akceptowania? Gdyby ona naprawdę to rozumiała!

Daaaum - daum daum - da da.

Dodzwoniłeś się na automatyczną sekretarkę Malene i Rasmusa. Gdzie jesteśmy?...

Od płaczu mrowi ją w palcach. Musi iść do kuchni po kilka kulek lodów. Nie jest aż tak bardzo pijana, mogłaby wziąć się w garść i przejść z salonu do kuchni w miarę normalnie. Ale jest całkiem sama, pozwala, więc sobie na chwiejny krok, pochylona do przodu.

Wyjmuje z lodówki lody waniliowe z sosem wiśniowym. Pomimo uformowanego z myślą o inwalidach grubego, miękkiego uchwytu łyżki do lodów powinna chwilę poczekać, aż lody trochę zmiękną, zanim je sobie nałoży.

Ale jest jej to obojętne. Wbija łyżkę w lody i obraca nią, by wykręcić kilka kulek.

To by bardzo bolało - myśli - gdybym nie piła. Górna warga wywija jej się, ale ona nie czuje, że się uśmiecha. Rzeczywiście ją boli, ale jest jej to obojętne. Ramieniem ociera kilka łez z nosa, zanim wpadną do lodów.

Daaaum - daum daum - da da.

Dodzwoniłeś się na automatyczną sekretarkę Malene i Rasmusa...

Daaaum - daum daum - da da.

Dodzwoniłeś się na automatyczną sekretarkę Malene i Rasmusa. Gdzie jesteśmy?...

Znów kładzie się na podłodze w pograżonym w półmroku salonie.

Daaaum - daum daum - da da.

Dodzwoniłeś się na...

Daaaum - daum daum - da da...

Gdzie jesteśmy?...

Daaaum - daum daum - da da...

Sami nie wiemy...

Daaaum...

Wino już wypite. Malene nalewa sobie szklanę rumu z sokiem i lodem. Leży na podłodze i przypomina sobie, co powiedziała Rasmusowi, gdy widzieli się po raz ostatni. Szedł wtedy do swojej nowej dziewczyny. Stali w przedpokoju.

Miał przerzucone swoje trzy kurtki przez ramię, więc mosiężne zagięte wieszaki sterczały gołe ze ściany za głową Malene. Jej okrycia wisiały na innych haczykach, pozbawione życia, jak bezkształtne martwe zwierzęta w rzeźni. Futrzany kołnierz zielonego płaszcza był nieprzyjemnie blisko jej policzka.

Krzyczała na niego. Teraz, gdy leży na podłodze ze szklanką rumu, znów krzykiem powtarza te słowa:

- No to wynoś się, do ciężkiej cholery! Wynoś się! Nie chcę, do diabła, cię tu widzieć! Ty kłamco! Ty przekłety oszuście! Okłamałeś mnie! Nie myśl sobie, że cię przyjmę z powrotem, kiedy ona cię wyrzuci!

Wymachuje rękami w powietrzu, jakby go biła.

A on powiedział: „Malene, Malene, naprawdę mi przykro, że...”

Malene wije się na podłodze i krzyczy:

- Nie mów do mnie „Malene”! Nie masz prawa mówić do mnie „Malene”! Masz się po prostu stąd wynosić! Jesteś kłamcą!

A on odpowiedział: „Czy nie możemy... To takie straszne...” Tupiała w przedpokoju nogami, waliła w zielony płaszcz na ścianie, a teraz krzyczy:

- Wstrętny dupku! Nigdy cię nie przyjmę z powrotem! Wszystko jedno, co powiesz!

„Ach, Malene, naprawdę tak mi przykro”.

Tak powiedział. Powiedział: „Ach, Malene, tak mi przykro...”

Ponieważ Rasmus niesie tyle rzeczy, to, choć usiłuje parować jej ciosy, Malene udaje się raz wcelować. Trafia go w kość policzkową. Jej sprawia to ogromny ból, ale jemu najwidoczniej nie.

A zarazem ona gdzieś w środku wie, że on wróci. Jego związek z dwudziestoletnią barmanką długo się nie utrzyma. To niemożliwe. Odzyska go.

Wie też, że on już nie wróci. I że ona wcale nie chce, by wrócił.

Płacze jednocześnie w przedpokoju i przy kanapie. Musi się podnieść na czworaki, żeby wykasać śluz.

Dalej na niego krzyczy i pije więcej. Ale jej krzyki są już teraz inne.

Stoi w korytarzu. On też tam jest. Wieszaki sterczą ze ściany. Ten sam kolor mosiądzu, jej futrzany kołnierz prawie w uchu, a ona woła coś innego:

- Nie wynoś się, do ciężkiej cholery! Nie wynoś się! Bardzo chcę, do diabła, cię tu widzieć! Ty kłamco! Bardzo chcę cię przyjąć z powrotem!

A on mówi: „Malene, Malene, naprawdę mi przykro, że...” Malene wije się na podłodze i krzyczy z twarzą wciśniętą w mokry od łez dywan:

- Możesz mówić do mnie „Malene”! Masz prawo! Nie chcę, żebyś wychodził! Nie wychodź!

„Malene, czy nie możemy... To zbyt straszne...”

Bije go, chociaż tak pragnie go zatrzymać.

On powtarza: „Ach, Malene, naprawdę tak mi przykro...”

Tak mówi. „Ach, Malene, naprawdę tak mi przykro...”

I wszystko to wylewa się z niej jeszcze raz, Malene krzyczy, wijąc się na dywanie w jego objęciach, a on powtarza, że tak naprawdę ją kocha, że to wszystko to tylko nieporozumienie.

- No właśnie! - odkrzykuje do niego. - To nieporozumienie! Nie porozumienie! Zostaniesz ze mną!

„Tak, zostanę”.

- Zostaniesz.

Całują się, a ona wyciąga rękę i z zaciśniętymi mocno powiekami obejmuje jedną z krótkich czarnych nóżek stolika. A drugą rękę wyciąga do tyłu. Tam jest gruba nóżka kanapy.

„Tak, zostanę”.

- Zostaniesz.

Malene leży z zamkniętymi oczami.

* * *

Teraz, kiedy ucichła, słyszy, jak okropny sąsiad z dołu wali w rury i wrzeszczy, że ma się zamknąć.

To niewiarygodne. Przecież wie, że jej ukochany nie żyje. Odkrzykuje:

- Sam się zamknij! - I dalej leży.

Nieco później zerka na sufit, widzi wzory ze światła, które na białe tło rzucają lampy. Musi wstać i zażyć silną tabletkę przeciwbólową, bo waliła w podłogę rękami i nogami.

Opiera się o stolik przy kanapie, wolno się podnosi. Jako tako trzyma się na nogach. Nie jestem w sztok pijana - myśli. Ale jej ciało jest jak pieczeń, która piekła się przez pięć godzin. Ma wrażenie, że mięso odchodzi od kości.

Wciąż jestem dostatecznie trzeźwa, żeby myśleć. Powoli rusza w stronę łazienki, gdzie trzyma tabletki. Przy każdym kroku ma wrażenie, jak gdyby ktoś wypalał jej coś w stopie. Ciekawe, ile lat minie, zanim całe moje ciało będzie się tak czuło?

Zażywa tabletkę, myśląc: Trzeba korzystać z możliwości, póki je mam. Tak samo powinnam była postępować z Rasmusem.

Wróciwszy do salonu, patrzy na zegarek. Dopiero za kwadrans jedenasta. Może nie będzie miała jutro straszego kaca.

Dzwoni telefon. Na wyświetlaczu pokazuje się numer Gunnara.

Decyduje się na podniesienie słuchawki i słyszy jego głęboki jutlandzki głos.

- Cześć, mówi Gunnar. Nie za późno dzwonię?

- Nie, nie.

- Przeszkadzam?

- Nie, nie.

- Masz jakiś dziwny głos?

- Zasnęłam na kanapie. Właśnie przed chwilą się obudziłam.

- No to przepraszam.

- Wszystko w porządku. Cieszę się, że to ty.

- Wróciłem z Afganistanu i zobaczyłem, że dzwoniłaś.

- Dzwoniłam.

- Może chciałaś, żebyśmy się spotkali?

- Tak, bardzo.

- Umówimy się jakoś?

- A nie mógłbyś przyjechać tu od razu?

Chwila milczenia. Potem Gunnar mówi wolniej i z wahaniem:

- Tak myślisz?

- Tak, byłoby miło.

Gunnar wraca do normalnego tempa.

- No tak, rzeczywiście.

Malene rozjaśnia się w głowie dzięki temu, że może porozmawiać z kimś oprócz samej siebie.

- Mógłbyś mi opowiedzieć o Afganistanie? Mając w pamięci wciąż świeże wrażenia.

- No tak... owszem. To będzie miłe.

Gunnar może tu być już za mniej więcej dwadzieścia minut, Malene ma, więc niewiele czasu, by się pozbierać. Robi porządek wokół kanapy: na podłodze leżą poduszki, mokre kawałki papierowego ręcznika, przewrócony świecznik i książki, które spadły na podłogę, ze stolika ścieka rozlany sok. A przecież musi być miejsce, by mogła usiąść z Gunnarem na kanapie i rozmawiać bez towarzystwa kłopotliwych śladów ostatnich godzin.

Malene wietrzy też starannie mieszkanie i przebiera się w inną sukienkę. Właściwie nie wieczorową, lecz z odrobinę głębszym dekoltem aniżeli te, które wkłada, gdy wychodzą razem coś zjeść.

Przez lata Gunnar się do niej palił. A ona przez lata o tym wiedziała. Teraz musi zachowywać się przyzwoicie, z należytą godnością. Może to za sprawą wina, rumu i tabletki, lecz czuje, że robi się mokra już wtedy, gdy krząta się po mieszkaniu, starając się, by salon wyglądał porządnie.

Już, gdy otwiera mu drzwi, Gunnar zerka na jej sukienkę. Jest zaskoczony przez ułamek sekundy, ale nie dłużej.

Opalił się, a jego oczy są zawsze odrobinę jaśniejsze, gdy wraca z wypraw na południe.

Uśmiecha się szeroko, wyciąga przed siebie butelkę wina i ściska Malene, jak zwykle, gdy się spotykają.

Zatroskanym głosem pyta, jak Malene się miewa. Ona już chce odpowiedzieć, ale czuje, że to coś może popsuć, mówi, więc:

- O tym możesz posłuchać później. Najpierw opowiedz mi o wyjeździe.

Prowadzi go do kuchni, Gunnar również korzysta z elektrycznego korkociągu. Malene wyjmuje dwa kieliszki, Gunnar nalewa, a kiedy wznoszą toast, Malene udaje, że pije.

Na kanapie Gunnar wcale nie zaczyna opowiadać o podróży, tylko się jej przygląda.

Przecież mieli najpierw porozmawiać.

Czy widać, że jest pijana? Ma nadzieję, że nie. Wszystko to dziwne. To przecież brama, do której stukał uporczywie całymi latami. A teraz ona pozwala się tej bramie otworzyć przy pierwszym podmuchu wiatru.

Gunnar udaje, że sięga po wino, ale nadgarstkiem trąca o jej przedramię. Malene patrzy na niego. To wyraz jej twarzy musiał skłonić go do pocałunku.

Jest w tym dobry. Malene czuje jego brodę drapiącą ją po twarzy, miękkie palce na swoich ramionach. Ma wrażenie, że jego ciało jest cieplejsze niż ciało Rasmusa. Wzdycha głęboko, jak gdyby ulatywał z niej duch.

Z ustami przyciśniętymi do jej ust Gunnar mruczy:

- Jesteś taka piękna. Cudowna z siebie dziewczyna.

Powtarza te słowa i mówi jeszcze inne, podobne. Nie musi silić się na oryginalność, jej właśnie tego potrzeba.

W łóżku od wieloletniej tęsknoty go spina. Malene nigdy dotąd nie spała z mężczyzną po czterdziestce, lecz on ma ciało ładniejsze i bardziej umięśnione, niż przypuszczała. W dodatku wydaje się, że już zna jej ciało lepiej niż Rasmus, lecz mimo to jest nim tak zachwycony, jak tylko może być mężczyzna podczas kilku pierwszych zbliżeń.

Gdy Malene zaczyna brakować powietrza, przypomina sobie, jak kiedyś skakała naga do wody na głowę z żaglówki stojącej daleko od brzegu. Pamięta, jak zanurzała się pod wodę. W całym ciele odczuwała lekki nacisk, jej włosy falowały dookoła, coś przepływało obok, unosiło się nad nią, znikało pod nią.

Gdy wynurza się na powierzchnię morza, by zaczerpnąć powietrza, uświadamia sobie, że zwykle kapali się, skacząc z łodzi rodziców Rasmusa. To z Rasmusem skakała naga do wody, razem nurkowali, wynurzali się, prychali, wypluwali morską wodę i śmiali się do siebie.

W tej samej chwili Malene wybucha głośnym płaczem. Gunnar obejmuje ją i pozwala jej się wyszlochać.

Potem pyta:

- Stało się coś złego?

- Nie, nie.

- Dobrze wiem, że... za nim. Oczywiście, że tak. Wiem dobrze. Pomyślałem tylko...

Sprawia teraz wrażenie nieszczęśliwego. Malene nie wie nawet, czy doszedł, i wyczuwa w nim bezgłośny płacz bez łez, jaki czuła u innych mężczyzn.

Przekręca się na bok, by popatrzeć mu prosto w oczy. I mówi tak wyraźnie, jak potrafi:

- Gunnar, uważam, że powinnam być teraz z tobą.

Przesuwa dłonią po jego owłosionej, mocnej piersi i powtarza:

- Naprawdę powinnam. To słuszne, Gunnar. Tak się cieszę, że byłeś moim przyjacielem w ostatnich latach. I cieszę się, że możesz tu być dziś wieczorem. Naprawdę bardzo cię lubię.

Później Gunnar przynosi więcej wina, a Malene czuje się na tyle trzeźwa, że wypija z nim kieliszek.

Rozmawiają teraz o Rasmusie, o tęsknocie za nim, a Gunnar opowiada trochę o organizacjach charytatywnych w obozach uchodźców afgańskich.

Ale opowiada rzeczywiście tylko trochę i zaraz potem znów kieruje swoją uwagę na ciało Malene. A ona znów się zanurza pod powierzchnię oceanu, znów płyną łzy i znów zapewnia Gunnara, że wszystko jest w porządku. Jej ciało się otwiera, czuje Gunnara, a pod wodą nabiera powietrza. Oddycha głęboko, próbuje wyssać tlen z otaczającej ją wody, nie wiedząc już gdzie jest

górze, a gdzie dół. Ciągle jednak brakuje jej powietrza, mocno uderza w wodę nogami i dusi się, tonie, jęczy i płacze, aż wreszcie osiąga szczyt, jeszcze hałaśliwiej niż poprzednio.

Patrzy na ramę łóżka. To tutaj leżała razem z Rasmusem, gdy pokazywała mu mail z pogroźkami. „You, Malene Jensen, have sworn to your secret evil”. To tutaj on ją obejmował, mówił, że nie ma się, czego bać, i obiecywał, że opracuje program szpiegowski, który można będzie wysłać do nadawcy.

Malene nie przestaje płakać. Później znów leżą i rozmawiają, a Gunnar dolewa wino.

Patrzy na nią dużymi, szaroniebieskimi oczami, które Malene widzi teraz w całkiem inny sposób. Jest w nich coś, w czym chciałaby mu pomóc. Całuje jego powieki. Całuje jego nos, kości policzkowe, brodę i oddzielnie każdą z jego warg, szyję. A później on intuicyjnie czuje, że to samo powinien zrobić z nią.

Około trzeciej w nocy oboje robią się głodni, idą, więc do kuchni, gdzie Malene wystawia na stół oliwki, chleb, francuskie sery i ekologiczne dzemy. Wymyka się też do łazienki i zażywa jeszcze jedną tabletkę przeciwbólową. Ta pierwsza jeszcze działa, więc drugą bierze na wszelki wypadek. Zaczęła odczuwać lekkie mrowienie, a nie chce, by coś zepsuło jej tę noc.

Później ich rozmowa błądzi różnymi ścieżkami. A Gunnar przy trzeciej kanapce z serem i marmoladą opowiada o tym, jak w młodości, gdy miał znacznie mniej lat niż Malene teraz, postanowił poświęcić się pracy dla Trzeciego Świata i idei socjalizmu.

- Wszyscy wiemy, że na przykład za tę butelkę wina, którą tu dzisiaj przyniosłem, moglibyśmy kupić szczepionki, dla co najmniej dwadzieścioro dzieci i przynajmniej jedno z nich uratować. Jesteśmy jak Niemcy w czasach drugiej wojny światowej. Oni wiedzieli o eksterminacji Żydów, ale zamykali oczy na prawdę.

Malene obejmuje kostki prawej dłoni i odpowiada:

- To nie to samo. Wtedy mordowało państwo, a ty mówisz o udzielaniu pomocy.

-Owszem, to dokładnie to samo. Chodzimy w takich butach, o których wiemy, że przy ich produkcji dzieci zostały inwalidami. Pijemy kawę kupioną za bezcen, a ludzie przez to głodują.

Oboje opróżnili już po dużej szklance soku. Gunnar pochyla się nad stołem, ujmuje obolałą prawą dłoń Malene. Grzeje ją w dłoniach i mówi:

- Mam wielką nadzieję, że świat będzie kiedyś lepszy. Lecz jeśli tak się stanie, za trzydzieści lat nasze wnuki spojrzą na nas tak, jak teraz młodzi patrzą na swych dziadków faszystów, i będą powtarzać: „Ja po prostu cię nie rozumiem”. A my będziemy odpowiadać: „No tak, w tamtych czasach przyzwolenie na śmierć głodową było całkiem naturalne, podobnie jak przyzwolenie na wyginiecie całych wiosek, jedynie po to, by obniżyć cenę kawy”. I nasze wnuki będą pytać: „No dobrze, ale czy wy o tym nie wiedzieliście?” „Owszem, wszyscy wiedzieliśmy, tylko po prostu o

tym nie myśleliśmy. Wiedzieliśmy i nie myśleliśmy o tym. To była zupełnie normalna rzecz w czasach naszej młodości”.

Malene ogarnia nieprzyjemne uczucie, którego pochodzenia nie potrafi określić. Ma ochotę przyciągnąć rękę do siebie, lecz tego nie robi. Ma ochotę powiedzieć: „Ty stary socjalisto”, albo zakpić z niego w jakiś inny sposób, lecz również się wstrzymuje.

Mimo późnej pory Gunnar jest pełen energii. Peroruje dalej:

- Ci młodzi nigdy nie znajdą się w podobnej sytuacji. Dlatego nas zniechęcą. Będą mówić: „Dziadku, ja cię znam tylko jako miłego staruszka. Musiałeś być kiedyś zupełnie inny. Jak mogłeś chodzić do kina albo do restauracji, wiedząc, że pieniądze, które wydałeś dla zabawy w jeden wieczór, mogłyby uratować życie jakiegoś dziecka? Jak mogłeś czerpać przyjemność z filmu czy jedzenia, mając świadomość, że ci ludzie umierają?” A potem nasz wnuk powie: „Dużo się nad tym zastanawiałem, bo bardzo chciałbym cię zrozumieć, ale wiem z całą pewnością, że sam nigdy, przenigdy bym tak nie postąpił”.

Gunnar patrzy na nią w napięciu, czeka na jej odpowiedź. Ale teraz Malene już wie, co sprawia, że czuje się tak nieswojo.

To te słowa, tak wiele słów, zaangażowanie, rytm jego zdań. Nagle przypominają jej Iben.

Malene czuje się straszliwie zmęczona i udaje, że tego zmęczenia nie jest w stanie przezwyciężyć.

Ale Gunnar nie traci energii. Malene pyta, czy spał w samolocie w drodze do domu.

- Nie bardzo - odpowiada. I dalej rozprawia na temat, którym przez ostatnie miesiące pochłonięta jest również Iben - o psychologii zbrodniarza.

- My, ludzie, udajemy, że nie słyszymy tej odrobiny wątpliwości, które się w nas odzywają. I to jest właśnie zło. Nikt nie wie, że jest zły. Na tym polega zło. Odrobina wątpliwości, czy człowiek postępuje słusznie, to jedna szansa na wybór dobra. A taki przeblysłk pojawia się może przez kwadrans, co drugi miesiąc, może rzadziej. Większość ludzi od razu postanawia, że nie będzie więcej o tym myśleć. Ludzie boją się kłopotów, jakie wiążą się ze zmianą sposobu życia. Wkrótce już nie pamiętają, że w ogóle dostrzegli ten przeblysłk. Nie wiedzą, że wszystko mogło być inaczej. Znow utknęli na stałe na swym dobrym albo złym torze.

- Dlaczego to mówisz? - pyta Malene.

- Ponieważ dobrze wiem, co to znaczy utknąć w samym środku zła. Dawno temu byłem w samym jądrze, w KAP, Komunistycznej Partii Pracy. Przez całe lata walczyłem o zwycięstwo tej ideologii, która ma na sumieniu o wiele cięższe zbrodnie ludobójstwa niż naziści. Dyktatury składają się z ludzi, którzy myślą dokładnie tak jak ja. Bo przecież ja dobrze wiedziałem, wiedziałem to w ciszy i spokoju, przez kwadrans, co drugi miesiąc.

Malene nigdy wcześniej nie słyszała, by Gunnar w ten sposób mówił o swojej przeszłości. Wprost przeciwnie, na ogół złościł się, kiedy „Weekendavisen” i „Berlingske Tidende” domagały się, by starzy komuniści oficjalnie wyrazili skruchę.

Gunnar przerywa jej myśli.

- Ale oczywiście nie będę żałował bardziej niż obecni liberałowie. Liczby ofiar socjalizmu nie da się porównać z liczbą ludzi, którzy ponieśli śmierć w Trzecim Świecie z powodu sposobu, w jaki Stany Zjednoczone i Europa realizują ideologię liberalizmu. To się dzieje tu i teraz. A podpory dzisiejszego społeczeństwa również wiedzą o tym dobrze, przez kwadrans, co drugi miesiąc.

Szyby w oknach kuchni są czarne jak smoła. Malene zaczyna chować jedzenie z powrotem do lodówki.

Wie, że Gunnar często przedstawia rzeczy trochę inaczej. Właśnie, dlatego Malene przez wiele lat lubiła z nim rozmawiać. Tak jak lubiła rozmawiać z Iben. Lubi przyjaciół, którzy rozprawiają tymi długimi intelektualnymi łańcuchami zdań.

Nieswojo czuje się natomiast na myśl, jak Iben i Gunnarowi byłoby ze sobą razem.

44

Następnego dnia rano Malene jest śmiertelnie zmęczona. Gunnar nastawia budzik, by pojechać o szóstej do domu, bo musi się przygotować na poranne spotkanie.

Ona sama ma ochotę zgłosić, że jest chora, ale boi się zostać w domu teraz, gdy wszystkie przyjaźnie i alianse w biurze są zerwane.

Śpi jednak do dziewiątej, a potem dzwoni z kłamstwem, że musi iść do dentysty i może być w biurze dopiero o jedenastej.

Telefon odbiera Camilla i nie odkłada słuchawki. Zaczyna się tłumaczyć:

- Dobrze wiem, że nie powinnam była uciekać, ale to wszystko... Ta sala i w ogóle... To mi przypomniało o bardzo przykrych przeżyciach ze szkoły. I tak mi źle, ponieważ znalazłam Dragana Jelisicia.

Malene leży pod kocem na kanapie.

- Ale wtedy przecież nie wiedziałas, co z niego za jeden.

- Nie, nie wiedziałam. Ale byłam taka głupia, Malene. Powinnam od razu wam o tym powiedzieć. Wiem dobrze. To takie głupie i złe. Przykro mi. Mam nadzieję, że się bardzo na mnie nie gniewasz.

- Nie, nie, wcale się nie gniewam.

Malene mówi prawdę. Być może miesiąc temu mogłaby się wściekać na pośrednie powiązania Camilli z Mirkiem Žigiciem, teraz jednak jest zbyt zajęta sobą, nie wie, co ma zrobić ze

swoim życiem bez Rasmusa. Przejmuje się też Gunnarem, rozpadającą się przyjaźnią z Iben i ryzykiem utraty pracy.

Po prostu nie ma teraz miejsca na lęk przed dwoma serbskimi zbrodniarzami wojennymi, którzy b y ć m o ż e wysłali jakieś maile z pogrózkami.

Ale z Iben jest inaczej. Gdy Malene przychodzi za kwadrans dwunasta (znów przesunęła godzinę przyjścia, zadzwoniła, mówiąc, że u dentysty jest kolejka), widzi Iben skrajnie rozemocjonowaną.

Wczoraj wieczorem Iben obdzwoniła dziennikarzy i naukowców z całego świata zajmujących się ludobójstwem, jeszcze mocniej przycisnęła Camille i zmusiła ją, by zatelefonowała do Paula i osobiście powiedziała mu o swoich powiązaniach.

Malene z rozmowy koleżanek wnioskuje, że Anne-Lise, podobnie jak Iben, szukała wczoraj informacji o Draganie Jelisiciu.

A potem Malene uświadamia sobie, że sama powinna była zadzwonić do Iben wczoraj wieczorem. Powinna była udawać, że te maile z pogrózkami wciąż budzą w niej lęk. Bo Anne-Lise z pewnością tak zrobiła.

Wczoraj wieczorem Anne-Lise i Iben omawiały możliwość ewentualnej współpracy Żigicia z byłym chłopakiem Camilli. Rozwagały, gdzie mogą znaleźć więcej informacji o Draganie Jelisiciu, i opowiadały sobie, jak się czują z tym zagrożeniem. Dzielily się swoim lękiem.

Już podczas wczorajszej obrony pracy doktorskiej Malene domyślała się, dokąd to wszystko zmierza. Nie miała jedynie siły ingerować. A w tym czasie lęk Iben przed Draganem Jelisiciem nakręcił do szaleństwa proces potwierdzania go u pozostałych.

Malene ma ochotę wrócić do łóżka. Po śmierci Rasmusa Paul pozwolił jej zostać w domu, lecz Malene wie, że to niemożliwe, jeśli nie chce zostać całkowicie wykluczona z grupy. Ma ochotę poskarżyć się przez telefon Gunnarowi, ale to przecież nie wypada po pierwszej wspólnie spędzonej nocy.

Siada z kubkiem kawy naprzeciwko Iben. Pytają się nawzajem o samopoczucie. Iben rozprawia o swoim lęku i o poszukiwaniach Dragana Jelisicia. Malene udaje, że również się go boi, popija kawę z kubka, wymieniają jakieś banalne uwagi.

Malene nie pojmuje, że to jej najstarsza i najlepsza przyjaciółka. To będzie straszne, jeśli ich przyjaźń się rozleci akurat teraz, gdy Malene najbardziej potrzebuje przyjaciela. Musi jednak spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że tym przyjacielem nie jest Iben. I że Iben nigdy już nim nie będzie.

Chłód i wyrachowanie Iben ją odrzuca. Dlaczego Iben wybrała właśnie ten moment, trzy tygodnie po śmierci Rasmusa, na porzucenie przyjaciółki, którą z powodu jej choroby uważa za tonący statek? Przyjaciółki, która jej zdaniem stanowi przeszkodę w zdobyciu Gunnara i w nowych

możliwościach zrobienia kariery w IPC. Malene nie ma już najmniejszej ochoty na jakiegokolwiek starania, by zachować Iben jako przyjaciółkę. Bez względu na to, jaka pustka po niej pozostanie.

Słyszy, że Iben telefonuje do oddziału Międzynarodowego Trybunału Karnego w Belgradzie. Przełączają ją z jednego biura do drugiego, niczego się nie może dowiedzieć.

Malene patrzy na ułamaną sprężynę w lampie Iben, na plastikowego trolla po swojej stronie biurka. Patrzy na tablicę ze zdjęciami uśmiechniętej Iben i siebie, z Tatianą w Pradze, z Frederikiem i Paulem na obiedzie w Odense i z naukowcami z zagranicy w Oslo.

Czuje, jak bardzo jest zmęczona. Ma również obolałe podbrzusze w miękki, nieco swędzący sposób, co zwiększa jeszcze jej ochotę na powrót do domu i położenie się do łóżka.

Zamiast tego musi siedzieć tutaj i patrzeć na Iben, która energicznie rozmawia po angielsku z różnymi przedstawicielami jugosłowiańskich służb bezpieczeństwa.

- Hello. My name is Iben Hejgaard. I'm calling from The Danish Center for Information on Genocide. We have received some threatening anonymous e-mails and...

Iben w ciągu ostatniej doby również straciła najlepszą przyjaciółkę. Zapewne już to rozumiała. Powinna mieć przykry smak w ustach na myśl o samej sobie.

Ale Iben nie wygląda na osobę udręczoną poczuciem winy. Jak zwykle tak odwróciła rzeczywistość, że w jej mniemaniu to ona moralnie jest górą.

A przecież to Malene podjęła inicjatywę zorganizowania zebrania z Paulem, by Anne-Lise praca w DCIL przynosiła więcej radości! To Malene zrobiła dla Anne-Lise wszystko, co możliwe, a Iben najwyraźniej całkiem o tym zapomniała. Malene zostanie kozłem ofiarnym tylko dlatego, żeby Iben mogła wymazać z pamięci swoje własne czyny i myśli.

Malene zabiera swój kubek z kawą i wychodzi do kuchni. Później przynosi tekst, który wydrukowała na dużej kopiarce w powielarni. Idzie do działu wschodnioeuropejskiego w bibliotece i trochę w nim szpera. Szuka też jakichś dokumentów w segregatorach z czasopismami za biurkiem Camilli - robi wszystko, by nie patrzeć ponad blatami dwóch biurka na bladą twarz Iben.

W pewnym momencie, gdy Malene w kuchni wyjada wyschnięte ciasteczka z plastikowej torebki, do środka wpada Camilla. Nie sądziła, że ktoś tu może być, więc jej twarz jest całkiem naga. Na widok Malene próbuje nad sobą zapanować, lecz jest już za późno. Malene pyta, co się stało.

Camilla krąży po niedużym pomieszczeniu.

- One nie chcą przestać!

- Co?

- Pytają, czy Dragan miał jakichś jasnowłosych przyjaciół.

- No i?

- Wypytywały mnie przez cały ranek i wczoraj wieczorem przez telefon. Opowiedziałam im o wszystkich ludziach, z którymi zapoznał mnie Dragan.

Malene musi wyglądać na zdziwioną, bo Camilla zmienia ton i wyjaśnia:

- To Iben. Cały czas uważa, że Zigić może mieszkać w Danii. I że go znam, chociaż wcale o tym nie wiem. Że przyjechał tu pod innym nazwiskiem, które postanowiła odkryć. Ale ja nie poznałam żadnego z przyjaciół Dragana, który by wyglądał jak Zigić na zdjęciach. Ona mi wierci dziurę w brzuchu i twierdzi, że wśród jego przyjaciół musiałam poznać wielu ludzi z serbskich bojówek.

Malene sięga po rękę Camilli i próbuje ją uspokoić. Ale Camilla się wyrывa. Dalej chodzi, wycierając dłonie o bluzkę.

- Uważa, że cały czas kłamię. Jest przekonana, że to ja tam... z Rasmusem na schodach. - Podnosi głos. - Ty chyba tak nie myślisz? Chyba tylko Iben może wymyślić coś takiego, prawda?

- Oczywiście. Ja bym nigdy nic takiego nie wymyśliła. Możesz mi zaufać.

Malene wysypuje ciasteczka na talerzyk i podsuwa go Camilli.

- Rozumiem, że ci przykro i że się złościś, gdy one mówią coś takiego. To przecież chore.

Camilla nareszcie przestaje chodzić. Trzęsie głową ze wzrokiem utkwionym w ciasteczkach.

- Nie, to niemożliwe, nie mogę.

Malene demonstracyjnie ze złością gryzie ciasteczko przednimi zębami i mówi:

- Szkoda, że Iben nie spała dzisiaj w nocy dłużej niż cztery godziny. I szkoda, że nie przestała wysiadywać po nocach nad książkami o chorobach psychicznych i tymi szczegółowymi opisami uśmiercania milionów ludzi. Może to by coś pomogło.

Po raz pierwszy ktoś w centrum słyszy, by Malene krytykowała Iben. Camilla oczywiście też nigdy nie powiedziała ani jednego złego słowa o Iben do jej najlepszej przyjaciółki. Teraz obie już wiedzą: Od dzisiaj wszelkie alianse są zerwane.

Jeśli Malene nie chce zostać całkiem sama w DCIL, musi uczynić z Camilli swego nowego sprzymierzeńca. Wie, że za bardzo różnią się od siebie, by się naprawdę zaprzyjaźnić, lecz nie trzeba aż tyle. Anne-Lise też nigdy nie zostanie prawdziwą przyjaciółką Iben.

Malene dalej pociesza Camille. Mówi, co sama myśli o jej zachowaniu w ostatnich dniach, i wysłuchuje wszystkiego, co słabym głosem, szeroko otwierając ze strachu oczy, ma do powiedzenia Camilla. Zaczynają coś robić razem. Malene czuje, że inaczej ze sobą rozmawiają. Zaczynają coś nowego.

Wciąż jednak Malene nie mówi nikomu wszystkiego o Iben. To dziwne. Malene jej nienawidzi. Dziś czuje do niej o wiele większą nienawiść niż do Anne-Lise, a mimo to nie może się zdobyć na odrzucenie wszelkich zobowiązań wynikających z przyjaźni.

Gdy Iben miała dziewiętnaście lat, zmarł jej ojciec. Iben i Malene jeszcze wtedy się nie znały. Malene nie mówi Camilli, że Iben opowiadała jej o „załamaniu”, które wtedy przeszła, i o konieczności poddania się terapii.

Malene nigdy się do końca nie dowiedziała, jak wyglądało to załamanie, lecz zabrzmiało to poważnie, wręcz strasznie. Iben mówiła, że zdjęta lękiem chodziła po ulicach, czując wstręt do wszystkich ludzi wokół siebie. Obrzydzenie to wyrażało się niemal fizycznie i doprowadziło do tego, że dwukrotnie musiała spędzić noc na pogotowiu psychiatrycznym.

Teraz wszyscy znają Iben jako skuteczną młodą kobietę, która potrafi prędko się zagłębić w nowe dziedziny wiedzy. Gdy już znalazła pracę, błyskawicznie stała się ulubienicą szefa. Ale Malene wie, że Iben jest znacznie bardziej krucha, niż ją postrzegają ludzie. A może inni też to wyczuwają, nie bardzo tylko wiedząc, w czym rzecz. Być może wszystkich dziwi to, co Iben zrobiła w Kenii.

* * *

Kiedy Malene i Camilla, depcząc sobie po piętach, wracają do Ogrodu Zimowego, okazuje się, że Iben wciąż jeszcze nie udało się znaleźć żadnych informacji o Draganie Jelisiciu, oprócz tych historii o obozie w Omarskiej, opisywanych już w gazetach i w aktach Trybunału Karnego w Hadze: że wraz z innymi ochotnikami zabijał więźniów, zmuszając ich do picia oleju silnikowego. Że zmuszał ojców do odgryzania nosów synom.

By znaleźć odpowiedź na pytanie, gdzie on jest i co teraz robi, może się posłużyć wyłącznie tym, co najwyraźniej powiedziała jej dziś rano Camilla: że Dragan nie jest w tej samej mafii co Zigić, że od dawna nie widział Žigicia, że w Danii był bezrobotny i możliwe, że teraz powrócił do Serbii i tam pracuje jako sprzedawca telefonów. Iben jednak nie kryje, że nie wierzy Camilli.

Anne-Lise często przychodzi z biblioteki do Iben i relacjonuje rozmowy, które odbyła. Dobrze jej idzie udawanie równie wystraszonej jak Iben. Gdy razem przechodzą od jednego komputera do drugiego, Anne-Lise depcze Iben po piętach jak piesek. Piesek, który od czasu do czasu śle nerwowe spojrzenie Malene.

Malene usiłuje się skoncentrować na czytaniu artykułu o wysiedleniach Niemców w Europie Wschodniej. W związku z konferencją na ten temat planują wydanie skryptu z referatami uczestników. Malene czyta o trzyipółmilionowej społeczności w etnicznie niemieckich regionach Czechosłowacji.

Hitlerowskie Niemcy podczas okupacji traktowały Czechów łagodniej niż jakikolwiek inny okupowany naród, może z wyjątkiem Danii. Ale wielu Niemców w tym kraju popierało okupację i już podczas wojny czeski prezydent zażądał „radikalnego ostatecznego rozwiązania” problemu niemieckiego - „stuprocentowej likwidacji Niemców”. W ciągu pierwszych lat powojennych zabito dwieście siedemdziesiąt tysięcy Niemców, a ponad trzy miliony wysiedlono z kraju.

Rozprasza ją dziwne zachowanie Camilli. Camilla, która zawsze jest taka otwarta i miła przez telefon, z wahaniem przeciąga słowa, gdy mówi do kogoś w słuchawce:

- Tak, jeśli z tyłu zobaczę, że to od ciebie, to chyba w porządku.

Odpowiada na spojrzenie Malene i krzywi się, mówiąc:

- Tak, ale to... Jeśli w ogóle mam nie wspominać o tym Paulowi... to... Tak, ale... Dobrze... Dobrze, zrobię to... Zniszczę... W porządku. Tak, postaram się to usunąć. Tak, do widzenia.

Malene i Iben patrzą na nią pytająco, a Anne-Lise przyszła z biblioteki.

- To był Ole - mówi Camilla.

- Co? - wszystkie trzy są zaskoczone.

- Wysłał jakiś list do Paula, a teraz bardzo mu zależy, by Paul nie dostał tego listu. Mam go wyjąć z jego korespondencji i zniszczyć. Nie pozwolił mi też do niego zaglądać. I o niczym nie mogę powiedzieć Paulowi.

- To zwolnienie - wrywa się Iben. - Ole uzgodnił to z resztą zarządu i wczoraj podpisał wypowiedzenie. Ale dlaczego dzisiaj zmienił zdanie?

Koleżanki zgadzają się, że wypowiedzenie jest bardzo prawdopodobne, a konsekwencje nieprzewidywalne dla Malene. Jest zbyt zmęczona i bezsilna, by zapanować nad myślami, które krążą jej po głowie.

Jeżeli konflikt pomiędzy Malene i Iben osiągnie punkt krytyczny i jedna z nich w końcu będzie musiała opuścić centrum, Paul z całą pewnością zwolni Malene. Lecz jeśli Paul pierwszy zostanie zwolniony, a dobry przyjaciel Malene, Frederik, wciąż pozostanie wiceprezesem zarządu, to istnieje duża szansa na to, że wypowiedzenie otrzyma Iben.

Ale jest jeszcze inna możliwość: Jeżeli Frederik opuści zarząd, a na jego miejsce przyjdzie Gunnar, to z kim będzie trzymał?

Z dyskusji koleżanek Malene wychwytuje, że dziś przed południem, gdy ona była „u dentysty”, dyskutowały tu zarówno o Draganie Jelisiciu, jak i o napiętej sytuacji między Paulem i Frederikiem.

Anne-Lise powiedziała, że jej mąż ma spore doświadczenie z zarządami w biznesie i jego zdaniem manewry Paula wobec Frederika są szyte tak grubymi nićmi, że zarząd nie ma innego wyjścia, jak tylko go zwolnić.

Rozmawiały również o tym, kto może zostać p.o. dyrektora centrum (zdaniem Anne-Lise, Iben), a kto zastąpi Paula na dłużej. Jak potoczy się dalej kariera Paula? I czy to zwiększy ryzyko włączenia ich do IPC?

Na koniec oczywiście rozważały, dlaczego Paul sprawia wrażenie tak dziwnie spokojnego w całej tej sytuacji. I z jakich powodów nigdzie nie można go złapać?

Ponieważ Malene nie było w biurze dziś przed południem (i pewnie również, dlatego, że trudno jej się skoncentrować), zadaje wiele pytań. Nie ma ochoty zwracać się do Iben czy Anne-Lise. Od śmierci Rasmusa nie potrafi patrzeć Anne-Lise w oczy. Za każdym razem pyta, więc Camille.

To takie przykre. Takie strasznie przykre.

Bo coś dzieje się z oczami Camilli.

Camilla stara się nie patrzeć na Malene. To wszystko. Odpowiadając Malene, uśmiecha się do Iben. To niewiele, ale dość.

Robi się coraz gorzej - myśli Malene. Nie minęła jeszcze godzina, odkąd ją pocieszałam, bo Iben się na nią wściekała. To może prowadzić tylko do jednego. Camilla wie, kto tu jest teraz mocny, i tym się kieruje, wybierając stronę.

Malene nienawidzi za to Iben. Bo to Iben wszystko rozpętała.

Przez moment widzi siebie na imprezie na willowej uliczce w Kolding. Widzi siebie, jak chodzi i opowiada głupoty na pół znajomym ludziom, tak jak kiedyś jej matka, gdy Malene była jeszcze dzieckiem. Teraz to Malene przechadza się w brzydkim ubraniu i powtarza: „Moi dawni koledzy z pracy zachowywali się tak, jakby po prostu chcieli, żebym umarła. Jak ludzie mogą być tacy?”

Nie pomogła, więc ucieczka przed losem matki. Nawet to, że skończyła studia na uniwersytecie i przeniosła się do Kopenhagi. Z powrotem znalazła się na sąsiedzkiej imprezie w Kolding. A to wszystko wina Iben.

Wracają na swoje miejsca. Wszystkie mają obowiązki, z których w ostatnich dniach się nie wywiązały.

Malene postanowiła nie mówić nic o Gunnarze. Nie mija jednak kwadrans, jak uśmiecha się do Iben i oznajmia poufałym tonem, jak gdyby nie zauważyła, że ich przyjaźń już się skończyła:

- Gunnar nocował u mnie wczoraj.

- Tak?

Iben udaje się zachować obojętną minę i po przyjacielsku wyrazić zaciekawienie, jak gdyby ostatni tydzień nie istniał. Jak gdyby Malene opowiadała jej o jakimkolwiek mężczyźnie.

Ten wyraz twarzy utrzymuje jednak zaledwie przez kilka sekund. Potem wybiega na korytarz, Malene słyszy, że biegnie dalej, do toalety.

Malene wzdycha głęboko, a całe jej ciało się rozluźnia, uśmiecha się do Camilli, która patrzy na nią pytająco. Za jakiś czas może Malene będzie przychodziło to z trudnością, ale niełatwo to sobie wyobrazić.

Iben wraca. Może nie tylko teraz, może przez cały dzień była bledsza niż zwykle. Oczywiście mało spała w nocy, ale tak jest zawsze. Malene dostrzega lekkie drzenie w sieni obwódce wokół oczu Iben.

Iben siada. Obie czytają swoje artykuły. Ale po kilku minutach Iben mówi:

- Nie mogę się skupić, kiedy tak na mnie patrzysz.

- Wcale na ciebie nie patrzę.

- Właśnie, że patrzysz.

- Nie, nie patrzę.

Iben wstaje.

- Mam dużo pracy.

- Wiem.

- Cały dzień zszedł na Draganie Jelisiciu. Powinna mieć ten numer o Turcji już gotowy.

- Dobrze to wiem.

- A ty się patrzysz.

- Nie.

- Wcale nie chcę cię ukarać, czy co tam sobie myślisz - mówi Iben. - Ale nie mogę pracować, kiedy tak siedzisz i na mnie patrzysz. Ty chyba też nie możesz się skupić, kiedy siedzę naprzeciwko ciebie.

Iben ma rację, lecz Malene nie odpowiada.

- Obu nam dobrze zrobi, jak się gdzieś przesiądę. Zajmę któreś z miejsc dla czytelników.

Malene kamienieje. Prawie krzyczy:

- Chcesz się przesiąść do Anne-Lise?

- Miałam nadzieję, że właśnie tak tego nie przyjmiesz. Ja się nie przesiadam... - Iben wykrzywia się, naśladowując ton Malene - ...do Anne-Lise. Chcę usiąść tam, gdzie nie będziesz mogła patrzeć na mnie w ten sposób.

Zaczyna zbierać swoje papiery.

- Oczywiście rozmawiałaś już z Anne-Lise o tym, że zajmiesz jedno z miejsc dla czytelników w bibliotece? - pyta Malene.

- Nie, powiem jej o tym dopiero teraz.

Wszystko odbywa się bardzo szybko. Malene spodziewa się, że Iben zabierze do biblioteki nawet swój komputer, a później może przysunie swój stolik bliżej biurka Anne-Lise. Towarzyskie puzzle eksplodowały i teraz z szaloną prędkością układają się w całkiem nowy obraz.

Malene patrzy na Iben wynoszącą swoje rzeczy. To ta kobieta, której nienawidzi. To ta kobieta, o której przyjaźń nie zamierza walczyć.

* * *

Na krótko przed końcem pracy Malene wychodzi do toalety. Gdy wraca, okazuje się, że Camilla gdzieś zniknęła. Malene zatrzymuje się w drzwiach i rzuca w powietrze:

- Camilla...? Camilla?

Nikt nie odpowiada.

W ciszy myśli bez przeszkód wpadają Malene do głowy. Czy Camilla weszła do biblioteki? Przyłączy się do tamtych? Odrzuci Malene? Czy ona taka jest? Dlaczego nigdy nie rozmawiała z Anne-Lise i zamiast tego czepiała się Iben i Malene?

Malene nasłuchuje.

Tak, Camilla musi być gdzieś wśród biblioteczných regałów. Malene słyszy mamrotanie, lecz nie jest ono na tyle wyraźne, by stwierdzić, czy wydają je dwa czy trzy głosy.

Stoi teraz na środku Ogrodu Zimowego. Światło jarzeniówki odbija się w dużych, błyszczących liściach jednej z roślin, które od dawna hoduje na parapetach. Odwraca się, lecz za nią też nikogo nie ma. Mówi w przestrzeń:

- Camilla... Gdzie jesteś...? Camillo!

CAMILLA

45

Kiedyś Camilla w autobusie podsłuchiwała rozmowę dwóch kobiet na tylnym siedzeniu. W pewnej chwili jedna z nich powiedziała: „Ona należy do tych, które zawsze zakochują się w nieodpowiednich mężczyznach”.

Camilla zapomniała już, dokąd te kobiety jechały i o czym rozmawiały, ale tamto zdanie pamięta.

Poznała Dragana przed blisko dziesięcioma laty. Było to na imprezie u Leny, z którą razem śpiewała w chórze. Camilla przyszła do niej już po południu, by pomóc Lenie i jej mężowi Simonowi przesuwać meble, przygotowywać sałatki i szykować bufet. Simo jest elektromechanikiem z Jugosławii, który przybył do Danii na długo przed wybuchem wojny domowej.

Mieli wielkie trudności z uporaniem się ze wszystkim na siódmą, a dla Camilli ważne było przebranie się w rzeczy lepiej maskujące jej tuszę. Z domu przywiozła w torbie luźną, świeżo wyprasowaną granatową bluzkę i jasnobrązową spódnicę trzy czwarte w tym samym odcieniu, co jej włosy. Chciała również mieć chwilę na makijaż.

Lena widziała, że Camilla jest zdenerwowana, i próbowała ją uspokoić. Liczni przyjaciele Sima i tak zawsze pojawiali się dopiero w ciągu wieczoru.

I Lena rzeczywiście miała rację. Do przyścia Jugosłowian pozostało mnóstwo czasu. Okazało się też, że bawią się w sposób, do jakiego Camilla w ogóle nie była przyzwyczajona.

Wszyscy na imprezie u Leny i Sima pili więcej niż przyjaciele Camilli. Tańczyli bardziej ekspresyjnie do wtóru głośniejszej muzyki.

Wydawali się również zgodni, co do tego, że imprezy nie służą wyłącznie zwykłym duńskim pogaduszkom, lecz również wyrażaniu uczuć.

Później czarnowłosy mężczyzna o szerokiej szczęce wyszedł na balkon i w niezrozumiałym języku zaczął wołać coś do ludzi na ulicy. W salonie pozostali nie przerywali zabawy, jak gdyby jego krzyki były stałym elementem każdego sobotniego wieczoru. W końcu przyjaciele wciągnęli go do środka. Usadzili na kanapie i Camilla wdała się z nim w rozmowę. Mówił naprawdę dobrze po angielsku, na imię miał Dragan, a w Bośni uczył w szkole podstawowej. Do Danii przyjechał miesiąc wcześniej, mieszkał teraz w obozie dla uchodźców z Jugosławii w Lyngby. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat, tak jak i ona, ale nie wspominał nic o żonie ani o dzieciach.

Tańczyli, lecz w tańcu nie umieli się dopasować. Muzyka też była zupełnie inna niż to, co dotychczas słyszała Camilla. Na wpół cygańska, na wpół punkowa, z dźwiękami instrumentów dętych. Camilla usiłowała bardziej oddać się tańcowi, więcej podskakiwała i mocniej wymachiwała rękami, lecz chociaż hałas i półmrok temu sprzyjał, niezbyt jej to wychodziło.

Późną nocą, kiedy stała w kuchni, żeby dać odpocząć nogom, i rozmawiała z dwiema innymi koleżankami z chóru, nagle usłyszała krzyki z korytarza, a potem przeraźliwy hałas.

Czym prędzej tam pobiegły i zobaczyły grupę rozzłoszczonych Jugosłowian, zgromadzonych wokół Dragana i krzyczących na niego. Ktoś wyjaśnił, że Dragan pokłócił się z człowiekiem, który wszedł do toalety. Najpierw wrzeszczeli na siebie przez drzwi, a potem Dragan kopniakiem je wylał.

Część gości się wystraszyła, a Dragan wciąż był wściekły na to, co usłyszał z toalety. Krzyczał na wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu. Camilla podeszła do niego cicho. Usłyszała jeszcze, jak Lena mówi do męża, że wyprosi Dragana, a Simo odpowiedział, że nie wolno jej tego robić.

Gdy Camilla zbliżyła się do Dragana, on ją objął. Przez chwilę stali nieruchomo. Dragan przestał krzyczeć i razem wrócili do pokoju, w którym tańczono.

Kilka minut później Lena przerwała im taniec. Dziękowała Camilli za to, że udało jej się powstrzymać Dragana i przywrócić spokój. Spytała też, czy nie popsuł jej zabawy i czy powinna go wyrzucić. Camilla jednak wcale tak nie uważała.

Dalej tańczyli i rozmawiali, a później byli ze sobą na jego dużym, czarnym płaszczu w krzakach za kompleksem drogich mieszkań na Frederiksberg.

Gdy odprowadzał ją do domu piechotą, wydawał się zupełnie inny niż na przyjęciu. Recytował długie serbskie wiersze miłosne, przywoływał myśli i bohaterów rosyjskich pisarzy sprzed stu lat.

Następne tygodnie były intensywne.

Nagle Camilla znalazła się w kręgu jugosłowiańskich uchodźców i Jugosłowian, którzy zamieszkali w Danii jeszcze przed wojną. Uczestniczyła w szalonych zabawach i spotkaniach w małych pokoikach w obozach dla uchodźców i w ubogich, inaczej urządzonych mieszkaniach, rozsianych po całej Kopenhadze. Każdego wieczoru, gdy tylko Camilla wychodziła z pracy, coś się działo, bo uchodźcy mieli mnóstwo czasu.

Spotykali się głównie w mieszkaniu Gorana, technika scenicznego w Teatrze Berty Nansen. Przez kolejne wieczory z czarnych kurtek gości wiszących w przedpokoju Gorana bił zapach wilgoci, bo również, gdy padało, jego przyjaciele oszczędzali na biletach autobusowych i przychodzili piechotą.

Spotykali się tam Serbowie, Muzułmanie i Chorwaci. Wszyscy byli antynacjonalistami. Podczas gdy ich bracia, ojcowie, koledzy z pracy i ze szkoły w ojczyźnie zabijali się nawzajem, oni próbowali wspólnie ułożyć sobie nowe, choć trochę godne życie w kraju, który być może miał się stać ich nową ojczyzną.

Oprócz Camilli i trzech Jugosłowianek resztę grupy stanowili młodzi mężczyźni o naznaczonych twarzach. Niektórzy z nich muskularni, po służbie wojskowej.

Na kanapie u Gorana żartowali, jedli tłuste zupy, potem znów poważnieli, dyskutowali i oglądali telewizję. Gdy było coś do uczczenia, pili śliwownicę, chociaż Dragan opowiadał, że w kraju na ogół pijają to tylko staruszkowie.

Camilla wyczuwała szacunek, jakim inni darzyli Dragana. Uważano go za mądrego i odczytanego.

Ale kiedy się upił, zmieniał się. Uczestniczył w niejednej bójce w mieszkaniu Gorana. Przeklinał wszystkich, obrzucał ich okropnymi wyzwiskami, a raz wyrzucił przez okno telewizor należący do innego z przyjaciół, z powodu jakiejś uwagi w „TV-avisen”.

Mimo tych epizodów był lubiany. Camilla nauczyła się też czegoś o ich kulturze: Przyjaciele trzymają się razem, bez względu na wszystko. W przyjaźni jest miejsce na popełnianie błędów, również takich, które wśród Duńczyków prowadziłyby do całkowitego zerwania stosunków.

Do tego przekonania, że można zrobić niemal wszystko bez obaw o wykluczenie z grupy, Camilla powracała raz po raz, gdy o nowym chłopaku opowiadała swojej przyjaciółce Anji.

Na imprezach sprawdzała, czy ona też mogłaby tak wykrzyczeć swój żal i gniew przy muzyce prosto w twarz innym. Widziała, że Jugosłowianki tak robią. Ale chociaż bardzo się starała, udawało jej się tylko upić, nic więcej z tego nie wynikało.

Słyszała tylko o jednym człowieku, dla którego nie było już wybaczenia. O Mirku Žigiciu. Nie miała wówczas pojęcia, jaki niewybaczalny czyn mógł popełnić. Nikt nie chciał jej nic zdradzić

oprócz tego, że „Žigić rozkoszuje się tą wojną, w której wszyscy inni cierpią”. A Dragan oświadczył, że jeśli kiedykolwiek jeszcze spotka Žigicia, to go zabije.

Już w dwa tygodnie po imprezie u Leny Dragan przeniósł się do małego mieszkania Camilli. Co rano, gdy się budziła, czuła się oczyszczona i szczęśliwa. Zmył z niej przeszłość, bo jego energia i wściekłość sprawiały, że seks z nim był fantastyczny.

Leżał w łóżku, gdy odprawiała swoje poranne rytuały i trochę zbyt często spóźniała się do pracy urzędniczej w Centrali Poczty.

Pewnego dnia jeden z ich przyjaciół opowiedział jej, że Dragan podczas ucieczki z Bośni przez dłuższy czas sypiał na materacu w kontenerze na śmieci, którego pokrywę przyśrubowywał od środka, by nocą go nie okradziono lub nie zabito.

Ktoś inny wspomniał, że Dragan siedział w pociągu z Banja Luki, który zatrzymała serbska bojówka. Mężczyzn Muzułmanów wyprowadzono do dużych zamkniętych furgonetek. Zabrano również młodych Serbów, zmuszono do krótkiego treningu wojskowego, a następnie do wstąpienia do oddziału. Za dezercję groziła kara śmierci. Właśnie w taki sposób Dragan stał się jednym z mundurowych.

Od dawna już próbowała poskładać z kawałków przeszłość Dragana, lecz za każdym razem, gdy chciała poruszyć z nim ten temat, irytował się i ją odpychał. Teraz uznała, że jako jego dziewczyna ma prawo wiedzieć, czy te dwie historie są prawdziwe. Pewnego wieczoru, przy obiedzie, przycisnęła go, ale to tylko go rozjuszyło. Zaczął krzyczeć i rzucać rzeczami po jej mieszkaniu. Nie uderzył jej, lecz Camilla wiedziała, że zrobiłby to, gdyby nie opanował się na tyle, by wybiec z mieszkania na ulicę.

O dziesiątej wieczorem Dragana wciąż nie było. Zaniepokojona Camilla zadzwoniła do Gorana, by się dowiedzieć, czy go tam nie ma. Nie było go, ale przyjaciółka Gorana, Nataša, wyczuła jej niepokój i skłoniła do opowiedzenia, co się stało. Potem powiedziała:

- Camillo, Dragan bardzo cię kocha. To bardzo ważne dla niego, żebyś dostrzegła jego mądrość i ciepło.

- Ale przecież ja to dostrzegam.

- Jeśli chcesz, by wasz związek się utrzymał, musisz również darzyć go szacunkiem jako mężczyznę.

- Przecież go szanuję.

Nataša bardzo dobrze mówiła po duńsku, pracowała w Danii już od dziesięciu lat. Dobrze też znała obie kultury.

- Dragan jest dumny - oświadczyła. - Musisz go szanować jako mężczyznę, który ma władzę nad swoim życiem.

- Przecież ja go szanuję.

- Tak, Camillo, ale jemu bardzo trudno w to uwierzyć. Mieszka w twoim mieszkaniu, nie mogąc za siebie zapłacić. Dwa lata temu był dobrym nauczycielem i świetnie sobie radził w kraju, który pod wieloma względami przypominał Danię. Chce, byś go znała jako człowieka, który umie cytować Dostojewskiego, Borgesa i Kunderę. Mieszkanie w kontenerze na śmieci było dla niego upokorzeniem. Upokorzyło go to, że nie mógł się bronić, gdy pociąg zatrzymała bojówka i został zapędzony do samochodu. Upokarza go życie z zasiłku państwa duńskiego. Upokarza go niemożność powrotu do domu i walki w obronie rodziny.

Camilla wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego Dragan nie może opowiedzieć, choć trochę więcej o sobie kobiecie, z którą żyje. A Nataša w późniejszej rozmowie dodała jeszcze:

- Wiesz, Camillo, ta niemożność walki w obronie rodziny ma chyba jeszcze większe znaczenie.

- O co ci chodzi?

Zdażyła jeszcze pomyśleć, że w tej chwili powinna się wycofać. Przeczowała, że coś się zbliża. Coś, czego być może wcale nie chciała wiedzieć.

- Wszyscy nasi przyjaciele przeżywali straszne rzeczy - odparła Nataša. - Nie mówimy o tym. Ale w jakiś sposób wszyscy o nich wiemy.

- Tak?

Nataša wzięła głęboki oddech.

- Osobiście z nim nie rozmawiałam, ale wszyscy ci, z którymi spędzasz wieczory, w jakimś momencie dowiadawali się podczas rozmowy w cztery oczy, że bośniaccy Muzułmanie zgwałcili i zabili trzy siostry Dragana.

W telefonie zapadła cisza. Camilli słowa nie chciały przejść przez usta, ale wreszcie spytała:

- Naprawdę?

- Tak.

- Naprawdę? Naprawdę?

- Musisz pamiętać, że wszystko w życiu Dragana ułożyłoby się inaczej, gdyby sam mógł decydować... Wszystko.

Następnego dnia, gdy Camilla wróciła do domu z pracy, już na schodach pachniało dobrym jedzeniem. Dragan stał w jej kuchni i przygotowywał jakieś fantastyczne danie, na które pożyczył pieniądze od przyjaciół. Kupił też butelkę dobrego wina.

Żadne z nich nie wspomniało o rozmowie z poprzedniego dnia. Zamiast tego Dragan przy obiedzie cytował długie ustępy po serbsku. Wyjaśniał, że to wiersze napisane w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych przez poetę, który wyemigrował z socjalistycznej Jugosławii i już wtedy mieszkał na wygnaniu w Londynie.

W wierszu, bardzo długim, zatytułowanym Lament nad Belgradem, stary poeta jeździ po najpiękniejszych miastach świata. Bez względu jednak na to, czy jest w Paryżu, Rzymie czy Lizbonie, miejsca te przypominają mu jedynie o śmierci i pustce. I we wszystkich tych miastach tęskni za Belgradem swojej młodości, za miastem położonym nad szerokimi, jasnymi rzekami, obdarzonym wielką wolą walki i obrony w razie konieczności.

Kilka wersów Dragan przetłumaczył jej na angielski.

*Twoja krew jak rosa spadła na równinę, jak niegdyś, by
tylu śmiertelny ostudzić wzrok. [...] Słońce się rodzi w moim
śnie. Błyśnij! W blask się zamień! Imię Twoje jak z
pogodnego nieba grom.**

Nocą, gdy już w łóżku pośpiesznie odebrali sobie straconą dobę, Dragan leżał na plecach z rękami za głową i nagle powiedział cicho:

- Uciekłem od tego wszystkiego. To ma decydujące znaczenie. Ryzykowałem życie, żeby uciec. To już minęło. Muszę się nauczyć, że to już minęło. Teraz będę żył porządnie. Teraz będę żył tak jak ty. Ty jesteś dobrym człowiekiem.

Camilla przysunęła się bliżej i pocałowała go w policzek. Ale on nie odwrócił się twarzą do niej. W ciemności widziała, jak światło z ulicy odbija się maleńką błyszczącą kropką w jego oku. Leżał nieruchomo, zapatrzony w sufit. A ona pocałunkami znów obudziła w nim radość.

* * *

Ostatnio, gdy Camilla rozmawiała przez telefon z rodzicami, ojciec zbyt szybko przekazywał słuchawkę matce. To był zły znak.

Gdy coś wymagało białego kłamstwa, ojciec z reguły spychał to na żonę, która, jak oboje wiedzieli, lepiej potrafiła udawać. Camilla nie miała, zatem szczególnych nadziei, że rodzice lubią Dragana, chociaż nigdy go przecież nie poznali.

Rodzice nie darzyli sympatią również jej poprzednich chłopaków, a ją za każdym razem tak samo to denerwowało. Nigdy się do tego nie przyzwyczaiła.

Gdy minęły już nieco ponad dwa miesiące, odkąd Dragan u niej zamieszkał, doszła jednak do wniosku, że powinna przedstawić go rodzicom. Umówili się, więc, że przyjadą z Draganem na niedzielny obiad.

Rodzice mieszkali w Vanlose, którego Camilla wciąż nienawidziła i skłonna była przez resztę życia nakładać drogi, byle tylko nie przejeżdżać obok swojej dawnej szkoły.

* Milos Crnjanski, *Lament nad Belgradem*, przeł. Julian Kornhauser, „Literatura na Świecie”, 9/80, s. 65.

Mieszkanie pełne było wszelkiego rodzaju ozdóbek i pod tym względem przypominało niektóre z mieszkań jugosłowiańskich imigrantów, odwiedzanych przez Camille w Kopenhadze. Rodzice powitali ich z uśmiechem i pozorną radością. Źle mówili po angielsku, ale bardzo się starali, więc jakoś to szło.

Pokazali Draganowi, gdzie ma usiąść w salonie, potem zaprowadzili go do stołu nakrytego do obiadu, wypili z nim po kieliszku wódki i tłumaczyli różnice w smaku duńskich gorzałek. Powtarzali, że bardzo się cieszą, że mogli go poznać.

Camilla widziała jednak, że miała rację. Wszystko, co robili, było uprzednio zaplanowane. Nawet w jednym nieprzewidzianym przebłysku nie mogli zdradzić swoich prawdziwych uczuć.

Przy stole rozmawiali o duńskich, angielskich i serbskich nazwach rozmaitych artykułów spożywczych. Jej rodzice chyba jako jedyni ludzie na świecie byli zaskoczeni tym, że te same rzeczy mają różne nazwy w różnych językach, i cały czas wymyślali nowe potrawy, o których dało się rozmawiać.

Camilla nie spuszczała z nich oka. Zauważyła, że unikają kontaktu wzrokowego ze sobą. Starali się też nie wychodzić z salonu jednocześnie, wiedzieli, bowiem, że ona mogłaby pomyśleć, że stoją gdzieś razem poza zasięgiem słuchu i mówią źle o Draganie.

Już wcześniej opowiedziała matce, że jugosłowiańskie domy często ozdabiane są dużą ilością robótek ręcznych, więc stół nakryty został wielkim białym obrusem z koronkami roboty ciotecznej babki Camilli.

Dragan pochwalił piękne koronki. Opowiadał o różnych technikach, wykorzystanych do zrobienia obrusa, ale nikt inny nie włączył się do rozmowy, bo nikt nie wiedział nic o koronkach.

Matka Camilli wspomniała o jej kuzynce Suzanne, która również związała się z cudzoziemcem. A Dragan nawiązał do piosenki Leonarda Cohena o Suzanne, która „zabiera cię nad

rzekę”. Muzyka Leonarda Cohena miała akurat tę głębię i mroczność, którą Dragan uwielbiał w sztuce.

Cytował fragmenty piosenek, analizował stosunek dźwięków i rytmu do słów. Camilla widziała, jak bardzo się stara zaprezentować przyszłym teściom swoją erudycję, i dodawała mu otuchy uśmiechem. Miała świadomość, że w Danii jedynie wiedza pozwala mu zachować godność, zdawała sobie jednak sprawę, że nic z tego, co mówił, i tak nie trafia do rodziców, którzy mocno się wysilają, by wizyta przebiegła bez kłopotów. Uśmiechali się, śmiali i zadawali pytania.

W pewnej chwili Camilla wychyliła się głęboko nad stołem, sięgając po śledzia w przyprawach, i nagle jej matka zeszywniała. Zobaczyła coś. Camilla od razu wiedziała, o co chodzi.

Odsunięte gwałtownie krzesło matki przewróciło się, gdy wstała i wybiegła z jadalni. Camilla pobiegła za nią, podciągając jednocześnie dekolt bluzki, by znów zakrył podłużny niebieski siniak, sięgający nieco zbyt wysoko nad obojczyk.

Matka Camilli, również nieco zbyt tęga, zatrzymała się zdyszana już w kuchni. Camilla stanęła w odległości paru metrów od niej. Właśnie teraz powinna powiedzieć: „Dlaczego zawsze musicie być tacy?” „Dlaczego zawsze musicie myśleć jak najgorzej o mężczyznach, z którymi się zwiążę?” Nie mogła jednak. Nie mogła też powiedzieć: „Dlaczego koniecznie musisz sądzić, że ten siniak wziął się stąd, że on mnie bije?”

Matka Camilli płakała.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam... - mówiła, patrząc na córkę. - Wcale nie tak miało być.

Camilla nie chciała mówić: „Wszystko w porządku”, ale i tak powiedziała. Matka podeszła do niej i ją objęła.

- Dziękuję. Tak bardzo się staramy. Tak byśmy chcieli... Ale nie wyobrażasz sobie, jak trudno było mnie i ojcu, kiedy chodziłaś z Mortenem.

- Przecież o wszystkim dowiedzieliście się dopiero później.

Camilla spróbowała wysunąć się z jej objęć i matka natychmiast ją puściła.

- Czuliśmy to. Dobrze o tym wiedzieliśmy. Po prostu tak się boimy, że znów ktoś cię będzie bił.

Camilla była wściekła na matkę, ale nic nie mogła z siebie wydusić.

Też się rozplakała, a potem udało jej się z wielkim spokojem powiedzieć coś, czego nie miałyby odwagi wyznać dwa miesiące wcześniej. Dragan coś w niej zmienił. Dał jej siłę na to, by mogła szepnąć:

- Wy go nie lubicie. Nie chcecie, żebym była szczęśliwa!

Matka nie zauważyła zmiany, która zaszła w Camilli. Rozłożyła ręce i przewróciła oczami.

- Ależ oczywiście, że tego chcemy! Przecież tylko o to nam chodzi! Pragniemy twojego szczęścia!

Camilla osunęła się na niewielką kuchenną ławę, nakrytą twardymi czerwonymi poduszkami. To tutaj przesiadywała sama każdego popołudnia po powrocie ze szkoły, przy wodzie z sokiem i kanapkach z dżemem. To tutaj próbowała dojść do siebie po kolejnym dniu w szkole.

Gdy wbiła wzrok w blat stołu, nie odpowiadając, matka podjęła:

- Tak się cieszymy, że on ci się podoba. Jestem pewna, że jest dla ciebie bardzo dobry. Naprawdę musisz mi wybaczyć... To takie straszne, że ja...

- Mhm.

Matka spróbowała jeszcze raz wyciągnąć rękę i dotknąć Camille.

- Tylko, że... No i w rozmowach przez telefon, i kiedy tu u nas byłeś w ciągu ostatnich dwóch miesięcy... nie wydawałaś się... Jesteś zadowolona?

Camilla podniosła głowę i popatrzyła matce prosto w oczy.

- Tak.

- On zachowuje się tak, że jesteś zadowolona?

-Tak.

- Kochasz go?

-Tak.

- To i ja się cieszę. Naprawdę, Camillo. Jeśli tylko naprawdę możesz go pokochać...

Za każdym razem, gdy matka robiła krótką przerwę, Camilla odnosiła wrażenie, że matka w rzeczywistości ma na końcu języka coś zupełnie innego, coś dokładnie przeciwnego.

Po tej krótkiej przerwie matka Camilli powtórzyła:

- Jeśli tylko naprawdę możesz go pokochać. To najważniejsze.

46

Tego samego wieczoru Dragan pojechał sam do jakichś przyjaciół. Kiedy wyszedł, Camilla zadzwoniła do swojej przyjaciółki Anji i spytała, czy mogłaby do niej wpaść.

Anja, która była pielęgniarką, mieszkała kiedyś na tej samej klatce, co Camilla, ale wyprowadziła się razem z mężem do domku jednorodzinne na Amager.

W wysprzątany jasnym salonie Anji i Finna Camilla opowiedziała o strasznej wizycie u rodziców. Spodziewała się, że Anja przyzna jej rację i uzna matkę za nieznośną. Tak też się stało, ale w oczach miała coś dziwnego.

Camilla spytała wprost:

- O co ci chodzi?
- Z czym?
- O czymś myślisz?
- Myślę o tym, jaka jest twoja matka.
- Nie, to nie to.
- Właśnie, że tak.

Jak gdyby wszyscy wyczuwali coś w Camilli i Draganie. Coś, czego ona sama nie umiała nazwać.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Musisz mi powiedzieć, jeśli coś jest nie tak.

- Po prostu się cieszę, że znalazłaś miłego faceta, którego pokochałaś i który pokochał ciebie.

Ta droga prowadziła donikąd. Camilla zresztą wiedziała, że ona również nigdy nie powiedziała by Anji, że nie lubi Finna. Musiała, więc udawać, że nic się nie stało.

Rozmawiały dalej, ale ona w tym czasie zastanawiała się, czy może jednak się pomyliła i Dragan nie jest odpowiednim mężczyzną dla niej. Czuła, że nabiera przy nim odwagi i pewności siebie, pozwalającej jej wyrwać się z tego więzienia, w którym została zamknięta. Inni chyba też powinni to dostrzec.

Ale może właśnie widzą i to im się nie podoba. Może woleliby, żeby nigdy nie uwolniła się od tej wstydlivej i niepewnej dziewczyny, jaką zawsze byłam.

Czy będę musiała razem z Draganem sprzeciwić się im wszystkim, żeby być sobą?

Przyszedł też Finn, ubrany w miękkie skórzane spodnie i fioletową bluzę, z pustym kubkiem w ręku. Był niewysokim mężczyzną o rzadkich włosach, zawsze życzliwym dla Camilli i innych koleżanek Anji.

Finn i Anja uśmiechnęli się do siebie, Finn nalał sobie herbaty do kubka, usiadł z podwiniętą nogą na kanapie obok żony i wolno popijał herbatę.

Camilla ich obserwowała. Właśnie na takiego męża dla Camilli miała nadzieję matka. Anja i Finn byli ze sobą tak blisko, że niemal stąpiali się w jedną istotę.

Camilla rozmawiała z nimi, zastanawiając się jednocześnie, jak oni w ogóle mogą uprawiać seks.

Wyobrażała sobie życie z takim mężczyzną - mogliby bez przerwy jeździć na niedzielne obiady do jej rodziców.

Anja opowiadała o przyczepie kempingowej, na którą wspólnie oszczędzali, a Camilla myślała: Czy byłabym szczęśliwa z takim mężczyzną jak Finn? Życie stałoby się łatwiejsze i przyjemniejsze, ale seks nigdy nie byłby czymś szczególnym. A może tego nie da się przewidzieć?

* * *

Gdy przyjaciele przychodzili do Gorana obejrzeć film na wideo, gospodarz zawsze najpierw wyciągał z telewizora antenę. Nawet przez moment, zanim odtwarzacz ruszył, nie mogli obejrzeć choćby paru obrazów z którejkolwiek ze stacji telewizyjnych. Stale, bowiem nadawano wiadomości o Jugosławii i wszystkich ogarniało wzburzenie, które prowadziło do kłótni o kłamstwa dziennikarzy. Najbardziej porywczy był Dragan.

Ale w domu Dragan oglądał telewizję i tam też zdradzał o wiele większe zrozumienie dla sprawy serbskiej, aniżeli wówczas, gdy przebywał ze swymi przyjaciółmi Muzułmanami.

W mieszkaniu Camilli oglądał „TV-avisen”, wiadomości na TV2, BBC i CNN. Przez cały dzień na okrągło słuchał też informacji w radiu, chociaż doprowadzało go to do prawdziwej wściekłości. Biegał po mieszkaniu, wrzeszcząc, od czasu do czasu waląc albo kopiąc w sprzęty.

Czasami jego argumenty wydawały się wręcz przekonujące, zresztą Camilla wierzyła, że on ma doświadczenie i wiedzę, której brakuje dziennikarzom.

Dragan potrafił krzyknąć: „Czy żaden dziennikarz nie zna historii?! Tym idiotom wydaje się, że to nowa wojna! A ta wojna, do cholery, ciągnie się już pięćset lat! Nie potrafią spojrzeć na to z właściwej perspektywy!”

Nauczyła się nie odpowiadać. Zamykała się w sypialni, wychodziła na dwór albo szła do toalety. Ale on potrafił dalej krzyknąć pod drzwiami: „Czytałeś w podręcznikach do historii o drugiej wojnie światowej? Jak Chorwaci zapędzali nas do cerkwi, a cerkwie podpalali? Słyszałeś o tym? Dlaczego w telewizji nikt o tym nie mówi? My ich nie palimy. Camilla?! Camilla?! Odpowiadaj! My ich nie podpalamy, prawda? My ich przenosimy, żeby się chronić. Przenosimy ich! Po prostu chcemy przeżyć, prawda?”

Camilla siedziała cicho, z nadzieją, że Dragan nie zechce wyważyć drzwi, by się do niej dostać. Pogłosił telewizor tak, żeby słyszeć w całym mieszkaniu, a sam biegał w kółko i krzyczał:

„A mimo to NATO nas atakuje, Camillo! Bombardują mój kraj! Zrzucają bomby na moje miasto! Czego oni od nas chcą? Mamy wszyscy popełnić samobójstwo? O to im chodzi? Czy mamy pozwolić, żeby Chorwaci i Muzułmanie nas pozabijali? Czy wtedy NATO byłoby zadowolone?”

Czasami jednak jego frustracja i bezsilność przytłaczały go tak, że brakło mu słów, był w stanie wydusić z siebie jedynie jakieś niezrozumiałe sylaby po serbsku i zwykły ryk. Gdy bił ją poza łóżkiem, zawsze działo się to również po obejrzeniu wiadomości.

Dwukrotnie skłoniło to Camille do podjęcia decyzji o zerwaniu z Draganem.

Ale pamiętając o jego niewyobrażalnie bolesnych przeżyciach, rozumiała, że potrzeba mu czasu na dojście do siebie. Gdy nie przypominano mu o strasznej sytuacji zarówno własnej, jak i jego kraju, był uosobieniem jej marzeń. Ta wojna musiała się kiedyś skończyć, a wówczas całe zło powinno zniknąć także z ich związku.

Zanim Camilla poznała Dragana, powtarzała sobie, że nigdy już nie zamieszka z mężczyzną skłonny do przemocy. Ale przecież tak bardzo się kochali i w końcu przyjęli rozwiązanie, że Dragan może oglądać telewizję, czytać gazety i słuchać radia tylko wtedy, gdy Camilla będzie w pracy lub poza domem z innych powodów. Na dwie godziny przed jej powrotem powinien wyłączyć wszystkie odbiorniki i odłożyć gazety.

I chociaż czasami bywał bardzo wzburzony nawet po jej przyjściu, ten system niemal całkowicie usunął problem.

* * *

Dragan mieszkał u niej już od czterech miesięcy, kiedy pewnego wieczoru wybrali się ze znajomymi do baru na Vesterbro. Spotkali tam liczną grupę Jugosłowian z innego obozu dla uchodźców. Camilla poszła do baru po cztery piwa i gdy czekała w kolejce, wdała się w rozmowę z jednym z nich. Chociaż nie wyglądał na pijanego, mówił po angielsku bełkotliwym głosem i miał do połowy przymknięte oczy. Wszystko w nim wydawało się bardzo cudzoziemskie.

W barze był ścisk i zanim Camilla się dopchała, minęło dużo czasu. Mężczyzna obok niej skinieniem głowy wskazał na stolik, od którego Camilla właśnie odeszła, i powiedział:

- Tam siedzi jeden, dla którego nigdy nie będzie przebaczenia.

- Co?

Mężczyzna jej nie odpowiedział, tylko ciągnął swoim własnym tropem, bez odrobiny ironii, z powagą, jakiej nigdy nie słyszała u Duńczyka:

- Tam siedzi człowiek, który zasłużył na wszelkie udreki świata.

- Kto? Co?

- Ten z szeroką szczęką - odparł mężczyzna i wskazał Dragana.

Camilli natychmiast zrobiło się niedobrze, chociaż nie miała pojęcia, o czym może mówić ten człowiek.

Mężczyzna wolno zwracał ku niej chude ciało. -W kraju, w Banja Luce, dowodził grupką mężczyzn, którzy zgwałcili i zabili trzy siostry z mojej ulicy.

- To chyba jakieś nieporozumienie. To jego siostry zosta...

Camilla urwała, ale nie spuszczała wzroku z mężczyzny. Coś się zaczęło zazębiać. Drobiazgi z codzienności domowej. Drobiazgi, dla których nie miała słów.

Na twarzy mężczyzny pojawił się grymas przerażenia, gdy zorientował się, że Camilla najwyraźniej zna Dragana.

- Kim jesteś?

Camilla myślała szybko. Musiała się dowiedzieć więcej. Odparła więc:

- Uczę duńskiego tych, którzy siedzą z nim przy stoliku. Mężczyzna spojrzał na nią nieufnie.

- Nie mów, że ci o tym powiedziałem.

- Dobrze.

- Nigdy. Nigdy nie wolno ci o tym wspomnieć.

- Dobrze.

- Uczysz ich duńskiego? Tylko stąd ich znasz?

- Tak. I nic nie powiem.

Barman podał mężczyźnie piwo, ale ten zaczął nerwowo się rozglądać. Wyraźnie było widać, że ma ochotę wyjść. Chociaż właśnie kupił piwo za pieniądze, których z pewnością miał niewiele.

- On mnie zabije - powiedział. - Dragan nie zawaha się nawet przez sekundę. Teraz nie może mnie rozpoznać, ale wiem, jaki on jest.

Camilla próbowała uspokoić go uśmiechem.

- Obiecuję, że nic nie powiem.

Dragan wstał od stolika i spojrzał na Camille. Mężczyzna gwałtownie drgnął.

- Czegoś jednak nie rozumiem - podjęła Camilla. - Na lekcji duńskiego w grupie powiedział, że został zmuszony do wstąpienia do oddziału.

- Tacy jak on sami się zgłaszają. Chcą brać w tym udział. To jeden z tych, którzy naprawdę to lubią.

Potem pospiesznie ruszył do drzwi.

Dragan podszedł do Camilli, pomóc jej zanieść piwo do stolika, a ona nic nie powiedziała.

Później dyskretnie spytała męża Leny, Sima, co powinna myśleć o tej historii.

- Kto ci o tym mówił? - spytał Simo.

- Nie wiem. Jakiś człowiek w barze.

- Mnie możesz to zdradzić.

- Ale ja naprawdę nie wiem, kto to był.

Simo wyszedł, a w niespełną minutę później Dragan brutalnie zaciągnął Camille do kąta w barze.

- Kto ci o tym mówił?

- Nie wiem. Jakiś facet.

- Musisz mi to powiedzieć, i to już!

- Dlaczego jesteś taki... To tylko plotka. Jakiś przypadkowy...

Szarpał ją za ręce, patrząc głęboko w oczy.

- Mów!

Camilla wiedziała, w jaki sposób napinają się jego policzki, nim zaczyna bić.

- Jeśli uderzysz mnie tutaj - oświadczyła - zgłoszę to na policję jako użycie przemocy wobec Dunki.

To go jeszcze bardziej rozwścieczyło. Pięścią walnął w ścianę obok niej.

- Nie będziesz mi grozić!

Ale jej nie uderzył.

Wiedział, że dwa słowa Camilli wystarczą, by trafił na kilka lat do więziennej celi dla uchodźców albo zaczął się błąkać po tranzytowych halach obcych lotnisk na całym świecie.

Wrócił, więc do swoich przyjaciół. Camilla wiedziała, że kilku z nich zaczęło zaraz chodzić po barze i zadawać pytania wszystkim, którzy przed chwilą stali obok niej. Pokazywali na nią i na stół, na którym przysiadła.

Pięć minut później czterech z nich z wyrazem zdecydowania na twarzach włożyło kurtki i bez pożegnania wyszło z baru.

* * *

Dragan wrócił do domu około wpół do czwartej. Zapłakana Camilla leżała w łóżku. Położył się przy niej w ubraniu. Objął ją, mówiąc:

- Już dobrze, dobrze. To przecież nieprawda. To kłamstwo. Tylko, że jeśli ten człowiek będzie takie kłamstwa rozsiewał po Danii, mogę trafić do więzienia. Albo zostanę odesłany. Po to, abyśmy mogli dalej być razem, on musi przestać wygadywać takie bzdury.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi, mokrymi od łez oczami, czując się jak mała dziewczynka.

- A więc to nieprawda? To kłamstwo?

- Oczywiście, że to kłamstwo, Camillo.

Objął ją mocnym ramieniem, a ona wtuliła się w niego, usiłując wśród zapachu piwa i dymu bijącego z jego koszuli pochwycić jego zapach. Wcisnęła nos w jego pierś i powtarzała sobie monotonicznie:

- To kłamstwo, to tylko kłamstwo. To kłamstwo, to tylko kłamstwo.

Dragan jej przerwał:

- Camillo, musisz uwierzyć, że to kłamstwo, skoro ja tak mówię. Ale wiedz, że nigdy nie zrozumiesz wojny. To było takie straszne. Właśnie, dlatego czasami jest mi tak źle. To było

straszne. Nikt nie robi tego, co by chciał. Ty też byś nie robiła. Ani ja. Ale ja uciekłem. Ryzykowałem życie, żeby tego uniknąć.

Powtórzył też to, co mówił już wiele razy.

- Chciałem, żeby to się skończyło. Żeby wszystko już minęło. Od tej pory chcę żyć normalnie tak jak ty. Chcę żyć tutaj, z tobą, i być dobrym człowiekiem jak ty.

Camilla wtulała się w niego tak mocno, że trudno mu się było rozebrać.

Straszne było to odkrycie, ale przez niepewność tego, co zrobił, niepewność, do czego był zdolny, seks stał się jeszcze lepszy.

Radosne uczucie całkowitej swobody, panowania nad przeszłością i przyszłością utrzymało się w niej dłużej. Wciąż czuła euforię, gdy nieco później sama w ostrym świetle łazienki oglądała się w dużym lustrze, żeby sprawdzić, jakie nowe sińce jej przybyły.

Następnego dnia Dragan spał tak głęboko, że prawie nie dawało się go dobudzić. Ale Camilla nie mogła już dłużej spać, dręczyły ją straszne fantazje o tym, co stało się z mężczyzną z baru. To była jej wina. Co z nim zrobili?

Po samotnym śniadaniu chciała spruć zapach baru z ubrania Dragana. Czuła, że musi coś dla niego zrobić po tym, jak zagroziła, że doniesie na niego na policję. Bo przecież naprawdę nie miała pojęcia, co się działo w tej wojnie. Z całą pewnością wiedziała jedynie, że Dragan również był jej ofiarą.

Zabrała ubranie, które w nocy rzucił z łóżka na krzesło, do łazienki. I gdy tam podniosła jego brązowe spodnie, wyczuła w kieszeni jakąś miękką paczuszkę.

Przez materiał wydawało jej się, że to kondom. Sama zażywała tabletki antykoncepcyjne i już wyobrażała sobie, z jaką wściekłością go zaatakuje, jeśli to rzeczywiście prezerwatywa. Wpadłaby w szal i byłoby jej kompletnie obojętne, czy on ją później zbije. Byłaby...

Ale to, co wyjęła z kieszeni, nie było prezerwatywą, tylko niedużą, przezroczystą torebką z białym proszkiem.

Widziała takie torebki na filmach. Jak bardzo był uzależniony? I skąd, do diabła, brał pieniądze na kokainę?

Może sam nią handlował, żeby zarobić? Może sprzedawał ją przyjaciołom? Czy oni też brali? Mąż Leny? Albo ten miły gościnny Goran?

Przez cały czas wydawało jej się, że przyjaciele szanują Dragana, ale może w rzeczywistości po prostu się go tylko bali? Może byli mu winni pieniądze za narkotyki? Może, tak jak ona, jednocześnie odczuwali strach i litość?

* * *

Wyrzuciła go. Wrócił do obozu dla uchodźców.

Przez następne dni próbowała wszystkimi możliwymi sposobami dowiedzieć się czegoś o przeżyciach Dragana w Jugosławii. Uzyskała zbyt wiele jednoznacznych opisów, aby wszystkie mogły być kłamstwami i nieporozumieniami. Usłyszała między innymi, że Dragan, podobno razem z Mirkiem Žigiciem, zgłosił się na ochotnika do pełnienia straży i „prowadzenia przesłuchań” w obozie w Omarskiej, o którym z uwagi na stosowane tam tortury często mówiono w mediach.

A w pozostawionej przez Dragana książce z poezją Crnjanskiego znalazła kartkę. Na górze był jakiś tekst, w którym padało imię Dragan. Potem znów kilka niezrozumiałych słów, a na dole podpis: „Mirko Ž.”.

Nie mogła się jednak przemóc, by donieść na Dragana ani za przestępstwa w Bośni, ani za kokainę, ani za przemoc w domu. Groziłyby mu za to zbyt poważne konsekwencje. Pewnego dnia znów się spotkali u Leny i Sima. Teraz Camilla bała się Dragana bardziej, niż bała się Mortena. I znów znalazła się z nim na jego czarnym płaszczu w zaroślach za drogimi mieszkaniami na Frederiksberg.

Przeprowadził się z powrotem do niej. Znów miała ochotę donieść na niego na policję za narkotyki i alkohol, lecz nie zrobiła tego ze względu na jego wojenną przeszłość.

Znów go wyrzuciła, znów wrócił do obozu.

A potem zrobiła to jeszcze raz. Wyrzucała go za każdym razem, gdy nałóg lub ataki wściekłości osiągały nowy poziom. Później zrezygnowała i sama spróbowała jego kokainy, chociaż wciąż nie wiedziała, skąd brał na nią pieniądze. Zorientowała się, że ma to, co nazywano „addictive personality”, osobowość nałogową. Dotyczyło to zarówno przyrządzanego przez niego domowego jedzenia, jego seksu i jego narkotyków. Uzależniła się szybciej niż wiele innych osób.

I nagle pewnego dnia Dragan znalazł sobie inną kobietę. Zakochał się w niej bez pamięci, tak samo jak pół roku wcześniej zakochał się w Camilli.

Wszystko się skończyło. Nie miała, po co żyć i tak właśnie się czuła przez następne dwa lata. Nie pozostało jej nic innego, jak odwiedzić u rodziców w przeklętym Vanlose. I powrót do zbyt spokojnych wizyt przy herbacie u Anji i Finna.

Zmusiła się do ponownego przyłączenia się do chóru, a dzięki pomocy rodziców i grupy wsparcia wyszła z narkomanii. Dwa lata później zrozumiała, że ta wstrętna dziwka, która ukradła jej mężczyznę, uratowała jej życie.

47

Camilla i dzieci wstają jednocześnie z Finnem. Ponieważ on jest hydraulikiem, są na nogach już o pół do szóstej.

Staje, więc na piętrze przed drzwiami do DCIL półtorej godziny wcześniej, nim przyjdą wszyscy pozostali. Wciska kod alarmu i wchodzi do środka.

Czerwona lampka automatycznej sekretarki świeci w półmroku. Nie mruga, nikt, więc nie zostawił żadnej wiadomości od chwili, gdy wyszła ostatnia osoba. Komputer Malene jest włączony, musiała o nim wczoraj zapomnieć. Camilla, czym prędzej zapala światło, jarzeniówki kilka razy mrugają, a potem wszystko już wygląda normalnie.

Camilla włącza swój komputer i idzie wąskim korytarzykiem do kuchni, żeby nastawić kawę. Nic tu nie słychać. Książki pokrywające ściany chłoną każdy dźwięk z zewnątrz, a zresztą o tak wczesnej porze nie ma żadnych dźwięków.

Jeszcze parę dni temu poranki były jej ulubioną porą w pracy. Lubiła ciszę, w której mogła uporządkować swoje sprawy. Ale ostatnio poranki się zmieniły.

Od czasu, gdy Iben odkryła, że Camilla była kiedyś związana ze zbrodniarzem wojennym, koleżanki się od niej odsunęły. A Camilla dobrze wie, co to może oznaczać.

Wraca na swoje miejsce i wyjmuje plik rachunków, które trzeba wklepać do komputera. Zabrała z domu dwie tabletki idotyłu, ale i tak czuje się źle. Dokucza jej zwłaszcza żołądek.

Wiele lat temu tak samo siedziała każdego ranka. Przez pierwsze dwa lata matka odprowadzała ją do szkoły dwadzieścia minut wcześniej niż wszystkie inne matki, bo inaczej spóźniłaby się do pracy.

I przez wiele lat Camilla rozpoczynała swój dzień na połamanej, zniszczonej ławce pod daszkiem na podwórzu szkoły, z kolanami przyciśniętymi do siebie, wyobrażając sobie, jak dzisiaj ukarze ją klasa.

Oczywiście będą krzyżeć ze wstrętem za każdym razem, gdy ktoś jej dotknie. A kolega popchnięty zbyt blisko niej, będzie potem biegał w koło, próbując się „wytrzeć” o kogoś innego, kto z kolei będzie krzychał, że pośrednio dotknął Camilli.

Ale co jeszcze oprócz tego? Czy i dziś należą jej czegoś do tornistra? Czy ktoś ją zbije? Czy znów wyrwą jej kartki z zeszytu?

Może nie powinna pić kawy, skoro boli ją brzuch. Ale kawa chyba już jest gotowa, idzie, więc po nią do kuchni.

Pojawiają się koleżanki i pierwsze godziny mijają tak, jak się tego spodziewała.

Później przychodzi jej do głowy, by wymienić burczącą świetlówkę w gabinecie Paula, skarżył się na to już od dawna. Dzięki temu może, chociaż na chwilę znaleźć się w innym pomieszczeniu niż Malene, dalej od Anne-Lise i Iben, które od czasu do czasu wołają coś do niej przez otwarte drzwi biblioteki.

Wchodzi do małego magazynu. Tam, nie spiesząc się, wyjmuje drabinę i nową świetlówkę. Potem prędko przechodzi przez Ogród Zimowy. W gabinecie Paula zamyka za sobą drzwi i stara się najwolniej jak potrafi rozstawić drabinę i wyjąć starą świetlówkę z oprawy.

Właśnie stoi na najwyższym stopniu drabiny, próbując założyć nową świetlówkę, gdy wpada do niej Iben i już od drzwi woła:

- Rozmawiałam z serbskim dziennikarzem, któremu twój narzeczony rok temu zamordował kolegę!

- Co...?

- Dragan zabił go kolbą pistoletu, Camillo. Tamten człowiek napisał krytyczny artykuł o przyjacielu Dragana, Žigiciu, i o sprawie serbskiej. Tak samo jak ja.

- Ale... - Camilla czym prędzej schodzi z drabiny. Nową świetlówkę zabiera ze sobą.

- Musisz nas naprowadzić na jakiś ślad!

- Ale ja nie wiem nic więcej, oprócz tego, co już mówiłam.

- Dlaczego zawsze, kiedy mówisz o Draganie, wydaje mi się, że kłamiesz?

- Nie wiem. W ogóle nic więcej nie wiem.

- Słyszę, że znów kłamiesz.

- Ja się czuję tak samo jak ty. Ja też się boję, że on tu przyjdzie. Ale co mam zrobić?

Iben stoi na rozstawionych nogach, ma napięte mięśnie twarzy. Stoi w kobiecej pozycji bojowej, którą Camilla pamięta z zachowania dziewczyn prowodyrek z klasy. Birgitte potrafiła stać

w takiej pozycji przed biurkiem nauczyciela. Pozostałe gromadziły się wokół niej. A gdy rzuciła czymś mocno w Camille, one także znajdowały coś, czym mogły w nią cisnąć.

Camilla musi usiąść. Osuwa się na jedno z krzeseł przy stole konferencyjnym Paula. Chowa twarz w dłoniach i mocno przyciska ręce do oczu. W ciemności słyszy natarczywy głos Iben:

- Bardzo bym chciała ci wierzyć, ale wszystko w tobie jest inne. To okropnie denerwujące. Nie bardzo umiesz kłamać, Camillo.

- Ja nie kłamię. - Camilla słyszy, że jej głos staje się jaśniejszy, musiała napiąć jakieś mięśnie gardła, których zazwyczaj nie używa.

Iben nie odpowiada. Camilla wciąż siedzi z zamkniętymi oczami i wyobraża sobie, jak szykuje się do ataku na rozstawionych nogach w odległości zaledwie kilku metrów.

- Ja nie kłamię. Nie kłamię.

Słyszy, że Iben się odwraca i przechodzi do Ogrodu Zimowego.

Camilla wie, że na to zasłużyła. Karzą ją sprawiedliwie, bo swoimi kłamstwami opóźniła wyśledzenie człowieka, który prawdopodobnie czyha na życie Iben.

Może Iben albo któraś z pozostałych naprawdę zginie, i to tylko, dlatego, że Camilla nie powiedziała prawdy. Ich kara jest sprawiedliwa. Ona o tym wie. Ale Iben znalazła jej najczulszy punkt.

Camilla dalej siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach, przez otwarte drzwi słyszy, jak Iben opowiada innym:

- Zadzwoiłam do Ljiljany Perić, tej, która chodziła z Žigiciem do liceum i z którą robiłam wywiad do artykułu o nim. Za jej pośrednictwem dostałam nazwisko dziennikarza z Belgradu, który zna Dragana, ale boi się już pisać o nim albo o Žigiciu. Powiedział, że Dragan z całą pewnością jest zamieszany w narkotyki, w handel kobietami i w porwania. A to oznacza tyle, że jest w mafii.

Iben podnosi głos, by Camilla również mogła ją słyszeć:

- Pisałam o jego zwierzchniku. A ona z nim była. To wcale nie musi być Žigić. Równie dobrze to Dragan mógł zabić Rasmusa. Mógł wysłać te maile i mógł się włamać tu, do biura, zanim pojawiła się kamera nad drzwiami.

* * *

Gdyby Camilla już wcześniej nie była przewrażliwiona na punkcie mobbingu, z pewnością stałaby się taka w DCIL.

Nieznosne było obserwowanie, jak traktują Anne-Lise. Setki razy miała ochotę jej pomóc, lecz gdy tylko okazywała jej, choć trochę życzliwości, Malene i Iben tak samo wyżywały się na niej. A przecież musiała siedzieć z nimi w jednym pokoju. Cały czas miała z nimi do czynienia, przez cały dzień musiała odbijać piłeczkę.

Raz zaproponowała, by zachowywały się wobec nowej koleżanki nieco delikatniej. Malene odpowiedziała wtedy: „Przecież ja i Iben się przyjaźnimy, a to coś zupełnie innego. Anne-Lise to tylko koleżanka z pracy”. Jakby nie miały pojęcia, co robią, i jakie konsekwencje może mieć ich postępowanie.

Ale Camilla wiedziała. Wiedziała, że Anne-Lise prawie codziennie chowa się za zbiory wschodnioeuropejskie na samym końcu biblioteki. I że zabiera tam ze sobą kieszonkowe lusterko, żeby sprawdzić, jak wyglądają jej oczy, zanim wróci na miejsce.

Już po krótkim pobycie Anne-Lise w centrum Camilla nie była w stanie spojrzeć jej w oczy. Pamięta też, jak pewnego dnia powiedziała do Paula:

- Mam wrażenie, że Anne-Lise nie czuje się tu najlepiej. Nie sądzisz, że powinieneś z nią porozmawiać? Może dałoby się coś zorganizować w inny sposób?

- A dlaczego tak myślisz? - spytał Paul.

Camilla musiała się bardzo przemóc, by rozmawiać o tym z szefem. Odparła cicho, patrząc w podłogę:

- Po prostu zauważyłam, że podczas przerwy na kawę wyglądała tak, jakby płakała. Miała czerwone oczy i policzki.

Ale Paul odparł:

- To nic nie znaczy. Nie zauważyłaś, że ona zawsze tak wygląda? Musi mieć jakieś kłopoty z cerą.

Już był w drzwiach, a Camilla wróciła do swojej pracy i do żartów z Malene i Iben.

Ale w ostatnich dniach wszystko się zmieniło. Teraz to Iben i Anne-Lise gadają w bibliotece, a Malene usiłuje się zorientować, jak sobie da radę sama.

Podczas lunchu Iben, wciąż podniecona, rozmawia z Anne-Lise o Draganie. Camilla nic nie mówi. Czuje się chora i zjada swojego selera naciowego małymi kęsami.

Żadna z osób przy stole nie zachowuje się normalnie. Rozkwitła jedynie Anne-Lise. Malene niezdarnie chwytła paczkę z pokrojonym żytnim chlebem, wypada jej z rąk na stół, kilka kromek się łamie.

Nie pada żaden dowcip, mający świadczyć o tym, że nic się nie stało i może się przydarzyć każdemu. Żadna też nie mówi, że Malene to niezdara. Wszystkie milczą.

Camilla dopiero jako dorosła osoba nauczyła się, że strategią przetrwania jest niezwracanie uwagi na złość innych, pozwolenie, by przeleciała obok i uderzyła w następny cel. Żałuje, że nie

nabrała w tym wprawy już przed laty, ale przynajmniej teraz potrafi o siebie zadbać. W ostatnim roku następnym celem była Anne-Lise. A teraz jest nim Malene.

Malene usiłuje podchwycić styl mówienia Iben, bierze sobie tę kromkę, która pokruszyła się najbardziej, i stara się udawać wzburzoną nowymi informacjami Iben o Draganie.

Widać jednak jej nieszczerłość - Dragan jest jej obojętny. Wszystkie są w stanie to zauważyć.

Gdzieś głęboko Camilla odczuwa również pewną radość, widząc Malene w takim stanie. Malene zawsze ubierała się zbyt wyzywająco, jak na tego rodzaju instytucję. Pasek spodni biodrówek i krótka bluzka mało nie pękną, kiedy wstaje. A w ostatnich dniach jeszcze bardziej kurczowo trzyma się tej swojej tożsamości „Jestem najładniejsza i najswobodniejsza ze wszystkich tutaj”.

Camilla zawsze najmniej w DCIL lubiła Malene. Między innymi, dlatego, że właśnie Malene od samego początku zachowywała się najgorzej wobec Anne-Lise.

Malene żuje swoje jedzenie, na zębach zostaje jej odrobina na wpół przeżutego sera i chleba, gdy postanawia jak Iben, wbić Camilli szpilę:

- Można zacząć się zastanawiać, w czym jeszcze nas okłamałaś.

Malene tak łatwo przejrzeć: Ma nadzieję, że tamte dwie uwezmą się na Camille razem z nią. Ale one właśnie, dlatego nic nie mówią.

Ponieważ wszystkie milczą - również po przełknięciu jedzenia - Malene łapie się za swoje chore dłonie i mówi:

- No, trzeba wracać do roboty.

To samo powtarzała prawie zawsze raz dziennie pod koniec przerwy przez ostatni rok. I za każdym razem wszystkie wstawały, żeby wrócić do pracy. Teraz bardzo się stara, by jej głos zabrzmiał tak jak głos pewnej siebie Malene, który wszyscy znają. Ale nawet to krótkie zdanie brzmi fałszywie.

Żadna się nie podnosi. Żadna też nie komentuje, dlaczego tego nie robią. Anne-Lise i Iben przygotowują sobie jeszcze po kanapce.

Dopiero kilka minut później Anne-Lise odsuwa krzesło, żeby wstać. Zaraz potem rusza się Iben, a za nią Camilla.

* * *

Po przerwie na lunch Camilla ma porównać zalety, wady i ceny różnych hoteli w Skandynawii, w związku z planowanym przez DCIL niewielkim ogólnoskandynawskim

seminarium. Jej zadaniem jest zestawienie danych w czytelny sposób, tak by Paul, gdy wreszcie się pojawi, mógł ustosunkować się do propozycji i coś wybrać. Camilla siedzi nad liczbami, kursami walut i rozmaitymi innymi danymi, a nieustannie dzwonią użytkownicy.

Jednocześnie Malene próbuje się do niej wdzięczyc. Gdy nie udało jej się nakłonić koleżanek do wspólnego zaatakowania Camilli, postanawia zawrzeć sojusz z nią przeciwko tamtym dwóm. Przez cały czas kręci się przy biurku Camilli w tych swoich obcisłych spodniach, porusza jakieś przypadkowe tematy, rozmawia o programach telewizyjnych, rzuca plotki o zarządzie i użytkownikach.

Jak ona może sobie wyobrażać, że Camilla da się na to nabrać? Gdy tylko Camilla okaże jej życzliwość i solidarność, przez co jeszcze bardziej straci w oczach Iben, Malene zaraz się od niej odwróci, zmieni front i znów się na nią uweźmie, bo będzie miała nadzieję, że Iben znów ją zaakceptuje.

Camilla wpatruje się w ceny hoteli na swoim monitorze i odpowiada Malene monosylabami. Cieszy się, że wreszcie opanowała różne sztuczki i potrafi się bronić.

Później, gdy Camilla wychodzi do magazynu po pudełko z nalepkami, natychmiast pojawia się tam Malene.

- Uważam, że powinnaś coś wiedzieć - mówi. - To ważne, żeby zrozumieć Iben.

Camilla już z góry postanowiła, że będzie obojętna na wszystko, co powie Malene. Udaje, że szuka czegoś na regale, a Malene w tym czasie mówi:

- Kiedy Iben miała dziewiętnaście lat, była na leczeniu psychiatrycznym. Wcale nie jest taka zrównowazona, jak mogłoby się wydawać. Wtedy cierpiała na jeszcze większe lęki niż teraz, chodziła po ulicach z nożem przywiązany do łydki, dopóki nie trafiła na leczenie.

Camilla mimo wszystko odwraca się do Malene, a ta ciągnie:

- Może to ona cierpi na rozszczepienie osobowości i wysłała te maile, a teraz strach przed uświadomieniem sobie tego każe jej się tak na nas wściekać.

Malene, mówiąc o wysłaniu maili, z pewnością ma na myśli, że to również Iben rozlała olej na schodach jej domu i usunęła barierkę przed okna. Ale głośno tego nie mówi.

Camilla nie może oprzeć się myśli, że coś w tym jest. Jej samej wydawało się kilkakrotnie, że dostrzega na nodze Iben jakieś dziwne wybrzuszenie. Czyżby naprawdę chodziła z nożem przymocowanym do nogi? Może popada w paranoję i robi się niebezpiecznie agresywna? Czy zachowywała się tak już wtedy, gdy przyszły te maile? Wtedy, gdy zginął Rasmus?

Po tej rozmowie w magazynie Camilla wymyśla sobie jakieś sprawy w bibliotece, zmuszające ją do przejścia obok Iben na jej nowym stanowisku pracy. Próbuje sprawdzić, jak wyglądają łydki Iben i dowiedzieć się, czym też była ostatnio tak pochłonięta, kiedy nie dzwoniła do Jugosławii i nie zajmowała się zadręczaniem Camilli.

Żadnego noża nie udaje jej się zobaczyć. I za każdym razem, gdy Camilla ją mija, Iben zamyka okno, w którym pisze. W ostatnich dniach Iben drukowała też coś, przynajmniej raz na godzinę. Zwykle tak właśnie wygląda rytm jej pracy, gdy pomału tworzy tekst do któregoś z długich artykułów do „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa”. O ile jednak Camilla wie, Iben nie pracuje nad żadnym długim artykułem.

To pisanie Iben bardzo ją denerwuje. Może notuje te wszystkie kłamstwa o Camilli i Draganie, bo chce je wykorzystać, gdy wróci Paul? Co innego to może być? Czyżby dowiedziała się czegoś więcej? Chce doprowadzić do zwolnienia Camilli?

Camilla nie ma możliwości obejrzenia wydruków w jej koszu na papierach, ale kilka razy zdarzyło się, że firma sprzątająca biuro wieczorem opróżniła małe torebki plastikowe z koszy na papierach do dużego worka na śmieci w powielarni.

Camilla postanawia to sprawdzić. Worek jest pełny. Może na dnie, pod wszystkimi zgromadzonymi dzisiaj papierami, leży też plastikowa torebka z wydrukami Iben?

Drzwi między powielarnią a biblioteką zawsze były otwarte, lecz odkąd Iben przeniosła tu swoje stanowisko, są zamykane. Iben siedzi w odległości zaledwie kilku metrów, zaraz po drugiej stronie zamkniętych drzwi. W drzwiach nie ma zamka.

Co powie Camilla, jeśli któraś tu wejdzie i zastanie ją z ręką głęboko zanurzoną w czarnym worku pełnym cudzych śmieci?

Nie ma pojęcia.

Stoi nieruchomo i nasłuchuje. Przez drzwi nie przenikają żadne dźwięki. Ani głos zbliżającej się osoby. Ani kroki. Ale jak mogłaby je usłyszeć?

Otwiera drzwi i wygląda. Na miejscu w czytelnicy Iben podnosi głowę nad komputera, a Camilla uśmiecha się do niej z wysiłkiem. Nie otrzymuje uśmiechu w odpowiedzi. Iben wraca do swojego pisania. Camilla zamyka drzwi.

Przystawić je czymś ciężkim?

Nie, nic takiego tu nie ma.

Zaczyna szukać.

Na samej górze leżą opakowania po książkach, które Anne-Lise dostała rano pocztą. Pod nimi wydruki z bazy danych.

Camilla musi przechylić się głęboko przez metalowy stojak, na którym zamocowany jest worek. Prawie całą górną połowę ciała ma już w środku. Głęboko, tak jak miała nadzieję, znajduje zawartość napełnionych wczoraj koszy na papierach.

Przerzuca rozmaite wydruki i listy, nie wyciągając ich z dna worka. Jeszcze raz się zanurza i dostrzega coś podejrzanego. Na samym spodzie leży mnóstwo małych kawałeczków papieru. Ktoś podał swoje wydruki przed wyrzuceniem.

Camilla wyjmując kilka tych największych. Udaje jej się podnieść je z worka, nie tracąc równowagi.

Poprawia włosy zwisające jej na twarz i prędko zerka na drzwi. Wciąż nie słyszy zza nich żadnych dźwięków. Podchodzi do okna i czyta pierwszą z podartych kartek:

chologia

ła IX

Jesteśmy szczurami! Szczurami doświadczalnymi. Jedynie przeklętymi
które biegają po labiryncie według psychologów spo
prawa, których nie znamy

Camilla znajduje pięć fragmentów, które udaje jej się na parapecie poskładać w całość. Może z nich odczytać następujący tekst:

ój zainteres

częło się kiedy raz przeczytałam w gazecie o danie ruchu na parkingu. Ludziom dużo więcej czasu zajmowało wyjechanie z miejsca, jeśli jakiś samochód czekał już na wjazd, niż gdy było pusto. Mężczyznom wjazd zajmował o wiele mniej czasu, jeśli na wjazd czekał luksusowy samochód. Kobiety nie reagowały na wartość oczekującego auta. Oczywiście żaden z kierowców nie wiedział, że podlega tym prawom. Oni po prostu według nich działali. Wszyscy jesteśmy przewidywalni. Jesteśmy szczurami. Nie ma wątpliwości, że to napisała Iben. Camilla jednak nie może się zorientować, jaki to może mieć związek z Draganem czy z nią samą.

Pozostałe fragmenty są zbyt małe, by dało się z nich wyczytać jakiś sens.

Mordercy wśród nas, którzy nie przyz

Gunnar kiedyś w przyszłości

Camilla znów nurkuje do worka. Trudno jest zobaczyć coś po ciemku na samym dole, a z opakowań po książkach sterczą plastikowe taśmy i narożniki kartonów, które ją kłują w rękę. Tym

razem wyciąga całą garść karteluszków. I znów udaje jej się na parapecie poskładać kilka w dłuższy tekst:

ychologia a X

również to, co Primo Levi napisał o trud

dzy więźniami, gdy sam przebywał w Auschwitz: „Wiara, że taki system jak nazizm wywyższa swoje ofiary, jest naiwna, absurda i historycznie nieprawdziwa. Jest odwrotnie. Ten system upokarza ofiary, sprawia, że się do niego upodobniają”.

Sądząc po tych fragmentach, z których Camilla jest w stanie wyczytać jakiś sens, Iben pisze takim językiem, jak gdyby były to artykuły naukowe, lecz nie potrafi sobie wyobrazić, by miały trafić do „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa” czy na stronę internetową. Nie widać w nich rozwoju żadnej tezy, cały czas opętająco krążą wokół jednej i tej samej myśli.

Jesteśmy niewolnikami, przewidywał
kropkę! Jesteśmy tylko szczurami. Jak może czł
Zerwać z by

Z zewnątrz dobiega wołanie.

- Cześć, Paul!

- Cześć! Nareszcie jesteś.

A potem wołanie Paula:

- Musimy coś uczcić!

Camilla czym prędzej chowa kawałki kartek Iben pod dwoma pudłami papieru do drukarek i biegnie do Ogrodu Zimowego.

Wszyscy już tam są. Paul stoi uśmiechnięty tuż przy drzwiach, wymachuje butelką szampana i woła:

- Kto przyniesie kieliszki?

Są tak ciekawe, co się dzieje, że Paul musi powiedzieć:

- Malene, pójdziesz do kuchni po pięć kieliszków?

I zaraz zaczyna opowiadać:

- Frederik opuścił zarząd. Ta przeszkoda jest, więc usunięta z drogi. Może uda nam się przetrwać.

- Opuścił zarząd? - powtarza Iben. - Ale...

Paul poklepuje ją po ramieniu i odpowiada, nie pozwalając dokończyć pytania:

- Nie, ja go nie mogę zwolnić. Nawet Ole nie może tego zrobić. Można się go pozbyć tylko w jeden sposób: sam musi ustąpić.

- To znaczy, że ustąpił? - pyta Anne-Lise. - Sądziłyśmy, że to może ciebie Ole będzie...

I znów Paul przerywa jej z uśmiechem:

- Cha, cha! Ale on tego zrobić nie może. Jeśli ja nie będę szefem, to centrum padnie z uwagi na ustawę finansową. O tym Ole, zdaje się, zapomniał.

Anne-Lise przysuwa się bliżej Iben i pyta:

- O czym ty...?

- Mam starego przyjaciela, jest rzecznikiem tej partii, która jest języczkiem u wagi. To on decyduje, czy DCIL dostanie państwową dotację, czy nie.

Iben błyskawicznie pojmuje, o czym mówi Paul. Teraz i ona się śmieje.

- Masz przyjaciela, który... Cha, cha, oczywiście, że tak.

- Co to za partia? - pyta Anne-Lise.

Paul pochyła się nad biurkiem Malene i mówi:

- Dobrze wiesz.

- Masz starego przyjaciela, który jest rzecznikiem w Duńskiej Partii Ludowej?

A Paul, uśmiechając się z dumą, odpowiada:

- Właśnie tak. - Ale widząc wyraz jej twarzy, dodaje: - To, co robimy, robimy dla sprawy.

Wszystko dla sprawy.

- No dobrze, i co dalej?

- Będziemy działać. Będziemy działać, mając w zanadrzu to zwycięstwo. Ryzyko, że zostaniemy wcieleni do IPC jest o jeden stopień niższe.

Malene wraca z kieliszkami. Usiłuje włączyć się do rozmowy:

- No dobrze, ale co z Frederikiem? Czy on się zgodzi na to, by Ole pozwolił ci zostać?

- Nie. Właśnie na to nie może się zgodzić.

Malene szuka kontaktu wzrokowego. Patrzy po kolei na wszystkie.

- Czy Frederik pokłócił się z Olem? Występuje z zarządu? Paul zaczyna wyciągać korek z butelki.

- Malene, właśnie, dlatego pijemy szampana.

Korek wyskakuje, ląduje na półce wysoko pod sufitem.

Stukają się kieliszkami i piją. Camilla nie może się powstrzymać od obserwowania Iben. Gdyby nie widziała dzisiaj przed południem jej wściekłości, nie słyszała tego, co opowiedziała jej Malene, ani nie czytała tych mglistych szkiców artykułu, nie byłaby w stanie zauważyć, że coś z nią jest nie tak.

Gdy Paul opowiada coś jego zdaniem zabawnego, Iben śmieje się głośniejsze i dłużej niż zwykle. Jak gdyby sama zdążyła już wypić całą butelkę szampana.

Camilla popija z kieliszka małymi łyчками. Przeklina chwilę, w której wpuściła Dragana do swego życia. Minęły już trzy lata, odkąd usłyszała o tym, co Iben jej opowiedziała o jego życiu ostatnio. Wielokrotnie podejmowała decyzję, że poda policji adres jego hotelu, gdy następnym razem będzie przejazdem w Kopenhadze i bez ostrzeżenia do niej zadzwoni. Później jednak przyznawała, że z nim zawsze postępuje odwrotnie, niż początkowo chciała.

Kiedy spogląda wstecz na wielu mężczyzn w swoim życiu, odczuwa głęboką wdzięczność, że to z Finnem związała się po śmierci Anji. Nie licząc Dragana, małżeństwo z Finnem to najlepszy wybór, jakiego w życiu dokonała.

Malene nie pije swojego szampana.

- Martwiłyśmy się o ciebie, Paul. Martwiłyśmy się też o centrum. O nas wszystkie. Tak nagle zniknąłeś, więc myślałyśmy, że może Ole postanowił cię zwolnić. To wszystko było takie...

Paul patrzy na swój kieliszek, który lekko przechyla, by nie uciekły bąbelki, i odpowiada powoli:

-Ja też o was myślałem, Malene. Ale to wszystko bardzo się skomplikowało przez wyjazd grupy polityków do Iraku. Udało mi się zorganizować pewne spotkanie, na którym bardzo mi zależało, dopiero po ich powrocie do kraju. A tego nie przewidziałem.

Kończy nalewać sobie kieliszek i patrzy na Malene.

- A po to, by współpraca w zarządzie w przyszłości układała się gładko, musiałem uniemożliwić Olemu powiedzenie lub napisanie czegoś, czego później by żałował. Wszystko musiało czekać.

- Paul, kiedy mówisz: „Tego nie przewidziałem”, czy to tutaj... Ta wizyta Gunnara, „przypadkowe” przyście Olego... Czy ty to wszystko zaplanowałeś, nic nam o tym nie mówiąc?

Paul podnosi do niej swój kieliszek, promieniejąc z radości.

- Nie przypominaj mi tego.

Jego odpowiedź sprawia, że zasypują go pytaniami.

Ale Camilla milczy. Jej skupienie powoli się rozprasza. Ponieważ wszystko było tak bliskie wrzenia, dopiero teraz czuje, jaką ulgę przyniosło jej przeczytanie notatek Iben. Ani jeden fragment nie wspominał o niej i o Draganiu. Wzdycha i dopiero teraz ma odwagę wypić spory łyk ze swojego kieliszka.

Iben dzień po dniu upierała się, że Camilla kłamie, ale jej udało się pozostać niewzruszoną. Teraz może chyba wierzyć, że Iben nie wie nic więcej ponad to, co sama jej powie.

Podchodzi do swojego krzesła i siada. Może wszystko naprawdę „stanie na nogach”, jak mawia Paul. Camilla jest tak zmęczona, że marzy o tym, by Paul w przyływie radości zwolnił je wszystkie już do końca dnia. Ale on oczywiście wcale nie ma takiego zamiaru.

Znów dolewa szampana i musującym winem plami sobie marynarkę. Nie złości go to, tylko bawi.

- Powinienem był kupić jeszcze jedną butelkę. Doprawdy, świetnie nam dzisiaj wchodzi.

Gdy chce dolać Malene, okazuje się, że jej kieliszek jest pełny. Ale Iben i Anne-Lise nie odmawiają.

Jak on może nie zauważyć, że podczas jego nieobecności wszystko się tutaj zmieniło?

Paul co najmniej po raz trzeci podnosi kieliszek.

- Malene, to dotyczy również ciebie. Teraz nie musicie się już martwić. Centrum będzie działać dalej. Mamy mocniejszą pozycję niż kiedykolwiek. To dobry dzień dla informacji o zbrodniach ludobójstwa w Danii.

IBEN

48

Zaczyna się bez konkretnego powodu.

W jednej z rozmów telefonicznych pewna pani profesor z Missouri mówi do Iben:

- Zanadto komplikujemy mechanizmy związane z ludobójstwem. To bardzo proste. Gdy jakaś grupa etniczna odnosi korzyść z zabicia innej grupy, uruchamia się szereg mechanizmów psychologicznych. Powoli rodzą się ideologie, następują rewizje historii i toczą się podgrzewane debaty publiczne. Zabójstwa są usprawiedliwiane w coraz bardziej intelektualny sposób. Na samym końcu jedna z tych grup całkiem po prostu zgładzi tę drugą. Powstrzymać ich przed tym może jedynie to, że światowa społeczność ten proces zaobserwuje i na to nie zezwoli.

Iben protestuje.

Ale robi to wyłącznie, dlatego, by dać dowód swojego zaangażowania. Mówiąc, jest wręcz znudzona swymi naiwnymi duńskimi argumentami i cieszy się, gdy pani profesor przerywa jej i przypiera ją do muru:

- A później wszyscy wierzą, że to historia, ideologia i tak dalej były tego powodem. Ale przyjrzyj się bliżej wszystkim zbrodniom ludobójstwa, o których wiesz: Bez względu na to, do jakich ideałów odwołują się sprawcy - dla siebie, dla otaczającego ich świata, dla ofiar - to i tak siłą napędową, która skrywa się za ich działaniami, za każdym razem jest egoizm.

Później w ciągu dnia Iben ogarniają mdłości. Zaczyna się lekko trząść i czuje się chora. Łyka dwa panodile, chociaż nic ją nie boli.

Usiłuje się skupić na tematycznym numerze „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa”, dotyczącym Turcji. Redagowanie numeru paskudnie się opóźniło przez niepokój, jaki zapanował w biurze ostatnio, ale na godzinę przed końcem dnia pracy nie może już dłużej wytrzymać. Musi iść do domu.

Tak się przejawia lęk. Wie o tym od dziewiętnastego roku życia, kiedy przeszła załamanie nerwowe. Jej organizm ogarnęła panika, jak gdyby była bardzo chora. Ale nic nigdzie ją nie boli.

Jest przerażona tym, że znów znajdzie się w szpitalu Bispebjerg, na oddziale psychiatrycznym. Że znów będzie szpikowana lekami. Wielu ludzi, których poznała wówczas w psychiatrycznej izbie przyjęć, z pewnością wciąż żyje w niewoli środków psychofarmakologicznych, pobytów w szpitalach psychiatrycznych i zakładach pracy chronionej.

Blisko dziesięć lat temu Iben była w stanie walczyć o powrót do normalnego, produktywnego życia. Nie jest jednak pewna, czy jeszcze raz sobie z tym poradzi.

Przed wyjściem z DCIL podchodzi do okna i sprawdza, czy na ulicy nie stoi ciemnowłosy mężczyzna z mocną szczęką. Tak czy owak z tej odległości nie rozpoznałaby Dragana Jelisia. Może tam jest, a może nie.

Mówi koleżankom, że z powodu bólu głowy musi iść do domu. Przed samym wyjściem sprawdza przez kamerę nad drzwiami, czy na piętrze nikogo nie ma.

W windzie jest pusto. Nikt też nie czeka na nią na ulicy. Iben rusza rowerem. Nie jest wcale tak zimno jak na duński lutowy dzień, lecz prędko się przekonuje, że czuje się zbyt źle, by utrzymać równowagę. Zostawia rower w odległości stu metrów od biura, zamyka go na klucz i dalej rusza piechotą.

Szeroko uśmiechnięci mężczyźni trzymający w rękach odrąbane głowy. Pamięta zdjęcia, które leżą w bibliotece.

Zniekształcamy nasze myśli i nasze wspomnienia, jeśli możemy odnieść z tego korzyść. Naszym wrażeniom zmysłowym również nie można ufać, one także ulegają deformacji, gdy nam to odpowiada.

Ile z tego, co myślę, jest później egoistycznym racjonalizowaniem, jak to, o czym mówiła pani profesor?

Gdy broniłam Anne-Lise przed szykanami, wierzyłam, że postępuję dobrze. Ale czy okłamywałam samą siebie? Czy zdecydowałam się zaryzykować pracę i przyjaźń z Malene tylko, dlatego, że przeczuwałam, że to może się obrócić na moją korzyść?

Trzy miliony trupów rozrzuconych na polach ryżowych Kambodży. Zabici przez ludzi, którzy uważali, że postępują słusznie, lecz również tylko, dlatego, że oni przeczuwali, iż takie myślenie przyniesie im korzyść. Pięć czaszek wystających z rowu z wodą. Wijące się między nimi wodorosty.

Bo mnie zmiana przyjaciółki przynosiła korzyść. Sądziłam, że dzięki temu zyskam swobodę, by osiągnąć coś z Gunnarem. Uwolniłabym się od wielu zobowiązań wobec Malene, której choroba staje się coraz poważniejsza.

Jak mogłam pomyśleć, że poświęcam coś, by powstrzymać mobbing? A przecież naprawdę tak myślałam. Myślałam o tym, że to dla mnie trudne. Że jestem bohaterką. Że czynię dobro!

- Hej, ty, uważaj, jak chodzisz!

Iben szła z pochyloną głową, a mimo to nie widziała, gdzie stąpa. Prawie wpadła na niedużego białego buldoga. Pies z piskiem uskakuje pod mur, jak gdyby Iben próbowała go zdeptać.

Właściciel, który trzyma go na długiej czerwonej smyczy, nie przestaje krzyczeć:

- Nie jesteś sama na chodniku!

- Przepraszam, przepraszam - wzdycha Iben i myśli dalej:

Właśnie o to chodzi! O to, że bez względu na to, jak bardzo idealistyczna się sobie wydaję, okazuje się później, że sama się okłamywałam. Przez cały dzień myślałam o złu, nie zdając sobie z tego sprawy.

Teraz już wiem, co to jest. Teraz te mdłości miną. Niech już przejdą! Niech przejdzie ten przeklęty lęk!

Ale mdłości nie ustają. Iben podnosi głowę. Stoi na Jagtvej przy Sankt Kjelds Gade, pokonała zaledwie kilkaset metrów w drodze do swego mieszkania. Przed nią nie widać żadnego ciemnowłosego mężczyzny, który przypominałby Dragana Jelisicia. Iben się odwraca, patrzy w tył na Jagtvej w stronę Osterbrogade i Sankt Kjelds Gade. Ulicami przechodzi mało ludzi. Ale on może siedzieć także w jednym z samochodów, które bez ustanku tędy przejeżdżają. Przed tym nigdy nie będzie się w stanie obronić.

Uświadamia sobie, że nie może wrócić do domu. Tam Dragan odnajdzie ją bez najmniejszych problemów. No i nie ma tam kamery na klatce, ani stalowych drzwi tak jak w centrum. Będzie zbyt narażona na niebezpieczeństwo, by się rozluźnić i dojść do siebie.

Najtrudniej mu będzie znaleźć ją na ulicach, wśród innych ludzi. Iben przyspiesza tempo, idzie długim, zdecydowanym krokiem. To zdaje się pomagać. Im szybciej idzie, tym mniej się trzęsie.

Dragana Jelisicia nie ma również przy Vibehus Runddel, ani na Tagensvej, ani na Norrebrogade. Iben ulicami ucieka przed nim i przed tym złem, które widzi w każdym mijanym człowieku.

Wszyscy, których mija, zrobili w jakimś momencie coś naprawdę złego innemu człowiekowi. Ona to wie. Tylko, że oni akurat w tej chwili o tym nie myślą. Udają całkiem niewinnych.

Wie, że wszyscy powbijaliby sobie noże w plecy, gdyby tylko mieli taką możliwość. Jedyne zbieg okoliczności sprawia, że nie stają się mordercami, dopuszczającymi się ludobójstwa. Staliby się nimi, gdyby ci na szczytach władzy wcisnęli odpowiedni guzik. Tak jak wszyscy inni.

Na Indre Norrebro jest więcej ludzi. Nie może już ich mijać w odpowiednio dużej odległości.

Wyczuwa zapach zła bijący od młodego mężczyzny w długim płaszczu, który z neseserem w ręku maszeruje przed nią. Iben widzi go w sowieckim helikopterze bojowym, który zrzuca afgańskim dzieciom zabawki z bombami. Jego bezwzględność sączy się z porów w skórze i kręci ostro Iben w nosie, jak oranżada pomarańczowa w dzieciństwie.

Wymija go. Nagle znajduje się na ścieżce rowerowej, na której dzwoni na nią dwóch cyklistów. Musi uskoczyć z powrotem na chodnik.

Podchodzi zbyt blisko młodej kobiety, która ciągnie swój stary rower z siodełkiem dla dziecka. Kobiety tego rodzaju były pielęgniarzkami i w Niemczech zapędywały kaleki do gazu na długo przed drugą wojną światową. Jej zło cuchnie jak mięso w torbie plastikowej, którego zapomniano się wyrzucić przed wyjazdem na wakacje.

Jak szczur - myśli Iben. - Mam teraz taki sam węch jak szczur w laboratorium naukowca.

Gdy do mojego mózgu dotrze jeden rodzaj impulsu, pobiegnę w jedną stronę. Kiedy otrzymam drugi rodzaj, pobiegnę w drugą stronę. Tak jak wszyscy inni. Robię tylko to, co przewidzi psycholog społeczny. A kiedy badacz umieści mnie w klatce z innym szczurem, zaczniemy się szarpać i gryźć, dopóki któreś z nas nie padnie.

Nie potrafimy zachowywać się inaczej, bez względu na nasze intelektualne skrupuły, w które próbujemy się stroić. Jesteśmy szczurami w jego labiryncie. Bezwolnymi, żarłocznymi szczurami.

Na dziecinny siodełku z tyłu roweru kobiety siedzi chłopczyk. Śpi ze zwieszoną głową w rowerowym kasku. Iben czuje jego zapach unoszący się z rozpięcia kombinezonu. Jego zło pachnie płonąca trawą.

Jestem chora - myśli Iben. Wiem to. Nie można w taki sposób czuć zapachu innych ludzi. Nie można tak myśleć. I nagle zaczyna się szaleńczo pocić pod cienką kurtką. Całe jej ciało zlewa się zimnym potem.

Wie już, że nie chce myśleć o tym, co teraz będzie. Żałuje, że o tym pomyśli. Nie jest jednak w stanie tego zatrzymać. I wreszcie to przychodzi, a mdłości w końcu zmieniają się w wymioty. Spoconą i zmarzniętą ręką opiera się o tablicę reklamującą bar z szawarmą.

Zawartość żołądka chlusta na krawężnik ścieżki rowerowej.

Czy tak samo nie czułam się pewnego wieczoru w biurze, kiedy wszyscy już wyszli? Co ja tam robiłam? Byłam wściekła na siebie.

I na Malene. I co ja tam robiłam? W każdym razie napięcie ustąpiło jak u osób, które tłuką porcelaną albo się tną.

Co ja robiłam? Już wiem. Pisałam. Kiedy jestem wściekła, zawsze czytam i piszę.

Płaczę. Jestem chora na głowę. Nie chcę być chora. To takie wstrętne. Chcę móc dalej pracować w DCIL. Chcę móc żyć z Gunnarem. Chcę mieć swoje życie.

Ale nie mogę. Bo one wkrótce zrozumieją, że to ja jestem chora. Jestem jedyną osobą z centrum, która była na oddziale psychiatrycznym. Jestem jedyną, którą Frederik może nazywać „Batgirl”, bo już wiedzą, że potrafię być zupełnie inna. Jestem jedyną, której przyszło do głowy przez cztery miesiące chodzić ze sztyletem przywiązany do nogi.

Wyciera usta wierzchem dłoni w rękawiczce i strzepuje ją na ulicę. Wciąż stoi oparta o tablicę reklamową.

Przypomina sobie ból głowy podczas powrotu do domu rowerem z biura tamtego wieczoru: Byłam tak samo chora jak teraz. Jechałam przez Sankt Kjelds Gade i myślałam: Ja taka nie jestem. Nie zrobiłam tego. Ale wciąż o tym pamiętałam. Jechałam dalej przez Jagtvej i wydawało mi się to tak odległe, jak coś, co zrobił ktoś inny i opowiedział mi o tym późną nocą na jakiejś imprezie. Potem, jadąc Tagensvej, zbliżałam się do mojego mieszkania i już nie powtarzałam: Ja tego nie zrobiłam.

Nie jest w stanie dłużej myśleć. Powinna się położyć, lecz nie może tego zrobić tu, na chodniku.

Innym rozwiązaniem byłoby przysiąc na jakiejś ławce albo gdzieś w jakimś sklepie, ale tego też nie może zrobić. Gdy się nie porusza, czuje się bardziej narażona na atak Dragana. Musi jak najprędzej iść dalej, jeśli chce przed nim uciec.

Te słowa, gdy je pisałam, wydawały się takie prawdziwe: „You, Malene Jensen, have sworn to your secret evil...”, „You, Iben Hojgaard, are for your actions recognized as self-righteous among the humans...”.

Gna dalej przez ulice, stawiając długie kroki. Po zwymiotowaniu jej mięśnie mają więcej siły.

Zatrzymuje się przy Norreport Station. Dokąd ma iść? Najbardziej chciałaby pobiec w stronę mieszkania Gunnara. On nie raz doświadczył zagrożenia. Będzie wiedział, co powinna robić, żeby ochronić się przed Draganem.

Pozostało jej jednak dość przytomności umysłu, by wiedzieć, że nie może mu się pokazać w takim stanie.

Postanawia, więc iść do Malene, by ją przeprosić. Na tę myśl czuje ulgę, chociaż nie potrafi sobie wyobrazić, by Malene kiedykolwiek mogła jej wybaczyć.

Zrobiło się ciemno. Światła samochodów i reklamy świecą, mrugają i przesuwają się obok. Iben usiłuje zapanować nad uczuciami, doprowadzając mózg do wycieńczenia. Intensywna praca nad ludobójstwem zwykle działa na nią tak, jak na innych tabletki uspokajające czy oblanie się zimną wodą.

Musi się skoncentrować. Skoncentrować do szaleństwa. Uporczywie kazać swoim uczuciom dyktować artykuł w głowie, tak by nie było w niej miejsca na inne myśli.

Psychologia zła 22

W tym artykule „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa” kontynuujemy krótkie omówienie procesów psychologiczno-społecznych, umożliwiających sprawcom realizację kolejnych zbrodni.

Tekst: Iben Hojgaard

Psycholog społeczny Albert Bandura nakłonił grupę studentów, by „pomogła mu w eksperymencie z zakresu nauczania”, w który zaangażowana już była grupa studentów z innego uniwersytetu...

Iben myśli o Omoro w chacie w Kenii:

Omoro nigdy nie zdołałabym przeprosić. Zginął, ponieważ zawahałam się z interwencją. Zawahałam się, ponieważ czułam, że nie-ingerowanie przyniesie mi korzyść. A teraz on nie żyje.

Próbuje jeszcze raz:

Psychologia zła 22

W tym artykule „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa” kontynuujemy krótkie omówienie procesów psychologiczno-społecznych...

Ze sklepu z odzieżą wychodzą dwie młode dziewczyny. Ich zło cuchnie kiszonymi ogórkami i zgniłą rybą.

Iben traci koncentrację. Opiera się o mur. Mimo wszystko udaje jej się ciągnąć wywód:

Psycholog społeczny Albert Bandura nakłonił...

„Pomocnicy” mieli karać członków drugiej grupy impulsami elektrycznymi za brak postępów. Tuż przed rozpoczęciem pracy grupa pomocnicza „przypadkiem” podsłuchiwała opinię asystenta na temat tej drugiej grupy.

Iben myśli: To, dlatego wszyscy tak mnie fetowali za to, że w Nairobi pobiegłam do policjantów, próbując ich nakłonić, by wzięli stronę zakładników. Dziennikarze i przyjaciele mówili, że ryzykowałam życie, by uratować innych. Wszystkim potrzeba takich rzeczy. Wszyscy

potrzebują historii potwierdzających istnienie dobra! Marzą o tym. Mówi się o tym w telewizji. Ale to przecież było kłamstwo!

Te sekundy świadczyły tylko o tym, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, by policjanci mogli uderzyć albo zabić białą kobietę. Nie wierzyłam, że narażam się na niebezpieczeństwo. Myślałam, że jestem nietykalna, ponieważ jestem biała.

Iben rozpoznaje bramę domu Malene. Teraz ją przeprosi. To jej ulży. A może wcale nie.

Malene nie odbiera domofonu. Iben własnym kluczem otwiera bramę. Idzie na górę i puka do drzwi Malene.

Nikt nie wpuszcza jej do środka. Mogłaby wejść do mieszkania, ale tego nie robi. Puka jeszcze raz.

A potem schodzi po schodach, mija wielkie witraże, które teraz, nocą, są całkiem ciemne. W oknie, przez które wypadł Rasmus, wstawiono przezroczystą szybę.

Iben musi wziąć się w garść, całkowicie skupić się na pracy nad artykułem:

Psychologia zła 22

W tym artykule „Informatora o Zbrodniach Ludobójstwa” kontynuujemy...

Psycholog społeczny Albert Bandura nakłonił grupę studentów, by „pomogli mu w...”.
Wszyscy jesteście szurami.

...Bez względu na to, co wcześniej pisaliśmy w biuletynie, i tak jesteście...

Bez względu na to, co pisaliśmy w biuletynie, musimy...

Bez względu na wszystko, musimy, niestety, przyznać, że zachorowałam. Tak strasznie zachorowałam, że nie jestem już w stanie myśleć.

Skup się, Iben.

Psychologia zła 22

W tym artykule...

Kłamstwa w naszym biuletynie są... Ale w rzeczywistości również tutaj odgryzamy... głowy sobie nawzajem. Zabijamy się, gdy nikt tego nie widzi. Ale jedyne sprawiedliwe teorie, które „Informator o Zbrodniach Ludobójstwa” wcześniej...

Iben nie może iść. Siada na koszu na śmieci przy przystanku autobusowym. Będzie wymiotować z powodu wszystkich tych ludzi. Wszystkich tych zapachów. Frytury, zgnilizny, sików i chloru. Czuje, że znika. Trudno jej się utrzymać. Pozostaje jej tylko praca i logika.

Zło 22

W tym artykule „Informator o Zbrodniach Ludobójstwa” dalej będzie chory i nie będzie w stanie myśleć, bo wszyscy jesteśmy szczurami, które odgryzają sobie głowy.

Siadam, chociaż ludzie-szczury cuchną... Na śmietniku przy przystanku... W tym miejscu Duńskie Centrum Informacji o Ludobójstwie... W każdym załomie mego mózgu, odór zła unosi się z moich paznokci, z każdej z moich pierwszych zmarszczek. Z mojego DNA, z każdej komórki, ze mnie.

Potem się poddaję.

Tuż przy mnie stoi jakaś para. Czekają na autobus, wpatrzeni w siebie. Oboje są ubrani w długie karmelowe płaszcze i nie zamierzają nawiązywać kontaktu wzrokowego z uliczną wariatką.

Przychodzi jakaś nastolatka. Ona też czeka. Cały plecak ma pokryty nazwiskami muzyków, tak jak się robiło, kiedy i ja byłam nastolatką. Jest w tym wieku, co wielu żołnierzy Czerwonych Khmerów z Kambodży. Wiem, co by zrobiła z tą parą.

A ta para? Stoją i wyglądają tak niewinnie. „Czekają na autobus”. Lecz jeśli podejdziesz się bliżej, widać łój sączący im się z porów w skórze.

Wychodzą z nich długie żółtobiałe wągry. Mogą się kapać, co dzień, ale ten zapach zawsze do nich wróci.

Takie same wągry wylażą również z porów mojej skóry. Czuję ich odór. Ja też się muszę umyć.

Wdeptuję w rojowisko robactwa. W norę pełną złego łoju, który ociera się o mnie, wychodzi ze mnie i znów we mnie wnika. Jestem w pułapce łoju wszystkich tych ludzi, od których chce mi się rzygać.

Nie tak miało być.

Miałam już nie chorować. Miałam stać w kuchni w mieszkaniu Gunnara. Miałam się krzątać, krając chleb i szykować różne małe dania na wspaniały niedzielny lunch. A on miał stać za mną, obejmować mnie i całować w szyję. A jego dwie córki, które teraz są również moimi córkami, miały wbiegać i wybiegać z kuchni i salonu.

Wiem to dokładnie. Właśnie tak miało być. Mieliśmy być szczęśliwi. Żadne z nas miało nie zabić tego drugiego. Żadne z nas miało nie mieć długich białych wągrów, wypełzających jak robaki z naszej skóry. Żadne z nas nie miało popaść w paranoję i zachorować na głowę.

A teraz wiem już, że to się nigdy nie stanie. Zrobiłam się zbyt dziwna dla niego. Nie tak, zdecydowanie nie tak miało być.

Podchodzi do mnie jakiś wysoki mężczyzna z długimi, jasnymi włosami i coś mówi. Chyba chce skorzystać z kosza na śmieci, więc wstaję, ale on mówi dalej.

- Chce pan skorzystać z kosza na śmieci? Chodzi panu o kosz? Przecież już wstałam.

Nagle jednak uświadamiam sobie, że ten człowiek mówi po angielsku z dziwnym, trochę bełkotliwym akcentem.

- No i co teraz masz zamiar zrobić? - pyta.

Nie rozumiem, o co mu chodzi. Przechodzę na angielski:

- Chce pan skorzystać z kosza na śmieci? W porządku.

- Nie chodzi mi o kosz. Co zamierzasz zrobić? Bo przecież masz jakiś plan, Malene.

- Co? Ja się nie nazywam Malene.

Przyglądam mu się uważniej. Wygląda jak trzydziestopięcioletni zniszczony życiem muzyk rockowy. Kiedyś może był przystojny, z wyjątkiem nieczystej skóry. Teraz twarz ma nalaną, jak potrafią mieć mężczyźni, kiedy przekroczą trzydziestkę. Mam ochotę mu powiedzieć, żeby dał mi spokój, i powtarzam:

- Nie nazywam się Malene.

On mi patrzy w oczy.

- Wiem, że to ty, Malene. Widziałem, jak wychodziłaś z tego waszego centrum. I widziałem, jak wychodziłaś z klatki.

Kręcę głową.

- Ja nie jestem...

Dopiero teraz Iben zdaje sobie sprawę z tego, kim jest ten mężczyzna.

49

Czuje się tak jak człowiek, który przelatuje przez kierownicę roweru. W jednej sekundzie, zanim upadnie, jego mięśnie napinają się w całym ciele i musi się w stu procentach skupić.

Czy może uciec? Prędko rozgląda się dokoła. W odległości pięciu metrów od niej i od Mirka Žigicia stoi muskularny mężczyzna z rękami w kieszeniach wiatrówki. Nie jest ostrzyżony po duńsku, patrzy na Iben, a kąciki jego ust lekko się unoszą w grymasie, który nie jest uśmiechem, gdy zdaje sobie sprawę, że ona również go widzi.

Iben odwraca wzrok. Piętnaście metrów dalej stoi jeszcze jeden mężczyzna i nie spuszcza z niej oczu. Ma krótko obcięte włosy i jest ubrany jak kowboj, według jakiejś dziwnej mody, być może wschodnioeuropejskiej.

Potem znów patrzy na Žigicia, czuje ciężar sztyletu na łydce. Serce jej wali. Czy zdoła go pokonać?

Oczywiście, że nie. Czy oni mają jakąś inną broń oprócz noży? Oczywiście, że tak.

- Dla kogo pracujesz? - pyta Zigić.
- Dla Duńskiego Centrum Informacji o Ludobójstwie.
- To wiem. Ale oprócz tego?
- Dla nikogo.

Iben nie rozumie, co on chce wiedzieć. I nie ma pojęcia, co robić. Udawać pewną siebie? Przyjaźnie nastawioną? Nieszczęśnicę? Zigić już zaczyna się irytować.

- Musisz powiedzieć, kim oni są! I czego chcą! Inaczej nie możemy negocjować.
- Nie wiem, o czym ty mówisz. Pracuję dla DCIL i dla nikogo więcej.

Zigić wpatruje się w nią coraz bardziej natarczywie. Jak gdyby jej odpowiedzi tylko wszystko pogarszały.

- Twierdzisz, że wysłałaś ten mail zupełnie sama, Malene?
- Nie wysyłałam żadnego maila.

Iben nie pojmuje, jak mogła się wcześniej nie zorientować, że rozmawia z Mirkiem Žigiciem. Przecież on wygląda dokładnie tak, jak na starych rodzinnych zdjęciach, wygrzebanych przez Interpol.

Te zdjęcia Iben dostała za pośrednictwem znajomego pracownika angielskiego centrum badań nad ludobójstwem. Otrzymała także dokumenty z zeznaniami jego rodziców i młodszego

rodzeństwa, którzy twierdzili, że niemożliwe, aby to on był katem torturującym ludzi w obozach serbskich. Mówili, że jest uosobieniem zyczliwości i że to jakaś nieprawdopodobna pomyłka. Według nich niemożliwe było również, by Zigić po wojnie zorganizował własny oddział serbskiej mafii.

Do dokumentów dołączono niewyraźny czarno-biały film wideo z ostatnimi zdjęciami Žigicia, jakie udało się odszukać Interpolowi. Film pochodził z kamery przemysłowej w barze z hamburgerami w Monachium. Na nie najlepszej jakości obrazach widać mężczyznę z długimi, jasnymi włosami, który wdał się w awanturę z chłopakiem z obsługi. Być może chodziło o resztę. Zigić przeskoczył przez kontuar, wprawnym mocnym ruchem chwycił ekspedienta za głowę, odchylił ją do tyłu i wbił mu biały jednorazowy widelec w dziurkę nosa. Uszkodzenie mózgu spowodowało natychmiastową śmierć chłopaka.

Zigić jeszcze raz przeskoczył kontuar i wolnym krokiem opuścił bar, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, co się stało. Później nikt już go nie widział.

Iben czuje ostry zapach męskich organów płciowych. Nie wie jednak, czy ten odór płynie od niego, czy też wyczuwa go, bo wciąż czuje się tak dziwnie.

Zigić uśmiecha się, widząc, że zauważyła najpierw jednego, potem drugiego z ludzi, których wziął ze sobą. Dlaczego robi tyle szumu wokół jednej zwyczajnej kobiety, pracującej w duńskim biurze?

Zigić odpowiada, chociaż Iben nie pytała:

- Z tobą nie zamierzam ryzykować, Malene. Świetnie to zrobiłaś. Wolalabym załatwić wszystko pokojowo, ubić interes z tobą i z ludźmi, dla których pracujesz. Inaczej będę musiał bronić się siłą, a to nie będzie dla ciebie przyjemne.

- No, to ubijmy interes - mówi Iben.

- Cieszę się, że zmądrzałaś. Najpierw musisz mi powiedzieć, dla kogo pracujesz.

Przed nimi zatrzymuje się autobus. Zigić z uśmiechem, spokojnie przysuwa się nieco bliżej, by Iben nie mogła go wyminąć. Nie ma wątpliwości, jak by się to skończyło, gdyby próbowała wsiąść do autobusu wraz z innymi pasażerami.

Patrzy na parę w długich płaszczach, na nastolatkę i jeszcze kilka innych osób wchodzących do oświetlonego ciepłym, żółtym światłem wnętrza autobusu. Płacą i siadają. Drzwi zamykają się z głośnym westchnieniem. Autobus rusza z przystanku, pozostawiając Iben i Žigicia w smrodliwych oparach diesla.

- Pracuję sama - odpowiada Iben.

Zigić uśmiecha się, jakby poczuł do niej sympatię.

- Świetnie, że nie chcesz ujawnić swoich mocodawców. Bardzo mi się to podoba. Ale ja nie jestem głupi. Wiem, że to nieprawda. Gdyby tak było, zabiłbym cię od razu. Dobrze o tym wiesz, Malene. Jesteś dzielną dziewczyną.

Śmieje się do niej, jak gdyby zdała jakiś egzamin. Iben odpowiada mu z fałszywym uśmiechem:

- Wiem.

Patrzy na skórę jego twarzy. Wydaje się dziwnie martwa. Tak jak mówiła Ljiljana Perić. Jakby odlana z wosku. Miesza się w jakiś straszny sposób z zapachem wyczuwanym przez Iben, bez względu na to, co to za zapach.

Iben rozgląda się po ciemnej ulicy. Oprócz dwóch pomocników Žigicia w pobliżu nie ma nikogo.

- Podoba mi się też, że o żadnym z moich ludzi nie doniesiono jeszcze na policję - mówi Žigić. - To świadczy o pewnej woli negocjacji z waszej strony. Wszystko świetnie się składa.

Iben nie ma pojęcia, o czym on mówi. Najwyraźniej jednak musi odgrywać twardą i zimną, by w ogóle mieć jakąkolwiek szansę. Jest w stanie zapanować nad dygotem. Jest w stanie patrzeć mu prosto w oczy i odpowiedzieć opanowanym głosem:

- Cieszę się, że tak uważasz.

- I wiesz już, czego chcę od ciebie. Teraz Iben jeszcze lepiej udaje spokój.

- Hm, mam wiele różnych rzeczy.

Žigić puszcza do niej oko.

- Pójdziemy teraz do twojego mieszkania i włączymy twój komputer. Zobaczymy, co w nim jest.

Daje znak swoim pomocnikom i z pewną staromodną uprzejmością prowadzi Iben w stronę mieszkania Malene.

- Chcę tylko odzyskać moją książkę adresową i kalendarz - mówi. - No i wszystkie zapasowe kopie plików. Wtedy będziesz mogła spokojnie odejść.

Idąc, Iben w myślach podsumowuje, co wie: Po pierwsze: Pomimo pozornego spokoju Žigicia, on uważa, że Malene ma pliki zawierające jego książkę adresową i kalendarz - z pewnością są tam informacje, które mogą doprowadzić do zatrzymania wszystkich członków jego organizacji, i nie będzie mógł już dłużej wymykać się Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu w Hadze.

Po drugie: Od dawna wie, że on ma doświadczenie w torturowaniu setek ludzi. Odcinał członki, gwałcił, był gotów na wszystko, byle tylko wydobyć potrzebne mu informacje.

Po trzecie: Dopóki uważa, że Iben jest w posiadaniu tych informacji, to jej nie zabije. Ale gdy tylko zorientuje się, że ona ich nie ma lub, że jest kimś innym niż Malene, natychmiast odbierze jej życie.

* * *

Od przystanku do wejścia na klatkę Malene jest zaledwie trzydzieści metrów. Mężczyzna w kowbojskim ubraniu zostaje przy bramie na ulicy, pozostali wchodzą po schodach.

Iben wyjmuje swoje klucze, ale człowiek w wiatrówe postanowił popisać się przed szefem. Bezszelestnie otwiera drzwi, zanim Iben i Zigić się zbliżają.

Być może w środku jest Malene. Może wcześniej po prostu nie chciała otworzyć? Iben ma ochotę głośno krzyknąć, by, ostrzeżona, mogła uciec kuchennymi schodami. To jednak niemożliwe. I jeśli Malene jest w domu, to nie ona, lecz Iben umrze w ciągu kilku następnych minut.

Iben wstrzymuje oddech i czeka na głos Malene, który zaraz zawoła: „Kto tam? Co tu się dzieje?”

A na widok Iben z dwoma mężczyznami krzyknie: „Iben, do diabła, nie możesz tak po prostu otwierać sobie drzwi kluczem! Zresztą już dawno miałaś mi go oddać”.

Zigić spojrzałby na Malene, na Iben i znów na Malene. Kazałby sobie pokazać jakiś dokument tożsamości, a potem natychmiast załatwiłby Iben. Z całą pewnością nie pistoletem. Raczej bezgłośnie - przy użyciu czegośkolwiek - białego plastikowego widelca, kawałka sznurka, gołych rąk.

Mężczyzna w kurtce pierwszy wchodzi do mieszkania. Potem Zigić popycha do środka Iben, a na koniec sam zamyka za nimi drzwi.

Nie szaleją po pomieszczeniu z wycelowanymi pistoletami jak na amerykańskich filmach. Przechadzają się po pokojach z wielką swobodą, chyba nikt nie mógłby być bardziej rozluźniony. Ale jednocześnie posuwają się innymi ścieżkami niż zwykli goście. Spoglądają też w inne strony, nienaturalnie. W milczeniu, świetnie skoordynowani, przez cały czas uważnie obserwują każde możliwe miejsce ataku.

W ciągu paru sekund w ten swój mimowolny, jakby przypadkowy sposób sprawdzają wszystkie szafy, kąty i kryjówki. Zapalają niezbędne światło, zaciągają zasłony. Iben myśli, że poruszają się tak, jak gdyby już jako dzieci uczestniczyli w ćwiczeniach militarnych formacji i od tamtej pory mieli takie zachowanie we krwi, podobnie jak inne czynności, których człowiek uczy się w dzieciństwie, na przykład sprawdzanie godziny na zegarku czy smarowanie chleba.

Na całe szczęście mieszkanie jest puste. Iben nie wie, gdzie się podziała Malene. Mogła zejść na dół do kiosku albo do warzywniaka. Może już za kilka minut wejdzie po schodach.

W przedpokoju wisi tablica Malene. Iben przechodzi na drugą stronę Żigicia, mówiąc coś, co zmusza go do odwrócenia głowy w chwili, gdy ją mijają. Zazwyczaj wisiały na niej cztery zdjęcia Iben - wystarczająca liczba, by mieszkanie mogło uchodzić za jej własność.

Ale ponad ramieniem Žigicia zauważa - oczywiście nie odwracając twarzy w kierunku tablicy, ani też w żaden inny sposób nie kierując na nią uwagi - że jej zdjęcia zostały zdjęte od czasu, gdy ostatnio tu była. Pojawiły się natomiast fotografie Malene z Rasmusem, usunięte, kiedy ją zostawił.

W salonie Zigić mówi:

- No... Najpierw musisz mi pokazać, gdzie masz ten plik. Potem możemy porozmawiać, ile za niego chcesz.

- Nie mam go tutaj. To byłby idiotyzm. Mamy kilka kopii w różnych miejscach. Najpierw pieniądze. Muszę je komuś przekazać. Dopiero potem dostaniesz plik.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ile się za to spodziewacie?

- Kazano mi powiedzieć o milionie euro.

- Dostaniesz tyle.

Iben ma straszną ochotę powiedzieć: „No to dobrze, chodźmy stąd po pieniądze”, nie może jednak sprawiać wrażenia, że chce go jak najszybciej wyprowadzić z mieszkania.

Na twarzy Žigicia pojawia się uśmiech, który u innego mężczyzny byłby zarazem bezczelny i czarujący.

- No to chodź - mówi. - Pokaż mi go. Wiem, że musisz go gdzieś tu mieć.

- Tu go nie mam.

- Oczywiście, że tu również masz kopię.

- Nie mam.

- Przestań! - Zigić wciąż się uśmiecha. - Bardzo byśmy chcieli go zobaczyć.

- Nic tu nie mam. Nic nie mogę zrobić.

Zigić zmienia ton.

- Wiesz... I tak będziesz musiała włączyć komputer.

Iben nie odpowiada. Stara się wyglądać na zimną, kontrolującą sytuację.

Zigić powtarza głosem ociekającym fałszywym spokojem:

- Będziesz musiała włączyć komputer.

Iben patrzy na niego. Jego zabawa w negocjacje już się skończyła.

Oczywiście jego gotowość do zawarcia umowy przez cały czas była kłamstwem. Wszyscy, którzy widzieli ten plik, muszą zginąć. Iben to wie. Zigić najpierw wyciągnie z niej te egzemplarze, które zdoła, a później zacznie ją torturować, by wydała resztę. Również nazwiska tych, którzy jeszcze mają kopie jego książki adresowej i kalendarza.

Mężczyzna w wiatrówce włącza komputer Malene. I prosi Iben o wbicie kodu dostępu.

Malene używała kiedyś kodu „wcp”, skrótu od „wspaniała cudowna przyszłość”, lecz nie wiadomo, czy nie zmieniła go od czasu, gdy się pokłócili.

Mężczyźni nie muszą nic mówić, Iben wie, że powinna przynajmniej podjąć próbę.

Siada i wstukuje litery. Oni zaglądają jej przez ramię. Musisz wbić ten kod. Masz tylko jedną próbę.

Otwierają się Windowsy, Iben tłumi westchnienie ulgi. Mężczyzna w wiatrówce odsuwa ją, otwiera funkcję „Znajdź” i wpisuje „Zigić”. Czeką, co się stanie.

W tym czasie Zigić prowadzi Iben na kanapę. Kładzie jej rękę na ramieniu i mówi:

- Wiesz, co, posiedź sobie tutaj. Po prostu sobie siedź. Wolałbym, żebyś nie wstawiała.

Stoi i patrzy, jak Iben siada.

- Możesz sobie poczytać jakąś gazetę. My w tym czasie przejrzymy wszystko.

Z jakiegoś powodu dopiero teraz dociera do niej prawda. Nie jest już w stanie nad sobą panować. Zaczyna płakać. Bezgłośnie, ale łzy natychmiast zalewają jej policzki. To teraz jest ofiarą Žigicia. To właśnie teraz się stanie.

Zigić patrzy na nią. Iben z wahaniem odwraca ku niemu twarz. Czego on chce? Przypomina sobie, że wspomniiał o gazecie. Sięga do niewielkiego stosu „Eurowoman”, które Malene trzyma na stoliku przy kanapie, i bierze jeden magazyn. Zigić stoi i czeka, dopóki Iben nie otworzy czasopisma i nie zasłoni nim twarzy. Potem słycać, że podchodzi do regału Malene.

Wyciąga z półek jakieś książki, otwiera je i rzuca na podłogę. Iben wygląda zza magazynu. Nie powinna była jednak tego robić. Zigić gwałtownie wyciąga rękę, jakby chciał ją z tej odległości uderzyć, i mówi:

- Czytaj swoją gazetę.

Iben, czym prędzej kieruje wzrok na otwarte stronice, ale wszystko rozmazuje jej się przed oczami.

Trzęsąc się i płacząc, przerzuca kartki „Eurowoman”, a Žigić starannie przegląda regał. Książki, dzbanuszki i inne rzeczy zrzuca na podłogę.

Iben usiłuje myśleć: W tym, co on mówi, musi się coś kryć. Po cóż inaczej ryzykowałby przyjazd do Danii?

Jeśli Iben teraz zginie, znaczyłoby to, że winę ponosi Malene. To Malene miała kontakt z Žigiciem, nie Camilla. A ona w ogóle nie cierpiała na paranoję, chociaż wszyscy tak twierdzili. Odwrotnie: Iben jedyna pośród nich okazała się realistką.

A więc to jednak nie ja wysyłałam maile z pogrózkami - tłumaczy sobie w myślach. - Wcześniej pamiętałam, jak je pisałam, ale to były fantazje, czułam też tyle zapachów, które wydawały mi się całkowicie realne. Teraz już sobie tego nie przypominam.

Ale czy to znaczy, że wysłała je Malene? Od mojego wyjazdu do Kenii miała w sobie tyle złości do mnie. Dlaczego więc nie miałyby to być ona?

Zigić już skończył z regałem. Kładzie stos nagranych w domu płyt CD na stół obok mężczyzny w wiatrówce i przez chwilę o czymś rozmawiają. O ile Iben może się zorientować, Zigić nazywa swego pomocnika „Nenad”. Boi się podnieść wzrok znad czasopisma, lecz słyszy, że Nenad jest niezadowolony. Najprawdopodobniej nie może znaleźć tego, na co liczył, bo po śmierci Rasmusa Malene zaczęła używać jego laptopa, który jest o wiele szybszy. Jeśli Malene w istocie ma ten plik, na pewno jest na tym drugim komputerze.

Zigić przechodzi do sypialni i tam zaczyna grzebać w rzeczach. Iben jest teraz sama w salonie z Nenadem, odwróconym do niej plecami.

Czy oni się nie boją, że im uciekną?

Muszą być przyzwyczajeni, że ludzi paraliżuje strach, gdy Zigić przechadza się w taki sposób. Nawet jej nie zrewidowali. Nie mają, więc pojęcia o ostrym sztylcie przymocowanym do łydki.

A może są tak pewni swojej siły, że jest im to obojętne? Jest coś niesamowitego w ruchach Żigicia i w jego sposobie przeszukiwania mieszkania. Jakby nie obawiał się ani policji, ani nikogo innego. Jak gdyby był przekonany, że jest w stanie wygrać konfrontację z każdym. Od razu daje się wyczuć, że podczas wojny był panem życia i śmierci. Zapewne później również.

Myśli Iben szybują poza wszelki zdrowy rozsądek. Tak bardzo by chciała uwierzyć, że kaci pozwolą jej przeżyć. Tak bardzo chciałaby wierzyć, że z tego „interesu”, o którym Zigić mówił wcześniej, może coś wyjść. Że jest choćby cień szansy, by się udało.

Ale w centrum nauczyła się, że oprawcy dokonujący zbrodni ludobójstwa zawsze starają się dąć ofiarom cień nadziei na przeżycie. Ta nadzieja może być maleńka, lecz musi istnieć.

Znacznie łatwiej, bowiem kontrolować ofiary, dopóki te wierzą, że świat się nie rozpadnie, jeśli tylko zachowają spokój i nikogo nie będą prowokować. Sprawcy mogą odebrać ofiarom broń i stopniowo coraz okrutniejszymi torturami pozbawiać ich wszelkich sił, które mogłyby później wykorzystać na opór. W końcu śmierć ofiar staje się nieunikniona i tak prosta jak zabicie muchy.

Iben musi naprawdę wziąć się w garść i spojrzeć prawdzie w oczy. Powiedzieć sobie twardo: Jest odwrotnie. Nie mam żadnej nadziei na przetrwanie, jeśli nie ośmielę się im sprzeciwić. Żadnej nadziei! Dopiero, gdy ofiary odważyły się spojrzeć w oczy prawdzie i powiedzieć głośno, że nie mają nic do stracenia, doszło do powstania w getcie warszawskim i obozie w Sobiborze.

Opuszcza czasopismo i mrugając, stara się opanować łyzy, by sprawdzić, czy Nenad wciąż jest odwrócony do niej plecami. Siedzi tyłem, więc Iben powoli, bezszelestnie wstaje. Podnosi nogę, chcąc wyminąć stolik.

- Nie! - mówi Nenad głośno.

Nawet się nie odwrócił.

Zanim Iben robi choćby jeden krok, Zigić staje w drzwiach. Coś w nim każe Iben myśleć, że zdołałby ją jednym ruchem przerzucić przez cały salon.

Wraca na swoje miejsce na kanapie i czym prędzej zasłania twarz czasopismem. Nic nie widząc, czeka na rozwój wypadków.

W końcu odważa się zerknąć, zezując, i okazuje się, że Zigić wrócił do sypialni. Zmuszona wpatrywać się w artykuł o najmodniejszej tej jesieni torebce, myśli o tym, że nie pojmuje, jak oni to robią. Może Nenad dostrzegł jej odbicie w czymś błyszczącym na stole? Może Zigić już wcześniej wyszedł z sypialni i był zaledwie o krok od drzwi?

W głowie ma krajobrazy z okolic, z których pochodzą Zigić i Nenad. Wszystkie te zdjęcia z Bośni, na które z biegiem czasu natknęła się na czarno-białych fotokopiach z magazynów zagranicznych, w książkach naukowych i archiwum fotograficznym DCIL. Przed oczami stają jej zdjęcia z obozów, budynki, fotografie ciał ofiar wydobytych z masowych grobów, z pogruchotanymi czaszkami, z poodcinanymi palcami. Zbliżenia lepiej zachowanych zwłok, naznaczonych czarnymi smugami w miejscach, gdzie sznury wrzynały się w ciała ofiar przywiązanych do krzesła podczas tortur.

Tu, w mieszkaniu Malene, są ludzie, którzy to zrobili. Tu są ludzie, których zdjęcia przez ostatnie dwa lata oglądała, usiłując ich zrozumieć.

Czy ich zło ma inny zapach niż zło zwykłych ludzi?

Iben nie potrafi już dłużej czuć zapachów w taki sposób. Wyczuwa płyn po goleniu i dezodorant. Z pewnością jedne z najdroższych marek. Zigić w każdym razie może sobie na to pozwolić.

Wraca. Chodzi w koło i podnosi do góry krzesła Malene. Patrzy na nie, szarpie i obraca, żeby stwierdzić, które z nich najdłużej wytrzyma.

Iben nie wolno podnieść wzroku znad czasopisma. Ale zezuje lekko w bok i nie może wytrzymać tego, co widzi. Jej wyobraźnia zarzuca ją najstraszniejszymi obrazami.

Zigić ciska kilkoma krzesłami o podłogę. Wszystkie wytrzymują. Wreszcie wybiera jedno i umieszcza je pośrodku salonu.

- Masz jakiś sznurek? - pyta.

Malene trzyma sznurek w szufladce pod biureczkiem, ale Iben mówi:

- Jakiś kawałek powinien leżeć w czwartej szufladce od góry przy zlewie w kuchni.

Teraz on po niego pójdzie. Przez kilka sekund zostanie sama z Nenadem w salonie. To jej ostatnia szansa, nim ją zwiążą i zaczną torturować. Musi się poderwać i dobiec do głównych drzwi. Ucieczka przed nimi korytarzem i dalej schodami będzie prawie niemożliwa, lecz Iben zmusza się, by pamiętać:

Nie mam żadnej nadziei na przeżycie, jeśli nie ośmielę się im sprzeciwić. Żadnej nadziei. Trzeba myśleć o warszawskim getcie i Sobiborze.

Cała jest spięta. Nie mogą jednak nic po niej poznać. Przygotowuje się, ukrywając twarz za czasopismem. Pochyla się, by szybciej móc się poderwać z kanapy. Wbija pięty w podłogę.

Ale Zigić nie wychodzi do kuchni.

To Nenad mówi:

- Ja pójdę po sznur. I tak chcę zrobić kawę.

Podnosi się od komputera i wychodzi z salonu, a Zigić zostaje z Iben.

Słuchają, jak Nenad otwiera wszystkie szuflady i zamyka je z powrotem. Woła stamtąd:

- Nic nie mogę znaleźć!

Žigiciowi najwyraźniej przypomina się, że zauważył kłębek, grzebiąc w szufladzie biurka. Znajduje sznurek na podłodze pod kaloryferem wraz z innymi rzeczami, które wyrzucił z biurka.

Podchodząc z powrotem do krzesła, posyła Iben spojrzenie jednocześnie martwe i wyniosłe.

Słyszą, jak Nenad nalewa wody do czajnika elektrycznego. Zigić stoi ze sznurkiem za krzesłem.

- Podejdz tu - mówi. - Mój kolega i ja musimy zejść po coś na dół. To nie potrwa długo. Ale nie możemy dopuścić, żebyś do kogokolwiek dzwoniła. Dlatego, niestety, będziemy musieli cię na ten czas związać. To potrwa najwyżej kwadrans.

Wszystko jest takie przewidywalne. I on o tym wie. Jak gdyby z doświadczenia wiedział, że przewidywalność wywołuje obojętność. I tak właśnie jest! Pozostaje jedynie nadzieja, że cały jej rozum i wszystkie instynkty się mylą.

Musi wstać z kanapy. Odłożyć czasopismo na stos innych, zgromadzonych tu przez Malene, i podejść do niego.

Musi spokojnie usiąść, założyć ręce z tyłu za oparciem krzesła, aby łatwiej mu było je związać tak, jak widziała na zdjęciach.

Modli się o to, by szansa, że on powiedział prawdę, była, choć odrobinę większa od jednej dziesięciotysięcznej.

Zigić rozwija sznurek, a w tym czasie głowę przez drzwi wsuwa Nenad. Nic w tej sytuacji go nie porusza.

- Gdzie trzymasz kawę?

Iben trudno jest mówić. Jej struny głosowe skleiły się, pokryły grubym nalotem. Zigić mocno szarpie ją za prawą rękę, dopiero wtedy Iben odpowiada:

- W puszcze koło parapetu.

Mówi to spokojnie, a mimo to Zigić mocno szarpie za cienki sznurek, który wpija się jej w nadgarstek.

Nenad na kilka sekund znika z salonu, ale zaraz wraca, z rozbawieniem unosząc brew, jak gdyby wpadł mu do głowy doskonały pomysł.

- A masz ciasteczka?

Iben odpowiada „Nie” i Nenad znów znika w kuchni.

Zigić jeszcze mocniej zaciąga sznurek przed przywiązaniem go do siedzenia krzesła. To cholernie boli, ale Iben wie, że to jeszcze nic w porównaniu z tym, co dopiero nadejdzie.

Zaraz przywiąże jej nogi do nóg krzesła. Zauważy wtedy jej nóż. Iben mówi niewyraźnym głosem:

- Wiesz, co, właściwie to są ciasteczka. Zostały tylko trzy. Leżą tuż przy kawie, więc on na pewno je znalazł. Zje sam.

Zigić patrzy na nią nieufnie, ale widać, że go to rozbawiło.

Potem jeszcze raz mocno szarpie ją za rękę, by sprawdzić, czy nie będzie mogła nimi poruszyć albo się uwolnić. Sznurek wrzyna się w ścięgna nadgarstków. Iben jęczy głośno, a on na ten odgłos uśmiecha się zmęczonym uśmiechem. Decyduje się jednak wyjść do kuchni.

Iben, to teraz! Teraz! To twoja jedyna szansa.

Wsuwa prawą nogę pod krzesło najdalej jak tylko może. Jest w stanie sięgnąć palcami pod nogawkę spodni. Wyciągnięcie noża nie trwa nawet sekundy. Przecież tyle razy to ćwiczyła w domu.

Ale nie ćwiczyła przecinania więzów za plecami w jakimś chorym tempie, w dodatku nie widząc, co robi. Sztylet jest ostry i Iben tnie na oślep wzdłuż i wszerz, po nadgarstkach i po palcach, usiłując wsunąć czubek we właściwe miejsce, by przeciąć sznurek.

W końcu po krótkim „szszsz” może wreszcie poruszyć rękami i wstać. Błyskawicznie skrada się na palcach ze sztyletem w zakrwawionych rękach ku drzwiom do przedpokoju i kawałek dalej. Ma szczęście, udaje jej się niepostrzeżenie dotrzeć aż do drzwi wejściowych. Kilkakrotnie bierze głęboki oddech i już myśli o kowboju, który trzyma straż na ulicy.

Zigić i Nenad na pewno usłyszą, jak będzie otwierać zamek. Wstrzymuje się, więc z jego przekreśleniem, musi zebrać siły na ucieczkę po schodach. Nie starcza jednak na to czasu. Może usłyszeli jej ciężki oddech, bo w kuchni coś spada na podłogę i rozlegają się szybkie kroki.

Iben przekręca zamek i niemal frunie na dół, jak wtedy, gdy zbiegała kuchennymi schodami ze swego mieszkania. Wyprzedza ich zaledwie kilka metrów, lecz wstąpiły w nią jakieś szalone siły.

Stopami niemal nie dotyka schodów, opiera się mocno na poręczy, prawie nurkując głową w dół, w nieskończenie długim skoku pokonując zakręty.

Ale od nieruchomego siedzenia nogi trochę jej zdrętwiały. Potyka się i tylko, dlatego, że obiema zakrwawionymi dłońmi trzyma się mocno poręczy, jej ciało nie rozbija się o stopnie. Dzięki

temu udaje jej się wykorzystać upadek do jeszcze szybszego przemieszczania się na dół. Parę stopni niżej nachyla się i podnosi sztylet, który wyleciał jej przy upadku.

Za plecami słyszy, że mężczyźni się zatrzymują. Wołają coś po serbsku, a ten na ulicy odpowiada:

- Okej!

Iben dociera aż do półpiętra między pierwszym piętrem a parterem i dopiero wtedy go widzi. Jest potężny i wolno idzie w jej stronę.

Iben doskonale wie, jak wygląda tylne podwórze. Stała tam przecież dostatecznie długo, wyobrażając sobie lot ciała Rasmusa. Jeśli ktoś rzuci się przez okno w drodze ze schodów i polecą na prawo, to ląduje wtedy na metalowym ogrodzeniu, na które nadział się Rasmus. Jeśli natomiast człowiek wypadnie, wchodząc na górę, będzie się poruszał pod innym kątem i musi jedynie uważać, by wylądować w odległości paru metrów od muru, aby uniknąć szerokich stalowych poręczy otaczających zejście do pralni w piwnicy. Można wtedy wylądować na asfalcie.

Iben zbiega jeszcze parę stopni w dół z półpiętra i jest już prawie przy mężczyźnie na parterze. Tam zawraca i mocno trzymając się obiema rękami poręczy, podciąga ciało w górę.

Jednocześnie napina mięśnie nóg, by w tym samym momencie zebrać wszystkie siły i podbiec w górę.

Na półpiętrze nie skręca, tylko dalej pędzi w stronę okna. Podskakuje i jedną nogą opiera się na barierce przed dużym, starym witrażem. A szybkość, jakiej nabrała w biegu, unosi ją daleko za zbitą szybę.

Rękami zasłania twarz, starając się ją ochronić przed kolorowymi odłamkami szkła, które wśród nocy wirują w powietrzu wokół niej, gdy opada na asfalt.

Lądowanie wychodzi jej lepiej niż wtedy za domem Anne-Lise. Natychmiast się podrywa, nie wiedząc, w ilu miejscach się pokaleczyła. Biegnie wzdłuż muru, aż do końca podwórza, gdzie jest zejście do wspólnej piwnicy na rowery. Pędzi między długimi rzędami pokrytych zimowym brudem jednoślądów. Nie słyszy za sobą kroków. A na drugim końcu przechowalni schody prowadzą do wyjścia na ulicę inną niż ta, przy której stoi dom Malene.

Iben biegnie. Jest dużo chłodniej. Zwykle, gdy wciąga powietrze na takim zimnie, bolą ją płuca. Teraz nic nie czuje. Zaczyna jednak rejestrować ból w innych miejscach.

Wreszcie dociera do ulicy Gunnara. Już z daleka widzi, że świeci się w oknach, w które tyle razy gapiła się w inne wieczory.

50

Gdy Gunnar otwiera drzwi, Iben rzuca mu się w ramiona. Z nosa jej cieknie, a krwawiące nadgarstki zostawiają czerwone plamy na jego koszuli.

Pozwala mu się objąć, Gunnar wciąga ją do mieszkania.

- Iben, to straszne, co się...

Próbuje osuszyć jej twarz koszulą, pyta, skąd wzięła się krew, ale ona tak okropnie płacze, że nie ma sensu jej wycierać. A ponieważ nie jest w stanie odpowiedzieć na jego pytania, Gunnar sam sprawdza jej ręce i ubranie. Sadza ją na krzeselku w salonie i wydłubuje z bluzki kawałki szkła.

- Musimy zdjąć z ciebie bluzkę - mówi. - Możesz się o to pokaleczyć. Musisz się też wykapać w wannie, żebyśmy mogli zobaczyć, gdzie się zraniłaś, i opatrzyć...

- Chcę się położyć - mówi Iben.

- Ależ tak, jasne, ale najpierw musimy cię umyć i zobaczyć, skąd ta krew...

Iben krzyczy mu prosto w twarz:

- Chcę się położyć!

- Już, już, oczywiście, zaraz.

Pomaga jej przejść na kanapę.

Iben nie jest w stanie znieść więcej wrażeń. Nawet światło to za dużo. Zamyka oczy, lecz blask mimo to sączy jej się przez powieki. Tworzy wzory, których ona nie chce widzieć. Pyta, czy może wziąć poduszkę i położyć sobie na oczach. Gunnar pozwala, więc teraz i ta poduszka pobrudziła się krwią. Z twarzą na pół ukrytą pod poduszką Iben cała się spina, żeby powiedzieć:

- Musimy zadzwonić na komórkę do Malene i ją ostrzec. To bardzo ważne.

Usiłuje tłumaczyć, co się stało, ale sama słyszy, że opowiada bez ładu i składu.

Gunnar przynosi jej wody, a potem chodząc po pokoju, stwierdza:

- Trzeba zadzwonić na policję.

A ponieważ Iben nie odpowiada, on pyta:

- Jesteś pewna, że nie widzieli, jak tu przybiegłaś?

- Myślę, że nie.

- Z całą pewnością musimy zadzwonić na policję.

Iben mówi cicho:

- Zaczekaj z tym jeszcze trochę.

- Ależ musimy...

- Po prostu zaczekaj.

Iben trzęsie się tak, że niemal kopie nogami. Te drgawki nie chcą ustać, a ponieważ nie panuje nad ruchami, ciało sprawia wrażenie, jakby nie należało do niej.

Gunnar wstaje, ale ona protestuje:

- Nie odchodź!

- Chciałem tylko zadzwonić po lekarza.

- Mam drobne zadrapania na rękach. Nic więcej. To wygląda gorzej, niż jest naprawdę.

- No dobrze, mam nie wołać...

- Gunnar, zostań tutaj. Do nikogo nie dzwoń.

Gunnar siada i pyta:

- Przyniosę teraz ściereczkę i miskę z wodą. Przemyję ci rany, a ty będziesz leżeć na kanapie. Zgadzasz się?

Iben mówi w ciemność pod poduszką:

- Tak, dziękuję, to dobry pomysł.

- I do nikogo nie będę dzwonił.

- To dobrze. Bo tylko... Po prostu trochę zaczekamy, dobrze?

Gunnar obmywa jej tę rękę, która wystaje nieco poza brzeg kanapy. Robi to bardzo delikatnie, żeby nie wbić odłamków szkła głębiej w rany.

Po pewnym czasie - sama nie wie jak długim - Iben może w końcu zdjąć poduszkę z twarzy i rozejrzeć się po salonie Gunnara.

Nie wie, ile razy marzyła o tym, żeby się tu znaleźć. Można by sądzić, że ten salon nigdy nie będzie w stanie sprostać jej wyobrażeniom. Tak jednak nie jest, pomimo spartańskiego umeblowania.

Przed wszystkim rzuca się w oczy, tak samo jak u niej, mnóstwo książek. Mieszkanie jest duże, więc meble nie są stłoczone. Gunnar ma tanie, jasne meble w prostym stylu. Sprawiają wrażenie niekompletnych, a raczej wygląda to tak, jakby przed wielu laty przy podziale majątku po rozwodzie przypadła mu połowa umeblowania i od tamtej pory nic nowego nie kupił.

Na niskim stoliku przy głowie Iben leży pomarańczowy szklisty kamień wielkości owocu mango. Mógłby zostać kupiony w sklepiku z kryształami, lecz najpewniej Gunnar przywiózł go z którejś ze swoich podróży. Gdy człowiek lepiej się rozejrzy po tym pokoju, dostrzeże wiele pamiątek ze świata poza Danią.

Iben patrzy na twarz i tors Gunnara. Nachyla się nad nią, a ona ma ochotę uściskać go tak, jak w przedpokoju. Teraz jednak byłoby to nie na miejscu.

Nigdy wcześniej go nie obejmowała, a gdy do tego doszło, silne wzburzenie nie pozwoliło jej tego poczuć naprawdę. Usiłuje sobie przypomnieć, jakie uczucie wywołało w niej ciepło jego ciała, gdy weszła tu z zimna.

Nareszcie jest w miejscu, w którym Zigić jej nie znajdzie. W miejscu, gdzie ktoś się o nią zatroszczy. Wyciąga rękę i dotyka uda Gunnara. Rozluźnia się, ale przez to dwukrotnie potężnie jej się odbija. Ma wrażenie, że z głębi jej brzucha eksplodowało powietrze.

Obydwoje się śmieją mimo płaczu Iben i jej pokaleczonych rąk i nóg. Iben zaczyna odzyskiwać siły na tyle, by, choć trochę pamiętać o minimum przyzwoitości.

Nagle słychać powolne kroki. Iben nie może ustalić, skąd dochodzą. Może zza drzwi na drugim końcu salonu?

Nim zdąży pomyśleć, sztylet jest już wyciągnięty z pochwy, Iben sięga też po pomarańczowy kamień, by móc nim rzucić w razie potrzeby. Wszystko odbywa się tak nagle, że Gunnar nie ma czasu, aby cokolwiek wyjaśnić. Iben stoi w pozycji bojowej, wciąż z krwią spływającą wzdłuż lewego przedramienia, gdy Malene otwiera drzwi i wchodzi do środka, ubrana, ale z głową owiniętą mokrym ręcznikiem.

- Co ty tu robisz? - pyta.

Malene w obłoku wilgoci wygląda fantastycznie i zmysłowo. Tak można wyglądać jedynie po wyjściu z nagrzanej, zaparowanej łazienki.

Dopiero teraz uważniej przygląda się Iben.

- O Boże!

Iben wie, że zareagowała niemądrze. Przecież mogły tu być córki Gunnara, bardzo by się wystraszyły.

- Iben, na Boga, co się stało? - pyta Malene.

Iben stara się mruganiem powstrzymać łzy.

- Co ty zrobiłaś? - krzyczy wściekła.

- Przecież wiesz, że jestem z Gunnarem - tłumaczy przestraszona Malene.

Iben nie miała o tym pojęcia, ale nie o to pytała.

- Co narobiłaś z Żigiciem? - krzyczy jeszcze raz.

- Z Żigiciem? Ja?

- Ukradłaś mu książkę adresową? Szantażujesz go?

- Ależ skąd!

Teraz Malene naprawdę się boi. Może wciąż myśli, że Iben popada w paranoję, w jakieś szaleństwo? A Iben dalej krzyczy:

- Prawie ci się udało mnie zabić!

- Co?

- Pracujesz dla kogoś innego poza centrum?

- Iben, co ty wygadujesz?

Malene jest bardzo przekonująca. Zachowuje się tak, jakby nie zrobiła nic złego. Iben jeszcze bardziej się wścieka.

Gunnar spokojnym głosem próbuje je uspokoić, a Iben wrzeszczy na niego:

- Ty się w to nie mieszaj!

Chce do niej podejść, ale Iben odskakuje o kilka kroków i wyciąga sztylet.

- Uważaj! Nie zbliżaj się!

Gunnar i Malene wpatrują się w nią, oniemiała. Iben nagle widzi siebie jakby z boku.

- Och, nie chciałam. Gunnar, ty wiesz, że ja nigdy nie mogłabym... Gunnar, bardzo cię przepraszam.

Wszyscy troje stoją jak skamieniali.

- Dziękuję, że jesteś taki miły - mówi Iben. - Że pozwoliłeś mi tu przyjść. Nie mogę sobie z tym poradzić.

- W porządku, rozumiem. Chodź, połóż się na kanapie.

- Ja wcale nie jestem taka. Ty mnie dobrze nie znasz, to okropne, że mnie widzisz w czasie...

Nie chciałabym, żebyś odniósł złe wrażenie.

Iben przerywa swoje myślenie na głos, by nie wyjść na jeszcze większą wariatkę. Z całych sił stara się mówić zwyczajnym tonem.

- Normalnie wcale nie jestem taka. Normalnie jestem bardzo spokojna. Prawda, Malene?

Malene stoi z ręką na klamce drzwi, którymi tu weszła.

- No... tak - odpowiada.

- Tak, normalnie jestem spokojna i rozsądna. Tylko, że... - zacina się i Gunnar znów zbliża się do niej o kilka kroków.

- Rozumiemy cię, Iben - mówi. - Chodź, odpocznij teraz. Będziemy przy tobie czuwać. Połóż się na kanapie.

Iben wolno idzie za nim do miejsca, z którego się przed chwilą poderwała.

Musi oddalić od siebie złe przeczucia i niewiarę, że wcale nie będą nad nią czuwać. Że oboje spiskują z Żigiciem. Nie wolno jej teraz popadać w paranoję. Powinna im zaufać, przecież ci ludzie są jej najbliżsi.

Widzi, jak bardzo zaplamiała krwią kanapę. Gunnar nie będzie mógł już jej używać. Mówi „Przepraszam”, wolno się kładzie i odstawia na miejsce pomarańczowy kamień.

Gunnar wskazuje na krzesło po drugiej stronie ławy.

- Malene, możesz usiąść tam.

Iben jeszcze raz opowiada, co się stało. Tym razem jest w stanie zrobić to bardziej składowanie. Wielokrotnie pyta Malene, czy miała z tym cokolwiek wspólnego i jakie maile wysłała Žigiciowi.

Ale Malene cały czas powtarza, że nic o tym nie wie. Że Žigic musiał pomylić ją z kimś innym.

Gunnar wychodzi do kuchni, stwierdziwszy, że Iben musi coś zjeść i wypić, jeśli chce dojść do siebie. Iben zaczyna zmywać krew z lewej ręki, ale Malene jej przerywa:

- Daj, ja to zrobię. Ty leż.

Iben próbuje odzyskać spokój. Stara się odzyskać poczucie bezpieczeństwa, otoczona życzliwością. Dziwnie się czuje, gdy zajmuje się nią Malene. Przez ostatnie sześć lat to Iben pomagała Malene, gdy ta była chora.

Malene dobrze sobie radzi. Obcina rękawy bluzki Iben, bo przecież i tak porozdzierały ją odłamki szkła. W ten sposób może oczyścić jej rękę, nie musi całkiem jej rozbierać.

Dopiero teraz Iben zauważa, jak bardzo to przytulne mieszkanie jest przesycone zapachami seksu. Można by przypuszczać, że Gunnar i Malene wpadli w seksualny amok i przez trzy doby z rzędu kochali się na wszystkich po kolei meblach w salonie.

Iben wyobraża sobie ich seks. Twarze rozplývają się w orgazmie, Gunnar, tkwiąc w Malene, gryzie ją w kark.

Iben jest tak strasznie przykro z tego powodu. Wszystko się rozsypało. Zaczyna czuć, jak bardzo bołą ją dłonie i stopy.

Malene musiała to po niej poznać, bo przynosi silną tabletkę przeciwbólową, zawsze ma przy sobie takie tabletki. Po jej zażyciu Iben leży w milczeniu i czeka, aż lek zadziała. Przygląda się dłoniom Malene. Pomimo tkwiącej w nich słabości potrafią być tak troskliwe. Iben myśli o tym, że w czasie, gdy Žigic ją więził, te ręce pieściły Gunnara.

Wraca Gunnar z kanapkami, whisky i gorącą czekoladą dla wszystkich. Podchodząc do stołu z pełną tacą, tłumaczy, że miał litr czekolady z mlekiem z urodzin najmłodszej córki.

- To bardzo sycące. A właśnie tego nam potrzeba. Czegoś, co pomoże nam się uspokoić.

Później - gdy Iben ma już rany oklejone plastrami i jest przebrana w jedną z bluzek Malene, które ta przeniosła do mieszkania Gunnara - jeszcze raz opowiada o Žigiciu i o wszystkim, co się wydarzyło.

Tym razem to Malene upiera się, że powinni zadzwonić na policję.

Iben odpowiada:

- Jeśli któryś z nich zdążył zauważyć mniej więcej, w którą stronę uciekam, ale nie wie, w której bramie zniknęłam, to po przybyciu policji od razu się zorientuje. Będą wtedy wiedzieli, gdzie jestem.

- To, dlatego wzbranasz się przed policją - stwierdza Gunnar.

Iben ciągnie:

- Dwaj duńscy funkcjonariusze to żadna ochrona. Wszystko zacznie się od początku.
- Czy nie popadamy w... - wtrąca Malene.

Iben domyśla się, że Malene miała ochotę powiedzieć „w paranoję”, ale ugryzła się w język.

Zamiast tego Malene mówi:

- Zastanawiałam się nad tym, co się mogło stać. Oczywiście. Tak właśnie musiało być. Już za pierwszym razem, kiedy dzwoniłam z Props do Rasmusa i opowiadałam mu o tych mailach z pogróżkami, zapowiedział, że przygotuje program szpiegowski i wyśle go do człowieka, który przysłał nam maile. Pracował nad tym w wolnych chwilach. Ten program miał skopiować dane z komputera nadawcy. Na przykład książkę adresową czy kalendarz, a potem dostarczyć je nam, abyśmy mogły odkryć, kto to jest. Sądziłam tylko, że nie zdążył jeszcze tego zrobić.

- Ale czy Zigić mógł się dowiedzieć, kto skopiował jego pliki? - pyta Iben.

- Nie mógł. Ale może po śmierci Rasmusa Zigić przysłał nam własny program szpiegowski. Nie wiem. Lecz jeśli znalazł moje nazwisko w opłatach za abonament czy innych rachunkach opłacanych z komputera Rasmusa, to mógł przez google wytropić, że pracuję w centrum zajmującym się ludobójstwem. Uznał wtedy, że to ja włamałam się do jego komputera.

- No tak... - mówi Iben. - Możliwe, więc, że w twoim komputerze jest plik, który umożliwi zniszczenie całej jego organizacji. Rasmus mógł skopiować jego rachunki, informacje bankowe, listy współpracowników i ludzi, których szantażował. Właściwie wszystko.

Malene wychodzi do przyległego pokoju i wraca z komputerem. Musiała przyjść tu prosto z pracy.

Stawia go na stoliku, włącza i loguje się, podając hasło Rasmusa. Mija chwila. Malene eksperymentuje z tożsamościami w Outlook Expressie i sprawdza, co z tego wynika.

Iben i Gunnar milczą, obserwują jej ruchy. Gunnar siedzi w fotelu, a Iben wciąż leży na kanapie. Tak blisko niego, że mogłaby go dotknąć wyciągniętą ręką.

Nagle Malene woła:

- Tak, już widzę! Rasmus wysłał mail z załączonym programem pod adres: lpeńc@brat.org.yu. To oczywiście adres Ljiljany Perić, z którą przeprowadzałaś wywiad o Žigiciu.

- Ale dlaczego napisał do niej?

- Tego nie wiem.

Iben jest w stanie znaleźć odpowiedź.

- Pewnie chciał przetestować swój program szpiegowski na serbskiej wersji Windowsów.

- I najwyraźniej to zrobił. Bo dzień później wysłał maile zwrotne do tego, który nam groził, revenge_is_near@inhidem.com. I jeszcze pod jeden adres, zigl@tin.co.yu. To musi być Zigić. Skąd on miał jego adres?

- Ten jego programik na pewno znalazł go w książce adresowej Ljiljany. Przecież ona go zna, chodziła z nim do jednej klasy.

Malene klika dalej, mówiąc:

- Program Rasmusa wysłał maile zwrotne z obu komputerów. W nagłówku widzę, że mail Žigicia został wysłany przez serwer w Serbii. Ale ten drugi mail jest wysłany z serwera tutaj, w Danii.

Mdłości, które naszły Iben na przystanku autobusowym pod domem Malene, powracają. Usta jej się skleją, a z tyłu na języku czuje w nieprzyjemny sposób smak przygotowanego przez Gunnara kakao.

Malene mówi to, czego wszyscy już się domyślili:

- A więc to nie Zigić wysłał maile z pogroźkami. Zrobił to ktoś tutaj, w kraju. Nazwisko tego człowieka jest w którymś z tych plików.

I Gunnar, i Iben wyciągają szyję, żeby móc to zobaczyć. Iben czuje na czole pot, który zawsze występuje, zanim zacznie wymiotować. Stara się mówić z radością w głosie, ale język lepi jej się do podniebienia:

- Pomyśleć tylko, że Rasmus to odkrył!

Głos Malene jest suchy, jak głos starej kobiety, gdy mówi:

- Tak. A potem zginął.

Iben niespodziewanie czuje silne szarpnięcie w środku. W nozdrza uderza ją odór płynu do impregnacji drewna, przemieszany ze smrodem chlewu. Znow wyczuwa zapach zła.

Podrywa się z kanapy i przebiega kilka kroków w stronę łazienki, lecz żołądek nie wytrzyma. Kakao z rozmoczonymi przeżutymi kanapkami ląduje na podłodze i rozbryzguje się aż na brzeg dużego, jasnego dywanu.

Iben klęczy, czując, że zaraz rzuci się głową we własne wymiociny. Jezioro pod nią jest ciemniejsze i bardziej brunatne, aniżeli ten świat złego tłuszczu, w którym niemal utonęła poprzednio.

Gunnar i Malene przykucają po obu jej stronach. Malene podtrzymuje jej ręką czoło, mówiąc:

- Masz za sobą straszny dzień, Iben. Naprawdę rozumiem, że nie jesteś w stanie znieść już nic więcej. Postaramy się ci pomóc najlepiej jak tylko...

Ale Iben skulona myśli: A jeśli prawdą jest to, co przypomniało mi się wcześniej? Jeśli to ja wysłałam te maile? I Rasmus mnie odkrył? Wiedziałabym wtedy, że mogłby zniszczyć całe moje życie. Przez niego wylaliby mnie z pracy, umieścili w szpitalu, ukarali, straciłabym Malene. Straciłabym wszelkie szanse u Gunnara.

- Jestem chora - szepcze.

- Tak, to widać.

Zamyka oczy i czuje dłoń Malene na zimnym, mokrym czole. Próbuje zebrać myśli.

Co pamiętam z tamtego dnia, kiedy pomagałam Rasmusowi przy przeprowadzce? Był bardzo poważny i oświadczył, że musi ze mną pomówić. Opowiedział mi o tym programie szpiegowskim. Sądziłam, że unika mówienia o swoich stosunkach z Malene, i tak naprawdę nie słuchałam tych jego komputerowych wynurzeń.

Później pomagałam mu znosić rzeczy do samochodu. Ale jaki właściwie był ten poważny temat, wokół którego on krążył? Co uważał za takie ważne, że musiał ze mną o tym porozmawiać?

Malene wsuwa Iben rękę pod pachę i wolno ją podnosi, mówiąc:

- Chodź, musisz się położyć. Wracamy na kanapę, chodź.

Malene strasznie cuchnie moczem, lecz Iben wie, że ten zapach istnieje wyłącznie w jej głowie.

- Chodź, Iben - powtarza Malene. - Chodź, połóż się tutaj.

Czas po rozmowie z Rasmusem jest czarną dziurą. A potem Iben myśli mimo wszystko: Czy ja nie znosiłam do samochodu przerzutki rowerowej i otwartej puszki z olejem? Czy nie rozlałam oleju akurat na ostatnim stopniu przed jedynym oknem bez barierki? Czy nie pomyślałam: Muszę to wytrzeć i przestrzec przed tym Rasmusą? Może w powrotnej drodze na górę okrążyłam dużym łukiem kałużę rozlanego oleju? Może weszłam do mieszkania Malene, nie ostrzegając Rasmusą? Może patrzyłam na swoje wysmarowane tłuszczem ręce, myśląc: Będę musiała umyć ręce, zanim cokolwiek więcej zniosę na dół. Dlaczego mam takie zatłuszczone palce? Coś upuściłam? Czy trochę później nie wyszłam do kuchni i nie zmywałam, nasłuchując odgłosów z klatki schodowej?

Gunnar stawia pustą miskę na dywanie przy głowie Iben i sprząta jej wymiociny z podłogi. Malene uśmiecha się do niej i szepcze:

- Jesteś naprawdę kochana, że tak reagujesz, kiedy mówimy o Rasmusie. Ja też czasami potrafię się rozchorować, gdy o nim myślę.

- Tak.

Malene okrywa Iben kocem aż po uszy. Otula jej też stopy.

- Teraz ja się mogę trochę tobą zająć, tak jak ty się zajmowałaś mną. Bardzo się z tego cieszę.

Iben obraca się na plecy.

- Tyle mam wątpliwości. Jestem kompletnie zdezorientowana.

Ale Malene ujmuje ją za rękę.

- Musisz teraz tylko leżeć i odpoczywać. A my będziemy tu blisko ciebie i otworzymy plik Rasmusą.

Iben znów szarpia wymioty, ale wypływa z niej jedynie kilka kropli w kolorze wągrów, które wpadają do miski podstawionej przez Gunnara.

Malene siada przy komputerze na stoliku. Odwraca go tak, by i Iben mogła coś widzieć z kanapy. Dwa razy klika plik, który program Rasmusa przyłączył do maila od revenge_is_near. Ale plik się nie otwiera.

Zamiast tego na ekranie pojawia się okienko z informacją, że komputer nie rozpoznaje typu pliku i pyta, jakiego programu ma użyć do jego otwarcia.

- A skąd ja mam wiedzieć? - wykrzykuje Malene. - To plik, który Rasmus sam przygotował. Jak się go otwiera?

Gunnar proponuje Notepada, Worda i Wordpada, ale żaden z programów nie działa.

W głosie Malene pojawia się nieskrywana irytacja:

- Co to, do cholery, jest? Już myśleliśmy, że wszystko wiemy, że wreszcie się okaże, kto do nas wysłał te przekłete maile i kto to wszystko zaczął!

- Może trzeba go otwierać tym programem, który Rasmus sam napisał? - podsuwa Gunnar. - Może trzeba użyć jego programu szpiegowskiego?

A Iben mówi:

- A może programu, którego powinniśmy użyć, wcale nie ma na tym komputerze.

Malene się rozjaśnia.

- Lepiej się czujesz? To świetnie.

Dalej robią, co mogą, by otworzyć plik. W końcu jednak postanawiają poddać się na ten wieczór. Wszyscy troje bezradnie wpatrują się w niewielkie urządzenie stojące na stoliku między nimi. Jest w nim wszystko, czego pragną się dowiedzieć, ale muszą szukać pomocy u eksperta.

Iben wypija cały dzbanek wody. Malene i Gunnar już nie cuchną, a ona znów może myśleć jaśniej: Przecież nieźle się z Rasmusem bawili, znosząc jego rzeczy do samochodu. Panował między nimi sympatyczny nastrój. Nie mógł, więc chwilę wcześniej oskarżyć jej o wysłanie maili z pogroźkami do Malene i siebie samej. To bez sensu. Stwierdza, więc, że te poprzednie wspomnienia z przeprowadzki Rasmusa musiały być jedynie wytworem jej wyobraźni, a wydawały się tak żywe, ponieważ była chora.

Zerka na przyjaciółkę. Malene przynajmniej na ten wieczór odsunęła od siebie żal i nienawiść do Iben. W jej spojrzeniu jest tyle ciepła, gdy na nią patrzy. To, że właśnie ona mogła zająć się Iben, coś odmieniło.

- Nie rozumiem tylko jednego. Dlaczego Rasmus mi nie powiedział, że wie, kto wysłał te maile? - pyta Malene.

Jeśli Iben dobrze widzi, Gunnar kurczy się z lekka za każdym razem, gdy Malene mówi o Rasmusie, lecz tak nieznacznie, że może to też tylko złudzenia.

- Pewnie, dlatego, że dane Žigicia doszły na dwa dni przed waszym zerwaniem... -
odpowiada Gunnar.

- Mimo wszystko. - Malene zwraca się do Iben: - Ty przecież rozmawiałaś z nim po tym, jak
je wysłał. Dlaczego ci nie powiedział, kiedy byłeś w mieszkaniu?

Malene patrzy na Iben, która z całych sił stara się znaleźć odpowiedź. Nic jednak nie
przychodzi jej do głowy. Zapada chwila niezręcznego milczenia, aż w końcu Iben musi
odpowiedzieć:

- Nie wiem.

51

Zrobił się już późny wieczór i Iben po dłuższym namyśle stwierdza, że paranoją jest przekonanie, iż policja mogłaby naprowadzić Žigicia na ich trop.

Gunnar dzwoni, więc pod sto dwanaście i wkrótce rozlega się brzęczyk domofonu. Łagodny męski głos mówi:

- Policja.

Iben ma ochotę powiedzieć ludziom przy bramie: „Uważajcie! Uważajcie, żeby was nikt nie napadł, kiedy będziecie wchodzić do środka”, ale nie chce wyjść na histeryczkę.

W czasie, gdy policjanci wchodzi na górę po schodach, a Gunnar i Malene czekają w przedpokoju, ona krąży niespokojnie po salonie, szukając najlepszego sposobu obrony. Wreszcie odrywa sztylet od nogi, by Zigić go nie znalazł, kiedy będzie ją rewidował. Podbiega do biurka Gunnara, znajduje taśmę klejącą i przytwierdza nóż pod siedzeniem środkowego z trzech krzeseł stojących w salonie. Może tam Zigić nie zajrzy.

Ledwie zdążyła odłożyć taśmę na miejsce i z powrotem usiąść na kanapie, udawać całkiem już rozluźnioną. Stara się oddychać głęboko i spokojnie.

I nagle słyszy krzyk Malene z korytarza. W ciągu jednej sekundy drzwi wejściowe mocno się zatrząskują, a potem z mniejszym hałasem otwierają na nowo.

Serce Iben już wcześniej nastawiło się na opętane bicie. Włoski na karku już wcześniej przygotowały się do zjeżenia. Iben podbiega do okna, nie wiedząc, dlaczego, jakby instynkt kazał jej wyskoczyć z czwartego piętra, zrobić cokolwiek, byle tylko stąd uciec. Czy ma inne wyjście? Odwraca się w stronę salonu i sprawdza go wzrokiem, ale jej palce już otwierają zaciski największego okna. Co innego? Co jeszcze? Co innego mogę zrobić?

Nenad natychmiast jest przy niej. Chociaż Iben się opiera, on przewraca ją bez najmniejszego trudu przy użyciu sztuczki któregoś ze sportów walki.

- Leż tak! - nakazuje i demonstruje jej, jak to ma wyglądać: na brzuchu, z rękami na karku.

Iben leży na podłodze tuż przy oknie. Tym razem będzie o wiele gorzej. Tym razem uzyskają pełną kontrolę. Tym razem nie będzie nawet cienia możliwości ucieczki. Płacz zmusza ją do głębokiego zaczerpnięcia oddechu, odrobina śliny wpada nie w tę dziurkę. Próbuje ją wykasnąć w tej pozycji i znów trzęsie się tak, jak wtedy, gdy leżała na kanapie.

Gunnar i Malene zostali wprowadzeni do salonu. Oni też muszą położyć się na podłodze z rękami na karku i tym razem wszyscy natychmiast zostają obszukani.

Mężczyźni są inni niż wcześniej, bardziej skupieni na swojej skuteczności. A mimo to wszyscy trzej robią wielkie przedstawienie z Malene. Przeszukują ją kilkakrotnie, szarpiają, a mężczyzna ubrany jak kowboj robi to tak brutalnie, że Malene jęczy, dopóki nie każą jej się zamknąć.

Zigić wciska jej dłoń w krocze, patrząc przy tym na Iben i mówiąc:

- Chciałabyś, żeby i tobie tak zrobić?

Dopiero teraz do Malene dociera, co się dzieje. Wybucha płaczem.

Zigić podchodzi do Iben. Każe jej położyć głowę tak, by patrzyła w podłogę, nie wolno jej też oprzeć czoła na dłoniach.

Wiedziała, że to nastąpi! To przecież ona wiedziała, jaki on jest. Gunnar i Malene go nie poznali, absolutnie nie byli w stanie sobie tego wyobrazić. Iben powinna była coś zrobić. W myślach cały czas sobie powtarza: Powinnam była coś zrobić. Powinnam była coś zrobić.

Nie widzi teraz salonu, ma przed oczami jedynie blade ługowane deski podłogi, które zmieniają się w niewyraźną, mętną powierzchnię, ponieważ są tak blisko. Nad sobą słyszy Żigicia, który naśladuje kobiecy głos, udając Iben:

- Wydawało mi się, że zdołam uciec przed Mirkiem Żigiciem?

Iben leciutko unosi głowę, ale zaraz czuje na niej jego but.

Słychać bardziej chrzęst niż odgłos uderzenia. Taki jak wtedy, gdy nożycami do drobiu przecina się grubą kość kurczaka. Ale ból przychodzi nagle, paraliżuje całą twarz.

Iben krzyczy i widzi, jak mętna, biała powierzchnia w dole ciemnieje i czerwienieje.

- Przestań! - mówi Zigić.

Kopie ją w bok.

A ona przestaje. Pod policzkiem czuje krew, która powoli wypływa z niej na jasną podłogę.

- Chciałem być grzeczny i załatwić wszystko w kulturalny sposób. Ale ty najwyraźniej nie masz ochoty z nami współpracować. To ty mnie zmuszasz do takiego zachowania.

Za plecami Żigicia Nenad odnalazł na stoliku włączony komputer i obejrzał maile wraz z załączonym plikiem. Rozlega się głośny wesół gwizd, który odciąga uwagę Żigicia od Iben.

Iben unosi głowę i delikatnie ją przekręca, tak by cały jej ciężar nie spoczywał na złamanym nosie. Z tej pozycji widzi, że Nenad pokazuje na ekranie plik Żigiciowi, który uśmiecha się zadowolony.

Gdy głowa jest lekko obrócona w bok, krew nie płynie już na podłogę strumieniem, tylko cicho skapuje. Iben obserwuje to, usiłując zapomnieć o bólu. Myśli o tym, że napastnicy będą musieli jak najszybciej ich stąd wyprowadzić. Sąsiedzi Gunnara mogą wezwać policję, a poza tym

policja sama może się już dziwić brakiem kontaktu radiowego z dwoma funkcjonariuszami, którzy leżą gdzieś tam na dole.

Zigić musi, więc przetransportować więźniów w jakieś miejsce, gdzie będzie mógł zrobić z nimi, co zechce, pastwić się tak długo, jak zechce. Będzie zmuszał ich do podania nazwisk innych osób, które mogły widzieć ten plik, wszystkich adresów miejsc, w których mogą znajdować się zapasowe kopie. Dopiero po kilku dniach tortur uzyska pewność, że zewnętrzny świat tak im już zobojeźniał, że będą gotowi zdradzić każdy szczegół.

Pytanie, czy zabierze stąd wszystkich. Trudniej jest poruszać się z trojgiem więźniów niż z jednym czy dwojgiem. Tych, których nie będzie podejrzewał o posiadanie zapasowej kopii, może zabić od razu. Jeżeli postanowi kogoś uśmiercić przed opuszczeniem mieszkania, na kogo padnie?

Zigić podnosi klawiaturę laptopa Malene i wydłubuje nieduży twardy dysk. Rzuca po serbsku kilka poleceń Nenadowi i wkłada twardy dysk swemu pomocnikowi do kieszeni na piersi.

Potem znów zwraca się do trojga ludzi leżących na podłodze:

- Mam, więc jeden egzemplarz pliku. Gdzie są zapasowe kopie?

Nikt nie odpowiada.

- No dobrze, spróbujcie mnie wysłuchać: Jeśli po mojej wizycie w Danii będą istnieć jeszcze inne kopie tego pliku oprócz tej w moim komputerze, to wasza przyszłość zapowiada się tak czarno, że nawet nie możecie sobie tego wyobrazić.

Zigić krąży między leżącymi więźniami. Nie wygląda na człowieka, który ma zamiar w pośpiechu opuścić mieszkanie.

- Nawet gdybym sam nie mógł tu przyjechać po to, by was zabić, zawsze będą to mogli zrobić inni. I oni zabiją nie tylko was, lecz również wasze rodziny i wszystkich, których znacie.

Mówi spokojnym, zrównoważonym tonem. Można by sądzić, że wszelkie problemy się rozwiążą, jeśli tylko Zigić otrzyma kopie swoich plików. Prawda jest jednak taka, że dopiero wtedy będzie najgorzej. Dopiero wtedy zaczną ich torturować, by mieć pewność, że otrzymał wszystkie informacje. A później ich zabije.

Zigić ciągnie możliwie najbardziej przekonującym tonem:

- Dlatego, dla własnego dobra, módlcie się teraz do Boga: „Kochany Boże, obyśmy tylko nie zapomnieli o czymś powiedzieć Mirkowi. Byle tylko nikt z pozostałych nie powiedział Mirkowi nieprawdy”. Zrozumieliście?

Wszyscy troje powtarzają:

- Tak.

Zigić mówi:

- Musimy się stąd wynosić, ale zanim wyjdziemy: Czy jakieś kopie tego pliku są ukryte także w tym mieszkaniu?

Wszyscy troje odpowiadają:

- Nie.

- To dobrze. Następne pytanie: Pojedziemy teraz w pewne miejsce. Czy po drodze powinniśmy się gdzieś zatrzymać, żeby zabrać zapasowe kopie?

- Mam kopie u siebie w biurze - mówi Gunnar.

Iben myśli: Świetny pomysł. Pojedziemy do redakcji Gunnara w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a tam recepcja jest czynna całą dobę. Są długie korytarze, pełne zakrętów, strażnicy, i po stokroć lepsze możliwości ucieczki niż tutaj.

- Zastanów się dobrze, zanim mi odpowiesz - mówi Zigić. - Niedługo jeden z nas pójdzie z tobą do twojego biura, a one zostaną w samochodzie.

Staje tak, że jego buty są tuż przy twarzy Gunnara, i ciągnie:

- Jeśli nie znajdziemy tam kopii, zabiję jedną z dziewczyn. Pytam cię, więc jeszcze raz... Spokojnie, zastanów się dobrze... Czy masz kopię u siebie w biurze?

Gunnar pociąga nosem. W końcu odpowiada:

- Nie mam.

Iben jest nim rozczarowana. Gunnar dał się złapać w pułapkę. Boi się nie wierzyć w kłamstwa tych oprawców. Woli wierzyć w to, co najłatwiejsze, że mają szansę przeżycia, jeśli będą z nimi współpracować.

Mężczyzna w kowbojskim ubraniu sprawdził mieszkanie. Wraca uśmiechnięty z używaną prezerwatywą. Razem z Nenadem żartują sobie z tego, kowboj wywija kondomem, aż wreszcie wylewa jego zawartość na głowę Malene.

Iben ma nadzieję, że uzmysłowi Gunnarowi, iż nie powinien się bać odpowiedzialności za to, co już zaczął.

- Ja mam kopię w Ministerstwie Spraw Zagranicznych - mówi.

A Zigić powtarza, teraz zwracając się do Iben:

- Jeśli nie znajdziemy tam tej kopii, zabiję jedno z twoich przyjaciół. Dobrze się, więc zastanów. Oni umrą. Masz kopię w Ministerstwie Spraw Zagranicznych?

- Mam - odpowiada Iben.

Malene, słysząc to, jęczy i woła:

- Przecież nie masz żadnej kopii, nigdzie!

Iben jest tak wzburzona, że przechodzi na duński:

- Malene, teraz mnie zabiłaś!

- Co?

- Oni zaraz mnie wykończą. Jeśli nie mam kopii, to on zabije mnie tu w tym mieszkaniu. A ty właśnie powiedziałaś, że ma to zrobić.

Wybuch Iben sprawia, że Malene załamuje się z płaczem, a Zigić wymierza Iben kopniaka.

- Jeśli jeszcze raz odezwiecie się po duńsku, znajdę wasze rodziny i wszystkich pozabijam!

Malene stara się wymówić mnóstwo słów po angielsku. W pierwszej chwili słowa są niezrozumiałe, w końcu Iben wychwytuje kilka zlepków:

- No tak, ale inaczej... Iben, Iben... jeśli jej nie znajdą, to wtedy mnie...

Nic więcej nie mówi.

A Zigić się uśmiecha.

Podchodzi do głowy Iben, a ona po raz pierwszy widzi jego pistolet. Zigić trzyma go w dłoni. Słyszy lekkie kliknięcie, gdy go odbezpiecza.

Nagle odzywa się Gunnar. Po angielsku zwraca się do Iben, pospiesznie wymawiając słowa:

- A ta kopia, którą ci dałem? Zostawiłaś ją w ministerstwie?

- Tak.

Zigić zwraca się do Gunnara z nieznośną ironią w głosie:

- To brzmi interesująco, w to wierzę.

Podchodzi do Iben, przykładając jej pistolet do głowy.

Przyciska go mocno do zagłębienia, w którym czaszka przechodzi w szyję.

- Wierzę w to, co mówisz, miękki fiucie.

Naciska spust.

W głowie Iben wszystko eksploduje, Gunnar. Malene. Zło. Przyszłość. Życie. Omoro, który umarł. Rasmus, który umarł. Ojciec, który umarł. I ta chwila w Afryce, kiedy w dzielnicy slumsów stała na białej platformie samochodu i postanowiła, że wszystko będzie inaczej.

Widzi krew pod policzkiem - ciemnoczerwona kałuża wlewa się jej do ucha. I dopiero teraz uświadamia sobie, że nie słyszała huk. W komorze nie było kuli.

Patrzy na Žigicia. On stoi tak jak stał. Ona leży tak jak wcześniej.

Malene wydaje z siebie głośnie zawodzenie, a potem szlocha z twarzą przyciśniętą do podłogi.

Zigić mówi cicho do Iben:

- Nie miałaś aż tyle szczęścia. Następnym razem się poprawię.

* * *

Iben ma wrażenie, że coś z niej uleciało. Jak gdyby on naprawdę to zabił. Jak gdyby nigdy już miała się nie poruszyć, nie mówić, ani nie słuchać.

Zigić każe jej wstać. Iben jakoś się to udaje, pomimo jej stanu. Muszą wyjść. Zigić mówi coś po serbsku do Nenada, a Nenad po angielsku przekazuje Iben, że chce zmyć krew z jej twarzy. Oczywiście w celu łatwiejszego przejazdu przez Kopenhagę, bez zwracania na siebie uwagi. Musi usiąść, podczas gdy Gunnar i Malene dalej leżą. Nenad wychodzi do kuchni po wodę i papierowe ręczniki, Iben siada na środkowym z trzech krzeseł w salonie.

Nenad wraca, przytrzymuje jej głowę, wyciera zakrwawiony nos i wtyka odrobinę papieru do obu dziurek.

Chociaż okropnie ją boli, Iben czuje, że Nenad robi to z wprawą i troską, jak gdyby był superkucharzem, a ona befsztykiem wołowym, który marynuje niemal z miłością. Ale za sekundę, już w zupełnie innym humorze, może przekroić befsztyk na pół, zmasakrować tłuczkiem albo upiec na grillu.

W czasie, gdy on całą swoją uwagę koncentruje na jej nosie, Iben wsuwa rękę pod siedzenie krzesła. Nieco później jest już gotowa do wyjścia.

Nenad, kowboj i Zigić spokojnie idą przez klatkę. Ustawili się w szyku bojowym. Kowboj na dole przy drzwiach, Zigić przy jeńcach, a Nenad kawałek za nimi, ze spojrzeniem skierowanym w górę, na schody.

Polecono im nie rozmawiać na klatce. A gdy Gunnar usiłuje się skomunikować z Iben wzrokiem, Zigić wbija mu kolano w jądra.

Po wyjściu z bramy okazuje się, że spadł śnieg. Nigdzie nie widać żywej duszy, wszędzie dookoła ziemię pokrywa cienka warstewka bieli.

Na białym asfalcie przed klatką Gunnara stoi pusty radiowóz. Iben usiłuje wypatrzeć zwłoki dwóch policjantów, nigdzie ich jednak nie widać.

Zigić kliknięciem otwiera drzwi dużego srebrnoszarego samochodu, który stoi obok radiowozu. Poleca, by Iben usiadła z tyłu i wzięła Malene na kolana, Gunnar ma siedzieć na wybrzuszeniu pośrodku i wskazywać drogę, a kowboj wsiada z drugiej strony. Zigić prowadzi, Nenad zajmuje miejsce pasażera z przodu, ale odwraca się z pistoletem w rękę i nie odrywa spojrzenia od więźniów.

Kilka minut wcześniej słowa Malene o mały włos nie zabiły Iben, wszystko jedno, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie. Teraz siedzi u niej na kolanach i żadna z nich nie może przeciwko temu zaprotestować.

Iben z powodu złamanego nosa nie czuje zapachu przyjaciółki, lecz ma wrażenie, że Malene jest tak blisko, że może poczuć jej smak. Słodki, pełny, żelazisty smak krwi w ustach Iben miesza się z ciepłym ciężarem ciała Malene.

Iben poznaje to ciało, które obejmowała tyle razy, gdy się witały, kiedy działo się coś ważnego. Malene, która była jej najlepszą przyjaciółką w życiu. Malene, która być może wie więcej o mailach z pogrozkami i o śmierci Rasmusa, niż mówi. Malene, z którą razem umrze.

Czuje, że Malene szuka jej ręki, ona też podsuwa jej dłoń. Mimo tego wszystkiego, co zaszło między nimi, ciepła dłoń Malene chwyta palce Iben.

Szarpięcia samochodu przyciskają udo Gunnara do Iben. Ciche wibrowanie silnika przenika przez jego ciało. To Gunnar, który zaledwie przed kilkoma godzinami leżał w swoim łóżku z Malene. Gunnar, który wchodził w Malene, a jego szaroniebieskie oczy błędziły po jej pięknej twarzy.

Jadą przez most Knippelsbro nad kanałem portowym, teraz trzeba jeszcze tylko skręcić w lewo.

Žigić pyta:

- Po raz ostatni: Czy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych jest zapasowa kopia, czy jej nie ma?

Gunnar i Iben odpowiadają jednogłośnie:

- Jest.

- Okej. I zdajecie sobie sprawę z tego, co będzie, jeśli się okaże, że jej tam nie ma?

- Tak.

Wszystko na ulicach Kopenhagi wydaje się takie kruche, gdy jest przykryte cienką warstwą śniegu. Takie delikatne i cenne. Iben ma plecy przyjaciółki tak blisko twarzy, że w pewnym momencie Malene uderza ją w nos. Odczuwa to jak cios pięścią, a kawałeczki papierowego ręcznika w dziurkach muszą być całe przesiąknięte krwią, bo na jasnoniebieskiej bluzce Malene pojawia się nierówna czerwona plama.

Na tyle, na ile Iben jest w stanie się zorientować po drgającym ciele Malene, rozumie, że przyjaciółka płacze. Nic nie mówi.

Zatrzymują się na parkingu przed ministerstwem. Niemal wszystkie okna wielkiego budynku są ciemne, nie ma tu innego oświetlenia oprócz dwóch rzędów latarni, które rzucają słabe światło na pokryty śniegiem bruk.

Žigić pyta Iben:

- Jesteś gotowa iść ze mną?

- Tak.

Może w jej głosie zabrzmiał zbyt wielki zapal, bo Žigić zwraca się również do Gunnara:

- Ty też wiesz, gdzie leży ta kopia?

- Tak.

- Masz tu wstęp nocą?

- Mam.

- To dobrze. Wydajesz mi się bardziej zatroskany o swoje koleżanki niż ta suka. Pójdiesz ze mną. A jeśli cokolwiek będzie choćby odrobinę nie tak, to chyba wiesz, co to oznacza.

- Wiem.

- Staniesz się wtedy mordercą. Zabijesz swoje dwie młode kochanki. I będziesz tego żałował przez całą drogę do piekła.

- Tak.

A więc to nie Iben spróbuje zakłuć nożem Žigicia lub uciec mu gdzieś w korytarzach Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To będzie Gunnar. Nie jest uzbrojony, ale to potężny, silny mężczyzna.

Iben puszcza do Gunnara oko w chwili, gdy wysiada z samochodu. Nie może mu inaczej dać do zrozumienia, że ma czuć się naturalnie i robić, co zechce, bo kiedy tu wróci, Iben i Malene albo uciekną, albo nie będą już żyły.

Mężczyzna w kowbojskim ubraniu też wysiada z samochodu. Widzą, jak krąży niespokojnie wokół auta. Być może i jego również dopadł strach przed konsekwencjami tej akcji.

Malene przesuwa się na siedzenie koło Iben. Z przodu siedzi Nenad, wciąż odwrócony w ich stronę. Jego pistolet nie przypomina żadnej broni, jaką Iben dotychczas widziała. Jest dłuższy od innych pistoletów, a gdy się patrzy z przodu, wydaje się kwadratowy z dużym wybrzuszeniem przy spuście.

Nenad nie spuszcza z nich oka. Ale nie widzi wszystkiego. Sztylet Iben tkwi w jej majtkach w poprzek pośladków. Iben udaje, że musi się podrapać w tyłek i nagle trzyma nóż w lewej ręce, schowanej za siedzeniem kierowcy.

Malene go zauważa, twarz jej kamienieje, ale nic nie mówi.

Iben widzi tętnicę na szyi Nenada. Pulsuje spokojnie: Da-dum. Da-dum. Da-dum. To życie. Życie Nenada. Iben się w nią wpatruje. Da-dum. Nenada, który zna się na komputerach, Nenada, który pije kawę i je ciasteczka. Nenada, który z troską zajmuje się nosem Iben jak befsztykiem wołowym. Właśnie tam - właśnie w to pulsujące miejsce musi wbić sztylet.

Siedzi pochylona do przodu. Teraz za siedzeniem kierowcy ukryta jest również jej prawa ręka. Przekłada w nią nóż. Nogi już są gotowe do biegu.

Czeka na najlepszy moment. Może będzie jeszcze jakiś lepszy? Może nic lepszego nigdy nie nastąpi? Może kowboj wróci?

Ze zwitka papierowego tamponu w nosie krew skapuje jej na rękę.

Być może Nenad reaguje na przyspieszony oddech Malene albo na jej szeroko otwarte, przerażone oczy. Pochyla się nad nimi. Czyżby chciał sprawdzić, co Iben ukrywa?

To absolutnie nie jest najlepszy moment. Wszystkie inne były dużo lepsze. Ale on może zauważyć sztylet, to może być ta jedyna odpowiednia chwila.

Iben w ciemnym wnętrzu samochodu rzuca się w przód całym ciałem, trzymając sztylet w obu rękach. Wbija go tam, właśnie tam, w ten punkcik, w którym pulsuje życie. Jego krew tryska na Iben i na samochód. Nenad szeroko otwiera oczy, wykrzywia usta, ręce mu drżą, gdy na nią patrzy, w końcu traci z nią kontakt wzrokowy i osuwa się na siedzeniu.

Iben zabiera mu pistolet z kolan. Kowboj jest w odległości dziesięciu metrów, musiał coś usłyszeć, bo biegnie w ich stronę. Iben nie otwiera okna, strzela przez tylną szybę. Ledwie dotknęła spustu, a z pistoletu buchnęła cała salwa. To coś w rodzaju pistoletu maszynowego w miniwydaniu.

Malene jest trupio blada i zaraz zemdleje, Iben krzyczy:

- Wsiadaj! Wsiadaj!

A potem jeszcze:

- Uciekaj!

Malene puszcza się biegiem, a Iben przeszukuje jeszcze kieszenie Nenada. Nigdzie nie ma drugich kluczyków. W końcu też musi wysiąść z samochodu i uciekać.

Już po kilku krokach widzi, że Zigić i Gunnar wychodzą z rzęście oświetlonego głównego wejścia. Zigić na jej widok od razu wbija nóż w Gunnara, nie odwraca się nawet w jego stronę, chociaż Gunnar idzie obok. Załatwia go niepostrzeżenie, bekhendem, trafia prosto w pierś. Gunnar osuwa się na ziemię.

Malene dotarła już na drugą stronę czarnej wody, krótkiej odnogi kanału portowego, która wcina się między budynki Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Woła, że widzi zatrzymującą się taksówkę. Iben też zaczyna obiegać kanał.

Dostrzega jeszcze, że taksówka odjeżdża, chociaż Malene jak opętana wymachuje rękami, głośno krzycząc.

Zigić się zbliża, a one biegają teraz ku najgorszemu z możliwych miejsc: na puste, brukowane nabrzeże, na którym z jednej strony stoją ciemne magazyny portowe, a po drugiej stronie rozpościera się kanał, w którym woda jest czarna jak smoła i lodowata.

Gdzie jest jakiś zaułek? Jakaś kryjówka? Nic takiego tu nie ma. Iben pędzi dalej.

Zigić biegnie szybko, Iben strzela do niego, ale po kolejnej krótkiej salwie w jej magazynku już nic nie ma. Broń jest o wiele mniejsza od prawdziwych pistoletów maszynowych. Iben rzuca pistolet w śnieg, by nie utrudniał jej ucieczki.

A potem widzi jedyny oświetlony punkt pośród ciemności: w oddali kołysze się biała łódź mieszkalna, właśnie odbija od nabrzeża. Cumy już zdjęto, na pokładzie nie widać nikogo. Łódź odpływa, ale nieskończenie powoli. Muszą dostać się na jej pokład.

Iben wyprzedza Malene, Malene na pewno bołą schorowane stopy, ale Iben nie zwraca na to uwagi. Już za parę chwil Zigić znajdzie się tak blisko, że będą stracone.

Iben dobiega do miejsca, w którym cumowała łódź, odbija się i udaje jej się przeskoczyć na pokład. Teraz ma tylko ułamek sekundy, by wyciągnąć rękę i pomóc Malene przedostać się na łódź.

Jedynie przez moment ma przed oczami obraz Malene, jeszcze niedawno spoconej z Gunnarem w łóżku i w całym jego mieszkaniu.

Ten obraz jest nieprzyjemnie wyraźny, widzi twarz Malene, widzi wszystko.

Czy waha się przez sekundę, zanim wyciągnie rękę? Nie wie. Czy waha się dwie albo trzy sekundy? Nie wie. Może w ogóle się nie waha, może to tylko ten nocny obraz Malene z Gunnarem sprawia, że mniej się koncentruje?

W końcu odległość jest za duża. Malene zostaje. Krzyczy.

* * *

Iben stoi na oświetlonym reflektorami wąskim pokładzie przed białą ścianą ze stali. W tej ścianie są drzwi. Iben chwyta klamkę. Zamknięte na klucz.

I co teraz? Do diabła, co teraz? Łódź znajduje się w odległości zaledwie trzech metrów od nabrzeża, płynie wolno, niemal tak, jakby stała w miejscu.

Przebiega kilka kroków dalej, ale tam pokład jest zablokowany, nie może się przedostać. Biegnie w drugą stronę. To samo. Zaczyna walić w drzwi.

Ta łódź nie była wcale drogą do wolności i przeżycia. To pływająca klatka. Iben wspina się po drabince przyspawanej do białej ściany. Ale od pistoletu Żigicia dzieli ją zaledwie kilka metrów, a ona wisi pośrodku, oświetlona i doskonale widoczna jak ciemna plama na ogromnej kartce.

Wspina się i ogląda za siebie. Widzi, jak Zigić zatrzymuje się parę metrów za Malene. Unosi pistolet i celuje. Iben podciąga się wyżej, ale to trwa, drabinka ma wiele małych stopni, a tu na białej kartce nie ma się gdzie schować.

On jest tak blisko, że Iben widzi, jak zgina się jego palec. Już ją ma.

IBEN

MALENE

ANNE-LISE

CAMILLA

52

Iben przyjeżdża we właściwym czasie. Chodnik, na którym czeka, nie jest zbyt dobrze utrzymany. W ostrym, lecz wciąż zimnym słońcu widzi każdą szczelinę w dużych płytach. Wkrótce wyrosną między nimi chwasty, zanosi się na jeden z pierwszych w tym roku wiosennych dni.

Jedynymi osobami w pobliżu są rodzice Malene. Tak jak Iben, w milczeniu stoją na zniszczonym chodniku ze wzrokiem utkwionym w dół długiej jednokierunkowej ulicy. Wypatrują samochodów, które wkrótce powinny już zacząć się zjeżdżać.

Przez ostatnie pięć dni wieczorami Iben wielokrotnie rozmawiała z matką Malene. Wczoraj rodzice Malene przyjechali do Kopenhagi i gdy Iben spotkała się z nimi dziś rano, rzucili się sobie na szyję.

Czy jednak rodzice Malene o każdej porze dnia i nocy nie myślą, że to Iben mogła się znaleźć na miejscu ich córki? Ciekawe, czy nocą, nie śpiąc, nie powtarzają w myślach, że to powinna być Iben?

Tak bardzo chciałyby dać im całe wsparcie, na jakie tylko ją stać, lecz mimo to uściski były krótkie.

Sama przez ostatnie noce oglądała Animal Planet, jedząc lody z piankami i myśląc o tym, co zrobiła Malene. Na ekranie telewizyjnym pojawiały się i znikwały nosorożce i mrówki, leniwcę i ćmy. Iben przez całą noc zmieniała tylko pozycję i rozmyślała również o tym, co sama zrobiła.

Na drugim końcu ulicy pojawia się zielony samochód. Rodzice Malene machają, a gdy auto podjeżdża bliżej, Iben rozpoznaje ciotkę i wuja Malene wraz z trojgiem dzieci, które poznała kiedyś, gdy pojechała razem z Malene do jej rodzinnego domu w Kolding.

Iben zastanawia się także, czy nie powinna znów zacząć chodzić na terapię. Ale, w czym miałyby to jej teraz pomóc?

Ciotka Malene parkuje swoje combi po drugiej stronie ulicy. Jej dzieci już zdążyły wysiąść. Na ulicy pojawiają się kolejne samochody, Iben dostrzega też trzy rowery.

Musi wreszcie przestać tak się bać samochodów, jak w ostatnich miesiącach. Zigić nie może już jej nic zrobić, wyskakując z któregoś z nich, bo po strzelaninie przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych nie wiadomo, kiedy zaroilo się od radiowozów. Policjanci zatrzymali go bez problemów, gdy stał na nabrzeżu z opróżnionym magazynkiem, otoczony z kilku stron wodami kanału.

Trudniejsze okazało się znalezienie twardego dysku Rasmusa, zawierającego nazwisko nadawcy maili z pogrózkami i listę członków organizacji Žigicia. Policja przeszukała jego kieszenie, samochód, korytarze ministerstwa, kosze na papiery i kontenery na śmieci, w ogóle szukała wszędzie, gdzie mógł go wyrzucić. Nurkowie wielokrotnie przeczesywali dno kanału.

Dysku nie znaleziono. Ale Serb w kowbojskim ubraniu przeżył strzał Iben i naprowadził serbską policję na ślad komputera Žigicia w Belgradzie. Ten komputer zawierał te same dane, więc w następnych dniach bardzo szybko udało się wytropić niemal całą organizację.

Ciotka Malene podchodzi do jej rodziców, obejmują się i rozmawiają przyciszonymi głosami. Potem ciotka zbliża się do Iben:

- Tobie też musi być ciężko.
- Tak.
- Musisz chyba odczuwać wielką wdzięczność.
- Rzeczywiście.

Podchodzi również wuj, a nieco później także inni członkowie rodziny Malene. Co oni mogą wyczytać z jej twarzy? Co myślą?

Z taksówki wysiada Frederik. Prędko kieruje się w stronę Iben, ale potyka się o krawężnik i musi parę kroków podbiec, żeby nie upaść.

Przyjaciele Malene ze studiów na uniwersytecie w Roskilde, z akademika, z Instytutu Praw Człowieka, kolejni wujowie i ciotki, cioteczne rodzeństwo z Jutlandii. Rodzice i rodzina Rasmusa. Camilla, Anne-Lise, Paul i wiele osób z zarządu. Podają ręce i ściszymi głosami mówią coś do rodziców Malene. Rozmawiają też z tymi, których znają. Niektórzy już płaczą, większość od razu wchodzi do środka, inni jeszcze zostają na zewnątrz.

Bus do transportu inwalidów parkuje bliżej niż wszystkie inne samochody. Dwie kobiety na wózkach inwalidzkich zostają opuszczone na chodnik. Iben nigdy ich nie spotkała. Malene musiała je poznać w Stowarzyszeniu Młodych z Gośćcem Postępującym.

Wreszcie dostrzega Gunnara. Również on przyjeżdża taksówką. Gdy wysiada, Iben widzi, że jest w czarnym garniturze, najwyraźniej nowym i drogim. Za bardzo jednak się spieszył, by przygładzić włosy, albo o tym zapomniał. Oczy ma przekrwione i bardzo zapuchnięte, co całkiem zmienia jego twarz.

Iben wychodzi mu na spotkanie, obejmuje go i przedstawia rodzicom Malene, z którymi, jak wie, Gunnar bardzo chciał porozmawiać.

Ojciec Malene, z wypiętym brzuchem na cienkich nogach, od siedzącej pracy w firmie ubezpieczeniowej, mówi uprzejmie, silnym jutlandzkim dialektem, że cieszy się, iż może poznać partnera córki. Parę razy głośno szlocha. Mężczyźni obejmują się ruchem tak szybkim, że ich przedramiona niemal się zderzają. Zaraz potem odsuwają się od siebie, a chwilę później Iben już

wchodzi do środka razem z Gunnarem, którego w ostatnich dniach odwiedzała w szpitalu i często się z nim widywała.

Nie wie, jakie pieśni wybrała matka Malene. Wszystkie rozbrzmiewają w jej głowie naraz.

* * *

- Dobrze wiem, że to, co się zdarzyło na nabrzeżu, to był wyjątek. Przeżyłam dzięki czemuś, co nie miało prawa się stać. Przecież instynkt kazał jej się ratować. Niewiarygodne, że to zrobiła. To sprzeczne z naturą.

Dzień po pogrzebie Iben siedzi wśród regałów w małej sali konferencyjnej DCIL, a jedyną oprócz niej osobą w tym pokoju jest Dorte Jorgensen - nieco pulchna policjantka, która rozmawiała z Iben także po śmierci Rasmusa.

Dorte Jorgensen niewiele się odzywa. Marszcząc czoło, zamyka drzwi i jeszcze za nie szarpie, by się upewnić, czy są dobrze zamknięte.

Iben ma być teraz przesłuchana. Nie daje się jednak wciągnąć w napiętą atmosferę, którą próbuje stworzyć policjantka.

- To był cud - mówi dalej. - Jest tyle praw natury określających ludzkie zachowania. A właśnie w tej jednej chwili zdarzył się ten wyjątek. Wyłącznie dzięki temu wyjątkowi żyję. Z takim samym prawdopodobieństwem jabłka, które spadły na ziemię, mogły pofrunąć z powrotem na drzewo, nowotwory zniknąć same z siebie, a z jakiejś figury Jezusa mogła pociec krew.

Dorte nie odpowiada. Siada i pyta:

- Jak sądzisz, w jaki sposób zniknął twardego dysku, który Zigić wyjął z komputera Rasmusa?

- Zigić pewnie go wyrzucił gdzieś koło ministerstwa.

- Ale przecież na tym dysku były dane jego organizacji, przeszukaliśmy wszystko. Posłaliśmy nawet nurków do kanału. Bez względu na to, jak się staramy, w żaden sposób nie możemy go odnaleźć.

- No, to nie wiem.

Dorte zaczyna jednak naciskać. Mówi wolno, wpatrując się w Iben:

- Przecież ten twardego dysk zawierał zarówno dane Žigicia, jak i nazwisko tej osoby z Danii, która wysłała maile z pogroźkami. Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Nie.

- To przecież oczywiste. Ten dysk mógł leżeć w kieszeni człowieka, którego zabiłaś w samochodzie. Mogłaś go zabrać, zanim wybiegłaś na nabrzeże. W takich okolicznościach nikt cię nie sprawdzał.

- No tak, ale przecież nie miałam powodu...

- I to jest właśnie pytanie.

- Nie rozumiem?

- Jeśli plik w komputerze Rasmusa był dowodem na to, że to ty wysłałaś te maile, a on powiedział ci o tym, kiedy przysłałaś mu pomoc w przeprowadzce...

- No dobrze, ale dlaczego miałabym wysyłać...

- Właśnie, dlaczego?

- Nie miałam żadnych powodów.

Od matki Malene Iben dowiedziała się, że policja opieczętowała mieszkanie Malene i rodzina nie może tam wejść i uporządkować rzeczy. Pojawienie się Żigicia w Danii zmusiło policję do ponownego zajęcia się śmiercią Rasmusa, tym razem z założeniem, że było to prawdopodobnie morderstwo.

Dorte celowo robi zbyt długą przerwę, nim wreszcie mówi:

- A więc pomyliłam się, sądząc na posterunku, że coś cię łączy z Gunnarem?

- O co ci chodzi?

Iben zdaje sobie sprawę z tego, że Dorte czyta w jej twarzy. Przez bandaż drapie się po zoperowanym nosie. Dorte przytrzymuje ją ciężkim głosem i nieruchomym ciałem.

- Jeżeli już przed wysłaniem maili kochałaś się w mężczyźnie, który zapowiadał się na kochanka Malene, to chyba może budzić pewne wątpliwości.

Iben się nie odzywa. Czuje, że musi zaczerpnąć powietrza głęboko, aż do brzucha. A Dorte ciągnie:

- Może wyparłaś z pamięci to, że wysłałaś maile, może nie. Ale Rasmus za pomocą swojego programu szpiegowskiego odkrył, co zrobiłaś, i powiedział ci o tym.

Czy innym przesłuchiwanym osobom Dorte stawia równie szalone zarzuty? Taka musi być jej metoda, bada, czy czegoś przypadkiem nie znajdzie.

Iben bardzo się stara, by w jej głosie nie było słyhać napięcia.

- Ależ to nie ma sensu. Miło nam się rozmawiało z Rasmusem przy tej przeprowadzce. Pomogłam mu znieść trochę rzeczy. Nie mógł, więc kilka minut wcześniej oskarżyć mnie o wysłanie maili z pogrózkami.

Dorte wciąż nie odrywa oczu od Iben.

- Mogłaś mu powiedzieć, że twój laptop stał w biurze i Anne-Lise miała do niego dostęp. Wtedy by się uspokoił. Przecież przez cały czas uważaliście, że to Anne-Lise je wysłała.

Iben nie wie teraz, co powiedzieć, a Dorte kładzie ręce na blacie.

- Lecz jeśli Anne-Lise nie miała dostępu do twojego komputera w czasie wysyłania maili, to oczywiście ujawniono by to już następnego dnia. Straciłabyś pracę i straciłabyś przyjaciółkę. I nie miałabyś też nadziei na jakikolwiek związek ze wspólnym przyjacielem twoim i Malene.

To nie do pojęcia. Ale tu, w znajomej sali DCIL, gdzie tyle razy jadły lunch, siedzi Dorte Jorgensen i z całkowitym spokojem zarzuca Iben zamordowanie narzeczonego najlepszej przyjaciółki! Niemożliwe, by oskarżała o to również innych, których tu przesłuchuje.

Iben ma ochotę objąć się ramionami i wrzeszczeć, że to chore. Wie jednak, że musi wziąć się w garść. Przejycia ostatnich tygodni postawiły wszystko na głowie i Iben ma uczucie, że Dorte się nie myli.

Szczypie się w udo, by wrócić do rzeczywistości, by móc się skoncentrować.

Jak to było? Czy ja wylałam olej na schodach koło jedynego okna bez barierki? Czy zrezygnowałam z ostrzeżenia Rasmusa? Czy dzięki temu, że on umarł, uratowałam się od ujawnienia, od zwolnienia z pracy i od utraty wszystkich szans u Gunnara?

Czy mam się teraz zgłosić? Przyznać, że to zrobiłam i pogodzić z długą karą więzienia?

Znów powraca fantazja, która często ją nawiedza od czasu, gdy po raz pierwszy spotkała Gunnara. Ona stoi w kuchni w jego mieszkaniu i szykuje rozmaite przekąski, a on podchodzi, staje za jej plecami i ją obejmuje. A z salonu przybiegają do nich jego córki.

W dalszej części przesłuchania Iben jest jak odmieniona. Wynurza się na powierzchnię dopiero wtedy, gdy Dorte otwiera drzwi i między długimi regałami wychodzi na korytarz centrum.

Pomimo strasznego bólu głowy Iben liczy, że sobie poradziła. W każdym razie nie została zatrzymana, jej zeznania musiały trzymać się kupy, bo w chwili, gdy Iben również wstaje i wychodzi na korytarz, Dorte mówi:

- Tak, Iben, przyjrzymy się temu. To dobry pomysł. Matka Malene też mówiła, że Malene pisała listy do Rasmusa już po jego śmierci. Te listy także musimy zbadać.

53

Mijałam dziś na chodniku starsze małżeństwo. Kobieta wolno wiozła mężczyznę na wózku. Rozmawiali, a gdy obok nich przechodziłam, kobieta wybuchnęła śmiechem. Kawalek dalej odwróciłam się i zobaczyłam, że jedno przez drugie opowiadają sobie jakąś historię. Oboje wciąż się śmiali. I wtedy przyszła mi do głowy Iben.

Rasmusie, byłeś taki kochany i pomagałeś mi, kiedy to było konieczne. Ale zawsze miałam wrażenie, że jestem dla Ciebie obciążeniem. Z Iben tak nie było.

Kiedy sama nie mogłam nic zrobić i trzeba było mnie wręcz znosić ze schodów, żebym dostała się do szpitala, Iben nie budziła we mnie uczucia, że się poświęca. Nie czułam, że jestem problemem, kiedy robiła mi zakupy, kiedy pomagała mi się ubierać. Rok po roku miała ze mną do czynienia więcej nawet niż Ty, a jednocześnie tak nam było wesoło. Śmiałyśmy się.

Dobrze wiem, że nienawidzę jej za to wszystko, co mi zrobiła w ostatnich miesiącach. Ale takiej przyjaciółki nie będę miała już nigdy. Była prawdziwym wyjątkiem.

* * *

Pamiętam raz, jak byłam w salonie, a Ty w kuchni. Dobiegł stamtąd jakiś hałas.

W pierwszej chwili przez moment poczułam radość: On coś upuścił, pomyślałam. Może spadło mu coś na nogi? I dodałam jeszcze w myślach: wyjątkowo to on jest niezgrabny.

Krótką nadzieją na to, że odniosłeś również fizyczne obrażenia. Krótka radość. Ha! On będzie inwalidą przede mną!

Niemal od razu przyszło zatroskanie: Byle tylko nic mu się nie stało! Byle tylko nic mu nie spadło na nogi.

Nie zdążyłam jeszcze pomyśleć tego do końca, gdy już wołałam:

„Boże, Rasmus, coś Ci upadło? Uderzyłeś się?”

Ty oczywiście nie zauważyłeś, co się we mnie działo. Wstałam, a tamto pierwsze uczucie trwało tak krótko, że prawie nie wiedziałam, czy na pewno go doświadczyłam.

To agresja. Rozszczepienie. Odrobina Dissociative Identity Disorder.

* * *

Rasmusie, tak mi przykro z powodu tego, co wydarzyło się na schodach. Nie wiem, co mnie opętało. Ty jedyny wiesz, jak bardzo tego żałuję. Ty jedyny możesz to zrozumieć.

Chciałabym wiedzieć, ile Iben słyszała. Wiesz, że nie zamierzałam Cię wypchnąć. Nie mam pojęcia, dlaczego wpadłam w taką wściekłość, gdy upierałeś się, że Twój program szpiegowski pokazał, że to ja wysłałam te maile. Nikt nie może bardziej niż ja żałować, że Cię popchnęłam. Czyżbym była aż tak rozszczępiona? Myślisz, że moje rozszczępienie jest poważniejsze niż u wszystkich? Myślisz, że jestem chora, Rasmusie?

Są dla niej teraz takie miłe. Rozmawiają z nią, śmieją się razem z nią. Zmiana jest tak całkowita, że Anne-Lise z wielkim trudem jest w stanie wierzyć własnej pamięci.

Paul również jest inny niż zazwyczaj, więcej czasu spędza w centrum i nagle uważa połączenie DCIL i IPC za najzupełniej naturalne. Nie chce dłużej walczyć o zachowanie samodzielności centrum.

Anne-Lise go nie rozumie. Jeszcze nie tak dawno robił, co mógł, żeby usunąć Frederika z zarządu i dzięki temu utrzymać samodzielność centrum. Ale może to męska sprawa. Może chodzi o to, że w każdej instytucji jest miejsce tylko dla jednego mężczyzny w tym typie?

Dzień po śmierci Malene centrum było zamknięte. A kiedy wszyscy już wrócili, Iben położyła na biurku Malene czerwoną różę. Tak samo zrobiła następnego dnia i następnego. Malene stała się dla niej jakby święta. Podobnie jej biurko i krzesło.

Użytkownikom, którzy przyszedli skorzystać z biblioteki, Iben wygłaszała długie wykłady o tym, jak zdołała przeżyć w wyniku „psychologicznego cudu”. Paul wielokrotnie powtarzał, że może pobyć w domu, jeśli tego potrzebuje, lecz Iben albo nie rozumiała jego aluzji, albo też po prostu chciała być w pracy.

Codziennie nowe osoby dzwoniły z kondolencjami. Chciały również poznać szczegóły tego, co się wydarzyło. Czasami Iben nie mogła już dłużej wytrzymać, wtedy słuchawkę przejmowała Anne-Lise:

- Iben wchodziła po drabinie na łódź mieszkalną, dlatego nie widziała, co się stało. Ale w starych magazynach portowych jest wiele mieszkań i ludzie, usłyszawszy, jak Iben strzela, podbiegli do okien. I Zigić, i wielu innych świadków zeznało, że Zigić wymierzył pistoletem w Iben, która wisiała na białej ścianie statku. Nagle Malene coś krzyknęła i rzuciła się przed lufę, dzięki temu Iben zdążyła wspiąć się na dach. Był ze stali, dlatego zdołała się tam ukryć.

W każdej rozmowie dziwiono się, że Malene mogła coś takiego zrobić. Zadawano pytania, a Anne-Lise dodawała kolejne szczegóły.

- Tak, to bardzo niezwykle. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak się zachował... No tak, z Iben w Nairobi było trochę inaczej. Sama mówiła, że kiedy wracała do samochodu z zakładnikami, nie miała pojęcia, że czymkolwiek ryzykuje. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by policja kenijska mogła trzymać stronę porywaczy.

Anne-Lise nie czuje żalu po śmierci Malene, lecz podczas wielu rozmów telefonicznych musi grać w tę grę.

- Tak, to prawda. Malene była wyjątkowa... Tak, jesteśmy dumne, że z nią pracowałyśmy... Nie, żadna z nas nie przypuszczała, że ona ma w sobie również taką cechę.

Kilka dni po pogrzebie Iben zawiesiła na tablicy duży portret Malene. Od tej pory przestała już kłaść różę na jej biurku i zaproponowała, by razem z Anne-Lise przenieśli swoje stanowiska pracy z biblioteki do Ogrodu Zimowego.

Anne-Lise czuje się niepewnie, że tak szybko po śmierci Malene zajmuje jej miejsce, lecz Iben zapewnia, że dla niej to jak najbardziej w porządku.

Pozostali też uważają, że tak będzie dobrze. Przenieśli, więc papiery Malene na regał za plecami Iben.

Iben przejmuje część obowiązków Malene do czasu zatrudnienia nowej osoby na stanowisku koordynatora projektu. Plastikowego trolla, który stał u Malene na biurku, również przenieśli, a Anne-Lise prawie w tym samym miejscu postawiła zdjęcie Henrika z dziećmi. Teraz siedzi w Ogrodzie Zimowym naprzeciwko Iben.

Z czasem podczas przerw na lunch zaczynają poruszać również inne tematy niż Malene. Kontynuują pracę nad numerem o Turcji, rozmawiają przez biurka, tak jak Anne-Lise marzyła. Wszystko jest tak, jak sobie wyobrażała, gdy blisko półtora roku temu składała wypowiedzenie w Bibliotece Miejskiej w Lyngby.

Jedyny problem z DCIL, jaki został Anne-Lise, tkwi w niej samej.

One się uśmiechają tak, jakby nigdy nie próbowały doprowadzić mnie do załamania nerwowego - myśli. - I same sobie też tak będą wmawiać. Tak jest łatwiej. Będzie łatwiej nam wszystkim, jeśli zdołam zapomnieć, że te osoby, z którymi teraz tak miło spędzam czas, jeszcze niedawno usiłowały mnie zniszczyć. Zależało im na wygryzieniu mnie z pracy i zrobieniu ze mnie psychicznej inwalidki. Po prostu zaczęły to robić. Czy zdołam im kiedykolwiek wybaczyć? Czy zdołam kiedykolwiek podchodzić do ludzi z takim zaufaniem, jakie miałam jeszcze rok temu?

* * *

Wieczorem pozwala sobie wyjść z Henrikiem na degustację wina w jego Klubie Konesera.

- Teraz już koniec z tym! Pójdiesz ze mną! - mówi Henrik i całuje ją. Biega po sypialni, bo ma zaledwie kilka minut na przebranie się z garnituru i krawata w bardziej sportowy strój, który zwykle wkłada, idąc do klubu. - Teraz znów jesteś Anne-Lise.

Wieczorna degustacja odbywa się w dużym sklepie winiarskim na Osterbro. Lokal pełen jest mężczyzn w dobrych humorach, pochłoniętych ożywioną rozmową. Niektórzy przyszli tu prosto z pracy, więc są w garniturach, inni zdążyli pojechać do domu i coś zjeść, tak jak Henrik. Wielu zjawilo się w towarzystwie żon.

Klub założyło kilku dawnych przyjaciół Henrika ze studiów. Większość kolegów z tego okresu wpisała się na listę mailingową wyłącznie, dlatego, że odbywające się trzy razy do roku degustacje są łatwym sposobem utrzymania kontaktu, więc Anne-Lise i Henrik zwykle spotykają tu mnóstwo starych znajomych.

Gdy tylko wchodzi, do Anne-Lise podbiega Nicola.

- Cudownie, że będziesz u Jurty i Stiga! I bardzo dziękujemy za zaproszenie do was. Tak się cieszę, że znów jesteś tą dawną Anne-Lise!

Anne-Lise rozmawia z Nicolą, która, jak wie, jest tu również wyłącznie z uwagi na męża. Znów zaczęły się częściej spotykać. Do kieliszków na długim, ustawionym na środku stole trafia pierwsze wybrane na ten wieczór wino i właściciel sklepu wygłasza krótki wykład.

Przy następnych kieliszkach inne osoby witają się serdecznie z Anne-Lise. Ludzie musieli mówić o niej więcej, niż sądziła.

Czuje się tak, jakby wróciła ze szpitala po zagrażającej życiu chorobie.

W pewnym momencie trudno jej to wszystko znieść. Podchodzi do Henrika i skinieniem głowy wskazuje na wąski korytarzyk między dwiema ścianami skrzynek z butelkami.

Razem wchodzi w labirynt skrzynek. Każde trzyma napełniony w trzech czwartych kieliszek z czerwonym winem.

W odległym kącie magazynu sklepowego, tam, gdzie korytarzyk załamuje się w taki sam sposób, jak na tyłach zbiorów wschodnioeuropejskich DCIL, Anne-Lise mówi:

- Bardzo możliwe, że nikt tego nie widzi, ale to nieprawda, co wszyscy powtarzają. Wcale nie jestem dawną Anne-Lise.

Henrik, przerażony, robi krok do tyłu, głową uderza w wystającą skrzynkę za plecami. Najwyraźniej Anne-Lise powiedziała to z większą złością, niż zamierzała. Próbuje się uspokoić, lecz słowa się z niej wylewają:

- Będę się starała być porządnym człowiekiem, ale teraz jestem pełna nienawiści.

- Ależ, Anne-Lise...

- W głowie mam obrzydliwe fantazje, o których wy nie wiecie. One nie chcą odejść! Sama tego nie mogę już wytrzymać! Już nigdy nie będę sobą.

Anne-Lise osuwa się na nieduże drewniane krzeselko. Zaciska usta.

Henrik wzdycha. Przyciąga do niej skrzynkę z butelkami, siada na niej i obejmuje żonę. Anne-Lise nie ma już siły więcej płakać nad tym strasznym centrum, ale od płynu po goleniu Henrika kręci ją w nosie.

- Oczywiście, że znów będziesz sobą - mówi Henrik. - Oczywiście. Potrzeba tylko trochę czasu.

- Nie. Iben ma rację. To inni mnie tworzą. Nie robię tego sama. Wszyscy możemy stać się mordercami, katami i zbrodniarzami wojennymi.

Henrik mocniej ściska ją za ramię.

- Co takiego?

- Gdybym sama mogła decydować, nie chciałabym, do jasnej cholery, być taka, jaka jestem. A Iben twierdzi, że nie mogę. To inni ludzie decydują o tym, kim jesteśmy.

Henrik puszcza Anne-Lise. Przysuwa się ze swoją skrzynką tak blisko, że może wziąć w dłonie twarz żony i popatrzeć jej prosto w oczy.

- Możesz mi to wytłumaczyć powoli i w taki sposób, żebym zrozumiał?

Anne-Lise najbardziej ze wszystkiego ma ochotę cisnąć swoim kieliszkiem o podłogę. Opanowuje się jednak.

- Iben ogląda w telewizji mnóstwo filmów o zwierzętach i uważa, że ludzie są jak zwierzęta. Że istnieją pewne podstawowe wzorce naszego zachowania. Tych wzorców nie jesteśmy w stanie przełamać. To coś w rodzaju psychologicznego prawa natury. Ona dużo czytała o biologii rozwoju, psychologii społecznej i badaniach nad psychiką zbrodniarzy. Napisała też dwa artykuły na temat zła, Psychologia zła I i II. Ale ja przez cały czas nienawidziłam tych artykułów i wszystkiego, co ona opisuje. Jej sposób postrzegania świata jest taki czarny. Słyszałam, jak mówi: „Im więcej o tym czytam, tym większej nabieram pewności, że wszyscy działalibyśmy jak oprawcy, gdybyśmy znaleźli się na ich miejscu”.

- Co na to inni?

- Nikt w DCIL się jej nie sprzeciwia. A teraz i ja widzę, że ona ma rację.

- Wcale nie!

Anne-Lise nie może głośno szlochać teraz, gdy przyjaciele są tak blisko, stara się, więc mówić jak najciszej:

- Ja nie chciałam być taka. To Malene i Iben mnie taką zrobiły. Stałam się zła. Tak jak mówi Iben, nigdy nie zdołam sama się z tego wyrwać. Czuję, że mogłabym kogoś zabić. Mogłabym zostać morderczynią.

Gdy Anne-Lise patrzy na twarz Henrika, ma wrażenie, że on myśli: „Ach nie, czy to się nigdy nie skończy?” Nie pierwszy raz ma wrażenie, że gasi w nim jakiś żar. A przecież on tak zasługuje na radość.

Henrik mówi tylko:

- Nie jesteś zła.

- Ale nie czułam nic, kiedy Malene odstrzelono pół głowy. Jeśli o mnie chodzi, to pozostałe też mogłyby umrzeć. A przecież pracuję z nimi, na co dzień. To chyba nie jest dawna Anne-Lise, prawda?

* * *

W drodze z degustacji do domu to Anne-Lise prowadzi duży granatowy samochód Henrika. Henrik prosi, żeby zaparkowała kawałek przed domem jej rodziców. Muszą odebrać dzieci, którymi zajmowała się jej matka, lecz Henrik proponuje, żeby jeszcze chwilę poczekać.

Henrik jest tak wysoki, że czubkiem głowy niemal dotyka sufitu w samochodzie. Odwraca się do niej i mówi:

- Zastanawiałem się nad tym. Spójrz na Malene. Ona była z nich najgorsza, ale zrobiła coś, czego Iben przez tysiąc lat nie zdoła wyjaśnić swoimi teoriami. Poświęcenie życia dla kogoś innego niż własne dzieci. Jak Iben to wytłumaczy? Nie potrafi. Skoro Malene mogła zrobić coś takiego, to znaczy, że w nas wszystkich jest jakieś nieprzewidywalne dobro. Również w tobie. I we mnie. To pocieszające, prawda? Malene udowodniła, że można podważyć wszystko, co mówi

Iben i jej naukowcy. Dowiodła, że Iben się myli.

Milczą. Anne-Lise opiera głowę na ramieniu Henrika, a on wyciąga rękę i ją obejmuje.

* * *

Tydzień po przesłuchaniach odbywających się w centrum w związku ze śmiercią Rasmusa Camilla zmusza Iben, by zadzwoniła na policję i spytała, jak posuwa się śledztwo. Rozmowy z Dorte Jorgensen bardzo denerwowały Camille i koniecznie chce się dowiedzieć, jak się sprawy mają.

Kiedy Iben odkłada słuchawkę, trzęsie jej się ręka.

- Dorte Jorgensen powiedziała, że śledztwo zostało umorzone.

Malene na swoim domowym komputerze napisała, że cierpi na rozszczepienie osobowości. Przyznała się do zabicia Rasmusa.

Całe biuro zamiera. To wprost niewiarygodne. To kompletnie zmienia obraz Malene. Dzwonią jeszcze raz, by się upewnić, że Iben się nie przesłyszała. Tym razem to Anne-Lise telefonuje.

Iben jest zszokowana, tak jak one wszystkie. Każda szuka urywków wspomnień i obserwacji, które wykorzystywały do złożenia całości obrazu Malene. Teraz tym wspomnieniom przypisują nowe znaczenia, muszą je wszystkie inaczej zestawić.

Więści o Malene roznoszą się szybko w całym środowisku. Użytkownicy znów dzwonią, by się dowiedzieć, co się dzieje, i jeszcze tego samego dnia po południu Anne-Lise ponad biurkiem słyszy, jak Iben tłumaczy komuś przez telefon:

-Oczywiście jestem głęboko wdzięczna Malene. Głęboko. Ale trochę mnie też to dziwiło. Coś mi się tu nie zgadzało. Teraz wiemy, że dręczyło ją poczucie winy z powodu zabójstwa Rasmusa. Wiemy też, że musiała być chora psychicznie. To wiele wyjaśnia.

Iben przez chwilę słucha głosu w słuchawce, a potem mówi:

- No właśnie. Jej czyn nie był przejawem wolnej woli zdrowego człowieka. Jej ofiara nie podważa, więc teorii, które opisywaliśmy w „Informatorze o Zbrodniach Ludobójstwa”.

55

Paul wpada do centrum uradowany. Ledwie staje w drzwiach, a już woła:

- Muszę wam coś powiedzieć!

- Co?

- Ależ ulga! Obiecałem, że nie powiem o niczym, dopóki nie zostanie to podane do wiadomości publicznej. Ale to nastąpi dzisiaj: Morten Kjaerum przyjął stanowisko w ONZ, w Nowym Jorku, więc stanowisko dyrektora IPC będzie wolne już od maja!

- I ty je obejmiesz? - pyta Iben.

- O tym na razie trudno cokolwiek powiedzieć.

- Ale ty się bardzo cieszysz?

Paul wieszka swój płaszcz na oparciu jednego krzesła, a sam siada tyłem do przodu na drugim.

- Najpoważniejszymi kandydatami będziemy, szczerze mówiąc, Frederik i ja. A ja jestem szefem tutaj i członkiem zarządu Centrum Demokracji. Do tego dochodzi jeszcze i to, że DCIL wykazywało dużo większą aktywność w organizowaniu konferencji i innych skierowanych na zewnątrz działań niż Frederik i jego Centrum Demokracji. Nie uczestniczył na przykład w tamtej naprawdę bardzo udanej konferencji w Louisianie na temat Jugosławii. Poza tym nie ma go już w zarządzie DCIL. Całkiem zwyczajnie utracił dawną pozycję.

- Od jak dawna to wiesz? - pyta Anne-Lise.

- Od dwóch tygodni.

Iben, Anne-Lise i Camilla wymieniają spojrzenia. Tajemnicze zachowania Paula układają się wreszcie w logiczną całość.

Iben i Anne-Lise udają, że cieszą się w imieniu Paula, lecz Camilla orientuje się, że to również będzie z korzyścią dla nich. Nie potrwa, bowiem długo, a Paul wciągnie DCIL pod swój zarząd. Oba centra się połączą.

Iben będzie miała w IPC innych intelektualistów, z którymi będzie mogła dyskutować, a Anne-Lise nawiąże współpracę z innymi bibliotekarzami. Chociaż pozornie tak się świetnie rozumieją, przez cały dzień gadają, Camilla przypuszcza, że Anne-Lise za wszelką cenę będzie się starała mieć innych kolegów. Jej marzenie się teraz spełni, nie będzie musiała nawet zmieniać pracy.

Jedyną osobą, która ma powody do zmartwienia, jest Camilla. Wie, że przy takim połączeniu kierownictwo zawsze stara się zredukować liczbę sekretarek.

* * *

Tego dnia po południu Iben już o trzeciej zaczyna zbierać swoje rzeczy. Wydaje się ostatnio taka radosna, mówiła, że zaczęła się częściej widywać z Gunnarem Hartvigiem Nielsenem. Przestała też przesiadywać w biurze do późna.

Jej spakowana torebka leży już na biurku, gdy zjawia się niechlujny Erik Prins. Staje jak zwykle, by pogawędzić przy biurku Iben i Malene. Zaczyna dyskutować o przeczytanej książce i to przywodzi mu na myśl artykuły Iben.

- Ludzie dziwią się, że szefowie obozów koncentracyjnych po godzinach pracy z taką łatwością stawali się miłymi ojcami rodzin - mówi swoim łamiącym się głosem. - Ale czemu tu się dziwić? Przecież właśnie tacy jesteśmy.

Iben kiwa głową i przyznaje mu całkowitą rację. Najwyraźniej już tak bardzo jej się nie spieszy. Później w trakcie rozmowy mówi:

- Używamy wielkich słów i idealizujemy, ale to tylko racjonalizacja naszego egoizmu. Okłamujemy nie tylko innych, lecz także siebie. Wszyscy żyjemy w gabinecie luster, zbudowanym z naszego własnego instynktownego przekonania, że jesteśmy jedynymi sprawiedliwymi. I nie ma żadnego sposobu, by tego uniknąć.

Iben i Erik Prins nadają na tych samych falach, lecz Camilla widzi, że Anne-Lise nie może tego słuchać. Ona sama też nie jest w stanie tego wytrzymać.

Jeszcze kilka dni temu Camilla rozszłościłaby się i prawie krzyczała: „Spójrzcie na Malene! Każdy może uczynić wyjątek od twoich teorii. Inaczej nie byłoby, po co żyć”.

Teraz Camilla to przemilcza. Nie byłoby już żadnym argumentem powiedzenie: „Spójrzcie na Malene”. Jeśli jest się morderczynią dręczoną poczuciem winy i osobą chorą psychicznie, to można się zachowywać wyjątkowo.

Anne-Lise wygląda na jeszcze bardziej sfrustrowaną tą rozmową niż Camilla. W pół słowa podrywa się i wychodzi do toalety. Tak jak wtedy, gdy nie mogła znaleźć równowagi.

* * *

Po drodze do domu Camilla odbiera Dennisa ze świetlicy i razem zaglądną do Aldiego.

Gdy parkują pod domem, widzi, że nie ma jeszcze samochodu Finna. Niedługo powinien przyjechać. Camilla stawia torby z zakupami na podłodze w kuchni, ale słyszy, że w salonie dzwoni telefon. Biegnie go odebrać. W słuchawce męski głos odzywa się po angielsku:

- Hello, Camilla.

Natychmiast go rozpoznaje i czuje, jak skóra ściąga jej się na karku i na plecach. On może dzwonić z komórki gdzieś w pobliżu! Nie wiadomo, czy nie stoi gdzieś za drzwiami. Wszystko może mu przyjść do głowy, może wejść do jej domu nawet, jeśli Finn tu będzie.

Koncentruje się na tym, by syn nie wyczuł jej strachu. Zakrywa słuchawkę dłonią i mówi:

- Dennis, możesz iść do naszej sypialni i pograć na komputerze ojca w Counterstrike.

Dennis woła „Hurra” i wbiega na górę po schodach. Rzadko pozwalają mu grać w te najbardziej pełne przemocy gry komputerowe.

Po wyjściu Dennisa z salonu pyta po angielsku:

- Czego chcesz?

Ale i tak wie, czego on chce. Chce tego samego, co zawsze, gdy dzwoni, będąc przejazdem w Danii.

Być może Dennis nie zdążył jeszcze włączyć swojej hałaśliwej gry, lecz ona i tak krzyczy:

- Nienawidzę cię! Tego, co zrobiłeś ze sobą... Twoje nazwisko było w książce adresowej Żigicia! Opisano też wszystkie rzeczy, jakie dla niego zrobiłeś w ostatnich latach.

On wydaje tylko odgłos, jakby go to bawiło. Ją jeszcze bardziej to złości, ale z powodu Dennisa musi nad sobą panować. Mówi wolno, z całym spokojem, na jaki ją stać:

- Pamiętaj, że ja cię znam, Dragan. Wiem, że nie musisz być taki. Wiem, że to nie jest konieczne.

- Wiesz też, że mogę wejść do twojego domu, kiedy tylko zechcę. Albo do twojego biura. Mógłbym teraz stać u ciebie w sypialni.

Camilla wolno wciąga powietrze i stara się mówić tak chłodno, jak tylko potrafi:

- Myślisz, że mnie podniecasz, mówiąc takie rzeczy? Ale powiem ci, że wcale tak nie jest. Uważam cię za nieszczęśnika. W dodatku lepkiego i złośliwego.

Dennis wraca do salonu.

- Z kim rozmawiasz, mamó?

- Z nikim, skarbie.

- Przecież z kimś rozmawiasz.

- To prawda. Nie mógłbyś wyjść do ogrodu i pograć w piłkę?

- Dlaczego?

- Ponieważ cię o to proszę.

- A nie mogę dalej grać w Counterstrike?

- Nie, idź do ogrodu.

- Ojej.

Chłopiec czuje jednak, że dyskusja na nic się nie zda, i wybiega do ogrodu. Camilla dopiero, gdy uzyskuje pewność, że syn jest daleko, szepcze w słuchawkę:

- W ogóle mnie to nie podnieca. Całkowicie źle mnie zrozumiałeś.

Dragan śmieje się, jakby naśladował aktora z marnego filmu. Camilla mówi:

- Ty tylko udajesz gangstera.

- Mieszkam w hotelu Plaza. Dzisiejszy wieczór zamierzam spędzić w pokoju. Tym razem nazywam się Guido Pirandello.

Camilla widzi Dennisa w ogrodzie. Jest tuż przy oknie, przyciska nos do szyby, stroi miny i śmieje się do niej.

Usiłuje odpowiedzieć mu uśmiechem, mówiąc jednocześnie:

- Doniosę na ciebie, Dragan. Powiem, gdzie jesteś. Nigdy więcej już do mnie nie zadzwonisz.

Rzuciwszy słuchawkę, pada na kanapę i płacze, nasłuchując tylko, czy Dennis albo Finn nie otwierają drzwi.

Mija cała godzina, zanim Finn wraca do domu. Camilla obejmuje go długo, całuje. Rozmawiają o kuchniach biurowych w dużej firmie odzieżowej, w których Finn montuje rury. Jedzą pulpety rybne z ziemniakami i pyszną remuladą, którą Camilla sama przygotowała. Zrobiła ją nawet w dwóch smakach, jedną dla dorosłych, ostrzejszą, drugą dla dzieci. Razem z Finnem sprzątają ze stołu i wstawiają naczynia do zmywarki. Potem piją herbatę przy Dobry wieczór, Danio i wiadomościach.

Przeklęty diabeł - myśli Camilla, gdy z głową pełną obrazów Dragana idzie w stronę hotelu Plaza. Do nikogo nie czuła takiej nienawiści od czasu, gdy przestała chodzić do szkoły.

Firmowi powiedziała, że wybiera się do Vibeke, koleżanki z chóru, poćwiczyć, więc to on położy dzieci spać. „Mogę wrócić późno”, zapowiada.

Wyobraża sobie, że jej dzieci, gdy dorosną, dowiedzą się, co ich matka robiła kilka razy do roku, gdy były małe. Będą pytać: „Mamo, sypiałaś z mordercą, gdy byliśmy dziećmi?”

W windzie hotelu Plaza Camilla czuje mrowienie w całym ciele, gdy odpowiada swoim dorosłym dzieciom: „Ależ skąd, nigdy tego nie zrobiłam”.

„No, to, co robiliście razem? Zdradzałaś ojca?”

„Jak w ogóle może wam coś takiego przyjść do głowy? To straszne. Nigdy w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła. Przecież jestem waszą matką!”

56

Jest pół do drugiej w nocy. Iben siedzi obok Gunnara, oparta o wezglowie jego dużego, podwójnego łóżka. Każde pisze coś na swoim laptopie, a na kołdrach leżą kartki i rozłożone książki. W zeszłym tygodniu postawili taboret po stronie Iben, żeby i ona miała gdzie kłaść swoje papierzyska.

Siedzą zatopieni w pracy, lecz od czasu do czasu któreś z nich podnosi głowę i opowiada, co przeczytało. Albo dotykają się, całują, patrzą, co się dzieje.

W świetle dwóch nocnych lampek ich mózgi spokojnie splatają się ze sobą w swój wyjątkowy sposób. Ciała rozluźniają się i rozpływają, jak gdyby łóżko Gunnara pod warstwami białych kartek było ogrzewanym basenem, stworzonym wyłącznie dla nich, składającym się z tekstów, uderzeń klawiszy i myśli.

Blizna Gunnara, ślad po nożu Żigicia, jest nieduża i różowa. Iben kładzie na niej rękę, jak gdyby z miesięcznym opóźnieniem była w stanie osłonić jego pierś. Przesuwa dłonią po owłosionej piersi, drugą ręką przytrzymując książkę o zbrodni ludobójstwa na Albańczykach.

Iben i Gunnar nie śpią prawie całą noc, lecz następnego dnia w DCIL Iben jest mimo wszystko pełna energii. Zawsze będzie pamiętać Malene i czcić jej pamięć, lecz, prawdę powiedziawszy, bez niej w biurze jest łatwiej. Wszelkie problemy we współpracy zniknęły. Anne-Lise rozkwita w sposób, o jaki Iben by jej nie podejrzewała, a Paul codziennie przychodzi w doskonałym humorze.

Jedynym zmartwieniem Iben jest numer tematyczny o Turcji. Bardzo się zaniepokoiła, słysząc, że Paul przyjaźni się z rzecznikiem Duńskiej Partii Ludowej i że spodziewa się zostać nowym dyrektorem IPC.

Paul w pośpiechu usunął numer tematyczny o Czeczenii, a więc o zbrodniach chrześcijan popełnianych na muzułmanach. Zamiast tego kazał skoncentrować wszystkie siły na numerze o Turcji, a więc na zbrodniach muzułmanów na ponad milionie chrześcijan.

Oświadczył, że temat należy zmienić, bo dowiedział się, że sprawa Turcji będzie omawiana w Brukseli. Nikt inny jednak teraz nie mówi o ludobójstwie w Turcji, łatwo, więc podejrzewać Paula o zawarcie potajemnego sojuszu z wpływowymi osobami z Duńskiej Partii Ludowej. Osoby te już powstrzymały Olego przed wyrzuceniem Paula, być może, więc są też w stanie załatwić mu stanowisko dyrektora IPC.

Czy Iben w rzeczywistości pracuje nad zadaniem, którego głównym celem jest wzbudzenie lęku i nienawiści do islamu? A może również do tureckich imigrantów w Danii? Nawet, jeśli tak jest, Paul nigdy się do tego nie przyzna. Nie pozostaje, więc nic innego, jak przygotować ten numer najlepiej jak się da, dla dobra sprawy i dla dobra centrum.

Po pracy znów jedzie do Gunnara. Co drugi tydzień są tu również jego córki, a Iben od pierwszego dnia, gdy je poznała, bardzo je polubiła. One również czują do niej sympatię, więc Iben w bardzo krótkim czasie zyskała rodzinę.

Doprawdy, trudno pojąć, że mniej niż pół roku temu Iben na spotkaniu u Sophie zobaczyła Gunnara po raz pierwszy. Tak się wtedy rozzłościła, że Malene pragnie zatrzymać wszystkich mężczyzn dla siebie. Trzy dni później przyszły maile z pogrózkami.

Siedzi na łóżku w pokoju starszej córki Gunnara, słuchają muzyki, rozmawiają i oglądają zdjęcia gwiazd pop, które dziewczynka ściągnęła z sieci. Dzwoni domofon. Iben wychodzi na korytarz i podnosi słuchawkę. Dorte Jorgensen przedstawia się i pyta:

- Mogę przeszkodzić?

Iben opanowuje się i uśmiecha, chociaż na razie nikt jej nie widzi.

- Oczywiście, Dorte, wejdź na górę.

Wszystko w życiu Iben układa się dobrze. W ostatnich tygodniach tyle się dowiedziała nowego o sobie i o niewiarygodnych rzeczach, na jakie ją stać, by przetrwać. Tych parę razy, gdy czuła, że może stracić kontrolę nad sobą, decydowała się na nocleg we własnym mieszkaniu. Żeby Gunnar i dziewczynki niczego nie zauważyli.

Ale całe to poczucie kontroli nad nowym życiem wywraca się za każdym razem, gdy zjawia się Dorte. Zawsze czai się gdzieś lęk, że Dorte sprowokuje kolejny atak i będzie jego świadkiem. Lęk przed tym, że straci kontrolę i się odkryje.

Iben zaprasza ją do środka, woła Gunnara i nastawia wodę na kawę, a Dorte rozgląda się z miną, jak gdyby podejrzane było już samo to, że Iben prawie tu mieszka. Córki Gunnara też przychodzą, wszyscy siadają wokół ławy przy kanapie.

Poplamionej krwią kanapy nie dało się wyczyścić, trzeba ją, więc było wyrzucić. Teraz Dorte i dziewczynki siedzą na stylowej kanapie Malene i Rasmusa. Matka Malene nalegała, by Iben ją wzięła. A w mieszkaniu Iben kanapa się nie zmieściła.

Gdy kawa jest już na stole, Iben pochyla się do przodu i pyta, co tym razem sprowadza Dorte. Czy może jej jakoś pomóc?

Dorte mówi wolno, przez cały czas patrząc na Iben. Opowiada, że zdziwił ją list Malene do Rasmusa z wyznaniem winy.

- Wszystko w tym liście jest dokładnie takie, jak w jej innych listach. Jest tylko jedna różnica: Pozostałe listy były zachowywane wielokrotnie, jak gdyby podczas pisania Malene co pięć

minut naciskała „zapamiętaj”. Ale gdy się obejrzy statystykę dla tego listu, widać, że został zapamiętany tylko raz.

- Tak? A jakie to ma znaczenie?

- To może oznaczać, że napisał go ktoś inny niż Malene. Może nawet już po jej śmierci. Bo przeprowadzenie daty zapisu nie jest niczym skomplikowanym.

- To dopiero! Naprawdę myślisz, że...

- Trochę nas to zastanowiło. Zauważyliśmy też, że ktoś włączał komputer w jej mieszkaniu również po tym, jak je opieczętowaliśmy, zakazując dostępu każdemu poza policją.

- Ale to oczywiście mógł zrobić ktoś od was?

- Oczywiście. Nie wygląda na to, żeby ktoś się włamał do mieszkania.

Iben wciąż ma świadomość, że panuje nad sobą, lecz być może z jej twarzy łatwiej coś wyczytać, niż jej się wydaje, bo córki Gunnara wyglądają na zdenerwowane. Iben zerka, więc na niego, a on, rozumiejąc jej spojrzenie, mówi do dziewczynek:

- Pójdziemy do kuchni robić obiad.

Dorte podejmuje przesłuchanie w tym samym miejscu, w którym je skończyła poprzednim razem, nie rezygnując z napastliwych aluzji i nowych teorii.

- Osoba, która wysłała mail, nazywa cię self-righteous. Myślisz, że to ktoś, kto cię zna?

- Nie mam pojęcia.

- Musisz mieć jakieś zdanie.

- No... Malene przyznała się, ale...

Iben czuje, że serce bije jej zbyt mocno. To teraz pod wpływem presji powinna stać się zimna i trzeźwo myśleć. Tak jak wtedy w Kenii. I w domu Anne-Lise. I kiedy Zigić ją złapał. Myśli: Zaraz zmienię się w survivor.

Ale tak się nie dzieje! Może, dlatego, że Malene nie żyje. Iben nie jest w stanie się skupić. Nie potrafi się bronić.

- Musisz żyć ze swoimi czynami - mówi Dorte. - Twój mąż będzie musiał z nimi żyć. Może nie będą one miały na ciebie wpływu przez pierwszy miesiąc. Być może również przez następny. Ale w pewnej chwili tak się stanie. A wiesz, dlaczego?

Iben nie ma ochoty odpowiadać, lecz gdy pauza się przedłuża, mówi to, czego Dorte od niej oczekuje:

- Nie.

- Dlatego, że jesteśmy odpowiedzialni. Dlatego, że sami decydujemy o naszych czynach. Spójrz na nieszczęsną Malene. Nikt nie przewidział, że poświęci...

- Malene była chora psychicznie. Sama o tym pisze!

- To ty tak mówisz.

Iben siada wygodniej i wzdycha.

- Rzeczywiście, badasz wszystkie możliwości. Można się poczuć bezpiecznie, widząc, jak starannie pracujesz.

Przesuwa rękę na oparcie kanapy. Nagle jednak przychodzi jej na myśl, że wymuszona swoboda może być tym znakiem, na który czeka Dorte. Prędko opuszcza rękę i mówi:

- I cieszę się, że mogę ci w jakiś sposób pomóc.

Dorte kiwa głową, nie spuszczając z niej wzroku.

- Miło to słyszeć.

Iben wstaje. Podchodzi do olbrzymiego regału z drewna sosnowego i zaraz wraca.

- Wiesz, co? A może chcesz sprawdzić mój komputer? Sama możesz się przekonać, czy nie ma w nim programu szpiegowskiego Rasmusa, tych maili z pogrózkami i szkicu tego, co było w dzienniku Malene.

Dorte ma dość energii, żeby się uśmiechnąć.

- Dziękuję, chętnie skorzystam z tej propozycji.

- Twoja teoria jest bardzo daleka od prawdy. Oczywiście nic ci nie przyjdzie z przeszukania komputera. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej się przekonasz, że niczego przed tobą nie ukrywam.

- Masz inne komputery? - pyta Dorte.

- Nie, ten noszę ze sobą do pracy i z powrotem.

- Będę musiała to sprawdzić.

- Oczywiście.

Iben być może trochę za szybko idzie do sypialni po komputer. Gdy wraca, Dorte mówi:

- Musi wam bardzo brakować Malene.

- Rzeczywiście. Ona zrobiła coś wielkiego.

Iben włącza swój laptop. Dorte wyjmuje z kieszeni własną płytę kompaktową i pyta, czy będzie mogła zainstalować mały program do przeszukania plików, który przyniosła ze sobą.

Iben zgadza się, uświadamiając sobie, że Dorte już z góry przewidziała, że Iben udostępni jej swój komputer.

Kiedy program zaczyna pracować, siedzą naprzeciwko siebie i czekają. W ciszy słychać tykanie twardego dysku Iben. Z kuchni dochodzą też głosy Gunnara i dziewczynek. Po pewnym czasie Dorte pyta:

- Czy myślisz, że twoja praca ma na ciebie duży wpływ?

Iben nie wie, czy to pytanie ma na celu zaatakowanie jej od jeszcze jednej strony. Odpowiada:

- Przez cały czas przypomina nam, jak cienka jest warstwa okrywająca instynkty, które mogą nas skłaniać do robienia strasznych rzeczy.

- Codzienna praca tego rodzaju może chyba wpływać deprymująco.

- Rzeczywiście.

Wyszukiwarka się zatrzymuje. Dorte wciska kilka klawiszy, mruży oczy i przysuwa się bliżej ekranu.

Chociaż usiłuje robić wrażenie zaznajomionej z programem, który sama przyniosła, Iben widzi, że nie ma zbyt wielkiego obycia z komputerami. Dorte musiała tu przyjść w desperacji. Ciekawe, czy wszyscy inni w policji nie uważają sprawy za zakończoną po przyznaniu się Malene do winy? Tylko, jeśli Dorte znajdzie coś w komputerze, będzie miała się, czego złapać. A w komputerze niczego nie znajdzie.

Iben słyszy męża i swoje dzieci kręcące się po kuchni. Znajduje dość energii, by podjąć rozmowę przerwana wcześniej.

- Ale praca w DCIL nie musi być wyłącznie deprymująca, może też oddziaływać na człowieka zupełnie odwrotnie. Może również wzbudzić podziw dla normalnego życia.

Dorte siedzi spokojnie i patrzy w ekran.

- Uważamy, że uporządkowany dzień powszedni i wzgląd na dobro innych ludzi to oczywistość - tłumaczy Iben. - Tymczasem to jest bardzo kruche. Nasza praca może nas również nauczyć doceniania dobra, uświadomić, że może ono zniknąć w jednej chwili.

Wreszcie Dorte odrywa się od ekranu. Mówi to, co było oczywiste:

- Nic tu nie ma.

Właśnie w chwili, gdy Iben powtarza sobie w duchu, że znów może przestać się bać, Dorte pyta z udawanym spokojem:

- Jeszcze coś mi się przypomniało. Nie wiesz, czy ktoś z rodziny albo znajomych Malene miał klucze do jej mieszkania? Albo znał kod dostępu do jej komputera?

To teraz Iben musi się namyślić. Gra idzie o wielką stawkę. Podnosi ze stolika pomarańczowy kamień Gunnara.

- Nie przypuszczam. Malene nigdy nie podała mi kodu. Nie miałam też kluczy i nie słyszałam, żeby ktoś inny je miał.

- No tak - mówi Dorte. - Bo to mogła w zasadzie zrobić tylko osoba, która już wcześniej miała klucz, tylko ona mogła wejść. Nawet mając klucz, trzeba być włamywaczem o stalowych nerwach, by usiąść i napisać coś w mieszkaniu regularnie odwiedzanym przez policję.

Rozmowa toczy się dalej, ale Dorte powoli opuszcza energia. Wreszcie chowa swoją płytę z powrotem do kieszeni i wstaje.

- Przepraszam, że przeszkodziłam. Mam nadzieję, że to nie było dla ciebie zbyt nieprzyjemne.

- Nie, nie. Rozumiem, że musisz wnikliwie prowadzić śledztwo. Tylko się z tego cieszę. Wszyscy jesteśmy to winni Malene i Rasmusowi. Zawsze dzwoń, jeśli przyjdą ci do głowy jakieś nowe pytania.

Odprowadziwszy Dorte do drzwi, Iben idzie do kuchni, gdzie Gunnar szykuje rozmaite małe dania, które mają się zmienić w pyszny bufet obiadowy. Dziewczynki przygotowują wielką misę sałaty.

Gunnar pyta, ale Iben bardzo krótko opowiada o tym, co się odbyło w salonie.

Staje za swoim mężem i obejmuje go, a on w tym czasie obraca na patelni małe kawałeczki polędwicy wieprzowej. Wtula głowę w jego plecy i czuje na policzku ciepło jego żeber.

Obie córki uśmiechają się do niej, a gdy Iben przyciska ucho do miejsca między łopatkami Gunnara, słyszy, jak bije mu serce.

Chciałam, żeby tak właśnie było. Właśnie tak.